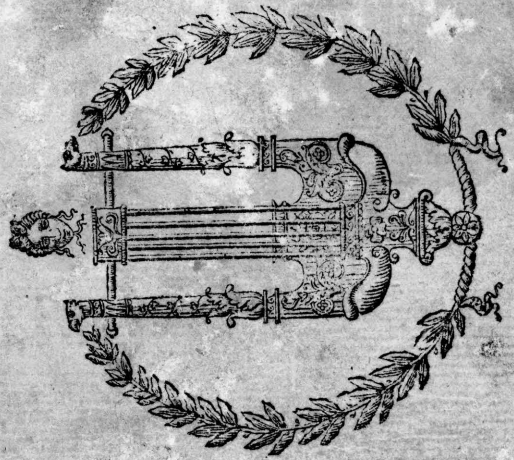

III 40

BIBLIOTHECA GYMNASII POSNANIENSIS

CZYTELNIA



T. TASSO

GOFFRED

ALBO

JERUZALEM

WYZWOLONA

TORQUATA TASSA.

CZYTELNIA

Przekładánia

PIOTRA KOCHANOWSKIEGO

Sekretarzá Ie° K. M.

Z PRZYŁĄCZENIEM

Rozprawy obeymuiącéy uwagi nad poezyią polską, życiopismo Torquata Tassa, rozbior i przekład Jerozolimy wyzwolonéy Pawła Czaykowskiego.

W WROCŁAWIU,

U WILHELMA BOGUMIŁA KORNA

1820.

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
129 988
w Białymstoku
WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
28823
Białostockie Centrum Dla Dorosłych
KOMPUTER
821.131.1-1

Wielmoźnemu á mnie wielce
Miłośćiwemu Pánu,

JE° Mći P. JANOWI

GRABI NA TĘCZYNIE,

Podczászemu Jey Krol: Mći.
etc. etc.

Komuż słuszniey oddáne moie nowe Rymy
O wyzwoleniu máią bydź Jerozolimy:
Ieno tobie Toporow stárożytny synie,
Moiá czći y ozdobo, Grábio ná Tęczynie.

Tyś ták o nich rozumiał, tákeś ie poważał,
Żeś mi się z niemi świátu ukázáć roskazał:
Jednak ony nie miáły przedsię zto śmiáłośći,
Swiádome dobrze swoich niedoskonáłośći.

Ale skoro od ćiebie poprávy dostáły,
Y iuż się w kosztownieyszy stroy poubieráły:
Nie mogąc zemną wytrfáć, gwałtem się wydárły,
Jam ich też niechćiał trzymáć, kiedy się napárły.

Czás odkryie, ieśli ich nie włożą do bráku,
Ale zdárzyli się iem że będą do smaku:
Y że iákiey pochwáły u ludźi dostáną,
Tobie zá to cny Grábio powinny zostáną.

Do Czytelniká.

Masz Czytelniku łáskáwy, partum ocii non omnino ociosi, *Poëmá przednieyszego Włoskiego Poëty TORQUATA TASSA przeplátánem ośmiorákiem rymem, iákiem ie on sam pisał, y iákiem Włoszy, Hiszpani, y insze narody polerowánsze swoie Heroiká piszą, po polsku przełożonę. Wiersz w nászym ięzyku przytrudnieyszy, y podomno uszom polskiem, iáko nieprzywykłem, zwłaszczá poki się wen kto nie wczyta, nie smáczny; iednák áby się pokazáło, że ięzyk nász nie iest nád insze ubozszy, y áby się szczęśliwszem dowćipom do ubogácenia go dálsza podáłá drogá, átoć go posyłam, ábyś osądził ieśli uydzie. Zdrow bądź, á naydzieszli co do smáku, z łáską przymi.*

ROZPRAWA

OBEYMUIĄCA UWAGI NAD POEZYIĄ POLSKĄ,

ŻYCIOPISMO TORQUATA TASSA,

ROZBIOR I PRZEKŁAD

JEROZOLIMY WYZWOLONEY,

NAPISANA

PRZEZ

PAWŁA CZAYKOWSKIEGO

Professora Literatury w Uniwersytecie Jagiellonskim,
Członka Towarzystwa królewskiego Warszawskiego
Przyiaciół nauk, i Naukowego Towarzystwa
Krakowskiego.

Lubo nauki wyzwolone przy ich ziawieniu wcześna doskonałość zaleca, gdy wśrod niewinności i saméy prostoty miłém światłem błysnąwszy, nieskażoną poią uciechą; iednakże utaia coś omdlałego piękność im właściwą, dopoki iéy wdzięków doyrzalsza nie rozwinie siła. Ten zawiązek i nagły postęp sztuk nadobnych nastręcza domysł o równém ich stopniowaniu, iakiém nas zadziwia przeobrażenie człowieka od dzieciństwa do samego grobu. Zmysły, imaginacyia i pamięć stanowią przyrodzone dary rozumnéy istoty, która folgę w cierpieniach znalazłszy, zaraz ie odziewa uśmiechem, wszędzie śledzi i wszędzie znayduie spokoyną dla siebie zabawę, ale zawadziwszy o wiek namiętności, tęschni nawet w błogim stanie, roznieca swoie żądze, w nich widzi otchłań nowych potrzeb, a tak znaglona ścigać przedmioty ciekawość i uczucia drażniące, wyrabia czyli ukształca wszystkie władze daléy sięgaiącéy duszy. Taką to niemal koleią i plemie ludzkie i poezyia doyrzewa. Nie iest moią

rzeczą tonąć w przeszłości zatartéy czasów potęgą, lubo zaufawszy świadectwu Nestora nadaiącego Słowianom skłonność do śpiewów, mogłbym wywieść starożytność poezyi naszéy, z samych cieni wiiących się około prawdy; alboli wierząc podaniom na głębokiéy Czackiego nauce wspartym, snadniebym w uniesieniu Nazona mamiącém, uyrzał Lechickiego Orfeusza postać, która buiaiąc nad klassyczną ziemią ieszcze za czasów Rastycza lub słynnego Kraka nuciła pieśni przy podnóżku i na grzbiecie niebotycznych Tatrow. Nierownie chętniéy pominę baieczne marzenia wielu Dębołęskich i poważnego Szlecera, dowodzących smiało, iż mowa nasza musi bydź odwieczną; gdy w gwarze siedmiudziesięciu ięzyków wieży Babylońskiéy powstała. Ale trzymaiąc natomiast z Homerem, że samo przyrodzenie wlało poezyią w serce człowieka, niewaham się przyznać iéy starszego u nas obywatelstwa, nad opisy Ptolomeuszów i wszystkie mniemania latopisarzy, tém bardziéy; że geniusz potrzebny do nauk pięknych, goreiący zawsze płomieniem swéy niesmiertelności, naytrudnieyszy pomysł cudownie wykona, w każdym zawodzie zwycięską zdobywa chwałę i nigdy się niepnie ani czołga po ustępnych szczeblach leniwego doświadczenia, w którém innych nauk miłośnicy ile pomocy, tyle i hańby dla swéy słabości znayduią.

Gdyby poetyczne Galla i Bogufała powieści nader często obok pasma dzieiow mieszczone, wypływaiąc z kościelnych roczników, które za naypierwsze pospolicie, bo przed życiem tych obu pisarzy wyschłe źrodło uchodzą; dały się teraz daleko wyżéy odnieść co do swoiéy dawności, nad pieśń S. Woyciecha, naprzod postrzeżeniem Xiążęcia Warmii i poetów za mieszaninę czeskiéy i pol-

skiéy mowy poczytaną; gdyby uroczyste powitanie Kazimierza wierszem iakto w Bielskim czytamy, istotnie staroswieckiego zwyczaiu było odgłosem; gdyby nareście i wzmianka Długosza o poezyi gminnéy w czasie topienia snopków słomy wystawuiących bałwany ręką pobożnego Chrześciaństwa ieszcze pod Mieczysławem I. zniszczone, żadnéy niepodlegały wątpliwości, a owe zabytki uratowane z tylu nawałności kraiu i naymnieyszego nieponiosłszy szwanku, stanowiły dzisiay oyczystéy nauki puściznę; wtedy mielibyśmy dokładną miarę owczesnego oświecenia i budowy ięzyka, nie mogąc nigdy znaleść w tych pierwiastkach nieokrzesanéy natury i dzikiéy namiętności, ani owocu dzwigaiącego się smaku, który iest wieńcem rozumu i wzorem sztuki, ani wzniosłości uczucia kierowanego tém natchnieniem boskiém, które uchroniwszy się błahych myśli lub zwiędłych obrazów, a samym słowom, postać, zapał, życie i wdzięki nadaiąc, na imie poezyi zasługuie.

Lecz ieśli początek rodu naszego iest zamglony zbiiaiących się mniemań obłokiem, a uwielbiani powszechną czcią i wdzięcznością mężowie, Potocki, Ossoliński, Linde, Bandtkie, postępu mowy polskiéy z kilku szczątków pieczołowicie pozbieranych wyiasnieć ieszcze nie zdołali, i zapędzeni między różne starożytności ułomki, zdaią się tułać po niedościgłych stepach albo spuszczać w przepaściste wąwozy, skąd gór szczyty widząc dopoty lękliwym błądzą krokiem, dopoki nie uchwycą na prostszéy równinie szlaku pewnieyszych docieczeń; i ieśli zorza tudzież zachód poezyi rożnią się od saméy pory iéy zakwitnienia środkowego, i podobne są do wspaniałości oceanu często w drzymiących brzegach ukrytéy, a w dalszéy dopiero wysokości skupioną falą rozdętéy;

przeto pomińmy te oba płytkie skraie, zwłaszcza że miłość własna niepozwala nam się przyznać do upadku i iawnego zaniedbania poezyi, i że iéy początek żadnym przywileiem od znikomości rzeczy ludzkich niewyięty, stał się teraz zagadnieniem do rozwiązania niepodobném. Same tylko dzieła znakomite czas oszczędza i do potomności przesyła, ieśli iaśnieiąc pewnym blaskiem powszechną rozbiły ciemność. Jak zaś wszystkie narody tak i polski iednę tylko w dzieiach swoich wykazuie epokę dla nauk przyiazną. Rzućmyż się więc w ten szczęśliwy okres, w którym wyobrażenie zaludnia pomysłami puszcze, stroi rzeczywistość, unosi własność i barwę iednéy rzeczy na drugą, a łudząc pasmem przeistoczeń wprowadza nas w królestwo uroków i w ten świat zmyślony; gdzie poeci zapomniawszy o ziemi, o sobie samych, zdaią się należeć do rzędu wolnych duchów, buiaią na skrzydłach śmiałych przenośni, i pyszni z własnego szału, na pozor tylko zdrowy żegnaią rozsądek, a istotnie za iego pomocą lutnię Apolina posiadłszy, wiążą przeszłość z obecnością, weselą obliczem wskrzeszonéy nadziei, dziwią wyrokami przenikliwéy wieszczby i rozlewaią potok wyświecaiącéy wszystkie taiemnice i wyższéy nad samo szczęście mądrości.

I któżby tu niepoznał z radością złotego dla nauk wieku Zygmuntów? Wtedy to, iak się wyraża ieden z naszych pisarzów, geniusz Polaków do wszelkich towarzystwo zdobiących przymiotów z natury pochopny, niby śpiący rycerz szczękiem oręża obudzony porwał się i w obliczu wszystkich narodów świętnością swoią zabłysnął. Stąd też powstało, iż zwięzłość Gornickich, przenikliwa moc Skargi, strumienistość Orzechowskiego, zachwycaiące wdzięki Rejów i wszystkie talenta swobodnéy myśli, ledwie w dziesiątéy części od Starowolskiego i

iego skrzętnych następców lub oboiętnych poprzedników wspomniane, tém dalsze od przesad wylęgłych na warsztacie scholastycznéy sztuki, tyle słynęły z uprawy ięzyka polskiego, ile głębokość Tacyta Sulikowskiemu przyznana, płynność Cycerona Tomickim, dowcip Tybula Janickiemu i bystrość Goslickiego w uięciu powinności obywatelskich dokazuiąc cudów rzymską mową, dziwiły związaną z niémi chwałą, nayświatleyszych za granicą Muretów, Erazmów i innych którzy pochodnią nauk wyświecili godność człowieka i sami byli zaszczytną rodu ludzkiego ozdobą.

Dosyć było przodkom naszym oswoić się z dziełmi pamiętnych czasów Perykles a i Augusta, iżby prześcignęli sąsiadów z skrzętnością mrówek iedynie na mierność pracuiących. A gdy cnota i wyższe przymioty zaczęły uścielać drogę do pożądanych godności, natychmiast umysły miłością sławy uniesione, co tylko korzyścią i przykładem dla oyczyzny iaśniało, z samych pól Elizeyskich wycofawszy, wszędzie nakształt powietrza rozpościeraiąc, za iedyny żywioł pułnocnym wskazały mieszkańcom. Jeszcze inne Europy narody w równéy niewiadomości i przesądach zakute iedną i własnie warsztatowemu barbarzyństwu właściwą postacią raziły, gdy w Polszcze orzeźwionéy wzorem Auzonii téy pieczołowitéy odrodzonych nauk matki, wyroili się uczniowie zapału Pindara; słodyczy Anakreona, wzniosłości Horacego, harmonii Wirgiliusza, śmiałych obrazów Aryosta i czułości Tassa. Mowa dotąd uboga rozgałęziła się nagle pod niepoiętém działaniem rozumu, a wycwiczona uwaga wynayduiąc w rzeczach pokrewieństwo, tworzyła dla nich stósowne i pobratymcze z pierwszego pnia słów początkowych nazwiska. Nie długo rozmaite uczucia,

każdy przedmiot i każdy pomysł dały się wycieniować w iasnych kolorach, a ięzyk wykrzesany co raz więcéy ostrzem rozumu i zaprawiony czystym smakiem, zaczął wybiiać się z wszelkiego zamroczenia, uiął doyrzałość z łaciny, w opowieściach był płynnym i zwięzłym, w dowodach mocnym i uderzaiącym, w zwrotach żywym i gwałtownym, w kreśleniu malowideł bogatym i zamożnym, bez wiotkich błyskotek, bez dziecinnéy igraszki, bez wystawy dowcipu, bez wybuiałéy nadętości, ktora nigdy nieuchodzi za godło wewnętrznéy siły, zgoła wystarczaiącym do wszystkich umieiętności, powabnym w sztukach, męskim w wymowie, i tém doskonalszym, że wynikłszy z ślachetnego umysłów zaburzenia, nie tułał się między samym ludem wieyskim, ale doznaiąc obyczaynego przyięcia tak na świętnym dworze potężnych krolów, iak w radzie pod chlubném wolności hasłem seymuiących stanów, i w zamkach od Baltyku do czarnego morza rozsianych, zakwitł wszędzie iednostayną narodowością, prześcignął udoskonaleniem w większéy połowie świata rozlegaiącą się słowiańszczyznę, a w miarę wziętego wzrostu pod opieką rozumu, w powszechne wpływał oświecenie.

Epoka ta, czyli panowanie Jagiełłów, i przewagą oyczyzny i wolnością myślenia i hartem cnot obywatelskich i wygórowaniem w wszystkich naukach słynąca, nie doczekała się ieszcze Arystarcha któryby zebrawszy kłoski z tak obfitego żniwa, umieścił ie w iednym składzie chluby i pożytków naszych z dokładném wytknięciem okoliczności wystawuiących Polskę chwałą okrytą i podobną do młodzieńca czerstwego, co dufaiąc przymiotom swoim na wszystko się waży i dopoty trudności zwalcza, poki czoła swego pięknym nieustroi wawrzynem. Alboż to nie iest zadziwiaiące, iż ieden właśnie dom Kochanowskich bez oglądania się na hoyność za żywioł talentów uznaną, owszem zamykaiąc skromne progi przed wiele potrzebuiącym zaszczytem dumnego kasztellana, dla siebie tylko śpiewa, do cichego Czarnolesia zwołuie Muzy dumnym igrzyskom sprzyiać lubiące, zrządza odmianę w poezyi, stwarza ią poniekąd i dowcipem, ledwie nie powiem, wszechmocnym do takiéy wznosi wysokości na iakiéy podziś dzień stoi? Buyne wyobrażenie, połyskuiące wdziękiem myśli, trafny rozsądek, świeże pióro, głęboka rzeczy znaiomość, czułe serce, szlachetna dusza i staropolskie uczucia, oto są dary, które Jana ogłosiły słusznie wzorowym mistrzem trudnéy rymotworstwa sztuki. Dzięki geniuszowi uczonego. J. U. Niemcewicza iż w godny swoiéy sławy sposób, uczcił zasługi tego pisarza i przechodząc w pięknéy rozprawie wszystkie szczegóły życia iego, uczynił razem gruntowny wywod, iako on pierwszy na gęśli oyczystéy zabrzmiawszy i wdzięki z prawdą łącząc, odiął naukom suchość a w czytelnikach swoich iedynie przyiaciół lub wielbicieli znayduie, gdy ich razem bawi i naucza. Lecz nieocenioną ieszcze iest praca Jędrzeia który lody w ięzyku naszym łamiąc, sposobił go do przelania Eneidy naysztucznieyszéy w wysłowieniu, doskonałéy w toku wiersza i pełnéy uroczystości zdobiącéy poema bohaterskie. Podobnież i przekład Wyzwolonéy Jerozolimy z całą okrasą stylu nayszczęśliwiéy dokonany, szczególnieyszéy i wprawnieyszego piora nad moie, godzien iest uwagi. Chcąc poznać bliżéy poezyią Piotra, wspomniymyż choć w krotkości życie Tassa i rozbierzmy sam układ téy Jerozolimy Wyzwolonéy, która po raz piąty na widok publiczny wychodząc pierwszy raz z téy strony dotkniętą będzie. Niemasz tu potrzeby występować z własném zdaniem,

zwłaszcza że biegli znawcy więcéy zostawili gotowych w téy mierze zapasow niż ich szczupłość tego pisma obiąć może. Zastrzegaiąc sobie wyłuszczenie zalet tłumaczenia polskiego, użyię cudzych postrzeżeń nad oryginałem; lepsze myśli z wiernością echa powtorzę, a mniéy trafne słusznieyszém mniemaniem z innych zrodeł uczerpnioném, wyręczę i zastąpię.

Czytać dzieie literatury uczonego Tiraboschi, zbiór wiadomości Nicerona, uwagi Laharpa i wyśłęczoną rozprawę niezmordowanego Schlegla o Torkwacie z iedney, a z drugiéy strony uważać nastroione żądło zawistnego de Rossi, przesąd całéy Akademii de la Crusca, wyraźne wahanie się Metastasego i ziątrzoną mrukliwość Boileau, iest to widzieć całe dziwactwo w niczém niezgodnéy i namiętnościami miotanéy natury ludzkiéy.

Gdy zaś niepodobną byłoby rzeczą do iednego dążyć kresu i gonić tylu rozbiegłych w przeciwne ubocza przewodników; przeto rozsądek każe opuścić cały las ich uroień i trzymać się raczéy filozofa z Ferney, który za wyrocznią Parnassu w ośmnastym wieku uchodząc, naylepiéy nam w tym względzie usłuży.

„Tasso urodził się w Surrento 1544 roku w domu którego znakomita świetność iuż była na schyłku. Jego oyciec Bernardo ucierpiał nie mało biedy, należąc do dworu Xięcia Salerny iako poeta zwłaszcza gdy Karol V. wyzuł iego pana z wszystkich własności. Pierwsze wychowanie wziął Torkwato w Neapolu. Wena poetyczna stanowiła cały spadek, który po oycu swoim odziedziczył. W rychłéy młodości, bo w siodmym roku, szczęśliwe zaczął pisać wiersze. Bernardo wygnany z Neapolu z stronnikami Xięcia Salerno i poznawszy z własnego doświadczenia tak niebezpieczeństwo poety

iak śliskość dworskich względow; umyślił zwrócić syna swoiego od téy podwoynéy zatoki i wysłał go do Padwy na naukę prawa. Obdarzony Tasso zdolnościami poiął nagle tę umieiętność i otrzymał stopnie z filozofii i Teologii. Zaszczyt ten wiele wtedy popłacał, gdyż każdy co klepał Logikę Aristotelesa z pamięci, miał usta pochopne do kłótni zaczepnéy i odpornéy, używaiąc słów zamatanych w osnowie niedościgłéy, uchodził za mędrca. Nie długo iednak Tasso niby opętany geniuszem swoim, zaięty przeciwnémi swéy skłonności zatrudnieniami, pisze poema o Renaldzie które zapowiedziało światu Jerozolimy wyiście. Żniwo chwały z pierwszego dzieła odniesionéy, zaięło na zawsze iego duszę poezyią. — Wkrotce wchodzi do Akademii Padewskiéy (*aetherei*) pod imieniem pokutuiącego (*pentito*) aby okazać ile ubolewa nad stratą czasu który zmitrężył przy nauce prawa i innych wielu iego powołaniu przeciwnych.“

Któż w téy wiośnie życia Tassa, niepostrzeże i młodości Nazona lubo usilnie lecz daremnie zwalczaiącego naturę w następuiącym wystawioną obrazie:

Porzuć płonną naukę! często oyciec wołał:
Wszakże *Homer* z niéy sławny biedy uyść niezdołał.
Zaięty taką radą lutnię pożegnałem:
Pracuię nad wymową, kształcę ią z zapałem,
Lecz piórem moiém wena poetyczna włada:
Co tylko pisać zacznę wierszami się składa. *a*)

„Jakoż w roku 22 życia swego wziął się Tasso do układu Jerozolimy. Wkrótce postępuiąc wbrew

a) *Saepe pater dixit: Studium quid inutile tentas?*
Maeonides nullas ipse reliquit opes.
Motus eram dictis: totoque Helicone relicto,
Scribere conabar verba soluta modis.
Sponte sua carmen numeros veniebat ad aptos;
Et, quod tentabam dicere, versus erat.
Trist. Lib. IV. Elegia X. v. 21.

woli oyca osiada w Ferrarze przy Alfonsie II. i mniema iż szczycić się opieką Xiążęcia swoiém kadzidłem uwielbionego, iest to mieć zabezpieczone powodzenie. W 25 roku iedzie do Francyi z dworem kardynała Este. Wielu historyków świadczy, że Karol IX. uczcił należycie talent poety, który wrócił do Ferary obsypany honorem i dobrodzieystwy. Lecz ten honor i dobrodzieystwa tak otrąbione kończyły się na znikłym chwały dymie, iako zwyczayném bogactwie poetów. Mamy podania, które Niceron wywodem okoliczności sprawdza, iż miłość powzięta ku Eleonorze siostrze Xiążęcia Ferary a więcéy może obeyścia się złego przykrości, wtrąciły Tassa w tę ciężką melancholią, która wycieńczaiąc w nim siły przez lat dwadzieścia, ziednała mu nazwisko głupiego lubo tyle światła rozlał w dziełach swoich."

„Kilka pieśni z iego poematu wyszły zrazu pod imieniem Goffreda. W 30 zaś roku wydał całe dzieło z stósownieyszym tytułem Jerozolimy Wyzwolonéy. Wtedy to mogł on powtórzyć te pamiętne starożytnego męża słowa:" Dosyć żyłem dla szczęścia i chwały." Dalszy ciąg dni iego snuł się z pasma nędzy i obelgi. Poszedłszy w osmym roku na wygnanie z oycem swoim, wyzuty z maiątku, rozłączony z miłém rodzeństwem, ścigany od tłumu Zoilów obrażonych iego sławą, doznaiąc litości bez skutecznego wsparcia z strony mniemanych przyiaciół, więdniał w poniewierce i niedostatku przechodząc z więzienia na włoczęgę, będąc wszędzie celem téy potwarzy, któréy smutną został ofiarą. Nie długo postradawszy wolność, ratował się ucieczką z Ferrary, i poszedł pieszo w lichéy odzieży odwiedzić siostrę swoię w Surrento zamieszkałą z nadzieią osiągnienia iéy wsparcia. Ostygła dla niego

podobno i miłość wrodzona; gdy wkrótce sam powrocił do Ferary aby znowu dźwigał gotowe nań więzy. Rozpacz osłabiła iego mocne siły nabawiaiąc go ciężkiéy i gwałtowney choroby, a co gorsza, pomieszania umysłu. Wiadomo iest, iż utrzymywał iakoby odzyskał zdrowie za sprawą Nayświętszéy Panny i świętéy Scholastyki, które mu się pokazały w iego wielkiéy gorączce. Margrabia *Manso di Villa* zaświadcza to zdarzenie. Lecz większa połowa czytelników nie będą w téy mierze nic więcéy wierzyć, chyba to iedno, iż Tasso miał malignę." —

„I chwała iego poetyczna, ta pociecha uroiona w nieszczęściach istotnych, zewsząd doznała napaści. Mnostwo nieprzyiaciół zaćmiło na czas nieiaki wziętość iego. Co więcéy, popadł osławieniu lichego wierszokleta. Wreście po dwudziestu leciech zmęczyła się zawiść prześladowaniem, a zasługa wzięła górę. Cześć i maiątek cisnęły się do niego razem, gdy umysł zwątlony brzemieniem niedoli stał się iuż oboiętnym na złudzenia pochlebnych wrażeń. Papież Klemens VII. chcąc go ozdobić wieńcem na zgromadzeniu kardynałów, czyli pragnąc mu przyznać publiczny tryumf, zwłaszcza iż ten obrządek ile dzisiay smieszności, tyle wtedy miał powabów, wezwał Tassa do Rzymu. Dwóch kardynałów, ciżba prałatów i ludu wszelkiego stanu, wyiechali powitać poetę o milę drogi. Stanął wreście w obliczu Papieża który mu rzekł: „Postanowiłem sobie, iżbyś zaszczycił ten wieniec laurowy, co zaszczycał tych wszystkich, na których mieścił się skroniach." Dway kardynałowie Aldobrandini, siestrzeńcy Papieża i przyiaciele Tassa, zaięli się przygotowaniem téy uroczystości. Osobliwszą to iest rzeczą, iż w témże Kapitolium odprawiało się wieńczenie ludzi oświecaiących pismami swémi spo-

łeczność w którém pogromcy świata zbroczeni krwią niewinną odbywali swoie tryumfalne wiazdy. Tasso zapadł na zdrowiu w samę chwilę przedsięwziętych urządzeń, i umarł dniem wprzody niż obrządek nastąpił. Tak więc przeznaczenie wywierało na nim zawziętość do samego zgonu i wystawiło iawnie że człowiek iest igrzyskiem losów.“

„Czas, co podkopuie wziętość miernych talentów, ustalił sławę Tassa. Pieśni Jerozolimy Wyzwolonéy tak rozlegaią się dzisiay po Włoszech, iak niegdy pieśni Homera po Grecyi. I owszem rozsądna krytyka pomiiaiąc iego drobne błędy, przyznaie mu mieysce obok Wirgiliusza, wzoru wszystkich poetów.“

„Jerozolima podobna iest z wielu względów do Illiady. Ale ieśli wątek dzieiów zgadzaiący się z wypadkiem woyny Trojańskiey, ieśli Renald iest obrazem Achilla, a Goffred Agamemnona, ieśli to wszystko ma uchodzić za naśladowanie, i w takim razie Tasso prześcignął samego Homera. Tyle on bowiem okazał zapału w bitwach co i ten oyciec poetów, ale więcéy ma rozmaitości od niego. Obu bohatyrowie iaśnieią piękną postacią i utrzymuią właściwe sobie skłonności. Przecież Tasso dzielnieyszą mocą obdarzył swoich, i pewnieyszym w malowaniu kierował pędzlem: gdyż iak w Greczynie nieznaydziesz nikogo, coby się niekrzyżował sam z sobą, tak dowcip Włocha wydał wszystkich bez nadwerężenia w czemkolwiek panuiących przymiotów. Co Homer zaczął, to Tasso ukończył i udoskonalił sztukę cieniuiącą. cnoty, występki, namiętności, które pod wielu piórem z iednostayną okazuią się twarzą. I tak Goffred iest rostropny i umiarkowany; burzliwy Aladin tchnie srogą polityką, szlachetna dzielność Tankreda stawa w sporności

z szaleństwem Arganta, w miłości Armidy przebiia taśma zalot i uniesienia, a miłość Herminy iest czułością łagodną i zachwycaiącą. Niemasz tam nikogo aż do Piotra pustelnika, ktoryby niebył godną częścią całości, łamiąc swemi promieńmi czarnoksiężnika Izmena. Te dwie osoby więcéy zaiste warte niż Taltyb i Kalchas. Renald puszcza się wprawdzie śladem Achilla, lecz błędy tamtego, nie tyle są naganne, ile drugiego. Pierwszy ma duszę łagodnieyszą i samego nawet wywczasu daleko lepiéy używa: słowem Achilles razi, a Renald podoba się i zaymuie.

Trudno rostrzygnąć tę wątpliwość, dobrzeli czy źle postąpił Homer, wzbudzaiąc tyle czułości losem Pryama nieprzyiaciela Greków: lecz naywiększy cud sztuki zależy na tém zaiste, iż Aladyn iest obmierzłym.“ *Voltaire* czyniąc dalsze w téy mierze uwagi, zapomniał podobno iż był autorem Henryady, Zairy, i nie mało rozstrychnął się z słusznością mowiąc: „iż bez tego podeyścia, więcéyby sprzyiał każdy czytelnik muzułmanom niż chrześciaństwu, widząc w niem gromadę łotrów śpieszących z głębi Europy na zgnębienie udzielnego kraiu, morduiących sędziwego Monarchę i lud tém niewinnieyszy że w żadne z nikim niewchodził zatargnienia.“ Ostrzeyszą nierównie spostrzegam uszczypliwość w następuiących słowach tegoż filozofa, który gdyby był współczesnym *Oelsnera*, inaczyby sądził o duchu machometanizmu.“ Wyprawa do ziemi świętéy, mowi on, naywiększém była głupstwem. Mnichy zachęcali do tych pobożnych rabunków częścią przez zagorzałość, częściéy dla własnéy korzyści. Dwór rzymski siał poduszczenia, łowiąc pożytki z słabości drugich. Książęta opuszczali swe państwa wycieńczaiąc ie z ludzi i pieniędzy, a poszedłszy toczyć

boie do Syryi, wystawiali swoie granice na łup pierwszego napastnika. Wszystka szlachta trwoniła maiątki, i zabrawszy z sobą kochanki biegła w tę daleką drogę. Chęć włoczęgi i zabobon rozpościerały wszędzie swoię zarazę tak szkodliwą. Ci pielgrzymy łączyli zawsze z gorszącą rozpustą i dzikością zwierzęcą nayczulsze uczucia pobożności. Oni to skalali się rzezią w Jerozolimie bez względu ani na płeć ani wiek żaden, a gdy iako potwory zbroczone we krwi niewiast przez siebie zgwałconych, stanęli z białym krzyżem na grobie Zbawiciela, wtedy zalawszy się rzewnych łeż potokiem, całowali ziemię i bili się w piersi. Tak to w przyrodzeniu ludzkiem znayduią się wszelkie ostateczności!“

Historya lubo się zowie świadkiem czasu, pochodnią prawdy i zwierciadłem wypadków, iednakże możnaby ią nazwać i woyną mniemań, wiodących nieomylne skutki z wątpliwych przyczyn. Nie mało iest dowodów, iż Robert stoiący na czele orszaków francuzkich w Jerozolimie Wyzwolonéy, poddmuchnął iskrę nienawiści ku Saracenom. Ale któż zaprzeczy, iż obok innych powodów wpłynęła i cnota chrześciańska w te wielkie przedsięwzięcia? Wtedy bowiem sama Religiia stanowiła zasadę rządów, a rząd pragnął upoważnić moralność Ewangelii, która przesiąkłszy w serca, otacza trony niezłomnym szańcem miłości, utwierdza ie czystością sumnienia, a niszcząc lubo właściwe człowiekowi lecz nayszkodliwsze społeczności samolubstwo, porywa go do nadzwyczaynych czynów. Wyprawa do ziemi świętéy ieśli stanie przed sądem na wszystko oglądaiącego się rozumu, obiawi nam epokę prawdziwéy wielkości i heroicznych w Europie czasów. Wszakże wszystkie państwa zabrnęły iuż w taką nieprawość, iż potrzebne im było gwałtowne wstrząśnienie, które otarłszy rdzę

barbarzyństwa mogłoby ie usposobić do wskrzeszenia cnót i przymiotów stanowiących istotną godność człowieka. Lecz niechcąc powtarzać wstępu umieszczonego przy dzieiach Karola V., w którym cel, pobudki i pożyteczność woyny świętéy tak dobrze wystawione, iż ciekawości każdego naylepiéy dogodzić mogą, wróćmy się znowu do przerwanéy osnowy.

„W podobnéy właśnie postaci, czyli iak przystało, wystawił tę woynę Tasso. Tam widzimy rycerstwo, które pod wodzą cnotliwego naczelnika, zamyśla oswobodzić z iarzma niewiernych ziemię, kolebką i grobem Boga uświęconą. Przedmiot Jerozolimy z téy strony uważanéy, iest nayszlachetnieyszym rzeczy wyborem. Tasso wykonał godnie swoie dzieło. Wielkość odpowiada miarze zaięcia. Cała istota płynie szczęśliwie przy pomocy sztuki, wszystkie przygody z nią się wiążą, a światło przedzielaią cienie. On wodzi czytelnika z huku bitew do słodyczy miłości, a od złudzeń roskoszy między łoskot broni. On stopniami tkliwość wznieca i koleią, bo w każdéy księdze przewyższa siebie samego. Jego pioro iest wszędzie iasne choć wytworne: a ieśli zaydzie potrzeba wzniosłości, poiąć właśnie niemożna, iak miękkość ięzyka włoskiego przeradza się w iego ręku na ięzyk poważny, mocny i przenikliwy. Jest iednak w Jerozolimie około dwóch set wierszy, gdzie autor wdaie się w słów igraszkę albo w zdania dziecinne; ale te usterki należy uważać za pewny haracz, który geniusz Tassa musiał złożyć wiekowi złego smaku. Smieszności takie popłacały i późniéy, lecz naród włoski wkrótce się z nich otrząsnął.“

„Jeśli poema to pełne iest piękności godnych oklasku, niezbywa mu znowu na mieyscach, które iedynie w oczach włoskich maią cenę, nie mogąc się

BIBLIOTEKA PUBLICZNA

gdzie indziéy podobać. Zaczęcie samo usprawiedliwić się nieda, będąc złożone z ustępu nienależącego w niczém do ciągu rzeczy. Któż pochwali gusła i czarodzieystwa Jzmena z obrazem Maryi, albo wypadki Olinda i Zoffronii? Gdyby przynaymniéy wizerunek matki Boskiéy służył do iakiéy wieszczby, gdyby Olind i Zoffronia maiąc zostać ofiarami swoiéy wiary i osiągnąwszy światło nieba, namienili cokolwiek o przyszłych wypadkach, ale ich działania nie stoią w związku z dalszą osnową. Opis szumny i kwieciste wyłuszczenie ich przygód, każą mniemać, iż będą należeć do rzędu pierwszych osób, gdy tym czasem niemasz o nich żadnéy wzmianki, i równie Zoffronia i Olind nie wpływaią wcale w sprawy Chrześcian, iak wizerunek Nayświętszéy Panny w sprawy Muzułmanów.

Ustęp o Armidzie acz iest czołem tego poematu; iskrzy się taką wybuiałością imaginacyi, któraby w żadnym narodzie prócz włoskiego nagany nie uszła. Dziesięciu książąt chrześciańskich przeistoczonych w ryby, i sroka co śpiewa pieśni własnego układu, są to bayki, które zrażaią czytelnika nawykłego okiem rozumu szukać natury. Czarodzieystwo nieudałoby się dzisiay nigdzie, lecz za czasów Tassa nie tylko wśrod przesądnych Włochów ale i w całéy słynęło Europie. Zimny stronnik Lokka niemałoby się oburzył, znalazłszy w Jerozolimie chrześciańskiego czarownika, który wybawia Renalda z rąk czarowników muzułmańskich. Jakież to uroienie, wysłać Ubalda z towarzyszem do świętego czarnoksiężnika, który ich obu w środku ziemi stawia, gdzie ci dway rycerze chodzą nad brzegiem ponika pełnego kosztownych kamieni? Stamtąd iadą do widmy Askalońskiéy, która ich przewozi w małéy łodzi na wyspy Kanaryiskie. Tu stanęli pod opieką Boga,

trzymaiąc w dłoniach roszczki czarnoksięzkie; a dopełniwszy poselstwa swoiego, wiodą walecznego Renalda ku obozom chrześciańskim w ostatniéy będącym potrzebie. Te marzenia, chociaż godne Tysiąca nocy i iednéy, nie są ieszcze utworem Tassa, gdyż ie wyiął z Aryosta tak dalece; że iego Armida iest właśnie bliźnięciem Alcyny. Dla téy właśnie okoliczności wielu iest Włochów co Aryosta przenoszą nad Tassa. Jakież to dzieło rycerskie czekało na Renalda? Opatrzność każe mu wyciąć kilka starych drzew w pewnym lesie, i sprowadza go w niepoięty sposób z naywyższéy Teneryffy aż do Jerozolimy. Ten las iest wielką cudotwornością (machiną) poematu. W pierwszych pieśniach Michał archanioł strąca do piekła z rozkazu Boskiego wiiących się w powietrzu diabłów, którzy wzniecali burze miecąc pioruny na chrześcian z oszczędzeniem muzułmanów. Michał zabrania im wręcz mieszać się w sprawę prawowiernych. Ci posłuszni lecą do otchłań. Wkrótce wywołuie ich ztamtąd Jzmeno. Wtedy znayduią sposobność podeyścia rozkazów Boga, i osłoniwszy się pozorem kilku sofistycznych wykrętów, zalegaią las w którym chrześcianie chcieli ciąć drzewo do wystawienia wieży potrzebne. Diabli przybieraią tysiąc odmiennych postaci i trwożą krzątaiących się w porębiu cieślów; Tankred spotyka zarosłą w sośnie Kloryndę, którą skaliczył wymierzonym w odziemek drzewa razem. Armida wygląda z myrtu przez korę, chociaż przy woysku w Egipcie bawi. Wreście modlitwy pustelnika Piotra, tudzież zasługa i nadprzyrodzona skrucha Renalda, odnoszą zupełne nad czarodzieystwem zwycięstwo.“

„Podobno Tasso pierwszy poznał błędy swoie, i niemogł przed sobą ukryć tego, iż takie baśnie i

smieszności, acz Włochom i Europie przyiemne, niezgadzały się cale z powagą bohaterskiego wiersza. Dla usprawiedliwienia siebie obwieszcza przedmową, iż iego poema iest allegoryą. I tak woysko chrześcian ma wystawiać duszę i ciało. Jeruzalem składa wyobrażenie szczęścia okupionego pracą i zabiegiem. Goffred iest duszą. W Tankredzie Renaldzie i innych, znayduią się zdolności. W szeregach woyska, są członki ciała, a w diabłach mamy postaci i przeistoczenia. Armida i Jzmen maluią pokusy ludzi trapiące, a wdzięki i złudzenia czarodzieyskiego lasu, owe wykręty i mylne rozumowanie które namiętności nasze stręczyć zwykły.

Takito klucz Tasso do swoiego zostawił pisma: uczyniwszy względem siebie to samo, co inni uczynili względem Homera i Wirgiliusza. Przypuszcza bowiem widoki i zamiary o iakich zaiste przy układzie rzeczy niewiedział, a gdyby ie miał na nieszczęście swoie, niepodobno iest poiąć iak zdołał z pomysłów równie dziwacznych, wykonać powszechnie szanowane dzieło.“

„Jeśli diabeł gra w poemacie iego, rolę nędznego kuglarza, to z drugiéy strony wszystko co należy do religii połyskuie pompą i tchnie świętością czystéy wiary. Processye, Litaniie i inne szczegółowe obrzędy, zaleca w Jerozolimie wyzwolonéy pewna okazałość cześć budząca. Taka to potęga poezyi, iż ona wszystko uślachetnić i podnieść iest w stanie.

Wiele nieostrożności okazał Tasso, zowiąc złego ducha raz Plutonem, iuż znowu daiąc drugiemu imię Alektona, gdyż pomieszał wyobrażenia pogańskie z chrześciańskiémi. Lecz w tęż pomyłkę wpadło niemało nowoczesnych pisarzy. Piekło bowiem chrześciańskie niema tyle ozdób, ile ich widzimy w starożytnym Tartarze. Nazwiska nawet Plutona, Prozerpiny, Radamanta, z większą brzmią przyiemnością, niż Belzebuta i Astarota; wspomniany nawet Szatan nie tyle uderza, co iędza. Stąd widzimy iż nauka starożytności niepospolitéy iest ceny, gdy nawet piekłu pewnych wdzięków dodać może.“

Lubo ten rozbiór Jerozolimy Wyzwolonéy wyiaśnił choć w części układ całego dzieła; przecięż zbywa mu ieszcze na uwagach potrzebnych do poznania smaku i ogółu literatury włoskiéy. Zastąpmyż tę małą szczerbę innych pisarzów zdaniem, abyśmy tém lepiéy oswoić się mogli z całą trudnością iakiéy doznał Piotr Kochanowski w przekładzie tak wielkiego poematu.

Od czasu Kozmów i Lorenców pod imieniem Medyceuszów znanych, chlubiła się Toskania słusznie chwałą Aten. Jeszcze w XIV wieku pióro de Bocace wygładziło ięzyk toskański, który późniéy zasłynął nieśmiertelnym geniuszem Danta, Petrarcha, Aryosta i Tassa. Akademiia de la Crusca była naypierwszym trybunałem sztuk wyzwolonych, lecz gdy naród włoski straciwszy wszystkie dawnych Rzymian przymioty więcéy ma dowcipu i czułości niż wytrwania w przedsięwzięciu, a żądze iego sławy ostudza każda mozolna praca; stąd podobno nienależy mu się iak drugie mieysce po wzorowéy w każdym względzie Francyi: zwłaszcza iż on sądzi o tworach poezyi i prozy, nie tém światłem, co zważa myśli, przenika ich znaczenie i związek; ale raczéy krytykę swoię trybem dawnego Plotiusza: opiera na delikatności ucha: które wśrod wszystkich narodów żyiących naylepiéy zna dźwięk muzykalny i naywięcéy go wszędzie szuka. Dla tegoć zaiste łacniéy u nich znayduiemy w pismach nawet złotego dla nauk wieku, poetyczne malowidła

niż śmiałe i uderzaiące obrazy. Uczucie, zawsze gotowe wydziwiać w harmonii, czyli narzędzie słuchu iest tak łechciwe, tak pyszne, tak w głaszczących pieszczotach trafne; iż uchodzi za oddzielną własność, za taiemnicę wyłącznie do ich plemienia należącą. Łagodne brzmienie i łańcuch samogłosek więcéy u nich popłaca, niż nieoceniony rozum. Każde więc dzieło, ieśli ma bydź wziętém, potrzebuie tła muzycznego, musi wabić złudzeniem w królestwie urojenia czyli nadobnych fikcyy zdobytém, i powinno oddychać zachwycaiącą melodyią, którą ledwie czasem iakaś iędrność myśli przerwie, zawiesi i nawzaiem ustroi.

Piękność stylu alboli pewna moc magiczna, co się podoba i czaruie właśnie, iest oprawą słów i okresów mowy włoskiéy: a imaginacyia strzelaiąca błyskawicą, im więcéy ma podobieństwa do ognistych słupów Etny, im więcéy iskrzy się i razi, tém lepiéy zastępuie u Włochów wszelki niedostatek obrazów i samych myśli; gdy znowu ięzyk z swéy strony bawiąc płynnością, igraszką i dzwoniącą słodyczą, umie ich oszukiwać i więzić, że tak powiem, iak anielski uśmiech lub cudowne oblicze urodnéy kobiety.

Poezyia starożytna wtedy naylepiéy wzrastała, gdy szła w iednéy parze z muzyką i tańcem. Poezyia włoska nie tylko iest siostrą Euterpy i Terpsikory, ale raczéy samą muzyką, albo też ciągłym rozrzewniaiącym i pełnym echa śpiewem. Ona zdumiewa okazałością powierzchowną, która ubostwo myśli i niedostatek wewnętrznéy harmonii pokrywa. Jednakże obok tylu zalet ma ięzyk włoski wady: niedopiął swéy doskonałości, bo niemiał dostatecznéy liczby pisarzów, ktorzyby umysł i serce ludzkie z całą potęgą namiętności w różném położeniu uważanych

należycie zgłębiwszy, w dosadnym wydali kolorze. Owszem ięzyk ten zdaie się bydź błąkaiącym, niema głownego ogniska, gdy dotąd tyle iest sporów gdzie nim naylepiéy piszą i mowią.

Opuszczaiąc wiek XVII pamiętny z skażonego smaku, począwszy od Adonisów Mariniego, który równie miał fałszywe wyobrażenie o poezyi i prozie i równie był wyrocznią dla swoich rodaków iak niegdyś Seneka dla Rzymian; który każdy pomysł nadymał przenośniami, wszędzie raził iaskrawością kruszcu na listek zbitego, co wedle wyrażenia Buffona, niema ani tęgości ani żadnéy treści; który tak zapychał swoie pisma tłumem porównań, ucinkami, gradem strzał dowcipnych i skacząc nieustannie, sam ieden miał styl przynaymniéy sześciu set osób: ani tykaiąc talentu Hrabi Alfierego, co w trajedyiach swoich zaszczepił moc i zwięzłość Sofoklesa, a ięzyk włoski z czasów Leona X na ięzyk potoczny daremnie zmienić kusił się, z pewnością niemal twierdzić można, iż lubo Włochy szczycą się ięzykiem Aryosta, Machiawela i Tassa, ale im dotąd brakuie ięzyka uwieńczonego iednostayną narodowością.

Z pomiędzy tych stwórców literatury włoskiéy polubił sobie wiekopomny Kochanowski dwóch razem, Aryosta i Tassa. Przekład Orlanda szalonego czekał długo w rękopismie, mniéy iednak wygładzoném, na uczonego Jacka Przybylskiego; który pracą wyrównywa swoim talentom i przez wydanie tego dzieła niemałą uczynił przysługę światłu i sławie narodowéy. Tłumaczenie zaś Jerozolimy Wyzwolonéy wyszło zaraz 1618 roku, i było naymilszą księgą ludzi tkliwych na piękność, na sztukę, na zaymuiący układ, na bogactwa szczegółów, na rozmaitość charakterów, i na szlachetność

uczuć, alboli raczéy stało się powszednią księgą wszystkich Polaków tém bardziéy, iż iest poematem rycerskiém, pełném wzorów waleczności prowadzącéy do chwały, i zdaie się bydź kreślone na tarczy wśród łoskotu oręża. Wszakże wtedy właśnie dumny Osman zamyślał kray swobodny shańbić haraczem i ugiąć pod władzę swoich księżyców, a Polacy nawykli do zwycięstw, wychowani w obozach Batorego, chcieli się przeistoczyć w Bouillonow i Renaldów, do których naywięcéy mieli podobieństwa przez odwagę, obyczaie i samę bogoboyność.

Nieśmiertelność Chodkiewicza ustalona w ten czas obroną oyczyzny, i zapał szlachetny iaki uwieńczył laurami pod iego buławą walczące rycerstwo, rozlegaią się dotąd w Woynie Chocimskiéy Krasickiego. Naród polski zawsze dzielny, znayduiąc w własném sercu podostatek żywiołu do czynów znakomitych, kołysał iednak z radością swoiego ducha w potoku przykładów po całéy Jerozolimie Wyzwolonéy rozsianych.

To poema piękne gdy z dawnych zdarzeń złożyło nieiakie zwierciadło toczących się pod panowaniem Zygmunta III z Turcyią woien, zaostrzało wszystkich ciekawość szczęśliwém przelaniem włoskiéy słodyczy w męską polszczyznę. Niedoścignionу w geniuszu pisarz Myszeidy, który naywiększe miał prawo sądzić o poezyi, wspominaiąc o życiu i urzędach Piotra Kochanowskiego iakto widzimy w III Tomie dzieł iego, przeznaczył mu mieysce w liczbie naycelnieyszych rymotworców polskich. J. Józef Załuski Biskup kijowski krótkie lecz pamiętne o nim wyrzekł zdanie, niewahaiąc się nazwać go krolem wszystkich poetów. *Omnium Polonorum poetarum Rex jure merito vocatur.* W Niesieckim, Starowolskim, Jeniszu i w sa-

méy historyi literatury Polskiey, widzę iawną uymę należnego Kochanowskiemu szacunku; ieśli głuchego ich milczenia lub przelotnéy wzmianki o iego talencie niepoczytam za oziębłość dla poezyi. Pierwszym podobno iest Jan Sniadecki, ten orzeł w umieiętności Euklidesa, co iak drugi d'Alembert, gdy iaki przedmiot z sztuk nadobnych wyrobi, tedy pożyteczną i roskoszną sprawia ucztę dla smaku rozumu i serca: który w Tomie III pism rozmaitych zasłużoną w tych słowach tłumaczowi Tassa oddał pochwałę." Jerozolima Wyzwolona Piotra Kochanowskiego iestto taki w literaturze polskiey *fenomen*, z iakim się żaden naród Europeyski pochwalić nie może. Kto czyta to poema, rozumie że iest oryginalne polskie: tak ięzyk czysty i dzielny utrzymany w całym swoim toku i charakterze: a przecięż iest to ten sam rodzay, ta sama miara i liczba wierszy, co w Tassie; a w wielu mieyscach przekładanie nawet słowo w słowo. Język włoski ani w charakterze ani w toku i ozdobach cale do naszego niepodobny: a iednak geniusz Kochanowskiego potrafiał piękności tamtego odlać rymem, z prawdziwym tokiem i kroiem polskim, nie naruszywszy nawet miary i liczby. Jakto powinno zawstydzić i poprawić tych, którzy utyskuiąc na iakąś ułomność mowy naszéy, ośmielaią się przerabiać ten ięzyk, z którego Kochanowski ieszcze przed dwoma wiekami tyle bogactw i piękności wydobył, bez naruszenia iego wyrazów. Jerozolima Wyzwolona iest prawdziwie dziwném w ięzyku naszym stworzeniem: które cale niezależy na dziwacznem lepieniu liter i syllab. Kto tym ostatnim sposobem chce zbogacać ięzyk, iest podobny do Alchimika trwóniącego rzetelny maiątek, na szukanie uroionego bogactwa. Wytłumaczenie Xięgi IV Jerozo-

limy przez Alberta Mira, iest poezyą piękną i okazałą: ale znać, że to przekładanie; w którém rytm, słodycz i łatwość Tassa zginęły."

Ten sąd Sniadeckiego nie tylko iest piękną pochwałą ale raczéy wyrokiem sprawiedliwości, tém więcéy nas pocieszaiącéy, iż się tycze pisarza z XVI wieku. Francuzi i Niemcy niedawno się zdobyli na kilka dobrych przekładów Tassa: ale półtorasta lat minęło, a uczeni tych obu narodów tłumaczyli ciągle Jerozolimę Wyzwoloną prozą, czyli iak mówi Cerwantes o robotach tego rodzaiu, przewracali aksamit na nice. A ieśli starożytność nie upoważnia żadnym przykładem do pisania poezyi niewiązaną mową; to i dowodzić tego nietrzeba: iż Polacy uprzedzili celuiących dziś Francuzów i z wszystkiego chełpiących się teraz Germanów, udoskonaleniem rymotworstwa swoiego. Więcéy powiem: ieden Kochanowski spodobawszy się od razu całemu narodowi, nie tak tłumaczył iako raczéy przeniosł w ięzyk polski, żywe wyobrażenia, miękką słodycz, łatwe zwroty, i gwałtowne namiętności, z których Torkwato powszechnie słynie. Na prożno zaiste okazuie Monteskiusz w swoim duchu prawa ile wpływa powietrze na władze człowieka: zadaleko on sięga, gdy chce oznaczać ciepłomierzem zdolności umysłowe narodów: i mimo całéy głębokości swoiego rozumowania niemało się obłąkał, wkładaiąc skrzepłe słowa w usta mieszkańców pułnocnych. Człowiek nie iest rośliną przywiązaną do iednego pasa ziemi; a ieśli wziął w podziale geniusz, tedy pod każdém zarówno myśli niebem i wszędzie piękności wzory naśladować umie.

Dla przekonania się o téy prawdzie, nie trzeba wspominać lutni Odynów wątpliwych; ale dosyć iest wziąć kilka ustępów z oryginału Wyzwolonéy Je-

rozolimy i zastanowić się nad ich polskim przekładem. Użyimyż do tego celu trzeciéy strofy pierwszéy księgi, w któréy iest piękne porównanie wdzięków poezyi tchnącéy zbawienną nauką, z gorzkiém lékarstwem podaném dziecięciu w kubku napuszczonym miodem po brzegach:

Wiesz, że za światem wszyscy tam bieżemy
Gdzie więcéy Parnas leie swéy słodkości:
I prawdę prędéy w ludzie więc wmowiemy
Kiedy rym miękki doda iey wdzięczności.
Tak zchorzałemu dziecięciu kładziemy,
Na brzegu kubka różne łagodności:
To gorzki napóy piie oszukane
Żywot i zdrowie biorąc pożądane. *b)*

Tu widzimy, iż Kochanowski znał sztukę, która iest naymnieyszą zaletą prawdziwego talentu, gdy męskość polskiéy mowy zastosował do leiącéy się płynności wiersza włoskiego. Niemasz tu wyrazu coby nienęcił lipkością lub delikatném brzmieniem, i niemasz iednak zbytecznych łakoci, które ile w oryginale pieszczą sybaryckie Włochow uszy, tyle nad Wisłą mogłyby trącić obcą dla Polaka zniewieściałością. — Tak więc uiścił Kochanowski życzenie Horacyusza.

Nec verbum verbo curabis reddere, fidus Interpres.

De arte poetica.

---

b) Sai, che là corre il mondo, ove più versi
Di sue dolcezze il lusinghier Parnaso,
E che'l vero condito in molli versi,
I più schivi alle tando ha persuaso.
Cosi al' egro fanciul porgiamo aspersi
Di soave licor gli orli del vaso,
Succhi amari ingannato in tanto ei beve,
E dal' inganno suo vita riceve.

Pamiętną iest rzeczą, iako Boileau upatrywał w dziele Tassa zbytek upstrzenia, czyli za wiele mamiącego szychu. Voltaire w filozoficznym dykcyonarzu rozbieraiąc to podeyrzenie z właściwą sobie uszczypliwością niewaha się twierdzić, iż ono się ściąga do III strofy xięgi IV, która w oryginale iest iedna z naypięknieyszych. Obaczmyż iak ią przełożył nasz poeta narodowy.

Ogromną trąbą Lucyper zuchwały
Kupi do siebie mieszkańce podziemne:
Któréy się straszne dźwięki rozlegały,
Przechodząc piekła i przepaści ciemne.
Nigdy tak nieba ogromnie niegrzmiały,
Gdy miecą gromy na doliny ziemne.
Nie tak ziemia drzy, i trzęsie się na dnie,
Gdy wiatr chce wypaść, co się w nię zakradnie. c)

Kto do téy okrasy i wytworności włoskiéy zbliżył ięzyk polski, zaraz w epoce iego kształcenia się; ten zaiste miał wzniosłe czucie, dobrze myślał, dobrze rozumował i dobrze pisał. Lecz nie dla samego ucha pracował Kochanowski gdy tyle i umysł zaymuie. Zewnętrzna budowa wiersza iego może się zdawać oku bacznego na mechanizm rzemieślnika, który niewart imienia poety; iż nie zawsze wyrownywa wzorowi: ale natomiast prawdziwy znawca pominąwszy barwę pędzla; nigdy tego niepoymie:

---

c) *Chiama gli abitator del' ombre eterne*
Il rauco suon de la Tartarea tromba.
Treman le spaziose atre caverne,
E l'aer cieco a quel rumor rimbomba:
Nè si stridendo mai, dalle superne
Regioni del cielo il folgor piomba;
Nè si scossa giammai trema la terra
Quando i vapori in sen gravida serra.

skąd wyczerpnął dowcip, tak obfity w żywioły idealnéy i rzeczywistéy piękności, gdy żył na pograniczu właśnie złotego wieku i każącego się smaku? iakim sposobem ustrzegł się zarazy w Dworzaninie Gornickiego za powszechną wtedy uznanéy? ile miał geniuszu, gdy sam zapał żywego Tassa potrafił zmienić w swóy nałóg, a wyiarzmiwszy przezroczystą iasność polskiéy mowy z wszelkich makaronizmów, do takiéy pracę swoię posunął doskonałości; że iéy miłe wrażenia i na daleką potomność naszą działać będą.

I teraz znowu czytaliśmy świeżo dwa wyimki z Jerozolimy Wyzwolonéy umieszczone w pamiętniku Warszawskim na miesiąc Luty 1819 roku, przekładu Jozefa Lipińskiego. Chwała iaką sobie ten mąż znamienity w uczonym zawodzie ziednał, pochlebia literaturze naszéy obfitém nowych piękności żniwem. Jednakże wyznać trzeba, iż zasługa Kochanowskiego i w tym składzie rzeczy nigdy się niezmnieyszy: bo on tylko iako pierwiastkowy tłumacz (ieśli mi wolno użyć Fryderyka W. zdania) zrobił tłumaczenie prawdziwie oryginalne.

Dopóki Piotr Kochanowski nieozdobił się kwitnącym wawrzynem na Parnasie naszym, dopóty nieczytano w Polszcze epopei w oyczystéy wystawionéy mowie. On pierwszy puścił się śmiałym wielkich mistrzów lotem, i całą niemal Jerozolimę Wyzwoloną z takim geniuszem przełożył; iż iéy wdzięki poetyczne maią zawsze świeżość która się nigdy zestarzeć nie może. Do tego rodzaiu należy opis pięknéy Armidy, strofa 29 z Xięgi IV, w następuiącéy osnowie:

***

29.

„Bogini z morskich zrodzona powodzi,
Nie iest tak stroyna, nie tak urodziwa:
Warkocz ma złoty, co czasem przechodzi
Blaskiem przez rąbek, czasem się odkrywa:
Tak więc kiedy się niebo wypogodzi,
To się z obłoku po trosze dobywa.
To z niego wszystko wyszedszy możnieyszy
Słońce ma promień, i dzień śle iaśnieyszy.

30.

Włos z przyrodzenia ukędzierzawiony,
Puszczony na wiatr, w pierścienie się wiie,
Wzrok sam w swe oczy wszystek zgromadzony,
I skarb miłości i swóy własny kryie.
Twarz miała iako kiedy kto gładzony
Rumianą rożą słoniowy ząb zmyie,
Ust iako godne, nigdy nie pochwalem,
Przechodzą piękne rubiny z koralem.

31.

Śnieg biały z pierśi i z szyie wynika,
Gdzie ma swe gniazdo miłość przeraźliwa:
Mnieysza część piersi na wierzch się wymyka,
Większą część kryie szata zazdrościwa.
Ale chociaż ie przed okiem zamyka
Przechodzi rąbek i szatę, myśl chciwa.
Ta niema dosyć na zwierzchnéy piękności
Wdziera się gwałtem w taiemne skrytości.

29.

Argo non mai, non vide Cipro, o Delo,
D'abito, o di beltà, forme si care.
D'auro ha la chioma; ed or dal bianco velo
Traluce involta, or discoperta appare.
Cosi, qualor si rasserena il Cielo,
Or da candida nube il Sol traspare,
Or dala nube uscendo i raggj intorno
Più chiari spiega, e ne raddoppia il giorno.

30.

Fa nove crespe l'aura al crin disciolto,
Che natura per se rincrespa in onde;
Stassi l'avaro sguardo in se raccolto,
E i tesori d'Amore, e i suoi nasconde.
Dolce color di rose in quel bel volto
Fra l'avorio si sparge, e si confonde:
Ma nella bocca, ond' esce aura amorosa,
Sola rosseggia, e semplice la rosa.

31.

Mostra il bel petto le sue nevi ignude,
Onde il foco d'amor si nutre, e desta:
Parte appar de le mamme acerbe, e crude,
Parte altrui ne ricopre invida vesta:
Invida, ma s' agli occhi il varco chiude,
L'amoroso pensier già non arresta;
Che non ben pago di bellezza esterna,
Ne gli occulti secreti anco s' interna.

Z tych to śmiałych przenośni unoszących duszę, z tych częstych porównań trafnie użytych, z téy sforności tak dziwnie pieszczącéy ucho, poznaiemy samego Tassa i równego mu Kochanowskiego.

Jeśli zaś i surowy Dmochowski mowi w sztuce rymotworczéy że:

„Tass tak wybornie w polskie przestroiony rymy;“ przeto dzieło Piotra Kochanowskiego, mimo wad i usterków, które więcéy do wieku niż pisarza należą, szczególniéy nam posłużyć może do uprawy ięzyka; czyli do zdobycia dawnéy przodków naszych chwały, obiętey smutną do Rzymu zastósowaną, i w nieszczęściach oyczyzny naszéy niedawno ziszczoną ale boday nigdy więcéy nie cofniętą wieszczbą Jana Kochanowskiego:

Fortunnieyszy był ięzyk bo ten i dziś miły:
Tak zawzdy trwalszy owoc dowcipu niż siły.

Pisano w Krakowie
dnia 15. Kwietnia 1819 roku.

GOFFREDA

ALBO

IEROZOLIMY WYZWOLONEY.

PIEŚŃ PIERWSZA.

ARGUMENT.

Do Tortozy ſię Anyoł wypráwuie,
Goffred w tem zbiera Chrześciáńskie Pány:
Ich iednostáyna zgodá to spráwuie,
Ze iest naywyższem Hetmánem obrány.
Woysko ſię w polu pierwey popisuie,
Potem pod Syon idźie záwołány
Jerozolimski Krol ſię bárzo trwoży,
Słysząc że bliskie nádchodzą obozy.

Woynę pobożną śpiewam, y Hetmáná
Ktory święty grob Páński wyswobodźił:
O iako wiele dla Chrystusá Páná
Rozumem czynił y ręką dowodźił.
Dármo miał sobie przeciwnym szátáná,
Co nań Libią y Azyą zwodźił:
Dał mu Bog że swe ludźie rosproszone
Zwiodł pod chorągwie święte rościągnione.

PANNO, nie ty co Laury nietrwálemi
Zdobisz w zmyślonem czoło Helikonie:
Lecz mieszkasz miedzy chory niebieskiemi
Z gwiazd nieśmiertelnych w uwitey koronie.
Ty sámá władni pierśiámi moiemi,
Ty day głos pieśni; á iesli przy stronie
Prawdźie gdźie iakiey ozdoby przydawam,
Niech twey niełáski zá to nie uznawam.

* * *

Wiesz, że zá świátem wszyscy tám bieżemy
Gdźie więcey Párnás leie swey słodkośći:
Y prawdę pręcey w ludźie więc wmowiemy,
Kiedy rym miękki doda iey wdźięczności.
Ták zchorzáłemu dźiećięćiu kłádźiemy
Ná brzeg u kubká rozne łágodności,
To gorzki napoy piie oszukáne,
Zywot y zdrowie biorąc pożądáne.

* * *

Ty cny Alfonśie coś do bespiecznego
Portu w złą chwilę łodź mą nákierował:
Y tylko co iuż niepogrążonego
Sameś wydźwignął, y sameś rátował:
Nie broń tem kartom czołá wesołego,
Ktorem ći iáko ślub iáki zgotował.
Z czásem cię głośić będźie ponno ieszcze,
Co cię ledwie tknie teraz pioro wieszcze.

* * *

Słuszna iesli fię kiedy Chrześćiáństwo
Uspokoiwszy wnętrzne nienawiśći,
Wodą y lądem ruszy ná pogáństwo
Niespráwiedliwe odiąć mu korzyśći;
Aby cię sobie wźięło ná Hetmáństwo,
Ziemią, lub morzem, czegoć życzem wszyscy.
Tym czásem słuchay o náśládowniku
Goffredá, á wczás gotuy fię do szyku.

Szosty rok miiał iáko ku wschodowi
Chrześćiańskie fię woysko wypráwiło,
Nicea zdźierżeć nie mogłá szturmowi,
Antyochiiey fortelem dobyło:
Ktorą przećiwko możnemu Persowi
Wygráną w polu bitwą obroniło.
Potem Tortozę wźiąwszy mieysce dáło
Zimie, y roku nowego czekáło.

* * *

Iuż też y źimá, w ktorą odpoczywa
Miecz woyny chćiwy, prędko schodźić miáłá,
Kiedy Bog wieczny z niebá gdźie przebywa
Co iáśnieyszego (co od gwiazd bez máłá
Iest ták wysokie y podobno zbywa
Iáko fię nisko źiemiá ná doł dáłá)
Spuśćił wzrok z gory, y we mgnieniu oká,
Wszystko co świát ma, obeyźrzał z wysoka.

* * *

Obeyźrzał wszystko, y w Syryey święte
Ná Chrześćiańskie oko skłonił Pány,
Y wzrokiem ktorem myśli niepoięte
Báda, y umsł ludzki niezmacany:
Widźi Goffreda, zeby rad przeklęte
Z miástá świętego wyrzućił pogány,
To iego wszytká myśl, y to stáránie,
Nad świecką sławę, y nad Pánowanie.

* * *

Záśię w Báldwinie widźi umysł chćiwy
Szerokiey władzey, y źiemskiey wielkośći;
Widźi Tánkredá że żywot troskliwy
Wzgárdźił, dla prozney y márney miłośći.
A záś Boemund zwłoki niecierpliwy
W Antyochiey zákłáda w rádośći
Nowe krolestwo, práwá ustáwuie,
Wierze prawdźiwey kośćioły buduie.

Y ták wszytkę myśl w tem utopił swoię,
Ze inszem správom trudno iuż ma sprostáć:
Widźi w Rynáldźie chęć wielką do zbroie,
Ze złotem gárdźi, krolem nie chce zostáć.
Woyny mu fię chce, krwáwe lubi boie,
Sławy chce szukáć, sławy prágnie dostáć:
A Gwelf mu dźiełá dawne wielkich ludźi
Czyta, y chęć w nim ieszcze więtszą budźi.

* * *

A skoro wieczny Stworzyćiel do końcá
Do sercá skryte ich wnętrznośći zbádał:
Wnet Gábryelá iásnieyszego słońcá
(Co nád inszemi Anyołámi władał,
Tego zá posłá, tego miał zá gońcá,
Przezeń z duszámi pobożnemi gadał.
On ich modlitwy do niebá odnośił,
Y wolą Boską ludźiom ná świát nośił).

* * *

Przyzwał; y rzekł mu: Powiedz Goffredowi,
Czemu proznuie? czemu ták leniwy?
Niech Jeruzálem nieprzyiaćielowi
Wydrze, a to ia chcę mu bydź życzliwy.
Niech rády zwoła, niech rząd postánowi,
Niech będźie wodzem, to moy niewątpliwy
Wyrok, na źiemi będźie tákże drugi,
Bo z towárzyszow iuż będzie miał sługi.

* * *

To rzekł: á nic fię Gábryel nie báwił,
Ale posłuszny był Stworzyćielowi:
Swą niewidomą postáwę zostáwił,
A podłożył ią ludzkiemu zmysłowi.
Członki człowiecze y twarz sobie správił,
A wźiął wiek ná fię rowny młodźieńcowi;
Ktory fię z láty ztyka dźiećinnemi,
A włosy okrył promieńmi iáfnemi.

Skrzydłá wźiął białe, málowáne złotem,
Niesprácowáne y niepośćignione:
Temi nád źiemią bieży rączem lotem
Obłok y wiátry rwie nieokroczone.
Gdy ták był w drogę gotow: záraz potem
Ná doł obrocił piorá rośćiągnione
Kęs nád Libáńską gorą wytchnął sobie,
Y w iedney mierze trzymał skrzydłá obie.

* * *

Potym fię spuśćił ná doł ku Tortoźie,
Prosto iák strzałá puszczona z ćięćiwy:
Iuż też y Phebus ná złoconym woźie
Z morzá wydawał swoy promień życzliwy:
A Goffred, iáko zwykł był, w swem oboźie
Odpráwował swe modlitwy troskliwy.
Gdy rowno z słońcem iáśnieyszego słońcá,
Uyźrzał ná wschodźie niebieskiego gońcá.

* * *

Ktory mu ták rzekł: Czem się więcey báwisz?
Zimá precz poszłá, pogodá nastáie,
Czemu świętego miástá nie wybáwisz
Z ćiężkiey niewoley, czegoć niedostáie?
Czemu ná leże záraz nie wypráwisz,
Y woysk nie zwiedźiesz w kupę? Bog wydáie
Wyrok, że masz bydź wodzem, y Hetmánem,
A wszyscy rádźi przyznáią ćię Pánem.

* * *

Bog ći swą przez mię wolą opowiáda,
O iakoś pilne winien mieć stáránie,
Abyś urząd ten, ktory ná ćię wkłáda
Dobrze správował, á miał w niem ufánie.
To rzekszy Anyoł, dáley nie odkłáda
Swey drogi názad w niebo: á w Hetmanie
Zniknąwszy w sercu wielki zostáwuie
Strách, zmartwiał wszytek, y ledwie fię czuie.

Lecz skoro k sobie przyszedł, á rozbieráć
Począł poselstwo, y kto ie spráwował:
Záraz iść w pole, y lud myśli zbieráć,
Aby do końcá pogáństwo zwoiował
Nie żeby prze to, że go Bog obieráć
Chce przed inszemi, tem fię popisował:
Lecz że wie wolą Bożą wyrážoną,
Wszystkę swoię myśl ma w niey utopioną.

* * *

Zacne paniętá swoie towárzysze
Zwoływa, ktorzy po leżách mieszkáli:
Gęste śle posły, listy częste pisze,
Prosi y rádźi, áby fię zieżdżali;
Szláchetne sercá znienagłá kołysze,
Wszytko przekłáda, czymby fię wzbudzáli,
A tákie słowá wynáyduie ná nie,
Ze ich przymusza chętnych ná swe zdánie.

* * *

Co przednieyszy fię wodzowie ziecháli,
Lecz Boemundá sámego nie było:
Jedni w namiećiech y w polu zostáli
Wiele ich w mieśćie Tortoźie stánęło.
Potem w dźień święty w rádę się zwołáli,
(A czoło to tám pierwszych Pánow było)
Tám Goffred y w twarz poważny y w mowę,
Tákową do nich uczynił przemowę.

* * *

Zacni Rycerze od Bogá obráni,
Abyśćie wiárę świętą rozmnożyli;
Ktorzyśćie łáską iego wárowáni,
Ták wiele źiemie y morzá przebyli.
Nieprzyiaćiele mieczem zwoiowáni
Zá czás ták krotki kárki nam skłonili.
Iuż skroconemi miedzy narodámi
Gramy bespiecznie swemi chorągwiámi.

Nie dla tegosmy miłey odbieżeli
Oyczyzny, y swe domy opuszczáli,
Morzuśmy zdrowia swego wierzyć śmieli,
Ná ták daleką woynęsmy iecháli:!
Abysmy ten głos tylko lichy mieli,
Zesmy pogáńską źiemię zwoiowáli.
Bobysmy słábey dostáli nagrody
Zá krew przelaną, zá ták wielkie szkody.

* * *

To nász cel pierwszy, to było stáránie,
Abysmy murow Syońskich dobyli:
Ciężką niewolą ktorą Chrześćiánie
Cierpią, precz znieśli, potem założyli
Tu w Pálestynie nowe pánowánie,
Y w niey prawdźiwą wiárę rozmnożyli.
Ták żeby pielgrzym iuż bespięcznie Bogu
Slub swoy mogł oddać u świętego progu.

* * *

Do tąd fię wiele trudow ućierpiało,
Ale ná sławie małosmy wskuráli;
Y przedsięwźięćiu nie dośćby fię sstáło,
Gdźiebysmy indźiey śiły obracáli;
Ná co fię woysko ták wielkie zebráło?
Ná cosmy mieczem Azyą zmięszáli?
Jesli krolestwá tylko będźiem psować,
A ná to mieysce inszych nie budować.

* * *

Ná słábem grunćie pewnie ten buduie
Wielkie krolestwá, y godźien przygány:
Co iedney wiáry węzłem nie zwięzuie
Nieżyczliwemi swych między pogany
Dármo posilków Greckich upatruie,
Dármo fię spuszcza ná zachodnie Pány.
Prawdá że państwá y krolestwá wáli,
Ale fię y sam nákoniec obáli.

Antyochia, kráie zwoiowáne
Tureckie, Perskie, wątpić nie potrzebá:
Wielkie są rzeczy, ále niedostáne
Przez násze śiły: Bo ie mamy z niebá,
A teraz iesli będą obracáne
Indźiey, niż Bog chce, obawiáć fię trzebá,
Ze náostátek poydą w pośmiewisko
Wszytkim narodom, czego bárzo blisko.

* * *

Dla Bogá lepiey ważmy iego dáry,
A iákosmy tę pracą roszcząć śmieli:
Ták o to niechay nie mamy przywáry,
Zebysmy iey záś dorobić niechćieli.
Czásy pogodne, rok ustąpił stáry,
Gośćiniec wolny wszędźie bedźiem mieli,
Niech Jeruzálem záraz dobywamy,
To cel nász w ktory wszyscy mierzyć mamy.

* * *

Ja fię oświádczam, á będźie to wiedźieć
Wiek teráznieyszy, y ten co nástánie;
Y będą o tem umieli powiedźieć
Po wszytkiem práwie świećie Chrześćiánie:
Ze wczáś przestrzegam, że nie trzebá śiedźieć
Dłużey ná mieyscu, że prętko pogánie
Dádzą z Aegiptu pomoc Pálestynie,
Jesli nam pierwsza pogodá upłynie.

* * *

Skoro ták skończył, szemránie powstáło:
Wtym Piotr Pustelnik co tę woynę rádźił,
A w ten czás w rádźie prywatny był: máło
Co pomyśliwszy, táką rzecz prowádźił:
To wszytko co fię Goffredowi zdáło,
To co wywodźił y ná czem fię sádźił,
Y ia pochwalam: ná przestrogę tylko
Tego dołożę, y słow rzekę kilko.

Kiedy sam w sobie myślę y ráchuię,
Zkąd spolne waśni rostą między wámi,
Y kiedy pilnem okiem upátruię,
Skąd to, że zsobą roznićie fię sámi:
Przyczynę własną tego bydź náyduię,
Ze wszyscy chcećie bydź rowiennikámi.
Y wszyscy rządźić iednákowo chcećie,
A wzáiem sobie nie ustępuiećie.

* * *

Gdźie wszyscy władną, gdźie ieden nie rządźi,
Ktory ma w mocy kaźni y nagrody:
Tám rządu nie masz, tám káżdy pobłądźi,
Tám rozerwánie y nástąpią szkody.
Niech ieden władnie, niech was ieden sądźi,
Ták stáną waśni, y spolne niezgody.
A wy mu złote sceptrum w rękę dayćie,
Y zá páná go y wodzá przyznáyćie.

* * *

Tu przestał stárzec, á wnet nieużyte
Sercá Duch S. rozgrzał swym płomieniem:
Iuż pustelnicze słowá w sercu wryte
Niosą przednieyszy zá iego natchnieniem
Myśli, czći, y mieysc wysokich nie syte
Ustępuią w nich, z wielkiem podźiwieniem.
Ták że Gwelf, Gwilelm pierwszymi fię sstáli
Co Gotyfredá zá Páná witáli.

* * *

A wszyscy inszy záś poszli zá temi,
Dáli mu władzą, áby roskázował:
Aby narody miásty dobytemi,
Woyną, pokoiem, iako chce száfował,
A co dopiero rowno chodźił z niemi,
Posłuszeństwo mu káżdy obiecował.
O czem zárázem prętkie wieśći poszły,
Y między ludźie ná świát głosy niosły.

On się żołnierzom swoiem ukázuie,
Ktorzy go sądzą mieyscá tego godnem
Ktore mu dáli, y od nich prziymuie
Zyczliwe krzyki, weyźrzeniem łágodnem.
Wszytkich przyiemną mową odpráwuie,
Co mu winszuią szcześćia głosem zgodnem.
Ná dźień iutrzeyszy potem wszytkiem kazał,
Aby się żołnierz pisał, y ukazał.

* * *

Jáśnieysze w on czás nád zwyczay rumiány
Słońce dźień miáło, kiedy z promieniámi
Nowego świátłá, rowno lud wybrány
Pod rozwitemi wyszedł chorągwiámi.
Káżdy iáko mogł nastroyniey ubrány
Ukázował się tám gdźie nád łąkámi
Stał w mieyscu Hetman; przed ktorem ochotne
Miiáły roty iezne y piechotne.

* * *

Myśli łákomych lat nieprzyiaćiolki,
Wierne wszytkich spraw stroże y száfárki,
Zdarzćie, ábych mogł rotmistrze y połki
Wszystkie przypomnieć, od was te podárki:
Niech z nieśmiertelną sławą máią społki,
Niech im nie szkodzą zazdrośćiwe Párki.
Ozdobćie ięzyk moy z skárbu wászego
Tem, coby trwáło do wieku poznego.

* * *

Fráncuzowie się wprzod okázowáli,
Ugon krolewski brát był wodz nád niemi:
Ktorych ná wyspie rotmistrze zbieráli,
Miedzy czteremá rzekámi możnemi.
Skoro szczedł Ugon, stárszego obráli
Klatáreusá, głosámi zgodnemi,
Ktoremu tylko ná tem sámem schodźi,
Krolestwá nie ma, choć się ná nie godźi.

Tyśiąc ich było, wszyscy kiryśnicy.
Zá niemi hufce prowádźili swoie
W tákieyże liczbie mężni Normándczycy
Ktorzy iednákie z Fráncuzámi zbroie,
Jednákię (iák to bywa przy gránicy)
Mieli ćwiczenie, y iednákie stroie.
Robert ie ich Pán przyrodzony wiedźie,
Zá niemi Gwilelm y Ademár iedźie.

* * *

Do Duchowieństwá mieli się zárázem
Ci z młodu, potem Biskupy zostáli:
A teraz twárdem okryći żelázem
Ná świętą woynę miecze przypasáli
Gwilelm z Uránges wywiodł pięć set rázem,
Ow tákże pięć set z Podźdźiu, á ták trwáli
Y ták ćwiczeni byli Gwilelmowi
Ná woynách, iáko y Ademárowi.

* * *

Báldowin zátem wielką część zástąpił
Polá z swoiemi Bonończyki po niem,
Brátni to był pułk, co mu go ustąpił
Bywszy Hetmánem; zá niem dźielnem koniem
Obracáiąc Grof z Kárnutu nástąpił,
Chłop to był czysty, ták trzymano o niem,
Cztery stá ieznych ten pod swoią spráwą,
Dwanaśćie set miał Báldwin pod bułáwą.

* * *

Zá niemi iedźie w zupełney zbroicy
Gwelf od fortuny bogáćie nádány:
Ten po Látynie oycu sobie liczy
Krewne Esteńskie stárożytne pány.
German brát iego co z nim społdźiedźiczy
W dom Gwelfonow wstąpił záwołány,
Trzyma Horwáty, y to co Retowie
Y dawni mieli przy Rhenie Szwabowie.

Ten do dźiedźictwá swoiego z máćierze
Názdobywał Państw y miast możnych wiele,
Z ktorych wiodł lud co ku swem pánom w wierze
Nieporownány, ná śmierć idźie śmiele.
Jeden drugiego ná ucztę rad bierze,
A źimie łożá w ćiepłych izbách śćiele.
Pięć ich tyśięcy spełná z domu wyszło,
A z Perskiey woyny ledwie tyśiąc przyszło.

* * *

Zá temi szedł lud biały y żołtáwy,
Co z Fráncuzámi y Niemcy grániczy;
Nád morzem mieszka tám gdźie gęste stáwy,
Y Rhen, y Mozá, czynią w okoliczy.
A ná Ocean groblę y zastáwy
Sypie, ktoremi trzyma go w gránicy,
Ktory się gwałtem y przez támy wdźiera,
A wśi, y miástá, y páństwá pożera.

* * *

Tyśiąc był spełná tych Niderlánczyków,
Rupertá mieli nád sobą stárszego;
Ale záś więcey iuż było Anglikow,
Guilmá, młodszego synà krolewskiego.
Ktory wiodł przytem śiłá Irlándczykow,
Y lud co blizszy Tryoná źimnego,
Narod kosmáty, wychowány w leśie,
A káżdy sáydak y łuk ćięgły nieśie.

* * *

Zá temi idźie Tánkred, co dźielnośćią
Oprocz Rynáldá sámego, przodkuie:
Sercem, urodą, dworstwem, y ludzkośćią,
We wszytkiem woysku nikt go nie celuie.
Ale ták wielkiem przymiotom miłośćią
Siłá ozdoby, y chwały uymuie.
Miłością w boiu nagle urodzoną,
Troskliwą, śilną, y niewymowioną.

Ták słychác: W ten czás kiedy bitwę nászy
Z Persem wygráli; ktory porażony
Rozsypką w gory uchodźił y w lásy.
Poszedł wćiąż zá niem Tánkred zágoniony.
A iż gorące zbytnie były czásy,
Po pracey oney srodze uprágniony
W polu przy piękney łące dla ochłody
Z śiádł z koniá, kędy był zdroy źimney wody.

* * *

Tám niespodźianie mu fię ukázáłá,
Dźiewicá wszytká zbroyna okrom głowy,
Pogánká byłá, y wody szukáłá,
Także z prágnienia, w on znoy południowy.
Twarz gładką, oczy dźiwnie pięknę miáłá,
Záraz Tankredá uiął ogien nowy.
Iáki cud? Miłość co fię ledwie zrodźi,
Iuż w lykách wielkie bohátyry wodźi.

* * *

Widżąc go, szyszak ná głowę włożyłá,
Y koniecznie fię z niem kosztować chćiáłá:
Lecz że zá sobą drugich obaczyłá,
Nic fię nie báwiąc tył názad podáłá.
Ale twarz, ktorey z hełmu uchyliłá,
Ták w Tánkredowem sercu wykowáłá:
Ze nic nie myśli, nigdy tylko o niey,
Ták schnie nieborak, y ták teskni po niey.

* * *

Iego żołnierze ták fię domyśláli,
Widząc iego żał, y srogie tesknice:
Y między sobą wgłos o tem gadáli,
Ze to dla iakiey ćierpiał miłośnice.
Ośm set miał konnych, ktorzy go słuchali,
Wszystkich od piękney Kámpáńskiey gránice.
Z kráiu ná świećie co naobfitszego,
Tuż nie dáleko morza Tyrrheńskiego.

Po Tánkredowych ludźiách ſię pisáło
Przed Gotyfredem dwieśćie mężnych Grekow:
Ci zbroie żadney nie kłádą ná ćiáło,
Luk przez ſię, száble wieszáią u lękow,
Ich prácowite konie iedzą máło,
A rohátyny z twárdych noszą sękow.
Zá przednieysze ich naiezniki máią,
Naywięcey biią, kiedy ućiekaią.

* * *

Látyná stárszem tá ich rotá miáłá,
Co z Greckich kráiow sam był ná tey woynie:
Azás tey woyny ták blisko nie miáłá,
O źiemi Grecka? á przedśię spokoynie
Siedząc (o hánbo) tylkoś wyglądáłá
Końcá wielkich dźieł, źle y nieprzystoynie.
Przeto nie skarz ſię y niech ćię nie boli,
Dobrze ták ná ćię, żeś teráz w niewoli.

* * *

Ostátni po tey roćie ſię pisali
Lecz w urodzeniu pierwszy, y w zacnośći:
Co ná swą szkodę y szczęśćie iecháli
Pierwszy y w męstwie, pierwszy y w dźielnośći.
O Argonautách błędnych nábáiáli
Siłá Grekowie, lecz bez wątpliwośći
Nigdy nie mogą iść zárowno z temi,
Zgadnićiesz ktory stárszem iest nád niemi?

* * *

Cny Dudon z Konse, ten ich hufiec wodźił,
A iż rozsądek trudny w tem baczyli;
Ktory zacnośćią, y męstwem wprzod chodził,
Zgodnie mu władzą nád sobą zlećili,
Zwłaszczá że inszych, y láty przechodźił,
Y więcey czynił niż inszy czynili.
Ná roznych woynách, ná ktorych ſię schował,
Y ran uczćiwych blizny ukázował.

Miedzy pierwszemi położyć też prziydźie
Eustacyusá Hetmáńskiego brátá,
Po nim Gernándá, ktorego rod idźie
Z Norweyskich Krolow od dawnego látá.
Rugierá mi też pewnie ſię nie zeydźie
Kłáść ná ostátku, tákże Engerlátá:
Gentoni Rámbáld niechay idą zá tem,
A po Rámbaldźie Gierard z swoim brátem.

* * *

Wielką ma sławę Ubáld ná wsze strony,
Y Rosmund ktory w Linkástrze dźiedźiczy:
Pálámed, Sforcá, y trzeći rodzony
Achilles tákże, wszyscy Lombárdczycy.
Obidzy po tych w boiu doświádczony,
Więc mężny Otton zárázem ſię liczy,
Ktory ma zá herb wężá, á on w gębie
Ma dźiećię nágie, y trzyma ie w zębie.

* * *

Gwászek y Rydolf są też pewnie wźięći,
Y z Gernierem obá Gwidonowie:
Y Eberárdá będą mieć w pámięći
Potomne wieki, y pozni wnukowie.
Piękna Gildyppo z Odoárdem spięći
Nierozerwánem zwiąskiem małżonkowie,
Y wy ná wieki pewnie ſię wsławićie,
Bo y po śmierći ſię nie rozdźielićie.

* * *

Pátrzćie co umie miłość przeráźliwa,
Oná iey władáć bronią ukazáłá:
W nasrozszey bitwie záwsze nielękliwa
Mężá miłego nie odstępowáłá.
A ieſli kiedy (iáko to więc bywa)
Ráná lub iego, lub onę potkáłá:
Oboie ćierpią, y oboie mdleie,
Jeſli iedno z nich ránne, y krew leie.

Ale nie tylko te com ich miánował,
Lecz y tych wszystkich ktorzy fię pisáli:
Młodźieńczyk Rynáld urodą celował,
Ták mu to wszyscy zgodnie przyznawáli.
Y pierwey owoc, niż kwiát ukázował,
A wszyscy mu fię bárzo dźiwowáli,
Mars własny z niego, kiedy zbroyny biie,
Kupido, kiedy piękną twarz odkryie.

* * *

Piękna Zophia z Bertoldem go miáłá,
A pierwey ieszcze niżli go odięto
Mámce od pierśi, co go piástowáłá,
Do Mátyldy go ná chowánie wźięto:
Tá mu Krolewskie wychowánie dáłá,
Y mieszkał przy niey do tąd, áż poczęto
W ogromny bęben bić ná wschodźie słońcá,
Ten w niem chętną myśl przeráźił do końcá.

* * *

Jeszcze w piętnastem spełná nie był lećie,
Gdyućiekł z domu, y szedł do przewozu
Morz' Egeyskiego: y błądźił po świećie,
Aż náostátek tráfił do obozu.
Czemu go zacni nie nászláduiećie
Wnukowie? niechćiał długo w miękkiem łożu
Gnuśnieć, y nie miał nic ná gębie práwie,
A iuż trzeći rok ná rycerskiey spráwie.

* * *

A kiedy fię iuż iezdá popisáłá,
Ráymund z Tolozy nástępował, ktory
Tám gdźie Garoná w Oceán wpadáłá,
Zbierał piechotę z Pireneyskiey gory.
Cztery tyśiące było ich bez máłá,
Ná niepogody twárde noszą skory.
Názchwał są duży y zbyt prácowići,
Wszyscy świetnemi zbroiámi okryci.

Pięć záś tysięcy było Stephánowych
Ktorzy fię w Bleśśie y w Turźie zbieráli:
A choćia wszyscy w zbroiách beli nowych,
Ná niewczás nie są, y ná pracą trwáli
Doświádczona to, że w roskosznych owych
Kraiách, ludźie też roskoszni bywáli.
Iużći fię oni naprzod potkáć śmieią,
Ale coż potem? prętko osłábieią.

* * *

Alkástus zátem w ogromney postáwie
Znienagłá sobie z swemi Szwáycárámi,
Ktorych miáł pod sześć tyśięcy, szedł w spráwie,
Co śiedząc miedzy krzywemi Alpámi.
Skuli ku lepszey y godnieyszey spráwie
Ná ostre miecze pługi z lemięzami.
Ták że co przedtem Pastuchowie beli
Iuż fię z wielkiemi Krolmi śćieráć ięli.

* * *

Pod śiedm tyśięcy wyborney piechoty
Zá Szwaycárámi poszło práwą stroną:
Proporzec miáłá wszystek szczerozłoty,
W niem złote klucze z Papieską koroną.
Kamillus ich wodz wielki z swoiey cnoty,
Y z dawnych dźiádow: dźielność zapomnioną
Myśli odnowić we Włoskiem narodźie,
A chćiwość sławy niezmierna go bodźie.

* * *

A skoro beło po okázowániu,
Y wszyscy fię iuż byli odpráwili:
Hetman o dálszem woyny dokonániu
Z stárszemi rádźi, ktorzy przy niem byli.
Y roskázuie, áby ná świtániu
W drogę fię záraz z obozu ruszyli,
A pod Syońskie miásto w ten czás przyszli,
Gdy nieprzyiaćieł namniey o nich myśli.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA w Białymstoku

Więc żeby byli do bitwy gotowi,
Zeby zwyćięstwá pewnego czekáli,
Y połkownicy, y stárszy woyskowi
Zá temi iego słowy serce bráli.
Y niećierpliwi, nierychłemu dniowi
Láiąc, ránego świtu wyglądáli:
Lecz opátrznego Hetmáná troskliwa
Myśl trapi, choć to ná twarzy pokrywa.

* * *

Bowiem szpiegowie ktorych wszędźie chował,
Z roznych mieysc wszyscy iednoż mu pisali:
Ze Krol Egipski woyská wypráwował,
Y iuż fię ludźie ku Gáźie ruszáli.
Ták sobie myślił, ták sobie ráchował,
Ze mąż woienny (iáko powiádáli)
W te czásy pewnie nie miał dármo leżeć,
Wtym záraz kazał po Henryká bieżeć.

* * *

Temu roskazał, aby fię nie báwił,
Wśiadł w lekki okręt y nieobćiążony:
A co naprędcey áby się przeprawił
Przez morze, y szedł záraz w Greckie strony,
Iużem fię (práwi) o tem dobrze spráwił,
Ze towárzyszem chce nam bydz liczony
Krolewic Szwedzki, iże do nas iedźie,
Y wielki orszak ludźi z sobą wiedźie.

* * *

A iż mię nie raz Grecki Cesarz zdrádźił,
Y teraz mi fię obawiáć przychodźi:
Aby mu drogi do nas nie rozrádźił,
(Iáko on záwsze ná złe násze godźi)
Przeto ćię tám ślę, ábyś mu fię rádźił
Spieszyć co prędcey, widźi że záś schodźi,
Bo gdźieby z pierwszey spuścił co ochoty,
Pewnieby wielkiey nie uszedł sromoty.

Nie wrácay fię z niem, ale záś poiedźiesz
Wćiąż do Cesárzá zárázem Greckiego:
Aza go iáko do tego przywiedźiesz,
Aby pośiłku nam obiecánego
Nie zwłoczył dáley: á niźli wyiedźiesz,
Nie zápominay listu wierzącego.
Wtym Henryk żegnał, á Goffred kłopoty
Złożył ná chwilę, y spał pod namioty.

* * *

Názáiutrz kiedy pochodnie záżegał,
Y świátło Phebus miotał z swego wozu:
Dźwięk trąb krzykliwych ktory fię rozlegał,
Y głośnych bębnow, poszedł do obozu.
Nie ták rad grzmieniu, skąd nadźieią śięgał
Dżdżá nędzny oracz zgorzáłemu zbożu:
Iáko ći byli rádźi, y weseli,
Kiedy woienne muzyki słyszeli.

* * *

Wszyscy tem więtszą chęćią pobudzeni
Iáko naprędzey fię po ubieráli:
Y do rotmistrzow swoich zgromádzeni,
Zbroyno przed niem fię ukázowáli,
Potym w piękny szyk od wodzow spráwieni,
Proporce piękne ná wiátr rozwiiáli,
Wielką Hetmáńską chorągiew wnet potem
Rozwito, krzyżem przetykáną złotem.

* * *

Wtem słońce wyzszey co raz postępuiąc
Promienie ná świát rościągało swoie:
Y oczy bláskiem uráźliwym psuiąc,
Płomień od świetney wyćiągáło zbroie,
A ogniem iásnym powietrze farbuiąc
Swietnieysze fię być zdáło tyle troie.
Chrzęst łśniących fię zbroy, krzyk wesołych koni
Ogłusza polá, y wiátr lekki goni.

Ostrożny Hetman nigdy nie proznował
Chcąc znieść zasadki, y rozne zawády:
Co lżeysze ludźie iezne wypráwował
Przed woyskiem, w polá przestrone ná wzwiády.
Iuż też lud pieszy beł po napráwował
Drogi, co woyská zwykły trudnić rády,
Y gdźie ku miástu wiodł gośćiniec prosty,
Doły porownał, y porobił mosty.

* * *

Nie hámuią ich wkoło opasane
Miástá, mocnemi ze wszystkich stron mury:
Rzeki y woyská Pogáńskie zebráne,
Y iesli się lás gęsty tráfi ktory,
Rownie ták Wisłá, gdy niehámowáne
Wody rospuśći od gory do gory,
Wszystko to co iey kolwiek zastępuie
Rwie wielkiem gwałtem, y wáli, y psuie.

* * *

Sam Krol Trypolski ktory lud zebrány,
Y skárby w mieśćiech obronnych záwierał;
Mogłby był ponno wstrąćić Chrześćiány,
Ale ich draźnić zgołá nie náćierał.
Y owszem dáry pierwsze uiął Pány,
A dobrowolnie miástá swe otwierał.
Y przyiął pokoy, y spiski podáne,
Iákie mu były od naszych posłáne.

* * *

Ci Chrześćiánie, co w gorách mieszkáli,
Blisko od miástá záraz ná doł zeszli:
Swoie dostátki hoynie rozdawáli,
Y rozną żywność do obozu nieśli.
Niewidánem fię stroiom dźiwowáli
Dźieći, niewiásty, młodź, y ludźie zeszli,
Od ktorych Hetman wźiął wodze świádome,
Y drog, y kráiow támtecznych wiádome.

To bowiem záwżdy Goffret upátrował,
Y tá w niem wola nieodmienna trwáłá:
Aby przy morzu záwżdy postępował,
Ná ktorem można Armatá pływáłá.
Ták swych żywnośćią snádnie opátrował,
Ktorey mu oná hoynie dodawałá.
Owsy, ięczmiony, y chleby z Grecyey,
A winá z Chio wiozłá y z Cándyey.

* * *

Pod okrętami wielkiemi stękáią
Wody, á morze nád zwyczáy się pieni:
Ná miedzyźiemnem morzu iuż nie máią
Bespiecznych pławow więcey Sáráceni.
Bo okrom tych co Ligurowie dáią,
Y Wenetowie w tem dźiele ćwiczeni:
Insze Sycylczyk, insze Fráncuzowie,
Insze śle Anglik, insze Olándrowie.

* * *

Ci wszyscy spięći serćami zgodnemi,
Jednostáyną fię wolą powiązáli:
Zywnośćią dla woysk, ktore szły po źiemi,
Y rynsztunkámi nawy ładowáli.
A wiedząc że iuż tám ći beli w źiemi,
Ydo Soliny iuż się przybliżáli:
Niechcąc omieszkáć, y oni też nagle
Do Pálestyny obroćili żagle.

* * *

Ale tá ktora płonne y prawdźiwe
Wieśći roznośi, wszytkich uprzedzáłá:
Tá że iuż idą woyská ukwápliwe,
Y że iuż blisko beły powiádáłá.
Połki, Rotmistrze, wodze nielękliwe,
Y co mężnieysze wszystkie miánowáłá
Ich dźielność, y ich zwyćięstwá sławiłá,
A swoią twarzą strászliwą groźiłá.

A choćia ieszcze nie ták blisko máią
Nieprzyiaćielá, sámo rozbieránie
Przyszłych plag, ktore z woyną przychadzáią,
Strách, y niezmierne czyni w nich lękánie.
Myśli, y uszy wszyscy nádstáwiáią:
Ná ladá wieśći, y ćiche szemránie
Wszędźie powstáie, sam Krol potrwożony,
Błędną obraca myśl na rozne strony.

* * *

Aládyn fię zwał co wten czás pánował,
Tyran okrutny, y wielkiey srogośći:
Ale wiek zeszły trochę go hámował,
Ze z pierwszey nieco spuśćił okrutności.
Ten wiedząc że iuż Goffred nástępował,
Iże pod miásto szedł bez wątpliwośći,
Dawny strách z nowem podeyźrzeniem dwoi,
Y nieprzyiaćioł y swoich fię boi.

* * *

Rozną miał wiárę w mieśćie: Bo obrzędy
Mnieysza y słábszá miáłá Chrystusowe:
Ale więtsza część záchowáłá błędy,
Y Bogu zmierzłe sny Máchometowe.
Zostawszy krolem po wszem páństwie wszędy
Dań, y pobory ustáwował nowe:
Ale z nich swoie wyzwolił pogány,
A na biednie ie włożył Chrześćiány.

* * *

Tá myśl okrutność iego przyrodzoną,
Ktora iuż bełá oźiębłá za láty,
Teraz ożywia: y nienásyconą
Krwie chćiwość wznawia: ták wąż kiedy száty
Pierwsze, y skorę złoży pochodzoną,
Srożeie bárźiey, tak y lew kudłáty
Chowány w domu, kiedy go uderzy,
Do przyrodzoney swey srogośći mierzy.

Widzę (pry) w tem złem niewiernem narodźie
Niezwykłą rádość, y takich iest wiele,
Co w spolnem płáczu, y w spolney przygodźie
Smiech sobie czynią, y nowe wesele.
A ku nászemu zginieniu y szkodźie
Wszyscy podobno sprzyśięgli fię śmiele,
Myśląc áby mię żywotá zbáwili,
A Chrześćiánom bramy otworzyli.

* * *

Ale ia fortel ná nieprzyiaćioły,
Y ná zamysły naydę niecnotliwe,
Wszystkich co ich iest puszczę ná miecz goły
Pospołu z dźiećmi, bo y te są krzywe:
Spalę ich domy, spalę y kośćioły,
Do szczętu plemię wytrácę złośliwe.
U ich sławnego grobu, pełne máry
Pobitey Kśiężey, dam miásto ofiáry.

* * *

Ná to się iuż był srogi Tyran puścił,
Ale nie przywiodł do skutku swey złośći:
A że niewinnem okrutnik przepuśćił,
Szło to z boiáźni, nie z iákiey litośći.
Bo fię bał, áby sobie nie upuśćił
Drogi do zgody, dla tey okrutności.
A iáko pokoy miał záwrzeć z nászemi
Uczyniwszy mord ten nád niewinnemi?

* * *

Przeto z tey miáry w sobie uhámował
Tyráński zamysł: ále z drugiey strony
Jeszcze okrutniey sobie postępował,
Niemiłośiernem gniewem zaiuszony.
Wśi wkoło palił, żywność wszelką psował,
Pyszne páłace nie miáły ochrony,
W studnie y w źrzodłá y w rzeki przeyźrzyste
Mięszał trućizny y iády nieczyste.

Koniec piesni pierwszey.

PIESN WTORA.

ARGUMENT.

Izmen czáruie, ále nádáremnie,
Krol chce wytráćić wszystkie Chrześćiány,
Tám Zoffronia y Olind wzáiemnie
Chcą umrzeć, áby Krol był ubłagány:
Kloryndá szczęśćiem przybywszy foremnie,
Wolne ie czyni: Argánt zágniewány
Iż Goffred ná to co Alet powiáda
Niedba, woyną mu srogą odpowiádá.

Gdy fię tákiemi Krol mocnił sposoby,
Izmen do niego przyszedł dniá iednego:
Izmen co źimne trwoży często groby
Y kiedy zechce wzbudza umárłego.
Izmen, ktorego rymow y osoby
Boią fię Páństwá Plutá podźiemnego.
On czárty wiąże, on ie rozwięzuie,
On iem iáko Pan sługom roskázuie.

* * *

Beł przedtem zrázu Chrystusowey wiáry,
Ale záś potem został poturczony:
Y do swey sprosney y brzydkiey ofiáry,
Mięsza pospołu obádwá zakony.
A teraz z iáskiń, w ktorych zdraycá stáry
Odpráwował swe zwykłe zabobony,
Szedł w spolney trwodze do Pána swoiego,
Y niosł złą rádę do Tyránná złego.

Iuż (práwi) Krolu nieomylnie wiemy,
Ze ná nas woyská możne nástępuią:
Ale my czyńmy co czynić możemy,
Mężnem fortunę niebá obiecuią.
W tobie ostrożność y czułość widźiemy,
Iákiey woienne czásy potrzebuią,
Stánieli ták w swey każdy powinnośći,
Grob sobie správi u nas ten lud gośći.

* * *

Cokolwiek rády ma w sobie wiek stáry,
Co iedno umiem, y co iedno mogę:
Co czárnokśięstwo, co umieią czáry,
Temći rad wszytkiem, o Krolu, pomogę.
Moią náuką piekielne mászkáry
Wdam w tę robotę, wyprávię w tę drogę:
Ale skądby fię to rospocząć miáło,
Powiem ći krotko, á ty słuchay mało.

* * *

Jest w Chrześćiáńskiem kośćiele zákryty
Ołtarz pod źiemią, gdźie kśiądz ustáwiony,
Mátki ich Bogá obraz chowa ryty,
W iedwabny ćienki rąbek uwiniony:
Przed niem kágániec wiśi złotem lity,
Ktory ná wszystkie światło miece strony;
Wokoło rzędem ślubow náwieszali,
Ktore nabożni Pielgrzymowie dáli.

* * *

Ten obraz ktory chowáią ták skryćie
Z niepobożnego gwałtem weś kośćioła:
Y własną ręką postaw w twey Meszkićie,
A ia ták správię czárnokśięskie kołá,
Ze poki u nas będźie to zawićie,
Nie pożyie ćię nieprzyiaćiel zgołá.
Y owszem wiecznie przez tę táiemnicę
Utwierdźisz swoię Krolewską stolicę.

Posłuchał Tyran niepobożney rády,
Y do kościołá pobiegł ukwápliwy:
Záraz uczynek wykonał szkárády,
Wydarł kápłanom obraz świętobliwy.
Y wniosł go do swey bożnice z porády
Izmená, ktory zwłoki niećierpliwy
Támże zárázem nád niem z czárnokśięstwá
Niezrozumiáne záczynał bluźnierstwá.

* * *

Ale kiedy świt rány nástępował
Niewiedźieć iáko zginął obraz święty:
O czem ten co go zá swem kluczem chował,
Krolowi dał znáć, ktory gniewem zięty
Pomstę y męki okrutne gotował.
Ták tusząc, że był od Chrześćian wźięty,
Iże go oni z Meszkity wykrádli,
Zá co pod ogień y pod miecz podpádli.

* * *

Albo to ręká ludzka wykonáłá,
Albo to Bozka wszechmocność správiłá:
Ze świętey Pánny obrázu niechćiała
Mieć na tem mieyscu ktorym się brzydźiłá,
Bo y teraz w tem wątpliwość zostáłá,
Boskali správá, ludzkali to bełá.
Lecz dobrze iż w tem pewności nie máią,
Ze to nabożnie ná Bogá skłádáią.

* * *

Z wielką pilnośćią żátem Krol roskázał,
Aby co ich iest kośćioły trzęśiono:
Ktoby złodźieiá, lub obraz ukazał,
Kaźni, y wielkie nagrody kłádźiono.
Sam Czárnokśiężnik ná swe wrożki kazał,
Ale nic zgołá náleść niemożono.
Niechćiał koniecznie Bog tego obiáwić,
Y iego czáry nie mogły nic správić.

A kiedy iuż ták miedzy Chrześćiány
Nie náleźiono choć szukano wszędy:
Dobrze się nie wśćiekł Tyran rozgniewány,
Chce się mśćić srodze, zrzuca wszystkie względy.
Niech będźie co chce, záraz lud wybrány
Roskazał trácić przez swoie urzędy.
Kiedy miecz (práwi) żadnego nie minie,
Y niewiádomy złodźiey pewnie zginie.

* * *

By tylko winny wźiął swoie karánie
Niechay się żaden niewinny nie żywi:
Ale co mowię? wszyscy Chrześćiánie
Winni, y wszyscy iednákowo krzywi.
A choć tę kradźież źle wkłádáią ná nie,
Zá to niech giną że nam nieżyczliwi,
Przeto y ogniem y ostrem żelazem
Do szczętu wszystkich niech wygłádzą rázem.

* * *

Te iádowite Tyrańskie powieśći
Rozniosły się wnet miedzy lud ubogi:
Wszędźie płácz męski, wszędźie krzyk niewieśći,
Wszystkich przeiął strách, bliskiey śmierći srogi.
Zápomnieli się prawie ná te wieśći,
Uciekáć nie mász nigdźiey żadney drogi.
Ale skąd się mniey nędzni spodźiewáli
Ztąd utrapieni rátunku dostáli.

* * *

Pánná się iedná u nich wychowáłá,
Ktora iuż bełá lat słusznych dorosłá:
Dźiwney gładkośći, o ktorą niedbáłá,
Lub tyle dbáłá ile cnotá niosłá.
W ćiásnem się bárzo mieyscu uchowáłá,
Ták wielka piękność, y nigdy nie poszłá
Z domu, krádnąc się zániedbánia chćiwem
Wzrokom młodźieńcow, y chwałom życzliwem.

Ale żadna straż zákryć tey gładkośći
Nie mogłá, choć iey bárzo pilnowáłá:
Y tyś tego znieść niechćiałá miłośći,
Boś ią młodemu chłopcu ukazáłá,
Miłośći ślepa, teraześ ćiemnośći
Zbyłá: á wzrokuś bystrego dostáłá,
Tyś przez sto strázy czystey dźiewki doszłá,
Y wzrokeś chćiwy cudzy do niey niosłá.

* * *

Imię mu Olind, Zoffronia oney:
Iáko tá gładka, ták on urodźiwy,
Skromny, wstydliwy, miłośći szaloney
Nie śmie, nie umie odkryć, nieszczęśliwy:
A tá im gárdźi, álbo zápaloney
Ządze nie widźi, ták Olind troskliwy,
Do tąd iey służył, álbo pogárdzony,
Albo nieznány, y nie upátrzony.

* * *

Wtem usłyszawszy że iuż lud wybrány
Po wszytkiem mieśćie kazano mordować:
Poczęłá myślić, áby Chrześćiány
Mogłá od śmierći gotowey záchować:
Męstwo ią y wstyd ruszał ná przemiány,
To podbudzáło, ten ią chćiał hámować.
Wygráło męstwo, owszem szło zgodliwe,
Bo wstyd beł mężny, á męstwo wstydliwe.

* * *

Sámá pobiegłá, a swey nie zákryłá
Gładkośći, áni iey też wystáwiáłá,
Płaszczem fię wszystká do źiemie okryłá,
Oczy wstydliwe sámá w fię zebrálá.
Niewiedźieć iefli chcąc fię ustroiłá,
Jefli umyślnie stroiow zániedbálá.
Lecz zániedbáną gładkość y postáwę
Stroiłá miłość, y niebo łaskáwe.

Wszyscy w nię pátrzą, wszyscy utopieni
W iey twarzy, á tá áni ruszy okiem,
Przed Krolem stánie, y twarzy nie zmieni,
Choćia ią trwoży zágniewánem wzrokiem.
Nie sroż fię (práwi) prośiem utrapieni,
A z twem fię zádźierz, o Krolu, wyrokiem:
A ia winnego oddamći do ręki,
Ktorego wyday ná iákie chcesz męki.

* * *

Ná męstwo śmiáłe, ná niespodźiewany
Piorun, cudowney y świętey gładkośći;
Zmiękczył fię záraz Tyran rozgniewány,
Wźiął wzrok łáskáwszy, złożył z okrutnośći.
Wpadłby był w miłość, by był nie trzymány
Od swey srogośći, y od iey twárdośći:
Lecz płocha gładkość y nieokrocone
Serce, ponęty miia podrzucone.

* * *

Jefli Tyránná miłość nie ruszyłá,
Poruszyło go pewnie spodobánie:
Chcę (práwi) ábyś winnego odkryłá,
Niech będą wolni twoi Chrześćiánie.
Oná tym śmieley przedeń wystąpiłá,
Nic nie zátáię ná twe roskazánie.
Iam winná Krolu, iam obraz ukrádłá,
Karz mię iáko chcesz, bom śmierći podpádłá.

* * *

Ták pospolitey śmierći swą osobą
Zabiegłá, y kaźń sámá wźięłá ná fię.
O piekne kłamstwo, ktora prawdá z tobą
Może porownáć? Niewie w onym czáśie
Co czynić Tyran; sam fię biedźi z sobą,
Lágodniey nád swoy zwyczay pyta záśię,
Aby mu prawdę własną powiedźiáłá,
Kto z nią beł, y skąd rádę ná to miáłá.

A oná ná to: Nikogom niechćiáłá
Wźiąć w towárzystwo do ták piękney chwały:
Nikt inszy, samám tylko to wiedziáłá,
Rękem y umysł niosłá ná to stały.
Więc sámá będźiesz (Krol rzecze) ćierpiáłá,
Według wyroku y moiey uchwały.
Słuszna (odpowie) y rzecz spráwiedliwa,
Niech sámá ćierpię kiedym sámá krzywá.

* * *

Począł fię srożyć Tyran urážony,
Dowiáduie fię gdźie obraz podźiáłá:
Ze obraz w ogień záraz beł wrzucony,
Y że go spalić niźli skryć wolałá.
Aby iuż więcey nie mogł bydź zgwałcony
Niewierną ręką tę spráwę dawałá.
Złodźiey przed tobą á ty czyń co raczysz,
Obrázu pewnie wiecznie nie obaczysz.

* * *

Ale złodźieyką niech mię nikt nie zowie,
Wźięłám to, co nam odięto gwałtownie:
Słysząc to Tyran srogo iey odpowie,
Wśćiekłem záżárty gniewem niewymownie:
Dasz gárło wnetże, wnet położysz zdrowie,
Związćie ią záraz, y wiedźćie wárownie,
Prozno ią tarcza zásłánia gładkośći
Miłość, od złego krola okrutnośći.

* * *

Wźięto ią záraz, ręce iey związano,
A prętko potem miáłá być spalona:
Płaszcz z niey, y z głowy podwikę zerwano,
Y ták zostáłá nędzna obnażona.
Nie wylękłá fię, tylko że ná ono
Szarpánie, nieco byłá poruszona.
Wprawdźie swą własną bárwę odmieniłá,
Y to nie bládą, ale białą bełá.

Zbiegał fię tám lud, ácz niewiedźiał o tem,
Co fię zá pánná ná to ośmieliłá:
Troskliwy Olind biegł tám tákże potem,
Domyśláiąc fię że to oná byłá.
Zięty okrutnem żalem, y kłopotem,
Wiedząc iuż że to oná uczyniłá.
Iże ią ná śmierć srogą osądzono
Trącał lud bieżąc, gdźie ią prowádzono.

* * *

Záwoła głosem, co iedno miał mocy,
Nie wierz iey Krolu, plotkić powiedźiáłá:
Pánná, y sámá, y okrom pomocy,
Nigdyby tego uczynić nie śmiałá.
Jefli z Meszkity obraz wźięłá w nocy,
Niech powie, iáko stroże oszukáłá.
Jam winien, ia sam będę pokutował,
Ták twárdą dźiewkę nieborak miłował.

* * *

Y dáley mowił: Dałem sobie długi
Powroz urobić, z wysoką drábiną:
Poteiem wnocy przez krzywe frámbugi,
Oknem wlazł w kośćioł, y związawszy liną
Obrazem spuśćił: Niechayże mi drugi
Sławy nie bierze, niech inszy nie giną
Niewinnie dla mnie: Mnie pal pōstáwiono,
Y mnie sámemu ogień nápalono.

* * *

To Zoffronia skoro usłyszáłá,
Użali fię go, y wzrok kniemu skłoni:
Co ćię zá rádá do tego przygnáłá,
Ze chcеż być w ták złey dobrowolnie toni.
Y táklim fię to boiaźliwą zdáłá?
Ze mi ktoś śmierći pożądáney broni,
Mam ia też serce, ognia fię nie boię,
O towárzysza do śmierći nie stoię.

Tákiemi mu śmierć mowámi rozwodźi,
Lecz on zostawa z pierwszą státecznośćią:
Jest ná co pátrzyć, gdy zápásy chodźi,
Czći chćiwe męstwo z gorącą miłośćią.
Támtá chce umrzeć, y śmierć sobie słodźi,
Ten że żyć będźie zostawa z żáłośćią.
Krol pátrząc ná to srozszy tyle troie,
Ze fię bydź winnem powiáda oboie.

* * *

Mowi, że lekce od nich poważony,
Y że fię ná złość śmierći nápieráią:
Wierzyć im trzeba, máią swe obrony,
Niechże oboie śmierć iáko chcą máią.
Skoro to wyrzekł, gniewem zápalony,
Záraz Olindá kátom w ręce dáią,
Y ták do palá nędznych przywiązano,
A do śiebie ich tyłem zobrácáno.

* * *

Iuż kát, iuż ogień wielki beł gotowy,
Iuż go dwuiętne miechy rozdymáły:
Kiedy iął Olind żáłosnemi słowy
Nárzekáć, ktore kámienie ruszáły.
Tenli to łáncuch, teli to okowy?
Ktore mię z tobą wiecznie związáć miáły.
Tenli to ogień? ktory nas płomieniem
Rownem miał palić, y ziąć ożenieniem.

* * *

Nie ten nam węzeł miłość ślubowáłá,
Nie te płomienie ktore będźiem mieli:
A to bezecna słowá nie str[illegible]
Lecz to nic, kiedy śmiercią nas nie dźieli.
A iż nam łożá spolnego nie dáłá,
A tobie tę śmierć bogowie przeyźrzeli,
Ciebie żáłuię nie sámego siebie,
Dosyć mam kiedy umrę podle ćiebie.

O iáko tę śmierć będę znał szczęśliwą,
Iefli uproszę że ty umieráiąc
We mnie wyleiesz duszę świętobliwą,
Pospołu zemną z świátem fię rozstáiąc.
Y z chęćią moie ostátnie życzliwą,
Thnienie w fię weźmiesz: Chćiał ták nárzekáiąc
Jeszcze coś mowić: ále mu przerwáłá,
Y łágodnie mu ták odpowiedźiáłá.

* * *

Inszych iuż mysli przyiaćielu trzebá,
Inszych lámentow czás ten potrzebuie,
Pływałeś do tąd, czás fię mieć do brzegá,
Szczęśliwy ktory zá grzech pokutuie.
Cierp w imię Boże, zapłátá ćię z niebá
Potka, ktorą on swem wiernem gotuie.
Sámo nas niebo nád zwyczay pogodne
Cieszy, y śiebie rozumie bydź godne.

* * *

Ná te iey słowá Pogánie płákáli,
Płákał też ale skryćie lud wybrány:
Sam fię Krol zmiękczył iáko powiádáli,
Lecz niechćiał dáć znáć, że beł ubłagány.
Y żeby tego z twarzy nie poználi,
Oczy umyślnie obrośił do śćiány.
Ty Zoffronia sámá łez nie leiesz,
Y w płáczu wszystkich ledwie fię nie śmieiesz.

* * *

Iuż ich tylko co w ogień nie włożyli,
Wtem iákiś rycerz iedźie niepoznány:
(Bo go zá tego wszyscy osądźili,
Y zá mężczyznę od wszystkich beł miány,
Tygrys ná hełmie ná doł mu fię chyli,
A z cudzoźiemská wszystek był ubrány,
Ze to Kloryndá ták fię domyśláli,
Bo u niey ten znák ná woynie widáli.

Tá z młodu swey płći dźiełom odwykáłá,
Nád ktore więtszey mieć nie mogłá męki:
A iefli kiedy háftować muśiáłá,
Szło iey to z musu, y práwie przezdźięki.
Do igły y do wrzećioná niechćiáłá
Nigdy obroćić swoiey pyszney ręki:
Miękką twarz y stroy pieszczony złożyłá,
A męską ná fię postáwę włożyłá.

* * *

Jeszcze z dźiewczyny byłá nie wyrosłá,
A iuż szalone konie obiezdżáłá:
Kopią w ręku, miecz u boku niosłá,
Luk tęgi dźiewczą ręką wyćiągałá.
A iefli w lásy na łow kiedy poszłá,
Nie raz fię ze lwy mężnie uganiáłá.
Y kiedy w leśiech głuchych mieszkiwáłá,
Mężem fię źwierzom, ludźiom źwierzem zdáłá.

* * *

Teraz z Persyey gdźie byłá ná woynie,
Do Pálestyny szłá ná Chrześćiány:
Ktorych krew nie raz wylewáłá hoynie,
Nie raz im srogie zádawáłá rány.
Wiechawszy w miásto (iáko zwykłá) zbroynie,
Uyźrzáłá wielki ogień zgotowány,
Zdźiwi fię bárzo, y nátrze tám koniem,
Pyta ná kogo, y co beło po niem.

* * *

Ustępuią fię wszyscy, y popycha
Jeden drugiego, áby mieysce miáłá:
Obaczy więźnie, ieden wszystko wzdycha,
Druga wzrok w niebo wlepiwszy milczáłá.
Ow od litośći nie od bolu zdycha,
Więtsze mdła serce płeć pokázowáłá,
Oczy nabożnie w niebo obroćiłá,
Y przed śmierćią fię z świátem iuż dźieliłá.

Zdięta Kloryndá żalem zápłákáłá,
Ná ták żáłosne y smutne weyźrzenie:
Nie ták fię płáczem owego ruszáłá,
Iáko ią owtey ruszáło milczenie.
Zátym iednego stárcá záwołáłá,
Ktory fię iey zdał mieć dobre baczenie,
Powiedz mi (práwi) z iákiey ći przyczyny,
Iść máią ná śmierć, y dla iákiey wyny?

* * *

Krotkiemi stárzec dawał spráwę słowy
Ná wszystko, o co Kloryndá pytáłá:
Domyślałá fię záraz z iego mowy,
Ze on, y oná winy w tem nie miáłá.
Gdźieby Krolewski on wyrok surowy
Nie był znieśiony, o co prośić chćiáłá,
Ták tuszy że ich odbić gwałtem zdoła;
Przymknie fię bliżey, y ná káty woła.

* * *

To wam powiádam, ábyśćie z więźniámi
Temi poczynáć nic dáley nie śmieli:
Aż Krolá uyźrzę; á uznaćie sámi,
Ze ztąd kłopotu nie będźiećie mieli.
Ostremi słowy zięći y grożbámi,
Ták iáko chćiáłá, uczynić muśieli.
To opátrzywszy dáley poiechálá,
Y Krolá w drodze do siebie potkálá.

* * *

Jam (pry) Kloryndá, iefli kiedy moie
Imię, o Krolu, słyszałeś miánować:
Przyiechálám tu áby páństwo twoie,
Y spolna wiárá mogłá fię rátować.
Miła mi woyná, y surowe boie,
Chceszli mię w mieśćie, y w murzech sprobować:
Chceszli y w polu, ná wszystkom gotowá.
A Krol iey ná te odpowiedźiał słowá:

Mężna dźiewico, y niezwyćiężona,
Zaden kray od nas nie iest ták dáleki:
Gdźieby twa dźielność nie była sławiona,
O czem y pozne wiedźieć będą wieki.
Będźieli z moią szabłą twa złączona,
Y twey to miásto dostanie opieki.
W naywiętszem woysku nie mam tey dufności,
Ktorą mam w męstwie, y w twoiey dźielności.

* * *

Iuż niechay Goffred swoie woyská wiedźie,
Niechay nie mieszka: á ia mu ślubuię,
Ze pole stáwię iesli bitwę zwiedźie,
Iże mu strzymam, co mu obiecuię.
Zołnierz co w mieśćie, y co ieszcze iedźie,
Niech pod twą spráwą będźie, roskázuię.
Ty nád wszytkiemi będźiesz hetmániłá,
Zá co Kloryndá dźięki mu czyniłá.

* * *

Mowiąc ták dáley: usłyszysz rzecz nową,
Ze niesłużywszy o nagrodę proszę:
Lecz iż ći służyć mam wolą gotową,
Bespiecznie prośbę swą do ćiebie niosę.
Niech owych ná śmierć skazánych ogniową,
Zá upominek od ćiebie odniosę.
Zamilczę tego, że mam swe przyczyny,
Dla ktorych żadney w nich nie widzę winy.

* * *

To tylko powiem. Wszyscy rozumieće,
Ze Chrześćiánie obraz ten ukradli:
Ale ia trzymam swoie przedsięwźięćie,
Ze niewieće kto, y żeśćie nie zgádli.
Iá niewiem iáko zákon gwałćić śmieće,
Y po cośćie go do Meszkity kładli,
Nie godźi fię nam mieć swoich bálwánow,
Tem więcey tych co są u Chrześćianow.

Niechay to káżdy zá cud pewny liczy,
Ktory Máchomet bez wątpienia spráwił:
Niechcąc aby kto nowemi w świątnicy
Ołtarzow iego obrzędy plugáwił.
Niechay swe czáry máią czárownicy,
Niechby fię Izmen iemi także báwił,
W te bálámuctwá my fię nie wdawaymy,
Száblá rzecz naszá, y tey fię trzymaymy.

* * *

Krol ná to lubo nie rad, y z trudnością
Miał do litości myśl gniewliwą skłonić:
Lecz trudno było nie ludzkie fię z gośćią
Obyść, y onych dwoygá ludźi bronić.
Dárúię ich (pry) zdrowiem y wolnością,
Y chcę ich ná twą przyczynę ochronić,
Lubo to dekret, lubo łáská, krzywi
Albo nie krzywi, niech zostáną żywi.

* * *

Rozwiązano ich: Wprawdźie Olindowy
Los beł szczęśliwy, y máło słychány:
Bo miłość w sercu twárdey białeygłowy,
Miłością wzbudźił, y z nagłey odmiány.
Od ogniá ná ślub oblubieniec nowy
Idźie, od swoiey miłey miłowány:
Ktora pozwala, aby z nią żył wiecznie,
Kiedy y umrzeć chćiał z nią ták státecznie.

* * *

Ale dźielności tákiey Krol ostrożny
Nie dufał, y miał tego swą przyczynę:
Zá czem iáko chćiał Tyran niepobożny,
Opuśćili swą miłą Pálestynę.
Jednych, precz z państwá wygániał niezbożny,
Drugich odsyłał, áż ná ukrainę.
O iáko ćiężko beło máłe syny
Porzucáć oycom, y miłe rodźiny.

A czyniąc dosyć przedśięwźiętey rádźie,
Dorosłe tylko, y młodź urodźiwą
Wygnał: á dźieći iakoby w zakładźie,
Y płeć niewieśćią zostáwiał lękliwą.
Siłá ich myśląc o nowey osádźie,
Błądźili roznie, śiłá pomsty chćiwą
Myśl w sobie máiąc do nászych iecháli,
Y z Goffredem fię w Emaus potkáli.

* * *

Emáus miásto ták dáleko kłádą
Od Jeruzálem: kiedy wyiezdżáią
Ze wschodem słońcá, choć nie spieśnie iádą,
Gdy biie dźiewięć właśnie przyiezdżaią.
Nászy fię ćieszą że swych nie odiádą,
Wszyscy fię kwápią, wszyscy pospieszáią:
Ale południe iż iuż beło blisko,
Kazał tám Goffred obrác stánowisko.

* * *

Záczem namioty świetne rozbiiáli,
A wieczor też iuż práwie następował:
Kiedy dwáy iácyś w oboz przyiechali,
Ze cudzoźiemcy, stroy sam pokázował:
Że przyiaźń niosą ták fię domyśláli,
Ták sobie o nich káżdy obiecował.
Krolá z Egyptu beli to posłowie,
Wprzod szły osoby, á pozad giermkowie.

* * *

Ten co wprzod idźie Aletem go zową,
Z bárzo podłego oycá urodzony:
Ale dowćipem, y słodką wymową
Urosł u dworu, y był podwyzszony.
Co chćiał to wszystko przewiodł swoią głową,
Chytry, obrotny, fortelny, ćwiczony.
A ták potwarzy swoie udáć umiał,
Ze drugi skárgę zuchwále rozumiał.

Drugi beł Argánt, Argánt urodźiwy,
Ktory w dálekich Cyrkáśiech fię rodźił:
Ten z cudzoźiemcá (pátrzćie iákie dźiwy)
W Egyptćie, rowno z Sátrápámi chodźił.
Wśćiekły, okrutny, hárdy, niećierpliwy,
Uporny, y co z nikiem fię nie zgodźił.
Bogu sámemu ledwieby co złożył,
A wszystkę słuszność w szábli swey położył.

* * *

A skoro przystęp uprośili sobie,
Posłano po nich przednieysze dworzány:
Goffred w ubierze prostem w oney dobie,
Ná niskiem stołku śiedźiał miedzy Pány.
Lecz wielką dźielność znáć było w osobie,
Choć nisko śiedźiał, choć nie był ubrány.
Argánt fię hárdy wszedszy nie ukłonił,
Tylko co trochę ná doł głowy skłonił.

* * *

Ale wzrok Alet ná doł obroćiwszy,
Do sámey práwie źiemie schylił głowę:
Y rękę práwą ná pierśi włożywszy,
Nisko bił czołem, niźli począł mowę.
Potem łágodne ustá otworzywszy,
Wypuśćił słodszą niźli miod wymowę.
A niemal wszystko nászy rozumieli,
Bo po Syriysku iuż nie źle umieli.

* * *

O ieden tylko godny náleźiony
Bohátyrámi władáć ták mężnemi:
Twoie są dźiełá, dostáne Korony,
Y możne páństwá z tryumphy wielkiemi.
Dźwięk twoiey sławy niezástánowiony,
Miedzy słupámi Herkulesowemi
Nie został: ále y my o niey wiemy,
Y o twem męstwie w Egyptćie słyszemy.

Miedzy ták wielą nie naydźie żadnego,
Coby fię twoiem dźiełom nie dźiwował:
Te w podźiwieniu u Páná moiego
Nie tylko beły, lecz fię z nich rádował.
Twych spraw słucha rad, á co u drugiego
Jest w nienawiśći, to on umiłował.
A iż nie może wiárą, więc przymierzem,
Chce z tobą z wiąsku, y z twoiem żołnierzem.

* * *

Y z tem posłáni do ćiebie ieźiemy,
(Toż mu rádźiłá iego mądra rádá)
Státecznąć przyiaźń od niego nieśiemy,
Milszy mu z tobą pokoy niźli zwádá.
A iż usłyszał iáko to widźiemy,
Ze wygnáć z páństwá chcesz iego sąśiádá:
Chćiał, ábyć fię to od niego odniosło
Pierwey, niżby co złego ztąd urosło.

* * *

Jefli chcesz ná tem coś dotąd wźiął woyną
Przestáć, y rzeczy mieć uspokoione:
A Pálestynę záchować spokoyną,
Y kráie ktore wźiął pod swą obronę.
Chce ubespieczyć swoią ręką zbroyną
Páństwo, do końcá niepostánowione.
A kiedy fię dwáy ták wielcy Pánowie
Złączyćie, śiedli Turcy y Persowie.

* * *

Wieleś uczynił zá ták máłe czásy,
Czego nie zniosą nigdy látá biegłe:
Swiádczą przebyte złe drogi, y lásy,
Dobyte miástá, y woyská poległe.
Ná co nie tylko zdumieli fię nászy,
Ale y kráię dáleko odległe.
Páństwáć przyczynić ponno łatwie sprostáć,
Ale nie możesz więtszey sławy dostáć.

Przyszłá twa sławá do kresu słusznego,
Przeto wątpliwey woyny strzeż fię wszędźie:
Bo iefli wygrasz, gránic páństwá twego
Pomkniesz, lecz sławy nicći nie przybędźie.
A iefli záś co prziydźie przećiwnego,
Hánbá, y strátá pewna z tego będźie.
Kłáść ná niepewne pewne, rzekę śmiele
Głupstwo iest wielkie, y ná trochę wiele.

* * *

Ale podobno fortuná życzliwa,
Ktorać fię do tąd łaskáwie stáwiłá:
Więc y tá ktora w wielkich sercách bywa,
Y z przyrodzenia w nie fię wkorzeniłá.
Myśl władze wielkiey, y szerokiey chćiwa
Ták ćię do woyny chętnem uczyniła,
Ze bárźiey pragniesz wątpliwego boiu,
A niźli drugi pewnego pokoiu.

* * *

Będąć powiádáć ábyś fię gotował,
Iść zá pogodą ktorąć sam Bog dáie:
A żebyś szábie swey nie odpásował,
Ktorać fię do tąd szczęśliwie nádáie.
Ażbyś Azyą do końcá zwoiował,
Y áżbyś wiárę y dáwne zwycźáie
Z niey wykorzenił: Piękne to są mowy,
Skąd potem rośćie upadek gotowy.

* * *

Ale iefli fię rozumu porádźisz,
A zbytnia dufność wzrokuć nie odbierze:
Y ze wszystkiemi záraz fię powádźisz,
Wierzże mi, żeć fię ná wielkie złe bierze.
Więc y ná szczęśćiu niesłusznie fię sádźisz,
Bo to nie stoi nigdy w iedney mierze,
Y ći co názbyt w gorę wylatáią,
Szwánkuią rádźi y ná doł spadáią.

Powiedz mi iefli będźie przećiw tobie
Egypt, y w złoto możny, y w lud mężny:
A Turczyn y Pers w teyże własnie dobie,
Y Syn Kássanow ruszy fię potężny.
Sam przećiw wielom, iáko poczniesz sobie?
Słáby, y że ták rzekę niedołężny.
Czy ná pośiłki Cesárzá Greckiego
Spuśćić fię, z tobą chcesz zprzymierzonego?

* * *

Cóż? ázaś Greckiey wiáry nie świádomy,
Z postępku tylko miárkuy ią iednego:
O iáko często ten narod łakomy,
Zły, chytry, prágnął zginienia wászego.
Pomnisz to dobrze y dobrześ wiádomy,
Iákoć niechćiał dáć przeszćia bespiecznego,
Broniłći drogi y chćiał cię hámować,
A teraz ci ma krew swoię dárować?

* * *

Lecz ufasz ponno żołnierzowi twemu,
Y masz nádźieię w Rotmistrzách ćwiczonych:
A żeś to kilku skukłał po iednemu,
Masz zwalczyć wespoł wszystkich ziednoczonych.
Choć śiłá woysku ubyło twoiemu,
Choć masz rot wiele niewczásem zmnieyszonych,
Y długą woyną: choć rázem Turkowie,
Uderzą ná ćię Egypt y Persowie.

* * *

Ale niech będźie iákoś uprządł w głowie,
Zeć żaden w polu rowny być nie może:
Niech táki wyrok uczynią Bogowie
Iáki chcesz: przedtię máloć to pomoże.
Bo (iedno mieysce day prawdźiwey mowie)
Głod ćię zwoiuie, głod ćię pewnie zmoże.
Ten kiedy przypnie, wiesz dobrze co broi,
Zádnych fię kopiy y mieczow nie boi.

Przedtem niźliśćie z woyskiem nástąpili,
Zboża społ do miast obronnych zwieźiono:
Miástá żywnośćią tylko opátrzyli,
Wśi w okolicy wszystkie popalono.
Iákoż fię pytam będźieće żywili?
Kiedy wszystek kray wkoło ogłodzono,
Ale swey morskiey ufaćie Armaćie,
Tákli to z lekkich żywot wiátrow maćie?

* * *

Podobno ony ná twe roskazánie
Poydą gdźie każesz, y morze gniewliwe:
Głuche ná prośby, y ná narzekánie
Będźieć posłuszne, y będźieć życzliwe.
Cóż? áza Turczyn, Pers, Egypt, Hetmánie,
Złączywszy ná ćię śiły przyiáźliwe,
Nie mogą wysłáć na morzę okrętow?
Przećiwko tobie, dla potężnych wstrętow.

* * *

Dwárázyćby nas potrzebá porázić,
Y tu ná źiemi, y owdźie ná wodźie:
Iefli raz przegrasz, pierwszą sławę skázić,
Y hánbę przydáć muśiałbyś ku szkodźie.
Gdźieby záś przyszło twych ná morzu zrázić,
Lud twoy ná źiemi zginąłby o głodźie.
A ieślibyśćie polem záś przegráli,
Tám ći ná morzu máloby wskuráli.

* * *

Przeto iefli w twych rzeczách ták wątpliwych,
Gárdźisz przyiáźnią Krolá ták wielkiego:
O twych przymiotách wszyscy osobliwych,
Mniey trzymáć będą z postępku tákiego.
Uymi, rádźimy, myśli woyny chćiwych,
A do pokoiu nákłoń fię świętego:
Niech wżdy co wytchnie Azya po woynie,
A ty coś dostał, miey sobie spokoynie.

Y ćiebie mądra rádo, dźielna młodźi,
Ktoraś ſię ná tę woynę z niem udáłá:
Niech ták omylne szczęśćie nie uwodźi,
Abyś chcąc nowych woien szukáć miáłá:
Lecz iáko żeglarz czyni swoiey łodźi,
Co bespiecznego portu doiechałá,
Iużbyśćie słusznie mieli żagle zbieráć,
A więcey ná złe morze nie náćieráć.

* * *

Tu przestał Alet, á mężni żołnierze
Cicho ſię sámi zsobą zszeptywáli:
A że ſię pokoy y ono przymierze
Wszystkim niezdáło, twarzą znáć dawáli.
Goffred poyźrzawszy ná swoie rycerze
Co wkoło stali, y tego czekáli,
Iaką odprawę mieli mieć posłowie,
Ták Aletowey odpowiedźiał mowie.

* * *

Raz dosyć gładko, drugi raz z groźbámi
Poselstwo swego Páná správwuiećie:
Jeſli nas chwali, y w przyiáźni z námi
Chce mieszkáć; zá to mu podźiękuiećie.
A że groźićie iákiemiś spiskámi,
W ktore y inszych do śiebie wźiąć chcećie,
Abyśćie wszyscy przećiwko nam beli,
Y wszyscy rázem ná nas uderzyli.

* * *

Ták maćie wiedźieć: Cokolwiek ná źiemi
Y ná morzuſmy do tąd ućierpieli:
Wszystko dla tego, ábyſmy z páńskiemi
Mury, grob iego święty wolny mieli.
Więc y lud wierny száblámi nászemi,
Z ćiężkiey niewoley wyiąćbychmy chćieli,
Nátoſmy miłe domy opuśćili,
Nátoſmy żywot, y wszystko ważyli.

To przedśięwźięćie, y ten umysł stały
Nie żadna chćiwość świecka w nas správiłá:
Ty sam tę ięzdzę Pánie wieczney chwały
Wykorzeń z serca, ieſliby w kim byłá.
Boday w nas tákie myśli nie postały,
Sámá to ręká Boska uczyniła:
Tá kiedy zechce twárde serce ruszy,
Tá zkámieniáłe pierśi łátwie kruszy.

* * *

Tá nas od przygod roznych záchowuie,
Tá z niebespieczeństw wszelákich wywodźi:
Znoy látu, źimie mrozy odeymuie,
Błaga y wiátry, y morskie powodźi.
Gory nam rowna, drogi náprawuie,
Zadna moc ludzka przez nię nam nie szkodźi.
Tąſmy mocnych miast y zamkow dobyli,
Tąſmy potężne woyská poráźili.

* * *

Tá nam nádźieie, tá nam y śmiáłośći
Dodáie, á nie żadne násze śiły:
W Armaćie żadney nie mamy dufności,
Greckie posiłki máłoby sprawiły.
Byleſmy beli w iego opátrzności,
By ſię naywiętsze woyská zgromádźiły:
Ná nászę zgubę, namniey ſię nie boiem,
Kiedy pod iego mocną ręką stoiem.

* * *

Lecz ieſliby nas chćiał zá násze złośći
Skaráć, y z swoiey wypuśćić obrony:
Ktożby z nas nie rad tám położył kośći,
Gdźie Bog y Pan nász leży pogrzebiony?
Pomrzemy rádźi w tákiey státeczności,
Szczęśliwszy niźli żywi z káżdey strony.
Ale śmierć nászá będźie sławna wszędźie,
Azya ſię z niey pewnie śmiać nie będźie.

Prawda że sobie pokoiu życzemy
Z Krolem Egypskiem, y przyimiem go rádźi:
Y z niem ſię pewnie rádźi ziednoczemy,
Ieſli ſię z námi umyślnie nie zwádźi.
Ale ieſli nic nie ma iáko wiemy
Do Pálestyny; á coż mu to wádźi?
Ze przećiw inszem woynę podnośiemy,
Kiedy z niem sámem przyiaźń chowáć chcemy.

* * *

Bárzo beł oną mową Goffredową,
Iáko pies wśćiekły Argánt urážony:
Y nie krył ſię z tem, ále trzęsąc głową,
Pomknął ſię dáley ná pláć zápędzony.
Nie będźiem ſię (pry) więcey śćieráć mową,
Krotko ia powiem iáko niećwiczony:
Kto niechce zgody, kto niechce pokoiu,
Niechay ma woynę, niech ſię ma do boiu.

* * *

Potem u száty ktorą miał ná sobie,
U obu przodkow wźiął obiedwie stronie:
Y podniowszy ie wzgorę w oney dobie,
(A twarz mu gniewem y pałáły skronie)
Te upominki (práwi) niosę tobie,
W lewem masz pokoy, woynę w práwym łonie.
Obierzże sobie ná ktore pozwolisz,
A záraz powiedz co chcesz, y co wolisz.

* * *

Ná postepek ták hárdy Argántowy,
Y ták zuchwały wszyscy ſię gnieváli:
Y nie czekáiąc Goffredowey mowy,
Wszyscy ná woynę głosem záwołáli.
On szátę wytrząsł, y rzekł temi słowy:
Czegośćie chćieli tośćie otrzymáli.
Zdáło ſię ná te słowá wymowione,
Ze Jánus wrota otworzył zámknione.

Y że z onego rzuconego łoná,
Wypadł gniew wśćiekły, y zwádá krwie chćiwa:
W oczy mu płomień kładłá Tyzyphoná,
Y swą pochodnią Megerá złośliwa.
Táki beł Nemrot kiedy wieżá oná
Szłá przezeń wzgorę, y ták popędliwa
Twarz iego bełá kiedy ią budował,
Y z niey swą pychę niebu pokázował.

* * *

Potem rzekł Goffred; Powiedźćie Krolowi,
Kiedy niechćiał żyć w swem páństwie spokoynie:
Niech ſię nam stáwi álbo ku Nylowi
Mypoydziem, tám ſię skosztuiem ná woynie.
Przedśię ſię zdáło cnemu Goffredowi,
Uczęstowáć ich y dárowáć hoynie.
Hełm Aletowi dźiwnie piękny dano,
Ktorego wźiąwszy Niceą dostano.

* * *

Argántowi záś szábłá ſię dostáłá,
Wszytká perłámi y złotem sádzona:
Robotá ſię w niey drożey szácowálá,
Bo bárzo stucznie byłá urobiona.
Z żelázá mu ſię bárźiey podobáłá,
Y stąd że byłá dobrze wyostrzona.
Rzekł do Goffredá: Nie długo pokażę,
Iáko sobie twoy upominek ważę.

* * *

Zátem uderzył czołem Aletowi,
Ieszcze dźiś nocą wyiechác (pry) mogę
Ku Jeruzálem, ty ku Egyptowi
Iutro skoro dźień wypráwisz ſię w drogę.
Wszák tám ná ten czás nic po mnie Krolowi,
Ty odnieś wszystko, ia tám nie pomogę.
Potrzebnieyszym tu gdźie słyszę o boiu,
A ty ſię pręcey zeydźiesz do pokoiu.

Nieprzyiaćiel ſię záraz z Posłá sstáie,
Lub źle, lub dobrze, nie słucha wywodow:
Nie myśli, niedba ieſli tem zwyczáie,
Y prawo wszystkich uważy narodow.
Spiesznie poiezdża, ćiemney nocy łáie,
Jerozolimskich kwápiąc ſię do grodow.
Srodze mu przykre namnieysze mieszkánie,
Ale y Alet iuż ſię skárzy ná nie.

* * *

Noc byłá ćicha, wiátry ubłagáne
Nie ruszáły ſię, y odpoczywáły:
Zwierzętá wszytkie zá dniá sprácowáne,
W iámách, y w leśiech sen odpráwowały.
Ptástwá złotemi piory málowáne,
Po swoich gniazdách sobie wytycháły.
Y pod ćichego milczenia zasłoną,
Trzymały pámięć we snie utopioną.

* * *

Ale y Goffred y mnieyszy wodzowie,
A zgołá wszyscy práwie nic nie spáli:
A Jeruzálem tylko máiąc w głowie,
Ránego świtu z ochotą czekáli.
A kto wymowi, á kto to wypowie,
Jákoby rádzi miástá doiecháli?
Co raz iutrzenki złotey wyglądáią,
A leniwemu dniowi wszyscy łaią.

KONIEC PIESNI WTOREY.

PIESN TRZECIA.

ARGUMENT.

Pod Syon woysko przyszło, ktore srodze
Kloryndá z ludzmi swoiemi witáłá:
W Erminiey ſię płomienie niebodze
Záymuią, skoro Tánkredá uyźrzáłá.
Lecz y on niemniey zágrzał ſię gdy w drodze
Kloryndá mu twarz gładką ukazáłá.
Dudon zábity, swoi go chowáią,
Cieśle dla drzewá w lásy wysyłáią.

Już wiátrek ćichy wieiąc ná świt rány
Znáć dawał, że ſię iutrzenká ruszáłá:
Ktora tem czásem w rożą przeplátány
Wieniec, swą złotą głowę ubieráłá.
Káżdy ochotnie we zbroię ubrány
Ruszał ſię, kiedy ogromna zábrzmiáłá
Trąbá; y w głośne bębny uderzono,
Záczem ſię woysku ruszyć roskazano.

* * *

Rostropny Hetman umie ich správowáć,
Słodkie wędźidło ochoćie obiera:
Látwiey szaloną Wisłę nákierowáć,
Kiedy swe wszystkie wody w kupę zbiera.
Látwiey wiátr wstrąćić, łátwiey go hámowáć,
Gdy Krepak z lásow wysokich odźiera.
Kto zá kiem iść ma, w drodze ukázuie,
Sam wszystkich w hufce dźieli y szykuie.

Ták spiesznie iádą, że ſię im ták zdáło,
Jákoby sobie skrzydłá przyprawili:
Już ſię też słońce do południá miáło,
W ktorey więc bywa naygoretszey chwili.
Kiedy ſią święte miásto pokazáło,
Máło co dáley niżli w rowney mili:
Wszyscy wesołe krzyki wypuszczáią,
A Jeruzálem pożądne witáią.

* * *

Ták pospolićie żeglarze bywáli,
Ktorzy czás długi przez morskie bálwány:
Pod cudzem niebem tám y sám pływáli,
Przez rożne wiátrow szalonych odmiány.
Kiedy nákoniec nędzni oglądáli
Miłą oyczyznę, y dom pożądány,
Wzáiem go sobie pálcem ukázuią,
Y przeszłych więcey niewczasow nie czuią.

* * *

Kiedy się ták w nich serdeczna krzewiłá
Rádość, y szczęścia dálszego otuchá:
Po niey w nabożne myśli nástąpiłá
Pełna pokory Bogu miłey skruchá.
A bez wątpienia sámá to spráwiłá
Łáská Swiętego w twárdych sercách Duchá.
Nie śmie wzrok śmiele pátrzyć upłákány,
Tam kędy odniosł Bog śmiertelne rány.

* * *

Ciche wzdychánie, słowá przerywáne,
Lzy á łykánie, tylko słyszeć było:
Jáko więc czynią ktorzy zfrásowáne
Sercá swe máią, y záraz iem miło.
Táki dźwięk czynią lásy rozdymáne
Od wolnych wiátrow, y kiedy ruszyło
Znienagła morze ćiche wálow słonych,
O skáłę albo o brzeg odtrąconych.

Pierwszy wodzowie idą nogą bosą,
Co widząc drudzy, tákże też czynili:
Y kit, y pierza, u czapek nie noszą,
Jedwab, y świetne stroie porzućili.
O odpuszczenie grzechow Bogá proszą,
Sercá y myśli gurne poniżyli.
A ieśli z płáczu ktore słowo gwałtem
Mogą przemowić, mowią tákiem kształtem:

* * *

Tuś ná tem mieyscu raczył wieczny Pánie
Krew swą przelewáć, tuś raczył omdlewáć:
A ia, o grzeszny, teraz pátrząc ná nie
Niegodnem okiem, nie mam łez wylewáć?
O wielka złośći, o zápámiętanie,
Czegoż ſię więcey po tobie spodźiewáć?
Kámienne serce, ieſli ſię nie ruszysz,
Jeſli ſię teraz od żalu nie kruszysz.

* * *

Ná ten czás w mieśćie z conawyzszey wieże,
Co wszystkie strony z gury odkrywáłá:
Jeden kurzáwy z daleká postrzeże,
Ktora ſię iáko chmurá iáka zdáłá.
Właśnie ták gdy ſię ná deszcz wielki bierze,
Błyskáwica ſię po niey przebiegáłá.
Lecz blásk ktory z zbroy świetnych wyskákował,
Konie y ludźie potem ukázował.

* * *

Ten pocznie wołáć: O iáki z kurzáwy,
O iáki z prochu obłok widzę z gury,
Jáko naypręcey mieyćie ſię do spráwy,
Straży záwodźćie, opátruyćie mury.
Już teraż inszey nie trzebá zabáwy,
Podnośćie wálow, zápráwuyćie dziury.
Pátrzćie iáki tám proch idźie do niebá,
Nieprzyiaćiel to, do zbroy ſię mieć trzebá.

Niespodźiewáną wszyscy zięći trwogą:
Lękliwa biała płeć, y ludźie zeszli:
Bogom oddáiąc oyczyznę ubogą,
Do swoich Meszkit máłe dźieći nieśli.
A ći co duży, y co fię bić mogą,
Pod chorągiew fię y do bębnow zeszli.
Co żywo do bram bieży, mosty wzwodźi,
A Krol sam wszystkich z pilnośćią obchodźi.

* * *

To sporządźiwszy nic fię tám nie báwił,
Ale ná wieżę szedł, ktorą uczony
Ták budowniczy przy bramie postáwił,
Ze z niey ná wszystkie widáć beło strony.
Po Erminią skąd záras wyprawił,
Ktorą beł przyiął litośćią ruszony
Do śiebie ná dwor, kiedy iey dobyto
Antyochiey, y oycá zábito.

* * *

Wtem iuż Kloryndá bełá wyiechálá,
A zá nią hufiec iezdy szedł niemáły:
Ażeby názad łácny odwrot miáłá,
Argánt iey czekał w bramie między wáły.
Wszystkiem ochoty swoiem dodawáłá,
Ukázuiąc twarz y swoy wzrok zuchwáły:
Dźiś fię nam (práwi) trzebá dobrze stáwić,
Y ná początku co dobrego spráwić.

* * *

Ledwie te słowá do nich wymowiłá,
Kiedy fię stroną rotá ukazáłá:
Co stádo owiec y bydłá pędźiła,
Y do obozu názad fię wracáłá.
Ná rączem koniu záras poskoczyłá,
Y z Rotmistrzem fię co wprzod szedł potkáłá.
Gard beł Rotmistrzem człowiek wielkiey śiły,
Lecz iego śiły máłe ku iey beły.

Zbiłá go z koniá ná pierwszem potkániu,
Co y poganie y naszy widźieli:
Ze fię iem w onem pierwszem hárcowániu
Zdárzyło dobrze, zá szczeście to mieli.
Ták meżnie nászych w onym uganiániu
Gromiłá, że fię oprzeć áni śmieli:
Co ras to barźiey z swemi náćierałá,
Y może ták rzec, że ná nich iechałá.

* * *

Tak nászy korzyść zdobytą stráćili,
Co iem sromoty więcey przyczyniło:
Toli ná wzgorek spráwą ustąpili,
Gdźie iákokolwiek mieysce ich broniło.
Goffred wtym kinie: Niechay ich pośili
Tánkred, co iemu słyszeć było miło.
Jáko więc piorun wypada z obłoku,
Tak ná nich nátárł, y przyskoczył z boku.

* * *

Drzewo ták złożył, y ták potem toczył
Swem dźielnem koniem Tánkred pomieniony:
Ze Krol rozumiał gdy go z wieże zoczył,
Ze to był rycerz iakiś doświadczony,
Y Erminiey pytał kiedy skoczył,
Co z niem pátrzáłá ná utárczki ony.
Tyś Chrześćiány często widywáłá,
Y podobnobyś y tego poznáłá.

* * *

Nic Erminia nie odpowiedźiáłá
Ná to, o co iey na ten czás pytano:
Ale westchnęłá y tylko płákáłá,
Miásto słow ktorych od niey wyglądano.
Wprawdźie płácz w sobie przez dźięki trzymáłá,
Lecz nie ták przed fię aby nie doyźrzano:
Kiedy nie pełne westchnienie puściłá,
Y bawełnicę łzámi omoczyłá.

Potem ták rzecze skrytą pokrywáiąc
Miłośc, zmyśloney płaszczem nienawiśći:
Miáłábym go znać, kiedy podiezdżáiąc
Pod mury, choć nań náćieráli wszyscy,
Mordował moich, w przykop náganiaiąc,
Więźnie y wielkie często brał korzyśći.
Ach iako biie, iego rány zgołá
Nie zleczą czáry, áni żadne źiołá.

* * *

Tánkred mu dźieią: Gdźieżbem to ták byłá
Szczęśliwa kiedy, żebym go dostáłá:
Ale żebym śię nád niem nápastwiła,
Zywegobym go ráczey rádá miałá.
Táką iey mowę obrácało śiłá
Jnáczey, niżli oná rozumiáłá.
Z płáczem z mięszáłá te ostátnie słowá,
Srogiem zágrzana ogniem białagłowá.

* * *

A wtem Kloryndá widząc przećiw sobie,
We wszystkiem biegu rzeźwiego ionaká:
Skoczyłá tákże z drzewem w oney dobie,
Chcąc go ugodźić w gębę nieboraka.
Trafili śię w łeb, y skruszyli obie
Drzewá, iey śię sznur zerwał u szyszaká:
Y spadł iey z głowy ná źiemię, ze potem
Błysnęłá twarzą, y wárkoczem złotem.

* * *

Oczy śię iáko słońce rozświećiły
Wdźięczne, choćia się byłá rozgniewáłá:
Cóż? kiedyby śię do śmiechu skłoniły,
Cóż? kiedyby w nich łáskę ukazáłá.
Nie stoy Tánkredźie: On ći to wzrok miły,
Oná twarz piękna coć śię podobałá,
Kiedyś ią ználasł z tráfunku u zdroiu,
Po zbyt gorącem uprágniony znoiu.

Tánkred co przedtem nie beł ná to dbáły,
Jáką tarcz miáłá, w iakiey byłá zbroi:
Pożnawszy ią w twarz teraz, zkámieniáły,
Y iáko martwy w źiemię wryty stoi.
Oná náciera, on na inszych śmiáły,
Jey śię obráźić, iey śię ránić boi.
Ná inszych śiecze, ná nię żadnem kształtem
Niechce, choćia go oná goni gwałtem.

* * *

Nie biie wźaiem rycerz uderzony,
Y nie ták śię iey ostrey száble chroni:
Jáko śmiertelnem grotem przerážony,
Jey piękney twarzy pilnuie w pogoni.
Mowi sam z sobą: otom nie rániony,
Choćia mam ćięzkie razy od iey broni.
Ale te ćięćia ktore wypadaią
Z iey piękney twarzy, w serce ugadźáią.

* * *

Nákoniec ná to skłonił myśl wątpliwą,
Aby nie umárł miłośnik nieznány:
Chce prośić áby nie byłá ták mśćiwa
Nad tem, co iey iest wieźień y poddány.
Ty (práwi) ktoraś ták nielitośćiwa,
Ze mnie sámemu tylko dáiesz rány:
Wyiedź kęs od swych tám śię skosztuiemy,
Tám śię ktory z nas mężnieyszy, dowiemy.

* * *

Skoro Kloryndá tych słow wysłuchałá,
Ná to podánie iego pozwoliłá:
A że bez hełmu byłá, nic niedbáłá,
Y ták go z głową odkrytą goniłá.
Ućiekał Tánkred, ále go dognáłá,
Y dogániáiąc trochę go rániłá.
Stoy (rzecze do niey) pierwey záwrzeć mamy
Pewne umowy, niżli śię potkámy.

Stánęłá záraz ná tę iego mowę,
Jemu też miłość dodáłá śmiáłości:
Tę (práwi) zemną záchoway umowę,
Nim dobrowolnie umrę od żáłości.
Wydrzy mi serce, álbo utni głowę,
Kiedy mieć nie chcesz nádemną litości.
Twoie to serce, á iesli go żywo
Nie chcesz mieć, niechay umrze kiedy krzywo.

* * *

To serce winno, y te pierśi krzywy,
Przebiy ie mieczem, átoć ich nie bronię:
Chceszli też z prętkiey strzelić w nie ćięćiwy,
Y zbroię zdyimę, y páisz odsłonię.
Chćiał ieszcze dáley Tánkred nieszczęśliwy
Skárżyć fię, od swych dáleko ná stronie.
Lecz onę skárgę, ono nárzekánie,
Przerwáli ludzie co przypádli ná nie.

* * *

Bo nieprzyiaćiel od nászych pędzony,
Lub chytrze, lubo od prawdy uchodził:
Nász ieden widząc włos iey rosplećiony,
Ktory po wietrze y tám y sám chodźił.
Skradł fię y przypadł w tył niepostrzeżony,
Aby ią w głowę odkrytą ugodźił.
Krzyknie nań Tánkred srodze wylękniony,
Kiedy ná nię miecz uyrzał wyniesiony.

* * *

Przedsię iey trochę drasnął w koniec głowy,
Bo raz był słáby iako to kwápiony:
Jey wárkocz złoty táki miáł blásk nowy,
Kilką kropli krwie rumiáney zmoczony,
Jáki więc miewa kámień rubinowy,
Misterną ręką w złoto oprawiony.
Roziadł fię Tánkred y z dobytą bronią,
Zá tem ktory ią ránił, szedł w pogonią.

Támten ućiekał ledwie więc z ćięćiwy
Puszczona strzáłá ták prętko bieżáłá:
Tá fię zdumiáłá widząc one dźiwy,
Lecz dáley bieżeć zá niemi niechćiáłá.
Ale skoczywszy swoy lud boiáźliwy,
Y uchodzących názad náwracáłá.
Czásem náćiera, tył podáie czásem,
Y tem fortelem bárźiey szkodźi nászem.

* * *

Rownie ták szczwány ná puszczy zubr srogi,
Kiedy ucieka, wszyscy go pśi gonią:
A iefli stánie, y obroći rogi,
Nie naćieraią y dáleko stronią.
Dźielna Kloryndá broni strzałom drogi,
Tarczą zá soba trzymaiąc w pogonią.
Od wyćiśnionych tak fię zasłaniáią
Trzćin Murzynowie kiedy uciekáią.

* * *

Kiedy ták długo oni ućiekáiąc,
A nászy goniąc pod mur podieżdżáli:
Nieprzyiaciele swe fortele maiąc,
Názad fię záśię z prętká obracáli.
Y iako znowu śmiele náćieráiąc
Ná nászych z tyłu, y z boku strzeláli.
A wtem też Argánt ná co dawno godził,
Nászem ná czoło z swoiemi záchodził.

* * *

Dáleko od swych Argánt fię wysádźił,
Chcąc fię sam potkáć naprzod przed wszystkiemi:
Pierwszy w ktorego kopią záwádźił,
Został y z koniem obalon na źiemi.
Nikt mu niezdołał, żaden mu nie rádźił,
Nikt nieporownał z niem miedzy naszemi.
A gdźie fię z mieczem ogromnym záwinął,
Kilka ich rázem, rzadko ieden, zginął.

Kloryndá tákże mężnie ſię ſtáwiłá,
Ardeliona Rotmistrza stárego
Ná obie stronie sztychem przepędźiłá:
Dwu tusz przy sobie synow máiącego,
Bárzo szkodliwie przez pierśi rániłá
Alkáliándrá, syná co stárszego.
Polfernus młodszy ledwie uszedł zdrowy,
Od ostrey ſtáble mężney biáłeygłowy.

* * *

A kiedy nie mogł Tánkred zápędzony
Dognáć owego, bo miał koń leniwszy:
Ze ſię dáleko uniosł zágoniony
Lud iego, uyrzał, wzad ſię obroćiwszy.
A widząc że był zewsząd okrążony,
Biegł mu na pomoc koniá rospuśćiwszy.
Zá niem poskoczył pułk niezwyćiężony,
W naygorszych ráźiech záwsze doświadczony.

* * *

O pułku mowię sławnem Dudonowem,
(Będźie go Muzá często wspominálá)
Przed niem wprzod Rynáld szedł w kiryśie nowem,
A uroda go sámá wydawálá.
Po białem Orle w polu lázurowem,
Erminia go zárázem poználá.
Rzecze Krolowi co nań pátrzył pilnie,
O tem ći co wiem, powiem nieomylnie.

* * *

Z tem żaden w dźiełách niezrowna Marsowych,
Choć mu szesnaśćie dopiero lat liczą:
Kiedyby sześći Goffred miał tákowych,
Jużby Syrya bełá niewolniczą.
Látwieby przez miecz państw dostał wschodowych,
Y Krolestw ktore z południem grániczą.
Sam Nyl choć głowę ták dáleko kryie,
Pewnieby musiał mieć łańcuch u szyie.

Rynáld mu dźieią: Jego rozgniewáney
Ręki ſię srodźe nieprzyiaćiel boi:
Ten záśię drugi w zbroi smálcowáney,
Co ſię po prostu y státecznie stroi,
Dudo iest z Konse, ktory tey wybráney
Roty iest wodzem, co to zá niem stoi,
Rycerz to wielki choć ma zeszłe látá,
Siłá ten widźiał, śiłá zwiedźił świátá.

* * *

To záśię drugi w czarnem złotogłowie
Gernánd, rodzony Krolá Norweyskiego:
Ten táką pychę uprządł sobie w głowie,
Ze w świećie niemász nádeń zacnieyszego.
Z tych dwu záś támten Odoárd ſię zowie,
Tá Gildylippá z dźiełá rycerskiego
Sławni, lecz ieszcze sławnieyszy z miłości,
Y z zobopolney ku sobie szczerośći.

* * *

Słuchániąc Krol tey Erminiey mowy,
Widźiał że iego ludźie iuż przegráli:
Bo mężny Rynáld, y Tánkred surowy,
Już ich z obu stron beli rozerwáli.
Gdy záś potem połk nátárł Dudonowy,
Nikt ſię nie opárł, wszyscyućiekáli.
Sam od Rynáldá koniem potrącony,
Ledwie wstał z źiemie Argánt obálony.

* * *

Y niewstałby był po tem uderzeniu,
By Rynáldowi koń był nie szwánkował:
Zá czem mu nogá uwięzłá w strzemieniu,
Y zmieszkał trochę niźli iey rátował.
Nieprzyiaćiel też po tem pogromieniu,
Do miástá pod mur rączo ustępował.
Samá Kloryndá tylko w oney dobie
Z Argántem, wszystkich trzymáłá ná sobie.

Y on y oná mężnie y státecznie,
Postawáiąc wraz, ták nászych wspieráli:
Ze iáko táko mogli uść bespiecznie,
Ci co do miástá naprzodućiekáli.
Dupon záś chćiwy chce szczęścia koniecznię
Pierwszego zażyć: śiecze, biie, wáli,
Raz tylko w łeb ćiął mężnego Tygráná,
A zdechł zárázem, táka byłá ráná.

* * *

Nic nie pomogłá zbroiá Korbánowi,
Ani Hálemu szyszak známienity:
Obu od szyie ták ćiął ku brzuchowi,
Ze duszá záraz wypádła z ielity.
Z zawoiem łeb zdiął Alimánsorowi,
Máchomet poległ ná wylot przebity:
Nákoniec y sam Cyrkászczyk fię boi,
Gdźie poyźrzy, widźi, iáko Dudon broi.

* * *

Zgrzyta zębámi Argánt rozgniewány,
Zástánawiał fię, lecz czásem uchodźił:
Wtym iákoś przypadł máło spodźiewány,
Y pod zbroię go koncerzem ugodźił:
Utopił go w niem, á od oney rány,
Dudon iuż więcey po świećie nie chodźił.
Ległeś (niestetysz) Rycerzu wybrány,
Y uiął ćię sen twardy nieprzespány.

* * *

Trzykroć fię wspierał y podnośił oczy,
Chcąc co słonecznych záchwyćić promieni:
Trzykroć upadał, pierwszey zbywa mocy,
Polega, blednie, y wszystek fię mieni.
Nákoniec oczy ćiężkiey pełne nocy
Zawárł, y poszedł do podźiemnych ćieni.
A Argánt skoro tę robotę spráwił,
Biegł wćiąż, y nic fię nád trupem nie báwił.

A chośia zlekká do swych ustępował,
Czásem fię wracał, y naszych wyzywał:
On to miecz co mi Hetman wász darował,
Dayćiesz mu spráwę iakom go używał:
Y odnieśćie mu że go będę chował,
Y ládá iáko nie będę go zbywał.
Mniemam że mu to słyszeć będźie miło,
Ze mi fię iem ták szczęśliwie zdárzyło.

* * *

A powiedźćie mu, że y sam skosztuie,
Jáko iest dobry, iáko doświadczony:
Y że go prętko sam w boku poczuie,
Kiedy w niem tákże będźie utopiony.
Słysząc to naszy iáko ich szkáluie,
Skoczyli zá niem śmiele przez zagony:
Ale on iuż był ustąpił pod mury,
Pod pewną básztę, z ktorey bito zgury.

* * *

Tem ktorzy murow wysokich bronili,
Drudzy kámienie gęste z dołu nieśli:
Y naszych z łukow wiele poszkodźili,
Co byli blisko pod mury podeśli.
Ták nie bez szkody názad fię wroćili,
A Sárráceni do swych w miásto weszli.
Już też y Rynáld prozen oney trwogi,
Wstawszy z podkonia dobył sobie nogi.

* * *

Biegł wielkiem pędem chcąc ná Cyrkászczyku
Zemśćić fię srogiey śmierći Dudonowey:
Krzyknie ná swoich, co po połkowniku
W oney przygodźie smętnie stali nowey.
Takli stać tylko dármo maćie w szyku?
A nic nie czynić w żáłośći tákowey:
Czemu fię wodzá nászego nie mśćiemy?
Czemu do murow záraz nie bieżemy?

Niechay z żelázá, niechay będą z stali,
Z básztámi iáko nawárownieyszemi:
By wszyscy co ich ná nich tákże stali,
Nie będźie Argánt bespieczny zá niemi.
Będą ſię y tám Sárráceni bali,
Ja wprzod do szturmu poydę przed wszystkiemi.
To rzekszy skoczy ku wysokiey śćienie,
Niedba ná strzáły, ognie, y kámienie.

* * *

Ogromną głowę y oczy gniewliwe,
Y strászliwą twarz tám y sám obráca:
W nieprzyiaćiołách trwożą ſię lękliwe
Sercá, mniemáią że iuż mur wywraca.
Kiedy ták Rynáld swoie szturmu chćiwe
Prowádźił pod mur, Sygier ie záwraca:
Przez ktorego więc záwsze odpráwował,
Gdy co ważnego Goffred roskázował.

* * *

Ten pocznie wołáć: bárzośćcie to śmieli,
Wroćić ſię názad Goffred roskázuie:
Będźiećie inszy czás do szturmu mieli,
Ktorego teraz Hetman nie náyduie.
Skoro te iego słowá usłyszeli,
Stánęli wszyscy, Rynáld ſię hámuie:
Lecz gniewu twarzą nie bárzo pokrywa,
Hetmáná názbyt ostrożnem názywa.

* * *

Ták nászy názad ustąpili cáło,
Bo Sárraceni ná nich nie wypádli:
Potem umarłe Dudonowe ćiáło,
Cni towárzysze ná rámioná kłádli.
Y do obozu (ták ſię wszystkiem zdáło)
Prowadźili ie smętni y pobládli.
Tem czásem Goffred oględował z gury
Mieyskie przykopy, y wysokie mury.

Jerozolimá ná dwu gurách leży,
Ktore uśiadły własnie przećiw sobie:
Jedná z nich wyzsza, śrzodkiem wielka bieży
Doliná, ktora dźieli gory obie.
Ze trzech stron (ná czem niemáło zależy
Ták ku obronie, iáko ku ozdobie)
Zbyt przykry przystęp, ále bok pułnocny,
Kędy rowniná ma mur bárzo mocny.

* * *

W Mieśćie, y krynic, y studźien iest wiele,
Y lochow źiemnych ná deszczowe wody:
W polu wod niemász, trawá áni źiele
Nie rośćie, rzadko gdźie widáć ogrody.
Wszystko wygore, ták iáko w popiele,
Drzew niemász w polu, ktore czynią chłody:
Lás tylko ieden widáć ná pułtory
Mile od miástá, y gęsty y spory.

* * *

Ná wschod skąd ránne wychadzáią zorze,
Ma Jordanowe wody przeźrzoczyste:
Ná zachod słońcá miedzyźiemne morze
Z dáleká widáć, y brzegi piaszczyste.
Przećiw pułnocy Sámárya orze,
Y płodna Bethel polá rozłożyste.
Ku południowi Betleem záległá,
W ktorey dźiewica niezmázána zległá.

* * *

Kiedy ták Hetman mury oględował,
Y Syońskiego miástá położenie:
A z ćwiczonemi ludźmi upátrował,
Zkądby łátwieysze było obleżenie.
Krolowi ktory ná wieży pilnował,
Erminia go ná pierwsze weyźrzenie
Poznawszy, pálcem ukazáłá potem,
Onoż ſię Goffred świeći w płaszczu złotem.

Ten do Krolestwá właśnie fię urodźił,
Y roskázować, y być umie Pánem:
A iest (w co rzadko kto kiedy ugodźił)
Dobrem zołnierzem, y dobrem Hetmanem.
Niewiem ktoby go w tey kupie przechodźił,
Y ktoryby z niem miał bydź porownánem.
Tánkred z Rynáldem rowno fię z niem kładźie
W dźielności, ále Ráymund tylko w radźie.

* * *

W tem Krol ná piękną weyźrzał Erminią,
Y rzekł: Pomnię go ná Fráncuskim dworze:
Kiedy w Páryżu goniwał z kopią,
A nie beł ieszcze w słuszney swoiey porze.
Jam wten czás posłem náwiedźił Fráncyą,
Gdy Krol Egipski słał mię tám przez morze:
Młodźienczykiem był, a iuż głos był táki,
Ze z niego miał być wielki człowiek iáki.

* * *

Prawdąć mowili: To kto? co ozdobny
Płaszcz ma ná sobie, złotem przetykány:
Twarzą y wzrostem bárzo mu podobny,
Pewnie ktoś zacny miedzy Chrześciany.
Tá mu odpowie: y to rycerz godny,
Bałdowin własnem imieniem názwány,
Brát iego własny, co y twarz wydaie,
Lecz bárźiey správy, y cne obyczaie.

* * *

Ten záśię stárzec co to z śiwą głową,
A zda fię że coś na pálcách ráchuie:
Mądry, ostrożny, Ráymundem go zową,
W sztukach woiennych nikt go nie celuie.
Rownego rádą, y słodką wymową
W woysku mu wszystkiem Hetman nie náyduie.
To záś iest z kitą u hełmu złotego
Gwilelm, syn młodszy Krolá Angielskiego.

Gwelf podle niego stoi urodzony
Z stárożytney krwie Włoskiego narodu:
Z męstwá, z zacności dáleko wsławiony,
Znam go z postáwy, y z sámego chodu.
Ale ná wszystkie pilnie patrząc strony,
Nie mogę naleść skaźce mego rodu.
O Boemundźie mowię okrutniku,
Moiey krolewskiey krwie prześládowniku.

* * *

Ták Erminia z Krolem rozmawiáłá,
Ktory fię bárzo iey powieśćią trwożył:
A widząc Goffred, że gdźie przykra skáłá
Trudnoby szturmem Jeruzalem pożył.
W rowninie ktora połnocney śięgáłá
Bramy, namioty, y oboz położył.
Y áż do wieże narożney záymował,
Y kto gdźie miał mieć stanie, ukázował.

* * *

Trzećią część miástá ledwie obegnáło,
Y to nie spełná woysko Goffredowe:
Bo niepodobna, áby było miáło
Wszystko okrążyć koło obozowe.
Ale ná drogi ktoremi czekało
Posiłkow iakich, słał ludźie gotowe:
Ktoremi wszystkie gośćince osadźił,
Gdźieby kto żywność, álbo lud prowádźił.

* * *

Wtem kazał áby oboz umocnili
Wielkiem przykopem, áby ták beł cáło:
Jefliby z miástá wyćieczkę czynili,
Albo też z polá chćiał kto nátrzeć śmiáło.
A skoro przykop przy niem wymierzyli,
Jechał oglądáć Dudonowe ćiáło:
Gdźie zástał pierwszych towárzyszow czoło,
Ktorzy płákáli, stoiąc nád niem wkoło.

Ci go ná máry wysokie włożyli,
Goffred widząc go, żałość swą pokrywał:
Twarz niewesołą tem co nań pátrzyli,
Y nie bárzo też smętną ukázywał.
Ták powiádali co tám w ten czás byli,
Ze się nań pátrząc długo zámyśliwał:
Myśliwszy długo, potem podniosł głowę,
Y táką nád niem uczynił przemowę.

* * *

Coć po łzách nászych? Rycerzu wybrány,
Ten iest nas wszystkich koniec ostáteczny:
Tuś umárł, tám wiek żyiesz nieprzetrwány,
Z chytrego morzá wszedszy w port bespieczny:
Jákoś żył, tákeś umárł bez przygány,
Ty teraz w niebie odpoczynek wieczny:
Y zá pobożność, y zá twoie cnoty,
Zá śmierć o wiárę, wieniec bierzesz złoty.

* * *

Tam żywiesz wiecznie, á my tu płáczemy
Nie twego, ále nieszczęścia naszego:
Y sámych śiebie lepszą część nieśiemy
Zá tobą, z zeszćia żałosni twoiego.
Ale iesli nas tą ktorą zowiemy
Smiercią pozbáwi rátunku ziemskiego:
Ná to mieysce nam ná płácz y frásunek
Uprośisz w niebie niebieski rátunek.

* * *

A iákoś będąc w tem śmiertelnem ćiele,
Smiertelney broni nam gwoli dobywał:
Ták teraz będźiesz ná nieprzeiaćiele,
Nie ziemskiey, ále niebieskiey używał:
Y iuż ćię od tąd twoy będzie w kośćiele.
Lud, o rátunek w złych przygodách wzywał:
Y ślubyć odda pełen nabożeństwá,
Zá zdárzone z twey przyczyny zwycięstwá.

Tak mowił: zatem noc nástępowáłá,
Y iuż wszystek świát pod swe skrzydłá kryłá:
A nárzekánie y łzy hámowáłá,
Y w niepámięći słodki żal topiłá.
Ale Hetmáná troská nie puszczałá,
Y snu mu máło, ábo nic życzyłá:
Myśli skąd tramow ná tárány zdobyć,
Ktoremiby mogł Jeruzálem dobyć.

* * *

Wstał rowno ze dniem, chćiał sam iść zá ćiáłem,
Ktore przednieyszy wszyscy prowádźili:
Gdźie mu z Cyprysow przy págorku málem
Grob towárzysze iego postáwili
Tuż przy obożie: nád niem z okazáłem
Liśćiem, gáłęźie wielka pálmá chyli:
Tám go włożyli, tem czasem śpiewáli
Kápłani zołtarz, y Bogá błagáli.

* * *

Swietne chorągwie miedzy gáłęźiámi
Porozwiiáli, dostáne w Syryey:
Z roznem rynsztunkiem, z roznemi łupámi,
Ktorych szczęśliwie zdobywał w Persyey.
We śrzodku zbroią y z nakolánkámi,
Y z hełmem złotem tkwiáłá ná kopiey:
A napis táki ná wierzch był włożony,
Tu wielki Dudon leży położony.

* * *

A skoro Goffred pogrzeb ten odpráwił,
Rádźił iakie miał porobić Tárany:
Cieśle woyskowe do lásá wyprawił,
Przydawszy iem lud lekki y przebrány:
Ktory w dolinach skryty był, obiáwił
Nászym Syryiczyk ieden poimány:
A ći iechźli drzewo wyprawować,
Z ktorego mieli Tarány budować.

Jeden drugiego wzaiem nápomina,
Aby robotę wskok odpráwowáli:
Záraz ſię wálić głuchy lás poczyna,
Cedry, Cyprysy, Topole rąbáli.
Ten buki twárde, y ieśiony ścina,
Ten wielkie sośnie, y iedliny wáli:
Drudzy wysokie ćiosali modrzewie,
Drudzy gáłęźie ścináli ná drzewie.

* * *

Swierki y dęby ogromne spadáły,
Pod sáme práwie niebo wynieśione:
Co ſię piorunom nie raz opierały,
Y nic niedbáły ná wiatry szalone.
Leśne dryády w pole ućiekáły,
Gwałtem z oyczyzny miłey wypędzone.
Ptastwá powietrzne, y źwierzętá samy
Poopuszczáły, y gniazdá, y iámy.

Koniec piesni trzećiey.

PIESN CZWARTA.

ARGUMENT.

Wszystkiey piekielney zwoływa czeládźi
Do iedney kupy, Płuton zágniewány:
Ktorą naywięcey dla tego gromádźi,
Aby szkodźili zewsząd Chrześćiány.
Zá ich powodem Hidráot ſię rádzi,
Z swoią Armidą, y chce áby Pány
Co naprzednieysze swą gładkością bodłá,
Y uwikłáne miłością uwiodłá.

Kiedy ták pilnie, y ták ukwápliwie
Robili ćieśle do lásá posłáni:
Ná Chrześćiány poyźrzał nieżyczliwie
Strászliwy tyran piekielney odchłáni.
A widząc ze ſię iem wiodło szczęśliwie,
Y że od Bogá beli miłowáni.
Z iádu ſię kąsał, y iáko byk ryknął,
Ták mu bol serce przeiął y przeniknął.

* * *

Chce wszystką mocą trapić Chrześćiány,
Według swoiego dawnego nałogu:
Ná to duchow złych zbor sobie poddány
Zbiera, do swego Krolewskiego progu.
Mniema ták sprosny głupiec opętány,
Ze to rzecz łátwia, przećiwić ſię Bogu.
Y niechce pomnieć szaleniec przezdźięki,
Jáki z gniewliwey piorun iego ręki.

Ogromną trąbą Lucyper zuchwały
Kupi do śiebie mieszkáńce podziemne:
Ktorey ſię ſtráſzne dźwięki rozlegáły,
Przechodząc piekłá, y przepáśći ćiemne.
Nigdy ták nieba ogromnie nie grzmiáły,
Gdy miecą gromy ná doliny źiemne.
Nie ták źiemiá drży, y trzęśie ſię ná dnie,
Gdy wiátr chce wypáść, co ſię w nię zákrádnie.

* * *

Zbiegli ſię záraz piekielni duchowie
Ná páłac, w ktorym mieszka Pluton srogi:
W roznych postáćiách, á kto ie wypowie?
Strach y wspominać: iedni kurze nogi,
Drudzy wielbłądźie, trzeći máią krowie,
Są y ći ktorzy ná łbie niosą rogi:
Jnszy záś wárkocz z węzow uplećiony,
Y smocze noszą zá sobą ogony.

* * *

Widźiałbyś tám beł Arpiie nieczyste
Centaury, Sphingi, wybladłe Gorgony,
Y szczekáiące Scylle zawieśiste,
Gwizdżące Hidry, świszczące Pitony,
Chimery sadze pluiące ogniste,
Strászne Cyklopy, srogie Geryony.
Y wiele dźiwow nigdy niewidánych,
Ż roznych postáći w iedne pomieszánych.

* * *

Stársze po práwey posádzono stronie,
Po lewey młodsze, y nie ták wspániałe:
We śrzodku Pluton strászliwy ná łonie
Trzyma żelázne sceptrum zárdzewiałe,
Ták beł sam w sobie ták wielki w ogonie,
Że ſię y Alpy przy niem zdáły máłe:
Y Atlás choćia ſięga pod obłoki,
Nie iest ták wielki, áni ták wysoki.

Oczy miał wśćiekłe, wzrok by u Komety,
Powagę mu twarz surową czyniłá:
Wszystek beł czarny od głowy do pięty,
Kosmáte pierśi, gęsta brodá kryłá.
Miązszy u gęby wąs wiśiał pomięty,
W czele miał ieden, we łbie rogow śiłá:
A ukrwáwiona gębá bełá táka,
Jáko głęboka straszna przepáść jáka.

* * *

Jáko Mongibel záráźliwe páry,
Y smrod wypuszcza, ták y iemu z gęby
Smierdźiáło właśnie, á z nosá bez miáry
Puszczał (áż brzydko) plugáwe otręby.
Gdy począł mowić, umilkł Cerber stáry,
Hidrá ścisnęłá wylękniona zęby.
Cofnął ſię Kocyt, Abissy zádrżáły,
Kiedy iego słow strászliwych słuchály.

* * *

Zacne Kśiążętá, godnieyszy ná niebie,
Mieszkáć nád słońcem, skąd rod prowádźićie:
Ktorych niesłusznie Bog wypchnął od śiebie
Z Państw, do ktorych z niem rowno należyćie:
Bał ſię nas pewnie, widźiał nas w potrzebie,
Y miał nas z kászel, co dobrze pomnićie.
Teraz on nieby y gwiazdami rządźi,
A nas zá swoię przećiwniki sądźi.

* * *

Y miásto świátłá y dnia pogodnego,
Zámknął nas w kluźie, y w wieczney ćiemności:
Záyrząc nam niebá, y słońcá iásnego,
Y oney pierwszey nászey szczęśliwośći.
A (co mię gryźie) co mi do dawnego
Bolu przydaie męki, y żáłośći:
Woła do niebá człowieká lichego,
Z błotá, y z podłey gliny zlepionego.

Máło miał ná tem, syná ná śmierć srogą,
Nam ná złe skazał, y ná świát wypráwił:
Ktory pomnićie z iáką nászą trwogą
Piekielne bramy wypárł y wystáwił.
Wydárł nam gwałtem korzyść naszę drogą,
Dusze zdobytę z więźienia wybáwił.
Ná żal nász wytknął chorągwie rozwitę,
Y tryumphuie; że piekło dobyte.

* * *

Ale puśćmy precz krzywdy stárodawne,
Y szkody ktore nam wyrządzał z wieku:
Te były záwsze, y teraz są sławne,
Jáko przećiw nam pomagał człowieku.
Lecz tylko świeże, y weźmy niedawne,
(Ják nas chce wniwecz obrośić od wieku)
Cożʔ nie widźićie ná co teraz godźi,
Wszystkie nam ludźie do śiebie odwodźi.

* * *

A my co ná toʔ czy tylko przez spáry
Poglądáć mamy, á on ták náćiera?
Widźićie iáko ten lud iego wiáry,
Ták fię w Azyey bárzo rospośćiera.
Nam weźmie wszystkę chwałę y ofiáry,
Już w Pálestynie kośćioły otwiera.
W ięzykach iego uyźrzyćie wnet nowych,
W miedźi, y w słupach imię mármorowych.

* * *

A násze będą bożnice proznowáć,
Násze báłwány pewney doydą zguby:
Jemu sámemu będą ofiárowáć
Złoto, y mirrę: iemu wieszáć śluby.
Do swych nam nie da kośćiołow wstępowáć,
A z czegosmy swe do tąd mieli chluby.
Już z dusz nie będą poddánych grzechowi,
Trybutu więcey płáćić Plutonowi.

Oy nie będźieć to: Będźiem o fię dbáli,
Jeszcze w nas dawne niewygásło męstwo:
Kiedysmy ognie ná niebo ćiskali,
Y mieczem śiekli na niebieskie Kśięstwo:
Mysmy tám przedsię sławę otrzymáli,
Z śmiáłego sercá, á oni zwyćięstwo.
Trudno tego przeć że oni wygráli,
Ale nam przedsię dźielność przyznawáli.

* * *

Jdźćiesz, á wzaiem śiły swoie znośćie
Ná ich zginienię, o rycerze mężni:
Dokąd w Azyey nieznáiomi gośćie
Nie będą mocni, y bárźiey potężni.
Gdźie ieden słáby, drudzy mu pomożćie,
Ná prowádźćie mi co naywięcey więźni,
Lub mocą, lubo dowćipem y rádą,
Szkodźćie iem wszędźie, y bądźćie zawádą.

* * *

Ten niech po świećie błądźi obłąkány,
Ci niech w roskoszách iáko wieprze tyią:
Ten záś w miłośći sprosney upętány
Niechay gnuśnieie, tego niech zabiią.
Niech fię buntuią ná swoie Hetmány
Niechay fię sámi miedzy sobą biią.
Niech woysko zginie, niech mu fię to stánie,
Że go pámiątká żadna nie zostánie.

* * *

Dáley Krolowi dáć mowić niechćieli,
(Ták fię gniewáły piekielne pokusy)
Ale ná ten świát záraz polećieli
Nieprzyiáćiele wieczni ludzkiey duszy.
A z tákiem szumem szli ćiemni Anyeli,
Jáko gdy wicher zawieruchy ruszy.
Swiátá niewidáć, chmury czarne wstáią,
Ktore y ziemię, y morzę mieszáią.

Wnet się po wszystkiem świećie rosproszyli
Ná rozne strony, pokusy przeklęte:
Sidłá ná ludźie skryte poczynili,
Y rády chytre, nowe, niepoięte.
Ale iáko ich naprzod poszkodźili,
Y z ktorey strony, wy o Pánny święte
Powiedźćie: wy to wiećie, à człowieká,
Ledwie głos tych spraw dochodźi z dáleká.

* * *

W Dámászku w ten czás bogátem pánował,
Hidraot sławny, czárnokśięznik stáry:
Ktory się w czárách z młodych lat uchował,
Y Dyabłom zawżdy oddawał ofiáry:
Ale daremnie. Nie wypraktykował,
Nie zgadły końcá oney woyny czáry:
Omylili go, y dyabli záklęći,
Y w chárákttery poryte pieczęći.

* * *

Ten ták rozumiał (ále ludzkie zdánie
(Nie raz błądźiło, y nie raz chybiáło)
Ze mieli bitwę przegráć Chrześćianie,
Jáko mu niebo przyobiecowáło.
Y że Egypskie możne woysko ná nie
Przyść, y ná głowę porázić ich miáło.
Radby z obietnic swego czárnokśięstwá
Był uczesnikiem onego zwyćięstwá.

* * *

Lecz iż o męstwie nászych trzymał śiłá,
Bał się w swych ludźiách iákiey wielkiey szkody:
Chćiałby żeby się ich potężna śiłá
Przez wnętrzne pierwey zmnieyszyłá niezgody:
Tákby się potem snádniey obáliłá
Przez iego, y przez Egypskie narody.
Tey myśli szátan postrzegł nieżyczliwy,
Y bárźiey umysł podżegał złośliwy.

Y ukazał mu iednę táiemnicę,
Co nienagorzy do tego służyłá:
Miał z rodzonego brátá synowicę,
Ktora zbyt chytra y dowćipna byłá:
Wielką y bárzo sławną czárownicę,
A ták się gładka byłá urodźiłá:
Ze w kráiách wschodnich gładszey nie wiedźiano,
Y udatnieyszey: ták to powiádano.

* * *

Do tey ták mowił: O ktora w postáwie
Mdłey białeygłowskiey, z męskiem sercem chodźisz:
Y iuż mię w trudnem czárnokśięskiem práwie,
Y w czárowniczey náuce przechodźisz.
Chciałbym ćię użyć w iedney pilney sprawie,
A ty iedno chćiey, we wszystko ugodźisz.
Przywiedź do skutku stárcá ostrożnego,
Tę rádę podług dowćipu zwykłego.

* * *

Jdź do obozu, á swoią gładkośćią
Serc nieużytych y twárdych dobyway:
Gdźie czás ukaże nie droż się z miłośćią,
Wzdychánia y słow łágodnych uzyway,
Płacz kiedy trzebá, nérabiay śmiáłośćią:
A śmiałość wstydem pánieńskiem pokryway.
Wzáiem ich łzámi, y śmiechem zágrzeway,
A kłamstwo płaszczem prawdy przyodźieway.

* * *

Jeśli być może Hetmáná sámego,
Laskáwem wzrokiem wpraw w napięte wniki:
Niech sobie wzmierźi Marsá surowego,
Niechay się imie bieśiad y podwiki.
Niemożeli być, więc kogo inszego,
Co naprzednieysze zwłaszczá połkowniki.
Dla wiáry wszystko uczynić się godźi,
Y dla oyczyzny, bo to społem chodźi.

Piękna Armidá záraz ſię gotuie,
Pobrawszy z sobą zwykłe swoie stroie:
Wieczor ſię w drogę ćicho wypráwuie,
Y zostáwuie oyczyste podwoie.
Tuszy, że piękną twarzą powoiuie,
Wielkie rycerze, bez mieczá, bez zbroie.
Roznie náurząd potem udawano
Ludźiom iey odiazd, gdy o nię pytano.

* * *

Máły czás wyszedł kiedy przyiechálá,
Gdźie Chrześćiánie rozbili namioty:
A skoro swoy wzrok y twarz ukazałá,
Y chod, y swoie cudowne przymioty.
Jako gdy iáka Kometá nástáłá,
Y ná niebieskie weszłá kołowroty:
Bieży co żywo, drudzy posyłáią,
Skąd cudzoźiemká ták piękna, pytáią.

* * *

Bogini z morskich zrodzona powodźi,
Nie iest ták stroyna, nie ták urodźiwa:
Wárkocz ma złoty, co czásem przechodźi
Bláskiem przez rąbek, czásem ſię odkrywa:
Ták więc kiedy ſię niebo wypogodźi,
To ſię z obłoku po trosze dobywa.
To z niego wszystko wyszedszy możnieyszy
Słońce ma promień, y dźień śle iásnieyszy.

* * *

Włos z przyrodzenia ukędźierzáwiony,
Puszczony ná wiátr, w pierśćienie ſię wiie:
Wzrok sam swe oczy wszystek zgromadzony,
Y skarb miłości, y swoy własny kryie.
Twarz miáłá iáko kiedy kto gładzony
Rumianą rożą słoniowy ząb zmyie,
Ust iáko godne, nigdy nie pochwalem,
Przechodzą piękne rubiny z koralem.

Snieg biały z pierśi, y z szyie wynika,
Gdźie ma swe gniazdo miłość przeráźliwa:
Mnieysza część pierśi ná wierzch ſię wymyka,
Wietszą część kryie szátá zazdrośćiwa.
Ale choćiá ie przed okiem zámyka,
Przechodźi rąbek y szátę, myśl chćiwa.
Tá niema dosyć ná zwierzchney pięknośći,
Wdźiera ſię gwałtem w táiemne skrytośći.

* * *

Jáko przez wody, y iásne kryształy,
Bez szkody promień słoneczny przechodźi:
Ták y myśl kiedy co widźi do chwały,
Przeydźie na wylot, á száćie nie szkodźi:
Y swey roskoszy owoc niedostały,
Powoley sobie dopiero rozwodźi.
Potem z nią żądzey, y chciwego śięga
Sercá, w ktorem swe płomienie záżega.

* * *

Wszyscy cudowną gładkość wychwaláią,
A oná tego wrzekomo nie widźi:
Baczy że śmiele ná śieć náćieráią,
Smiele ſię w sercu, y ćicho z nich szydźi.
Chce do Goffredá, tych co zábiegáią
Prośić o wodzá: lecz ſię wrzkomo wstydźi.
A wtem Eustácy przybiegł zápędzony,
Záyźrzawszy iey kęs, Goffredow rodzony.

* * *

Gdy ták Armidá o wodzu ſię pyta,
Jdąc przez oboz w gładkość uzbroiona:
Przystąpiwszy ſię Eustácy ią wita,
Ukłoni mu ſię, wrzkomo záwstydzona.
Záchwyćił záraz ogniá iáko chwyta
Płomieniá słomá, blisko położona.
Y rzecze do niey (śmiáłem go czynilá,
Młodość y miłość ktora go paliłá).

Pánno, ieślić to należy nazwisko,
Boginią ráczey zwáćbysmy cię mieli:
Nie pochlebuię, y prawdy to blisko,
Zesmy ták gładkiey nigdy nie widźieli.
Co ćię zágnáło w násze stánowisko,
Rádźibysmy ſię tego dowiedźieli:
Ktoś iest, y skądeś, niechay ćię poznamy,
Ze będźiem wiedźieć, iáko ćię czćić mamy.

* * *

Armida ná to: Bárzo mię chwálićie,
Czegom wam nigdy nie zásługowáłá:
A nie tylko mię śmiertelną widźićie,
Ale umárłą, a tylkom zostáłá
Zywą ná żáłość iáko usłyszyćie.
W nieszczęśćiu, w krzywdźie, ktora mię potkáłá,
Do wászego ſię Hetmáná ućiekam,
Od niego rády y rátunku czekam.

* * *

Przeto ieśli masz w sobie co litości,
Ziednay mi przystęp co pręcey u niego:
Słuszna, o pánno, że w twey doległośći,
Jego (pry) brátá używasz do tego.
Nie záwiedźiesz ſię ná iego ludźkośći,
Y ia pomogę, że bułáwá iego
Będźieć pomocna: y tá szábłá moia,
Czego urodá, y twarz godná twoiá.

* * *

Támże od niego przezeń wprowádzona,
Do sámey źiemie nisko ſię skłoniłá:
Potem ná piękney twarzy záwszydzona,
Stoiąc ná mieyscu słowá nie mowiłá:
Ale ćieszona y ubespieczona
Od Ewástcego, z boiáźni spuśćiłá:
Co iey dodawał sercá y śmiáłośći,
Zaczem ták swoie roszczęłá chytrośći.

Wielki Hetmánie, y niezwyćiężony,
O twey dźielności świádectwo dawáią
Dobyte miástá, dostáne Korony,
A żeś ie pośiadł, chluby z tąd szukáią:
Y tákeś twoią dobrośią wsławiony,
Y męstwem ktore wszyscy wychwaláią:
Ze o rátunek w swych potrzebách śmiele
Jdą do ćiebie, y nieprzyiaćiele.

* * *

Pewnam, chośiam ſię w pogáństwie rodźiłá,
Ktore ty mieczem swoiem chcesz okrośić:
Ze mię twa dobroć y twa można śiłá
Może do miłey oyczyzny przywrośić.
A coby drugi co ma krewnych śiłá,
Miał ſię o pomoc do swoich obrośić:
Ja przećiwko krwi mey pomocy muszę
U obcych szukáć, ieśli kogo ruszę.

* * *

Ty mię sam tylko możesz porátowáć,
Y posádźić mię w páństwách utráconych:
A iákoś hárdych zwykł mieczem woiowáć,
Ták masz bydź łáskaw ná upokorzonych.
Y ták ztąd sobie możesz obiecowáć
Tryumph, iáko z woysk wielkich porážonych.
Wielką masz sławę wiele państw zdobywszy,
Rowną będźiesz miáł, moię mi wrośiwszy.

* * *

Dla rożney wiáry ták ſię domyślawam,
Nie będźiesz ponno w moię krzywdę wglądał:
Ale ná dufność z ktorąć ſię odkrywam,
Słuszna żebyś się cokolwiek oglądał.
Spolnego Bogá ná świádectwo wzywam,
Ze nikt od ćiebie słusznieyszey nie żądał.
Lecz żebyś wiedźiał, co mi ſię dostało
Od moich krewnych, słuchay, proszę máło.

Jam oycá Krolá Arbilaná miáła,
Ktory beł w rownem szczęściu urodzony:
Ale mu mátká Káryklia dáłá
Dámászek murem mocnem otoczony.
Tá niemal pierwey z świátem ſię rozstáłá,
Niżlim ia z káżdey nieszczęśliwa strony
Wyszłá nań, iedney iam ſię urodźiłá
Godźiny, oná zywot położyłá.

* * *

Ale podobno nikt tego nie rzecze,
Y nikt tak łátwie temu nie uwierzy:
Jáko są rzeczy odmienne człowiecze,
Umarł mi ociec w pięć lat po máćierzy:
Zostawiwszy mię Stryiowi w opiece,
Patrz gdy ſię komu kto czego powierzy:
Rzadko mu ſię to od niego oddáie,
Zginęły z cnotą dobre obyczáie.

* * *

Ten mię w mem stanie zrázu pięknie chował,
Moie krolestwo dosyć dobrze rządźił:
Y oycowską mi miłość pokázował,
Káżdy go dobrem opiekunem sądźił.
Lecz kto ſię dobrze rzeczom przypátrował,
Nie ták iáko gmin pospolity błądźił:
Látwie mogł widźieć chciwość iego onę,
Kiedy mię chćiał dáć synowi zá żonę.

* * *

Oboieswá iuż bełá w słusznem lećie,
On był nikczemny, sprosny, y plugáwy:
Nigdźiey iáko żyw nie postał ná świećie,
Domá ſię schował, rycerskiey zabáwy
Zadney nie umiał: czásem prośći kmieće
Do káżdey będą sposobnieyszy správy.
Co ieszcze więtsza, przy tey nikczemności,
Był y łákomy, y pełen hárdości.

Zá tákiego mię chćiał wydáć szpetniká
Dobry opiekun, chcąc żebym go byłá
Wźiętá zá łożá mego uczesniká,
Y do krolestwá mego przypuśćiłá.
Ruszał rozumu, używał ięzyká,
Abym mu bełá ná to pozwoliłá:
Alem mu nigdy nie obiecowáłá,
Albom milczáłá, álbom odmawiáłá,

* * *

Odszedł nákoniec z twarza rozgniewáną
O to, żem mu tak odmawiáłá śmiele:
Zem Historyą mogłá nápisáną
Mego nieszczęśćia czytáć mu ná czele.
Od tądem byłá záwżdy zfrásowáną,
Snym miáłá dźiwne, nie sypiáłám wiele:
A strách ustáwny ktory mię przeymował,
Zle mi coś tuszył, zle mi obiecował.

* * *

Jednego mi ſię czásu ukazáłá
Postáć nieboszki mátki mey kochány:
Smętna, wybládła, y bárzo ſię zdáłá
Dáleko rozną od wymálowány.
Jam ſię wylękłá, á oná wołáłá,
Strzeż ſię, o corko, śmierći zgotowáney,
Ućiekay rychło, ućiekay z oyczyzny,
Gotuią ná ćię miecze, y trućizny.

* * *

Coż to pomogło? choć mi przyszłe trwogi,
Przyszłe nieszczęśćie serce przekłádáło:
Bo przez wiek młody w on frásunek srogi
Porádźić sobie ieszcze nieumiáło:
Wszystkiego odbiec, y oyczyste progi
Zostáwić wiecznie, ćiężko ſie widźiáło.
Zem ráczey umrzeć niebogá wołáłá,
A niżbym tego kiedy doczekáłá.

Smierćim ſię bałá, prawdá: ále záśię
Przed niąm ućiekáć strapiona nie śmiáłá:
Trudno powiedźieć swoy strách beło ná ſię,
Z tem żem ſię bałá, krycm ſię muśiáłá:
Ták w ustáwicznych mękách w onym czáśie
Zywotem przykrszy á niżli śmierć miáłá.
Jáko złoczyńcá ná plác wywiedźiony,
Kiedy miecz ná ſię widźi wynieśiony.

* * *

Wtem lub to był los iáki przyiáźliwy,
Lub coś gorszego ma mię potkác ieszcze:
Dawny oycowski sługá mnie życzliwy,
Upátrzywszy czás pogodny, y mieysce:
Powiedźiał mi to, że tyran złośliwy
Zywić mię dłużey żadną miárą nie chce:
Y że mu przyśiąc muśiał ná to wczorá,
Ze mię onegoż miał otruć wieczorá.

* * *

Dołożył tego: Poniewasz nie byłá
Podobna, zdrowie ináczey záchowáć:
Abym ućiekłá, y dom opuśćiłá,
W czem mię obiecał z swey strony rátowáć.
To słysząc, iam ſię prętko námyśliłá,
W drogem ſię záraz poczęłá gotować:
Chcąc z niem pospołu z złego stryiá mocy
Ućiec, zákryta płaszczem ćiemney nocy.

* * *

Już noc swoiemi czarnemi skrzydłámi,
Wszystek świát y mnie rázem nákrywáłá:
Gdym sámá tylko ze dwiemá pánnámi,
Táiemnie z mego zamku wychadzáłá:
A corazem ſię záleváiąc łzámi,
Ná moy Damászek názad oglądáłá:
Y żáłość serce zbolałe kráiáłá,
Kiedym ſię z miłą oyczyzną żegnáłá.

Przezdźięki práwie kray swoy ukochány,
Zostáwowáły, y oczy, y nogi:
Ták zostáwuie brzeg umiłowány
Lodź, gdy ma wyniść ná iáki szturm srogi.
Cała noc y dźień niosąc skryte rány
W żáłosnem sercu, mielismy tey drogi.
Przyszlismy potem do zamku iednego,
Tuź przy gránicy krolestwá moiego.

* * *

A ten zamek był własny Arontowy,
Co mię z okrutney ręki wyswobodźił:
A skoro Tyran obaczył surowy,
Ze mię y przestrzegł, y że mię uwodźił.
Potwarz y fałsz kładł ná oboie nowy,
Y ná to chytrze niecnotliwy godźił:
Aby to co sam chćiał zemną uczynić,
Mogł ná nas złożyć, y w tem nas obwinić.

* * *

Ták to udawał, żem ia przenaięłá
Tego Arontá ná táką robotę:
Ze go miał otruć, żebym ná kieł wźięłá,
Y udáłá ſię zátem ná niecnotę:
A sprosnego ſię wszeteczeństwa ięłá,
Nie máiąc względu ná żadną sromotę.
Jeśli to prawda, bodaybym umárłá,
Y źiemiá żywo niechby mię pożárła.

* * *

Znośna to byłá, y nie wielkie dźiwy,
Ze krwie, y moiey prágnął máiętnośći:
Ale że szczypał żywot moy uczćiwy,
To byłá ciężka, to były żáłośći.
Potem ſię boiąc, áby moy życzliwy
Lud ſię nie uiął, o me doległośći:
Zá nierządnicę mię do nich udawał,
Y co mogł ná nie zmyślał y dostawał.

Máło miáł ná tem że ná wierzch swey głowy,
Włożył koronę co mi należałá:
Máło że tákie mowił o mnie mowy,
Ná iákiem nigdy iá nie zárabiáłá.
Teraz chce spalić zamek Arontowy,
Gdźiebym mu fię z niem záraz nie poddáłá.
Nie tylko woyną, ále y mękámi,
Ale srogiemi grożąc nam śmierćiámi.

* * *

Y tę udawa, y tę ukázuie
Przyczynę tego postępku swoiego:
Ze dobrey sławy wesprze y rátuie,
Zelżoney przez mię stanu Krolewskiego.
Ale to plotki, strách to w niem sprawuie,
Zeby nie pozbył páństwá, do ktorego
On przyść nie może, tylko przez zgładzenie,
Własney dźiedźiczki y moie zginienie.

* * *

Niewątpliwa to, że ten swoy záwźięty
Zły zamysł łátwie nádemną wykona:
Bo co ma ná płácz tyran dbáć przeklęty?
Tem go nie zwalczę nędzna utrapiona,
Jeśli ty ku mnie litośćią nie zdięty:
Nie rátuiesz mię, proszę ućiśniona
Nędzna śierotá, niech dármo nie leie
Lez, bo pewnie krew nie długo wyleie.

* * *

Przez tę twą rękę, przez buláwę złotą,
Ktoráś zwoiował swe nieprzyiaćioły:
Przez one ktore z táką chcesz ochotą,
Wyrwáć z niewoley Syońskie kośćioły.
Miey miłośierdźie nád lichą śierotą,
Zkrzywdzoną, nędzną, umárłą nápoły.
A ieśli niechcesz pomoc mi z litośći,
Więc y z słuszności, y z spráwiedliwośći.

O ktorego Bog obrał ná Hetmáństwo,
Mężnego woyská y dźielnych rycerzow:
Ja żywot, á ty możesz mieć me páństwo,
Twoie iuż będźie spráwą twych żołnierzow.
Rátuy niewinney, wykorzeń tyráństwo,
Day mi dźieśiąći z przednieyszych Hárcerzow:
Tuszę, że dźieśięć temu wydołáią,
Siłá mam tákich, co zemną trzymáią.

* * *

Owszem z nich ieden co ma w swoiey mocy
Zamkową bramę, y klucz od niey nośi:
Otworzyć mi ią obiecuie wnocy,
Sam upomina, sam mię o to prośi:
Każe mi szukáć u ćiebie pomocy,
Y ták dáie znáć skoro fię ogłośi:
Ze mi co ludźi Chrześćiánie dádzą,
Bramy otworzą, Tyránná wygładzą.

* * *

To rzekszy zmilkłá, á swoy wzrok wstydliwy,
Ná doł ku źiemi smętná obraćáłá:
W Goffredźie umyłs zostawa wátpliwy,
Boi fię, by go w czem nie oszukáłá.
Wiádom co umie Poganin zdrádliwy,
Z drugiey go strony że krzywdę ćierpiáłá:
Y dobroć iego rusza przyrodzona,
W szláchetnych sercách záwsze wkorzeniona.

* * *

Widźi że słuszna rátować niebogę,
Lecz y to myślił swoią mądrą głową:
Zeby w te państwá wstáwił dobrze nogę,
Kiedyby przezeń zostáłá Krolową.
Y otworzyłby sobie łátwie drogę
Do rzeczy dálszych, y ná Egyptową
Siłę z Dámászku rynsztunki y złoto,
Y ludźie mogł mieć, bo tám łátwie o to.

Gdy ſię ták Goffred długo námyślawał,
Pilnie ná niego Armidá pátrzáłá:
Lubo ſię ruszył, lubo co postawał,
Twarzy y wzroku iego pilnowałá.
A że iey długo odpráwy nie dawał,
Frásowałá ſię, y często wzdychálá:
Niechćiał nákoniec przypáść ná tę spráwę,
Lecz iey dał przedsię łáskáwą odpráwę.

* * *

Bysmy ſię byli nie ięli státecznie
O Bożą krzywdę, y nie obroćili
Sił nászych indźiey, mogłábyś bespiecznie
Mieć z nich rátunek w teráznieyszey chwili:
Ale iżesmy lud Páński koniecznie
Z ćiężkiey niewoley wyrwáć umyślili,
Nie godźi ſię nam teraz śił rozrywáć,
Y rozposzczętych rzeczy omieszkywáć.

* * *

Lecz, zdárzyli Bog, że wyswobodźiemy
Lud nasz z niewoley, y tych murow świętych:
Za łáska iego wrychle dostániemy,
Y dokończemy rzeczy iuż roszczętych.
Przyrzekamyć to, y obiecuiemy,
Że ćię przywroćiem do twych państw odiętych.
Y twoię krzywdę mieć będźiem ná pieczy,
Teraz mi woysko rozrywáć nie krzeczy.

* * *

Ná tę odpowiedź krotką Goffredowę,
Armidá oczy ku źiemi trzymałá:
Potem podniosłá oćiężáłą głowę,
Y twarz gęstemi łzámi polewáłá.
A zdobywszy ſię záledwie ná mowę,
Tákiemi słowy smętna nárzekáła:
Nikomu, ách, zle, nigdy nieżyczliwsze
Nie były niebá, y nieprzyiáźliwsze.

Prozno sobie mam co dobrego tuszyć,
Wszystkie ná moy płácz sercá zkámieniáły:
A iáko złego Tyránná mam ruszyć?
Kiedyś ty sam nań został zátwárdźiáły.
Tyś nic nie winien, że ćię moiá wzruszyć
Krzywdá nię może, żeś ná nie niedbáły.
Niebá mi winny, niebá to spráwiły,
Nieba ćię twárdem ku mnie uczyniły.

* * *

Czemuż mię ráczey źle nie zábiiećie
Wieczne wyroki? ná co mię chowaćie?
(Ná ćię nie skárżę: Wiádoma ná świećie
Jest twoia dobroć) Máło ná tem maćie:
Ze mię w dźiećinnem pozbáwiwszy leće
Miłych rodźicow, wytchnąc mi nie dáćie.
Chcećie mię ieszcze z krolestwá wyzutą,
Abo zábitą, abo mieć otrutą.

* * *

A iż pánieńskiey práwo ućiwośći,
Dłużey mi ſię tu nie dopuśći báwić:
Gdźiesz ſię mam podźieć? ktosz mię z okrutnośći
Srogiego Stryiá będźie śmiał wybáwić?
Zaden nádemną niechce mieć litośći,
Nikt ſię o krzywdy me nie chce zástáwić.
Widzę przed sobą śmierć, y srogie męki,
Niechayże umrę ráczey od swey ręki.

* * *

To powiedźiawszy, więcey nie mowiłá,
Wspániałem gniewem ná twarzy zágrzana:
Y dawáłá znáć, że iuż odchodźiłá
Smętna, żálosna, y ukłopotána.
A ustáwicznem płáczem twarz kropiłá,
Jáki ma żałość z gniewem pomieszána.
A łzy iey beły kiedy ku słońcowi,
Podobne perłom, álbo kryształowi.

Jágody piękne łzámi pokropione,
Ktore od twarzy ná łono spadáły:
Zdáły fię kwiećie białe, y czerwone,
Ktore fię z sobą wespoł pomieszáły:
Kiedy swe głowy ná doł pochylone,
Niebieską rosą wdźięczną opłokáły.
A iutrzenká z nich wydáiąc świt rány,
Ná głowę kłáść ma wieniec przeplátány.

* * *

A mokre perły ktore ná iágody,
Jedná po drugiey kroplámi spadáią:
Tyśiąc serc twárdych, nie bez wielkiey szkody,
Nieugászonem ogniem zápaláią.
O iákie cudá: ogień idźie z wody,
Ogniste z mokrych łez skry wylatáią:
Niech to nie będźie u was z podźiwieniem,
Ma miłość záwsze moc nád przyrodzeniem.

* * *

Ten płácz zmyślony prawdźiwe wywodźił
Łzy, y kámienne sercá fię zmiękczáły:
Y o Goffredźie co iey nie dogodźił
Szły mowy rożne ktore go szczypáły.
Alboć fię (práwi) z Tygrysá urodźił,
Albo ze lwice, álbo z twárdey skáły:
Ze fię tákowey gładkośći da psowáć,
Y nie chce nędzney śieroty rátowáć.

* * *

Tákći szeptáli, lecz Eustácy młody,
Pełen ognistey płomieniá miłośći
Nie szeptał: ále niż drudzy swobody
Záżywał więtszey, y więtszey śmiáłośći.
Wżdy fię do spolney przychyl (práwi) zgody,
A spuść co Pánie z tey twey snrowośći:
Day też co woyská wszystkiego przyczynie,
Day spolney prośbie, á pomoż chudźinie.

Nie mowię áby połkownicy, áni
Jść z nią Rotmistrze co przednieyszy mieli:
Nie iestesmy ták w baczenie obráni,
Abysmyć kiedy ná to rádźić śmieli.
Ale z tych co są mniey obowiązáni,
Y ná swą szkodę ná woynę iść chćieli.
Dźieśiąći obráć ábo y mniey możesz,
Ták śił nie zmnieyszysz, y oney pomożesz.

* * *

Ten co rátuie ukrzywdzoney pánny,
Niewinney pánny, Bogu fię nie bierze:
Milsza iest Bogu ofiárá, Tyránny
Niezbożne niszczyć, niż długie paćierze.
Jam tą iey krzywdą do żywego ránny,
Y swą powinność záchowam w tey mierze:
Ktora należy cnemn Rycerzowi,
Pomágáć tey płći, y temu stanowi.

* * *

Przebog, niechay tey niesławy nie mamy,
Y ták zelżywey, y ták sromotliwey:
Ze niebespieczeństw, y pracey znikamy,
Dla rzeczy słuszney, y ták spráwiedliwey.
Ach niegodniśmy, że ná koń wśiadamy,
Ze broń nośiemy: ia iuż szable krzywey
Nośić, y zwáć fię nie będę Rycerzem,
Skłádam ten szyszak, y zbroię z páncerzem.

* * *

Ták tám Eustacy mowił zápalony,
A wszyscy inszy ná toż przypadáli:
Ze prośbą wszystkich Hetman przyćiśniony,
Pozwolić muśiał, ták go nálegáli.
Niech (pry) ták będźie, átom zwyćiężony,
Lecz chcę ábyśćie nię zápominali:
Ze ná to nigdy wola ma nie byłá,
Wászá to prośbá uporna spráwiłá.

Jednák wam daię rádę ztą przestrogą,
Abyśćie żądze wásze hámowali:
Dáley nie mowił, y puścił swą drogą
Upor, więcey też nie potrzebowáli.
Pátrzayćiesz, co łzy białogłowskie mogą,
Miękczeią ná nie Rycerze zuchwáli:
A złoty łáncuch z pięknych ust wychodźi,
To twárde sercá kędy zechce wodźi,

* * *

Zátem Eustácy pobiegł ku Armidźie,
Ktora ná stronie nárzekáiąc stałá:
Nie trwoż fię pánno, nász lud z tobą idźie:
Słuszna, ábyś fię iuż więcey nie bałá.
Jako gdy słońce z obłoku wynidźie,
Ták fię ná ten czás Armidá rosśmiałá:
Ze niebá do swey miłośći wzbudzáłá,
A zápłákáne oczy ućierałá.

* * *

Zá tę ich łáskę, y zá one chęći,
Wszystkiem przez krotkie dźiękowáłá słowá:
Y obiecáłá chować ie w pámięći,
Y wdźięcznośćią ie pláćić bydź gotowá.
Ták wszyscy od niey zostáli uięći,
A czego nie mogł ięzyk, to wymowá
Niema, milczeniem lepiey wyrazáłá,
Y nikt nie postrzegł, że wszystko zmyślálá,

* * *

A widząc że iey one chytre sztuki,
Ná początku fię ták dobrze zdárzyły:
Okiem y twarzą proste zwieść nieuki,
Y czynić więcey chce niźli czynili:
Cyrce z Medeą mocą swey náuki,
Co ludźie w rożne postáći mieniły.
Y ná kształt Syren chce słodkiemi słowy,
Włożyć ná zmysły człowiecze okowy.

A żeby ich w śieć naywięcey wpráwiłá,
Rożnych sposobow z niemi używálá:
Nie iednę wszystkiem postáwę czyniłá,
Ale ią według czásu odmieniálá.
Czásem wstydliwie w źiemię oczy kryłá,
Czásem ie chćiwie ná nich obracálá:
Jáko kto rączy, álbo był leniwy,
Wzrok iey niechętny, ábo był życzliwy.

* * *

Bo ieśli widźi że kto boiáźliwy,
Nie dufa w sobie, ábo osłábieie:
Ukázuie mu swoy wzrok przyiáźliwy,
Albo z niem mowi, álbo fię nań śmieie.
Ták przychęcony, y nie ták wątpliwy,
Sam w sobie źimne ożywia nádźieie:
Y przyszedszy iuz zátem do śmiáłośći,
Otuchę sobie czyni w iey miłośći.

* * *

Gdźie też postrzeże, że kto zápalony,
Názbyt bespiecznie chwyta fię miłośći:
Y wzrok y ięzyk trzyma odwrocony,
Y ták zostáie w swoiey powáżnośći,
Lecz nie ták przedfię, ábý z iákiey strony
Nie dawálá znáć po sobie litośći:
Ze chośia wątpią, nie trácą nádźieie,
Y im iest twárdsza, tym ich więcey grzeie.

* * *

Czásem fię sámá ná stronie uczyłá,
Y w rożną postáć swą twarz ubierálá:
Płácz sobie kiedy chćiáłá uczyniłá,
Y kiedy chćiáłá, wzad go hámowálá.
Ták nieostrożnych y prostych serc śiłá,
Do prawdźiwego pláczu przymuszałá:
Ogniem litośći hártuiąc swe strzały,
Z ktorych śmiertelne szły w sercá postrzały.

Czego niewieśćia chytrość nie wymyśli?
Nagle w wesele smutek odmieniáłá:
Smiałá ſię z niemi kiedy do niey przyszli,
Y swe w pogodę czoło ubieráłá.
A wzrokiem iásnem z nagłey dobrey myśli,
Ná smutnych serćách chmury rozbiiáłá:
Ták że co ſię wprzod żalem záchmurzyły,
Ná niebieski ſię śmiech wypogodźiły.

* * *

Smiechem y mową wdźięczną smák dawáłá,
Zmysłom dwoiaką roskoszą opitem:
Ze iakby sercá z pierśi wydźieráłá,
Wprzod nieprzywykłe wdziękom ták obfitem.
A miłość iáko zwykłá zábiiáłá,
Ták miodem iáko piołunem zákrytem:
W ktorey śmiertelne rowno káżdy doby,
Ták są lekárstwá, iáko y choroby.

* * *

Smiechy wesołe ze łzámi smętnemi,
Boiaźń nádźieie, lod z ogniem złożyłá:
Rzeczy przećiwne, y ták sobie z niemi
Jgrzysko własne nędznemi czyniłá.
A ieśli iey kto słowy przerwánemi,
Smie miłość odkryć, ktora go paliłá:
Ták iákoby w tem nigdy nie bywáłá,
Ze nie widźiáłá, złośnicá zmyślálá.

* * *

Albo ſię nagle wrzkomo záwstydźiłá,
Y urážiłá ná bespieczne słowá:
Ze świeże śrzony rożámi nakryłá,
Ná pięney twarzy gładka białagłowá.
Táka więc kiedy twarz urumieniłá,
Ná świát wychodźi żoná Tytonowá:
A tá rumiáność ktorą w niey gniew rodźi,
Z ową ktorą wstyd, mięsza ſię y zchodźi.

Lecz ieśli iey kto swoie zápalony
Ządze chce odkryć, w rzecz ſię z niem nie wdawa:
A czásem sámá nagle naleźiony
Sposob mu do mow umyślnie podawa:
Y záś go bierze tákże z káżdey strony,
Prozny nádźieie ná koniec zostawa.
Jáko myśliwiec co cáły iezdźęcy
Dźień, sámem zmierskiem tráći ślad źwierzęcy.

* * *

Teć były sztuki, te były chytrośći,
Ktoremi oná tyśiąc serc pożyłá:
Y owszem miecze budowney gładkośći,
Ktoremi mężne Rycerze gromiłá.
Coz tedy zá dźiw, że uwiązł w miłośći
Herkules Tezeus inszych tákże śiłá.
Jeśli ſię y ći, iey nie wybiegáli,
Co dla Chrystusá miecze przypasali.

KONIEC PIEŚNI CZWARTEY.

PIESN PIĄTA.

ARGUMENT.

Gniewa ſię Gernánd, że ſię záwołány
Jednegoż mieyscá Rynáld z niem nápieka:
Czyni z niem zwádę, y od srogiey rány,
Ktorą mu zádał, w obozie umiera.
Rynáld uiezdża z woyská wywołány,
Armidá chytra w drogę ſię wybiera.
Spráwiwszy wszystko: Oneyże godźiny,
Goffred od morzá gorskie ma nowiny.

Gdy ták Rycerzow wiele przychęconych,
Swoią gładkośćią Armidá łudźiłá:
Y nie tylko tych dźieśięć pozwolonych,
Lecz inszych śiłu mieć sobie tuszyłá.
Ktoby był wodzem tych z nią wyprawionych,
W Goffredźie tá rzecz wątpliwość czyniłá:
Tych co z niem ná swą szkodę szli, stáránie
Wielkie, wielkie w niem czyni rozerwánie.

* * *

Tey ostrożności użył w onym czáśie,
Ze kazał aby iednego obráli:
Coby ná mieysce Dudonowe záśię
Wstąpił, ktorego wszyscyby słuchali.
A ten ono wźiął obieránie ná ſię,
Bo tákby mu to wszyscy iuż przyználi:
Ze ich poważał, y gdźieby ſię chćieli
Skarżyć nań, iużby przyczyny nie mieli.

Przeto ich zwołáł do śiebie, y mowy
Tey do nich użył: Juześćie słyszeli
Zem ia rátować chćiał tey białeygłowy,
Kiedybyśmy wprzod miásto w ręku mieli.
Tożem y teraz uczynić gotowy.
Gdźiebyśćie y wy przypáść ná to chcieli:
Ten iest ná mylnem świećie bez wątpienia
Státeczny, co myśl częstokroć odmienia.

* * *

Lecz mniemaćieli, że ſię wam nie godźi
Znikáć tey pracey, y nie iść w tę drogę:
Y wielka chćiwość sławy was uwodźi,
Ze porzucaćie ostrożną przestrogę.
Com ráz dał mieyćie: ná mnie nic nie schodźi,
Nád wolą wászę wśćiągáć was nie mogę:
Wiem iá (co ponno przyznaćie mi sámi)
Jáko mam władzey używáć nád wámi.

* * *

Wolno iść, wolno niechodźić káżdemu,
Już to ná wászey woley niechay będźie:
Ale wprzod maćie Dudonowi cnemu
Dáć námiestniká, ktory po niem śiędźie,
Ten niech dźieśiąći z was, iácy ſię iemu
Podobáć będą, wybierze w tem rzędźie.
Bo ſię wam z tem wczás opowiedźieć wolę,
Ze mu dźieśiąći więcey nie pozwolę.

* * *

Ták mowił Goffred: ktoremu dźiękowáć
Wszyscy kázáli Eustácyusowi:
Jáko z dáleká rzeczy upátrowáć,
Y bydź ostrożnem trzebá Hetmánowi.
Ták záś należy ręką dokázowáć,
Y niestrwożonem sercem żołnierzowi.
Jnsza iest twoiá, insza nászá cnotá,
Tobie ostrożność, nam służy ochotá.

A iż ná wagę pożytek włożony,
Niebespieczeństwo y szkodę przechodźi:
Ták iáko ty chcesz, dźieśięć dla obrony
Sieroty poydźie, dźieśięć iey dogodźi.
Ták Gotyfredow ná ten czás rodzony,
Miłość táiemną chytrze pokryć godźi,
Ale y drudzy tákże powiádáią,
Ze fię dla sławy iść z nią nápieráią.

* * *

A iż Eustácy nierad widźiał syná
Bertoldowego, dla iego dźielności:
Y dla urody, tá byłá przyczyná,
Ze przećiw niemu záwżdy był w zazdrości:
Y że go niechćiał (iák to nie nowiná)
Mieć w towárzystwie oney swey miłości:
Prżeto ná stronie kiedy wszyscy wyszli,
Mowi z niem, y ták oszukáć go myśli.

* * *

Z rodźicow zacnych synu záwołány,
Ale zacnieyszy wielkiemi dźiełámi:
Co ty rozumiesz? kto będźie obrány,
Po cnem Dudonie połkownik nád námi.
Ja ktorym tylko dla wieku poddány,
Był Dudonowi, iáko wiećie sámi:
Nie mam iuż teraz komubym w tey dobie,
Tego ustąpił, ták wiedz, tylko tobie.

* * *

Ciebie, co z káżdem zrownasz urodzeniem,
A mnie przechodźisz sławą y dźielnością:
A (co niech będźie z iego odpuszczeniem)
Y przed Hetmánem masz umieiętnością.
Chćiałbym mieć stárszem, z twoiem pozwoleniem,
Jeslibyś niechćiał w drogę iść z tą gośćią:
Bo to wiem, że ty ukradkiem nábytey
Y nocą sławy, nie prágniesz nákrytey.

Będźiesz tu miał czás, y lepszą pogodę,
Ukázáć swoie serce nielękliwe:
A ia wtem inszych do tego prźywiodę,
Ze ná ćię dádzą swe głosy życzliwe.
Y upewniam ćię, że tego dowiodę,
A iż ia do tąd myśli mam wątpliwe:
Niechay mi będźie gdźie do tego przydźie,
Wolno tu zostáć, abo przy Armidźie.

* * *

Ostátnich tych słow swoich domawiáiąc,
Ták fię zápłonął bárzo w oney chwili:
Ze sobie inszy z niego przeszydzaiąc,
Látwie fię, o co mu szło, domyślili.
Lecz iż Rynaldá skorę tylko kráiąc,
Miłość rániłá, y nie ták fię śili
W niem, iáko w inszych ta ządza ognista,
W drodze z Armidą mało co korzysta.

* * *

Dudonowey mu żal niewymowiony
Smierći, ustáwnie pámięć w sercu ryie,
Y że do tego czásu niezemszczony,
Ma zá sromotę, y że Argánt żyie
Lecz Eustácego przedsię mowy ony
Prziymuie, y swey rádości nie kryie:
Ktora ma z chwały prawdźiwey u ludźi,
Y chęć do sławy więtszą w sobie budźi.

* * *

Y rzekł: Zem godźien tego mieyscá, ná tem
Mam dosyć, ále sam ná nie nie godzę:
Y kiedym w sławę, y cnotę bogátem,
Niedbam nic, choćia w Koronie nie chodzę.
Jednák fię z niego nie wymawiam, zá tem
Stárániem twoiem, gdźie fię ná nie zgodzę.
Y tem mię sámem do tego wzbudzaćie,
Ze wszyscy o mnie ták dobrze trzymaćie.

Miedzy dźieśiącią ty będźiesz obrány,
Jeśli ſię zdárzy że starszem zostánę:
Zátem Eustacy obszedł pierwsze Pány,
Y sposabiał ie ná przyszłą odmiánę.
Lecz ná toż godźił Gernánd záwołány,
Y choć Armidá zádáłá mu ránę:
Więcey w niem chćiwość wysokiego mieyscá,
Niż ostre mogą miłośći żeleścá.

* * *

Z Krolow Norweyskich Gernánd był zrodzony,
Szerokiey władzey, y wielkiey możności
Oycá y dźiádow, sceptrá, y korony,
Do niezmierney go przywodzą hárdośći.
Ten záś z swey własney dźielności wsławiony
Swey, nie swych przodkow, trzyma ſię zacności.
Acz y przodkowie słynęli ták w boiu
Od piąći set lat, iáko y w pokoiu.

* * *

Ale Norweyczyk, co tylko wielkiemi
Tytuły zacność y páństwy miárkuie:
Y wszystkich kłádźie przy sobie podłemi,
W ktorych Krolewskich ozdob nie náyduie.
Nie może zćierpieć że ſię z nierownemi
Śćiera, y że mu Rynáld zástępuie.
Y ták ſię iął tey swey nádęty dumy,
Że wszystkie z głowy wypędźił rozumy.

* * *

Postrzegł z Auernu ieden duch przeklęty,
Co Krolewicá hárdego dolega:
Wlazł mu w zanádrze, y ogień záięty,
Jeszcze tem bárźiey wzdyma y záżega
Nienawiść, y gniew szerzy w niem żáwźięty,
Y sercá práwie sámego dośięga:
Y táki mu głos posyła do słuchu,
Ktory mu dzwoni ustáwicznie w uchu.

Śćiera ſię z tobą Rynáld, y ták śmiele
Sławi swe iákieś przodki známienite:
Chcećli bydź rowien, nie trzebá tu wiele,
Niechći ukaże narody podbite.
Niech okrocone da nieprzyiaćiele,
Sceptrá, Korony, Krolestwá obfite.
Pátrz tego Włochá, rádby rowno chodźił
Z Krolmi, á on ſię w niewoley urodźił.

* * *

Wygra lub przegra, ácz iuż do tey doby
Wygrał, kiedy ſię ztobą śmiał poćierać:
Co rzeką wszyscy ludźie? Ten to, coby
Chćiał ſię z Gernándem o to mieysce spierać.
Mogłći ten stopień przydáć co ozdoby,
Nie mniey ią też mogł od ćiebie odbieráć.
Ale tem spodlał, y tem ſię znieważył,
Że ſię ten o nie stáráć ná ſię ważył.

* * *

Y ieśli prawdá, że máią ná pieczy
Umárli żywych, y cokolwiek czuią:
Co mniemasz? iáko ná niebie te rzeczy,
Dobrego stárcá Dudoná frásuią.
Jeśli to słuszna, y ieśli to grzeczy,
Że ſię tákowi bez wstydu náyduią:
Y że ten młodźik niedorosły ieszcze,
Smie po niem prośić o ták zacne mieysce.

* * *

A nie tylko śmie, y nie tylko prośi,
Y towárzystwo ná ſię práktykuie:
A pochwałę od ludźi odnośi,
Y tem ſię chlubi, tem ſię popisuie.
Lecz ieśli Goffred to zuchwálstwo znośi,
Abo go y sam ná to foretuie:
Obaczyszli to, y z niego zrozumiesz,
Pokaż mu ktoś iest, co możesz, co umiesz.

Jáko pochodnie ná wiátr wyniesione,
Gniew fię w Gernándźie żárzy zápálczywy:
Znieść go nie może serce záiątrzone,
Sle go przez oczy, y ięzyk dotkliwy,
Potwarzy szczere rozśiewa zmyślone,
Pysznem go czyni człowiek zazdrośćiwy:
Męstwá nie zowie śmiáłośćią y męstwem,
Desperácyą ráczey, y szaleństwem.

* * *

Rycerską iego dźielność, obyczáie,
Umysł wspániáły, y insze przymioty
Gáni, y opák do ludźi udaie:
Y krźći nie swemi nazwiskámi cnoty.
Y choć to iuż wie Rynáld, nie przestáie
Tych mow, wszystkie iuż pełne ich namioty:
Y wszystko woysko áni fię hámuie,
Lży go gdźie może, y nań nástępuie.

* * *

Bo chytry Sátan co mu ná ięzyku
Uśiadł, y wszystkie tworzył iego mowy:
Co raz w gniewliwem sposob Norweyczyku
Słow uszczypliwych wynáydował nowy.
Co wiedźieć czego o swem przećiwniku,
Urážliwemi nie powiádał słowy.
Był plác niemáły gdźie fię więc ziezdżáło,
Y do pierśćieniá Rycerstwo ganiało.

* * *

Tám w towárzystwá niemáłey gromádźie,
Zle go wspominał Gernánd popędliwy:
Y nań w piekielnem omoczony iádźie,
Wszystek obrácał ięzyk uszczypliwy.
Usłyszy Rynáld, że nań potwarz kładźie,
Nie może wytrwáć, ále niećierpliwy:
Dobywszy broni, głosem mu to zada,
Że łże iáko pies, y że fałsz powiáda.

Ták mieczem błysnął, iáko więc błyskáią
Pełne swych gromow y piorunow niebá:
Zlękł fię Norweyczyk, bo go doiezdżaią,
Widźi, że doydźie koniecznie potrzebá.
Jednak iż wszyscy ná to pátrzyć máią,
Stáwił fię przedsię mężnie iáko trzebá:
Dobywszy broni, ktorą miał u boku,
Nieprzyiaćiela czekał stoiąc w kroku.

* * *

Przez pięć tyśięcy (podobnom rzekł máło)
Dobytych szábel w ten czás widáć było:
Bo co raz ludźi więcey przybiegáło,
Y na támten plác gwałtem fię kupiło.
Powietrze z głosow pomieszánych drżáło,
Krzyk fię y wielkie wołánie szerzyło.
Jáko nád morzem kiedy w niepogody
Szum fię społ mięsza, y z wiátru y z wody.

* * *

Ale nic niedba ná strászliwe ony
Okrzyki Rynáld, áni fię hámuie:
Pnie fię do niego gniewem zápalony,
Ogień mu szczery z oczu wyskakuie:
Ná obie stronie kręći miecz stalony,
Y coraz to fię bliżey przystępuie:
Ták że nákoniec przebił fię do niego,
Pośiekszy sługi, y żołnierze iego,

* * *

Y ręką dobrze choć w gniewie ćwiczoną,
Podáie rázy ćięte, y sztychowe:
Raz nań tnie lewą, drugi práwą stroną,
Raz w pierśi mierzy, á drugi raz w głowę.
Y ostrą bronią okiem nie śćignioną.
Ná rány drogi wynáyduie nowe.
Y niespodźiáną szablą rázy miecze,
Y kędy fię mniey strzegą, kole, śiecze.

Ták długo nań śiekł mieczem w obie strony,
Że go przez pierśi dwakroć przebił srodzę:
Upadł ná źiemię Gernánd obálony,
Y duszę ze krwią wylał przez dwie drodze.
On też miecz w pochwy włożył ukrwáwiony,
A niechcąc więcey ludźi trzymáć w trwodze,
Złożył gniew, skoro zuchwálcá okroćił,
Y do swego fię namiotu obroćił.

* * *

Wtem Goffred słysząc ono zámieszánie,
Y zgiełk ták wielki w ludźie pospolitem:
Przypadł ná on plác y niespodźiewánie
Uyźrzał Gernándá przez pierśi przebitem.
A przyiaćiele płácz y nárzekánie,
Y słudzy smętni czynią nád zábitem.
Zdźiwi fię, pyta, kto fię tego ważył,
Kto srogi zákaz woyskowy znieważył.

* * *

Arnáld zmárłego Kśiążęćiá kochány,
Przydawał wági złemu uczynkowi:
Y ze go z lekkich przyczyn rozgniewány,
Niewinnie zábił, skárżył Goffredowi.
Y dla Chrystusá, tylko przypasány
Miecz, przećiw iego podniosł Rycerzowi:
Przećiwko władzey y Hetmańskiey grożie,
W głos obwołaney po wszystkiem obożie.

* * *

Y że trąbiono, że ktoby fię zwádźił
W woysku, śmierć srogą przez to zásługował:
A on nie tylko niewinnego zgłádźił,
Lecz y to mieysce ták nieuszánował.
Bo ieśliby kto kiedy ná to rádźił,
Aby nikt zá swoy grzech nie pokutował:
Wszyscyby ludźie krzywd fię swoich mścili,
Niechcąc áby ich sędźiowie sądźili.

Y żeby zwády dla tego sámego
Urosły, między rożnemi stronámi:
Przypomniał potem służby umárłego,
Y budźił w niem gniew płáczem y prośbámi.
Nie zniosł Arnáldá Tánkred skárżącego,
Y przed Hetmánem, y przed Rotmistrzámi
Bronił Rynáldá: lecz gdy dawał spráwę
Surową Goffred, czynił mu postáwę.

* * *

Dołożył Tánkred: O mądry Hetmánie,
Wspomni ná zacne iego urodzenie:
Ná rodowitość, y ná záwołánie,
Ná przednich domow spowinowácenie.
Ná stryiá Gwelfa: Nie iedno karánie
Wszystkiem należy: miey ná to baczenie.
Ze iedenże grzech, rożny w rożnych bywa,
W iednem iest więtszy, w drugiem go ubywa.

* * *

A Goffred ná to: y wielcy y máli,
Wszyscy iednáko niech práwá słuchaią:
Cóż będźie zá rząd? ieśli źli zuchwáli,
Grzeszyć bespiecznie bez karánia máią.
Nie nátośćie mi tę buławę dáli,
Niechay iey rowno wszyscy podlegáią.
Bo ieśli tylko máłych kárać chcećie,
Wolę dáleko, że mi ią weźmiecie.

* * *

Ták wiedz Tánkredźie, nie trzebáć w tem błądźić,
Málowánem bydź niechcę ná urzędźie:
Jam tu Hetmánem, ia tu sam chcę rządźić,
Rad uyźrzę kto mi tu w niem gmeráć będźie.
Umiem ia, iáko kiedy kogo sądźić,
Możnem y chudszem iednoż práwo wszędźie.
Nie odpowiedźiał Tánkred nic ná ony
Słowá, powagą iego zwyćiężony.

Ráymund pochwalał te Hetmáńskie mowy,
Przy stárożytney stoiąc surowośći:
Dobrze ták (práwi) ná te hárde głowy,
Nie może bydź rząd bez spráwiedliwośći.
Już tám upadek prętki y gotowy,
Gdźie grzeszyć wolno, gdźie nie karzą złośći:
Y namożnieysze Páństwá upadaią,
Tem, że występki winnem odpuszczáią.

* * *

Ták on tam mowił, á Tánkred to sobie
Brał w rozum, áni więcey fię tám báwił:
Koniowi włożył w bok ostrogi obie,
Y do obozu ztámtąd fię wypráwił.
Rynáld w namiećie śiedźiał w oney dobie,
Skoro Gernándá żywotá pozbawił:
Tamże mu Tánkred wszystko wypowiedźiał,
Co mowił Hetman, co Ráymund powiedźiał.

* * *

Dołożył tego: Acz to moie zdánie,
Ze twarz nie záwżdy umysłu odkrywa:
Y częstokroć to bywa nád mniemánie,
Ze źwierzchnia postáć ludźi oszukywa.
Jednák ile ia widzę po Hetmánie,
Y z tych słow ktorych w tey spráwie używa:
Mniemam ieśli fię nie mylę w mem zdániu,
Zeby ćię ponno chćiał mieć w zátrzymániu.

* * *

Rynáld fię rozśmiał ná te iego mowy,
Lecz z onem śmiechem gniew był pomieszány:
Ná niewolniká niech kładą okowy,
Już też to śiłá Tánkredźie ná Pány:
Wolnym beł záwsze, umrzećiem gotowy
Pierwey, niżlibych miał bydź poimány:
Jeszcze te ręce mogą władáć bronią,
Pętá fię pewnie y powrozow chronią.

Ale ieśli mam w nagrodźie otrzymáć
Zá me zasługi tákie obelżenie,
Y chce mię ponno w łáncuchu dotrzymáć:
Jáko ultáiá, y dáć ná więźienie.
Niechże mię przydźie ábo pośle imać,
Jeszcze fię Rynáld tą száblą ożenie:
Y doczeka go, iedno niech fię śpieszy.
Wszák dobrze uyźrzy iáko fię ućieszy.

* * *

To rzekszy: Zbroię ná fię kładł zarázem,
A gniew mu pałał z twarzy, y ze wzroku:
Páisz ná rámię przywiązał, y rázem
Száblę śmiertelną przypasał do boku.
Ták wszystek iásnem okryty żelázem,
Stał bárzo strászny, y ogromny w kroku:
Marsowi rowien, gdy ná srogie rány
Jdźie, żelázem y strácheм odźiany.

* * *

Ale rostropny Tánkred w oney dobie,
Błagał, y miękczył serce zágniewáne:
Wszyscy to (prawi) trzymáią o tobie,
Ze twoie męstwo iest nieporownáne.
Y tákąś sławę wszędźie ziednał sobie,
Ze twoie śiły niewypowiedźiáne.
Lecz nie day Boże, ábyś fię miał z niemi
Tu popisować, nád swemi własnemi.

* * *

Pytam ćię, ieśli męstwá dokázować
Masz nád swoią krwią, y nád Chrześćiány?
Y Zbáwićielá znowu chcesz krzyżować?
Do dawnych nowe przydáiąc mu rány.
A swiecką chwáłę bárźiey chcesz miłować,
Doczesną, krotką, y godną przygány:
Niżli nagrody ktore nas czekaią
W niebie, á wiecznie nieodmienne trwáią.

Boże ćię tákich myśli rácz uchowáć,
Zwyćięż sam śiebie, skroć wodze gniewowi:
Nie boiáźni to będą przypisowáć,
Lecz pobożnemu twemu postępkowi.
A ieślim godźien że mię náśládowáć,
Y mieysce memu chcesz dáć przykładowi:
Y iam miał krzywdę, álem sobie rádźić
Umiał, y z swemi niechćiałem ſię wádźić.

* * *

Gdym z Cylicyey pogáństwo wyrzućił,
Y rozwinąłem w niey chorągwie swoie:
Nádszedł Báldowin, y ná nie ſię rzućił,
Y wźiął niesłusznie to co było moie:
Ták dla łákomstwá przyiaźń zemną zrzućił,
Niech zá to ćierpi, Boże, sądy twoie.
Niechćiałem ia z niem obyść ſię tem kształtem,
Choćiam mu to zaś mogł odebráć gwałtem.

* * *

Ale ieśli ſię swem uczćiwem bronisz,
Y koniecznie być nie chcesz zátrzymánem:
Y iáko ten co ná háńbę nie gonisz,
Niechcesz bydź więźniem, áni poimánem.
U Boemundá lepiey że ſię schronisz
W Antyochiey, ná czás przed Hetmánem:
Bo ták bespiecznie być możesz na stronie,
Aż w niem gorącość po woley opłonie.

* * *

Bo ieśli prawdá iáko powiádáią,
Że Egypt ná nas woyská zbiera wszędźie:
W ten czás dopiero męstwo twe poznáią,
Y twoię dźielność kiedy ćię nie będźie:
Y że bez ćiebie woysko ktore máią,
Jest iáko ćiáło co ręki pozbędźie.
Wtem Gwelf przyszedszy co Tánkred powiádał
Chwalił, y rádźił, áby záraz wśiádał.

Ná tę wywody ktore mu czynili,
Ná ták gorące y długie namowy:
Przypadł nákoniec, iáko mu rádźili,
Ustąpić ná czás, młodźieniec surowy,
Wtem ſię do niego domowi kupili,
Káżdy z niem w drogę iacháć był gotowy,
Nikogo nie chce, á wszystkiem dźiękuie,
Y z parą ſię sług tylko wyprawuie.

* * *

Jedźie, á iádąc wielką nieśie w sobie
Do sławy chćiwość, ktora ſię w niem nieći:
Chce co wielkiego spráwić w oney dobie,
Do tego wszystkie swe obraca chęći,
O nowem iákiem zámyśla sposobie,
Dostánia sławy, y wieczney pamięći,
Chce y w zdłusz y w szerz Egypt wielki zwiedźić,
Y skryte źrzodłá Nylowe náwiedźić.

* * *

A Gwelf skoro go z Tánkredem wypráwił,
Y widźiał, że iuż w swoię drogę iedźie:
Ná onem mieyscu więcey ſię nie báwił,
Ale ſię iáchał pytáć o Goffredźie,
Aby ſię záraz obmowił y spráwił,
Goffred widząc go w stronę go odwiedźie:
Y poważnemi y mądremi słowy,
Cicho do niego użył tákiey mowy.

* * *

Nieblizu Aráld po obożie chodźi,
Już dawno po ćię ode mnie posłány:
Záprawdę Gwelfie chwalić ſię nie godźi,
Co twoy synowiec zbroił wyuzdány.
Niechay iáko chce z tego ſię wywodźi,
Winien, y godźien, áby był karány.
Rad będę widźiał iáko mi ſię spráwi,
Bo wszystkiem Goffred iednáko ſię stáwi.

Y pokaże to káżda iego spráwá,
Ze stoi záwsze przy spráwiedliwośći:
Y nie odstąpi słuszności y práwá,
Dla żadnych względow, y rodowitośći,
Ale ieśli záś woyskowa ustáwá,
Z przyczyny cudzey, nie z iego winnośći
Zgwałcona przezeń, iáko powiádaćie,
Do sądu mego stáwić mi go maćie.

* * *

Niech będźie wolnem ślubem záwiązány,
Tę łáskę niech ma y to pozwolenie:
Ale, ieśli fię nie stáwi pozwány,
Y wszystko w lekkie puśći poważenie.
Przydźie mi widzę do tákiey odmiány,
Ze com miał miękkie záwżdy przyrodzenie:
Muszę rad nie rad przy spráwiedliwośći,
Nad niem podług praw użyć surowośći.

* * *

Gwelf odpowiedźiał ná to Hetmánowi,
Człowiek w uczćiwe swoie urážony:
Nie mogł wyćierpieć złemu ięzykowi,
Co nań szczery fałsz rozśiewał zmyślony.
Jeśli go zábił, iakoż kres gniewowi
Spráwiedliwemu ma bydź zámierzony?
Ktoż w gniewie liczy, ábo w zwádźie rázy?
Kto w ten czás mierzy krzywdy, y urázy?

* * *

A iż mi każesz przed sobą go stáwić,
Zál mi że tego uczynić nie mogę:
Możesz fię o tem y od inszych spráwić,
Ze záraz iechał niewiem dokąd w drogę:
Gotowem tego y ręką popráwić,
Jeśli fię ozwie, każdemu pomogę.
Y ieśli go kto udawa że winien,
Wszędźie swoiey czci bronić był powinien.

Słusznie hárdego zuchwálcá okroćił,
Norweyczykowi słusznie utárł rogi:
Tego nie chwalę że práwo wywroćił
Woyskowe, że twoy zákaz wzgárdźił srogi.
A Hetman ná to: Boday fię nie wroćił
Więcey do woyská ztámtey swoiey drogi:
Niechay gdźie indźiey zwády tákie śieie,
Lepiey że indźiey, nie tu wyszáleie.

* * *

Tem czásem chytra pilnie popieráłá,
Przyobiecáney Armidá pomocy:
Około tego cáły dźień biegáłá,
Co dowćip, y co gładkość miáłá mocy.
A kiedy zorzá w morze západáłá,
Y mrok z czarnáwey występował nocy:
W namiot odległy z dwiemá ochmistrzámi
Wchodźiłá, z dwiemá stáremi pániámi.

* * *

Ale choć fię ták dobrze wyćwiczyłá,
Choć ták umiáłá użyć swey chytrośći:
Choć żadna tákiey ná świećie nie byłá,
Y potem ponno nie będźie gładkośći.
Y choćia wielkiem Rycerzom włożyłá
Powroz ná szyie, mocą swey miłośći:
Nie może słodkich roskoszy ponętą,
Przywieść Goffredá pod swą śieć nápiętą.

* * *

Dármo mu swoie chęći pokázuie,
Dármo go piękną twarzą swą uwodzi:
Jáko ptak gdy fię nákarmionem czuie,
Ná wyrzuconą pszenicę nie godźi.
Ták on syt świátá, świecką zostáwuie
Roskosz, á niebo tylko sobie słodźi.
Wszystkie postrzały ktore nań wychodzą
Z oczu y z twarzy, namniey mu nie szkodzą.

Y choć fortelow wszystkich używáłá,
Nie mogłá nigdy miłośći weń włudźić:
Coraz ſię iáko Proteus odmieniáłá,
Chcąc iákokolwiek do niey go pobudźić.
Wszystkie swe sztuki ná to obracáłá,
Że naospálszą mogłáby obudźić
Y naźimnieyszą miłość swą gładkośćią,
Lecz został cały Boską opátrznośćią.

* * *

Udátna dźiewká co sobie tuszyłá,
Dobyć nayczystszych serc samem weyźrzeniem:
Siłá z powagi, y z pychy spuśćiłá,
Widząc że Goffred stáwił ſię kámieniem.
Nákoniec słábszych w on czás umyśliłá
Y powolnieyszych sięgáć swym płomieniem,
Ták niedobyte miásto zostáwuie
Hetman, á indźiey z woyskiem ſię gotuie.

* * *

Lecz nie mniey mężne ná one iey zdrády,
Pokazáło ſię serce Tánkredowe:
Bo dla dawnieyszey miłośći zawády
Nie miáły mieyscá w niem płomienie nowe.
Jáko ieden iad drugie psuie iady,
Ták iedná miłość kiedy wleźie w głowę:
Nie puśći drugiey, tych dwu nie pożyłá,
Lecz wszystkich inszych Armidá paliła.

* * *

Bárzo ią boli że nic nie spráwiłá
Swoią gładkośćią w Goffredźie, w Tánkredźie
Po wielkiey części, iednák ſię ćieszyłá,
Że co przednieyszych z woyská z sobą wiedźie.
Pierwey niżby ſię zdrádá iey odkryłá
Myśli, iáko ich w bespieczne uwiedźie
Mieysce, gdźie insze y rożne powrozy
Od teráznieyszych, w rychle ná nich włoży.

A kiedy iuż czás przyszedł zámierzony,
Ktorego iey dáć pomoc obiecano:
Szłá do Hetmáná: Dźień (pry) náznáczony
Minął, ktorego odprawić mię miano,
A ieśli Tyran będźie przestrzeżony,
Że mi część woyská ná pomoc posłano:
Będźie gotowszy, y o to mi idźie,
Że nie ták łátwie pożyć go záś przydźie.

* * *

Przeto, nim mu to doniosą szpiegowie,
Co ná to wszędźie po stronách pilnuią:
Niech obiecáni od ćiebie wodzowie
Teraz ſię zemną záraz wypráwuią.
Bo ieśli krzywdy nie lubią Bogowie,
Jeśli niewinność y prawdę miłuią:
Pewnám, że wrychle w oyczyznie uśiędę,
Z ktorey ći Trybut záwżdy płáćić będę.

* * *

Musiał to Hetman pozwolić stroskány,
Coby bez niego byłá otrzymáłá:
Widźiał to wprawdźie że on miał te Pány
Obieráć, gdźieby prętko wyiechálá.
Ale cożʔ każdy prágnął bydź obrány,
Y bydź w dźieśiątku ktory poiąć miáłá.
Wszyscy go wielkiem gwałtem nálegáli,
Prosząc go o to, áby z nią iácháli.

* * *

Oná widząc to, że ſię w nich odkrywa
Serce ták łátwie, nowe śieci miecze:
Bicza z zawisney boiáźni używa,
Tem ich po bokách pogánia y śiecze.
Wie, że bez tego miłość słábsza bywa,
Wie, że bez tego leniwo ſię wlecze.
Ták zawodniká widźiem leniwszego,
Gdy wprzod iednego, wzad nie ma drugiego.

Y ták swoiego weyźrzenia każdemu,
Y łágodnego śmiechu udźielálá:
Ze ieden záyźrzał iey łáski drugiemu,
Nádźieiá ſię w nich z boiáźnią mieszálá.
Ták nędzni w on czás wzrokowi zdrádnemu,
Ktorem do śiebie chytrze przywabiálá:
Dawszy ſię uwieść biegli wyuzdáni,
Dármo ich Hetman strofuie, y gáni.

* * *

Choćby był rowno wszystkiem rad dogodźił,
Bo iednákowo wszystkiem był przychylny:
(Acz go nie ieden do gniewu przywodźił,
Pokázuiąc mu on upor ták śilny)
Lecz widząc że iem dármo to rozwodźił,
Wolał to ná los puśćić nieomylny:
Spiszćie (pry) wásze imioná, y na dno
Włożćie w co, á los rozsądźi was snádno.

* * *

Zátem przezwiská wszystkich popisano,
Y popisawszy mięszáć ie poczęto
W pewnem naczyniu: y po iednem brano,
Grabię z Pembrozy napierwszego wźięto
Artemidora: Po Grabi czytano
Gerhárdá, po niem Wacłáwá wyięto.
Ten iuż miał latá, y słynął z mądrośći,
A teraz ſię iął na stárość miłośći.

* * *

Jáko ſię ći trzey z tego rádowáli,
Y iáko byli ná on czás weseli:
Trudno powiedźieć, bo tego dostáli
Wprzod przed inszemi, czego wszyscy chćieli.
A ći co ieszcze ná spodku zostáli,
Niewymowioną boiaźń w sercu mieli:
Káżdy z niezmierną chćiwośćią pilnuie
Tego, co kártki z naczynia wyimuie.

Gwászek był czwarty: Rydolf po Gwászkonie,
Po Rydolfie záś Henryk z Olderykiem:
Więc Guilelm Kśiążę ná Roncylionie,
Szedł z Eberárdem z rodu Báwárczykiem.
Rámbáld wychodźił ná ostátniem zgonie,
Co potem Bożem został przećiwnikiem
Poturczywszy ſię, (o sromoto wieczna)
A czego miłość nie czyni bezecna?

* * *

Jnszy ktorych los minął w obierániu,
Złą nieżyczliwą fortunę winili:
Łáiąc miłośći, że w swem pánowániu
Dopuszczáłá iey sądźić w oney chwili.
Ale iż ludzka żądza w zákazániu
Záwźdy przećiwna, y ná to ſię śili:
Czego iey bronią, y każą zániechać,
Siłá ich szcześćiu ná złość z nią chce iechać.

* * *

Chcą z nią bydź zawsze y we dnie y w nocy,
Y żywot zá nię położyć gotowi:
Oná wesołe miecząc ná nich oczy,
Mową y słodkiem westchnieniem ich łowi.
Jeśli gdźie kupę zácnych paniąt zoczy,
Zegna ich życząc, áby byli zdrowi.
Wtem ſię też oná dźieśięć wybieráłá,
Y Gotyfredá w namiećie żegnáłá.

* * *

On iem przestrogi, y dawał náuki,
Aby Pogáńskiey nie dufáli wierze:
Zeby fortelne znáć umieli sztuki,
Zeby ostrożni w pewney stali mierze.
Lecz miłość niedba ná prośby, ná fuki,
Wiátr one iego słowa z sobą bierze.
Wtem ich odprawił: Oná też iechálá
W nocy z obozu, áni dniá czekálá.

Jádąc onych swych dźieśięć hołdownikow,
By ná tryumphie więźnie prowádźiłá:
Co gorsza, drugich wiele miłośnikow
Ná wielką szkodę w woysku zostáwiłá:
Ze rzadko ktory uchybił iey wnikow,
A skoro źiemię ćiemna noc okryłá:
Potáiemnie fię z woyská wykradáli,
Y zá nią ćicho w też tropy iacháli.

* * *

Wprzod szedł Eustácy zá nią zápędzony,
Y ledwie mroku doczekał ćiemnego:
Bieży co koń ma mocy, prowádzony
Przez ślepe ćienie od Bogá ślepego.
Całą noc práwie onę obłądzony
Tám y sám ieźdźił do świtu sámego:
Skoro odniáło tám gdźie nocowáłá,
Przypadł, gdy się iuż z noclegu ruszáłá.

* * *

Po zwykłem záraz poznawszy go znáku,
Pocznie nań wołáć Rambáld iádowity:
(Bo iego przyiazd nie był mu do smáku)
A ty tu po co? masz tu rok zawity?
Eustácy ná to: Wiem że nie ma bráku
Armidá, chcę iey służyć iáko y ty.
Kto ćię (pry) oddał? nie służą tu tácy.
Miłość uprzeyma, odpowie Eustácy.

* * *

Jam od miłośći, tyś szczęśćiem obrány,
Ktoż fię iey sługą słuszniey ma nazywáć?
Odpowie Rambáld srodze rozgniewany,
Nie możesz tego tytułu używáć:
Y niegodźieneś być miedzy dworzány,
Y z iey własnemi sługámi przebywáć.
A co gorszego chcesz ukradkiem ieszcze
Dostáć tey służby, y mieć tákie mieysce.

Nie mogł mu wytrwáć Eustácy tey mowy,
Ale do niego wielkiem pędem skoczy:
Nie złożył mu nic, y gorszemi słowy
Łáiąc, śmiele mu Rambáld poszedł w oczy.
Wyćiągnie rękę Krolewná, gotowy
Chcąc poiedynek rozwieść, (patrźcie mocy
Gładkośći) Ze mnie przybywa czeládźi,
A towarzystwá tobie: Coć (pry) wádźi?

* * *

Y ieśliś łáskaw co ná moie zdrowie,
Przecz mię rátunku zbawiasz potrzebnego?
Wczesnieś mi przybeł (drugiemu záś powie)
Obrońco sławy y zdrowia moiego.
Nie da Bog ábym zostáć miałá w słowie,
Y nie być wdźięczna sługi ták zacnego.
Ták iem mowiłá, á co raz niemáło
W drodze iey inszych z woyská przybywáło.

* * *

Tego zdáleká, tego zbliská miáłá,
A nic o sobie wszyscy niewiedźieli:
Oná káżdego wdźięcznie przyimowáłá,
Y wzrok łáskáwy miedzy wszystkie dźieli.
A skoro też noc dniowi mieysce dáłá,
Goffred, y inszy ich odiazd uyźrzeli:
Ktoremu serce iuż prorokowáło,
Ze ich co złego wrychle potkáć miáło.

* * *

Kiedy to sobie Hetman utrapiony
Rozbierał, smętek máiąc niepoięty:
Uyźrzy, á ono ieden ukurzony
Bieży do niego, żalem wielkiem zdięty.
Krol (pry) z Egyptu iuż ná wszystkie strony
Z możnemi pływa po morzu okręty,
Gwilelm Admirał Genueńskich łodźi,
Do wiadomośći wczás ći to przywodźi.

Do tego kiedy ięczmiony y żyto
Od morżá woysku lądem prowádzono:
Wszystkie wielbłądy, y konie rozbito,
Ktore żywnośćią bełło náiuczono.
Y ná głowę ich wszystkich práwie zbito,
Część ich w niewolą dáleką wiedźiono.
Zásádźili ſię beli po krzewinie
Zboycy Arábscy ná nie przy dolinie.

* * *

Ktorzy do tákiey śmiáłości iuż przyszli,
Y tákie czynią w támtem kráiu trwogi:
Ze náostatek to łotrostwo myśli
Wszystkie zástąpić gośćińce y drogi.
Przeto potrzeba áby ludźie wyszli
Zwoyská, ten rozboy pohámować srogi:
Y ubespieczyć drogi z tey przyczyny,
Co tu od morzá idą Pálestyny.

* * *

Pełen beł oboz, y wszystkie námioty
Nowin, y wieśći niepośćiesznych onych:
Zołnierz dla głodu rozczętey roboty
Odbiec y murow myśli oblężonych.
Hetman w nich zwykłey nieznáiąc ochoty,
Y wszystkich bárzo widząc potrwożonych:
Twarzą wesołą, y pięknemi słowy,
Cieszą̨c ich, tákiey użył do nich mowy.

* * *

Wy coście zemną przez rożne przygody,
Ták wiele świátá bespiecznie przebyli:
Wy ćoście mieczem potężne narody,
Pod Chrystusowe chorągwie podbili.
Wy ćoście wiátry, morzá, niepogody,
Głody, prágnienie, źimná zwyćiężyli:
Czego ſię teraz ták bárzo boićie?
Coż? opátrznośći Boskiey nie wierzyćie?

Bog, ktory w gorszem raźie was rátował,
Y do tąd ieszcze cáło was prowádźi:
Jáko was záwsze w swey opiece chował,
Ták w tych trudnośćiach teraz o was rádźi.
Káżdy z was wrychle będzie mu dźiękował
Zá łaski, ktore czyni swey czeladźi.
Przeto ćierpliwie znośćie te niewczásy,
A ná szczęśliwsze chowayćie ſię czasy.

* * *

Wiele inszych słow tákowych używał,
Ciesząc żołnierze swoie skłopotáne:
A wielkie twarzą wesołą pokrywał
Troski, y serce swoie zfrásowáne.
Myślił sam w sobie, y rády zdobywał,
Jáko miał woysko pożywić zebráne.
Jáko Egypską Armatę odwroćić,
Y iáko zboyce Aráby okroćić.

Koniec pieśni piątey.

PIESN SZOSTA.

ARGUMENT.

Argánt Chrześćian ná rękę wyzywa,
Otton ſię porwie, choć nie náznáczony:
Ale wypadszy zsiodłá, koniá zbywa,
Y do miástá beł zá więźniá wiedźiony,
Tánkred ſię biie, lecz go noc pokrywa,
Y poiedynek tem beł rozwiedźiony.
Erminia chce zleczyć swego Páná,
Y idźie z miástá nocą przyodźiáná.

Lecz z drugiey strony w mieśćie obleżoych
Dáleko lepsza nádźieiá ćieszyłá:
Bo krom dostátkow dawno náwieźionych,
Nocą żywnośći wprowádźili śiłá.
Koło murow też słábych y zwątlonych,
Wielka moc ludźi ustáwnie robiłá.
Zbyt miąsze bárzo y wysokie stoią,
Y naytęzszych ſię Táránow nie boią,

* * *

Krol sam skończywszy mury od pułnocy,
Potem záś bászty narożne wárował
Dla bespieczeństwá, y dla więtszey mocy,
Ziemią ie z gnoiem nápoły fasował.
Plátnerzom zbroie y we dnie, y w nocy
Z wielką pilnośćią robić roskázował.
Kiedy ſię tem Krol utroskány bawił,
Argánt ſię przedeń w oney dobie stáwił.

Długoż (pry) nas chcesz trzymáć w tem więźieniu?
Y między temi záwieráć murámi:
Widzęć ia pilność w rynsztunkow robieniu,
Słyszę że młoty brzmią z nakowálniámi.
Ná coż to? kiedy nam ku obelżeniu
Nieprzyiaćiel ſię wrywa przedmieśćiámi:
Nikt ſię iem oprzeć nie śmie z nászych ludźi,
Y nászá trąbá ze snu ich nie budźi.

* * *

Ták swe obiády, y sny nieprzerwáne
Własnie iáko w swych domách odpráwuią:
Wieczerze u nich rzadko nie piiáne,
Wysypiaią ſię, wyćieczek nie czuią.
Y ták nas wrychle tu pozámykáne,
Głodem y sámem niewczásem zwoiuią:
Y umrzeć muśiem nikczemnie po chwili,
Jeśli nas pomoc z Egyptu omyli.

* * *

Ja ſię z mey strony, Krolu, opowiádam,
Ze końcá niechcę ták obelżywego,
Y ták sromotney śmierći: Záraz wśiádam,
Ani tu dniá chcę czekáć iutrzeyszego.
Wyrokowći ia niebieskich nie bádam,
Niech będźie co chce z przeyźrzenia wiecznego.
To wiem że umrę száblę w ręku máiąc,
Sławy, y śmierći poczćiwey szukáiąc.

* * *

Ale ieśli co w sercách wászych zywie
Chęci, do sławy nieoszácowáney:
Nie tylko umrzeć mężnie y uczćiwie,
Alebym ſię tez spodźiewał wygráney.
Wśiádaymy ná koń, iedźmy nie leniwie,
Sprobuymy szábie dawno zápomniáney.
W naygorszych ráźiech tak to powiádáią,
Nayśmielsze rády, naylepsze bywáią.

A ieśliśćie też nie ták bárzo śmieli,
Y nie ták wiele śiłom swem ufaćie:
Abyśćie z woyskiem wszystkiem wyniść mieli.
Ná dwu rycerzow lepiey że to daćie.
Niech Chrześćiánie ieśli będą chćieli,
(Bo tego słusznie pozwolić iem maćie)
Broń obieráią, niech mieysce wydádzą,
Y te sposoby ktore śię im zdádzą.

* * *

Bo nieprzyiaćiel ieśli iednę duszę,
Y dwie ma tylko ręce iáko drugi:
Ja nieomylnie swey wygráney tuszę,
Jeśli mię do tey użyiesz posługi.
Przeto ćię proszę, niech kopią kruszę,
Ták śię ten zaćiąg skończy pręcey dłngi.
Nie záwiodę ćię, dáięć rękę ná to,
Y przyrzekam ći, y ślubuięć zá to.

* * *

Krol mu krotkiemi odpowiedźiał słowy,
Choć mię ták widźisz stárem, y sędźiwem:
Nie tákem słáby, nie ták niegotowy,
Nie tákem iáko mniemasz boiáźliwem.
Abych ták bárzo miał chronić tey głowy,
Y chćiał sposobem umrzeć obelżywem:
Kiedybym śię bał, iákiey znáczney szkody,
Albo przyść na mię miáły iákie głody.

* * *

Lecz żebyś wiedźiał dlá ktorey przyczyny
Myślę śię z woyskiem do czásu záwieráć:
Soliman, o czem pewne mam nowiny,
Z Niceey do mnie począł śię wybieráć:
Y kazał áż od Libiyskiey kráiny,
Hufce Arábow rosproszone zbieráć.
Ná Chrześćiány chcąc uderzyć w nocy,
Wprowádźić żywność, y dáć nam pomocy.

Ze nieprzyiaćiel trzyma zamki máłe,
Y drobne miástá w okolicy szkodźi:
By tylko beło Jeruzálem cáłe,
Y tá stolicá niech ćię nie obchodźi.
Przeto skroć ná czás zamysły wspániáłe,
Nie ták głęboko w rzeczy patrzą młodźi:
Schoway swe ná czás pogodnieyszy męstwo,
Sobie ná sławę, á mnie ná zwyćięstwo.

* * *

Gniewał śię ponno Argánt w oney dobie,
Nie bárzo tám rad beł Solimánowi:
Nieprzyiaćiołmi záwżdy beli sobie;
Záperzywszy śię odpowie Krolowi:
Mnie milczeć o tem należy, á tobie
Uczynić co chcesz: Lecz to rozumowi
Przećiwna, áby ten co páństwá swego
Nie mogł obronić, obronił cudzego.

* * *

Niech przydźie iáko wypráwiony z niebá,
Wyswobodźić was z tego obleżenia:
Niech wam wprowádźi żywnośći y chlebá,
Niechay was z tego wyzwoli więźienia.
Mnie niczyiego ratunku nie trzebá,
Już wy tu śiedźćie: A ia pozwolenia
Proszę, niech w pole iadę, nie od ćiebie
Kruszyć kopią, ále sam od śiebie.

* * *

A Krol mu ná to: Rycerzu cnotliwy,
Wolałbym ćię był ná inszy czás chowáć:
Ale iżeś ták boiu bárzo chćiwy,
Pozwalam ná to, niechcę ćię hámowáć.
Zá temi słowy Argánt ukwápliwy,
Ná poiedynek pocznie śię gotowáć.
Y przyzwánemu rzecze Trębáczowi,
Jedź: á przy wszystkich powiedz Goffredowi.

Ze ieden Rycerz, ktorego to boli,
Ze go zá temi trzymaią murámi:
W przestronem polu, á nie w mieśćie woli,
Popisować fię z swoiemi śiłámi.
Y ze go uyźrzy gdźie ná to pozwoli
Wrowni, pod swemi záraz obozámi:
A że wyzywa ná rękę ktorego
Ma w swoiem woysku co namężnieyszego.

* * *

Y ták powiáda, że tego dowiedźie,
Nierzkąc fię z iednem, y dwiemá kosztować:
Niech po trzech czwarty y piąty wyiedźie,
A po iednemu máią nástępować.
Tego co przegra, niech zwyćiężcá wiedźie,
Jeśli go też chce wolnośćią darować,
Wolno mu będźie, ták mu roskázował:
A Trębácz fię też záraz wypráwował.

* * *

Przyiechawszy tám kędy przy Hetmánie
Co naprzednieyszy śiedźieli wodzowie,
Beł prowádzony, y począł: O Pánie
Pytam? daćieli mieysce wolney mowie.
Odpowie Goffred: Nićći fię nie stánie,
Wszędźie bespieczni bywáią posłowie.
Więc powiem (práwi) ćierpliwie słuchayćie,
A ná Páná fię, nie ná mię gniewayćie.

* * *

Potem poselstwo ták hárdźie správował,
Y ták zuchwále, że ći co słuchali:
By ich beł samże Hetman nie hámował,
Podobnoby mu byli nie wytrwáli.
Goffred po sobie sam nie pokázował
Gniewu, rzekł tylko: Bárzośćie zuchwáli,
Powiedz, że piąty pewnie fię nie stáwi,
Kto wie? ieśli go pierwszy nie odprawi.

Niechże nie mięszka, á Goffred ślubuie,
Ze bez zasadek da mu wolne pole:
Y iednego z swych stáwić obiecuie
Przeciwko niemu w rozmierzonem kole.
Trębácz fię zatem názad wypráwuie,
A ostrogámi koniá w boki kole.
Wiechawszy w miásto, poszedł ukwápliwy
Tám gdźie go czekał Argánt boiu chćiwy.

* * *

Gotowi fię bić (práwi) Chrześćiánie,
Nie baw fię więcey, á odźiey fię zbroią:
Nie tylko ci co blisko przy Hetmánie,
Ale y mnieyszy, znáć że fię nie boią.
Zuchwále fię iem zdało twe wskazánie,
Wszyscy fię pychą urázili twoią.
Wierzyć iem strony bespieczeństwá możem,
Plác między miástem, á między obozem.

* * *

Wźiął ná fię zbroię Argánt nie mieszkáiąc,
A pálász przez fię záwieśił ná bindźie:
Krol Chrześćiánom nie bárzo dufáiąc,
Kazał go przedsię prowádźić Kloryndźie
Dla bespieczeństwá, pilne oko máiąc,
Niechay (pry) ztobą tyśiąc iezdy wyńdźie.
A kiedy mu fię bić przydźie sámemu,
Zdáleká stánąć każ ludowi swemu.

* * *

A w tem ći, co go z miástá prowádźili
Ná plác, ktory beł ná to náznáczony:
Wszyscy we zbroiách z bramy wychodźili,
A wprzod szedł Argánt świetno ustroiony.
Plác ten od miástá w ćwieréi leżał mili,
Wszystek odkryty, y niezásłoniony:
W rowni ktora fię do tego ták zdáłá,
Jákoby fię też umyślnie szukáłá.

Ná oczu woyská sam ieden wszystkiego
Stánął tám Argánt, Argánt urodźiwy:
Z sercá mężnego, z wzrostu ogromnego,
Z szerokich plecu, srogi, y strászliwy.
Do Enceládá y Philistyńskiego
Mężá podobny, á wzrok niosł gniewliwy.
Ale fię z niem bić przedsię wszyscy chćieli,
Bo iego śiły ieszcze nie wiedźieli.

* * *

Jeszcze był wten czás Goffred nie miánował
Kogo miał ná to obráć między swemi:
Tánkredá iednák káżdy upátrował,
Przyznawáiąc mu męstwo przed inszemi:
Y w rycerskiem mu dźiele ustępował,
Kłádąc go między co nadźielnieyszemi.
Y wgłos iuż o tem y wielcy, y máli,
Po wszystkiem práwie obośie szemráli.

* * *

To beło wszystkich zdánie o Tánkredźie,
Poiedynki mu były nie nowiná:
Toż rozumienie beło y w Goffredźie,
Jedź (práwi) okroć tego pogániná.
Tánkred wesoły záraz w pole iedźie,
Szczęśćia mu dobra winszuie drużyná:
Ktora go piękney pełnego ochoty
Wyprowádźiłá w pole zá namioty.

* * *

Od tego plácu dáleko był ieszcze,
Ná ktorem z sobą w on czás czynić mieli:
Gdy iuż poćiechę swoię serce wieszcze
Czuło, bo piękna Bohatyrká w bieli
Nagle fię ná to podemknęłá mieysce,
Nigdyśćie śniegow bielszych nie widźieli:
Jáko tá szátá co na zbroi miáłá,
A z ssyszaká twarz wszystkę ukazáłá.

Obaczywszy ią więcey nie pilnuie
Gdźie go ná plácu czeka Argánt śmiáły:
Ale po máłu zá nią nástępuie,
Aż fię nákoniec zstawa skámieniáły.
Mroz z wierzchu, wewnątrz srogi ogień czuie,
Stoi ná mieyscu podobien do skáły:
Wlepiwszy w nię wzrok, y czyni postáwę,
Ze z Cyrkászczykiem niedba o rospráwę.

* * *

On też uyźrzawszy że nikt przećiw niemu
Nie idźie w szránki, y niechce fię ruszyć,
Woła: Coż to iest? wżdy każćie ktoremu
Stáwić fię ná plác, y kopią kruszyć.
Tánkred nie słyszy, y oku chćiwemu
Woli dáć obrok, y wnątrz serce suszyć.
Wtem Otton wodze wypuśćił koniowi,
Y skoczył ná plác przećiw Argántowi.

* * *

Otton beł ieden ktory fię nápierał
Czynić z Argántem, z inszemi zacnemi:
Z Tánkredem potem o to fię nie spierał,
Y prowádźił go z obozu z drugiemi.
A teraz słysząc że Argánt wywierał,
Y słowy násze łżył uszczypliwemi:
Y że fię Tánkred zápomniał bez máłá,
Porwał pogodę, ktora fię podáłá.

* * *

Nie ták lew młody kiedy byká zoczył
Bieży do niego, głodem przemorzony:
Jáko ná ten czáś Otton rączo skoczył,
Argánt do niego także z drugiey strony.
Dopiero Tánkred názad koniem toczył,
Jáko z twárdego spánia obudzony:
Woła nań, postoy, mnie fię bić należy,
Nie słyszy Otton, y potkáć fię bieży.

Zástánowił ſię, á oczy mu obie
Pałáły, bo był srodze rozgniewány:
Ze go uprzedźił zá hánbę ma sobie,
Widźi, że wielkiey nie uydźie przygány.
Wtem Cyrkászczyká Otton w oney dobie
Uderzył drzewem w szyszak hecowány.
A on mu páiż wprzod á zbroię potem,
Zá iednem rázem ostrem przebił grotem.

* * *

Bárzo ſię Otton nieborak omylił,
Bo wypadł z śiodłá nád mniemánie swoie:
Ale pogánin áni ſię náchylił,
Bo był mocnieyszy pewnie tyle troie.
Potem ſię z konia do Ottoná zchylił,
Mowiąc mu hárdźie, day ſię w ręce moie:
Dosyć masz sławy, y możesz ſię chlubić,
Żeś ſię bił zemną, y żeś mię chćiał ubić.

* * *

Nie ták ſię prętko nászy poddawaią
Jáko rozumiesz (Otton mu odpowie)
Niech mię z nieszczęśćia drudzy wymawiáią,
Ja ſię chcę pomśćić, albo strácić zdrowie.
W Argáncie oczy płomieniem pałáią,
Roziadł ſię iák pies, y słow kilká powie:
Poznayże (práwi) iáka moiá śiłá,
Kiedyć y dobroć, y ludzkość nie miłá.

* * *

Ledwie ſię Otton ná nogi postáwił,
On koniá zwárwszy nátrze ná pieszego:
Uskoczył Otton, y záś ſię poprawił,
Y bronią boku dośiągł mu lewego.
Prawdá to że miecz dobrze w niem ukrwáwił,
Lecz bez pożytku y skutku żadnego:
Bo nie osłábiał namniey z oney rány,
Ale był duższy Argánt rozgniewány.

Zátrzymał koniá y názad go wrośił,
Y ná Ottoná iáko ptak przypádnie:
Ze ſię nie postrzegł kiedy ſię obrośił,
Y ták mu przyszło potrąśić go snádnie.
Tem potrąceniem záráz go okrośił,
Drżą mu koláná, twarz mu wszystká bládnie:
Leći do źiemie, zátem ſię powálił,
Ták twárdy beł raz ktory go obálił.

* * *

Sroży ſię Argánt, pierśi leżącemu
Podeptał zwárwszy koniá ostrogámi:
Ták będźie (woła) káżdemu hárdemu,
Ják temu co mi leży pod nogámi.
Dopiero Tánkred koniowi swoiemu
Nie da stać, ále popuśći wodzámi.
Zal mu Ottoná, widźi że źle spráwił,
Radby ſię po swem występku poprawił.

* * *

Z wielkiem ku niemu poskoczy okrzykiem
Ná rączem koniu, głosem nań wołáiąc:
Ty pśie pogański, co ſię okrutnikiem
Czynisz nád więźniem, w ręku go trzymáiąc.
Znáć to po tobie, żeś beł rozboynikiem,
Náwykłeś tego z Aráby zbiiáiąc.
Niegodźieneś tey słoneczney świátłośći,
Dla swoiey dźikiey źwierzęcey srogośći.

* * *

Ostátek Tánkred Marsowi poruczy,
Cyrkászczyk zgrzytá, śćiska z gniewu zęby:
Chce odpowiedźieć, ále tylko mruczy,
Niezrozumiány dźwięk mu pada z gęby.
Jáko więc obłok w niepogodę huczy,
Z ktorego piorun wypada troyzęby:
Ták káżde słowo Argántowe było,
Zdáło ſię że grzmi, kiedy wychodźiło.

A kiedy obá z onego łáiánia
Wzaiemnego, gniew w sobie pobudźili:
Ták ten, iáko ow, rączo do potkánia
Szli, y obádwá do śiebie skoczyli.
Wy mi, o Pánny, dayćie do śpiewánia
Głos tey woienney rowny krotofili.
Wy sámy rymy prowadzćie niegodne,
Niech będą z dźieły ták wielkiemi zgodne.

* * *

Wielkie w rzemiennem drzewá niosąc toku,
Poszli do śiebie oni dwáy rycerze:
Tákiego biegu, álbo ráczey skoku
Nie beło nigdy w żadnem boháterze.
Bo bez wątpienia niedośćigłe oku,
Ledwie ták leći wystrzelone pierze.
Drzewá śię obie o zbroie złamáły,
Skry szły, á trzaski pod niebo lećiáły.

* * *

Dźwięki z tych rázow po rożney śię stronie,
Y po przyległych gurách rozlegáły:
A sámem głowy, áni pyszne skronie,
Ani wyniosłe czołá niezádrżáły.
A ták w się obá uderzyły konie,
Ze iáko zdechłe ná pował leżáły.
Ktorych skoro ták obádwá pozbyli,
Od bokow mieczow ogromnych dobyli.

* * *

Ostrożnie niosą rękę, oko, nogę,
A wzáiem sobie obádwá nie wierzą:
Co raz náyduią do ran nową drogę,
To w łep, to w pierśi, to do brzuchá mierzą.
A podawáiąc omylną przestrogę,
Nie tám gdźie mierzą, lecz indźiey uderzą.
To wprzod, to pozad krokow pomykáią,
A czásem śię chcąc sobie odkrywáią.

Ukazał Tánkred bok tarczą odkryty,
Znáć beło że był ćwiczonem szermierzem:
Wyniosł się z mieczem Argánt iádowity,
Wtem bok swoy lewy odsłonił puklerzem,
Tánkred miecz odbił, ták że raz odbity
Szedł wniwecz, y wraz dośiągł go koncerzem:
Y wskok się cofnął, y stánął zaś w kroku,
A temu pluszczy krew z ránnego boku.

* * *

Poczuwszy Argánt że iuż beł rániony,
Y námácawszy znáczną w boku dźiurę:
Zrże się sam w sobie, y iáko szalony
Miece się, czuiąc zdźiuráwioną skurę.
Y wśćiekłem iák pies gniewem zápalony,
Wyniozłszy y głos, y miecz wielki wzgurę:
Z obu rącz nań tnie: On w tem ránę nową,
Zádał mu w rámię drugi raz sztychową.

* * *

Jáko ná Tátrách wieprz dźiki poszczwány,
Widząc ná sobie zśiádłe ze krwie lepy:
Krzywemi kłámi wielkie tocząc piány,
Gwałtem się miece, y drze ná oszczepy.
Ták Argánt ránę odniosłszy do rány,
W niebespieczeństwo idźie iáko ślepy:
Y ták ná pomstę biegł nieokrocony,
Ze swoiey własney zapomniał obrony.

* * *

Co iedno miáł śił w sobie w oney dobie,
Wszystkie gromádźi, y w kupę ie śćiska:
A mieczem ktory beł ná ręce obie,
Jáko piorunem po powietrzu błyska.
Drugi iuż wytchnąć niema iako sobie,
Bo nań śmiertelne raz wraz rázy ćiska.
Ták wielkiey mocy żadne strzymáć sztuki,
Zadne szermierskie nie mogą náuki.

Długo iuż czeka Tánkred nádemdlony,
Aza się kiedy pogánin zmorduie:
Czásem się składa, czásem przez zagony
Ná koło mu się rączo ustępuie.
A widząc że ow trwa nieprzełomiony,
Y co raz bárźiey śiekąc nástępuie:
Z obu rącz mieczem także nie przestáiąc
Siekł, iáko y on nie odpoczywáiąc.

* * *

Już umieiętność zá nic práwie stoi,
Ná śiłach zgoła záleżało wiele:
Za kazdem ćięćiem, blachy miecz ukroi,
Albo w niey dźiurá, álbo ránà w ćiele.
Pot płynie z czołá, krew ćiekąc po zbroi
Mięsza się w piasku, y w suchem popiele.
Miecze się iáko pioruny błyskáły,
Zbroie od rázow iáko niebá grzmiáły.

* * *

Bohátyrowi swoiemu życzliwi,
Pátrzą z niezmierną boiáźnią pogánie:
Z niemnieyszem stráchem y nie mniey wątpliwi,
Czekáią także końcá Chrześćiánie.
Y ci, y owi, rowno boiáźliwi,
Nikt nie rozdźiewi gęby pátrząc ná nie.
Zaden nie trunie, żaden się nie ruszy,
Tylko że się kęs rusza serce w duszy.

* * *

Już się obádwá byli zmordováli,
Y podobnoby koniec beli mieli:
Ale noc zászłá, że ći co pátrzáli,
Nic álbo máło choć zbliská widźieli.
Wtem Aráldowie dwáy na plác wiecháli,
Ktorzy ie rozwieść y rozwádźić chćieli.
Co z támtey strony Pindorem go zwano,
Chrześćiáńskiemu Arydeus dźiano.

Tych táka wolność, táka iest ustáwá,
Ze łąski swoie kłádą między miecze:
Táki z zwyczáiu y dawnego práwá,
Boy nagoręt̨szy rozwiedźie y zwlecze.
Rowniśćie sobie: Zła w poćiemku spráwá,
Przestanćie się bić, Pindor pierwszy rzecze:
Widźićie że mrok ćiemny nástępuie,
Niech odpoczynek swoy noc záchowuie.

* * *

Wszystkie źwierzętá pokoy w nocy máią,
A dnia się do prac iasnego używa:
Wspániáłe sercá o dźiełá niedbáią,
Ktore ćiemnośćią swoią noc pokrywa.
Odpowie Argánt: Mnie y w nocy znáią,
Niech kiedy kto chce sobie odpoczywa:
Ja ztąd nie ziádę, y bić się z niem będę
Ták długo, áż mu ná gárle uśiędę.

* * *

Chybáby przyśiągł że tu záś przyiedźie.
A Tánkred ná to: Ja też nie odiádę,
Aż mi przyśięże że więźniá przywiedźie,
Y ná roszczętą stáwi się bieśiadę.
Przyśiągł Cyrkászczyk záraz po Tánkredźie,
Ták Aráldowie odłożyli zwádę:
A żeby one rány wyleczyli,
Szosty do bitwy dźień iem náznáczyli.

* * *

Ták strászny, y ták poiedynek srogi
Został pámiętny u oboiey strony:
Nie bez wielkiey go wspominái trwogi,
Y nie ták rychło będźie zápomniony.
Pełne tákich mow, y domy, y drogi,
Jáko ten, y ow, beł w boiu ćwiczony.
Lecz komu więcey przyznáwáć się miáło,
Rożnie pospolstwo sobie rozbieráło.

Wszyscy czekáli y o tem mowili,
Co się zá koniec náostátek stánie
Jeśli gniew wśćiekły, y szaleństwo, czyli
Męstwo, y dźielność, ná plácu zostánie.
Ale naywięcey trapi w oney chwili
Erminią to przyszłe ich potkánie,
Bo sámey śiębie część lepszą widźiáłá,
Ze tám ná Marśie wątpliwem wiśiáłá.

* * *

Kássáná oycá Erminia miáłá,
W Antyochiey co przedtem pánował:
Potem się w łupie zwyćiężczy dostáłá,
Kiedy krolestwo ono opánował.
Wszeláką ludźkość po Tánkredźie znáłá,
Wielką iey łáskę záwżdy pokázował:
Pánskie w upadku oyczystey stolice
Miáłá chowánie, á nie niewolnice.

* * *

Czćił ią, ważył ią, iáko się godźiło
Ważyć, w Krolewskiem stanie urodzoną:
Perły y złoto, y co skárbow było,
Dał iey y wolność náwet utráconą.
Co ią tem bárźiey ieszcze pobudźiło,
Ze wpádłá w miłość dla niego szaloną.
Y táką miłość, że podobno więtszey,
Y nigdy w nikiem nie było goręstszey.

* * *

Ták choćia ćiáło dárował wolnośćią,
Serce y duszá w niewoley zostáłá:
Z gęstemi łzámi, z okrutną żáłośćią,
Swoiego Pána nędzna zostáwiáłá.
Ale choć táką pałałá miłośćią,
Ná swe uczćiwe ták się oglądáłá:
Ze mátkę w leciech podeszłą niebogę
Poiąwszy z sobą, puśćiłá się w drogę.

Do Jeruzálem naprzod się tráfiłá,
Gdźie ią Krol przyiął, y chował przy sobie:
Prętko iey potem mátká ustąpiłá,
Y po niey támże chodźiłá w żałobie.
Ale áni żal że mátki pozbyłá,
Ani wygnánie mogło w oney dobie
Onę iey miłość z sercá wykorzenić,
Albo iey ulżyć, álbo iey uplenić.

* * *

Gore niebogá, okrutnie miłuie,
A żadney nie ma nádźieie w miłośći:
Coraz się więtszy ogien w niey záymuie,
Dośiągł iuż wszędźie wysuszonych kośći.
Ztąd że go táić w sobie uśiłuie,
Bárźiey się żarzy, y szerzy z skrytośći:
Ale w niey martwe nadźieie ożyły,
Gdy z woyskiem przyszedł pod miásto iey miły.

* * *

Gdy Chrześćiáńska moc nástępowáłá,
Y szły chorągwie pod miásto rozwite:
Wszystkich okrutna trwogá zdeymowáłá,
Widząc narody obce rozmáite.
Oná się sámá tylko rádowáłá,
Y z chćiwem między namioty rozbite,
Y między zbroyne hufce okiem lázłá,
Tak długo, aż gdźie Tánkredá nálázłá.

* * *

Podle páłacu byłá Krolewskiego
Wysoka wieżá, tuż przy sámem murze:
Z ktorey mogł przeyźrzeć do Chrześćiáńskiego
Obozu prosto, ták iáko po sznurze.
Tám Erminia od świtu ránego
Do sámey nocy śiadáłá ná gurze:
Tám chćiwe myśli y oczy karmiłá,
Tám sámá z sobą rozmowy czyniłá.

Tám się y w ten czás strapiona puściłá,
Kiedy miał bydź on poiedynek srogi:
A od boiáźni ktora ią trapiłá,
Lękliwe serce drżáło u niebogi.
Y Mars wątpliwy ná ktory pátrzyłá,
Czynił że mdlałá z oney wielkiey trwogi.
Záwsze kiedy się Cyrkaszczyk zámierzył,
Czułá iákby ią miecz w serce uderzył.

* * *

Potem kiedy się tego dowiedźiáłá,
Ze mieli znowu wrocić się do boiu:
Łzy bez przestánku smętna wyleważá,
Z frásunku, z strachu, z żalu, z niepokoiu.
Nákoniec iuż łez ták wiele nie miáłá,
Ale ná źimnem wspárwszy się podwoiu:
Wzdychałá, mdlałá, czásem z mdłości pádłá,
A wszystká srodze wyschłá, y wybládłá.

* * *

Jeśli też kiedy oczy wypłákáne
Záwárłá, álbo iáki kęs usnęłá:
Widźiáłá przez sen łárwy, że w zamiánę,
Rádáby belá śmierć zá on sen wźięłá.
Czásem miłemu swoiemu żądáne
Rány uyźrzawszy, nagle się ocknęłá.
Co raz się przed nią ukrwáwiony stáwi,
Ták nędzna płácze we snie, y ná iáwi.

* * *

Nie tylko serce y umysł niewieśći
Przyszłego boiu kłoł strách niewytrwány:
Ale ią rożne trwożyły powieśći,
Y Tánkredowe niebespieczne rány.
Po wszystkiem mieśćie bely tákie wieśći,
Między chćiwemi tych nowin Pogány:
Ze niebespiecznie w onych ránách leżał,
Y nie tuszyli, áby się wyleżał.

A iż od mátki wźięła, y wiedźiáłá
Jáką moc w sobie wszystkie źioła máią:
Y słowá pewne, y rymy umiáłá,
Ktore naywiętsze bole uśmierzáią.
(Ktora náuká tám się więc chowáłá,
W sámych Krolewnách iáko powiádáią)
Myśli, by iáko, pospołu być z chorem,
Y uleczyć go, y bydź mu Doktorem.

* * *

Zleczyćby sobie miłego życzyłá,
Y dáć mu zdrowie, iáko inszem wielem:
A musząc leczyć Argántá, myśliłá
Otruć go iákiem iádowitem źielem.
Ale się ręká pánieńská chroniłá
Złych náuk, choćia nad nieprzyiaćielem:
Y chce z tey miáry áby nie ważyły
Rymy, y źiołá wszystkę moc stráćiły.

* * *

Nie bałáby się iść miedzy namioty
Do nieprzyiaćioł: Bo iuż nie raz woyny
Widźiała, niewczás, y rożne klopoty
Cierpiáłá, żywot wiodłá niespokoyny.
Miáłá y serce y dosić ochoty,
Y umysł śmiały, tey płći nieprzystoyny:
Nie wylękłá się ná strách ledaiáki,
Y ná przypadek zmężniáłá wszeláki.

* * *

Y ták iey w on czás dodawáłá tyle
Zła miłość sercá, y męskiey śmiáłośći:
Ze Afrykáńskie miedzy Krokodyle
Poszłáby byłá, okrom wątpliwośći.
O żywot namniey nic niedbáłá, byle
Uczćiwe cáłe miáłá przy czystośći:
Cnotá y miłość, dwáy rycerze mężni
Spieraią się w niey, á obá potężni.

Jeden ták mowi: O ktoraś me práwá
Przez ten czás wszystek y zakon chowáłá:
Moiá to praca y moiá to spráwá,
Ześ swe panieństwo wcále záchowáłá.
Miáłáś w niewoley dobrego przystáwá,
U nieprzyiácioł iam ćię pilnowáłá:
A ty ustrzegszy czystośći w niewoley,
Teraz ią stráćić chcesz będąc ná woley?

* * *

Y ták rozumiesz że to tytuł goły,
Y cnotliwą bydź, y dobrą rzęczoną,
Chcesz miedzy harde iść nieprzyiaćioły
Lekkośći szukać, y bydź obelżoną.
Potka ćię tem kto (á prawdá nápoły)
Straciłáś cnotę pospołu z Koroną.
Ja niedbam o ćię: Ták ćię wypchnie z domu,
Y da wzgárdzoną zdobycz ládá komu.

* * *

Drugi ták mowi, y wstyd ieszcze cáły
Chce iey wyráźić słowy łágodnemi:
Nie z twárdeieś się urodźiła skáły,
Nie miedzyś źwierzmi urosłá dźikiemi,
Aby ćię ruszyć miłośći niemiáły,
Y żebyś miáłá ućiekáć przed niemi.
Chybábyś serce z żelázá ukować
Dáć sobie chćiáłá, Co zá grzech miłować?

* * *

Nie mieszkay á idź gdźie ćię chęć záwodźi,
A nie wierz, áby miał bydź ták surowy:
Coć to záwádźi, álbo coć zászkodźi?
Do zobopolney że z niem przydźiesz mowy.
O sroga dźiewko, tákli się to godźi?
Niechcesz koniecznie, áby mogł bydź zdrowy.
Tylko nieskona ten co go miłuiesz,
A ty inszego leczysz y pilnuiesz.

Lecz ty Argántá przedsię postáremu,
Zeby go potem srodze zámordował:
Tákąż to masz dać wybawcy twoiemu
Nagrodę? co ćię wolnośćią dárował.
Jakoć się służyć nie przykrzy támtemu?
A tego odbiec coć się zásługował:
Do ktoregobyś wlot ztąd bieżeć miáłá,
Abyś go we złem zdrowiu rátowáłá.

* * *

Dobrzebyś byłá więtszey godná dźięki,
Y prętkobyś się z tego ućieszyłá:
Kiedybyś mu ty sámá z własney ręki
Lekarskiey, rány iego pogoiłá.
Y zbáwiwszy go y bolu, y męki,
Do zdrowiabyś go pierwszego wrośiłá:
Y w twarzybyś się iego przeglądáłá,
Y w tey pięknośći ktorąbyś mu dáłá.

* * *

Do tego ieszcze miáłábyś niemáłą
Cześć między iego wielkiemi dźiełámi:
Y ták miłośćią zięći doskonáłą,
Zostálibyśćie sobie máłżonkámi.
Y chodźiłábyś pálcem ukazáłą,
Między pierwszemi wielkiemi Pániámi
We Włoskiey źiemi: kędy stárożytnie
Prawdźiwa wiárá z piękną cnotą kwitnie.

* * *

Ták długo iey zła miłość pochlebiáłá,
Ze ná iey rádźie nákoniec poległá:
Ale w tem trudność wątpliwa widźiáłá,
Jakoby ztámtąd uszłá y ubiegłá.
Straż się ná koło wszędźie przechadzáłá,
Ktora y murow, y pálacu strzegłá.
Y bramy wszystkie ustáwnie záwárte,
Bez wielkich przyczyn nie beły otwárte.

Pospolićie się z Kloryndą báwiłá,
Bárzo się w sobie obiedwie kochály:
Y kiedy zorzá z morzá wychodźiłá,
Y kiedy gáslá, pospołu bywály.
Czásem kiedy noc mrokiem świát okryłá,
Ná iedney z sobą pośćieli sypiály:
Jedná się drugiey wszystkiego zwierzáłá,
Okrom miłośći, tę w sobie trzymáłá.

* * *

Tę Erminia tylko pokrywáłá,
A máiąc często zápłákáne oczy:
Gdy o przyczynę Kloryndá pytáłá,
Wszystko ná swoy stan składáłá śierocy.
Z nią w towárzystwie ustáwnie bywáłá
Wolno iey beło y we dnie y w nocy:
Do iey łoznice, y do iey pokoiu,
Lub z Krolem w rádźie, lubo bełá w boiu.

* * *

Y przyszłá tám raz, y śiedźiáłá sobie
Chwilę, swe myśli sobie rozbieráiąc:
Y o swoiego skrytego sposobie
Wyszćia zá miásto, w pole, rozmyśláiąc.
Kiedy ták długo stałá w oney dobie,
Umysł wątpliwy rożnie obracáiąc:
Z tráfunku oczy rzući ná stoł bliski,
Y uyźrzy zbroię swoiey towárzyszki.

* * *

Westchnąwszy rzecze: O błogosławiony
Stan cney dźiewice w tákiey szczęśliwośći:
Záyźrzeć iey muszę nędzna z káżdey strony,
Nie płći pánieńskiey chwały, nie gładkośći:
Ale że iey nog nie trudnią ogony,
Gmách iey záwárty nie bierze wolnośći:
Wychodźi gdźie chce, y chodźi we zbroi,
A sromoty się żadney ztąd nie boi.

Czemu mię niebo álbo przyrodzenie
Ták nie stworzyło, iáko tę dźiewicę:
Zebym te rąbki, y miękkie odźienie
Mogłá odmienić w páncerz, y przyłbicę.
Pewniebym máiąc ná to pozwolenie,
Woláłá zbroię, niż tę iedwabnicę.
W polubym záwsze pod niebem mięszkáłá,
Znoy, deszcz, wiátr, źimno, wszystkobym wytrwáłá.

* * *

Pewnie, żebyś się pierwey był przedemną
Nie bił z mem miłem hárdy Cyrkászczyku:
Pierweyby mu się przyszło potkać zemną,
Y podobnoby iuż był u mnie w łyku.
Lekkąbyś beł miał, słodką, y przyiemną
Niewolą u mnie, ty moy okrutniku.
Y z twych powrozow, y z twoiego węzłá,
Lżeyszyby beł moy w ktorymem uwięzłá.

* * *

Albobyś mię też w serce tráfił grotem,
Y umárłábym z tey rany zárázem:
Y dopierobym ozdrowiáłá potem,
Zleczywszy miłość życzliwem żelázem.
Y iużbym więcey nie myśliłá o tem,
Miáłoby pokoy ćiáło z duszą rázem.
Y á co wiedźieć, ieśliby mych kośći
Nie pogrzebł, álbo nie płakał z litośći.

* * *

Lecz niepodobnych nápieram się rzeczy,
Y myśl, niestetysz, oszukywam swoię:
Jákosz to ma bydź, y iáko to grzeczy?
Ládáczego się licha dźiewka boię.
A choć mi rozum pochlebia człowieczy,
Mieczem nie władnę, nie udźwignę zbroie:
Lękliwe serce, słába moiá śiłá,
Owszem udźwignę, by naycięższa byłá.

Gdźieby iey też me śiły nie zdołáły,
Miłość ią na mię dźwignie, y ponieśie:
Zá iey zdárzeniem ieleń bywa śmiáły,
Y mężnie rogiem w gęstem kole leśie.
Jać się bić niechcę, ále ieden máły
Fortel mi ponno tá zbroiá przynieśie.
Chcę się Kloryndą udáć, y w postáwie
Jey wyniść z miastá, y pomoc tey správie.

* * *

Stroże y ktorzy bramy zámykáią,
Puszczą ią zaraz, ile baczyć mogę:
Wszystkie mię insze sposoby miiáią,
Tę sámę iednę widzę ná to drogę.
Miłość, Fortuná, niech mi pomagáią
Niewinney zdrády, y wiodą niebogę.
Lecz to wykonáć prozno przy Kloryndźie,
Lepiey iść teraz niż od Krolá wyńdźie.

* * *

Náostátek iuż ták się námyśliłá,
(Miłość ią gwałtem bodłá niećierpliwa)
Y Kloryndźinę zbroię wynośiłá
Cicho do swego gmáchu ukwápliwa.
Látwie się iey to zdárzyło: nie była
Z nią tám ná ten czás żadna duszá żywa.
Noc też nádszedszy dałá pomoc snádną,
Zyczliwa tem co miłuią, y krádną.

* * *

A kiedy tylko máłe świátło dáiąc
Gwiazdy świeciły, á noc poćiemniáłá
W iedney się dawney słudze swey kochaiąc,
Do pokoiu iey sobie zawołáłá:
Z iednem lokáiem ktoremu ufáiąc,
Oboygu część swych myśli odkrywáłá:
Ze ućiec muśi, ná to tylko skłáda,
Ale dla czego, tego nie powiáda.

Lokay, kiedy się miáłá iuż wybieráć,
Wszystkie zgotował potrzeby ku drodze:
Oná też zátem iełá się rozbieráć
Z száty, ktora szłá do źiemie po nodze.
Potem się w káwtan przeszyty ubieráć
Poczełá, w ktorem przystało iey srodze.
A ták się ubráć zárażem umiáłá,
Ze iey máło co sługá pomagáłá.

* * *

Pierśi y szyię śniegowi podobną
Okryłá w ten czás, y swoy wárkocz złoty,
Nie szátą iáką miękką y ozdobną:
Ale twárdemi urobioną młoty
Rękę pieszczoną, y przedtem swobodną
Przyniewoliłá do męskiey roboty.
Dźwiga tarcz, miłość śmieie się, ná ono
Herkulesowe wspomniawszy wrzećiono.

* * *

Ledwie niebogá zrázu stąpić mogłá
Kiedy on ćiężar ták wielki dźwigáłá:
Ale iey pánná służebna pomogłá,
Jákokolwiek się ná niey podpieráłá.
Potem kiedy się zprácowána zmogłá,
Miłość z nádźieią śił iey dodawáłá.
Tákże tám obie skwápliwie przypádły
Gdźie lokay czekał, y ná konie wśiádły.

* * *

Ták przebrawszy się záraz poiecháły,
Naustronnieyszey trzymáiąc się drogi:
Ale się z wielą przedsię potykáły,
A blásk się wnocy z zbroie świećił srogi.
Káżdy zstępował ktorego miiáły,
Nie bez boiáźni, nie bez wielkiey trwogi.
Bo znák Kloryndźin strászny choćia w ćieniu,
Y zbroię ználi przy białem odźieniu.

Acz się iey nie źle z początku powiodło,
Przedsię się iákiey przeszkody boiáłá:
Coś ią strászyło, coś ią w serce bodło,
Ze ią przygodá iáka potkáć miáłá.
Jednák do bramy śmiele szłá, y godło
Dawszy, wrotnego łátwie oszukáłá.
Krol mię śle w pole, co pręcey mię puszczay,
Jam (pry) Kloryndá, wzwod mi záraz spuszczay.

* * *

Glos białogłowski podobny onemu
Głosowi, ktorem Kloryndá mowiłá:
Zdał się być własny Kloryndźin wrotnemu,
Ták go udáłá y dobrze zmyśliłá.
Więc ktoby beł rzekł, ktoby wierzył temu:
Zeby tá mdła płeć we zbroi ieźdźiłá.
Ták wypuszczeni poiechali sámi,
Zákryći chrosty, álbo dolinámi.

* * *

A kiedy beli w dobrey ćwierći mili,
Dopiero koniá wodzą záwśćiągnęłá:
Mniemáli że iuż złe rázy przebyli,
Y że co więtsze zawády minęłá.
Ale dopiero myślić w oney chwili,
Co iey wprzod ná myśl nie przyszło poczęłá.
Co raz to więtszą trudność náydowáłá,
Ktorey kwápiąc się nie upátrowáłá.

* * *

Wielkie szaleństwo y głupstwo widźiáłá,
Ták po żołniersku iácháć tám ubráną:
To przedsięwźięćie, y tę wolą miáłá
Nieznácznie w oboz przyiecháć nieznáną.
A swemu tylko miłemu się chćiáłá
Dáć znáć, z czystośćią cáło záchowáną.
Przeto stánąwszy lokáiá przyzwáłá,
Wrzkomo to iuż bydź ostrożnieyszą miáłá.

Jdź wprzod przedemną do Chrześćiáńskiego
Obozu, ále spiesz się y bież sporo:
Tám się dopytay do Tánkredowego
Námiotu záraz, kędy leży choro.
Powiedz, że iedna dla niebespiecznego
Zdrowia iego chce przybyć tu: á skoro
On będźie przez nię zdrowy, zá nagrodę
Ma iey dać pokoy, wolność, y swobodę.

* * *

A że mu dufa, że ią w mocy máiąc,
Nie uczyni iey żadney zelżywośći:
Będźieli więcey chciał wiedźieć pytáiąc,
Mow, że nioczem niemasz miádomośći.
A ia tu sobie ták odpoczywáiąc,
Będę ćię czekáć nie bez teskliwośći.
Ták go uczyłá: A on się nie báwił,
Biegł, iákoby mu skrzydłá kto przyprawił.

* * *

Do obozu go zárázem puszczono,
Bo ten lokay beł správny y bywáły:
Tánkredowe mu także ukazano
To stánowisko, gdźie leżał zchorzały.
Odniosł mu wszystko co mu roskazano,
Y wrácał się wzad gdźie obie czekały.
Ztem że ią wdźięcznie chćiał przyiąć, y miáłá
Bydź zátáioną inszem, iáko chćiáłá.

* * *

A wtem ták máley znieść nie mogłá zwłoki,
Frásowáłá się, że się długo báwił:
Liczyłá cudze sámá w sobie kroki,
Już (práwi) doszedł, iuż poselstwo správił.
Potem ná wzgorek wiecháłá wysoki,
Tusząc że idźie, y że się odprawił.
A kiedy go ták pilno wyglądáłá,
Nieprzyiacielskie namioty uyźrzáłá.

Noc ná się byłá rąbek z gwiazd włożyłá,
A niebo iásne świećiło pogodnie:
Już y Cynthya pełna prowádziłá
Swe złote wozy miedzy mnieysze ognie.
Erminia też swoie rozłożyłá,
Pospołu z niebem gorące pochodnie:
Czyniąc ich świádkiem życzliwe milczenie,
Y nieme polá, y mieśięczne ćienie,

* * *

Pátrzy ná oboz, cieszy się nádźieią,
Y mowi z sobą: O piękne namioty,
O iáko miłe wiátry od was wieią,
Y niezwykłey mi dodáią ochoty.
Niechay mię wierzchy wásze przyodźieią,
Niech ze mnie zdeymą te ćiężkie kłopoty:
Bo pewnie ieśli pod niemi nie będę,
Zywot położę, y zdrowia pozbędę.

* * *

Przyimćie mię, á niech doznam tey litośći,
Ktorą mi miłość po was obiecáłá:
Y doświádczoney przedtem łaskáwośći,
Ktorąm w niewoley po swem Pánie znáłá.
Niechcę stráconey od was máiętnośći,
Y ábym znowu Krolową zostáłá.
Wielką mi łáskę, wielką pokażećie,
Kiedy mi służyć u śiebie każećie.

* * *

Ták do nich mowi, á nie myśli o tem,
Jáko Fortunę miáłá iádowitą:
Mieśiąc pogodny swem promieniem złotem,
Bił z niebá z gory w zbroię nie zákrytą.
Y odtrącony záśię od niey potem
Swiátłość dáleko posyłał odbitą.
Więc po poświećie szátá się bieláłá,
A ná szyszaku Tygrys się błyszczáłá.

Jáko zły los chćiał, Rotmistrze ćwiczeni
Straży tam beli w tych mieyscach záwiedli:
Polifern Alkándr bráćia dwá rodzeni
Stárszemi beli, y te ludźie wiedli.
Pilnuiąc tego, áby Sárráceni
Z polá do miástá bydłá nie náwiedli.
Ze lokay z strażą pominął się oną,
Musiał dáleko obbieżeć gdźie stroną.

* * *

Polifern młodszy, ktoremu zábiłá
Oycá Kloryndá czásu niedawnego:
Rozumiał, że to oná sámá byłá,
Záyrzawszy stroiu zwykłego białego.
Y ztąd gdźie się straż byłá zasádziłá,
Koniá w tę stronę obrácał rączego.
Y krzycząc głosem biegł ná Erminią,
Prętkiey chciw pomsty z złożoną kopią.

* * *

Jáko więc ieleń ná puszczy pierzchliwy,
Kiedy z prágnienia szuka swey ochłody:
Tám gdźie przy skále strumień widźi żywy,
Znienagłá idźie bespieczny do wody.
A ieśli ná psy wpádnie, gdy leniwy
Miedzy leśnemi nápić się chce chłody:
Skoczy, y názad bieży wylękniony,
Y zápomina, że beł uprágniony.

* * *

Ták y tá będąc srodze uprágniona,
Z skrytego ogniá gorącey miłośći:
Y tusząc zgáśić prágnienie strapiona,
W swego miłego przyszłey obecnośći.
Teráz niebogá będąc omylona,
Y słysząc grożby niespodźiánych gośći:
Siebie y pierwszey zápomina chęći,
Y ućiekáiąc, bieży bez pámięći.

Ućieka nędzna, á swoiego kole
Ze wszystkiey moćy koniá ostrogámi:
Pánná służebna tuż zá nią przez pole,
A Polifern ie goni z żołnierzámi.
Wtem się skradáiąc niżiną przy dole,
Z poznemi lokay wráćał nowinámi:
Widźi pogonią wielką zá swą Panią,
Y ućieka też w rożną stronę zá nią.

* * *

Alkánder mędrszy Polfernow rodzony,
Zá Kloryndę ią własną tákże máiąc:
Niechćiał iey gonić, ále utáiony
W chrośćie się ná nię zásádźił czekáiąc,
A z iego ludźi ieden wypráwiony,
Biegł do obozu zárázem znáć dáiąc:
Ze stad do miástá żadnych nie pędzono,
Ale Kloryndy sámey postrzeżono,

* * *

Y że tám sobie wszyscy ták mowili,
Ze oná máiąc Hetmáńską bułáwę:
Nie dármo z miástá wyszłá w oney chwili,
Y wźiętá ná się sámá tę wypráwę.
Przeto niechayby ostrożnemi byli,
A pilne oko ná tę mieli spráwę.
Jáko to skoro do obozu doszło,
Po wszystkiem woysku záraz się rozniosło.

* * *

Tánkred nowiną pierwszą przerážony,
Kiedy do iego przyszłá wiádomośći
Swieża wieść oná: myślił utrapiony,
Ze się dla niego wdáłá w te trudnośći.
Y w páncerz tylko lekki obleczony,
Troski, y wielkiey pełen wątpliwośći:
Wśiadszy ná swoy koń, wodze mu wypuśćił,
Y we wszystkiem się biegu zá nią puśćił.

Koniec piesni szostey.

PIESN SIODMA.

ARGUMENT.

Tu Erminią do śiebie prziymuie
Pásterz. Tánkred wpadł w Armidźine śidłá:
Ráymund się pychę okroćić gotuie
Cyrkászczykowę, co Bogu obrzydłá.
Y z niem sam á sam wpolu się kosztuie,
Od Anyelskiego obroniony skrzydłá.
Belzebub widząc że Argánt słábieie,
Pioruny ćiska, wichry dmie, dżdże leie.

W Tem Erminia niebogá żmartwiáłá,
Y bez pámięci biegłá w onem cześie:
Wodżę puśćiwszy zá łęk się trzymáłá,
A koń ią gdźie chce po krzewinie nieśie.
Y to tám to sám nędzna ućiekáłá,
Po rożnych drogách, y po gęstem leśie:
Ze nástátek z oczu ią stráćili
Ci, co się zá nią w pogonią puśćili.

* * *

Jáko po długiey pracy zmordowáni
Chárći się názad do smyczy wracáią:
Kiedy iem zbędźie z polá prędka łáni,
Ktorą ugonić w chrośćie trudno máią.
Ták ći dáremną oną spracowáni
Pogonią wten czás, bárzo się sromáią.
A oná przedsię conadáley stroni,
Ani wzad weyźrzy ieśli ią kto goni.

Całą noc y dzień cały uciekáłá
Po rożnych ścieszkách, y po rożney stronie:
Y nic okrom swych wrzaskow nie słyszáłá,
W strászliwey lásu głuchego zasłonie.
A kiedy ćiemna noc nástępowáłá,
Y dzień wyprzągał z wozu swoie konie:
Nád Jordanową wodą z koniá zśiádłá,
Y poszłá ná brzeg, y tám się układłá.

* * *

Jeść nie pomyśli, ále kłopotámi
Y swem nieszczęściem utrápiona żyie:
Płáczem niebogá y gęstemi łzámi
Karmi się tylko, y łzy tylko piie.
Wtem ią sen swemi obłápił skrzydłámi,
Pod ktore troski y frásunki kryie.
A miłość przedsię iáko y ná iáwi,
We śnie ią trapi, y we śnie ią báwi.

* * *

Nie ocknęłá się, áż kiedy słyszáłá
Drobnego ptástwá wesołe śpiewánie:
Y wody ktora ćicho się ruszáłá,
Ku dniowi z wiátry lekkiemi igránie.
Podniozwszy oczy przy stronie uyrzáłá
Domki, ubogich Pásterzow mieszkánie.
A między wodą y lásem się zdáło,
Ze ią coś znowu do płáczu wołáło.

* * *

Ale on iey płácz nieuhámowány
Zástánowił się od dźwięku nowego:
Ktory się zdał bydź z piszczałki zmieszány,
Y z pásterskiego śpiewánia prostego.
Postąpi dáley do chrośćiáney śćiány,
Y uyźrzy w ćieniu pásterzá stárego:
On plotł koszyki, stado pasąc swoie,
A przed niem śpiewa chłopiąt máłych troie.

Uyrzawszy zbroię, poczęły przez płoty
Ućiekáć w gęstwę dźieći wylęknione:
Erminia iem włos ukaże złoty
Z hełmu, y oczy do śmiechu skłonione.
Nie przerywayćie (práwi) swey roboty,
Skończćie śpiewánie, y rymy uczone,
Szczęśliwi ludźie, á wiedźćie że moiá
Woyny nie nieśie wászey pieśni zbroiá.

* * *

Ale to u mnie oycze wielkie dźiwy,
Jáko po wszystkiey kiedy Pálestynie
Zołnierz tám y sám biega drapieżliwy,
Ty ták bespiecznie mieszkasz w tey krainie.
Ná to iey Pásterz powiedźiał sędźiwy,
Minął mię dotąd, y da Bog mię minie
Zołnierz w tych leśiech, áni tu o woynie
Słychać, y do tąd mieszkam tu spokoynie.

* * *

Lubo to niebá spráwuią życzliwe,
Ze tu pásterzá niewinnego bronią:
Lubo iáko więc pioruny strászliwe
Wysokie wieże pospolićie gonią.
Ták y łakomych żołnierzow krwie chćiwe
Szable, przed nędzą y ubostwem stronią:
A ná Krolewskie tylko ważą głowy,
Y gdźie łup wiedzą bogáty gotowy.

* * *

Látwiey się w swoiey chudobie ukryię,
Skárbow y żadnych niechce máiętnośći:
Wolny bez troski, y kłopotu żyię,
W sercu niezbedney nie noszę chćiwośći.
Z przeźrzoczystego zdroiu wodę piię,
To moie skárby, to me szczęśliwośći:
Z tego ogrodká mam swe wyżywienie,
Y z tego bydłá moie dobre mienie.

Máłą się rzeczą ludzkie przyrodzenie
Obeydźie záwżdy, y człowiecze zdrowie:
Czeládźi niemam, ći tylko przy żenie,
Pilnuią bydłá moiego synowie,
Mam swe ućiechy, tu dźikie ielenie,
Tu wyskákuią przedemną kozłowie.
Ptacy bespieczni przedemną śpiewáią,
Ryby bespieczne po wierzchu pływáią.

* * *

Beły te czasy ieszcze w młodem łećie,
Kiedy baczenia u człowieká máło:
Zem też umyślił wędrować po świećie,
Páść mi się bydłá w oyczyznie niechćiáło.
Chwilem żył w Memphim, y w támtem powiećie,
Służyć mi się też Krolowi dostáło:
Y chośam tylko ogrodá pilnował,
Wiem co dwor umie, bom go też skosztował.

* * *

Długom był śmiáłą nádźieią bogáty,
O iákom wytrwał, y wyćierpiał śiłá:
Ale z młodszemi iáko skoro láty,
Prożna nádźieiá ze mnie ustąpiłá:
Płákałem długo, wspomináiąc na ty
Oyczyste mieyscá, y to moiá byłá
Ostátnia wola, żem dwory opuścił,
A ná ten żywot spokoynym się puścił.

* * *

Gdy Erminia oney słodkiey mowy,
Y słow stárego pásterzá słuchálá:
Swoich wielkich trosk, y kłopotow z głowy,
Część iákąkolwiek sobie wybiiálá.
Y w swem nieszczęściu rátunek gotowy
Wźiąć w onych skrytych leśiech zámyślálá,
Chcąc w nich ták długo mieć swoię zabáwę,
Ażby się szczęście wroćiło łáskáwe.

Y pocznie mowić onemu stárcowi,
Szczęśliwyś trzykroć y błogosłáwiony,
Żeś poznał co źle y twemu stánowi
Spokoyneś mieysce obrał z káżdey strony.
Skłopotánemu memu żywotowi,
Zycz też pokoiu, proszę, y obrony.
Prziym mię do śiebie, niech tu między lásy
Złożę ná chwilę troski, y niewczásy.

* * *

Y ieśliby ćię miáłá chęć uwodźić
Do złotá, pereł, mam ich część przy sobie:
Y gotowámći zárázem nágrodźić
Twą dobrą wolą przećiw mey osobie.
W tem iey łzy z smętnych poczęły wychodźić
Jedná po drugiey oczu w oney dobie:
Gdy powiádała swoie doległości,
A on słucháiąc płakał iey z litości.

* * *

Cieszył ią długo stárzec, ále oná
Pocichu sámá w sobie nárzekálá:
Potem ią záwiodł kędy iego żoná
Podeszła w leciech, krośien pilnowálá.
Ták z oney twárdey zbroie zewleczoná,
Wgzło się y w tkankę táśmiáną przebrálá.
Lecz okiem, stanem, postáwą ozdobną,
Nie bárzo bełá pásterce podobną.

* * *

Podły on ubior páńskiey nie zákrywa
Powagi, ále ma iey w sobie wiele:
Tá potłumiona gwáłtem się dobywa,
Lub owce páśie, lubo ogrod piele,
Lub z lásu bydło do domu zwoływá,
Lub krośien álbo pilnuie kądźiele,
Lubo z motowidł ná kłębki prządźioná
Zwiia, lub krowom wyćiska wymioná.

Częstokroć kiedy owce w południowe
Gorąco w ćienie y w chłody wegnáłá:
W bukowe álbo w drzewo iáworowe,
Kochane imię nożem wkárbowáłá.
Y swe miłośći y przypadki nowe,
Ná skorách rożnych drzew powyrzynáłá:
Y czytáiąc záś one obiecádłá,
Łzy wylewáłá, wzdychałá, y bládłá.

* * *

Z drzewy záś potem mowiłá niememi,
Choważćie w sobie drzewá przyiázliwe:
Nieszczęsną miłość, z kłopotami memi,
W ktore mię wdáły niebá nieżyczliwe.
Odpocznieli kto pod chłody wászemi,
Ukażćie mu łzy moie nieszczęśliwe:
Ze rzecze, moie czytáiąc przygody,
Ach złe, zá miłość ták wierną nagrody.

* * *

Może bydź, ieśli Bogowie łáskáwi,
Niewinnych prozby máią ná swey pieczy:
Ze się tu kiedy moy niewdźięcznik stáwi,
Choć się to zdádzą niepodobne rzeczy.
Y nád moiem się grobem co zábáwi,
W ktorem ten zewłok położę człowieczy.
Y poznych nád niem łez wyleie kilko,
Albo ieśli to śiłá, westchnie tylko.

* * *

Ták ieśli duszá nie byłá szczęśliwa
Zyiąc, szczęśliwsza po śmierći zostánie:
Y czegom będąc nie dostáłá żywa,
Moy zimny popioł pod ziemią dostanie.
Ták z niemem drzewem rozmawia troskliwa,
A płácz iey częste przerywa wzdychánie.
Tem czásem Tánkred długo obłądzony,
Dáleko od niey w rożne ieźdźi strony.

Záraz z obozu biegł do przyległego
Lásu, przez pole zá nią prosto w tropy:
Lecz od gáłęźia y liśćia gęstego,
Zadney ná ziemi nieznáć było stopy.
A gdy iuż śládu nie widźiał bitego,
Ani cháłupy, áni żadney szopy:
Nákłáda uchá, ieśli w oney ćiszy
Dźwięk ábo tęten iáki gdźie usłyszy.

* * *

Jeśli się kędy suche liśćie kruszy,
Albo ná dębie, álbo ná sośninie:
Jeśli się tákże álbo záiąc ruszy,
Albo ptak iáki po gęstey krzewinie.
Bieży tám wzawod nádstáwiáiąc uszy,
Aż náostátek tám koń rączy kinie,
Gdźie dźwięk usłyszy iákiś, ná to mieysce
Przybiegł, á iásny mieśiąc świećił ieszcze.

* * *

Przybiegł tám kędy w gęstem leśnem ćieniu
Z skáły przeyźrzysta wodá wypadáłá:
Y dáley bieżąc po drobnym kámieniu,
Między pięknemi brzegámi spadáłá.
Tám począł wołáć, ále przy strumieniu
Echo się tylko głosem ozywáłá:
A wtem iutrzenká swoie złote włosy
Ukáżowáłá, ráney pełne rosy.

* * *

Wzdycha żáłosnie, á niebá winuie,
Ze ták z niem sobie czyniły igrzyská:
Y nád swą Pánią zemśćić się ślubuie,
Gdźieby tám przyszłá tego pośmiewiská.
Náostátek się powroćić gotuie,
By mogł wybłądźić wzád do stánowiská.
Wspomniawszy ná dźień bliski naznáczony,
Bić się z Rycerzem od przećiwney strony.

Już noc iásnemu uchodźiłá dniowi,
Poiáchał dáley, y poyźrzy po oku:
Aż w gorę zdołu ktoś Kuryerowi
Podobny bieży ze wszystkiego skoku.
Bicz trzymał w ręku ná doł ku koniowi,
Trąbká ná sznurze wiśiáłá u boku.
Zástanowi go Tánkred, y przywita,
Y o drogę go do obozu pyta.

* * *

Tám (prawi) prosto iádę wypráwiony
Od Boemundá: Ták obá iácháli,
Bo mniemiał Tánkred, że go Striy w te strony
Wysłał do woyská: Potem przyiecháli,
Kędy ieźiorem wielkiem otoczony
Był mocny zámek, y tám się událi.
O tey godźinie kiedy się zmierzkáło,
Y słońce iásne w morze západáło.

* * *

Zátrąbił w trąbkę Kuryer przed mosty,
Záczem spuszczono ná doł wzwod drzewiány:
Do obozu (pry) ztąd gośćiniec prosty,
Dźiś się tu przespiem áż świt przydźie rány.
Grábiá z Kosećce dźień dopiero szosty
Wźiął tu ten zamek szturmem pod pogány.
Tánkred się murom wysokiem dźiwuie,
Y obronie się wielkiey przypatruie.

* * *

Nie dufa przedsię, y zdáleka stoi,
Myśląc o iakiey zdrádźie w oney dobie:
Lecz iáko ten co śmierći się nie boi,
Namniey tego znáć nie dáie po sobie.
Dufa swey ręce, dufa mocney zbroi:
Ktora iuż nie raz wytrwáłá ná probie.
O poiedynku iednák wiedząc bliskiem,
Nie radby się bił w onem czásie zniskiem.

Ták ná przećiwko onemu zamkowi,
Z ktorego był most do łąki przytkniony:
Zatrzymał się kęs, zdrádnemu wodzowi
Nie dowierzáiąc, łágodnie wabiony.
Wtem czásie ná most przećiw Tánkredowi
W zupełną wszystek zbroię obleczony
Wyszedł ktoś srogi: ktory iádowitą
Mową nań wołáł, á broń miał dobytą.

* * *

Lubo umyślnie, luboś tu tráfunkiem
Przyszedł w Armidy zawołáney kráie,
Już ztąd nie wyńdźiesz, złoż zbroię z rynsztunkiem,
Káżdy tu wolne w pęto ręce dáie.
Wnidź do iey zamku, ále z tem wárunkiem
Abyś iey práwa chował y zwyczáie.
Ani sobie tusz więcey widźieć świátá,
Ale tu muśisz bydź ná wieczne látá.

* * *

Chybábyś przyśiągł, że będźiesz woiował
Káżdego co się od Chrystusa zowie:
Tánkred gdy mu się pilnie przypatrował,
Poznał go záraz po herbie, po mowie,
Gáskończyk to był, Rámbald się miánował,
Ktory z Armidą iechał, białeygłowie
Dawszy się uwieść, iey być dworzáninem
Chćiał, y iey gwoli został pogáninem.

* * *

Swięty Tánkredá zdiął gniew w oney dobie,
Jam, práwi, Tánkred, o zdrayco bezecny:
Jam dla Chrystusá miecz przypasał sobie,
Jegom iest rycerz, y ten twoy wszeteczny
Język chcę skáráć: Pokażę ia tobie,
Zeć dzień dźiśieyszy będźie ostáteczny.
Y że mię niebo ná to náznáczyło,
Aby się przez mię twych niecnot zemśćiło.

Zbladł słysząc imię sławne, wylękniony
Rámbáld: lecz przedsię zdał się śmiáły z mowy:
Po coś tu przyszedł nędzniku w te strony?
Dasz gárło wnetże, y pozbędźiesz głowy:
Tem moiem mieczem będźiesz okrocony,
A rzeczą to chcę pokázáć, nie słowy.
Y ten twoy poślę łeb ućięty w dáry
Twem towárzyszom Chrystusowey wiáry.

* * *

Ták mowił Rámbald: A iż iuż czarnemi
Skrydłami gęste noc śiáłá ćiemności:
Lámpy się z świátły odkryły gęstemi,
Ze ledwie mogł bydź dźień więtszey iásności.
Zámek się świećił iák między nocnemi
Pompami Scená: Nieznácznie w skrytości
Ná wierzchu śiedźi Armidá ubrána,
Gdźie wszystko widźi, sámá niewidźiána.

* * *

Tem czasem wielki Rycerz się gotował
Do poiedynku, y broni dobywał:
Lecz iż Pogánin pieszo nástępował,
Y on widżąc to, koniá nie uzywał.
Pieszo szedł tákże, głowę obwárował
Hełmem, á pierśi páiżą zákrywał.
Miecz goły trzymał w ręku: Ták z okrzykiem
Skoczywszy, starł się śmiele z Gáskończykiem.

* * *

Gáskończyk kołem w wielkiem chodźi kroku,
Y zmyślone nań rázy wynayduie:
Ten záś choć sobie nádprácował boku,
Jáko naybliżey poden się száńcuie.
Y ieśli ow wzad ustąpi, ten oku
Ledwie dośćigły rączo nástępuie.
Y miecz nań wkoło ćiska piorunowy,
Nieustrzeżoney chcąc gdźie dośiąc głowy.

Gdźie przyrodzenie naywięcey zchowáło
Zywotá, tám się nabárźiey nápiera:
A przy śmiertelnych rázách, ták że grzmiáło
Ogromnem głosem ná niego náciera.
Kręći się Rámbáld nieborak, y ćiało
Prędkośćią krádnie, y tárczą záwiera.
To mieczem, to mu puklerzem odbiia,
Ze go ćięty raz y sztych ieszcze miia.

* * *

Lecz nie ták iest ten prętki do obrony,
Jáko ow drugi prętki do obrázy:
Pośiekł ná niem tarcz, y szyszak stalony
Już podźiuráwił, nie bez wielkiey skázy.
Już ten skrwáwiony, a ow nie drasniony,
Aż dotąd wszystkie wytrzymywa rázy.
Trwoży się Rambáld, razem go sromotá,
Gniew, miłość, gryźie, zdrádá, y niecnotá.

* * *

A zwątpiwszy iuż po części o sobie,
Ostátniego z niem szczęśćia chce skosztowáć:
Porzućił páiż, miecz wźiął w ręce obie,
Y śiekł nán, więcey niechcąc ustępowáć.
Y zwárł się ćieśniey, y miecz w oney dobie
Wyniozwszy ćiął ták, że żadna hámowáć
Błácha nie mogłá rázu ták tęgiego,
Y żebrá trochę dośiągł mu lewego.

* * *

Potem go w głowę kilká kroć wymierzył,
Ze dźwięk szedł táki, iáki dáią dzwony:
Hełmuć nie przećiął: ále ták uderzył
Ze nieprzyiaćiel przykląkł pochylony.
Záden by temu podomno nie wierzył,
Jako beł potem Tánkred zápalony.
Oczy mu szczerem płomieniem pałáią,
Gniewliwe zęby strászliwie zgrzytáią.

Ták srogi beł wzrok wten czáś Tánkredowy,
Ze go znieść nie mogł Rámbáld wiáro zmienny:
Słyszy, że mu miecz świszczy koło głowy,
Mniema, że mu iuż brzuch przećiął bezdenny.
Uskoczy w stronę, á miecz piorunowy
Uderzył w filar przy mośćie kámienny.
Skry, y kámienie poszły pod obłoki,
A zdrayćę źimny mroz uiął zá boki.

* * *

Ućieka przez most, ták w niem trwogá tęga,
Zeby go sáme nogi rátowáły:
Ow go zá kołnierz tylko co nie śięga,
Y iuż od niego tylko przez krok máły.
Wtem wszystko świátło obudwu odbiega,
Lámpy pogásły, gwiazdy poćiemniáły:
Jasnośći nocy namniey nie zostáło,
Mieśiącá wszystko świátło odbieżáło.

* * *

W ćieniu od nocy, y czárow spráwionem,
Już go nie goni zwyćiężcá w mrok srogi:
Ani go widźi, tylko w mieyscu onem,
Omácnie stáwiá niebespieczne nogi.
Y wszedł we wrotá krokiem obłądzonem,
A nie postrzegł się, że przestąpił progi.
Lecz słyszał potem, że drzwi zá niem trzásły,
Kiedy zá progi błędne nogi zászły.

* * *

Rownie ták rybá ná wielkiem ieźierze,
W ktore swą słoną morze wchodźi wodą:
Gdy się ná pokoy, y ná ćiszą wzbierze,
Y przed morską się zchroni niepogodą.
Záwrze się sámá, wzad się dármo bierze,
Y z utráconą żegna się swobodą.
Bo przyrodzenie te wrotá otwárte
Weszćiu, lecz wyszćiu spráwiło záwárte.

Ták nieszczęśliwy Tánkred w one czásy
Wpadł w niewidomą ćiemnicę bespiecznie:
Y wszedł skąd nigdy uwiązány pásy
Ciemnego mroku nie mogł wyniść wiecznie.
Wprawdźie drzwi ruszył, y mocne zawiásy
Silił się urwáć rękomá koniecznie.
Lecz prozno, tylko głos słyszał: Już w łyku
Wiecznie Armidźin będźiesz niewolniku.

* * *

Tuć náznáczone ná wieki mieszkánie,
Smierći się nie boy iednák z żadney strony:
Nie odpowiáda nic ná to wołánie,
Lecz wzdycha tylko Rycerz obłądzony.
Nieszczęśćiu łáie, y nárzeka ná nie,
Głupstwo y miłość winuie strapiony.
Czásem sam z sobą rozmawia w milczeniu,
Mnieysza zbyć słońcá, mnieysza być w więźieniu.

* * *

Więtsza zbyć słońcá dobrze iásnieyszego,
Ktorego áto ná wieki pozbędę:
Y iuż z iey wzroku nędzny wesołego,
Nigdy podomno ćieszyć się nie będę.
Wtem ná Argántá wspomni zuchwáłego,
Dopiero westchnie: Gdźie (pry) kolwiek śiędę
Gdźie się obrocę, wszyscy będą szydźić,
Y ták (o hańbo) wiecznie się mam wstydźić.

* * *

Ták cześć y miłość niewidomie psuie,
Y gryźie serce w wielkiem Boháterze:
A gdy się ten ták nieborak frásuie,
Argántá dawno miękkie mierźi pierze.
Ták go chćiwość krwie y sławy morduie,
Y gniew ná pokoy, y długie przymierze:
Ze choć ma ieszcze niezgoione rány,
Prágnie, żeby niosł dźień szosty świt rány,

Nocy tey, ktorá on dzień uprzedzáłá,
Ledwie się trochę położył do spánia:
A wstał ták ráno, że ieszcze bez máłá
Pod kilká godźin beło do świtánia.
Mowi o zbroię co w głowách leżáłá,
A giermek mu ią dał bez omieszkánia.
Nie iego zwykłą, ále dárowáną
Od Krola wszystkę złotem nábiiáną.

* * *

Weźmie ią záraz, y ná się oblecze,
Y bynamniey ią nie beł obćiążony:
A miecz ogromny co z obu stron śiecze,
Do boku sobie z lewey przypiął strony.
Jáko się świeći Kometá, gdy miece
Krwawem ogonem promień rośćiągniony:
Co Páństwá mieni, y wiedźie choroby,
A Krole strászy, y wielkie osoby.

* * *

Ták się on w ten czás świećił w lśniącey zbroi.
A oczy krwią niosł, y gniewem piiáne:
W twarzy surowey strách mu szczery stoi,
Y śmierc w niey sroga gniazdo ma usłáne.
Smiáłe to serce ktore się nie boi,
Kiedy gdźie oczy rzući zágniewáne.
Macha ogromnem po powietrzu mieczem,
A głosem woła więtszem niż człowieczem.

* * *

Nie długo zdraycy y rozboynikowi
Chrześćiáńskiemu moc ukażę swoię:
Oduczę się go rownáć Argántowi,
Pozna wnet śiłę, pozna rękę moię.
Ná więtszą wzgárdę iego Chrystusowi,
Utnę mu głowę, y złupię mu zbroię.
A potem tákiem ozdobiony łupem,
Nákarmię kruki, y psy iego trupem.

Ták w rozdraźnionem własnie widźiem byku,
Ktorego miłość bodźie zazdrośćiwa:
Ogromnie ryczy, y z onego ryku
Ná więtszy się gniew y śiłę zdobywa.
Y gdy o bliskiem wie społmiłośniku,
Rogi o twárde dęby wyostrzywa.
Piasek nogámi miece niespokoyny,
Z przećiwnikiem swem prędkiey chćiwy woyny.

* * *

Táką wśćiekłośćią pobudzony, wkłáda
Hárde poselstwo z gniewem trębaczowi:
Jedź do obozu, á skoroć się náda,
Chrystusowemu powiedź Rycerzowi.
Zem ia iuż gotow: Zá tem słowem wśiáda,
A iść przed sobą każe Ottonowi:
Ták spiesznie z miástá wypuszczony iedźie,
A więźniá swego przy strzemieniu wiedźie.

* * *

Wtem w rog zátrąbił, á ná wszystkie strony
Przez stánowiská dźiwięk szedł niećierpliwe:
Bo po obośie wszystkiem rozgłoszony,
Uszy y sercá urážił gniewliwe.
Już też w naywiętszem Senat zgromádzony
Namieśie czekał, gdźie wszedszy dotkliwe
Trębácz poselstwo sprawił: W przod miánował
Tánkreda; inszych iednák niewyimował.

* * *

Wątpliwą myślą y leniwem wzrokiem,
Między swoiemi Goffred upátruie:
Lecz długo myśląc, długo miecąc okiem
Godnego w swoich ná to nie náyduie.
Przednieyszych niemász, niewie o niokiem,
Coby z niem zrownał: Tánkred gdźieś prożnuie,
Do Boemundá daleko; Rynáldá
Niemász, co zábił hárdego Gernándá.

Nád dźieśięć losem co byli wybráni,
Jechało inszych co mężnieyszych śiłá:
Ktore Damászku bogátego Páni,
Swoią chytrośćią z woyská wywabiłá.
A drudzy tylko milczą zásrománi,
U ktorych słábsze, y serce, y śiłá:
Káżdy się sławy niebespieczney boi,
Wstyd od boiaźni zwyćiężony stoi.

* * *

Z milczenia Hetman, y poznał z postáwy,
Ze ich strách wielki wszystkich opánował:
Wstał záraz z mieyscá, y porwał się z łáwy,
(Co w niem żal y gniew pobożny spráwował)
Byłbych (pry) nie mąż, lecz niewieśćiuch práwy,
Gdźiebych żywotá dźiś nie odżáłował:
Y gdźiebym sławę memu narodowi
Zdeptáć dopuśćić miał Pogáninowi.

* * *

Niechayby woysko y moi żołnierze,
Ná stronie ná me potkánie pátrzáli:
Daycie mi zbroię, przynieśćie páncerze,
Skoczyli słudzy, y záraz ie dáli.
Lecz ty Raymundźie stáry Boháterze,
Ktoremu z męstwem rozum przyznawáli,
Nie dałeś tákiey wolności wodzowi,
Y tákeś wten czás mowił Goffredowi.

* * *

Uchoway tego, o wszechmocny Pánie,
Aby w twey głowie wszystko woysko miáło
Jść ná szańc: Tyś wodz, nie żołnierz Hetmánie.
Wszystkiemby się nam przy tobie dostáło.
Ciebie ná wiáry Swiętey záchowánie,
Ná skázę niebo Pogáństwá obrálo.
Ty rządź rozumem, ty władni buláwą,
Jnszy niech dźiełá pod twą czynią spráwą.

Ja, chociam się to skrzywił od stárości,
Y iużem zgrzybiał iáko mię widźićie:
Będę się z niem bił, kiedy powinności
Rycerzow dobrych wszyscy nie pomnićie.
Gdźiebych to teraz w tákiey był młodości,
W iákiey was widzę co tylko stoićie:
Y nie rusza was, y gniew, y sromotá,
Słucháiąc iáko bluźni ten niecnotá.

* * *

Jákim beł w ten czás, kiedy seymowáłá
Ziemiá Niemiecka, kiedym ogromnego
Zbił Leopoldá, co wszystká widźiáłá
Rzesza ná dworze Konradá wtorego.
A więtsza się to rzecz ná on czás zdáłá
Pożyć Rycerzá ták doświádczonego:
Niźli kiedyby teraz ieden tylko,
Tego motłochu gnał przed sobą kilko.

* * *

By mi się oná pierwsza krew wrośiłá,
Jużby beł Argánt nie żyw o tey dobie:
Lecz stárość mi nie ták dokuczyłá,
Abym żywego serćá nie czuł w sobie.
Jeśli mi też śmierć Párká náznáczyłá,
Pozna Pogánin że mam ręce obie.
Ja wśiádam: Dźień ten moie przeszłe látá
Lepiey ozdobi u wszystkiego świátá.

* * *

Ták mowił stárzec, á tá iego mowá
Stoi zá dobre do męstwá ostrogi:
Ci co dopiero rzec nie śmieli słowá,
Smiáłość y ostre pokázuią rogi.
Káżdemu teraz śiłá Argántowá
Słaba się widźi, káżdy teraz srogi.
Chce z niem Báldowin czynić, chce z Rugierem
Gwelf, Gwidowie dwá, Stephan z Gerniierem.

Y Pirrus, ktory dał nászem ná zmowie
(Ktorą miał skrytą z mężnem Boemundem)
Antyochią: y dwáy Anglikowie,
Eberárd wielki zapáśnik z Rosmundem:
Zá niemi potem záraz się ozowie
Rydolf Irlándczyk, z Szotem Rotermundem,
Gildyppá tákże z swoiem Odoárdem,
Chcą się kosztować, z Pogáninem hárdem.

* * *

Lecz nádewszystkie Ráymund serce chćiwe,
Y pokázował wzor piękney ochoty:
Już okrom głowy członki nie leniwe
Oblokł we zbroię zbyt piękney roboty.
Goffred mu rzecze: O wierćiádło żywe
Dawnego męstwá, niech ná twoie cnoty:
Narod nász pátrzy, niechay zá twem wzorem,
Dźielności wyknie, y idźie twem torem.

* * *

Kiedybym dźieśięć miał między młodemi,
Ktorzyby beli tey co ty dźielności:
Jść pod Bábilon z krzyżámi złotemi
Miałbych zto serca, miałbych zto dufności.
Teraz schoway się zá prośbámi memi
Do przystoynieyszych spraw twoiey stárości.
W naczynie kárty włoż ktory w tem rzędźie,
A niechay Sędźią szczęśćie y los będźie.

* * *

Owszem Bog sędźią, nie te będą kárty,
Jemu są losy y szcześćie poddáne:
Lecz Ráymund ták był twárdy y upárty,
Że chćiał imię swe podáć nápisáne.
Wtem Goffred w szyszak nazwiská záwárty
Włożywszy, wstrząsnął społem pomieszáne:
Tám w pierwszey kártce ktorą rozwiniono,
Grábie z Tolozy imię náleźiono.

Krzyknęli wszyscy wesoło: Przygány
Zaden nie może przyczytáć losowi:
Sam w ochotnieyszą Grábiá twarz ubrány,
Młodszem się widźi, podobny wężowi,
Gdy nową skorą ná wiosnę odźiány
Połyskuie się przećiwko słońcowi.
Hetman mu szczęśćia wesoły winszuie,
Y zwyćięstwo mu pewne obiecuie.

* * *

Wtem miecz od boku sobie odpásywáł,
Y podał mu go, mowiąc temi słowy:
To iest miecz własny, ktorego używáł
Sáski odstępcá swoiey zwierzchniey głowy.
Tenem mu odiął, kiedym mu dobywał
Serca z złośliwych pierśi: A ty zdrowy
Bierz go odemnie, á iáko mnie służył,
Day Boże byś go ták szczęśliwie użył.

* * *

A wtem ták długiey zwłoki niećierpliwy
Cyrkászczyk woła, sromośći, y łáie:
O iáko mężny, iáko urodźiwy,
Jáko Rycerski lud Europá daie.
Niech wyńdźie Tánkred ieśli boiu chćiwy,
Jeśli mu sercá y śiły dostáie.
Czy leżąc w pierzu podobno do nocy,
Jáko y pierwey chce od niey pomocy.

* * *

Jeśli się boi, niech idą rotámi
Jedná po drugiey, iezdá y piechotá;
Kiedy nikt zemną czynić między wámi
Sam á sam nie chce: O iaka sromotá:
Grob swego Bogá maćie pod murámi,
Niech wżdy was ruszy do niego ochotá:
Prostą do niego tędy drogę maćie,
Ná coś więtszego miecze swe chowaćie?

Ták iáko biczem Sárrácen zuchwáły
Siecze po sercu nászych tem łáiániem:
Ale nabárźiey uraża się śmiáły
Grábiá z Tolozy, y chce pomsty ná niem.
Dźielność się iáko żelázo od skały
Ostrzy sromotnem iego urągániem.
Wśiáda ná swego Aquiliná, ktory
Z prętkiemi niemal rowno biega piory.

* * *

Ten się tám rodźił kędy nieprzebrniona
Wodá Tagowa wiedźie swe strumienie:
Gdźie woiennych stad mátká przychęcona
Ogniem, ktory w niey budźi przyrodzenie.
Przećiw wiátrowi gębą obrocona,
Płodne od niego przyimuie naśienie.
Y ták bez koniá urodźi (o dźiwy)
Z ćiepłego wiátru źrzebiec urodźiwy.

* * *

Rzekłbyś y o tem, że Aquilin zgołá
Z conaypręt̨szego wiátru urodzony:
Kiedybyś widźiał, kiedy ćiásne kołá
To ná tę czyni, to ná ową strony.
Albo kiedy wćiąż podgrzawszy kęs czołá,
Bieży iáko ptak prętki, przez zagony.
Ná tákiem Grábiá śiedźiał w ten czas koniu,
Y ták się modlił będąc iuż ná błoniu.

* * *

Ty ktoryś pomogł przećiw Olbrzymowi,
Ná Terebińćię ubogiey dźiećińię:
Że ten co wszemu był Jzráelowi
Strászny, dał gárło máłey chłopięćinie.
Hárdemu przepych skrusz Pogáninowi,
A zdarz, o Pánie, że tem mieczem zginie.
Niech stárzec pychę zetrze iuż przerdzáły,
Jáko ią w on czás stárł młodźieńczyk máły.

Ták prośił Ráymund, á prośby gorące
Z pewną ufnośćią do Bogá posłáne:
Ták iáko ogień gorolotny rące
Przeszły niebieskie Sfery málowane.
Przyiął ie Tworcá, y weyrzawszy w lśniące
Woyska Anyołow y ćmy nieprzebráne:
Jednemu go z nich roskazał pilnować,
Y w niebespiecznych złych ráźiech rátować.

* * *

Anyoł ktory mu stroż beł náznáczony,
Z wieczney niebieskiey Boskiey opátrznośći:
Od tego czásu iáko urodzony
Ná świát, słoneczney záchwyćił iásnośći.
Teraz słuchájąc, że Bog nieskończony
Około niego więtszey chce pilnośći,
Szedł ná wysoki zamek, kędy stały
Niebieskich broni pełne Arsenáły.

* * *

Tám oszczep ktorem ogromnego smoku
Przebito, wiśi u iedney komory:
Tám strzały ktore strzeláią z obłoku,
Płáczliwe woyny, y śmiertelne mory.
Tám y pioruny niewidome oku,
Tám y chowáią Trozą̨b wielki spory:
Ktorem z sámego gruntu źiemie máca,
Y wielkie miástá Stworzyćiel wywraca.

* * *

Między inszemi puklerz niebieskiemi
Rynsztunkámi się lśniał Dyámentowy:
A był ták wielki, że záiął ná źiemi,
Od Kaukázu po wierzch Atlántowy.
Co Swiętych Pánow y z spráwiedliwemi
Miásty, pobożnych Krolow strzeże głowy.
Ten niewidomy Anyoł ná się włoży,
Y stánie blisko przy Grábi z Tolozy.

Tem czásem ludźi co się dźiwowáli,
Wieże, y mieyscke pełne beły mury:
Już też z Kloryndą ludźie wyiezdżáli,
Nie przeiezdżáli iednak wierzchu gury.
Chrześćiánie też osobno czekáli,
Spráwieni w połki. W śrzodku był plác ktory
Zostawał wolny, y niezástąpiony,
Między woyskámi gońcom náznáczony.

* * *

Hárdy Cyrkászczyk pyta o Tánkredźie,
Nowego kogoś, nowe widząc stroie:
Przymknie się Grábiá, y podeń podiedźie,
Gdźie indźiey (práwi) iest nászczęśćie twoie.
Nim się on wroći, y niźli przyiedźie,
Atom ia gotow odprawić te boie:
Y bić się ztobą zá niego, á ktemu
Wolno to ma bydź, iáko to trzećiemu.

* * *

Rośmiał się Argánt: A Tánkred co? żyie,
Czy umárł? gdźie iest? co się (pry) z niem dźieie?
Dopiero grożił, á teraz się kryie,
Y w nogách tylko pokłáda nádźieie.
Ale niechay się y pod źiemię wryie,
Niech náostátek dzwonem się odźieie,
Námácam go ia. Już więcey nie czekał
Ráymund, ále rzekł: Łżesz by on uciekał.

* * *

Zgrzytnął gniewliwy Cyrkászczyk zębámi,
Y surowemi odpowiedźiał słowy:
Więc się ty zań biy. A z Bohátérámi
Ukażęć iákiey używáią mowy.
Skoczyli zá tem rączo z kopiámi,
A obá sobie mierzyli do głowy.
Grábiá ták iako wymierzył, nie zmylił,
Ale coż potem? áni go náchylił.

Argánt záś chybił ponno z wielkiey chęći,
Co wielka byłá u niego nowiná:
Albo też Anyoł Grábię ná pámięći
Miał, y zepsował raz u Pogániná.
Gniew się okrutny w Cyrkászczyku nieći,
Porzućił drzewo: ná Chrześćiánina
Chce inszey broni y pewnieyszey użyć,
Kiedy mu pierwsza niechćiáła posłużyć.

* * *

Ná rączem koniu przećiw niemu w oczy
Bieży iáko ptak, á miecz ma dobyty:
Ale mu Ráymund w práwy bok uskoczy,
Y záś przypadszy, tnie go w łeb zákryty.
Y nowu nań zewrze co ma w koniu mocy,
Znowu on w lewo skoczywszy w hełm lity
Tnie, ále dármo ćiął bo obá rázy,
Nie bał się żadney twárdy szyszak skázy.

* * *

Chce się z niem Argánt ćieśniey związáć zgołá,
Zeby go iáko ná doł z koniá zwálił:
Lecz uskákuiąc Grábiá chroni czołá,
Boiąc się by go z koniem nie obálił,
Y to tám to sám wielkie czyniąc kołá,
To nátárł, to się od niego oddálił:
Aquilin żártki gdźie Pan wodzą kinie,
Wypráwuie się, to nátrze, to minie.

* * *

Jáko gdy dźielny Hetman mocney wieże,
Albo wysokiey dobywa gdźie gury:
Wszystkich przystępow kuśi, ták odźieże
Stalone śiekąc, y on szuká dźiury.
Ale iż pierśi mocną zbroią strzeże,
Pilnuiąc dobrze powierzoney skury,
W blách godźi słábszy, y gdźie ćienkie nity,
Chce gwałtem swoy miecz wrážić iádowity.

Już mu blách w kilku mieyscách podźiurawił,
Ták że mu ćiekłá krew między żelázy:
A sam nie tylko że się nie ukrwawił,
Ale y w zbroi znáczney niemiał skázy.
A Argánt dotąd ieszcze nic nie spráwił,
Y ná wiátr tylko prożne ćiskał ráży:
Niesprácowány; iednák pełen pychy,
Siecze, á czásem srogie czyni sztychy.

* * *

Nákoniec z gury Sárrácen raz ćięty
Uczynił, bo się Grábiá beł nádstáwił:
Ze choćia ták beł swą żártkośćią wźięty,
Aquilinby go iuż beł nie wybáwił,
Ale z dáleká uyrzał Anyoł święty,
Y z niewidomą pomocą się stáwił.
Wyćiągnął rękę, y Dyámentowy
Puklerz podstáwił pod miecz Argántowy.

* * *

Miecz poszedł w sztuki, bo od rzemieśniká
Broń śmiertelnego z źiemie uczyniona,
Nie mogłá zdźierżeć tey, co od kuźniká
Nieśmiertelnego bełá urobiona.
Cud się to wielki zda u Cyrkászczyká,
Ze mu zostawa ręká obnażona:
Myśli zdumiały, widźi że nie żárty,
Ze tarcz Grábiná ma ták twárde hárty.

* * *

Bo mniemał Argánt, y ták mu się zdáło,
Ze o tarcz iego on miecz beł słuczony:
Toż y w Ráymundźie mniemánie zostáło,
Nie wiedząc że beł z niebá zásłoniony.
A widząc że się żelázo spádáło,
Y że beł z mieczá Argánt obnażony:
Stał w mieyscu niechcąc zwyćięstwá podłego,
Z nieprzyiaćiela swego bezbronnego.

Chćiał iuż rzec, áby mieczá kędy dostał,
Lecz záśię potem rozmyślal to sobie:
Ze gdźieby przegrał y ná plácu został,
Wszystkoby woysko zelżył w swey osobie.
Niechćiał niegodnie wygrać choćby sprostał,
O pospolitey myśli też ozdobie.
A wtem mu (pátrzćie foremnego strzelcá)
Puśćił w twarz Argánt ułomione ielcá.

* * *

Y záraz boyce dawszy w bok koniowi,
Chce go w pás porwáć: W tem ielcá z głowicą
Dośięgły twarzy, y Tolozanowi
Nádtłukły nosá dobrze pod przyłbicą,
Nie zlękł się, y wbok skoczył Argántowi,
Niechcąc z niem sztuką czynić zapáśnicą.
Y kiedy go chćiał porwáć w rękę práwą,
Zádał mu iednę máłą ránę krwáwą.

* * *

Potem iák piorun niedośćigły oku,
To ztąd, to zowąd, rączy koń obráca:
Y záwsze go tnie po pierśiách po boku,
Kiedy odskoczy, y kiedy się wráca.
Co w sobie mocy, co w koniu ma skoku,
Wszystkiego kuśi, y wszystkiego maća:
Nayskrytszey śiły ná niego dośięga,
A szczęśćie zsobą z niebem poprzyśięga.

* * *

On w dobrą zbroię y sam w się ubrány
Odpiera przedsię, y nic się nie boi:
Y iáko okręt co ma sztyr urwány,
Stárgány żagiel, ieszcze ćáło stoi.
A choć iuż ieden bok ma zgruchotány,
Y morze iuż go słoną wodą poi:
Chociá się iuż weń ze wszystkich stron leie,
Jęszcze ostátniey nie tráći nádźieie.

Tákieś ná ten czás miał niebespieczeństwo
Argáncie, gdy ćię Belzebub rátował:
Ten cień w zmyślone oblokł człowieczeństwo,
Y z obłoku mu członki posprawował.
A Kloryndźine wźiąwszy podobieństwo,
Jey mu postáwę y mowę dárował:
Dał chod, dał mu głos, dał iey zwykłe stroie,
Dał y zwykły blask od iey świetney zbroie.

* * *

Do Orádyná strzelcá szłá sławnego
Mara, yrzekła: Sławny Oradynie:
Ciebie słuchάią strzały, y każdego
Celu, kiedy chcesz żadna znich nie minie.
Jaka to będzie narodu naszego
Szkoda, ieśli ten wielki Rycerz zginie:
Y iaka hánba ieśli do swych cały,
Uydźie z zwyćięstwem nieprzyiaćiel śmiały.

* * *

Pokaż y teraz co umiesz, á w ćiele
Tego psá utop twoy bełt iádowity:
A my u Krolá twoi przyiaćiele.
Ziednamyć łáskę, y dar známienity.
Wtem się Orádyn nie rozmyślał wiele,
Obietnicámi onemi upity:
Strzałę do prętkiey przyłożył ćięćiwy,
Y wymierzywszy łuk wyćiągnął krzywy.

* * *

Swiszczy y wiátry śiecze rozerwáne
Strzała prędkiemi przyprάwiona piory:
Y tráfi w pásy przęczką pospinάne,
Y między nity uczyni kęs dźiury.
Ostre żeleśće krwią záfárbowáne,
Zwierchniey dośięgło trochę tylko skury:
Bo Anyoł strzale odiął lotu śiłą,
Y uczynił ták, że się wyśiliłá.

Ciągnie rániony strzałę Grábiá stáry,
Y widźi że mu krew po zbroi ćiecze:
Y z niestrzymáney Pogániná wiáry
Strofuiąc, z oczu ogień szczyry miece.
Hetman umowę spolną z oney miáry
Zgwałconą widźi, á że strzałę wlecze
Ráymund od niego záwsze pilnowány,
Bárzo się boi iákiey wielkiey rany.

* * *

Y swych do pomsty ręką y ięzykiem
Budźi, y chćiwey dodawa ochoty:
A ći zá wielkiem swoiem woiownikiem,
Drzewá w tok kładą, y skłádáią groty.
Y ták obiedwie stronie szły z okrzykiem,
Do strάszney Marsa wściekłego roboty:
Już polá nieznáć, á iáko rozwlokły
Dym, kurzάwy się áż pod niebo wlokły.

* * *

Złamáne drzewá trzeszczą: Tu koń zdycha,
Tu drugi bieży sámopás: Tu zbity
Rycerz od koni podeptány wzdycha:
Ten ręki niema, ten wpoły przebity.
Ten iuż umárły, á ten ieszcze dycha.
Ten świeći srogą przez ránę ielity.
A im się bárźiey y ćieśniey mieszάią,
Krew między sobą hoyniey roźlewάią.

* * *

Dostał buławy Argánt zápędzony,
Y gdźie naywiętsza bitwá bełá skoczył:
Tą sobie wszędźie czynił plác przestrony,
Rozrywał hufce, y we krwi ią moczył.
A ná Ráymundá wszystek obrocony
Gniew niosł, pilnuiąc żeby go gdźie zoczył.
Własnie iáko wilk ktory głodne zęby,
Krwią chce nápoić, swey łákomy gęby.

Ale go wielcy wstrąćili mężowie,
Y ná sobie go trochę zábáwili:
Ormin, Gwid ieden, y dwáy Gerrárdowie,
Rugier, y zacny Grof ná Bálnáwili.
Lecz im go bárźiey cni Boháterowie
Sciskáli, tem beł srozszy w oney chwili.
Ták iáko ogień co gwałtem zámkniony,
Wychodźi, y mur nieśie wywálony.

* * *

Zábił Orminá, w łeb ránił Gwidoná,
Z Rugierá się też duszá gotowáłá,
Wtem wkoło niego wielka zgromádzona
Kupá, zewsząd go oszczepy śięgáłá.
Kiedy ták iego śiłą bitwá oná
Z oboiey strony w rowney wadze trwáłá.
Skoczywszy Hetman rzekł Báldowinowi,
Nástępuy z rotą swą ku posiłkowi.

* * *

A z práwego się uderz o nie boku,
Gdźie się naywięcey biią y mieszáią:
Ledwie to wyrzekł, ze wszystkiego skoku
Bieżą, y z boku śmiele się potkáią.
Zá tem natárćiem ustępuią kroku,
Y wćiąż Pogánie hurmemućiekáią.
Już się szyk zmieszał, hufce rozerwáne,
Chorągwie zbite, y w źiemię wdeptáne.

* * *

Już práwe skrzydło tákże ustępuie,
Już niewidomey wszędźie pełno trwogi:
Y wszyscy zgołá (ták ich strách zdeymuie)
Okrom Argántá w prętkie pośli nogi.
Ten tyłu tylko sam nie ukázuie,
Ten twarz, ten y wzrok tylko trzyma srogi.
Ktoby sto mieczow, sto rąk miał przy ćiele,
Nie uczyniłby iáko on ták wiele.

Trzyma ná sobie mecze, groty, konie,
A przećię zá ták wielkiem náćierániem:
Czásem to tego, to owego żonie,
Y pełno trupow y przed niem, y zá niem.
Już zbroię, iuż ma potłuczone skronie,
Już krwią śćiekł, á wżdy nieznáć tego ná niem.
Ale nákoniec gęsty w onem cześie,
Lud go obraca, y z sobą go nieśie.

* * *

Muśiał tył podáć zá onemi wáły,
Ktore go wielkiem gwałtem zábieráią:
Lecz iego kroki nie owych się zdáły,
Y serce tákże, ktorzyućiekáią.
Z oczu mu szczyre skry wyskákowáły,
Y postáremu zwykły gniew chowáią:
Záiezdźa swoich żeby się wrácáli,
Nic nie pomogło, wszyscyućiekáli.

* * *

Chćiałby przynamniey onoućiekánie
Rządne mieć, żeby správą uchodźili:
Ale strách niedba ná żadne łáiánie,
Dármo się groźbą y prożbą nań śili.
A widząc Hetman że słábszy Pogánie,
Y że ich iego ludźie przełomili.
Jdąc zwyćięstwá szczęśliwego cugiem,
Jeden pośiłek posyła zá drugiem.

* * *

Y iedno że to nie beł náznáczony
Dźień, co od Bogá z wieku był przeyrzány:
Jużby beł zastęp on niezwyćiężony
Miał, oney woyny koniec pożądány.
Lecz widząc szátan, żeby beł zniesiony
Zá tem zwyćięstwem rząd iego z Bałwány.
Zá dopuszczeniem Páńskiem w mgnieniu oká,
Chmury y wiatry wypuśćił z obłoká.

Dźień się y słońce przed chmurámi ściska,
Ktore wychodzą z piękielney ćiemnice:
Swiátá niewidáć, ze wszech stron się błyska,
Z gromow strászliwe idą trzáskáwice.
Niebo pioruny bez przestánku ćiska,
Grad ścina trawy, y piękne pszenice.
Polá zálewa, wycher z gruntu máca,
Y gory trzęśie, y dęby wywraca.

* * *

W iednem czaśie deszcz, grad, wiátr, źimna wodá,
Lękliwe biią Chrześćiány w oczy:
Y oná sroga zbytnia niepogodá
Stanowi roty, rowna czarney nocy.
Chorągwi nieznáć, w ludźiách wielka szkodá,
Ktorzy sobie dáć nie mogą pomocy.
Bo tey Kloryndá pogody záżyłá,
Y koniowi w bok ostrogi włożyłá.

* * *

Wołáłá ná swych: Zá námi życzliwe
Niebo pomaga, y zá nas woiuie:
Pátrzćie iáko nám sámem przyiáźliwe
Twarzy, y ręce wolne zostáwuie.
A ich y w oczy, y w czołá lękliwe
Biie, y gniew swoy ná nich ukázuie.
Swiátło iem bierze, á nam drogę ściele
Dźiś do zwyćięstwá, nástępuymy śmiele.

* * *

To rzekszy z ludźmi swoiemi nátárłá,
Tył niepogodźie tylko podáwáiąc:
Y z Chrześćiány ták się męznie zwárłá,
Ze poszła przez nie máło wstrętu máiąc.
A co dopiero máło nie dał garłá
Argánt, bił naszych srodze náćieráiąc.
Záczem iuż wszyscy gwałtemućiekáli,
A tyły mieczom y dżdżom podawáli.

Gniew nieśmiertelnych y śmiertelnych miecze,
Ućiekáiące grzbiety prześladuią:
Krew strumieniámi wytoczona ćiecze,
Ktorą się wody y drogi fárbuią.
Tu trupy końskie, tu leżą człowiecze,
Pyrrus y Rudolph iuż więcey nie czuią.
Támtemu Argánt srogi ściął wierzch głowy,
Ten legł od száble mężney białeygłowy.

* * *

Tákućiekáli bići Chrześćiánie,
A piekielne ie goniły pokusy:
Hetman sam tylko ná grad, ná łyskánie
Niedba, grom go nic, y piorun nie ruszy.
Ná swych surowe grożby y łáiánie
Obracá, á iż iuż przegráney tuszy:
Ná koniu stoiąc w oboz otworzony,
Przed bramą zbiera swoy lud rosproszony.

* * *

Dwá rázy koniá ná on czás rospuśćił,
Chcąc swych ràtować przećiw Argántowi:
Dwákroć się okrył y nic nie opuśćił,
Co należało cnemu Hetmánowi.
Potem z inszemi ustąpił, y puśćił
Wolny zwyćiężcy plác Pogáninowi.
Zátem się oni do miásta wracáli,
A ći strápieni w oboźie zostáli.

* * *

Ale przed wielką y tám niepogodą,
Y wśćiekłem wiátrem pokoiu niemáią:
Ognie pogásły, oboz spłynął wodą,
Powrozy się rwą, koły się pádáią
Y ze wszystkiego woyská wielką szkodą
Szalone wichry namioty targáią.
Gromy, dżdże, wiátry, społem się mieszáły
Z ludzkiemi głosy, y świat ogłuszáły.

KONIEC PIESNI ŚIODMEY. 12

PIESN OSMA.

ARGUMENT.

O Krolewicá Szwedzkiego słuchaią
Smierći, y iáko iego lud beł zbity:
Z podobieństw płonnych, Włoszy ták mniemáią,
Ze ich Rynáld beł okrutnie zábity.
Ale kto broi, wszyscy się mieszáią,
Ná Goffredá gniew rośćie iádowity:
Káżdy mu grozi, y káżdy nań zmierza,
On słowy tylko tę wrzáwę uśmierza.

Już beły wiátry ućichły szalone,
Y niepogodá iuż się spokoiłá:
Już y ná źiemię y ná morze słone,
Złote iutrzenká świty prowádźiłá.
Lecz podźiemna ćmá ktora wichry one
Wzbudźiłá, przedsię sztuki swe robiłá.
Astrágor chytry tusząc że co żyszce,
Ták Alekcie swey mowi towárzyszce.

* * *

Pátrzay Alekto, że się tu iuż stáwił,
Y do Goffredá idźie ten, ktorego
Sam Bog bez chyby nam ná złość wybáwił,
Zywo od mieczá Solimánowego.
Ten Chrześćiánom będźie wszystko práwił,
O Krolewicá poraszce Szwedzkiego:
Odkryie wszystko, zá czem ponno oni
Słáć po Rynáldá muszą w ták złey toni.

Początkom trzebá zábiegáć, bo z trochy
Skry skrytey, często ognie wielkie były:
Jdź do Chrześćian, zmieszay ich, niech płochy
Zołnierz sam ná się użyie swey śiły.
Między Angliki, Szwáycáry, y Włochy
Wrzuć ogien, a iad puść iem w krew y w żyły.
Niechay się wśćiekłe gniewy w nie wprowadzą,
Niechay się sámi między sobą wádzą.

* * *

Godna tá spráwá rąk y twey roboty,
Masz plác Pánu się nászemu przysłużyć:
Ták rzekł Astrágor, á oná ochoty
Pełná, chce záraz w oney spráwie służyć.
Wtem w oboz między ozdobne namioty
Wiechał on Rycerz, myśląc kogo użyć:
Aby mu przystęp ziednał u Hetmáná,
Chcąc mu oznaymić śmierć swoiego Páná.

* * *

Kiedy się pilnie o Hetmánie pytał,
Káżdy mu namiot iego ukázował:
Tám wprowádzony z ukłonem go witał,
Y rękę iego uczćiwą cáłował.
Potem ták począł: Kto twe dźiełá czytał,
Y wie iákoś te kráie powoiował:
Zdźiwi się, bo twa sławá iáko trzebá.
Od Oceáná śięga áż do niebá.

* * *

Radbymći beł niosł weselsze nowiny,
(Tu srodze westchnie, y westchnąwszy rzecze)
Steno Szwedzkiego Krolá syn iedyny,
(Ach iáko rzeczy omylne człowiecze)
Chćiał być ieden z tych co do Pálestyny
Szli, dla Chrystusá przypasawszy miecze:
Niebespieczeństwá, y ośiec ubogi
Już zeszły, nie mogł rozwieść mu tey drogi.

Chćiał spraw pod tobą náwyknąć Marsowych,
Ták dobrem mistrzem: y z wielkiey chćiwośći
Gniewał się na się że dotąd w domowych
Schowány páństwách, gnuśniał w nikczemnośći.
Słyszał o wielkich dźiełach Rynáldowych,
Y sławie ieszcze w niedoszłey młodośći.
Tá go chęć świętа do tey drogi wiodłá,
Lecz miłość Bożá, naybárźiey go bodłá.

* * *

Przeto iáko się iedno nágotował
Z przebránem ludem z domu wyszedł w pole:
Y ná Trácyą drogę swą kierował,
Y szedł ná wielkie Konstántynopole,
Tám Cesarz Grecki hoynie go częstował,
Tám mu poseł twoy powiádał przy stole
Antyochiey iákośćie dostali,
Y iakośćie iey potem dotrzymáli.

* * *

Jáko was beli oblegli Persowie
W mieśćie z swoiemi woyski ták wielkiemi:
Ze się ták zdáło, że wszystko pogłowie
Wyszło, y ledwie został ktory w źiemi.
Ciebie też w swoiey nie zápomniał mowie,
Y inszych kilku: Ale przed inszemi
Rynálda, iáko wykradł się rodźinie,
Co potem zrobił, y iáko dźiś słynię.

* * *

Powiedźiał y to, żeśćie iuż myślili,
Szturmem się kuśić o Syońskie grody:
Rádząć ábyśmy z niem nie opuśćili,
Tey do zwyćięstwá ták piękney pogody.
Táką zágrzany mową w oney chwili,
Ták posłá twego beł Krolewic młody:
Ze sobie z sercá przybydź ná czás życzył,
Y nie tylko dni, lecz godźiny liczył.

Ták mu się zdáło, że mu wymawiano
Jego nikczemność w cudzem zálecániu:
Y kiedy mu się zatrzymáć kazano,
Niechćiał przestáwać ná niczyiem zdániu.
Niebespieczeństwo ktore przekłádano,
Zá nic sobie ma, á to ná świtániu,
To uteskniony w nocy záwsze myśli,
Abyśmy ná czás do potrzeby przyszli.

* * *

Sam się ná swą śmierć ukwápliwy bierze,
Y nieszczęśćie nas wielkiem gwałtem ćiągnie:
Noc mu się zdáłá bydź nie w swoiey mierze,
Nád zwyczay dłuższa, y ledwie go wściągnie.
Co krotszą drogę sam sobie obierze,
Y ták skoro się lud do kupy śćiągnie:
Ruszy się z mieyscá, myśląc złe przechody,
Y niebespieczne przebyć bez swey szkody.

* * *

Siłáśmy nędze ná drodze użyli,
Ale y głody, y zasadki skryte:
Y niewczásysmy wszystkie zwyćiężyli,
Pogáństwo uszło, álbo beło bite.
Jużesmy názbyt bespiecznemi beli,
Dla szczęśćia ktore beło známienite:
Kiedysmy gęste pospináli wozy,
Przy Pálestyńskiey grániey w obozy.

* * *

Támći co naprzod chodźili przybiegli,
Dáiąc znáć, że zbroy srogi chrzęst słyszeli:
Y że chorągwi niemáło postrzegli,
Y ztąd że lud beł wielki rozumieli.
Wiele ich beło co srodze pobledli
Ná te nowiny, y ućiekáć chćieli.
Postáremu się Krolewic rumieni,
Y áni twarzy, áni głosu mieni.

Dwie (práwi) mamy przed sobą Koronie,
Jednę zwyćięstwá, drugą męczennictwá:
W támtey nie wątpię, tę włożyć ná skronie
Prágnę, z Swiętemi pewien uczesnictwá.
Y tu nas pozny wiek nie zápomionie,
Y tám dostąpiem wiecznego dźiedźictwá.
Tu ná tem polu świát násze ozdoby,
Y násze będźie ukázował groby.

* * *

Wtem straży záwiodł y oboz obbieżał,
Dźieląc urzędy z pracą między swoie:
Y kazał áby káżdy zbroyno leżał,
Sam tákże z śiebie nie zdyimował zbroie.
Nocy był ten czás gdy naybárźiey bieżał
Sen, ná troskliwe ludzkie niepokoie:
Kiedy Pogáńskie okrzyki y głosy
Wstáły, ktore szły pod sáme niebiosy

* * *

Uderzą w lármę, on záraz wesoło
Wprzod przed inszemi w świetney stánie zbroi:
Y z pięknem okiem okazále czoło,
W bárwę śmiáłośći pospolitą stroi.
Wnet nas Pogáństwo otoczy: Już koło
Obozu woysko niezliczone stoi:
Lás gęstych kopiy przećiwko nam stánie,
Chmurę strzał ná nas wypuszczą Pogánie.

* * *

W nierowney bitwie, bo przećiw iednemu
Jeśli nie więcey do dwudźiestu beło:
Siłá ich legło, śiłá po nocnemu
Cieniu, z okrutnych ran z świátá schodźiło.
Oko zákryte pobitych żadnemu
Uyrzeć nie dáło, y nie dopuśćiło:
Bo rázem szkody y násze dźielności,
Noc okrywáłá płaszczem swey ćiemności.

Jednák Krolewic ták się ukázował,
Ze go znać było dobrze choćia w nocy:
Jeśli mu się kto zbliská przypátrował,
Y iego śiłom, y sercu, y mocy.
Gdźie iedno bystry swoy koń nakierował,
Gdźie mieczem kinie, y gdźiekolwiek skoczy:
Krew wielka płynie wszędźie w onem cześie,
Strách srogi w oczu, á śmierć w ręku nieśie.

* * *

Aż dotąd, kiedy ná świat wychodźiłá
Złota iutrzenká, oná bitwá trwáła:
Ale skoro noc dniowi ustąpiłá,
Ktora strach gęstych śmierći zákrywáłá.
Dopiero świátłość niebieska odkryłá,
Y oku woysko zbite ukazáłá.
Po polu gęsty trup leży, y máło
Rycerstwá co iuż nászego zostáło.

* * *

Sto nás zostáło ode dwu tyśięcy,
Kiedy Krolewic uyrzał zbite szyki:
Ja niewiem, ieśli strwożył się widzęcy
Pobite pierwsze swoie woiowniki.
Nie dał tego znáć ták do swych mowięcy:
Mamy, o bráćia, dobre przewodniki.
Y my zá niemi w niebo ich przykłádem
Jdźmy, krwią od nich náznáczonem śládem.

* * *

Y wesoł z śmierći, że iuż bełá bliska,
Niosł pierśi pełne niebieskiey ochoty:
Nieprzyiaćiel nań zewsząd gęste ćiską
Miecze, kopiie, strzáły, ostre groty.
Ze nie tylko tá z stali zbroiá śliska,
Lecz Wulkánowey podomno roboty
Nie wytrwáłáby, ták że iego ćiáło
Skłote, iedną się tylko ráną zdáło.

Nie żywot trzyma, ále niepożyty
Węzeł dźielności, członki iuż zemdłałe:
Kole sam skłoty, y biie sam zbity,
Y w skłotem ciele serce ieszcze śmiáłe.
Wtem wzrostem wielki, wzrokiem iádowity
Mąż, máiąc oczy groźne y zuchwáłe:
Siekł nań ták długo z drugiemi swoiemi,
Ze náostátek Sueno beł ná źiemi.

* * *

Poległ niestetysz kwiát piękney młodości,
Y nie beł żaden ktoby go rátował:
Wámi droga krwi, y szláchetne kośći
Swiádczę, iákom się ná ten czás správował.
Wzgárdźiłem żywot, y z wielkiey żáłośći,
Szedłem ná miecze, pierśim nádstáwował:
Y by to beło wiecznych losow zdánie,
Zem śmierć miał podiąć, zárabiałem ná nię.

* * *

Jam tylko ieden sam między trupámi
Zyw leżał, y to tylko też co żywy:
Y niewiem co się potem dźiało známi,
Ták mi był odiął zmysł mrok nieżyczliwy.
Lecz skorom mdłemi przeyrzał kęs oczámi,
Ktore był záćmił ćień niepámiętliwy:
Noc mi się zdáłá y że w onem mroku,
Płomień się błyszczał zemdlonemu oku.

* * *

Nie miał wzrok wten czás w sobie tákiey mocy,
Aby beł rzeczy rozeznał widźiáne:
Lecz beł iák gdy kto raz otworzy oczy,
Raz záwrze, wpoły czułe, wpoł ospáne.
Osurowiáłe rány w źimney nocy,
Dopiero bole czuły niesłychane.
Bolu to ieszcze więcey przydawáło,
Ze się ná wietrze pod niebem leżáło.

Wtem gdy się oná świátłość przymykáłá,
Usłyszę iakąś ćichą dwu rozmowę:
Y przymknąwszy się podle mnie zostáłá,
Jam podniosł z strachu oćiężáłą głowę:
Aż w száćie ktora do źiemie śięgáłá
Uyźrzę dwu z ogniem, y usłyszę mowę.
Dufay, o synu, Boskiey opátrznośći,
Ten ćię rátuie w twoiey doległośći.

* * *

Potem przystąpił, y tknąwszy mi głowy,
Zegnał mię, w wielką pokorę ubrány:
Y pátrząc w niebo, nabożnemi słowy
Mowił nádemną tym niezrozumiány.
Y rzekł: wstań. A ia wstawam zaraz zdrowy,
Bolu nie czuię áni żadney rány,
Owszemem się zdał sam sobie czerstwieyszy,
Y (o cud wielki) dobrze ochotnieyszy.

* * *

Zádźiwiłem się, y myśli lekliwe
Wierzyć niechćiáły onemu cudowi:
Aż mi ieden znich: Czemu (pry) wątpliwe
Máłowiernemu zmysły rozumowi
Poddawasz? uwierz, my ćiáło prawdźiwe
Nośiem, y słudzy sąśmy Jezusowi:
Ktorzyśmy świátem wzgárdźili obłudnem,
Y tu ná mieyscu mieszkamy bezludnem.

* * *

Mnie Tworcá świátá, miłośnik człowieczy
Kazał o tobie pilne mieć stáránie:
Ktoremu nie dźiw wielkie czynić rzeczy,
Przez podłe śrzodki nád ludzkie mniemánie.
Ten y to ćiáło ma ná swoiey pieczy,
W ktorem cna duszá miáłá swe mieszkánie:
Y chce żeby z nią w iasność obleczone,
Y w nieśmiertelność beło ziednoczone.

Y żeby mu był grob táki správiony,
Jáki należy ćiáłu ták zacnemu:
Ktory u świátá będźie poważony.
Y oznaymiony wiekowi poznemu.
Poyrzy po gwiazdách, á pátrz z práwey strony
Ná iednę, słońcu podobną iásnemu.
Táć przewodnikiem będźie, y pobieży
Zywem promieniem, tám gdźie twoy Pan leży.

* * *

Wtemem obaczył z wielkiem podźiwieniem,
Ze z oney gwiazdy świátłość wychodźiłá:
Y rośćiągnionem do źiemie promieniem,
Gdźie ćiáło beło prosto wymierzyłá.
Y Krolewicá swem iásnem promieniem,
Y wszystkie iego rány oświećiłá:
A potem nagle ode mnie bieżáłá,
Y ták iáko krew wszystka szczerwieniáłá.

* * *

Nie ná nos leżał, ále iáko żywy
Miewał do niebá umysł obrocony:
Ták y ná on czás choć martwy wzrok chćiwy
Do gwiazd obrośił, ná wznák położony.
Miecz w iedney pięśći śćiskáiąc pierzchliwy,
Jakoby chćiał bić trzymał wynieśiony:
Drugą do pierśi nabożnie przykładał,
Ták iákoby się zá grzechy spowiádał.

* * *

Kiedym ták łzámi święte kropił rány,
Nie bez żáłośći, nie bez wielkiey męki:
Krolewicowi miecz mocno trzymány,
Z pięśći Pustelnik wyimował przez dźięki.
Y rzekł mi zátem: Ten miecz krwią rumiány,
Ktorym dopiero wyiął z mężney ręki:
Jest ták hártowny, y ták doskonáły,
Ze dawne wieki tákiego nie miáły.

Bog w dyámencie wyrok ten wykował,
Ponieważ Páná utráćił pierwszego:
Aby w tey stronie dármo nie proznował,
Lecz áby prędko poszedł do drugiego.
Ktoryby w rowney śile niem woiował,
Ale szczęśliwiey, y czásu dłuszszego:
Y niem się pomśćił (iego to robotá)
Nád tem, co Swená pozbáwił żywotá.

* * *

Soliman Swená zábił, w Solimanie
Ten miecz ma zostáć, y bydź utopiony:
Przeto zánieś go tám, gdźie Chrześćiánie
Pod miástem máią oboz zátoczony.
Nie boy się, ábyć w drodze wstręt Pogánie
Mieli uczynić, z iakieykolwiek strony.
Ten ktory ćię śle, ták ćię poprowadźi,
Zeć nic przygodá żadna nie záwádźi.

* * *

Ten każe, áby od ćiebie wiedźieli
Jákośćie mężnie z Pogány czynili:
Jákośćie Páná pobożnego mieli,
Jáko dźielnego, iákośćie go zbyli.
Aby drudzy być ochotnieyszy chćieli,
Y chętniey zbroie krzyżámi znáczyli.
A wielkie sercá tem ogniem zágrzane,
Mnożyły wiárę, y krzyże rumiáne.

* * *

A żebyś wiedźiáł, kto mieczowi temu
Ma ták dobremu własnem zostáć Pánem:
Ten iest Bertoldow mężny syn, ktoremu
Nikt nie może być w męstwie porownánem.
Temu go odday, á mow mu: że iemu
Pomstá należy, y że iest obránem
Od Bogá ná to: Zá onemi słowy,
Do śiebie mię záś obrośił cud nowy.

Tam kędy beło Swenonowe ćiáło,
Uyrzałem wielki grob wybudowány:
Ktore weń weszło, iáko się to stáło,
Y oko, y zmysł, niewie obłąkány.
Ktoś tylko ná niem iáko mi się zdáło
Z iego wielkich dźieł rym pisał zebrány:
A iam wzrok chćiwy obrośił do gury,
Pátrząc ná napis, y gładkie mármury.

* * *

Tu (mowi stárzec) między przyiaćioły
Ma twego Páná ćiáło odpoczywáć:
A iego drogi ná niebie z Anyoły
Wiecznego dobrá duch będźie záżywáć.
Ale ty przestań płákáć, y wesoły
Chćiey się ná lepszą myśl teraz zdobywáć:
A zostań zemną dźiśia w tey gośćinie,
Dokąd z gwiazdámi ćiemna noc nie minie.

* * *

Tu stárzeć zmilknie, y potem mię wiedźie
Po przykrych gorách, co mię spracowały:
Ażeśmy weśli po źwierzęcem śledźie,
W strászną iáskinią iedney ostrey skały.
Gdźie srodzy wilcy, y dźicy niedźwiedźie,
Y Lwice z swemi szczenięty mieszkały.
Tu z uczniem mieszkał, świętа go broniłá
Niewinność lepiey niźli mieczow śiłá.

* * *

Jábłkámi tylko ktore z lásu bierze,
A twárdem łożem stárzec mię częstował:
Wtem świt rumiány we złotem ubierze
Ogniem pleciony wárkocz ukázował.
Pustelnicy też wstáli ná paćierze,
Jam też modlitwy swoie odpráwował.
A potemem ich pożegnał, y w drogę
Powrośiłem tu ukwápliwą nogę.

Skoro Szwed skończył, Goffred zásmucony
Tak mu ná iego odpowiedźiał mowę:
Y ia, y wszystek żołnierz utrapiony
Muśi być ná tę żáłosną ponowę.
Ponieważ lud wász mężny y ćwiczony
Od nieprzyiaćioł pobity ná głowę.
Y wász Pan iáko błyskáwicá rázem,
Y ukazał się, y poległ żelázem.

* * *

Ale szczęśliwsza to śmierć, niż dostáne
Wielkie Krolestwá, y bogáte Kśięstwá:
Y dawnych wiekow dźieie opisáne
Więtszego nád to nie ukażą męstwá.
Już oni w złote wieńce opásáne
Ubráli głowy dla swego męczeństwá:
Ja wierzę że tám káżdy ukázuie
Swe drogie rány, y z nich tryumphuie.

* * *

A ty, ktorego Bog ná tey dolinie
Nędznego świátá ieszcze chćiał zostáwić:
Miałbyś oddawszy troski złey godźinie,
Lepszey się myśli y weselszy stáwić.
A co się pytasz o Bertoldá synie?
Błąka się, ále gdźieby się miał báwić
Niewiem, á ty się strzeż drogi wątpliwey,
Aż o niem rzeczy dowiesz się prawdźiwey.

* * *

Gdy táka byłá o Rynáldźie mowá,
Wszyscy go bárzo w on czás żałowáli:
Y ozwał się ktoś, ktory rzekł te słowá,
Ato go z woyská niewinnie wygnáli.
Wszyscy iákoby bełá ná to zmowá,
Szwedowi iego dźiełá powiádáli:
Jáki mąż z niego, iáko się správował,
W rożnych potrzebach, á Szwed się dźiwował.

Gdy ták ná ono wszyscy wspominánie,
Miłość ku niemu w sobie pobudźili:
Ci, ktorzy byli szli ná picowánie
Do obozu się zpoł názad wroćili.
Pędźili woły, y stádá báránie,
Y rożną żywność z sobą prowádźili:
Słomy, y owsy, y bydłá dostátek,
Támto dla koni, á to záś dla iátek.

* * *

Ci tę nowinę nieśli nieszczęśliwą,
Ktorą zá pewną wszystkim udawáli:
Ze Rynáldow puklerz, y ćierpliwą
Zbroię, krwią świeżą spluskáną poználi.
Zewsząd (bo ktoby rzecz ták żáłośćiwą
Mogł zákryć) ludźie do nich się zbiegáli.
Co żywo o śmierć pyta Rynáldowę,
Y zbroię widźieć chce Bohátyrowę.

* * *

Poználi bláchę, y u miąszszey zbroie
Znak zwykły, y herb ná iego puklerzu:
Ná ktorym beł ptak ten co dźieći swoie
Doświadcza słońcem, y nie wierzy pierzu.
Ten ilekolwiek znáczne beły boie,
Zawsze widáli ná wielkim Rycerzu.
A teraz z żalem z gniewem pomieszánem,
Widzą go bydź krwią srodze popluskánem.

* * *

Kiedy ták rożnie po woysku szemrano,
Y tę rzecz sobie rozbieráli sámi:
Roskazał Goffred, áby záwołano
Alpándrá, co był nád picownikámi:
Człek to był dobry iáko powiádano,
Prosty, prawdźiwy między Rotmistrzámi:
Ten od Hetmáná o zbroię pytány,
Ták opowiedźiał cnotą záwiązány.

Ztąd w mil dwunastu przy gośćińcu, ktory
Jdźie do Gázy, tuż blisko gránice:
Rowniná máła leży wszedszy w gory,
Ktore obeszły támte okolice.
Srzodkiem nie wielka rzeczká spada z gory,
Stoki w niey gęste y żywe krynice:
Mieyscámi gęstwá y drzewá ozdobne,
Zákrytem bárzo zasadkom sposobne.

* * *

Myśmy tám stádá szukáli iákiego,
Zwłaszczá że kray beł w pástwiská obfity:
A wtem uyrzemy kogoś umárłego,
Ktory tám leżał przy wodźie zábity.
Biegli tám wszyscy, bo z herbu zwykłego
Zbroię poználi: trup sam beł nákryty.
Gdym go chćiał odkryć kiedy go podięto,
Tulow beł tylko, á głowę ućięto.

* * *

Ręki nie beło práwey, ran miał wiele,
Ná obie stronie wszystek przebodźiony:
Przy niem hełm prozny, co orłá na czele
Białego nieśie, leżał położony.
Radbym beł komu, coby o tem ćiele
Spráwę dáć umiał, á wtem z iedney strony:
Obaczę chłopá niedáleko, krory
Zayrzawszy nas, chćiał spiesznie ućiec w gory.

* * *

Lecz dościgniony y od nászych wzięty,
Tę sámę tylko powiádał nowinę:
Ze wczorá kiedy pásł bydło z chłopięty,
Záyrzáwszy konnych skrył się w rokicinę.
Jeden znich trzymał w ręku łep ućięty,
A kiedy pilnie pátrzył przez krzewinę:
Ták mu się zdáło że to był ktoś młody,
Y niezárosły, y ieszcze bez brody.

Y że go w torbę záraz potem włożył,
Ktorą do łęku sobie przywięzował:
A náostátku y tego dołożył,
Ze stroy, że nászy beli, ukázował.
Jam zátem zbroię onę z niego złożył,
Y serdeczniem go, Bog widźi, żálował.
Zbroię tę z sobą przywiozłem, á ono
Ciáło kazałem áby pogrzebiono.

* * *

Lecz ieśli to iest Rynáldowe ćiáło,
Jnszego pewnie godne było grobu:
A iż Aliprand nád to wiedźiał máło,
Odszedł zárázem z Hetmáńskiego progu.
Goffredowi się przedsię iednák zdáło
Pytáć się pilniey, ma nádźieię w Bogu:
Ze się z pewnego znáku o tem spráwi,
Y mężoboycá wrychle się obiáwi.

* * *

A wtem ćiemna noc pod płaszcz rośćiągniony
Swiát iáko wielki wszystek zásłoniłá:
A zmysł człowieczy słodkiem opoiony
Snem odpoczywał, y troská się kryłá.
Ty Argillánie ostrą przerážony
Strzałą, sam nie spisz, ále myślisz śiłá:
Oczyć przez dźięki snu nie przypuszczáią,
Złośliwe myśli pokoiu nie máią.

* * *

Ten zły, zuchwáły, nieuhámowány,
Prętki, porywczy ręką y ięzykiem:
Ná brzegu Trentu zrodzony, zchowány
W zwádách, beł nocnem domow naieźnikiem.
Potem bánitem, y z źiemie wygnány,
Lupił po drogách, y beł rozboynikiem:
Dotąd áż woyná w Azyey urosłá,
Ktora mu sławę iuż lepszą przyniosłá.

Kęs tylko usnął dopiero ku dniowi,
Y to w niem nie beł przyiemny, y miły:
Ale podobny sen páráliżowi,
Bo mu iad lałá brzydka iędzá w żyły.
Y wnętrznemu coś czyniłá zmysłowi,
Ze mu się myśli snem niespokoiły.
Y sámá mu się wnet potem stáwiłá,
W straszliwey lárwie, ktora go strászyłá.

* * *

Tułow mu wielki y strászny stáwiáłá,
Y w oczy kłádła wrzkomo Rynáldowy:
W lewey ućięty łep ręce trzymáłá,
Strászny, wybládły, krwáwy, y surowy.
Mowę mu od krwie ochrápiáłą dáłá,
A tákie słowá wychodźiły z głowy:
Ućiekay (práwi) iuż dźień Argillánie,
Coż? nie widźisz zdrad w niezbożnem Hetmánie

* * *

Mnie zábił, ále choć ná to niedbaćie,
Strzeżćie, ábyśćie do tegoż nie przyszli:
Zazdrość go gryźie, á wy mu ufaćie,
Wiedźćie, że y was pozábiiáć myśli.
Lecz ieśli chęći co do sławy maćie,
Y mężną rękę przy wysokiey myśli:
Zostańćie ráczey, y nie ućiekáyćie,
A krwią Tyrańską duszę mą błagayćie.

* * *

Ja z tobą będę y we dnie y w nocy,
Siłyć y sercá będę dodawáłá:
Tą mową więtszey dodáłá mu mocy,
Y gniew mu srogiem iádem hártowáłá.
Sen wylękniony iádowite oczy
Opuśćił, z ktorych wśćiekłość wynikáłá:
Zbroię oblokszy záraz się prowádźi,
Y Włochy naprzod do kupy gromádźi.

Prowádźi ich tám, kędy beł ogromny
Szyszak Rynáldow z zbroią záwieszony:
Y w przedsięwźięćiu onem nie przełomny
Gniew y głos przedtem wymiára myślony.
Tákli nam ten zły narod wiárołomny,
Lákomy, pyszny, pychą wynieśiony:
Záwsze kłáść będźie, by ná niewolniki
Jármo ná kárki, munsztuk ná ięzyki?

* * *

Tákesmy śiedm lat wyćierpieli wiele
Wzgárdy, ktora nas od nich potykáłá:
Ze przez tyśiąc lat będźie (rzekę śmiele)
Gniewáć się o co Włoska źiemiá miáłá.
Ato y Tánkred zbił nieprzyiaćiele,
Y źiemiá mu się Cylicka dostáłá:
A Francuzowie pod niem iey dostáli,
Y cudzą zdobycz zdrádą otrzymáli.

* * *

A kiedy się bić, kiedy wyćiągáią
Czásy przewagę álbo męstwo iákie:
Námi naygorszą dźiurę zátykáią,
Y ná złe rázy idźiemy wszelákie.
Kiedy záś zdobycz y łup dźielić máią,
Mysmy ná stronie y niegodni: Tákie
Násze korzyśći, krew tylko y szkody,
A ich tryumphy, sławá, y nagrody.

* * *

Beł czás kiedy nas od nich potykáły,
Nieznośne krzywdy, y lekkośći śiłá:
Ale choćia się bárzo wielkie zdáły,
Teráznieysza ie máłe uczyniłá.
Zábity Rynáld, zgwałcone zostáły
Práwá, sławá się Włoska znieważyłá:
A przedsię niebo piorunem nie biie?
Ziemiá ich nie żrze, y pod się nie kryie.

Rynáld obrońcá zábit świętey wiáry,
A dotąd ieszcze został niezemszczony:
Ná gołey źiemi (tákie iego máry)
Leży zrąbány y niepogrzebiony.
Kto sprawcą tákiey niezbożney ofiáry,
A iáko ma być proszę zátáiony?
Z Włoskiey dźielnośći urosłá przyczyná,
Ktora Goffredá trapi y Báldwiná.

* * *

Dźiwną wam powiem, á powiem prawdźiwą,
Przyśięgam ná to żywemu Bogowi:
Widźiałem iego duszę nieszczęśliwą,
Kiedy iuż było ku samemu dniowi.
Ach iáką rádę Hetmáńską zdrádliwą
Przeciw nászemu odkrył narodowi.
Nie sen powiádam álbo iaką marę,
Y teraz go mam w oczách ná mą wiárę.

* * *

A my co? Czy być pod iego bułáwą,
Y miłey przedsię zbyć chcemy swobody?
Czy przed ręką krwią niewinną plugawą
Uydźiem do piękney Eufrátowey wody
Gdźiebyśmy rządem dobrem, dobrą spráwą
Wygnáli támte nikczemne narody:
Y w kráiách beli obfitych Pánámi,
Nie mieszáiąc się więcey z Fráncuzámi.

* * *

Jdźmysz, niechby krew bez pomsty zostáłá
(Jeśli ták chcećie) ták wielkiey osoby:
Acz gdźieby dźielność napierwsze wspomniáłá
Spráwy swey ręki, y dawne ozdoby
Niedługoby się tá złość pokaráłá,
Y nie trudnoby o tákie sposoby:
Ze krwie niewinney rozlewcá przykłádem
Bełby śmierćią swą Tyránnom szkárádem.

Jeśli ták będą wásze śiły śmiáłe
Jáko potężne, iáko wiele mogą:
Ja mu sam wráżę miecz w serce zuchwáłe,
Wiem, że mi tego y drudzy pomogą.
To skoro wyrzekł, záraz pułki cáłe
Zá Argillánem iedną idą drogą:
Wśćiekła młodź bieży, wszyscy się mieszaią,
Do mieczow wszyscy, y do zbroy wołaią.

* * *

Miecz między niemi wzgurę wynieśioną
Ręką Alekto trzyma, ktorem śiecze:
A gniewy wśćiekłe, y nienásyconą
Krwie chćiwość, między gęste roty miecze.
Co raz pomyka chmurę niewśćiągnioną
Jędzá, y ostre wszędźie ćiska miecze.
Z Włoskich stánowisk do Swáyczárow poszłá,
Y do Anglikow potem się przeniosłá.

* * *

Jnsze narody nie tylko wzbudzone
Pospolitą się szkodą urażáią:
Ale y dawne gniewy umorzone,
Teraz się znowu w sercách odnawiáią.
Fráncuzy hárde y niepowśćiągnione,
Chelpliwe, pyszne, chćiwe názywáią.
Nienawiść ktora przedtem bełá skryta,
Teraz wychodźi na wierzch iádowita.

* * *

Ták bywa w gárcu kiedy wodá wrżąca
Wewnątrz błękoce, u záwártey dźiury;
Y niemogąc się w sobie zmieśćić rącza
Wylewa ná brzeg, y drze się do gury.
Nie da się tłuszcza záwśćiągnąć gorącá,
Jeśli ią báczny chce hámować ktory,
Tánkred z Kámillem y Gwilelm nie beli,
Y inszy stárszy, co iemi rządźili.

W kupy zmieszáne pospolstwá odmienne,
Bieżą y wszyscy ná lármę wołáią:
Trąby, y bębny, y insze woienne
Muzyki, ná krew sercá pobudzáią.
Gotyfredowi nie bárzo przyiemne
Nowiny to ten, to ow posyłáią.
Báldowin pierwszy przybieży we zbroi,
Y podle niego niestrwożony stoi.

* * *

On słysząc ná się szczyrą potwarz onę
Do niebá umysł obraca troskliwy:
Ty mię sam Pánie weźmi w swą obronę,
Wiesz żem ná swych krew nie beł nigdy chćiwy.
Zdyim iem z błędnego rozumu zasłonę,
Y uśmierz sam w nich gniew ták popędliwy:
A iákoś świádom moiey niewinności,
Ták ią iem odkryi z twey dobrotliwośći,

* * *

Poczuł że go duch niebieskiey roboty
Niezwykły zágrzał, y wnątrz go przeymował.
Pełen nádźieie y piękney ochoty,
Swą twarz wesołą śmiáłością fárbował.
Ná ostre miecze, ná wytknione groty,
Niewylękniony śmiele nástępował:
A choćia słyszy przegroszki zuchwáłe.
Jdźie, y czoło nieśie okazáłe.

* * *

Zbroię zupełną y płaszcz miał ná sobie
Drogiem iedwabiem wszystek przeszywány,
Twarz miał odkrytą, y ták szedł w ozdobie
Niebieskiey, w strászną powagę ubrány.
Kinie buławą y tą w oney dobie
Tuszy uśmierzyć woysko zágniewáne.
Ták do nich wyszedł, y te mowił słowá
Lecz nie człowiecza zda się iego mowá.

Zkąd się wźiął ten zgiełk, kto go śmie prowádźić?
W tákimemli to u was poważeniu?
Ze się ná plonnych płotkách chcećie sádźić,
Po częstem y ták długiem doświádczeniu.
Udawa snadź ktoś, że Goffred chce zdrádźić,
Y są ći co mię máią w podeyrzeniu.
Czekaćie ponno ábym się spráwował,
Albo dowody iákie ukázował.

* * *

Nie da Bog, aby od tákiey sprosności
Miáło być imię moie pomázane:
Z przeszłem mem życiem, broni niewinności
Sumnienie czyste, y niezásrománe.
A teraz miásto słuszney surowości,
Miłośierdźie wam będźie pokazáne:
Dla przeszłych zasług odpuszczam błędowi,
Y wászemu was dáię Rynáldowi.

* * *

Argillánową krwią będźie omyty
Grzech spolny, on sam będźie pokutował:
Ze was w kupę zwiodł, y lud pospolity
Przećiw zwierzchności swoiey pobuntował.
Kiedy to mowił, piorun mu zákryty
Strászney powagi, z oczu wyskákował.
Ták że Argillán wylękniony stoi,
Y gniewliwey się iedney twarzy boi.

* * *

A drudzy, ktorzy dopiro zuchwáli,
Wstydu y względu żádnego nie mieli:
Ale groźili, y srodze łáiáli,
Y miecze we krwi ostre topić chćieli.
Teraz słow groźnych z pokorą słuchźáli,
Y podnieść oczu ku gorze nie śmieli.
A Argillaná záraz po tey mowie,
Woyskowi od nich wiedli Profosowie.

Táki lew bywa, kiedy náieżoną
Grzywą potrząsa, y kiedy się sroży:
Jeśli ten przydźie co mu przyrodzoną
Srogość okroćił, ogon pod się włoży.
Y pod mistrzową ręką wynieśioną
Cierpi karánie, y surowe grozy,
Już y páznokći y strászliwey gęby,
Z wyostrzonemi zápomina zęby.

* * *

Ták powiádáią, że w ten czás widźiány
Beł, przy Goffredźie Boháter skrzydláty:
Co przedeń puklerz wystáwiał miedźiány,
(Cud przed dawnemi niesłychány láty)
W ręce miecz goły krwią trzymał spłuskány,
Ktora kroplami śćiekáłá ná száty.
Podomno to krew z miast y krolestw ćiekłá,
Ktore gniewliwa ręká iego śiekłá.

* * *

Skoro zgiełk ućichł, wszyscy kładli miecze,
Y z mieczmi záraz zmiękczone niechęći:
Goffred odszedszy to tám to sám miecze
Myśli wątpliwe, y pilnie się kręći.
Kilku dni więcey szturmu nie odwlecze,
Y potrzeby ma wszystkie ná pámięći.
Czásem sám idźie, czásem kogoześle
Tám, gdźie Tarány gotowali ćieśle.

Koniec pieśni osmey.

PIESN DZIEWIĄTA.

ARGUMENT.

Brzydka Alekto rádźi Sułtanowi
Ná Chrześćiány uderzyć wpułnocy:
Ale Swiętemu kazał Michálowi
Stworzyćiel wygnáć piekielne pomocy.
A te iák skoro poszły ku domowi,
Y ći co wyszli z Armidźiney mocy
Pomogli nászem, iuż więcey nie czeka,
Ale zwątpiwszy Soliman ućieka.

A kiedy brzydka ięzdá obaczyłá,
Ze on zgiełk srogi beł uspokoiony:
Y że nie mogł być iákoby życzyłá,
Przedwieczney myśli wyrok odmieniony.
Lećiáłá ztámtąd, á gdźie przechodźiłá
Słońce się ćmiło, rodne schły zagony:
A ukwápliwa do nowey roboty,
Prętkiemi biegłá po powietrzu loty.

* * *

Od towárzyszow swoich to wiedźiáłá,
Ze Rynáld w woysku nie beł w onem cześie:
Toż o Tánkredźie, y inszych słyszáłá
Co namężnieyszych, że gdźieś beli w leśie,
Y dlugosz (rzecze) będę proznowáłá?
Niechay Soliman woynę záraz nieśie.
Pewnám, że woysko poráźiem zmnieyszone,
Rostyrkow pełne, y źle ziednoczone.

To rzększy poszłá gdzie między błędnemi
Rotami mieszkał Soliman zuchwáły:
Po wszystkiey práwie nad ktorego ziemi,
Sroższego wieki támteczne niemiáły.
J ledwie między Olbrzymy dawnemi
Nálazł się ktory ták wśćiekły, ták smiáły.
w Turczech krolował, mieszkać się był złożył
W Niceey, w ktorey stolicę założył.

* * *

Miał po brzeg ktory trzymáią Grekowie,
Od Meandrowey do Sangrowey wody:
Gdźie przedtem dawni mieszkali Mizowie,
Lidowie, Pontskie, Bytińskie narody.
Lecz Chrześćiáńscy iák skoro Panowie
Ná woynę poszli Azyiską w zawody
Páństwa mu iego y miasta pobrali,
Y bitwę na niem dwa razy wygrali.

* * *

Probował nieraz szczęśćia y odmiany,
Lecz o tem inszy wyrok beł ná niebie:
Y do Egiptu udał się wygnany,
Gdźie mu Krol beł rad, y wziął go do siebie.
Ważył go rowno z przednieyszemi Pany,
Aby go potem w swey użył potrzebie:
Myśląc się nie dać więcey rospośćierać,
Y Chrześćiány w Palestynie wspierać.

* * *

Lecz pierwey niż iem woyną odpowiedział,
Y niż się ruszyć miał do Palestyny:
Za iego wolą służbę przypowiedźiał
Soliman zboycom Arabskiey krainy.
A w tem kiedy Krol w swem Egipcie siedźiał,
Y lud Azyiski y zbierał Murzyny,
Soliman łatwie uiął chciwe żądze
Łákomych zboycow, zá iego pieniądze.

Ták będąc wodzem u nich Tyran srogi,
Po ziemi Gudzskiey wielkie czynił szkody:
Y wszystkie wkoło opanował drogi,
Ktore z obozu szły do morskiey wody.
A máiąc w sercu boyce, y ostrogi
Do pomsty, pamięc swoiey swieżey szkody.
Więtsze iuż rzeczy myśli ná czás przyszły,
Ale ieszcze ma wątpliwe zamysły.

* * *

A wtem Alekto przedeń się stawiłá
W zawoiu, w męża starego osobie:
Twarz chudą y skroń zmarskami okryłá,
Do kostek miáłá delią ná sobie.
Wąsa nie, tylko brodę ogoliłá,
Z wypustow ręce ukázała obie.
U boku saydak z krzywą szablą miáłá,
A w prawey ręce łuk cięgły trzymáłá.

* * *

My (prawi) tylko przebiegać będziemy
Te suche piáski, y pola niepłodne:
Gdźie sławy żadney dostać niemożemy,
Ani zdobyczy coby chwáły godne.
A Goffred miásto tłucze iako wiemy,
Dziurę iuż wybił, czásy ma pogodne:
Wrychle o szturmie mieć będźiem nowiny,
Y ztąd wyrzemy ognie y perzyny.

* * *

Takli zwycięstwa są Solimanowe,
Wsi popalone, zaięte bárány:
Wspomni ná swoie dawne krzywdy owe,
Wspomni ná páństwo z ktoregoś wygnany,
Odważ się, á zbiy woysko Goffredowe,
Uderz ná oboz w nocy niespodziany.
Wierz Araspowi ktoregoś sprobował,
Y wtem wygnaniu, y kiedyś krolował.

On teraz o tem nie niemyśli, aby
Ludzie ták nadzy, y ták boiaźliwi
Mieli się o to kusić, zna Aráby,
Ze tylko ná łup, y ná zdobycz chciwi.
Teraz masz nań czás, oboz bárzo słaby
Y twoi poydą z tobą nie leniwi.
To mowiąc iad mu w zanadrze miotáłá,
Potem się sámá między wiátr wmieszáłá.

* * *

Wołá Soliman, pochutnywa sobie,
Ty co mi grzeiesz oziębione żyły:
Nie człowiekiemeś, ale cię w osobie
Człowieczey widząc, oczy pobłądziły.
Prowadz gdzie raczysz, iá idę przy tobie,
Y ná krew wszystkę ofiaruię siły:
Ty mi bądź tylko życzliwá, á oczy
Y szablę moię sprawuy w ciemney nocy.

* * *

To rzekszy, wszystkie roty w kupę zwodzi,
Y pięknemi w nich sercá budzi słowy:
Ochoty pełen kwiat Arabskiey młodzi,
Grzeie się z głosu swoiey starszey głowy.
Alekto náprzod przed woyskami chodzi,
Sámá proporzec wielki niesie nowy:
A woysko idzie ták spiesznie, że wieśći
Y wszystkie ludzkie uprzedzá powieśći.

* * *

Potem precz bieży, y twarz swoię kryie,
W owego postać co niesie nowinę:
Y w Jeruzalem wchodzi kiedy biie
Po zeszciu słońca ostatnią godzinę.
Jdźie, á wszyscy wyciągaią szyie,
Ona Krolowi nocnego przyczynę
Naśćia ná oboz, więc y czás powiádá,
Znaki y hasła Arábskie wykładá.

Już noc czarnawe rozwiiáłá włosy,
Czerwieniało się niebo nie łaskawe:
A ziemia smętna miásto chłodney rosy,
Puszczáłá páry straszliwe y krwawe:
Z szumem y z wichrem poszły pod niebiosy
Podziemne dziwy, y larwy plugawe
Wypuśćił Pluton wszystkie ćmy, y mało
Duchow piekielnych w Abissach zostało.

* * *

Przez ták straszną noc, srogiey pełną grozy,
Arábowie swe woysko prowadzili:
A gdy wpułbiegu noc swe lotne wozy
Tam postáwiła skąd się ná dol chyli.
Pod Chrześćiáńskie podeszli obozy,
Mniey ieszcze ponno niźli w cwierci mili.
Gdźie pokarmiwszy zwycięstwa bespieczny,
Ták do nich mowił Soliman waleczny.

* * *

Widźićie woysko zboycow niecnotliwe,
Ktore złodźieyskie ták wiele Państw zdárło:
Y iáko morze łákome y chćiwe,
Wszystkie Azyey bogáctwá pożárło.
A teraz oto szczęśćie wam życzliwe
Ná rześ ie wszystko w ten oboz záwárło:
W złoto ubráne, y zbroie, y konie
Wam będą ná łup, nie iem ku obronie.

* * *

Więc nie ći to są, ktorzy zwyćiężyli
Persy, y Turki, co byli ták mężni:
Po rożnych woynách dawno tych strácili,
Sámi zostawszy słábi, niedołężni.
Ale choćby też spełná wszyscy byli,
Ták spią iáko drwá, nádzy, niepotężni:
Látwie bezzbroyne y pobić ospáłe,
Od snu do śmierći przeszćie bárzo máłe.

Puśććie to ná mię, moie to stáránie,
Ze przez przekopy wszyscy przeydźiem snádnie:
A wy przy wodzu y swoiem Hetmánie
Biyćie psi narod co te kráie krádnie.
Dźiśia Azya swobody dostánie,
Dźiś Chrystusowe Krolestwo upádnie.
Ták ich zágrzewał, ták iem Tyran tuszył,
Potem się dáley z woyskiem ćicho ruszył.

* * *

A wtem się w ćieniu ludźie ukazáli,
Ci ktorzy byli wyszli ná posłuchy:
Zkąd łátwie poznał, ze nie wszyscy spáli,
Ták iáko o tem miał swoie otuchy.
Oni wołáiąc wzad ustępowáli,
Wołániem wielkiem budząc oboz głuchy.
Ták że pierwsza straż rozruch usłyszáłá,
Y do spráwy się y do broni miáłá.

* * *

Wraz Arábowie we wszystkie muzyki,
Uderzą: trąby, surmy głośne gráią,
Ogromne końskie y człowiecze krzyki,
Jdą pod niebo y wiátry mieszáią.
Ryczą przepáśći, y gory: lecz ryki
Strászliwsze dobrze piekłá wypuszczáią.
A z Flegetontu pochodnią trzymáłá
Alekto, ktorą znák miástu dawáłá.

* * *

Soliman pędem ná straży przypádnie
Jeszcze do końcá nie dobrze spráwione:
Nigdy ták rączo wicher nie wypádnie
Z ziemie, y wiátry nie ták są szalone.
Grom kiedy z ogniem y z piorunem spádnie,
Rzeká co nieśie domy wywálone:
Ná iego wśćiekłość, y ná serce śmiáłe,
Tylko iest iákieś podobieństwo máłe.

Nigdy się dármo mieczem nie zámierzy,
Ledwie go spuśći wielkie widáć rány:
A kogo zaymie, y kogo uderzy,
Leci od dusze záráz odbieżány.
A sam nie czuie choć weń káżdy mierzy,
Káżdy nań śiecze, choć hełm porąbány
Brzmi ták iako dzwon, choć skry wylátuią
Od częstych rázow ktore mu doymuią.

* * *

A kiedy wszyscy przed niem ućiekáli,
Y pierwsze roty rozgromione gonił:
Arábowie też w obozy wpadáli,
Y przez przykopy przeszćia nikt nie bronił.
Już się zwyćiężcy z temi pomięszáli
Co ućiekáli, iuż się káżdy chronił.
Już nieprzyiaćiel wpadał y w namioty,
Y krwią płoćienne pofárbował płoty.

* * *

Soliman nieśie skrzydlátego smoku
Z ogromną szyią ná hełmie stalonem:
Ktory się wspina w zgorę, á po boku
Biie z obu stron dwoistem ogonem,
Piánę ma w gębie, á iad brzydki w oku,
Swiszczy ięzykiem wielkiem rostroionem:
A z Pánem rowno okrutnie się burzy,
Y dymem z gęby, y płomieniem kurzy.

* * *

Ták się strászliwy zdał między woyskámi
Ná Solimanie wielki smok ognisty:
Jako więc w ćiemną noc z błyskáwicámi
Zda się żeglarzom Oceán pienisty.
Jedni się biią, á drudzy kupámi
Wćiąż ućiekáią, a mrok nieprzeyrzysty,
Y noc w rozruchu wszystko pomięszáłá,
Y kryiąc trwogę, trwogi przyczyniáłá.

Wtem z iedney roty ktora nástąpiłá,
Skoczył Włoch ieden przy Tybrze zrodzony:
Ktore go śiły áni okroćiłá
Praca, áni wiek láty náchylony.
Piąći miał synow, ktoremi gdźie byłá
Naysrozsza bitwá, chodźił otoczony.
A z młodu ieszcze wyknęli do zbroie,
Wczás się ná przyszłe zápráwuiąc boie.

* * *

Zá oycowskiemi y teraz przykłády,
Ostrzyli ná krew, y sercá, y broni:
Podźmy (pry) dźieci, tám kędy szkárády
Pastwi się Tyran, y lud płoćhy goni.
Zaden się nie trwoż, żaden nie bądź bládý
Ze nászych biią, że są w złey toni.
Mała to sławá, moiá droga młodźi,
Ktora bez żadney przewagi przychodźi.

* * *

Ták lwicá sroga Libiyskiey pustyniey
Dźieći, u ktorych ieszcze zęby máłe:
Máłe paznokćie, wywodźi z iáskiniey,
Y wpráwuie ie w źwierze okazáłe.
A one mátki posłuszne mistrzyniey:
Wco urodźiwszych tylko zęby śmiáłe,
Biorąc z máćierze przykład, utapiáią,
A źwierz co mnieyszy imo się puszczáią.

* * *

Szedł zá młodemi dobry oćiec syny,
Y Solimaná wszystká sześć opádli:
Chcąc go wraz wszyscy wźiąć ná rohátyny,
Ktore mu w boki zobie stronie kładli.
Ale syn stárszy uprzedźił rodźiny,
Y kiedy brácia z oycem ná niem pádli:
On rucił oszczep, y z tasakiem spodniem,
Skoczywszy podeń, chćiał konia skłoć pod niem.

Lecz iáko kámień niepożytey skáły,
Co do puł bokow w morzu wielkiem stoi:
Odpiera deszcze, wiátry, gromy, wáły,
Y Jowiszowych gniewow się nie boi.
Ták ná oszczepy, ná miecze niedbáły,
Bespieczny stoi Pogánin w swey zbroi.
Y temu co chćiał dośiąc sztychem brzuchá
Jego koniowi, przećiął łep do ucha.

* * *

Arámánt widząc że brát iego miły,
Już beł ná źiemi ták srodze rániony:
Chćiał go wzwieść, ále prozne prace były,
Bo y sam ná niem poległ obálony.
Podćiął mu wszystkie u rámieniá żyły,
Y ták upadał koniem potrącony.
Jeden ná drugiem obádwá konáią,
Obá krew y dech ostátni mięszáią.

* * *

Przećiął we śrzodku oszczep u Sabiná,
Ktorem go śięgał zdáleká po oku:
Lecz y ten ranę wźiął od pogániná,
Cięty w słábiznę u lewego boku.
Długo się męczył, y niechćiał chudźiná
Wielkiem oporem do wiecznego mroku.
Duszá przezdźięki ćiáłá odbiegáłá,
Y przez gwałt práwie świát zostáwowáłá.

* * *

Lorenc z Bonfinem ći beli zostáli
Obá bliźniętá, á ták iednákowi:
Ze się rodźicy sámi omyláli,
Y często swemu śmiáli się błędowi.
Ale się teraz bárzo rożni stáli,
Bo łep doczystáućiął Lorencowi,
Tobie (o twárda rożnico) Bonfinie,
Z pierśi rośćiętych krew strumieniem płynie.

Oćiec, nie więcey oćiec (o żáłośći)
Stráćiwszy wszystkie syny nieszczęśliwy:
Pátrzy ná trupy, á żal mu przez kośći
Przeymuie serce wielki przeráźliwy.
Zaden ták mocney nie widźiał stárośći,
Ze żywy został, u mnie wielkie dźiwy:
Y bił się przedsię, ponno z tey przyczyny,
Ze konáiące nie pátrzył ná syny.

* * *

Więc y życzliwe ćiemnośći ták chćiáły,
Ze mu część żalu zákryły onego:
Niechce wniem umysł zwyćięstwá wspániáły,
Gdźieby nie zgubił sam siebie sámego.
Zywotem wzgárdźił, o swą krew niedbáły,
Nieprzyiaćielá krwie prágnie swoiego:
Y nie rozeznáć, co chce y co woli.
Umrzeć, czy zábić, ták go serce boli.

* * *

Záwoła potem: Tákli to wzgárdzona
Tá moiá ręká, y tákiey słábośći:
Ze wszystką śiłą ná ćię usádzona,
Nie może ná mię wzbudźić twey srogośći.
Wtem ią wynieśie, oná wynieśiona
Spadáiąc z gory przećięłá do kośći
Lewego boku, ták że mu krew z ćiáłá
Polerowáną zbroię popluskáłá.

* * *

Zá oną ráną, zá onem wołániem
Obroći się nań Tyran iádowity:
Przećiął mu zbroię, przećiął puklerz ná niem,
Choć śiedmioráką skorą beł okryty.
Y w brzuchu mu miecz utopił, że zá niem
Wypádłá duszá pospołu z ielity.
Mdleie nieborak, á krew ná przemiány
To z gęby leie, to z otfártey rány.

Jáko ná Tátrách dąb nieprzełomiony,
Ná gniew Jowiszow długi wiek niedbały:
Gdy go nákoniec wśćiekłe Aquilony
Wywrocą, wáli zá sobą lás máły.
Ták y ten poległ, á z oboiey strony
Kupámi trupy ná koło leżáły.
Z táką cny Rycerz umierał ozdobą,
Ciągnąc ná on świát ták wielu zá sobą.

* * *

Kiedy ták sercá przykładem y krzykiem
Dodawał swoiem Sultan niebłagány:
Arábowie też zá swem przewodnikiem
Ućiekáiące bili Chrześćiány.
Henryk Angielczyk, z Witem Báwárczykiem
Legli od srogiey Drágutowey rány:
Tenże Gilbertá y Aryodená,
Y Frącá zábił, wszystkich trzech od Rhená.

* * *

Mechmet Ernestá, Albádzár Ottoná
Zábił, ten mieczem, ow pierzystą trzćiną:
Murat ná wylot przebił Andropáná,
Pod lewą pachę Perską ruhátyną.
Ale kto może pámiętáć imioná
Tych, co ginęli oną mieszániną?
Goffred wtem bieżał krzykiem obudzony,
Zbieráiác w kupę swoy lud rosproszony.

* * *

Skoro naypierwsze usłyszał rozruchy,
Ktorych w obozie coraz przybywáło:
Ták się domyślał, y tey beł otuchy,
Ze to Arábskie łotrostwo być miáło.
Bo często o niem przychodźiły słuchy,
Ze go po drodze śiłá rozbiiáło:
Lecz mniemał, że ták być nie mogli śmieli,
Aby uderzyć ná obozy mieli.

Bieżąc ná on zgiełk słyszy z drugiey strony,
Ze w lármę, w lármę biią, y wołáią:
A krzyk ogromny w gorę wyniešiony,
Y gęste głosy obłoki mieszaią.
Z Kloryndą to szedł z miástá wypráwiony
Argánt, ći tákże srodze náćieráią.
Trochę się tylko Hetman zástánowi,
Y ták mężnemu mowi Guelfowi.

* * *

Słyszysz ten okrzyk, y tę nową trwogę,
Ktora od miástá y gor nástępuie:
Jdź przećiwko niem, y zaydźi iem drogę,
Niech nieprzyiaćiel wstręt tám iaki czuie.
A ia tem czásem lud Arábski mogę
Trzymáć ná sobie, że się záhámuie:
Ci ztobą poydą, á idź spiesznie z niemi,
Ja w inszą stronę, nástąpię z moiemi.

* * *

Jednákie szczęśćie, iednáki los wiedźie
Obudwu w on czás, rożnemi drogámi:
Gwelf przećiw gorom y ku miástu iedźie,
Hetman się idźie potkác z Arábámi.
Ale ten co krok, co dźieśięć uiedźie,
Ludźi mu zewsząd przybywa kupámi.
Ták że iuż możny, y dosyć potężny
Szedł tám, kędy krew lał Soliman mężny.

* * *

Ták gdy z oyczystych gur wody wywodźi
Głęboka Wisłá, nie zákrywa brzegu:
Ale im dáley swych źrzodeł odchodźi,
Tem hárdsza bieży z gwałtownego biegu.
Wśi, polá, lásy, bystre rwą powodźi,
Mosty łamią kry z umárzłego śniegu:
A sámá morze kilką rogow bodźie,
Y woynę, nie dań śle Báltyckiey wodźie.

Goffred tám gdźie się nabárźiey mieszáią
Bieży, y dáley uchodźić swem broni:
Y záwráca tych, ktorzy ućiekáią,
Wiedzcie przynaymniey kto was (práwi) goni.
Ci rány tylko wtył biorą y dáią,
A w samey tylko ufáią pogoni:
Ale skoro iem twarzy ukażećie,
Záraz ućieką, y bić ie będźiećie.

* * *

Tám się obraca, y tám ostrogámi,
Rączego koniá w obá boki kole:
Kędy Soliman z swemi Arábámi
Gnał płoche roty przez szerokie pole.
Między gęstemi mieczmi, y śmierćiámi
Bieży przez mokre y krwią śćiekłe role,
Rwie mocne hufce, á gdźie wodze skłoni,
Z obu stron lecą Arábowie z koni.

* * *

Przez kupy trupow czásem przeskákuie,
Ták iáko piorun ćiśniony z obłoká:
Soliman wielki następ ná się czuie,
Lecz się nie trwoży, y nie mruży oká:
Y owszem blisko podeń się száńcuie,
Y miecz wynośi chcąc go ćiąć z wysoká.
O iáko wielcy dway Boháterowie,
Zeszli się czynić o krew y o zdrowie.

* * *

Stánęłá wśćiekłość przećiwko dźielności,
O Páństwo wielkie bić się w plácu málem:
Ten poiedynek okrom wątpliwośći
Muśiał być wielkiem, y srogiem, y śmiáłem.
Lecz iż go nocne zákryły ćiemności,
Y ia go piorem minę źápomniáłem:
Był iednák godźien, áby iásne słońce
Odkryło było świátu tákie gońce.

Już wźiąwszy serce ludźie Chrystusowi,
Nieprzyiáćiołom mężnie odpierali:
Przy swoiem wodzu, y Solimanowi
Co natárćiwszy wkoło dogrzeváli.
Nie więcey támći mogli niźli owi,
Nie więcey támći niż ći przemagáli.
Jáko ná wadze strony się rownáią,
Ták zábiiáią, iáko umieráią.

* * *

Jáko gdy Auster ná powietrznem dworze
Z gniewliwem stoi Aquilonem w zwádźie:
Nie złożą sobie, á niebo y morze
Obłok ná obłok, y wał ná wał kłádźie.
Ták y tám żadna stroná w oney porze
Nie przemagáłá w Marsowem zakłádźie.
Miecze ná miecze, y konie ná konie,
Obiedwie rowno zástáwuią stronie.

* * *

Lecz niemnieysza się bitwá záczynáłá,
Y niemniey krwáwa dáley w drugiey stronie:
Cmá niezliczona w chmurách się wieszáłá
Duchow piekielnych, swoiem ku obronie.
Tá serc Pogáństwu y śił dodawáłá,
Ktore iuż beło w obozowey bronie,
Alekto ogniem swem Argántá śięga,
Choć iego własny dosyć go użega.

* * *

On iáko wśćiekły, srogi, y surowy,
Ná straży poszedł, y przez przykop skoczył:
Y drugiem przezeń przeiazd dał gotowy,
Y gęstemi go trupami nátłoczył.
Szańce poznośił, powypełniał rowy,
Y krwią swych Pánow namioty pomoczył.
Kloryndá z niem wraz, álbo trochę zá niem
Szłá, urážona onem uprzedzániem.

Już Chrześćiánie wszędźie ućiekáli,
Kiedy Gwelf przypadł z pośiłki świeżemi:
Zá iego przyśćiem twarzy obracáli,
Y mężnie znowu potkáli się z niemi.
A kiedy się ták z sobą pomięszáli,
A krew z obu stron płynęłą po źiemi.
Stworzyćiel świátá święte oczy swoie
Obroćił w on czás na surowe boie.

* * *

Płaszczem odźiany chwały y wieczności,
Máiąc wszystkie swe stworzenia ná pieczy:
Siedźiał ná thronie swoiey wielmożności,
Kędy zmysł nigdy nie doydźie człowieczy.
Trzy świátłá w iedney świećiły świátłości,
(O niepoięte rozumowi rzeczy)
Náturá, wrog, czás, beli pod nogámi,
Y wieczne rucho z inszemi sługámi.

* * *

Pod Máiestatem bogini śiedźiáła,
Ktora bogáctwá y złoto ma w mocy:
Y świecką chwałę: á iáko kazáłá
Wieczna myśl, ták swem kołowrotem toczy.
Táka go chwałá y iásność odźiałá,
Ze y godnieyszych bláskiem się ćmią oczy.
Cmy nieśmiertelne okryte iásnością
Nierownie rowną ćieszą się rádością.

* * *

Muzyká wdźięczna świętych pieśni brzmiáłá,
Ktorą Mistrz y dźwięk niepoięty stroi:
Ztamtąd Swiętego záwołał Michałá,
Ktory stał przed niem w płomienistey zbroi.
Nie widźisz (práwi) co to podźiałáłá,
Y co y teraz ćmá piekielna broi.
Moy lud wybrány trapi, y swe śiły
Wszystkie nań práwie piekłá obroćiły.

Jdźże, á mow iey, że nie iey należy
Woyny prowádźić, od tego Hetmáni:
Niechże mi więcey ná świećie nie leży,
Niech tu nie rządźi, niech tu nie hetmáni.
Niech nie záráża powietrza, niech bieży
Do swych Abissow, do swoich odchłáni
Ná wieczne męki, y wieczne karánie,
Ták chcę, y to iest moie roskazánie.

* * *

Skłonił się nisko Anyoł, y ochoty
Pełen, ták rączo niosł piorá pierzchliwe:
Ze myśli ludzkiey niedośćigłe loty,
Z niem porownáne, zwáć może leniwe.
Wprzod Empireyski przeszedł páłac złoty,
Tam kędy dusze mieszkáią szczęśliwe.
Więc kryształowe, więc gdźie iásne koło,
Gwiazdámi wite obráca się wkoło.

* * *

Potem przechodźił Spherámi rożnemi,
Wprzod Saturnową, potem Jowiszową:
Ktore Anyeli rękámi własnemi
Správuią, choć ie ludźie błędne zową.
Ztámtąd się puśćił polmi przestronemi,
Gdźie się grom rodźi, y śnieg z wodą dżdżową.
Gdźie świát sam śiebie żywi y pożera,
Y w swey się zwádźie rodźi, y umiera.

* * *

Odganiał Anyoł złotemi skrzydłámi
Plugáwe chmury, y czarne ćiemności:
A noc swoy wárkocz pleciony gwiazdami
Już odkrywałá, z Aneylskiey świátłości.
W tákiey więc słońce miedzy obłokámi,
Po niepogodźie wychodźi iasności.
Ták piękna gwiazdá po długiem ogonie
Upada, wielkiey máćierzy ná łonie.

A kiedy przyszedł, gdźie piekielne ony
Lárwy, z Pogáństwem mieszáły lud Boży:
Ná wyćiągnionych skrzydłách záwieszony,
Táką ie mową y oszczepem trwoży.
To wiećie dobrze, iákie nieskończony
Pan gromy ćiska, iákie iego grozy:
O źli uporni choćia w męce wieczney,
O hárdźi, choćia w nędzy ostáteczney.

* * *

To wyrok iego, że krzyż święty stánie
W Jerozolimie z iego możney ręki:
Coż po tych burżách? w kim máćie ufánie?
Ze mu się chcećie przećiwić przezdźięki.
Jdźćie przeklęći ná wieczne karánie,
Ná wieczny ogien, y ná wieczne męki.
Tám w Acheroncie swych woien pilnuyćie,
Y iáko chcećie tám z nich tryumphuyćie.

* * *

Tám się wy srożćie, y tám swoich wśćiekli
Sił dokázuyćie, pod ognistem sklepem:
Tám złe będźiećie dusze biczmi śiekli,
Tám ogniem palić w swem więźieniu ślepem.
Mało co dbáiąć, leniwo się wlekli,
Aż ná nie Anyoł uderzył oszczepem:
Dopiero pędem wielkiem ućiekáły
Piekielne lárwy, y świát opuszczáły.

* * *

Y do Abissow prosto polećieli
Nieprzyiaćiele wieczni ludzkiey duszy:
W takiey gromádźie nigdy nie lećieli
Ptacy zá morze, iáko te pokusy.
Nigdyśćie liśćia tyle nie widźieli,
Kiedy ie ieśień y pierwszy mroz ruszy.
A skoro poszły one szpetne lárwy,
Swiát się wyiáśnił, y beł piękney bárwy.

Ale nieprzeto Cyrkászczyk słábieie,
Albo mnieyszego sercá być poczyna:
Choć go pochodnią Alekto nie grzeie,
Choć go piekielnem biczem nie záćina.
W naygęstsze hufce wpada y krew leie,
Kto się nawinie, śiecze, wáli, śćina.
Chude páchołki z bogatemi Pany,
Porownywáiąc Tyran niebłagány.

* * *

Lecz y Kloryndá w ten czás Argántowi
Męstwem y sercem náprzod nic nie dáłá:
Trafiłá mieczem Berlingierowi
Właśnie w puł sercá gdźie duszá mięszkáłá:
A ták go pchnęła, że nieborakowi
Koniec broń wśćiekła tyłem ukazáłá.
Albin przez szyszak uderzony w kręgi,
Spadł z koniá, ták raz od niey bywał tęgi.

* * *

Ciągnął łuk Rykárd, y chćiał ią oślepić,
Lecz mu ućiętá rękę: Tá ná źiemi
Wpoł żywa, chce się niebogá pokrzepić,
Y trzyma przedsię łuk pálcy drżącemi.
Ták więc wąż ogon ucięty chce zlepić,
Ale dáremnie z członkámi inszemi.
Nie czyniła nic więcey Rykárdowi,
Ale skoczyłá ku Gernierowi.

* * *

Tego záś w szyię miecz nielitośćiwy,
Miecz nieuchronny Kloryndźin ugodźił:
Spadł mu łep z krtaniem przećiętem nie żywy,
Y w piasku ze krwią pomieszánem brodźił.
A tułow martwy długo (iakie dźiwy)
Siodłá się trzymał, y koń pod niem chodźił:
Y nierychło go z śiebie zbył wirzganiem
Czuiąc że słáby ieźdźiec śiedźiał ná niem.

Kiedy ták mężna Boháterká biłá
Swem ostrem mieczem płoche Chrześćiány:
Niemniey po długiem oboźie gromiłá,
Cna Gildylippa y śiekła Pogány.
Jednáż płec w obu, iednáż byłá śiłá,
Jednakie serce, y máłey odmiány:
Lecz się nie zeszły z sobą w tey potrzebie,
Jnáczey o nich przeyrzano ná niebie.

* * *

Tá z tey, á owá z drugiey tákże strony
Gwałtem przełomić hufiec gęsty chćiáłá:
A wtem Gwelf przypadł, gdźie iuż náchylony
Mężna Klorynda lud przed sobą gnáłá:
Y z gury ná nię ćiął niepostrzeżony,
Y kęs z pięknego krwie wytoczył ćiáłá.
Ale mu sztychem oddáłá zárázem,
Między żebrámi pod świetnem żelázem.

* * *

Wyniosł się znowu, lecz niespodźiewáną
Przygodą, podpadł Ośmid z Pálestyny:
Y ták nie sobie należącą ráną
Zábity, z gęby plwał zkrwáwione śliny.
A wtem do Gwelfá gromádą zebráną
Jego lud bieżał z oney mieszániny.
Kloryndźie tákże ludźie przybywáli,
Záczem się zsobą znowu pomieszáli.

* * *

Już ná świát niosłá iutrzenká świt rány,
Y noc iásnemu dniowi uchodźiłá:
Kiedy Argillán wyszedł, rozwiązány
Z woley Hetmáńskiey, ktora ná to była,
Y zprętká w zbroię niepewną ubrany,
Lub złą, lub dobrą, iáka się tráfiłá:
Bieżał zelżony żywot ná szańc stáwić,
Y błędow przeszłych przewagą popráwić.

Jáko koń w Páńskiey stáyniey urodźiwy,
Ktorego tylko do woyny chowáią:
Kiedy się urwie bieży niewśćiągliwy
Ná łąki, álbo gdźie stádá pasaią.
Wyniosłem karkiem trześie, á u grzywy
Plećione kosy, z wiátrámi igráią:
Piasek kopyty w prętkiem biegu ćiska,
Y rże ogromnie, y nozdrzami pryska.

* * *

Ták szedł Argillán, ták miecz ostry toczył,
A twarz mu gniewem y oczy pałáły:
A ták biegł rączo, że stopy nie tłoczył,
Y piaski śládu żadnego nie miáły.
Między naygęstszy huf Arabski skoczył,
Wołáiąc głosem odważony śmiáły:
O rozboynicy, skąd wam tey dostáie
Teraz śmiáłośći, y kto ią wam dáie?

* * *

Nie wásze dźieło ubieráć we zbroie
Zupełne ćiáłá, bo ich nie wytrwaćie:
Wy nádzy, márni, wiátrom tylko swoie
Strzały, á żywot nogom polecaćie.
Nie są po wászem plecu dźienne boie,
Bo wy tylko w noc y w ćienie ufáćie.
Ale iáko to teraz świát odkryły,
Trzebá zdolnieyszey y zbroie, y śiły.

* * *

To mowiąc ieszcze, dał Algádzelowi
Táki ćiężki raz, y ránę tákową:
Ze wten czás właśnie gdy Argillánowi
Chćiał odpowiedźieć, ućiął mu krtań z mową.
Záraz wieczny mroz wpádł Arábinowi
W serce, y w pierśi biie martwą głową:
Y czołem w źiemię, á u zbládłey gęby,
Kąsáią piasek potrętwiáłe zęby.

Po Algadzelu zábił Sáládyná,
Muleaszowi zadał ránę srogą:
Ściął Agrykáltá, y Aryádyná
Wypráwił iednąż zá inszemi drogą.
Kiedy ránnego obálił Grádyná,
Przegániał z niego, y deptał go nogą.
Podnieśie Grádyn oczu y mdłey głowy,
Do Argilláná mowiąc temi słowy.

* * *

Y ty nie długo z śmierći y mey męki
Cieszyć się będźiesz, y tobie przeyrzáły
Niebá śmierć prędką od mężnieyszey ręki,
Coś to teraz ták durny y zuchwáły.
On záś: Ty umrzy tem czásem przedźięki,
Co to wiesz comi niebá obiecáły:
Y karm twem ścierwem głodne psy y kruki,
Wtem weń miecz wráził zá one náuki.

* * *

Między strzelcámi Solimanowemi,
Jego kochány był piękney urody
Jeden młodźieńczyk, á ieszcze ostremi
Włosámi gładkiey nie okrywał brody.
Y ledwie kwiáty dopiero pierwszemi,
Y mchem mu beły porosły iágody:
Włos zániedbány przydáwał wdźięczności,
Y twarz przy męskiey piękna surowości.

* * *

Koń miał pod sobą podobny do śniegu,
Ktory dopiero spadł ná doł z obłoku:
A ták beł żártki, że tákiego biegu
Wiátry nie miáły, y tákiego skoku.
Trzćinę wpoł trzymał złoćistą po brzegu,
Száblę oprawną záwieśił u boku.
Z ćienkiey báwełny zawoy miał ná głowie,
Sám beł w mieśiące tkánem złotogłowie.

Gdy ták młodźieńczyk sławą uwiedźiony,
W srogiego Marsa dźieło się wpráwował:
Y gęste roty, y lud potrwożony
Mieszał, y śmiele wszędźie nástępował.
Chytry Argillán záchodząc go z strony,
Nieostrożnego iákoś upilnował.
Koniá pod niem skłoł, że ledwie ná nogi
Wstał, á on iuż miecz nád niem trzymał srogi.

* * *

W sámey miał tylko nádźieię litośći,
Ręce do niego złożone obroćił:
Lecz w okrutniku kwiát piękney młodośći,
Zátwárdźiáłego sercá nie okroćił.
Ciął nań, ále miecz więtszey beł ludzkośći,
Y żáłuiąc go, płázą się wywroćił.
Coż potem? znowu zádał mu sztych srogi,
Y miecz przezdźięki musiał iść w swe drogi.

* * *

Soliman z ktorem poblizu strászliwy,
On poiedynek Goffred odpráwował:
Widząc że iego Lezbin nieszczęśliwy
Beł w złem rázie, on plác zostáwował:
Y z wielkiem pędem bieżał zápálczywy,
Lecz tylko pomstę nie pomoc gotował:
Bo iuż ná źiemi iáko kwiát rozwity
Podćięty pługiem, Lezbin beł zábity.

* * *

Oczy zemdlone znienagłá konáły,
Szyiá się ná grzbiet wywrocona kłádłá:
Ale choć w śmierći wdźięczność wydawáły,
Y twarz mu piękną iákąś bárwą bládłá.
Pierśi kamienne w Sultanie zmiękczáły,
Nie iedná mu łzá w puł gniewu wypádłá.
Ty Solimanie płáczesz? coś swoiego
Páństwa nie płákał wszcząt zepsowanego.

A widząc że krwią świeżą Lezbinową
Nieprzyiaćielskie żelázo kurzyło:
Płácz ścisnął w pierśiách, á serce surową
Wygnawszy żáłość, gniewem się burzyło.
Ciął Argilláná ták bárzo, że z głową
Zelázo, szyszak, y tarcz przepędźiło.
On ták wielki raz, y ták wielka ráná,
Mężnego bełá godná Solimaná.

* * *

Máło miał ná tem, ále między kośći
Pcha nie żywego mieczem pomsty chćiwem:
Jáko pies wśćiekły od nieznánych gośći
Ciśniony kamień, kłem kąsa gniewliwem.
O niepotrzebna poćiecho w żáłośći,
Mśćić się nád źiemią y trupem nieżywem.
Ale tem czásem Goffred nie proznował,
Y na Aráby śmiele następował.

* * *

Pod tyśiąc Turkow beło z paiżámi,
Wszyscy we zbroiách, y wszyscy ćwiczeni:
Serdeczni, mężni, rożnemi woynami,
W rożnych potrzebách nie raz doświádczeni.
Między stáremi beli żołnierzámi,
U Solimaná z dawnych lat liczeni:
Y zá niem w iego nieszczęśćiu szli wszędy,
W Arábskie polá, y w ćierpliwe błędy.

* * *

Ci się rozerwáć swoiemu nie dáli
Hufcowi, pewni nie ustąpić kroku:
Wpadł Goffred ná nie, y wprzod Korkutowi
Po ielcá w lewem miecz utopił boku.
W łeb Rossánowi, ale Selimowi
Zádał raz ćięty tuż przy sámem oku.
Zábił Muratá ktory iem hetmánił,
Jnszych moc zábił, y srodze poránił.

Kiedy ták długo mieszániná oná
Między Pogány y nászemi trwáłá:
Y ieszcze namniey Sárráceńská stroná
Nienáchylona mocno się trzymáłá.
Z dáleká chmurá z gęstego złożona
Prochu, nagle się stroną ukazáłá:
Potem z niey zbroie y miecze błysnęły,
Y sercá Turkom dopiero odięły.

* * *

Pięćdźieśiąt mężnych wielkich naieźnikow
Z chorągwią białą, z krzyżem złotem biegło:
Choćiabym sto gąb, y sto miał ięzykow,
By się sto głosow do nich tákże zbiegło:
Nie wyliczyłbych od tych woiownikow
Pobitych Pogan, ták ich wiele legło.
Zbity Arábin, y nieżwyćiężony
Turczyn po częśći iuż był przełomiony.

* * *

Strách, smętek, boiaźń, trwogá żáłośćiwa,
Co raz to więtsza wszędźie się szerzyłá:
A śmierć okrutna y nielutośćiwa
We krwi śmiertelną kosę swą moczyłá.
Krol też czuiąc iuż, że się ukwápliwa
Oná wyćieczká nie dobrze zdárzyłá:
Z ludem przed miásto wyszedł, y pod mury
Ná wątpliwy boy z swemi pátrzał z gury.

* * *

A skoro uyrzał, że się Arábowie
Pospołu z Turki bárzo náchylili:
Gęste słał posły, áby lud wodzowie
Argánt z Kloryndą záraz uwodźili.
Ale choć do nich wskázował surowie,
Krwią opoieni długo się báwili:
Acz náostátek ustąpić muśieli,
Y ludźie spráwą swe uwodźić chćieli.

Ale kto práwá ná boiaźń stánowi?
Kto strách przywiedźie do dobrego końcá?
Tarcze y zbroie miecą chcąc być zdrowi,
Miecz teraz wádźi, co wprzod beł obrońcá.
Pod miástem wielka przećiw południowi
Doliná leży od zachodu słońcá:
Przez tę Pogáństwo názad ućiekáło,
A proch przed sobą gęstą chmurą gnáło.

* * *

Kiedy pochyło ná doł ućiekáli,
Srodze ie nászy śiekli y pędźili:
Lecz kiedy zdołu w gurę się událi,
Gdźie świeży ludźie na pośiłku beli,
Niechćiał Gwelf áby w gorę náćierali,
Y kazał, áby dáley nie golili.
Ták swe stánowił hufce zágonione,
A Krol też swoie zbierał rosproszone.

* * *

Tem czásem Sułtan czynił, co człowiecze
Y co te źiemskie czynić mogły śiły:
Więcey nie może, pot z krwią z niego ćiecze,
Bokámi robi, y thnie w oney chwili.
Już ręką słábo y leniwo śiecze,
Tarczey mu dźwignąć mdłe nie mogą żyły,
Miecz nie tnie, ále tłucze iáko stępy,
Ták ostrze strácił, y ták został tępy.

* * *

A widząc iuż swą przegráną, na obie
Stronie rozbierał swoy umysł wątpliwy:
Jeśli swą ręką śmierć miał zádáć sobie,
Zeby go ięzyk nie szczypał dotkliwy.
Czyli stráćiwszy woysko w oney dobie,
Záchowáć cáło żywot nieszczęśliwy.
Nákoniec rzecze: Niech niebá wygráią,
Niech swe tryumphy z mey sromoty máią.

Niechay moy widzą tył nieprzyiaćiele,
Niech znowu pátrzą ná moie wygnánie:
Byle widźieli kiedy znowu śmiele
Będę ich słabe mieszał pánowánie:
Nie ustąpię iem, poki duszá w ćiele,
Pámieć moich krzywd wiecznie nie ustánie.
Y nieprzyiaćiel sroższy się iem wrocę,
Choćia się w popioł y w źiemię obrocę.

KONIEC PIESNI DZIEWIĄTEY.

PIESN DZIESIĄTA.

ARGUMENT.

Ukázuie się Izmem Sultanowi,
Od ktorego beł w miásto wprowádzony:
Ten znowu sercá dodáie Krolowi,
Co iuż o sobie wątpił z káżdey strony.
Swe powiádáią błędy Goffredowi
Jego Rycerze: Rynáld umorzony,
Z ich się po wieśći żyw y zdrow náyduie,
A Piotr o iego dźiełách prorokuie.

To mowiąc ieszcze blisko śiebie zoczył,
Ze koń ku niemu bieżał obłąkány:
Poimawszy go, zárázem nań wskoczył,
Choćia y ránny y beł spracowány.
Helm ná niem pierzem ogromnem nie toczył,
Y kity pozbeł, wszystek porąbány:
Zwierzchnią dołomę, ktorą miał ná zbroi,
Pokłoto ná niem, że zá nic nie stoi.

* * *

Jáko uchodźi szczwány od obory
Y kryie się wilk z okrzykiem pędzony:
A choć w brzuch głodny włożył obrok spory,
Y choć się ledwie wlecze obkarmiony:
Przedsię ná gębie znáć dawne przemory,
Sśie krew, y ięzyk trzyma wywieszony.
Ták y on wten czáś szedł po onem boiu,
Od głodow krwáwych nie máiąc pokoiu.

Przez gęste hufce, przez nieprzyiáćiele,
Szczęśćie go iego bespiecznie uwodźi:
Leći, strzał, mieczow, y grotow ták wiele,
On przećię zdrowy ná koniec przechodźi.
Y ták nieznány w drogę idźie śmiele,
Gośćiniec miia, śćieszkámi uchodźi.
A rozbieráiąc swe przygody sobie,
Rożny brał przed się rozmysł w oney dobie.

* * *

Y námyślił się potem ku końcowi,
Do Egiptu się udáć bogátego:
Y przyszłey woyny pomágáć Krolowi,
Y znowu skuśić Marsá surowego.
Ták umyśliwszy prosto ku Nylowi
Puścił się, wodzá niemáiąc żadnego:
Wiádom drog, y sam tráfi do piaszczystych
Pol stárodawney Gázy nieprzeyrzystych.

* * *

A choć się w bitwie bárzo beł zmordował,
Choćia go rány okrutnie bolały:
Zbroie y hełmu z śiebie nie zdyimował,
Ale w niey iechał wszystek on dźień cały.
A kiedy Phebus iásny ustępował,
Y chmury nocne, świátło wyganiáły:
Rány powiązał, y potem po kęśie
Owocu z pálmy ręką chorą trzęśie.

* * *

Tám nákarmiony dáktyły onemi,
Radby się przespał, rádby się położył:
Y ták ná trawie, y ná gołey źiemi
Układł się, á tarcz w głowy sobie włożył.
Lecz zá ránámi osurowiáłemi
Bol mu doymował, bol się bárzo srożył.
Do tego wnętrzni gryźli go sępowie,
Zal y gniew w sercu, y w strapioney głowie.

A gdy iuż beło ćicho z káżdey strony,
Y noc się bełá dobrze náchyliłá:
Przykre kłopoty trudem zwyćiężony,
Y troskę uspił ktora go trapiłá.
Mdły iednák beł sen, ktorego zasłony
Y oko y myśl błędna przechodźiłá:
Atoli usnął, y usnąwszy nowy
Dźwięk mu táki brzmiał głośny koło głowy.

* * *

Spisz Solimanie twárdo, y nie czuiesz,
Náspisz się czásu inszego do woley:
O tem nie myślisz, áni się frásuiesz,
Ze twoiá dotąd oyczyzná w niewoley.
Y bez pogrzebu swego zostáwuiesz
Ciáłá Rycerstwá leżące po roley:
Y czekasz tu dniá, gdźie ták gęste szláki,
Y ták świeże są twey sromoty znáki.

* * *

Ocknął się ze snu Soliman słábego,
Y przebudzony mdłe otworzył oczy:
Y uyrzał kogoś przed sobą stárego,
Ktory o lasce, nie o swey stał mocy:
Y z gniewem rzecze do stárcá onego,
A tyś kto? co (pry) ludźie budźisz w nocy,
Skąd to? że mię masz ná ták pilney pieczy,
Coć do sromoty, y do moich rzeczy.

* * *

Odpowie stárzec ná ono łáiánie,
Mnie twoie myśli dáły wiedźieć niebá:
A iż o tobie dawno mam stáránie,
Twa mię tu własna zágnáłá potrzebá.
A nie gnieway się ná mię o to Pánie,
Zemći przymowił, czásem tego trzebá.
Bo się tem często w sercách wielkich ludźi
Chćiwość do męstwá y do sławy budźi.

A wiedząc, że chcesz do Egiptu iecháć,
Miey nieomylną przestrogę ode mnie:
Zeć lepiey teraz drogi tey zániechác,
Bobyś się tylko zátłukł tám dáremnie.
Bo Krol Egipski wrychle chce wyiechác,
Albo iuż w drodze, á tybyś nikczemnie
Czás strawił, y nam twoieby się śiły
Przy niem pod ten czás máło przygodźiły.

* * *

Ale ieśli chcesz, ia temu porádzę,
Ze ćię w dźień biały bez wszelkiey trudnośći:
Do Jeruzálem bespiecznie wprowádzę,
Ná więtszą sławę okrom wątpliwośći.
Ná ktorem mieyscu skoro ćię posádzę,
Już miásto będźie w twoiey opátrznośći
Obrony pewne, dokąd nászych rzeczy
Krolá z Egiptu nie wesprą odśieczy.

* * *

Kiedy ták oney pilnie słuchał mowy
Hárdy Solimán, bárzo się dźiwował:
Y záraz z twarzy złożył gniew surowy,
A stárcowi się pilnie przypátrował.
Potem mu tak rzekł: Jam oycze gotowy,
Wiedź gdźie chcesz, ia ćię będę náśládował.
Mnie się tá rádá záwżdy uda pręcey,
Gdźie niebespieczeństw y trudow iest więcey.

* * *

Chwali go stárzec: A iż náźiębione
Z wiátru bol wielki rány mu czyniły:
Wodką od niego pewną zákropione,
Skorą zákryte, záraz się goiły.
Już też Apollo swe wozy złocone
Ná świát gotował, y zorze schodźiły.
Czás (práwi) iechác, iuż drogi odkrywa
Słońce, y ludźi do zwykłych prac wzywa.

Y ná woz ktory czekał go przystoynie,
Wźiął podle śiebie Solimaná potem:
Y długie lece trzymáiąc ná łonie,
Poganiał biczem zawodniki złotem.
Ták rączo biegły nieśćignione konie,
Ze mogły zrownáć z prętkich orłow lotem.
Tchnęły od biegu, y dymem kurzyły,
A posrebrzone wędźidłá pieniły.

* * *

Słuchayćiesz cudu: Wiátr lekki skupiony
Obłokiem stánął z wielkiem podźiwieniem:
Y woz z oboiey okrył wkoło strony,
Ze go nie mogło oko prześć promieniem.
Y ták beł mocno y gęsto śćiśniony,
Zeby go z proce nie przebił kámieniem.
Tylko sámi dwáy obłok iáko trzebá
Widźieli w koło, y pogodne niebá.

* * *

Skrzywi brwi Sułtan, y námarszczy czołá,
Y wozowi się pilnie przypátruie:
Ze po powietrzu nieśćignione kołá
Lecą w obłoku, bárzo się dźiwuie.
Stárzec uyrzawszy że Soliman zgołá
Z onego dźiwu ledwie się co czuie,
Trąćił go, y słow kilká mu powiedźiał,
Wezdrgnął się Sułtan, y ták odpowiedźiał.

* * *

O ktory gdźie chcesz przyrodzenie wodźisz,
Y cudá czynisz nieznáne od wieká:
Y iáko widzę w skrytych się przechodźisz
Gmáchách táiemnych myśli u człowieká.
Proszę ćię, ieśli rozumem dochodźisz,
Y przyszłe rzeczy przeglądasz zdáleká:
Powiedz co niebá Azyey przeyrzáły,
Jáki te woyny koniec będą miáły.

Ale niech pierwey wiem iáko ćię zową,
Y iáko cudá czynisz ták foremnie:
Bo iáko się mam správić twoią mową,
Jeśli nie wyndźie tá ztrętwiáłość zemnie.
Rozśmiał się stárzec, y zátrząsnął głową,
Jedney (pry) rzeczy dowiesz się odemnie.
Jam Jzmen: Magiem swoiem mię ięzykiem
Syrowie zową wy Czárnokśięznikiem.

* * *

Ale żebym miał odkryć to co będźie,
Y ták rozumiesz, że to wiedźieć snádnie:
Niechćiey być w tákiem Solimanie błędźie,
Bo tego człowiek śmiertelny nie zgadnie.
Zaden tem swoich kłopotow nie zbędźie,
Rátuy się káżdy, ieśli co przypádnie.
Bo często człowiek swego ná tey probie
Szczęśćia iest mistrzem, y robi ie sobie.

* * *

A ty ná ognie y miecze práwicę
Niezwyćięzoną teraz chćiey záchować:
Ktorey nie tylko obronić stolicę,
Do ktorey myśli srogi łud szturmować:
Ale nie trudno przeszedszy gránicę
Trząsnąć Europą, y onę zwoiować.
Ja dobrze tuszę, ty śmiey: á ia co wiem,
Y co iákoby przez mgłę widzę, powiem.

* * *

Nim stokroć koły rok zbieży lotnemi,
Będźie mąż ieden w Azyey pánował:
Ktory ią dźiely ozdobi wielkiemi,
Y wpłodnem będźie Egipćie krolował.
Y w pokoiu rząd uczyni w swey źiemi,
Kiedy się zdárzy że będźie proznował:
Y kiedy wytchnie od woienney chwile,
Ten Chrześćiáńskiey ćieszki będźie śile.

Y źle nábyte páństwo, y krádźiony
Łup gwałtem wydrze mocą swoiey broni:
Ták, że ostátkow wodą otoczony
Wysep, y morze ledwie mu obroni.
Ten ze krwie twoiey ma być urodzony,
Soliman ná to wzrok wesoły skłoni.
Szczęśliwy (práwi) że mu to gotuie
Niebo, część zayrzy á część się ráduie.

* * *

Dołożył tego. Niech się szczęśćie stáwi,
Lub źle, lub dobrze, ná mnie nie utyie:
Moie mię serce y tá ręká spráwi
Niezwyciężonem poki duszá żyie.
Pierwey swoy zwykły mieśiąc bieg zostáwi,
Pierwey go chybi niźli mię pożyie.
To mowiąc wszystek áż do sámych kośći,
Płomieniem spłonął ognistey śmiáłośći.

* * *

Ták rozmawiáiąc, przyśli lotnem wozem,
Nád Chrześćiáńskie prawie stánowiská:
Gdźie pełne trupow pod sámem obozem
Polá widzieli, y poboiowiská,
Zmartwiał od żálu, ćiężkiem tkniony mrozem,
Ná gęste trupy Sułtan pátrząc zbliská.
Y ná leżące swoie między niemi,
Przedtem ták strászne chorągwie po źiemi.

* * *

A twarz y pierśi zwyćiężce deptáli
Jego Rycerzow, ktorzy w bitwie legli:
Y nieszczęśliwe trupy odźieráli,
A rożni ná łup zewsząd ludźie biegli.
Drudzy znáiomych przyiaćioł chowáli,
Y ćiáłá miłych towárzyszow grzebli.
Drudzy ná kupy Arábы włoczyli,
Y iednem ogniem z Turki ie palili.

Westchnął Soliman, y miecz iák szalony
Porwał, y z wozu skoczyć się gotował,
Ale nań krzyknął czárownik uczony,
Y wielkiem gwałtem ledwie go hámował.
A skoro uśiadł, woz niedośćigniony,
Jzmen do gury co wyższey kierował:
Y ták szli chwilę kołámi lotnemi,
Aż Chrześćiáński oboz beł zá niemi.

* * *

Potem wyśiedli obá z wozu, ktory
Niewiedźieć iáko zniknął ich wzrokowi:
Y kryći płaszczem niewidomey chmury,
Szli ku wielkiemu pieszo Syonowi.
A kiedy przyszli do schodźistey gury,
Tám gdźie obraca tył ku zachodowi:
Już nie szedł więcey Czárnokśięznik, ále
Zástánowił się przy niewstępney skále.

* * *

Tám miał iáskinią wielką kámień żywy,
Ktorą wykował Krol ieden bogáty:
Weszćie w nię gęste zákryły pokrzywy,
Bo tám dawnemi nie chodzono láty.
Odrzući źielsko Jzmen ukwápliwy,
Y ukasáney zátknie zá pás száty:
Y iedną ręką máca gdźie co wádźi,
A drugą Krolá mężnego prowádźi.

* * *

Rzecze mu Sułtan: A to co zá drogi?
Kráść mię gdźieś wiedźiesz tem podźiemnem piecem:
Byś beł dopuśćił inszą bez tey trwogi,
Mogłem ią sobie uczynić tem mieczem.
On ná to: Godna tá drogá twey nogi,
Zdawnych lat śládem nie bitá człowieczem.
Ktorą Krol Herod chodźił z swemi Pány,
On Krol ták wielki, y ták záwołány.

Ten ią wykował, gdy mu wszystkie zgołá
Wierzgnęły beły co przednieysze domy:
Y áż od wieże ktorą od Sokołá,
Sokolą zwáno, przez ten doł kryiomy:
Do zbyt dawnego iednego kośćiołá,
Często kiedy chćiał chodźił niewidomy.
Tędy lud zbroyny do miástá przywodźił,
Tędy sam z niego zá mury wychodźił.

* * *

Ale ná świećie żaden człowiek żywy
Niewie tey drogi, okrom mnie sámego:
Tędy doydźiemy, tám kędy wątpliwy
Krol rády zbiera do páłacu swego.
Ktory niż trzebá więcey boiaźliwy,
Trwoży się bárzo z nieszczęśćia przeszłego.
Tyś ná czás przyszedł, ále wytrway mało,
Y milcz, áż kiedy mnie się będźie zdáło.

* * *

Skoro to wyrzekł, pierwszy zamysł mieni,
Y w ćiemną iámę wielki Sułtan wchodźi:
On go omácnie mrokiem gęstych ćieni,
Wźiąwszy zá rękę po świadomiu wodźi.
Pierwey zgárbieni y szli pochyleni,
Ale iáskinia co raz się rozwodźi:
Ze potem łátwie doszli połowice,
Y wolno idąc podźiemney ćiemnice.

* * *

Wtem drzwi uchylił odiąwszy zapory,
Y wiodł go Jzmen po niezwykłem wschodźie:
Gdźie świećił promień mały y niespory,
Spadáiąc z gury spárą w ćienkiem schodźie.
Tám zkoncá iámy wyszedł Sułtan skory,
Y z przewodnikiem ná wysokiem grodźie:
Stánął ná sali, gdźie ná świetnem thronie
Siedźiał Krol w złotem płaszczu, y w koronie.

Z obłoku pátrzą oni dwáy mężowie,
A ich (iáki cud) wszyscy nie widźieli:
Oni záś wszystko, y słowo po słowie
Ták iako trzebá obádwá słyszeli.
Krol naprzod począł: Záprawdę synowie,
Dźienieśmy wczorá nieszczęśliwy mieli:
Ten nam powątlił y pomięszał rzeczy,
Sámá nádźieiá w Egipskiey odśieczy.

* * *

Ale widźićie co się z námi dźieie,
Wtak niebespiecznem, y wták krotkiem cześie:
Egipskie bárzo daleko nádźieie,
Przeto niech káżdy rádę ná to nieśie.
Wtem szmer ćichy wstał, iáko kiedy wieie
Wolny wiátr, y szum w gęstem czyni leśie:
Ale szmer ućichł, kiedy wstawszy z łáwy
Cyrkászczyk począł mowić do tey spráwy.

* * *

Záwżdy, o Krolu, są odmienne niebá,
Y szczęśćie rożnie koło swe prowádźi:
Lecz o to pytasz, ná co nie potrzebá
Nászego zdánia, żaden tu nie rádźi.
W sámych nam sobie mieć nádźieię trzebá,
Bo się ná sobie sámo męstwo sádźi.
W to się ubierzmy, zdrowia odźáłuymy,
Y nie więcey ie niż trzebá miłuymy.

* * *

Nie mowię aby wątpliwa bydź miáłá
Pomoc z Egiptu, w czásy teráznieysze:
Bo obietnica ktora się wam dáłá,
Y te posiłki będą napewnieysze.
Alebym záś rad, żeby się obráłá
W niektorych y mysl, y serce mężnieysze:
Zeby z ręku swych zwyćięstwá czekáli,
A ná cudzą się pomoc nie spuszczáli.

Więcey nie mowił Argánt pomieniony,
Jáko ten ktory pewny beł wygráney:
Po niem poważny Orkan z drugiey strony
Wstał, urodzony ze krwie záwołáney.
Mąż to beł wielki, ale zniewolony,
Miłośćią dźieći, y żony kochány,
Znikczemniał bárzo, bárzo się odmienił,
Jákoby nie on, skoro się ożenił.

* * *

Ten ták wotował: Tey gorącey mowy,
O wielki Krolu, ia nie mogę gánić:
Bo śmiałe serce, śmiáłemi się słowy
Znáć dawa, y z swych występuie gránic.
A iż iáko zwykł zagrzał się surowy
Y niebespieczeństw Argánt niema zá nic:
To iemu wolno, bo iáko wotuie,
Tak rzeczą sámą śmiáłość ukázuie.

* * *

Lecz ty ktoremu dawny wiek przynośi
Wiadomość rzeczy, masz to upátrować:
Ze ieśli się gdźie Cyrkászczyk unośi,
Trzebá go mądrem rozumem hámować.
Y te pomocy ktore Egipt głośi,
Z niebespieczeństwem rownáć, y zráchować:
Jeśli twe Krolu mury wydołáią
Tem śiłom, ktore Chrześćiánie máią.

* * *

Mowią (bo ná to trzebá odpowiedźieć)
Ze miásto dobrze opátrzone mamy:
Ale zaś u nich (muśi to powiedźieć)
Gotowość wielka, y szturmu czekamy.
Tego co ma bydź nikt nie może wiedźieć,
Ale się słusznie wątpliwych lękámy
Marsowych sądow, y bać się potrzebá,
Ze nam nie stánie náostátek chlebá.

Wczorá kiedy się nászy w polu bili,
Z wielką trudnośćią iáko się widźiáło:
Bydłaśmy trochę w miásto wprowádźili,
Y zá wielkie się to zdárzenie miáło.
Ale ieśliby dłużey nas trapili,
Ná ták wielki głod bárzoby to mało:
A nie odstąpią pewnie, choć posłány
Pośiłek przydźie ná dźień obiecány.

* * *

Coż kiedy chybi? ále niech się dźieie,
Ták iáko sobie wy obiecuiećie:
Niech obietnice y stáną nádźieie,
Niechay odśieczy przydą iáko chcećie.
Kto was w zwyćięstwie upewnia, száleie,
Z tem się Hetmánem Krolu bić będźiećie,
Y z temże woyskiem, ktore pogromiło
Turki, Araby, y Persy pobiło.

* * *

Sameś o mężny Argáncie sprobował,
Jáko są bitni, iáko natárczywi:
Y nie raześ iem tył swoy ukázował,
Y ći z Kloryndą Rycerze cnotliwi.
Y ia sam, ácz ia nie będę winował
Nikogo, bo w tem nie iesteśćie krzywi:
Y mężnieśćie się z niemi záwżdy bili,
Y cośćie mogli, wszystkośćie czynili.

* * *

A choć mi Argánt krzywem grozi okiem,
Jam winien zawżdy prawdę mowić wszędźie:
Widzę, że lud ten zá Boskiem wyrokiem
W bogatey Pánem Pálestynie będźie.
Y áni woyskiem, áni tem wysokiem
Wstrąćiem go murem, áż miásto ośiędźie.
To mowię, Bog wie, z sámey powinnośći,
Y ku oyczyznie, y Panu miłośći.

Lepiey Trypolski Krol postąpił sobie,
Uprosił pokoy, y nie má tey trwogi:
A hardy Sułtan álbo dotąd w grobie,
Albo mu pęto włożono ná nogi.
Albo ućieka, y błądźi w tey dobie,
Wszędźie się kryiąc wygnániec ubogi.
A mogł część puścić, część cale záchować,
Y zá trybutem spokoynie pánować.

* * *

Ták tám ná on czás wątpliwemi słowy,
Nieznácznie Orkan swoię rzecz prowádźił:
Bo iáwnie Trybut postąpić gotowy,
Y słać o pokoy, dla stráchu nie rádźił.
Nie mogł znieść dłużey Solimán tey mowy,
Y chćiał się porwáć, iedno obłok wádźił:
Kiedy rzekł Jzmen: Każesz iuż mgłę spuścić?
Czy mu chcesz dłużey wotować dopuścić?

* * *

On ná to: Jam tu gwałtem otoczony
Od twoiey chmury, ktora mię okryłá:
Skoro to wyrzekł zniknęły zasłony,
Y mgłá się wpoły záraz rostąpiłá.
Y wyszedł ná dźień iasny, y przestrony,
Kędy się byłá rádá zgromádźiłá:
Tám w strászney twarzy stánął rozgniewány,
Ná wielkiey sali nic niespodźiewány.

* * *

Jam (pry) iest Sułtan, á kto mu to zádał,
Zeby ućiekał, ma się tego správić:
Y łże iáko pies, ten kto to powiádał,
A gotow tego y ręką poprávić.
Gory w rowninie z gęstych trupow skłádał,
Ze krwie wylaney mogł rzeki zástáwić.
W nieprzyiaćielkiem obozie się biie.
Ták to ućieka? y ták się to kryie.

Jeśli się táki naydźie między wámi
Zdraycá oyczyzny, y z tem się odkryie:
Ze chce odkupić pokoy Trybutámi,
Odpuść, o Krolu, wnet pozbędźie szyie.
Pierwey się wilcy pogodzą z owcámi,
Y z gołębiami w iednem gniaźdźie źmiie:
Niż Chrześćiáńskie przemierzłe narody,
Do iákiey kiedy známi przydą zgody.

* * *

Kiedy to mowił, trzymał się zá krzywą
Száblę, á grożił iádowitem wzrokiem:
Wszyscy umilkli ná mowę strászliwą,
Y z wylęknionem ná doł pośli okiem.
Potem z łáskáwszą, y nie ták gniewliwą
Twarzą do Krolá kwápionem szedł krokiem:
Nie trwoż (pry) więcey wielki Krolu sobą,
Wielki pośiłek, gdy Soliman ztobą.

* * *

Aládyn ná to powstawszy ku niemu,
O iákomći rad przyiaćielu miły:
Już teraz lepiey (ufam męstwu twemu)
Poydą me rzeczy, choć się náchyliły.
Ty swe z niewoley, á nie długo temu
Páństwo wyzwolisz, y stolec pochyły
Moy, da Bog wesprzesz: zátem się pokwápił,
Y obiemá go rękámi obłápił.

* * *

Po przywitániu między gęstem gminem,
Krol ná swoy stołek Sułtana prowádźił:
Y dał mu mieysce pod swem baldekinem,
A podle śiebie Jzmená posádźił.
A skoro chwilę pośiedźiał z Turczynem,
Y Jzmen ćicho z niemi się nárádźił.
Klorynda go wprzod witálá, więc drudzy
Pánowie, więc dwor, y Krolewscy słudzy.

Między inszemi witał go też Pány
Ormus Arábski zacny Rotmistrz, ktory
Kiedy się drudzy bili z Chrześćiány,
On przyodźiany płaszczem nocney chmury,
Nie zwykłą drogą lud lekki przebrány,
Zdrowo wprowádźił między mieyscke mury.
Y głodne miásto posilił żywnośćią,
Zá swą przewagą, y zá swą dźielnośćią.

* * *

Sam go nie witał Argánt, y gniewliwy
Stał nienawiśćią dawną przerážony:
Jako lew kiedy leży, á strászliwy
Wzrok miece ná té y ná owé strony.
Orkan też nie śmiał weyzrzeć nań lękliwy,
Ale wzrok w źiemię wlepił zámyślony.
Ták tám ná on czás obádwá Krolowie,
Y oni w Rádźie zostali Pánowie.

* * *

Goffred tem czásem kończył swe zwyćięstwo,
Goniąc Pogáństwo ktore ućiekáło:
To odpráwiwszy, swoie grzebł żołnierstwo,
Ktore ná plácu pobite zostáło.
Potem obwołał, áby się Rycerstwo
Do iutrzeyszego szturmu gotowáło.
O mury swoie boią się Pogánie,
Widząc przypráwy ktore czynią ná nie.

* * *

A iż znał rotę onę niezwalczoną,
Co go ná on czás w bitwie rátowáłá:
Z miłych przyiaćioł swoich zgromádzoną,
Ktore mu bełá Armidá pobráłá.
Gdźie był y Tánkred, ktorego zá broną
Mocnego zamku w więźieniu chowáłá.
Sam z Pustelnikiem, y z co bácznieyszemi
Zostawszy tylko, ták rozmawiał z niemi.

Radbym, żebyśćie teraz powiedźieli
Od tego czásu iákośćie ztąd wyszli,
O wászych błędách: Jakośćie wiedźieli
O bitwie, żeśćie práwie ná czás przyszli.
Bespiecznie w oczy poyźrzeć mu nie śmieli,
Y wstyd przenikał niewidome myśli.
Ale nákoniec Angielski powiedźiał
Krolewic, wszystko gdźie był, y co wiedźiał.

* * *

My wszyscy, cosmy ná on czás losámi
Nie byli w drogę z Armidą obráni:
Miłośćią głátkiey (bo tego przed wámi
Prozno przeć mamy) twarzy uwiązáni,
Szlismy niezgodni między sobą sámi,
Tám gdźie nas chytrá prowádźiła Páni:
Miłość, y gniewy mnożył w nas niezgodne
Jey wzrok łáskáwy, y słowá łágodne.

* * *

Przyszlismy dáley pozbywszy swobody
Tám kędy ognie z niebá spádły żywe:
Ktore Sodomskie karáły narody
Zá wszeteczeństwá, y grzechy brzydliwe.
Przedtem kráy piękny, teraz ćiepłe wody,
Kliiowatemi błoty záráźliwe:
Rybá w nich żádna (ták mowią) nie żyie,
Smierdzą z niey páry, y śiárczyste kliie.

* * *

Tám iest ieźioro, w ktorem w gęstey wodźie,
Kámień, żelázo, y ołow nie tonie:
A co dźiwnieysza, bez promu, bez łodźie,
Znośi po wierzchu, y ludźie, y konie.
W śrzodku iest zamek, ná ktory po wzwodźie
Wchodzą, kiedy kto przydźie ku tey stronie:
Tám nas nieszczęsnych z sobą prowádźiłá,
Gdźie bełá ogrod pyszny uczyniłá.

Tám záwżdy niebá świećiły pogodne,
Przez cały się rok łąki zieleniáły:
Między Mirtámi wesołemi, chłodne
Gdźieśkolwiek stąpił, wiátry powiewały.
Szum z drzew pachnących sny czynił łágodne,
Fontány wody przeyzrzyste strzeláły.
Ptástwo śpiewáło, á we śrzodku nowy
Stał dźiwnie piękny páłac mármorowy.

* * *

Tu w chłodźie między źiołámi wonnemi
Przy ćiekącem nas zdroiu posádźiłá:
Gdźie z potráwámi wielki stoł drogiemi,
Y służbę złotą bełá postáwiłá.
Co się náyduie w morzu, co ná źiemi,
Co ná powietrzu, y co wymyśliłá
Uczona kuchnia, to wszystko tám było,
A sto nam Panien do stołu służyło.

* * *

Sámá przysmákow do swych dodawáłá
Potraw, to śmiechem, to mową łáskáwą:
A niepámięćią długą nápawáłá
Błędne rozumy, zá káżdą potráwą.
Potem się wroćić obiecawszy wstáłá,
Y wnet żáś przyszłá z gniewliwą postáwą:
Y w iedney rozgę, w drugiey ręce księgi
Máiąc, czytałá klątwy, y przyśięgi.

* * *

Czytáłá: mnie wtem nowa myśl nápádłá,
Ná inszy żywot dźiwnie się zdobywam:
Twarz mi y postáć człowieczą ukrádłá,
Wskoczę do rzeki, y po wodźie pływam.
Oboiá ręká y nogá w mię wpádłá,
Niewiedźieć iáko łuską grzbiet okrywam:
Dáley też więcey nie pámiętam, chybá
Ze bywszy człowiek, bełá ze mnie rybá.

Y insze tákże w ryby obroćiłá,
Y tákże zemną pływáli po stáwie:
Po máłey chwili záś nas postáwiłá
W człowieczem ćiele, y w pierwszey postáwie.
Ale z boiaźni, ktora w sercu byłá,
Y z dźiwu w oney niepodobney spráwie:
Y iednegosmy słowá nie mowili,
Aż sámá do nas rzekłá w oney chwili.

* * *

Mniemam, że iuż moc podobno czuiećie
Moię nád sobą, y nád przyrodzeniem:
Y ieśli zechcę, ná wieki będźiećie
W niewoley wiecznem trapieni więźieniem.
Słońcá żaden zwas nie uyrzy ná świećie,
Ten będźie drzewem, ten będźie kámieniem:
Ten koniem, ten psem, temu przydam skrzydłá,
A tych záś w nieme poobracam bydłá.

* * *

Ci iednak uydą moiemu gniewowi,
Ktorzy mą wiárę, y moie obrzędy
Przyimą, y stánąć przećiw Goffredowi,
Y Chrześćiánom będą winni wszędy.
Káżdy się wezdrgnął, tylko Rámbáldowi
Poszło to w posłuch, ktory ná iey błędy
Przystał, ále nas zámknęłá w ćiemnicy
Skrytey, ná żywot wieczny niewolnicy.

* * *

Wrychle záś potem Tánkredá dostáłá,
Co beł ztrafunku przyszedł wtámte strony:
Ale nas krotko w więźieniu trzymáłá,
Bo ieślim dobrze o tem beł sprawiony,
Krola z Dámaszku posłowi nas dáłá,
Ktory beł po to do niey wypráwiony:
Ten nas Krolowi w pętách, y bez broni
Wiodł Egipskiemu w dáry, w stu koni.

A iáko Bog chćiał, ná tey drodze známi
Bohátyr Rynáld potkał się z przygody:
Ktory wielkiemi nowemi dźiełámi
Między rożnemi wsławił się narody.
Y bił się mężnie z nászemi strożámi,
Aż ie pogromił: Tákesmy swobody
Miłey, zá iego dźielnośćią dostali,
Y w zbroiesmy się ich poubierali.

* * *

Y ia sam, y ći wszyscy go widźieli,
Znáć go po samem złożeniu kopiey,
Plotki to, co tu o niem powiedźieli,
W tey mierze mowie nie wierzćie niczyiey.
Zdrow dobrze, y szedł iákosmy słyszeli,
Trzeći dźień temu do Antyochiey:
Y swoię tu gdźieś zbroię ukrwáwioną,
Od nieprzyiácioł zrzucił pośieczoną.

* * *

Ták mowił, á w tem w niebo oczy obie
Podniosł Pustelnik nabożeństwem tkniony:
Nie iednę bárwę y twarz miał ná sobie,
Jeden raz blády, drugi beł czerwony.
O iáko się zdał poważny w osobie,
Gdy pełny Bogá umysł záchwycony
Między Anyoły niosł, gdźie przyszłe rzeczy
Y wiek potomny poymował człowieczy.

* * *

Y głośnieyszemi nád swoy zwyczay słowy
Począł odkrywáć przyszłe táiemnice:
Wszyscy weń pátrzą, uważáiąc nowy
Głos, y niezwykłe mowy Pustelnice.
Zyw (práwi) Rynáld: Niewieśćiey to głowy
Y Bogu zmierzłey wymysł czárownice:
Zywie, y niebo iego młode látá
Chowa dla sławy dostálszey u świátá.

Dźiećinne to są dopiero roboty,
Ktorem się teraz Azya dźiwuie:
Widźę go, á on rwie się przez namioty,
Y niezbożnego Cesárzá woiuie.
Y pod swe skrzydłá Orzeł iego złoty
Rzym z Apostolską stolicą przymuie.
Ná ktorą srogi źwierz wyostrzył głodne
Zęby, á syny ma mieć siebie godne.

* * *

Syny po syniech, y po wnukách wnuki,
Ci bronić będą od Cesárzow chćiwych
Pásterzow świętych z przodkow swych náuki,
Rátuiąc záwżdy krzywdą obćiążliwych.
Pomoc niewinnem, te ich będą sztuki,
A hárdych niszczyć y niesprawiedliwych.
Tákie być máią ze krwie zacney dźieći,
Ták słońce Orzeł Esteński wyleći.

* * *

Y ieśli wieczne, ták iáko potrzebá
Swiatło Piotrowi otworzyło oczy:
Gdźie o Chrystusá bić się będźie trzebá,
Tám tryumfálne piorá swe roztoczy.
Bo mu to zá dar ieden dáły niebá,
Y stánie mu zto y śiły, y mocy.
Y Bog ták chce mieć, áby poń posłano,
Y ná ták sławną woynę go wezwano.

* * *

Tu zmilkł prorockiem duchem obćiążony
Mąż święty: ále serce z swych wnętrznośći
Choć iuż beł ięzyk niemy y zemdlony,
Kładło mu ná twarz Esteńskie dźielnośći.
Już też noc zászłá, y płaszcz rośćiągniony
Rozwiłá ná świát uszyty z ćiemnośći.
Wszyscy spáć ná swe odchodźili wczásy,
Ale Pustelnik nie spi w one czásy.

Koniec pieśni dźieśiątey.

PIESN JEDENASTA.

ARGUMENT.

Woysko w nabożne idźie Processye,
Mszą Duchowieństwo świętą odpráwuie:
Ták Bogá błaga: Potem miásto biie,
Y wielką śiłą do niego szturmuie.
Kloryndá z łuku bez przestánku szyie,
Od ktorey ránny Hetman odstępuie:
Lecz od Anyołá wráca się zleczony,
Ale iuż noc swe rozwiłá zasłony.

Już Chrześćiáński Hetman w oney dobie
Do szturmu się miał wszystkiemi śiłámi:
Y o woiennych Táránow sposobie
Ciągnienia pod mur, rozmawiał z Mistrzámi.
Kiedy Pustelnik odwiodszy go sobie
Mowił mu, gdźie dwáy tylko beli sámi:
Już masz Hetmanie wszystko co potrzebá,
Lecz nie poczynasz, skąd poczynać trzebá.

* * *

Od Bogá poczni, pierwey obwołáne
Wczás pospolite modlitwy bydź máią:
Niech do niebieskich zastępow zebrane
Rothy, o prośbę za sobą wołáią.
Wprzod Duchowieństwo niech idźie ubráne,
Niech processye nabożnie śpiewáią:
A wy zá niemi wodzowie przednieyszy,
Zeby z was przykład drudzy brali mnieyszy.

Ruszył Hetmáná Pustelnik surowy,
Skruchá wen záraz poczęłá wstempować:
O sługo Boży, święte twoie mowy,
Chcę (práwi) twoiey rády náśládować.
Już ia obmyślę porządek woyskowy,
A ty się też kasz Biskupom gotować.
Niech kto zárázem do Guilelmá bieży,
Y Ademárá, onem to należy.

* * *

Názáiutrz wszyscy Kśięża y Plebáni
Do Biskupow się poránu zebráli:
W przestrony namiot, w ktorem Kápellani
Hetmáńscy, święte Msze odpráwowáli.
W białe się mnieyszy ubiory Káplani,
W złotogłowowe Biskupi ubráli.
Spięte ná pierśiách ná białe koszule,
A głowy nieśli w poważney infule.

* * *

Wprzod sam Piotr idźie, y wielki rozwiia
Krzyż ná chorągwi, złotem malowániem:
A Duchowieństwá długa processya
Dwiemá rzędámi postępuie zá niem.
Y zlekká rothy y namioty miia,
A ná przemiány dźieli się śpiewániem.
Guilm z Ademárem, co beli Biskupy,
Szli náostátku wzdłusz puszczoney kupy.

* * *

Potem sam tylko wielki Hetman wtropy,
Bez towárzyszá szedł zá biskupámi:
A zaś Pánowie radni w iego stopy,
Y pułkownicy pierwszy szli parámi.
Tak idąc dáley wyśli zá okopy,
A dla obrony woysko szło stronámi.
Trąby niesłychác, áni ogromnego
Bębnu, tylko dźwięk głosu nabożnego.

Ciebie, o Tworco wszelákiego czyná,
Ciebie o Synu z Duchem Swiętem, ćiebie
Czysta dźiewico, mátko Bogá Syná
Proszą o łáskę, y pomoc w potrzebie.
Y was wodzowie skrzydlátego gminá,
Z lotnemi woyski ná wysokiem niebie.
Y z tem, z ktorego ręki przeźroczyste
Wody omyły człowieczeństwo czyste.

* * *

Proszą y twárdey rownego opoce,
Ktora się gruntem kośćiołowi stáie:
Gdźie iego godny namiestnik, owoce
Láski niebieskiey y teraz rozdáie.
Y was, ktorzyśćie roznieśli szeroce
Ziáwioną prawdę ná świát w rożne kráie.
Y tych ktorzy ią śmierćią oświádczyli,
Y zdrowie dla niey chętnie położyli.

* * *

Więc ktorzy z Pismá Swiętego krynice.
Błąd potępili piorem y kazániem:
Y Chrystusowey miłey służebnice,
Wsławioney częśći co lepszey obrániem.
Y was, o Pánny, y oblubienice
Wiecznego Krolá, ktoreśćie szły zá niem:
Y tych co ná miecz, ná ogień niedbáły,
Y srogie męki dla niego wytrwáły.

* * *

Ták Swiętych wzywał lud nabożny, ktory
Máiąc zá sobą swoie stánowiská:
Do Oliwetu prosto ćiągnął gury,
Co od oliwy dostáłá przezwiská.
Gury ná świećie sławney, co ná mury
Mieyscke, od wschodu słońcá pátrzy zbliská:
A między nią się á miástem przestrona
Doliná ćiągnie, Jozáphát rzeczona.

Tám szły ná on czás, y tám kierowáły
Woyská śpiewáiąc, á zá ráney rosy:
Gory się z lásy zewsząd odzywáły,
A Echo gęste dawáłá odgłosy.
Y ták się zdáło, że się przećiwiáły
Jnszego choru insze w leśie głosy.
Raz Chrystusowe imię, raz Máryey
Rozlegáło się w głosney Armoniey.

* * *

Pogáństwo z murow wysokich pátrzáło,
Ná niewidáne porządki y szyki:
Y ćicho zrázu z pilnośćią słuchało
Nowey, y uszom nie zwykłey muzyki.
Ale kiedy się dźiwować przestáło,
W niebo strászliwe wypuśćiło krzyki:
Pełne brzydliwych bluźnierstw, á głębokie
Doły się trzęsły y gory wysokie.

* * *

Ale bespiecznie przedsię swe śpiewánie,
Y Litánie záczęte kończyli:
Y ná Pogáńskie niedbáiąc wołánie,
Ani się náwet ku niem obrośili.
Strzáły też ktore z murow lecą ná nie,
Nic iem nie szkodzą, bo w puł ćwierći mili,
Y ták dáleko szły od muru roty,
Ze mogły kończyć bez wstrętu swe noty.

* * *

Potem ná wzgorku, wielki postáwiony
Dla świętych ofiar ołtarz ubieráli:
A białe ná niem z tey y z owey strony
W złotych lichtarzách świece zápaláli.
Wtem Guilm z pierwszego ubioru zwleczony,
Jnszy wźiął na się, ktory mu podáli.
Tám chwilę myśląc rozmyślał, y záśię
Głosem dźiękował, y skárżył sam ná się.

Dálszy pátrzáli tylko, ále dźwięki
Blizszych Kápłáńskiey dochodźiły mowy:
A skoro skończył y odprawił dźięki
Swiętey ofiáry, temi mowił słowy:
Jdźćie. A w tem kładł z wyćiągnioney ręki
Błogosławieństwo ná schylone głowy.
Ták nabożeństwo skoro odpráwili,
Pierwszą się názad drogą obroćili.

* * *

W oboz wiechawszy, połki się wracáły
Do swych stánowisk: Hetman też do swego
Namiotu iechał, ktorego niemáły
Hufiec prowádźił do progu sámego.
Jnsze się zátem rothy rozieżdżáły,
Przednieyszych tylko, y Grábie stárego
Z Tolozy; z sobą do stołu prowádźił,
Tego naywyższey po sobie posadźił.

* * *

A skoro iedno beło po obiedźie,
Y urzędnicy odeśli stołowi:
Goffred przednieyszych ná stronę odwiedźie,
Jutrzeyszym (pry) dźień náznáczył szturmowi.
Káżdy do swego namiotu niech iedźie,
A swego czásu będźiećie gotowi.
Dźiś lud obwieśććie, dźiś odpoczywayćie,
A iutro w spráwie skoro dźień czekayćie.

* * *

Odeszli záraz, á Trębácze potem
Po wszystkiem woysku tám y sám trąbili:
Aby skoro świát swem iutrzenká złotem
Oświeći ogniem, po gotowiu byli.
Ták onego dniá częśćią myśląc o tem
Część się gotuiąc, ostátek strawili:
Aż noc nádeszłá, y źiemię okryłá,
Y pokoy ná czás z troską uczyniłá.

Jeszcze wątpliwe do ludzkiey posługi
Jutrzenká świátło, y dźień słáłá máły:
Y málowáne ptastwá swoy sen długi
Kończyły ieszcze, y odpoczywáły.
Jeszcze zagonow nie oráły pługi,
Jeszcze się stádá do łąk nie wracáły:
Kiedy ná larmę trąby uderzyły,
Trzęsły się niebá, y larmę głośiły.

* * *

Ná lármę wszystko woysko w iedney mierze,
Zgodliwe głosy wypuszczáło swoie:
Wstánie wtem Goffred, y ná się nie bierze
Swoiey zwyczáyney ná zchwał mocney zbroie:
Ale wco lżeyszem woiennem ubierze,
Jáko się pieszy ubieráią w boie:
Gotowy między swoie szedł obozy,
A wtem do niego przyszedł Grof z Tolozy.

* * *

Ten widząc on stroy ná Hetmánie nowy,
Zrozumiał iego umysł w oney dobie:
Y przystąpiwszy rzekł mu temi słowy,
Przecz zbroie niemasz zwyczáyney ná sobie?
Czemu w hełm zwykły nie ubierzesz głowy?
Tę nieopátrzność muszę gánić w tobie:
Że ták odkryty do szturmu wychodźisz,
Znáć że ná sławę bárzo podłą godźisz.

* * *

Chcesz podomno leść ná mur iáko tuszę,
Niechcemy tákiey śmiáłośći od ćiebie:
Prośći żołnierze mniey potrzebne dusze
Powinni w tákiey odważáć potrzebie.
Ty iżeś Hetman (prawdę mowić muszę)
Szánuy się dla nas, ieśli nie dla śiebie:
Twem zdrowiem práwie wszystko woysko stoi,
Przeto mu odpuść, że się o nie boi.

On ná to: Gdy ná iásney gurze Páński
Namiestnik Urban, miecz mi przypásował:
Zebym niem kráie y narod Pogáński,
Stawszy się Bożem Rycerzem, woiował.
W ten czásem Bogu nie tylko Hetmáński
Urząd správowáć táiemnie ślubował:
Ale y ręki tey ná woynie użyć,
Y ieśli trzebá, krwią mu w szturmie służyć.

* * *

Przeto, kiedy iuż wszystko rosporządzę,
Y lud do szturmu iáko ma iść správię:
Nie wiele ieszcze moiem zdániem zbłądzę,
Ze się podemknę y pod mury stáwię.
Bo się sumnieniem sam w tey mierze sądzę
Ná ktorem Bogu długu nie zostáwię:
Uiszczę się rad, y ślub obiecány
Bedźie mu przez mię cále záchowány.

* * *

To rzekł: A záraz dwáy Bulionowie,
Y inszy drudzy przykład z niego bráli:
Niektorzy tákże przednieyszy Pánowie,
Ták iáko pieszy lekko się ubráli.
Wtem się ná murze Pogáńscy wodzowie,
Czuiąc o bliskiem szturmie ukazáli.
Gdźie się ná zachod od pułnocy chyli,
Skąd z polá przystęp łátwieyszy baczyli.

* * *

Bo miásto ná szturm z káżdey inszey strony
Máło co dbáło, y beło bespieczne:
Tám beł nie tylko żołnierz obrocony,
Y co mężnieysze pospolstwo támeczne.
Ale y stárych z dźiećmi do obrony
Ostátniey słáło szczęśćie ostáteczne:
Przy ktorych duzszem słábszy y podeśli,
Siárki przyprawne, y kámienie nieśli:

Mur od rownini rożnemi broniámi
Obwárowány dobrze, mniey się boi:
Tu z ogromnemi Sułtana pierśiámi,
Po pás z dáleka w świetney widáć zbroi,
Tu Argánt między mocnemi basztámi,
Wielkiemu rowni Olbrzymowi, stoi.
Tám conaywyzszey w temże mieyscu wieże
Narożney, mężna Bohátyrká strzeże.

* * *

Sáydak z niey wiśi: á ná bok ćierpliwy
Złotem oprávną száblę przypasałá:
Y widác beło, kiedy swoy łuk krzywy,
Zdáleká dźiewczą ręką wyćiągáłá:
Y przyłożywszy strzałę do ćięćiwy,
Nieprzyiacielskich wodzow pilnowáłá.
Ták więc swe strzały niedośćigłe oku,
Krolewná z Delu posyła z obłoku.

* * *

Sam Krol pod mury láty obćiążony
Pieszo od bramy do brámy przebiega:
Y śle rynsztunki ná mur osádzony,
Y świeższych co raz obrońcow dośięga.
Y lud miłośćią miłey przerážony
Oyczyzny, słowy tem więcey podżega.
A utrapione do kośćielnych progow,
Mátki, szły wzywáć swych omylnych Bogow.

* * *

Ty sam, o Pánie, Pánie správiedliwy,
Skrusz Fráncuskiego oszczep rozboiniká:
Skłoń ku ludowi twemu wzrok życzliwy,
Obal pod mury twego przećiwniká.
Ták się modliły, lecz w piekle fałszywy
Bog tego niechćiał rozumieć ięzyká.
Gdy się ták miásto miało do obrony,
Goffred też z drugiey nástępował strony.

Z wielkiem porządkiem szykował przebráne
W przestronem polu woysko przed namioty:
A we dwá rzędy iuż uszykowáne
Przećiw murowi obrośił piechoty.
We śrzodku kusze, y pobudowáne
Strászne woienne postáwił roboty:
Z ktorych kámienie ogromne ćiskáią,
Y wież, y murow oszczepy śięgáią.

* * *

Zá piechotą tuż ieznych postáwiono,
Zeby ią we złem rázie pośiláli:
Potem w krzykliwe trąby uderzono,
A strzelcy zátem wraz nástępowáli.
Z woiennych tákże strzelby wież puszczono,
A z muru gęsto Pogánie spadáli:
Ten zdechł, ten ránny ná doł leći z gury,
Co raz mniey máią swych obrońcow mury.

* * *

Wprzod Fráncuzowie pod mury skoczyli,
Z wielką ochotą z swemi chorągwiámi:
Y tarcze wszystkie do kupy złożyli,
Y ták ie sobie nieśli nád głowámi.
Drudzy, áby się kámieniom bronili,
Zá dębowemi idąc zasłonámi:
Pod przekopy się co raz podmykáli,
Aby ie rowno z źiemią wyrownáli.

* * *

Przekopy mieysckie wod w sobie nie miáły,
Y iáko trzebá suche beły ná dnie:
A choć się zbytnie głębokie bydź zdáły,
Ziemiá, chrost, kámień, wyrownáł ie snádnie.
Napierwszy głowę odkrył Adrást śmiáły,
Y pod mur z długą drábiną przypadnie:
Po ktorey z wielką przewagą wstempował,
Ani go srogi twárdy grad hámował.

Już niemal wietszą Szwáycar odważony
Połowicę swey drábiny przechodźił:
Y choć nań zewsząd bito, nie strwożony,
Oślep záczętey przewagi dowodźił.
Aż iednem rázem w leb go obálony
Zbyt ćięszki kámień przez szyszak ugodźił:
Ktory go ná doł z drábiną obálił,
Ten kámień Argánt swą ręką nań zwálił.

* * *

Nie beł śmiertelny on iego raz cále,
Lecz ćięszki, ktemu z wysoká spadł zgury:
Argánt wtem począł wykrzykáć zuchwále,
Już ieden zleciał, kto poleźie wtory?
Nie kryićie się ták zá tárćice, ále
Wyleśćie ná świát, wychylćie się z dźiury.
Przecz z tych drzewiánych iam nie wychodźićie?
Bo y tám pewnie się nie wysiedźićie.

* * *

Ták wołał Argánt, ále ná te mowy
Namniey nákryći Rycerze niedbáli:
Y pod skupione tarcze kryiąc głowy,
Strzały, y ćięszkie kámienie trzymáli.
Y wielkie trąmy z Tárány przez rowy
Już wypełnione bliżey podmykáli:
Ktore ná mury nie bez wielkiey trwogi,
Niosą żelázem zákowáne rogi.

* * *

Pogánie na te zgromádzone śiły,
Drzewá z kámieniem ćięszkiem powiązáne:
Puśćili nádoł, ktore przywáliły,
Tarczámi kryte piechoty przebráne.
Te wielką w ludźiách szkodę poczyniły,
Bo tarcze w trzaski poszły zgruchotáne.
Y nie iednemu przepádły przez czoło,
Ziemiá krwią, mozgiem, skropiłá się wkoło.

Już Chrześćiánie zá swemi twierdzámi
Więcey nie stali, áni iem dufáli:
Ale wypadszy śmiele gromádámi,
W przestrzeni męstwo swe ukázowáli.
Jedni do gury pośli drábinámi,
Drudzy ze spodku mury wywracáli.
Ktory iuż y wierzch słuczony wysoki,
Y powątlone ukázował boki.

* * *

Y upadłby beł, bo roskołysány
Tram wielki, raz mu zádawał śmiertelny:
Ale go mężnie lud niesprácowany
Bronił, miłośći swey oyczyzny pełny.
Y gdźie go biły rogáte Tárány,
Wtem mieyscu z wierzchu miękkie spuszczał wełny:
Ktore gwałtowne bićie przyimowáły,
Y ustępuiąc rázy hámowáły.

* * *

Gdy się ták ná mur lud piął natárczywy,
Y támtá stroná mężnie się broniłá:
Siedmkroć Kloryndá wyćiągnęłá krzywy
Luk swoy, y śiedmkroć tákże go spuśćiłá.
A ile swych strzał wypchnęłá z ćięćiwy,
Tyle ich we krwi w on czás omoczyłá.
Przednieyszych wodzow, nie gminu podłego,
Strzegąc się hárda célu niegodnego.

* * *

Tyś, o Angielski młodszy Krolewice
Pierwszy beł, ktoryś dostał od niey rány:
Jednoś co głowy z dębowey tárćice
Wychylił trochę, ktoraś beł odźiany:
Przez páncerzowey nity rękáwice,
Przebiłći rękę práwą beł pierzány:
Ták, żeś ustąpić z plácu musiał pręcey,
Mniey bolu czuiąc, ále gniewu więcey.

Klotáreusá gdy lazł po drábinie
Pod murem Grábie tráfiłá z Ambozy:
Obiemá z pierśi przebitych krew płynie,
Obu umárłych nieśiono w obozy.
Kiedy wielkiego Táráná ná linie
Rupert wyćiągał, y spuszczał powrozy:
Odniosł w rámieniu strzałe, ktorey z ćiáłá
Część wyrwał, á część z żeleścem zostáłá.

* * *

Ademárowi, ktory ná te dźiłá
Z dáleká pátrzał, trefna się rzecz sstáłá:
Własnie go w czoło z łuku wymierzyłá,
Y twarz mu hoyną krwią záfárbowáłá.
Y rękę co beł z rány wywłoczyłá,
Nowem postrzałem przytknęłá do ćiáłá.
Ták zacny Biskup ná woynie z Pogany
Zywot położył od niewieśćiey rány.

* * *

Pálámed názbyt do sławy się kwápił,
Y szedł po szczeblách z przewagą ná mury:
Y iuż wierzch muru rękámi obłápił,
Y nogi dźwigał zá sobą do gury.
Lecz własnie w ten czás, gdy się go ułápił,
W oko mu śiodmy beł wpadł prętkopiory,
Y tyłem wyszedł: Ták nieborak leży,
Przy poimáney umieráiąc wieży.

* * *

Ták tá strzelálá: Ale inszą stroną,
Z nowemi czyny Goffred nástępował:
Y co naywyzszy przed wysoką broną
Jeden postáwił, y z niego szturmował.
Wieżá to bełá ktorą z drzew złożoną,
Co namocnieyszych ták był pobudował:
Ze szłá ná kołách, y zbroyne dźwigałá,
Y wierzchem z murem wysokiem rownáłá.

Co raz to bliżey niosąc lud w się wzięty,
Woienna wieżá pomykáłá kołá:
Y chćiałá iáko okręty z okręty
Ná morskiey woynie spiąć się z murem zgołá.
Lecz obleżeńcy rożne czynią wstręty,
Sięgáiąc bokow y twárdego czołá:
Oszczepámi ią názad odpycháią,
Y kołá tłuką, y ná wierzch ćiskáią.

* * *

Strzały z obu stron ták gęste lećiáły,
Że niebá beło niewidáć przed niemi:
Y tráfiáło się, że się záś wracáły
Wzad odtrącone, drogámi pierwszemi.
Jáko gdy owoc biie niedordzáły
Grad niepogodny, pełno go ná źiemi:
Ták gęsto w ten czás z muru Sárráceni,
Spadáli od strzał, oszczepow, kámieni.

* * *

Bárźiey tám nászy Pogany szkodźili,
Bo rzadko ktory u nich w dobrey zbroi:
Już niemal wszyscy mury opuśćili,
Każdy się oney srogiey wieże boi.
Sam tylko mężny Sułtan w oney chwili,
Ná murze z kilką co mężnieyszych stoi:
Do ktorych Argánt z wielkiem tramem bieży,
Odpieráć gwałtem przystáwioney wieży.

* * *

Y ták dáleko iáko beł tram długi,
Trzymał od muru wieżę ludźi pełną:
Już też Kloryndá do teyże posługi
Zbiegáłá, w zbroię ubrána zupełną.
Wtem lud nász świeży następuiąc drugi,
Ścinał powrozy, co wiśiały z wełną:
Aby ták mury nágie y odkryte,
Látwiey być mogły Táránámi bite.

Wielka ie wieża srodze biłá z gury,
A odespotku rogáte Tárány:
Ze náostátek poczynáły mury
Przeyrzyste w sobie ukázować rány.
Hetman tez iuż beł nie dáleko dźiury,
Y następował do słuczoney śćiány:
A wszystek wielką tarczą się zákrywał,
Ktorey więc rzadko w inszy czás używał.

* * *

Y widźiał dźiurą, kiedy dla obrony
Soliman złáźił, y ná doł zstępował:
Gdźie niebespieczną tramy rozwálony
Mur Chrześćiánom drogę ukázował.
Y że ná gorze Argánt zostáwiony,
Z Kloryndą przeszćia bronić się gotował.
To widząc poczuł serce mężne w sobie,
Skacząc z rádośći wielkiey w oney dobie.

* * *

Y do Sygierá mowę obracáiąc,
Co zá niem inszą tarcz niosł ná rzemieniu:
Podáy mi (práwi) puklerz nie mieszkáiąc,
Lżeyszy y memu znośnieyszy rámieniu.
Chćiałbym wpáść pierwszy ćieszko nie dźwigáiąc,
Po rozwálonem do miástá kámieniu:
Czás iuż, żeby wżdy kiedy co wielkiego
Swiát widźiał po mnie, y co przeważnego.

* * *

Ledwie to wyrzekł, strzałá przylećiáłá,
Y nád kolánem nogę mu przebiłá:
Y ostrem żyły żeleścem porwáłá,
Gdźie bol nawiętszy, y krwią się poiłá.
Żeś mu Kloryndo ranę tę zádáłá,
Ták ich powiáda, ták ich twierdźi śiłá.
Y ieśli w ten dźień miásto się nie wźięło,
Twoiá to správá, y twoie to dźieło.

Ale iákoby nie czuł oney rány,
Niechce zániechác rospoczętey drogi:
Y po kámieniu do dźiuráwey ściány
Bieży, y chromey nie szánuie nogi.
Lecz prętko potem poczuł zmordowány,
Ze nie mogł stąpić, y bol cierpiał srogi:
Ták że rad nie rad musiał ku końcowi,
Przedsięwźiętemu dáć pokoy szturmowi.

* * *

Záczem Guelfowi w on czás roskázował,
Ktory do oney także dźiury godźił:
Aby ná iego mieysce następował,
Aby hetmánił y ludźie przywodźił.
A sam się záraz wrocić obiecował,
Y że ná krotki tylko czás odchodźił.
Ták ná koń lekki odiezdżał wsádzony,
Lecz nie ták, áby nie beł obaczony.

* * *

Skoro ustąpił Hetman pod namioty,
Zárázem woysko znácznie osłábiáło:
Ale Pogáństwu sercá y ochoty,
Y śiły co raz więcey przybywáło.
Sam Mars, y szczęśćie, odmiennemi wroty
Do przećiwney woz strony kierowáło.
Już Chrześćiáńskie miecze iákoś mdleią,
Nákoniec dźwięki trąb sámych słábieią.

* * *

Zgráiá Pogáńska dopiero spędzona,
Znowu ochotnie ná mury bieżáłá:
Płeć białogłowska przykładem wzbudzona
Cney Bohatyrki, ná ktory pátrzáłá,
Z ukasánego gęsty kámień łoná,
Ná Chrześćiáńskie Rycerze ćiskáłá.
Y śmiele ostrey gołych pierśi broni,
Dla lubych murow oczystych nie broni.

A czem się nászy nabárźiey strwożyli,
A serce wźiął lud w mieśćie oblężony:
Y z tey, y z támtey strony obaczyli,
Kiedy ná źiemię Guelf padł uderzony.
Między tyśiącem inszych w oney chwili,
Nálazł go kámień z muru wyćiśniony.
W tenże czás własnie tráfiony poćiskiem
Padł Ráymund, y beł śmierći bárzo bliskiem.

* * *

Y Eustácemu także się dostáło,
Mięso mu w nodze od kośći odbito:
Y tákie szczęśćie woysko w ten czás miáło,
Ze kiedy z muru kámieniámi bito,
Zadne ćiśnienie dármo nie lećiáło,
Lubo rániono, lub kogo zábito.
Argánt srożeie, y szczęśćiem piiány,
Ná uchodzące woła Chrześćiány:

* * *

Jeruzálem to, nie Antyochia,
Nie noc ná wásze złodźieystwá łáskáwa:
Słońce tu teraz iásny dźień rozwiia,
Jnsza tu woyná, insza teraz spráwá.
Ták was to prętko chęć do sławy miia?
Czynićie sobie do Páństw cudzych práwá:
A teraześćie ták rychło ustáli,
Niewieśćiuchowie ná sławę niedbáli.

* * *

Ták mowił, y ták gniewem zápalony,
Grzał się sam w sobie Cyrkászczyk zuchwáły:
Ze mu się zdáło, że plác otoczony
Murámi, iego śmiałośći beł máły.
Y uczyniwszy z gury skok szalony,
Gdźie obálone przeszćia pozwaláły
Mury, wypadał, y ták wypadáiąc,
Solimanowi przymawiał wołáiąc.

Y czás y mieysce Solimanie mamy,
Skutkiem, nie słowy męstwo pokázować:
Sám wynidź zá mur, sám się sądźić damy,
Komu znas dźielność będą przypisować.
Ták rzekł, y záraz niedaleko bramy
Wypadszy dźiurą, ięli nástępować.
Ow gniewem, á ten sromotą wzbudzony,
Y od Argántá w uczćiwe ruszony.

* * *

Niespodźiewánie ná nieprzyiaćiele
Wypadszy, obá mężnie się stáwili:
Tarczy, szyszakow, Táránow ták wiele,
Drábin násiekli, y ludźi nábili:
Ze w onem mieyscu, może ták rzec śmiele,
Z trupow, zbroy, drzewá, gurę uczynili:
Ktorą wysoko podnieśli u dźiury,
Czyniąc bespieczne powątlone mury.

* * *

A Chrześćiánie, co się ubiegáli,
Przez gwałt do piękney murowey korony:
Teraz nie tylko żeby o nię dbáli,
Ale y do swey słábieią obrony.
Już y woiennych czynow odbiegáli,
A nieprzyiaćiel ná lud potrwożony
Smiele náćiera, y tłucze Tárány,
Ze się nie zeydą drugi raz do śćiány.

* * *

Kiedy ták nászy ućiekáli sprośnie,
Y pogánie ie przez pole pędźili:
Sułtan z Argántem ná mieszczány głośnie,
O prętki ogień wołał w oney chwili.
Obá potem dwie zápalone sośnie
Nieśli do wieże, áby ią palili.
Ták więc piekielne śiostry z pochodniámi
Ná świát wychodzą, y trzęsą wężámi.

Tem czásem Tánkred, ktory z swemi Włochy
Zdáleká mieysckich wyćieczek pilnował:
Widząc dwie wielkie zápálone sochy,
Y że Pogánin wieżę opánował.
Záwrácał názad ná czoło lud płochy,
Y z swoiem pułkiem śmiele następował.
Y ták się potkał, że ći co wygráli,
Podawszy tyły znowu ućiekáli.

* * *

Ták Mars odmienne czyniąc dotąd proby,
Kierował dyszel u lotnego wozu:
Już też beł ránny Hetman do tey doby
Przyprowádzony do swego obozu.
Sygier, Baldowin, y insze osoby
Przednieysze stały ná koło przy łożu.
On sam sobie chcąc imo wszystkich zdánie
Strzałę wyćiągnąć, przyłomił ią w ránie.

* * *

Bol wielki ćierpiał y roskazał, żeby
Około strzały rádę uczynili:
Aby głęboko y według potrzeby,
Wyrznąwszy mięso, ránę otworzyli.
Wroććie mię (práwi) rychło do potrzeby,
Co maią czynić niechayby czynili.
To mowiąc nogę wystáwił zárázem,
Y kazał ią rznąć bárwierzom żelazem.

* * *

Erotym stáry, ktory się gdźie brody
Erydán swoie prowádźi, uchował:
Y wszystkie źiołá, y ćiepliczne wody
Znał, y rozumiał: ten go opátrował.
Beł pisorymem wielkiem będąc młody,
Lecz potem tylko Gálená pilnował:
Y porzućiwszy zabáwę z Muzámi,
Leczył choroby śmiertelne z ránámi.

Między wszyztkiemi płácz beł wielki Pány,
Ktorzy widźieli bol, y iego męki:
On się nie trwoży, á wtem ukasány
Doktor doświadcza swey uczoney ręki.
Ale uporney strzały koniec z rány,
Nie chce się ná wierzch ukázáć przezdźięki.
Czásem kleszczámi máca, czásem źiołá
Kladźie, ále nic nie pomogą zgołá.

* * *

Nie zna w swey pracey szczęśćia Mistrz uczony,
Y umieiętność iakoś mu nie idźie:
Wszyscy on iego bol nieuśmierzony
Widząc, mniemaią że mu umrzeć przydźie.
Ale stroż Anyoł żalem poruszony,
Urwał Dyptamu ná wysokiey Jdźie:
Ziela z czerwonem kwiátem dźiwney mocy,
Y napewnieyszey ná rány pomocy.

* * *

Przyrodzenie to sámo ták spráwiło,
Że iest znáiome káżdey dźikiey kozie:
Kiedy ktorey w bok żeleśce tráfiło,
Od rozboyniká strzelcá w gęstey lozie.
Ztem chocia sto mil, y coś więcey było,
We mgnieniu oká Anyoł beł w obozie:
Y wyćisniony sok wlał niewidźiány,
W kubek z lekárską wodą zgotowány.

* * *

Y kęs oleyku z Lidyiskiego stoku,
Y wmięszał wonney Pánáceey źiele:
A skoro w ránę stárzec wkropił soku,
Z swey dobrey woley co widźiáło wiele,
Wyszło żelázo, że wolnego kroku
Mogł użyć, bolu nic nie czuiąc w ćiele.
Krzyknie Erotym, y głosem ták powie:
Nie od mey ręki Hetmánie masz zdrowie.

Nie te ćię proste uzdrowiły źiołá,
Cud ia tu iawnie widzę niewątpliwy:
Y wierzę, że Bog zesłał tu Anyołá,
Ktoryć dał zdrowie, y spráwił te dźiwy.
Wroć się do szturmu: Goffred strętwiał zgołá,
Ale czuiąc się czerstwem boiu chćiwy,
Szyszak na głowę, tarcz ná rámię włożył,
Ktorą rániony niedawno beł złożył.

* * *

Przypadł z obozu pod wysokie mury,
Pod tyśiąc koni iezdy z niem iecháło:
Ziemia się trzęśie, á od wielkiey chmury
Wielkiey kurzáwy, niebá widáć máło.
Co raz to lepiey widźieć było z gury,
Kiedy się świeże woysko przybliżáło.
Z stráchu lękliwi pobledli Pogánie,
On wielkiem głosem trzykroć krzyknie ná nie.

* * *

Swego po wielkiey części náchyleni,
Głos Chrześćianie Hetmáná poználi:
Y wźiąwszy serce znowu poprawieni,
Dáleko płoche Pogáństwo pognáli.
Sułtan y Argánt tylko niestrwożeni,
Jeden drugiego lepiey odpieráli.
Y od Tánkredá strzegli pilnie dźiury,
Ktory szedł gwałtem między zbite mury.

* * *

O tych się naprzod ony Hetman uderzył,
Wszystek we zbroię złoćistą ubrány:
Y wielkiem drzewem Argántá wymierzył,
Ktory stał broniąc rozwáloney śćiány.
Żaden by temu podomno nie wierzył,
Jáko był tęgi raz niewytrzymány:
Brzmi wielki oszczep, Argánt się nie boi,
Y śmiele tarczą zásłoniony stoi.

Tarcz się ná on gwałt wielki otworzyłá,
Ale y zbroiá rázu nie strzymałá:
Bo ruhátyná obiedwie przebiłá,
Y krew łákomie z Cyrkászczyká ssáłá.
Nie czuie Argánt, (ták w niem wielka śiłá)
Y ukrwáwiony wyrwie oszczep z ćiáłá:
Y uderzył iem znowu ná Hetmáná,
Niech się (pry) wroći do swoiego Páná.

* * *

Oszczep się z pomstą wzad wracał zárázem,
Y przez powietrze szedł wiádomą drogą:
Lecz chybił celu, bo przed onem rázem
Umknął się Goffred, y krok stąpił nogą.
A miásto niego krwie chćiwem żelázem
Ráną dał w gardło Sygierowi srogą.
On że umiera, namniey nie żáłuie,
Kiedy swoiego Páná zástępuie.

* * *

Sułtan kamieniem dał w łeb Normándowi,
Własnie ná ten czás, kiedy Sygier zginął:
Nie mogł wytrzymáć tęgiemu rázowi:
Zátoczywszy się, ná źiemię się zwinął.
Już też przyćięzszem beło Goffredowi,
Rzadko go ktory z gory kámień minął.
Atoli przedsię choć z niemáłem trudem,
Ná rozwálinách iuż beł z swoiem ludem.

* * *

Y zrobiłby beł pewnie co wielkiego,
Y krwieby beło rozłało się śiłá:
Ale noc z progu wyszłá podźiemnego,
Y świát czarnemi skrzydłámi okryłá.
Y ná śmiertelne narodu ludzkiego
Gniewy, z swych ćieniow wędźidło włożyłá:
Ták że odstąpić musiał od tey správwy,
Táki miał w on czás koniec on dźień krwáwy.

Lecz niż odstąpił, co wielka w Hetmánie,
Kazał nieść názad w szturmie obrážonych:
A potem pilne uczynił stáránie,
Koło woiennych czynow potłuczonych.
Wieże, ktorey się nabárźiey Pogánie
Bali, od mistrzow zrobioną uczonych:
Názad prowádźi choćia náruszoną,
Y w wielu mieyscách bárzo powątloną.

* * *

Ze złego rázu zaraz ią uwodźi
W bespieczne mieysce, okrom żadney zwłoki:
Ale iáko łodź ná morskiey powodźi,
Co pełnem żaglem nurt śiecze głęboki,
Kiedy bespieczna do portu przychodźi,
O skáłę łamie rostrącone boki:
Abo więc iáko zawodnik ćwiczony,
Przed sámem kresem pádnie powálony.

* * *

Ták własnie w on czás wieża szwánkowáłá,
Gęstem kámieniem bárzo potłuczona:
Y obie zádnie kołá połamáłá,
Y iść nie mogłá dáley powálona.
Ale piechotá pod nię stęplowáłá
Tramy, ná ktorych ległá záwieszona:
Aż nauczeni Mistrzowie przybyli,
Ktorzy koło niey z pilnośćią robili.

* * *

Surowie ćieslom Goffred roskázował,
Aby przede dniem kołá zgotowáli:
Potem po drogách straży zostáwował,
Y ludźie ktorzy więze pilnowáli.
Tem czásem Krol mur zbity oprávował,
Y słyszeć beło, iáko się mięszáli:
Bo w mieśćie tyśiąc pochodni świećiło,
Od ktorych niemal wszystko widźieć było.

KONIEC PIEŚNI IEDENASTEY.

PIESN DWANASTA.

ARGUMENT.

Kloryndá słucha o swem urodzeniu,
Potem wyszedszy wieżę zápaliłá:
Tám się z Tánkredem w nocnem zszedszy ćieniu
Ná poiedynku żywotá pozbyłá.
Ale przed śmierćią przy ostátniem tchnieniu,
Náwroćiłá się, y Krztem się omyłá.
Tánkred zábitey od siebie żáłuie,
Cyrkászczyk się mśćić iey śmierći ślubuie.

Noc bełá, ále ludźie zmordowáni
Z oboiey strony, do tych dob nie spáli:
Tu od Hetmáná żołnierze przebráni
Około wieżę straż odpráwowáli.
Tám záś Poganie swe niesprácowáni
Zwątlone mury, pilnie oprawiáli.
A gdźie beł ktory ránny álbo chory,
Słano Bárwierze, y mądre Doktory.

* * *

Już beło chorem opatrzono rány,
Już się y dźiura byłá zapráwiłá:
Już y co słábszey poprawiono śćiány,
A noc głęboka na spánie rádźiłá.
Ale Kloryndá ná sen pożądány
Pozwolić niechce, y wielkie myśliłá
Dźiełá, gdy wszyscy poszli na swe wczásy,
Y ták do siebie mowi w one czásy.

Ey toć się wżdy dźiś dobrze popisáli
Z mężnem Sułtanem, Argánt nátárczywy:
Kiedy sámi dwáy tylko wypadáli
Ná wszystko woysko, y robili dźiwy.
A o mnie co też będą powiádáli?
Użyłá (práwi) z dáleká ćięćiwy
Dosyć szczęliwie: To te będą mowy,
Coz? czy nie mogą więcey białegłowy?

* * *

Toć beło lepiey gdźie między lásámi
Strzeláć ielenie, ábo dźikie świnie:
Niźli się mięszáć między Rycerzámi
Wielkiemi, mdłey płći, y lichey dźiewczynie.
Białogłowskiemi nie gárdzę szátámi,
Słusznie ich godná tá, ktora ták słynie.
To mowiąc ná rzecz wielką się udáłá,
Y Argántowi o niey powiadáłá.

* * *

Serce mię ná coś wielkiego podwodźi,
Że to Bog czyni, ták sobie ráchuię:
Lub też zá własną człowiek wolą chodźi,
Coś niezwykłego sobie obiecuię.
Widźisz tę wieżę, co ták miástu szkodźi,
Ná tę się z ogniem y mieczem gotuię.
Ták myślę, ták chcę, y tego potrzebá,
Niech o ostátku pieczą máią niebá.

* * *

Abo ią spalę, ábo ią posiekę,
A ieśli się też názad nie ukażę:
Tobie swe Pánny oddaie w opiekę,
Z stárcem ktorego iáko oycá ważę.
Pomni to, proszę, coć dopiero rzekę,
Że do Egiptu odesłáć ie każę:
Tá płeć, y ten wiek, nie ma żádney mocy,
Y godźien wszelkiey Argáncie pomocy.

Zdźiwił się Argánt przeważney dźiewicy,
Y poczuł w sercu chęć ná wielkie czyny:
Ty sámá poydźiesz? A my nikczemnicy
Między podłemi mamy zostáć gminy?
Y ták ma Argánt tylko ná ulicy
Pátrzáć ná dymy, y twoie perzyny?
Nic z tego: Jáko beł z tobą w potrzebie,
Ták go weź ná śmierć, y sławę do siebie.

* * *

Y ia frymárczę zá sławę żywotem,
Y dla niey zdrowie rad położę wszędźie.
Oná záś: Swiadczy twa dźiśieysza o tem
Wyćieczká, ktora wiecznie słynąć będźie.
Jam białagłowá, y zginęli potem,
Mną máło miástu, álbo nic ubędźie:
Ale gdźiebyś ty miał polec, (strzeż Boże)
Kto murow zbroni? kto miástu pomoże?

* * *

Argánt iey ná to krotko odpowiedźiał,
Nie może to bydź, prozne twoie mowy:
Y bez ćiebie tám drogę będę wiedźiał,
Chceszli mię też wźiąć zsobą, iam gotowy.
Wtem zgodnie poszli gdźie Krol w rádźie śiedźiał,
Gdźie z niem rádźiły stársze mądre głowy.
Kloryndá pocznie: Słuchay co myślemy,
Y przyimi z łáską, Krolu, coć powiemy.

* * *

Argánt tę wieżę spalić chce, y ná tem
Mieyscu, czynić tę obietnicę głośną:
Ja przy niem będę, czeka tylko zátem,
Ze się pokłádą, y że ludźie posną.
Krol płákał długiem obćiążony látem,
Y mowę do nich uczynił żáłosną.
Jeszcze chcesz Boże sług swoich rátowáć,
Jeszcze to wcále Krolestwo záchowáć.

Y potrwa pewnie, kiedy ludźie tákie,
Tákiego sercá, y tákiey mam ręki:
A ty, o zacna paro ludźi, iákie
Masz mieć odemnie nagrody, y dźięki?
Będą te wásze dźielności iednákie
Podáwáć świátu, wieczney sławy dźwięki.
To sámo wielka nagrodá ná świećie,
Lecz y odemnie część páństwá weźmiećie.

* * *

To mowiąc stárzec zálewał się łzámi,
Y z płáczem w głowę oboie cálował:
Ale Soliman, co śiedźiał z rádámi,
Wielką z tey správy zazdrość pokázował.
Y ia nie dármo miecz noszę, y zwámi
Poydę, y tu (pry) nie będę proznował.
Kloryndá ná to: O Krolu, o Pánie,
Poydźiemli wszyscy, kto z tobą zostánie?

* * *

Już się chćiał ozwáć Argánt niećierpliwy,
Ze niechćiał z niem bydź ná tę drogę zgodny:
Ale uprzedźił, y wzrok Krol szedźiwy,
Do Solimaná obrośił łágodny.
Na każdem mieyscu Rycerzu cnotliwy
Pokázowałeś, ześ sobie podobny:
Y ná naygorsze rázy záwżdy śmiele
Szedłeś, y biłeś swe nieprzyiaćiele.

* * *

Y wiem, żebyś mogł co godnego správić
Tey wielkiey sławy, ktorą mász ná świećie:
Ale wżdyć kogo muszę z was zostáwić
Przy sobie, ktorzy dźielnośćią słyniećie.
Nákoniec y tych niechćiałbych wyprávić,
Bo wiem iáko wy krwie nie szánuiećie:
Kiedyby się kto inszy tego ważyć,
Y ná ták wielki chćiał się czyn odważyć.

Więc iż po wszystkich stronách iáko wiemy
Gęsta straż wkoło wielkiey wieże chodźi:
Y trochą ludźi nic nie uczyniemy,
Woysko też wszystko wywieść się nie godźi.
Tá para, co się iáko to słyszemy
Tego chce podiąć, niech ná to wychodźi,
Ktora tákich dźieł nie raz dowodźiłá:
Y ktorą może kłáść zá inszych śiłá.

* * *

A ty, ták iáko Krolowi należy,
W bramie proszę ćię, bądź gotow z inszemi:
Ze kiedy ći wzad poydą, y ná wieży
Uyrzymy ognie z dymámi gęstemi.
Gdźie nieprzyiaćiel w pogonią pobieży,
Ty ich rátuiesz z rotámi świeżemi.
Ták się Krolowi koniecznie to zdáło,
Ale Sułtaná przedsię to bolało.

* * *

Przymowił się też Jzmen do tey spráwy,
Lepiey (powiáda) że pozniey wyndźiećie:
A ia wtem śiárki, y insze przyprávy
Zgotuię, ktore zsobą ponieśiećie.
Przeto czekayćie odemnie odprávy,
Y straży spiące pręcey ták naydźiećie.
Podobáło się Jzmenowe zdánie,
Y rozeszli się, pozwoliwszy ná nie.

* * *

Kloryndá zátem zwyczáyny złożyłá
Szyszak, y zbroię srebrem nábiiáną:
A inszą ná się niezwykłą włożyłá,
(Co iuż beł zły znák) czarno smálcowáną.
Zeby się ná niey w nocy nie świećiłá,
Tusząc ták łátwiey udáć się nieznáną.
Był przy niey Arset ktory ią wychował,
Y práwie z pieluch dotąd iey pilnował.

Ten kędykolwiek iedno się udáłá,
Wszędźie szedł zá nią láty obćiążony:
A widząc że się niezwykło ubráłá,
Postrzegł że w pole wyniść chćiáłá z brony.
Y przez życzliwość ktorą po niem znáłá,
Y przez śiwy włos ná niey wysłużony:
Prośił, áby się ná to rozmyśliłá,
Ale dáremna iego prośbá byłá.

* * *

Potem rzekł: Jż ćię prosby nie obeszły,
Y tákeś ná złe swoie zátwardźiáłą:
Ześ y ná te łzy, y ná wiek moy zeszły,
Y ná tę ràdę życzliwą niedbáłą.
Powiemći teraz twoy stan, y wiek przeszły,
Od tego czásu kiedyś bełá máłą:
Wszystko prawdźiwie, wszystko nieomylnie,
Zátem ták pocznie: A tá słucha pilnie.

* * *

Synáp bogáty szczęśliwie spráwował
Ethyopią, z inszemi kráiámi:
Ktory obrzędy, y wiárę záchował
Máryey Syná, z swemi Murzynámi.
Gdźiem Pogáninem będąc posługował
Krolowey, między biáłemi głowámi
Za niewolnika, ktora czarna byłá,
Ale gładkośći czarność nie wadźiłá.

* * *

Krol ią miłował, ále się z miłośćią,
Ták w niem zawisna boiaźń pomięszáłá:
Ze choć słynęłá cnotą y czystośćią,
Zupełney wiáry u niego nie miáłá.
Tem niedowiárstwem, tą zięty zazdrośćią,
Chćiał, żeby záwsze w zámknieniu mieszkáłá.
Oná to wszystko co Krol chćiał czyniłá,
Y z gmáchu piędźią nigdźiey nie chodźiłá.

Tám obrázámi między nabożnemi,
Biała dźiewicá bełá málowána:
Ktora okrutnie powrozy mocnemi,
U twárdey skały bełá uwiązana.
Smok do niey bieżał, y kiedy ostremi
Kłámi od niego miáłá być szárpána:
Ostrem go Rycerz przepędźił żelázem,
Przedtem się często madláła obrázem.

* * *

Wtem dźiećmi zászłá, y bywszy brzemienną,
Ciebie dźiećinę białą urodźiłá:
A widząc bárwę w dźiećięćiu odmienną,
Niezwykłemu się cudowi zdźiwiłá.
Y potem troską strapiona codźienną,
Płod ten przed Krolem táić umyśliłá:
Obawiáiąc się, áby z twey białośći
Zle nie rozumiał o iey státeczności.

* * *

Y ná twe mieysce inszego szukáłá,
Boiąc się Krolá, dźiećięćia czarnego:
A iż tám żywá duszá nie mieszkáłá,
Okrom białychgłow, okrom mnie sámego.
Mnie ćię ná ten czás beze krztu oddáłá,
Swiádomá moiey wierności, ktorego
Ták prętko dźiećiom nigdy tám nie dáią,
Rożny wtem zwyczay w támtych kraiach máią.

* * *

Oddáłá mi ćię z płáczem, y zlećiłá
Dáleko ćię gdźie zánieść ná chowánie:
A kto wymowi? iáko się trapiłá
Jákie ostátnie beło iey żegnánie.
Całowáłá ćię, łzámi twarz moczyłá,
Powtarzáiąc swe smętne nárzekánie.
Nakoniec w niebo weyrzawszy ták rzecze:
O ty, co skryte myśli wiesz człowiecze:

Jeślim chowáiąc niezmázáne łoże,
Przećiw małżeńskiey nie zgrzeszyłá wierze:
O się nie mowię: Wiem ná się moy Boże
Jnsze swe grzechy, ále nie w tey mierze.
Zá niewinniątkiem proszę, co nie może
Od swoiey własney mleká mieć máćierze:
Niech żywie mátce podobne czystośćią,
Zá twoią łáską y dobrotliwośćią.

* * *

Y ty Rycerzu święty, coś ná srogą
Smierć, nie dał dźiewki niewinney smokowi;
Jeśli co z lichem nabożeństwem mogą
Stáwiáne świece twemu obrázowi.
Weś w swą opiekę dźiećinę ubogą,
Bądź niewinnemu obrońcą wiekowi:
To rzekszy zmilkłá, y mowę záwárłá,
Y od żáłośći ledwie nie umárłá.

* * *

Ja przyiąwszy ćię, niosłem ćię z kłopotem
W máłey nákrytey skrzynce w one czásy:
Y tákem umiał potráfić, że o tem
Nic niewiedźieli, y obcy, y nászy.
Szedłem nieznány polmi, ále potem,
Kiedym wszedł ztobą między gęste lásy:
Uyrzę że Lwicá prosto do mnie bieży,
Gębę rozdźiewia, á grzbiet ostry ieży.

* * *

Jam ućiekł ná dąb, á tyś porzucona
Odemnie w trawie pod drzewem leżáłá:
Oná przypádnie, y zástánowiona,
Strásyliwą głowę nád tobą trzymáłá.
Potem postawszy máło coś zmiękczona,
Już okiem ná ćię łáskáwem patrzáłá:
Y chropáwem ćię lizáłá ięzykiem,
Ktoby rzekł? że iest litość w źwierzu dźikiem.

Tyś iey małemi straszney ręczynámi
Sięgáłá gęby, y ná nieś się śmiałá:
Wtemći się swemi zniżyłá pierśiámi,
Ssáłáś ią zátem, gdy nad tobą stałá.
A iá zákryty między gáłęźiámi
Strętwiáłem, widząc iáka się rzecz działá:
A skoro ćię swem mlekiem nákarmiłá
Poszłá, y gęstem lásem się okryłá.

* * *

Wźiąwszy ćię potem szedłem dáley w drogę,
Y do miasteczká tráfiłem iednego:
Gdźiem mámki dostał, ktora ćię niebogę
Karmiłá, godną chowánia inszego.
Támem rok cały ile pomnieć mogę,
Y połowicę wymieszkał drugiego.
Tyś iuż niektore słowá wymáwiáłá,
Y postępowáć iużeś poczynáłá.

* * *

Ale kiedy mi dobrze náchylony
Rádźił ná pokoy wiek w podeszłem leće:
Złotem od mátki twoiey obćiążony,
Ták żem mogł nędze nie ćierpieć ná świećie,
Porzućić żywot błędny uprzykrzony,
Y żyć w oyczystem myśliłem powiećie:
Y z przyiaćioły záżyć lepszych czásow,
Wetuiąc przeszłych trudow y niewczásow.

* * *

Ták do Egiptu do swoiey rodźiny,
Ztobam się záraz puścił w oney chwili:
Ale nád rzeką wypadszy z krzewiny,
Ze wszystkich mię stron zboyce záskoczyli.
Coż było czynić? porzućić dźiećiny
Niechcę, mnieby też iuż beli żábili.
Puścíłem się wpław iedną ćię trzymáiąc,
A drugą ręką iákom mogł pływáiąc.

Ze dzdżá, y z długiey rzeká niepogody
Wezbráłá bełá, y bystro bieżáłá:
A kiedym przyszedł gdźie naygłębsze wody,
Zákręćiwszy mię, ná doł mię porwáłá.
Prozno iuż było uść widomey szkody,
Upuścíłem ćię, ále ćię trzymáłá
Y wyniosłá ćię wodá ná brzeg niski,
Jam też wypłynął bywszy śmierći bliski.

* * *

Noc zátem przyszłá: iam się też położył,
A kiedy beło o pułnocy práwie:
We snie ogromny Rycerz ná mię złożył
Drzewo, w surowey y groźney postáwie.
Czemuś krzest dotąd dźiećięćiu odłożył?
Jákoć zlećiłá mátká ná odprawie.
Okrzćisz ią (práwi) Bog ták chce koniecznie,
Y ia iey mam być opiekunem wiecznie.

* * *

Jam y dźikiemu litość dał źwierzowi,
Y bystrey wodźie, y bronię iey wszędźie:
A ty, gdźie temu nie uwierzysz snowi,
Ktoryć Bog zsyła, obaczysz coć będźie.
Wtem wstawszy, ztámtąd wyszedłem ku dniowi,
O krzćie nie myśląc, bom został w tem błędźie:
Zem we snie tylko iákąś widźiał márę,
Y swam rozumiał bydź práwdźiwą wiárę.

* * *

Táiłem tego, tyś się uchowáłá
Pogánką zátem: y tąś dotąd byłá,
Y śmiáłąś potem y mężną zostáłá,
Y przyrodzenieś y płeć zwyćiężyłá.
Sławyś y Páństwá dźielnością dostáłá,
Y sámá pomnisz iákoś potem żyłá:
Y żem ná wszystkich woynách w káżdey dobie,
Był iáko oćiec, y sługá przy tobie.

Ale záś wczorá kiedy miáł świt rány
Wychodźić ná świát, swem promieniem złotem:
We snie on pierwszy Rycerz rozgniewány,
Stánął przedemną, y ták mowił potem:
Już czás nádchodźi nie záhámowány,
Ze się Kloryndá rozstáć ma z żywotem:
A choćiaś niechćiał, gwałtem przedsię oná
Poydźie do niebá, y będźie zbáwioná.

* * *

Wtem zniknął: A ty uważ to u śiebie,
Zeć coś strásznego te sny obiecuią:
Y niewiem iák to tem poydźie ná niebie,
Co swych rodźicow wiárę przeszláduią.
Przeto, ieśli co łáski mam u ćiebie,
Zostáń, y te łzy niechay cię hámuią.
Wtem umilkł: Z strácheм Kloryndá słuchałá,
Bo táki drugi nie dáwno sen miáłá.

* * *

Potem ták rzekłá: Tę wiárę chcę chować,
Ktorą rozumiem bydź dotąd práwdźiwą:
Y w ktoreyeś mię ty sam chćiał uchować,
A teraz ią chcesz udać zá wątpliwą.
Więc dla boiáźni niechcę odstępować
Rzeczy záczętych, nie tákem lękliwą:
Abym się ná strách iáki oglądáłá,
Choćbym też dobrze umrzeć záraz miáłá.

* * *

Potem go mową łágodną ćieszyłá,
A iż iuż ich czás przychodźił wyprávy:
Z Cyrkászczykiem się odszedszy złączyłá,
Co towárzyszem miał bydź do tey spráwy.
Dźielność co przez się sámá się kwápiłá,
Jzmen zágrzewa, y dawá przyprávy
Do zápálenia z śiarki uczynione,
Y świece skryte, y w miedźi zámknione.

Wychodzą spiesznie przez nocne ćiemności,
Z miástá pospołu one dwie osobie:
Y pełni dotąd szczęśliwey śmiałości,
Już blisko wieże beli w oney dobie.
Serce w nich skacze od wielkiey rádośći,
Y nie może się zmieśćić sámo w sobie:
Ná krew ich chćiwość podwodźi nie syta,
Wtem straż postrzeże, y o hasło pyta.

* * *

Ci przedsię w ćiemnem idą ćicho mroku,
Straż w lármę biie, hásła iuż nie bádа:
Ale ona pará ćicho więcey kroku
Nie niesie, y iuż więcey się nie skrada.
Jáko więc piorun Jowiszow z obłoku
Razem się błyska, y grzmi, y wypada:
Ták y ći rázem do straży skoczyli,
Razem nátarli, rázem się przebili.

* * *

Przez tyśiąc mieczow ostrych prześć musieli,
Y to, ná co się událi, spráwili:
Do przypraw ktore od Jzmená mieli
Nágotowáne knoty przyłożyli.
Záiął się ogień, y ták iáko chćieli,
Ogromną wieżę iemi zápalili:
Płomień się szerzy, gęste dymy wstáią,
Y iásne twarzy gwiazdom zásłániáią.

* * *

Widáć, á ono okrutne płomienie
Jdąc ku niebu z dymem się mieszáią:
A z ktorey strony wiátr ná wieżę wienie,
Błędne się ognie do kupy zbieráią.
Swiátłá niezwykłe, nocne pędzą ćienie,
Y Chrześćiány bláskiem urażáią:
Gdźie poyrzysz wszędźie strách między námioty,
Giną w godźinę ták długie roboty.

Tem czásem rączo prosto ku ogniowi,
Hufiec z obozu bieżał wypráwiony:
Cyrkászczyk woła, y grozi ludowi,
Ten ogień wászą krwią będźie zgászony.
Ale niemogąc wytrzymáć gwałtowi,
Zlekká uchodźił z Kloryndą ściśniony.
Jáko po deszczu wielkiem potok zbiera,
Ták ná nich co raz więtszy lud náćiera.

* * *

W otwártey bramie z ludźmi przebránemi
Czekał Soliman, ná nich w oney chwili:
Przed pogoniámi nieprzyiaćielskiemi,
Uwieść ich w miásto gdźieby się wrośili.
Już beli zá prog uszli, lecz zá niemi
Wpádli ći w bramę, ktorzy ie gonili:
Ale ich wypárł Sultan, y wzwod spuścił,
Y sámey tylko Kloryndy nie puścił.

* * *

Ták wszyscy twierdzą iednostáynie o tem,
Ze własnie kiedy wzwod beł podnieśiony:
Zágoniłá się zá Ardeliotem,
Ktory iey zádał raz niepostrzeżony.
Y Argánt tego nie widźiał, że potem
Wrośiłá się wzad, y wypádłá z brony.
Bo y noc bełá, y w oney pogoniey
Y mieszáninie, nie mogł wiedźieć o niey.

* * *

A skoro swoy gniew y serce záżárte
W Chrześćiáńskiey krwi w on czás zápráwiłá:
Widząc że bramy y miásto záwárte,
Po wielkiey częśći o sobie zwątpiłá.
Ale nadźieią płochą myśli wspárte,
Prętko ná nowy fortel obrośiłá:
Za iednego się z ich woyská udáłá,
Y między nié się nieznána wmięszáłá.

Potem iáko wilk co stádo rozbiie,
Dopadszy lásu, prętko z oczu ginie:
Jdźie ukradkiem, y łátwie się kryie
W nocy, y w oney wielkiey mieszáninie.
Lecz Tánkredowi przedsię się nie skryie.
Ten widźiał, kiedy w oneyże godźinie,
Ardeliotá przed bramą zábiłá,
Y pilnował iey, gdźie się obrośiłá.

* * *

Mniema, że to mąż iáki doświádczony,
Nie myśląc áby białą płćią bydź miáłá:
Chce się z nią spátrzyć, á tá z iedney strony
Obbiegszy, w miásto drugą bramą chćiáłá.
Y niż iey Tánkred dognał zápędzony,
Ná chrzęst się iego zbroie obeyrzáłá:
Co práwi nieśiesz? On iey ná to powie:
Y śmierć, y woynę: Ona záś odpowie.

* * *

Jeśli chcesz śmierći, y tá ćię náćieszy,
Damći ią wnetże. Wtem stánęłá wkroku:
On widząc że beł nieprzyiaćiel pieszy,
Zárazem z śiodłá w prętkiem wypadł skoku.
Ták zbywszy koniá, do niey się pospieszy,
Y oboie szli po miecze do boku:
Y ták się zwárli, iáko srodzy byey,
Przy swey się lubey bodą iáłowicy.

* * *

Jásnego słońcá godne to czynienie
Wásze tám beło, o Rycerze wźięći:
A ty, o nocy, coś ná nié swe ćienie,
Y płaszcz z zawisney kłádłá niepámięći:
Dopuść mi, proszę, y day pozwolenie,
Aby mem piorem beli z niey wyięći.
Niechay trwa wiecznie sławá ich dźielności,
Y niech się świeći pámięc twey ćiemności.

Nie dybią ná się, áni się składáią,
Nic iem szermierskie sztuki nie pomogą:
Pełneli rázy, skąpęli bydź máią
W ćieniu, y w gniewie rozeznáć nie mogą.
Słyszeć ze miecze straszny dźwięk dawáią,
A żaden kroku nie ustąpi nogą:
Tá stoi w mieyscu, á ręką prácuie,
Co raz nowy sztych, y ćięćie znáyduie.

* * *

Obelżenie gniew do pomsty podwodźi,
Pomstá przydawa potem obelżenia:
Ztądże iem záwżdy do nowych przychodźi
Przyczyn do ćięćia, boycow do kwápienia.
Mięsza się bitwá, co raz ćieśniey chodźi,
Już iem nie służą miecze do czynienia:
Biią się srodze wzaiem głowicami,
Tłuką się hełmy, tłuką się tarczámi.

* * *

Trzykroć ią ścisnął, trzykroć tákże oná
Wydárła mu się, z węzłá ták mocnego:
Ktorym nie bełá z miłośći ściśnioná,
Lecz z nieprzyiáźni y gniewu wielkiego.
Znowu do mieczow poszli, iuż ránioná
Y oná, y on, iuż y tchu sámego
Ledwie iem stáie. Potem się cofnęli,
Aby po wielkiey pracey odpocznęli.

* * *

Ták ná mieczowey wspárszy się głowicy,
Pátrzáli ná się, tá z tey, ow z tey strony:
Kiedy Apollo swoiemu woźnicy
Nieść kazał ná świát dźień świátłem pleciony:
Widźi krwie śiłá Tánkred ná dźiewicy,
Cieszy się hárdy, że mniey obrázony.
O ludzkie myśli, głupie to czynićie,
Ze się zá ládá szczęśćiem unośićie.

Z czego się ćieszysz o Tánkredźie? czemu
Chełpisz się szczęśćiem omylnem piiány:
Wrychle zwyćięstwu nierad będźiesz swemu,
Y będźiesz płákał tey krwie, y tey rány.
Chwilę się milcząc, on iey, oná iemu
Przypátrowáli sobie ná przemiány.
Nákoniec Tánkred ozwał się z swą mową,
Pytáiąc kto beł, y iáko go zową.

* * *

Spolne to (práwi) nieszczęśćie spráwuie,
Ze nászę dźielność pokrywa milczeniem:
A iż nam zły los sławę odeymuie
Słusznie nábytą, ták mężnem czynieniem:
Proszę ćię (ieśli gniew prośbę przyimuie)
Powiedz mi twoy stan, z twem własnem imieniem:
Niech wiem, lub przegram, lub wezmę zwyćięstwo,
Kto śmierć ozdobi, álbo moie męstwo.

* * *

Oná mu ná to: Jmieniá moiego
Nie będźiesz wiedźiał, iuż ćię to omyli:
Dosyć masz ná tem, że widźiś iednego
Y tych dwu, co wielką wieżę zápalili.
Hárda odpowiedź Rycerzá zacnego
Ták uráziłá, bárzo w oney chwili:
Ze do niey znowu wielkiem pędem skoczył,
Aby się zemścił, y miecz w niey omoczył.

* * *

Wraca się iem gniew w sercá zaiątrzone,
Choć się káżdy znich bárzo słábem czuie:
Náuká zá nic, śiły iuż zemdlone,
A ná ich mieysce wśćiekłość nástępuie.
O iáko wielkie, y niewymowione
Rány miecz czyni, gdźie iedno záymuie:
W zbroi y w ćiele, á że żywot ieszcze
Nie wyszedł, gniew mu w sercu czyni mieysce.

Jáko Oceán choć wiátry ustáły,
Ktore go z gruntu dopiero wzburzyły:
Długo nadęte trzyma swoie wáły,
Niżli swoy strászny gniew uspokoiły.
Ták y ci, choć iuż wszystkie osłábiáły,
Choć w nich upadły sprácowáne śiły:
Swą popędliwość pierwszą záchowuią,
Y wielkiem gwałtem ná się nástępuią.

* * *

Ale iuż przędzę Párká nteużytą,
Kloryndźinego żywotá zwiiáłá:
Pchnął ią w zánádrze Tánkred, y obfitą
Miecz utopiony krew wytoczył z ćiáłá.
Y zmoczył złotem koszulę wyszytą,
Ktorą pánieńskie piersi sznurowáłá:
Czuie, że ią iuż nogá ledwie wspiera,
Y ze iuż mdleie, y że iuż umiera.

* * *

Jdźie zá szczęśćiem zwyćięzcá surowy,
Y sztych śmiertelny pędźi między kośći:
Oná konaiąc rzekła temi słowy,
Zwykley ná twarzy nie trácąc śmiáłośći:
Ktorą znáć, że w niey duch správował nowy,
Duch skruchy, wiáry, y świętey dufnośći.
Ze choć Pogánką zá żywotá byłá,
Umieráiąc się áto nawroćiłá.

* * *

Odpuśćći Boże, áto masz wygráną,
A ty też, proszę, odpuść moiey duszy:
Proś Bogá zá nię, y grzechem spluskáną
Oczyść krztem świętem, y zbroń od pokusy.
Tą żáłośćiwą, tą niespodźiewáną
Prośbą iey Tánkred zárázem się ruszy:
Y wewnątrz żalem okrutnem dotkniony,
Umarza gniewy, y płácze zmiękczony.

Do przezroczystey pobieżał krynice,
Ktora z przyległey gory wynikáłá:
Y w hełm porwawszy wody, do dźiewice
Wrácał się, ktora iuż dokonywáłá.
Kiedy iey dotąd niepoznáne lice
Odkrył z szyszaká, ręká mu zádrżáłá:
Pozna ię záraz, y iáko słup stánie,
O nieszczęśliwe, y przykre poznánie.

* * *

Nie umárł záraz, bo wszystkie swe mocy
Zebráne, sercá pilnować wyprawił:
Y dusząc w sobie żal, koło pomocy
Swiętey się wszystek ná on czás zábáwił.
Smiech wdźięczny piękne wydawáły oczy,
Skoro Krzest święty cny Rycerz odpráwił:
Y ták się zdáło iákoby mowiłá,
Niebom ośięgłá, niebám dostąpiłá.

* * *

Máło co pierwszey stráćiwszy pięknośći,
Jáko lilia, białą bárwą bládłá:
Ná iásne niebo, zda się że z litośći,
Gdy w nie pátrzáło, czarna chmurá pádłá.
A nie mogąc iuż mowić, życzliwośći
Znák zimną rękę ná Rycerzá kłádłá.
Ták piękna dźiewká w on czás umieráłá,
Ze kto niewiedźiał rozumiał że spáłá.

* * *

On widząc ią iuż umárłą, strapiony
Siły niedawno zebrane rospuśćił:
Z ktorych ták nagle będąc obnażony,
Władzey nád sobą żalowi dopuśćił.
Ten w żywot w małem mieyscu utáiony,
Y w twarz, y w zmysły, śmierć zárázem puśćił.
Mdleie, trupowi rowien káżdą správą,
Bárwą, milczeniem, y krwią, y postáwą.

Y pewnieby beł żywot rozgniewány
Gwałtem się wydárł z śmiertelnego ćiáłá:
Y w towárzystwie szedł nieutrzymány,
Z szlachetną duszą co go uprzedzáłá.
Ale z tráfunku tám beł nádiechány
Od iedney roty, co wody szukáłá:
Tá wźięłá dźiewkę, y Rycerzá cnego
W niey umárłego, w sobie źle żywego.

* * *

Rothmistrz z dáleká gdy się rozedniáło,
Poznał po zbroi Kśiążę Chrześćiáńskie:
Uyrzał też przytem martwey dźiewki ćiáło,
Okrutną ráną przebite Tyrańskie:
Y niechćiał áby ná pokarm zostáło
Wilkom, choć mniemał, że beło Pogáńskie:
Ale kazał wźiąć sługom ćiáłá obie,
Y do obozu zánieść ie ná sobie.

* * *

Bohátyr ránny pomału nieśiony,
Nie czuie, co się koło niego dźieie:
Ale iż żywot beł w niem zatáiony,
Znáć po stękániu, i że ieszcze źieie.
Tá zás iáko słup leżąc z drugiey strony,
Zadney żywotá nie dawa nádźieie.
Ták ié ná on czás pospołu nieśiono,
Ale ie w rożnych namiećiech złożono.

* * *

Gromádá zátem iego sług życzliwa,
Do rożnych posług zarázem się miáłá:
Już też y mdły wzrok, y myśl obłędliwa,
Lekárskie ręki znać w niem poczynáła:
Jednák rozeznáć nie mogła wątpliwa
Długo, ieśli się wrośiłá do ćiáłá.
Pátrzy po stronách, nákoniec poznawa,
Y czás, y mieysce, y słyszeć się dawa.

Y żyie ieszcze? y świátłość słoneczna,
Y ten mię ieszcze widźi nieszczęśliwy
Dźień, co świádectwo (o sromoto wieczna)
Wydawa ná moy żywot niecnotliwy.
A ty, o ręko sroga y bezecna,
Ktoraś uczynek zrobiła brzydliwy:
Weś mi co pręcey zá grzech popełniony
Zywot, y Bogu, y ludźiom wzmierźiony.

* * *

Miecz śmiertelnemi nápuszczony iády,
Wraź mi nagłębiey w serce między kośći:
Czy zá pobożność masz to z iákiey rády?
Niechćieć mi skończyć śmierćią tey żáłośći.
Y ták żyć muszę? y między przykłády,
Być pamiętnemi nieszczęsney miłośći.
Zá grzech ták wielki ná plugáwą duszę,
To tylko iest kaźń godna, że żyć muszę.

* * *

Zyć muszę záwżdy w ustáwicznem błędźie,
Troski y wieczne ćierpiąc niepokoie:
Cień mię nakoniec własny strászyć będźie,
Wymawiáią mi záwżdy grzechy moie.
W słońce bespiecznie nie poyrze, y wszędźie
Sumnienie będźie męki miáło swoie.
Bać się sam siebie, y przed swą osobą,
Záwżdy się kryiąc, záwżdy będę zsobą.

* * *

Ale niestetysz, gdźiesz się wżdy podźiáło
Jey czyste ćiáło? czyli co zdrowego,
Od moiey wśćiekłey ręki w niey zostáło,
Rozszarpano iest od źwierzu dźikiego.
Droga potráwá, nieszczęśliwe ćiáło
Z ćiebie się stáłá z szaleństwá moiego:
Ná ktore mię noc (o żáłosne czásy)
Naprzod, á potem źwierz podwiodły lásy.

Jednák, ieśliś iest gdźiekolwiek ná źiemi,
Ze ćię gdźie naydę, iestem tey otuchy:
Ale ieśli swe członkámi twoiemi
Zwierzowie głodni obkarmili bezuchy:
Abym tylko mogł pospołu być z niemi,
Niechay mię pożrą, y w lás niosą głuchy.
Szczęśliwy u mnie grob będźie, co obie
Ciáłá w się przyimie, y schowa ie w sobie.

* * *

Ták sam nárzekał z sobą utrapiony,
Słudzy wtem rzekli, że to ćiało mieli:
Zá temi słowy wzrok wypogodzony,
Y odmieniony wszyscy w niem widźieli.
Y choć ták chory, y ták beł zemdlony,
Wstał o swey mocy znienagłá z pośćieli:
Y ledwie mogąc przestąpić przez progi,
Pomału chore wlokł zá sobą nogi.

* * *

A skoro ręki niepobożney správwę,
W pierśiách uyrzáły srogą ránę oczy:
Y pogodnemu iey bládą postáwę,
Podobną niebu choćia w ćiemney nocy.
Zádrżał y lecąc do źiemie popráwę
Wźiął, uchwycony od bliskiey pomocy:
O wdźięczna twarzy, śmierć mi (práwi) správwisz
Słodką, lecz żalu nigdy mię nie zbáwisz.

* * *

O piękna ręko, ktoraś mi podáłá,
O wdźięczne chęci ostáteczney znáki:
Jákoś się teraz dobrze rożną stáłá,
Stąd mękę, stąd żal, stąd bol ćierpię táki.
Widzę, ách, w członkách niewinnego ćiáłá,
Moiey wśćiekłośći nieszczęśliwe szláki.
Rowno się z ręką o oczy srożyćie,
Tá ie zrániłá, wy w rány pátrzyćie.

Ani płáczećie: Niechayże w zamiány
Krew idźie ze mnie, bo łzy iść nie chcećie:
Tu ućiął słowá, y nie hámowány
Niechcąc żyć więcey, y zostáć ná świećie
Podrápáł sobie zawinione rány,
Ták, że krwie beło pełno po namiećie:
Y zábiłby się sam beł w oney dobie,
Ale żal czynił, że nie beł przy sobie.

* * *

Y ták przezdźięki duszá żáłośćiwa,
Nád iego wolą przy ćiele zostáłá:
Ale po wszystkiem woysku świegotliwa
Wieść, o przypadku iego powiádáłá.
Goffred, y inszych przyiaćioł życzliwa
Kupá, ćieszyć go co raz przybywáłá.
Lecz wybić troski żadną miárą z głowy
Nie mogły słodkie, y poważne mowy.

* * *

Jáko kiedy kto tknie rány w pieszczonem
Członku, bol rośćie, y tem srozszy bywa:
Ták przyiaćielskiem w sercu utrapionem
Więcey żałośći ćieszeniem przybywa.
Lecz go Pustelnik niechce mieć stráconem,
Ná rożne się nań dowody zdobywa:
Y iego upor poważnemi słowy
Strofuie, y tey używa nań mowy.

* * *

O rożny teraz dáleko od siebie
Tánkredźie, y od początku twoiego:
Ktoć wżdy odiął słuch? pytam ćię, y ćiebie
Uczynił teraz ták nagle ślepego?
Twe utrapienie Bog wieczny ná niebie
Sam ná ćię posłał, ten ćię do pierwszego
Gośćińcá, ktoryś opuśćił, kieruie,
Y pálcem ći go práwie ukázuie.

Y do dobrego Rycerzá ćię wiedźie
Chrystusowego, pierwszey powinności:
Ktoráś opuścił, o głupi Tánkredźie,
Kwoli niewierney Pogánki miłości.
Y teraz ná ćię z lekką pomstą iedźie,
Z lekkiem karaniem, zá twe niepráwości:
Y uleczyć ćię chce przez ćię sámego,
A ty nie widźisz dáru ták zacnego?

* * *

Y Bogu się chcesz przećiwić sámemu,
Ktoryć łáskáwey dodawa pomocy:
Obacz się proszę, á żálowi temu
Tákiey nad sobą nie dopuszczay mocy.
Już ato iáwnie ná doł ku wiecznemu
Zginieniu lećisz, ieno otworz oczy.
Przebog, hámuy się w tey załości swoiey,
Co ćię do śmierći prowádźi oboiey.

* * *

Strách iedney śmierći, ktory mu przekładał,
Chćiwość mu drugiey z nienagłá wyimował:
Y uważaiąć pilnie co powiádał,
Nieutulony płácz w sobie hámował.
Ale nie ták żał przedsię z sercá skłádał,
Aby nie wzdychał, y nie lámentował.
Czásem sam w sobie skryćie nárzekáiąc,
Czásem z umárłą głosem rozmawiáiąc.

* * *

Lubo wieczorne, lubo wstáią ráne
Zorze, iey woła, iey płácze, iey prośi:
Ták iáko słowik, co mu nieodźiane
Piory dźiećiny myśliwiec unośi.
Y dni y nocy prowádząc niespáne,
Nápełnia polá, y swe żale głośi.
Nákoniec kiedy świtáć poczynáło,
Między łzy w oczy wpádło mu snu máło.

Wtem mu się w száćie gwiazdámi nátknioney,
Kochána iego przez sen ukazáłá
Dobrze pięknieysza: y w iásnośći oney
Niebieskiey będąc, poznáć mu się dáłá.
Y zdáło się, że w postáwie skłonioney
Do śmiechu, łzy mu z oczu ućieráłá.
Przypatrz się (práwi) teraz mey piękności,
Y mey ozdobie, á skroć swey żáłośći.

* * *

Toś mi ty wszystko z łáski swoiey spráwił,
Z świátá mię tego omyłką zgłádźiwszy:
Y u Bogáś mię ná łonie postáwił,
Godną mię niebá przez krzest uczyniwszy.
Tyś mię wiecznego żywotá nábáwił,
Lecz y ty ćiáło śmiertelne złożywszy:
Masz tu mieć mieysce, gdźie w wieczney świátłości
Cieszyć się będźiesz z twey y z mey piękności.

* * *

Y ieśli niebá nie záyrzysz sam sobie,
Y zmysł ćię z drogi prawdźiwey nie zwodźi:
Zostań żyw, á wiedz, że się kocham w tobie,
Jáko się kochać nam w stworzeniu godźi.
Ták mowi, á wtem chęći w oney dobie,
Ogień życzliwy z oczu nań wywodźi.
Potem się w swoie promienie zamknęłá,
Y wlawszy weń tę poćiechę, zniknęłá.

* * *

Ocknął się zátem y wstał poćieszony,
Y lekárzom się iuż dał opátrować:
Y martwe ćiało tem czásem strapiony,
Po Chrześćiáńsku roskazał pochować.
A choćia nie beł mistrz iáki uczony,
Co miał grob z drogich mármurow ukować.
Przedsię ile czás znośił, beł obrány
Kámień, z ktorego grob beł wykowány.

Do ktorego ią z lanemi świecámi,
W wielkiey gromádźie w pole prowádźili:
Potem iey zbroię między gáłęźiámi
Rospiętą, wielkiey sośnie záwieśili.
A sam iák skoro zwątlony ránámi
Wzmogł, y podniosł się z łożá w oney chwili:
Zárázem wnętrzney pełen pobożności,
Poszedł náwiedźić pogrzebione kośći.

* * *

Gdy przyszedł nád grob, gdźie iego żywemu
Sercu więźienie złe niebá przeyrzały:
Zimny, wybládły, rowien umárłemu,
Wlepił wzrok w kámień, y sam skámieniáły.
A nie mogąc się płáczowi śilnemu
Odiąć, do głuchey ledwie przerzekł skáły.
Wdźięczny kámieniu, y kochány grobie,
Co płomień masz wnątrz, zwierzchu moy płácz w sobie.

* * *

Nie martwy w tobie popioł, ále żywy,
Pełen miłości ma swoie mieszkánie:
Y czuie z ćiebie zwykły przeráźliwy,
Płomien, lecz przykszy sercu nad mniemánie.
Przyimi, ách, proszę, ten płácz żáłośćiwy,
Y pokropione łzámi cáłowánie:
A poday ie záś w swey skrytey zasłonie
Lubem zewłokom, ktore masz w swem łonie.

* * *

Bo ieśli duszá do swoiego ćiáłá
Wraca się kiedy, y do swoich kośći:
Nie będźie zá złe bez wątpienia miáłá,
Twey pobożności y moiey śmiáłości,
Y odpuśći mi: W te tylko zostáłá
Nádźieie duszá w tey tu śmiertelności:
Ręká zła tylko popełniła winę
Jam żył miłuiąc, miłuiąc ią zginę.

Wżdyć kiedy przyidźie, y moiey potrzebie
Dogodźi ten dźień szczęśliwy y święty:
Ze co to teraz błądzę koło ćiebie,
W ten czás iuż będę w łono twe przyięty.
Niech zgodne dusze społ mieszkáią w niebie,
Niech oboy proch trwa wiecznie nierozięty.
A czego żywot mieć nie mogł stroskány,
Smierć będźie miáłá: O dniu pożądány.

* * *

Tem czásem o iey przygodzie powieśći,
Y ćiche w mieśćie szemránia powstáły:
Potem iuż pewne y głośnieysze wieśći,
Między lękliwem ludem wćiąż latáły.
Wszędźie lámenty, wszędźie krzyk niewieśći,
Jákoby mury, y wysokie wáły:
Już nieprzyiaćiel wszystkie opánował,
Y iuż bogáte kośćioły plundrował.

* * *

Ale naywięcey oczy ludzkie zeszły
Ná się obrośił Arset żáłośćiwy:
Y iáko inszem łzy mu z oczu nie szły,
Bo od żáłości ledwie się zdał żywy.
Ale od gminu gęstego obeszły
Stękał, nákrywszy prochem włos szędźiwy.
Wtem gdy się wielki tłum do niego zbierał,
Argánt we śrzodku stoiąc, ták wywierał.

* * *

Chćiałem ia záraz, że krotko wspomionę,
Postrzegszy pierwszy, że w polu zostáłá:
Wypadszy z bramy iść iey ná obronę,
Zebyswá bełá spolny los ćierpiáłá.
Wołałem áby otworzono bronę,
Aby się bełá iáko rátowáłá:
Ale dáremne beło me wołánie,
Bo Krol surowe czynił zákázánie.

Y bym beł wypadł iákom chćiał, bespiecznie
Y zdrowobym ią názad beł wprowádźił:
Albobym beł chćiał léc przy niey koniecznie,
Y niktby mi beł tego nie rozrádźił.
Coż beło czynić? Jam się iey státecznie
Stáwił, ále Bog ináczey urádźił:
Ato iuż oná umarła gdźieś leży,
A ia też pomnię to co mi należy.

* * *

Niech Jeruzálem y niebá słuchάią
Tego, co teraz Argánt obiecuie:
A gdźie nie strzymá, niechay nań spadάią
Wszystkie pioruny, co się ich náyduie.
Przyśięgą áto, niech to pámiętάią,
Pomśćić się iey krwie, y iáwnie slubuie:
Ze mieczá tego od boku nie zbędźie,
Aż Tánkredowi ná gárle uśiędźie.

* * *

Ták rzekł: á głosy życzliwe, z pobudki
Pospolitego ludu powstáwały:
Y z obiecáney przyszłey pomsty smutki,
W żáłosnych sercách znienagłá niszczały.
Prożne przyśięgi: bo przećiwne skutki,
Ludzkie nádźieie, w krotkiem czáśie miáły.
Y w rychle potem ten legł od támtego,
Ktorego dźiś ma żá zwyćiężonego.

KONIEC PIEŚNI DWANASTEY.

PIESN TRZYNASTA.

ARGUMENT.

Jzmen w lás czárty pędźi w one czásy,
Y mieć ie cáłe zá ich strażą tuszy:
Tych co po drzewo wysyłάią w lásy
Precz wygániάią piekielne pokusy.
Tánkred się potem rąbáć w niem ostrászy,
Lecz dármo kwoli żywey w drzewie duszy.
Woysko gorącem wielkiem upalone
Moc bierze, hoynem deszczem ochłodzone.

Ale záledwie w popioł y w perzyny,
Płomienie wieżę posłáły strászliwą,
Jáko zły Jzmen oneyże godźiny,
Rádę w swey głowie náydował złośliwą.
Myśląc przekázić, áby leśne czyny,
Do woyská nie szły, rzecz bárzo szkodliwą:
Y áby inszey wieże nie robiono,
Z ktoreyby znowu wątły mur tłuczono.

* * *

Blisko obozu beł między pustemi
Lás dolinami nie przeyrzány okiem:
Gęsty, zárosły drzewámi wielkiemi,
Cień wszędźie czyniąc liśćiem swem szerokiem,
W niem kiedy słońce promieńmi swoiemi
Naiáśniey świeći, ná niebie wysokiem:
Jest tákie świátło, iáko iest gdy wstawa
Noc po dniu, lub dźień po nocy nástawa.

A kiedy słońce pod ziemię uchodźi,
Mgłá w niem ustáwna, y mrok nieprzeyrzány:
Jáki się w piekle ledwie tylko rodźi,
Ktory strách sercu czyni niewytrwány.
Tu pasterz swego ná paszą nie wodźi
Stadá, tu pielgrzym chybá obłąkány,
Dla miłych ćieniow nigdy nie wstępuie,
Ale go zdala pálcem ukázuie.

* * *

W niem się z odległych kráiow czárownice
Schodzą, z nocnemi swemi miłośniki:
Co obracáią swą postáć ná nice,
Z tego smok, z tego wieprz się sstáie dźiki:
Z tego záś kozieł, y w pewne księżyce,
Przy dźwięku nocney piekielney muzyki
Swe odpráwuią przeklęte bieśiády,
Y niepobożne tańce, y obiády.

* * *

Ták o tem wszyscy mieszkáńcy trzymáli,
Y rozgi żadney ućiąć w niem nie śmieli:
Lecz Chrześćiánie pierwszy w niem rąbáli,
Y drzewo z niego na Tárány mieli.
Tu gdy naytwárdźiey wszyscy ludźie spáli,
Ták, że y swoi o niem niewiedźieli,
Jzmen się stáwił, y uczynił koło,
Y skreślił dźiwne cháraktery wkoło.

* * *

Y boso wkoło skreślone wstąpiwszy,
Szemrał sam zsobą słowa wielkiey mocy:
Potem się trzykroć ná wschod obroćiwszy,
Trzykroć ná zachod zásię wracał oczy:
Y trzykroć tákże laską uderzywszy,
Ktorą umárłe z grobow budźi w nocy.
Trzy rázy ziemię deptał będąc bosy,
Potem wypuśćił te strászliwe głosy.

Wszyścy Duchowie, ktorzy tu mieszkaćie,
Strąceni z niebá gromy ognistemi:
Y co mieszkanie ná powietrzu maćie,
Y niepogody wzbudzaćie ná ziemi.
Y wy, ktorzy się piekły opiekaćie,
Trapiąc złe dusze ogniámi wiecznemi:
Słuchayćie, y ty co iem roskázuiesz,
Y w Acheroncie podźiemnem pánuiesz.

* * *

Wam Jzmen ten lás wiecznie odkázuie,
Wam go oddáie ze wszystkiemi drzewy:
Jáko duch w ćiáło wchodźi y wstępuie,
Ták y wy wnidźćie w wysokie modrzewy.
Niech Chrześćiánin, co się w niem gotuie
Rąbáć,ućieka przed wászemi gniewy.
Ták rzekł: y przydał swe bluźnierstwá sprosne,
Pobożnem sercom, y uszom nieznośne.

* * *

Ná iego słowá pełne wielkiey trwogi,
Noc swe pogodne świátło utráćiłá:
Y Phebe iásne zasłoniwszy rogi,
Piękną twarz swoię w chmurze utopiłá.
On znowu woła, y głos puszcza srogi,
Ták długa zwłoká bárzo mu niemiłá.
Czego ták długo (powiáda) mieszkaćie?
Czy więtszych klątew odemnie czekaćie?

* * *

Jeszcze ia ná was naydę inszą drogę,
Y potężnieyszych przybiorę pomocy:
Nádto wymowić y umiem, y mogę
Jmię strászliwe, imię wielkiey mocy:
Ná ktore piekłá drżą, y czuie trwogę
Z swoiem Abissem sam Krol wieczney nocy.
Chćiał dáley mowić czárnokśiężnik stáry,
Lecz poznał, że iuż skutek brály czáry.

Cmámi Duchowie przyszli niezliczeni,
Część tych ktorzy się pod źiemią chowáią:
Część tych nie mnieysza, ktorzy ná przestrzeni
Ná nieobiętem powietrzu mieszkáią.
A szli znienagłá, y bárzo strwożeni
Z dekretu, ktory groźny z nieba máią:
Nie być w tey woynie, ácz iem w onem czesie,
Nie zákazano w liśćiu być y w leśie.

* * *

Máiąc ták Jzmen rzeczy sporządzone,
Poszedł do Krolá z wesołą postáwą:
Miey (práwi) Krolu serce niestrwożone,
Masz teraz ná się Fortunę łáskáwą.
Nie mogą iuż być więcey odnowione
Nieprzyiaćielskie wieże, moią spráwą.
Potem mu wszystko porządkiem powiádał,
Y czárnokśięskie skutki mu wykładał.

* * *

Dołożył tego: y to wiem że będźie
Nie mnieysza pewnie poćiechá u ćiebie:
Wiedz, że Mars z Słońcem nie długo usiędźie,
Y społem we Lwie złączy się ná niebie.
Záczem gorącá wielkie będą wszędźie,
Rosá áni deszcz ku ludzkiey potrzebie
Nie spádnie: ále iáko gwiazdy tuszą,
Niewymowione gorącá bydź muszą.

* * *

Gorącá, iákie ledwie przypaleni
Názámonowie z Gárámánty máią:
Te naszy w mieśćie, kędy chłodnych ćieni
Y wod dostátek, łátwie wytrzymáią.
Ale ich w suchem polu położeni
Nieprzyiaćiele słábi nie wytrwáią.
Y ták od niebá pierwey okroceni,
Od woysk Egipskich będą porażeni.

Ták śiedząc wygrasz: według moiey rády,
Wątpliwych boiow nie trzebá probować:
A ieśli ćię, iáko zwykł, do zwády
Będźie wiodł Argánt, chcąc szczęśćia kosztować.
Ty się nie przećiw, ále iego iady
Y wśćiekłą śmiáłość pámiętay hámować:
Ták uczyniwszy prętko syte boiu
Nieprzyiaćioły, dostąpisz pokoiu.

* * *

Tákiemi słowy czárownik uczony
W Krolu lepszą myśl y otuchę spráwił:
Ktory po częśći iuż beł powątlony
Mur Tárámi wielkiemi oprawił.
Nád to y nowy z gruntu wywiedźiony,
Ná inszych mieyscách, mniey bespiecznych stáwił.
Wrzáłá robotá, y od niewolnikow,
Y od gęstych rąk mieysckich robotnikow.

* * *

Ale ostrożny Hetman o sposobie
Dobyćia miástá myśląc, to naydował:
Zeby dármo tłukł mury, gdźieby sobie
Woiennych wielkich wiéż nie nábudował:
Y swe woyskowe ćieśle w oney dobie
Po drzewo ná czyn w lásy wypráwował:
Ktorzy zárowno z świtem wyiecháli,
Ale dla strachu, wzad się powrácáli.

* * *

Jáko więc dźiećię máłe, kiedy w nocy
Widźi niezwykłe lárwy, y mászkáry:
Ucieka záraz, y zákrywa oczy,
Mniemáiąc że to iákie nocne máry.
Ták się ći boią, á z czyieyby mocy
Beł ná nie on strách (rzecz trudna do wiáry)
Niewiedzą, tylko wiedzą że się boią,
A Sfingi w głowie y Chimery stroią.

Lękliwi Mistrze w ćieśielskim rzemięśle
Wroćiwszy się, rzecz y słowá mięszáli:
Ale cokolwiek powiádáli ćieśle,
Smiali się wszyscy, y niedowierzáli.
Wtem Goffred inszych żołnierzow tám ześle,
Ktorzy się w woysku mężnieyszemi zdáli:
Ktorzy ie w lásy záprowádźić mieli,
Ponieważ sámi rąbáć w niem nie śmieli.

* * *

Ci poiecháli, kędy źli duchowie
Stolicę swoię beli założyli:
Ale záledwie przy gęstey dąbrowie
Stánęli, ták się záraz potrwożyli.
Przedsię szli dáley cni Bohátyrowie,
A swoie strách y śmiáłą twarzą kryli:
Y pomknęli się w gęstwę dáley ieszcze,
Tám kędy beło zczárowáne mieysce.

* * *

A wtem powstánie z lásu niesłychány
Szum, y strászny pisk iádowitey źmiie:
Tu słychać, że lew ryczy rozgniewány,
Tu niedźwieć mruczy, tu wilk srogi wyie.
Tu morze huczy gęstemi bálwány,
Tu wodá skáły niepożyte biie.
Tu trąby słychać, tu strászliwe gromy,
Ták wiele dźwiękow, dźwięk czynił kryiomy.

* * *

Dopiero wszystkiem pobládły iágody,
Ták ich strách wewnątrz zmácał wielkooki:
Mieyscá w nich żadne nie miáły wywody,
Aby lękliwe dáley nieśli kroki.
Nákoniec wszyscyućiekli wzawody,
A strách ie gonił, y chwytał zá boki.
Potem ieden z nich do Hetmáná mowę
Táką uczynił, y táką obmowę.

Niech żaden (wszyscy powiedzą to nászy)
Támtego mieyscá dość sobie nie tuszy:
Jam gotow przyśiąc, że wszystkie w te lásy
Hurmem się z piekłá przeniosły pokusy.
Będźie zbyt śmiáły, ktory się ostrászy,
Y kogo boiaźń idąc w nie nie ruszy:
Chybá nie człowiek będźie mogł tych krzykow
Y piskow słuchać, y gromow y rykow.

* * *

Gdy ten ták mowił, Alkást nielękliwy
Tráfił się tám beł, mąż nieokrocony:
Wśćiekły, szalony, ná śmierć nátárczywy,
Y ná naygorsze rázy odważony.
Niebałby się beł, by náywiętsze dźiwy
Widźiał przed sobą, ták beł niestrwożony.
Szedłby beł ná grom, y ná źiemie drżenie,
Y ieśli ma strách więtszy przyrodzenie.

* * *

Smiał się, trząsł głową: Ja (práwi) przyrzekę
Wniść tám bespiecznie, gdźie oni nie śmieią:
Y lásu według potrzeby náśiekę,
Chcę ia skosztować co czáry umieią.
Niech będźie co chce, pęwnie nie ućiekę,
Niechay się dźiwy by naywiętsze dźieią:
Niech niedźwieć mruczy, lew ryczy, wilk wyie,
Y w piekło poydę, ieśli się odkryie.

* * *

Ták się tám chlubił, y wźiął pozwolenie
Od Gotyfredá, y puśćił się w drogę:
A skoro weyrzał w one gęste ćienie,
Usłyszał zwykły szum, y zwykłą trwogę:
Ale nie prze to iákie wylęknienie
Czuie, álbo wzad wraca śmiáłą nogę.
Owszem się z zwykłą śmiáłośćią zápuśćił,
Ale go ogień wśćiągnął y nie puśćił.

Ogień, z ktorego iáko iákie mury
Płomienie stoiąc dymámi kurzyły:
Y nie máiąc wrot, áni żadney dźiury,
Wkoło obeszły, y lásu broniły.
Co więtsze ognie wyniosłe do gury,
Ták iáko wielkie wieże wychodźiły.
W około stzelby, y kule ogniste
Miáły ná sobie bászty płomieniste.

* * *

O iáko wiele dźiwow z strászliwemi
Twarzámi wszędźie ná wierzchu wież stoi:
Ci krzywo pátrzą, ći mieczmi ostremi
Macháią wkoło w płomienistey zbroi.
On ustępuie, iáko przed gęstemi
Lew pogoniámi, y o się się boi:
Y strách go przeiął, y w sercu mu został,
Ktory w niem przedtem iáko żyw nie postał.

* * *

Niepostrzegł záraz, że beł wylękniony,
Aż kiedy iuż beł dáleko poręby:
Y dźiwował się w sobie zámyślony,
Z gniewu zgrzytáiąc, y ściskáiąc zęby.
Potem ná stronę odszedł záwstydzony,
Ani rozdźiewił zásrománey gęby:
Ani ná ludźie on przedtem ták hárdy,
Wzrok śmiał bespiecznie podnieść Rycerz twárdy.

* * *

Kilkákroć Hetman po niego wypráwił,
Ale niechcąc przyść, ná ládá co składał:
Nákoniec przyszedł, ále nie zábáwił,
Bo álbo milczał, álbo sny powiádał.
Zrozumiał Hetman, że niewiele spráwił,
Záczem ná on czás więcey go nie bádał,
Tylko się zdumiał: Cożto (pry) zá cudá?
Czy sen? czy mára? czy iaka obłudá.

Ale ieśli chęć ktorego uwodźi,
Y ieśli ktory ma zwas serce śmiáłe:
Niech z dobrey woley ieśli chce wychodźi,
Zebym nowiny mogł mieć doskonáłe.
Skoro to wyrzekł, szli Rycerze młodźi,
Y kuśili się o las trzy dni cáłe:
Ale choć wrzkomo cosławnieyszy byli,
Wszyscy ućiekli, y wzad się wrocili.

* * *

Tem czásem Tánkred iuż beł wstał z choroby,
Y chował ćiáło swey miłey zábitey:
A choć do końcá nie wzmogł oney doby,
Y ćięszkiey zbroi, y przyłbicy krytey
Trudno miał zdołác: iednák dla ozdoby
Swey, y potrzeby iść chce pospolitey:
Bo choć beł bládý, serce żywe w ćiáło,
Y w członki wszystkie, czerstwość rozleváło.

* * *

Sam tylko milczkiem idźie nieznáiomy,
Ani się boi choć wiátr wielki dmucha:
Choćia źiemiá drży, choć trzáskáią gromy,
Choćia strásznego lwiego ryku słucha.
Darmo się weń wkráść chce strách niewidomy,
Tylko że się w niem serce trochę rucha.
Przechodźi iednák, y obaczy w leśie
Ogniste miásto, nagle w onem cześie.

* * *

Zástánowił się poniekąd wątpliwy,
Mowiąc sam zsobą: Miecz tu nic nie spráwi:
Niechże mię pożrą te strászliwe dźiwy,
Niechże mię ogień żywotá pozbawi:
Kiedy iest mieysce álbo pláć uczćiwy,
Niech káżdy zdrowie dla spolnego stáwi
Dobrá, y niechay frymárczy żywotem,
Azażby indźiey lepiey go dał potem?

Ale co o mnie káżdy mowić będźie,
Jeśli się dármo wrocę názad z drogi:
Więc gdźie się Hetman ná drzewo zdobędźie,
W ktore tu ten kray wszystek iest ubogi.
Y bydz to może, żesmy wszyscy w błędźie,
Y zmyślone to tylko iákieś trwogi.
To mowiąc w ogień skoczył zápędzony,
(O wielka śmiáłość) Rycerz odważony.

* * *

Nie beły namniey ognie te szkodliwe,
Y pod zbroią ich nie czuł Tánkred śmiáły:
Lecz ieśli beły płomienie prawdźiwe,
Trudno ták prętko zmysły poznáć miáły:
Bo nagle ognie zniknęły strászliwe,
A ná ich mieysce gęste chmury wstáły:
Ktore ćiemną noc y śniegi przyniosły,
Ale y te precz wpułgodźiny poszły.

* * *

Zdumiáły bárzo, ále niestrwożony
Wielki Bohátyr został w one czásy:
Y iuż bespiecznie nie zástánowiony
Kwápione kroki w gęste nieśie lásy.
Wiátr, pisk, szum morski, ogień nádstáwiony,
Y ryk źwierzęcy wiecey go nie strászy.
Przeszkody żadney dáley nie náyduie,
Tylko że gęstwá wzrok, y chod hámuie.

* * *

Nákoniec uyrzał Amphiteátrowi
Podobny wielki plác w głębokiey ćiszy:
W niem náchylone stało ku wschodowi
Drzewo, co poszło ná wonne Cyprysy.
Tám się Bohátyr trochę zástánowi,
Widząc w niem znáki, y dźiwne napisy
Tákie, iákich więc przed láty używał
Egipt, kiedy co táił y zákrywał.

Między znákámi niezrozumiánemi
Syryiskie pismo beło w niem wyryte:
O Bohátyrze, ktoryś sam ná źiemi
Otworzył śmierci wrotá niedobyte.
Nie trap nas prośiem, nie walcz z umárłemi,
Odpuść nam, á złoż serce nieużyte:
Nie sroż się ná tych, ktorzyć nic nie krzywi,
Nie walczą nigdy z umárłemi żywi.

* * *

Táki beł napis: Záraz Tánkred tuszył,
Ze krotkie słowa skryte miáły rzeczy:
A wtem wiátr wolny suche liśćie kruszył,
On słucha pilnie, á ma się ná pieczy.
Potem się z gęstwy głos żáłosny ruszył,
Y płácz z wzdychániem iákoby człowieczy:
Y zmieszánego coś z strách u z żáłośći
Wkropił mu w serce, y z wnętrzney litośći.

* * *

Przedsię dobywszy mieczá swego chutnie,
Uderzy w drzewo co iedno ma mocy:
Ale gdźie iedno gáłąź ktorą utnie,
Záraz z ućiętey rozgi krew wyskoczy:
Znowu się z mieczem wynieśie okrutnie,
Znowu tnie, znowu krwie ze pnia utoczy.
Pátrzy co będzie, y hámuie sztychy,
A wtem usłyszy z stękaniem głos ćichy.

* * *

Názbyteś ná mię, o Tánkredźie srogi,
Miey dosyć ná tem, ieśli ćię co ruszę:
Żeś mię żywotá pozbáwił niebogi,
Żeś z ćiáłá wygnał nieszczęśliwą duszę.
Czemusz wżdy teraz pień śieczesz ubogi?
W ktorem ia nędzna wiecznie mięszkáć muszę:
Tákli zá męstwo poczytasz to sobie,
Nieprzyiaćiołom nie dáć pokoy w grobie.

Jam iest Kloryndá, y tu mam schowánie,
Nie sámá tylko, ále inszych wiele:
Ktorzy pod miástem legli Chrześćiánie,
Pogánie tákże, (uwierz temu śmiele)
Tu w rożnych drzewách maią swe mieszkánie,
Niewiem iáko rzec, czy w grobie, czy w ćiele.
Zywą gáłęźie, á ty iuż poczynasz
Być mężoboycą, kiedy ie ućinasz.

* * *

Jáko więc chory, kiedy przez sen smoku,
Albo Chimery obáczy strászliwe:
Choć się domyśla, że to w ćiemnem mroku
Zdádzą się tylko widzenia fałszywe:
Boi się przedsię, y nie dufa oku,
Y radby nogi powroćił lękliwe.
Ták y ten choćia do końcá nie wierzy,
Przedsię się boi, y okiem wzad mierzy.

* * *

Czásem oźiębły drży, czásem przezdźięki,
Wielki się Rycerz zbyt zágrzany znoi.
Niewiedźieć iáko miecz upuszcza z ręki,
Ale namnieysza to w niem, że się boi.
Odszedł od siebie, zda mu się że męki
Słyszy swey miłey, y że przed niem stoi.
Ná wytoczoną krew pátrzyć nie może,
Zda się że w sercu ostre noši noże.

* * *

Ták ono serce, ktore z swey śmiáłośći
Y ná śmierć sámę nigdy nie spuśćiło:
Teraz dla dawney gorącey miłośći,
Fałszywem lárwom zwieść się dopuśćiło.
Potem broń, ktorą upuśćił z litośći,
Coś z oney gęstwy w pole wyrzućiło:
Ták że się muśiał wroćić zwyćiężony,
Y w drodze záś miecz nálazł utrácony.

Nie wroćił się wzad, áni w czárowánem
Leśie chćiał więcey mieć dálszą zabáwę:
Ale się stáwił záraz przed Hetmánem,
Uspokoiwszy y myśl, y postáwę.
Y ták przy tłumie powiádał zebránem:
Ja dam o wszystkiem nie omylną spráwę.
Prawdá to wszystko co ći powiádáią,
Ze tam lwi ryczą, że gromy trzáskáią.

* * *

Wprzod mi się ognie wielkie ukazáły,
Ktore się sámy bezedrew śiliły:
Y iáko mury wysokie się zdáły,
A pokusy ich strászliwe broniły.
Alem ie przeszedł bez urázu cáły,
Y nie czułem nic, żeby mię paliły.
Po ogniu źimá y noc nástąpiła,
Y záś się ze dniem pogodá wroćiłá.

* * *

Ale to więtsza, to cud niesłychány,
We wszystkich drzewách ludzkie dusze żyią:
Głos wydawáią dobrze zrozumiány,
Płáczą, wzdycháią, pod skurę się kryią,
Zá káżdem rázem krew wychodźi z rány,
Jlekroć drzewo śieką álbo biią.
Prozno to: Sercá ia zto niemam, áby
Rozgę tám ućiąć, y znam się żem słáby.

* * *

Ták mowił Tánkred, á Hetman swe myśli
Rożnie obrácał, co beło lepszego:
Czy sam ma iechać, iáko sobie myśli,
Pokuśić lásu oczárowánego.
Czy żeby w rożne ludźie strony wyszli,
Szukáć y drzewá, y czynu inszego.
Kiedy ták długo rozmyślał wątpliwy,
Przyszedł do niego Pustelnik życzliwy,

Day (práwi) pokoy temu zamysłowi,
Będźie kto inszy co ten lás zwoiuie:
Już niewśćiągniony okręt ku brzegowi
Jdźie, iuż złote żągle swe zdyimuie.
Już wielki Rycerz názad ku domowi,
Porwawszy pętá niegodne, kieruie:
Y niedaleko iuż czás pożądány,
Ze z Jeruzalem wyrzućisz Pogány.

* * *

Ták Piotr prorockiem Duchem obćiążony,
W poważney mowie rzeczy przyszłe głośił:
Co Hetman słysząc w sercu uniżony,
Zdárzenia z niebá swem zamyśłom prośił.
Ale iuż beł Rak przyiął upalony
Słońce, y srogie gorąca przynośił:
Ktore mu cele y woysko psowáły,
Y żadney pracey znieść nie dopuszczáły.

* * *

Zgásły ná niebie gwiazdy dobrotliwe,
A sáme tylko złośliwe pánuią:
Od ktorych skutki w powietrze szkodliwe,
Pełne zárázy śmiertelney wstępuią:
Co raz to więtsza pożogi strászliwe
Moc biorąc palą, y źiemi doymuią.
Po dniu złem zła noc ná ludźie przychodźi,
Po gorszey nocy gorszy dźień wychodźi.

* * *

Gdy z morzá słońce wychodźi, ma koło
Około śiebie z gęstey páry krwawe:
Y ukázuiąc krwią spluskáne czoło,
Jáwnie dáie znáć, że iest niełaskáwe.
Záchodząc tákże ma we wnątrz y wkoło
Czerwone krople, strászne, y plugawe,
Y przykre czyniąc gorąco wytrwáne,
Grozi, że z więtszem iutro przyidźie ráne.

A gdy naywyzszey pomknie swego wozu,
Schną wielkiem ogniem lásy z swemi drzewy:
Rzek nie znáć, nigdźiey nie trzebá przewozu,
Ziemiá się páda, zbożá idą w plewy.
Polá w popioły około obozu
Srogie niebieskie obracaią gniewy.
Obłoki suche, rożnie rosproszone
W płomienie idą, y w ognie czerwone.

* * *

Niebo podobne czarnemu piecowi,
Oko pozbywszy swoich poćiech mdleie:
Zephir przyiemny głęboko ku dnowi
Pod źiemią się gdźieś kryie, y nie wieie.
Wiátr tylko dmucha, ktory południowi
Podległy, piaski Maurytáńskie grzeie.
Cięszki, gorący, á co raz skrzydłámi
Biie, y wolny dech duśi párámi.

* * *

Ale y słońcem wielkiem zárážona
Noc swoie ćienie nie weselsze miáłá:
Y swem płomieniem tákże upalona,
Z ognistych mioteł płaszcz sobie utkáłá.
Y ćiebie źiemi nędzna uprágniona,
Łákoma Phebe nápoić niechćiáłá
Swą wdźięczną rosą, y dármo iey źiołá
Prośiły o nię, ná pochyłe czołá.

* * *

Od niespokoyney sen ućieka nocy,
Y upalone zostawuie ćienie:
Nie mogą ludźie włudźić go ná oczy,
Ale nabárźiey trapi ich prágnienie:
Bo Chrześćiáńskiey boiąc się Krol mocy,
Struł wszystkie wody, y żywe strumienie:
Y wkoło zdroie pomąćił przeyrzyste,
Wmięszawszy soki, y iády nieczyste.

Syloe máły, ktory Chrześćiány
Przedtem hoynemi wodámi nápawał:
Teraz ledwie dno zákrył, rozerwány
Y tu y owdźie, á zgołá ustawał.
Zdáło się że sam Erydan wezbrány,
Ná ich prágnienie máłyby zostawał.
Y Nyl gdy niechcąc w śiedmiu stać odnogách,
Zálewa Egipt, y bieży po drogách.

* * *

Jeśli kto widźiał przezroczyste strugi,
Między lásami pięknemi płynące:
Albo strumienie wolne między smugi,
Albo z zapędem z Tátrow spadáiące.
Opisuie ie swey żądzey czás długi,
Y wody sobie wymyśla ćiekące:
Podáiąc pokarm swemu utrapieniu,
Y swoiey męce, y swemu prágnieniu.

* * *

Członki Rycerzow wielkich nie zmożone,
Ani daleką y zbyt przykrą drogą:
Ani żelázem ćięszkiem obćiążone,
Ani naywiętszą okrocone trwogą:
Teraz ták mdleią słońcem upalone,
Ze sámych śiebie udźwignąć nie mogą;
A w ćiele ogień niewidomy żyie,
Ktory spiekłą krew w suchych żyłách piie.

* * *

One ták dźielne, y ták rzeźwie konie,
Pokármem gárdzą, o paszą niedbáią:
Karki wyniosłe y wesołe skronie
Ná doł schylone ku ziemi zwieszáią.
Ná przeszłą sławę żaden nie wspomionie
W pierwszey chćiwośći do boiu ustáią.
Kosztownych rzędow w ktorych się pyszniły
Niechcą, drogiemi bończuky wzgárdźiły.

Pies wierny ćierpi ustáwiczne tchnienie,
O Páná niedba, wszystko mu niemiło:
Y rośćiągniony, ná wnętrzne płomienie
Chwyta wiátr, żeby nie ták go paliło.
Y ieśli oddech dáło przyrodzenie,
Aby się serce gorące chłodźiło:
Teraz ochłody niema álbo máło,
Ták bárzo ćiepłe powietrze zgęstwiáło.

* * *

Ták źiemiá mdláłá, y ták upaleni
Ludźie się srogiem gorącem trapili:
Y iuż z nádźieie ostátniey zráżeni,
Do końcá beli o sobie zwątpili.
Co zdrowszy w kupę często zgromádzeni
Ták nárzekáli, y głosem mowili:
Ná co trwa więcey, czy chce woysko zgubić?
Zaprawdę Goffred ma się z czego chlubić.

* * *

Jákiemi mur chce zwyćiężyć śiłámi
Nieprzyiáćielski? skąd drzewá dostánie:
Jáwnemi to Bog znáć dáie znákámi,
Ze przećiw niemu násze tu mieszkánie.
On się sam temi nie rusza cudámi,
Y pochwilić nas do szczętu nie zstánie:
W tákie gorącá, iákie tu pánuią,
Ze Murzynowie goręczszych nie czuią.

* * *

Niedba on że my ludźie zániedbáni,
Nikczemne dusze, y liche, y máłe:
Pomrzemy márni y odźáłowáni,
Byle on tylko miał swe rządy cáłe.
Tákli tá ślepa niestáteczna Páni
Odmienia ludźie, y czyni zuchwáłe:
Ze nic niedbaią, by tylko rządźili,
Choćby się wniwecz wszyscy obroćili.

Więc wysławiáią iego cnoty owe,
Dobroć, opátrzność, chwalą go z ludzkośći:
A on o dobro niedba nic woyskowe,
Y wszystko czyni dla swoiey wielkośći.
Nam zdroie wyschły: iemu Jordanowe
Wody prowádzą przez dálekie włości:
Ktore z kilką swych zausznikow piie,
Mieszáiąc w świeże wody Małmázyie.

* * *

Ták Fráncuzowie mowili z inszemi:
Ale wodz Grecki, woienny ktoremu
Przykrzył się niewczás: Ták (pry) ze wszystkiemi
Swemi mam zginąć, niewiem gwoli czemu.
Niech z Fráncuzámi uporu swoiemi
Goffred przypłaca, iuż to wolno iemu:
Mnie co do tego? y ták nie żegnáiąc,
Wybrał się nocą, ćicho uiezdżáiąc.

* * *

Skoro odniáło, y skoro uyrzeli,
Ze Grek uiechał, drudzy toż myślili:
Klotáreusá pierwszy ućiec chćieli,
Y co z Admárem Biskupem służyli.
Y inszych śiłá co wodzow nie mieli,
Co w boiach legszy żywotá pozbyli:
Już się uiecháć ukradkiem zmawiáią,
Y niektorzy znich nocą ućiekáią.

* * *

Wiedźiáł to Hetman, y mogłby beł snádnie
Skáráć ich ostro, okrom wątpliwośći:
Ale nikt tego ták łátwie nie zgadnie,
Jáko dáleki beł od surowośći.
Skruszony we wnątrz ná kolaná pádnie,
Pełen zupełney wiáry y dufnośći:
Ręce y oczy do niebá podnośi,
Y ták gorąco modli się, y prośi.

O Pánie, ktoryś twoiemn ludowi,
Ná głuchey puszczey słodkie rosy spuśćił:
Y dałeś tę moc w on czás Moyzeszowi,
Ze z twárdey skáły żywą rzekę puśćił.
Niechay się y w nas taż łáska odnowi:
A ieśliś nas ták dla grzechow opuśćił,
Do miłośierdźia twego się bierzemy,
Wiesz, że się twemi Rycerzmi zowiemy.

* * *

Gorące modły nie beły leniwe,
Ale w lot śiekły powietrze y chmury,
Y poszły w niebo ták iáko pierzchliwe
Strzały lekkiemi przyprávione piory.
Przyiął ie wieczny Oćieć, y życzliwe
Ná swe zástępy puśćił oko z gury,
Y rzekł: żałuiąc ták wielkiego trudu,
Y ták nieznośnych prac swoiego ludu.

* * *

Niebespieczeństwá ták długo ćierpiáne
Moich Rycerzow, niech iuż koniec máią:
Niech świát, y piekła przećiw niem zebráne,
Do tąd iem tylko trudność zádawaią:
Niech odtąd wierne Rycerstwá wybráne,
Szczęśliwie wszystkie rzeczy roszczynáią.
Niech deszcz, niech wielki ich Bohatyr idźie,
Niech Egipt rychło ku ich sławie przydźie.

* * *

To rzekszy dał znák: á zátem wysoki
Niebieski páłac y gwiazdy zádrżáły:
Zádrżáłá źiemiá, y Abis głęboki,
Y wylękłego Oceánu wáły:
Grzmiáły po stronách pełne wod obłoki,
Y nieśćigłemi ogniámi błyskáły.
Ludźie wesołe głosy wypuszczáią,
Y pożądáne nadźieie witáią.

Wtem chmury wstáły, nie te ktore słońce
Z ziemie wyćiąga: ále ktore dáią
Łáskáwe niebá, kiedy obá końce
Wielkiego łoná pełne wody máią.
Noc nagła ćiemne rośćiąga opońce,
Y ćienie wiedźie co dźien wyganiáią.
Deszcz zátem leie, rzeká w pełnem biegu
Bierze pośiłki, y wychodźi z brzegu.

* * *

Jáko gdy leće deszcz w czásy gorące
Spádnie ná zbożá, y ná wyschłe sády:
Ná brzegu wodne ptastwo świegocące
Czeka, y kaczek pierzchliwych gromady:
Y rośćiągáiąc ná dżdże spadáiące
Skrzydłá, skubią się wdźięczney rośie rády.
Y po dolinách gdźie się wody zbiorą,
Ponurzaiąc się, suche piorá piorą.

* * *

Ták y ći w ten czás wesołemi głosy,
Dżdże pożądáne z rádośćią witáli:
Wszyscyby rádźi żeby sobie włosy,
Nie tylko zwierzchnie száty pomaczáli.
To ze śkłá pili, to niebieskie rosy
W przyłbicách nieśli, to się umywáli:
To pryskáiąc się czynili igránie,
To w cebry bráli, ná dálsze chowánie.

* * *

Ale nie tylko ludzkie się narody
Z niebieskich dárow w on czás weseliły:
Ale y źiemiá chora bez ochłody,
Ktora iuż bełá wszystkiey zbyłá śiły:
W rospádłe ćiáło wdźięczne łałá wody,
Y we wnętrzne ie rozsyłáłá żyły:
Y wilgotnośćią ktorey udźieláłá,
Zbożá, y martwe źiołá ożywiáłá.

Y iáko chory lekárskiemi chłodźi
Pierwey trunkámi zágrzane wnętrzności:
Y wprzod przyczynę choroby wywodźi,
Ktora suszyłá y ćiáło y kośći.
Potem nábywa śiły, y przychodźi
Do pierwszey krásy, y pierwszey młodości:
Ták że iuż przeszłey zápomina stráty,
Y bierze wieniec, y źielone száty.

* * *

Wtem deszcz ustáie, słońce występuie,
Ale łaskáwe wydáie promienie:
Y iáko kiedy Kwiećień ustępuie,
A May nástáie, ćieszy przyrodzenie.
Pátrźćiesz: kto Bogu dobrze usługuie,
Mokre z obłokow wywodźi strumienie,
Odmienia czásy iáko kiedy trzebá,
Zwyćięża gwiaźdy, y gniewliwe niebá.

Koniec pieśni trzynastey.

PIESN CZTERNASTA.

ARGUMENT.

Goffredowi Bog przez sen opowiedźiał,
Aby wrocono Rynáldá mężnego:
Pozwolił ná to, kiedy w rádźie śiedźiał,
Proszony zá niem od Guelfá zacnego.
Ale Pustelnik co to pierwey wiedźiał,
Obraca posły do stárcá iednego:
Ktory iem naprzod Armidźine zdrády
Odkrywa, potem swey użycza rády.

Już też czárnáwa noc z miękkiego łoná
Wielkiey máćierze ná świát wychodźiłá:
Y od lekkiego wiátru prowádzoná,
Nieprzepłáconą rosę przynośiłá.
Y z wilgotnego rąbku winne groná,
Zbożá, y źioła, y trawy kropiłá:
A wolne wiátry ćicho powiewáły,
Y sprácowánych ludźi sny głaskáły.

* * *

Słodka niepámięć pogrążáłá w sobie
Jch wszystkie troski, y dźienne kłopoty:
Ale w przedwieczney chwale w oney dobie,
Między lotnemi czuiąc kołowroty:
Siedźiał Stworzyćiel, y swe oczy obie
Zyczliwe skłonił w rozbite namioty:
Chcąc do Goffredá wdźięczny sen wypráwić,
Ktory mu iego wyrok miał obiáwić.

Przy złotey bramie, ktorą słońce chodźi,
Są wrotá wielkie z kryształu zrobione:
Te záwżdy pierwey niźli dźień wychodźi
Po obu stronách stoią otworzone.
Przez te káżdy sen niebieski przechodźi
Ná myśli czyste y ochędożone.
Y teraz y ten przez też wrotá ćiągnął,
Y nád Hetmánem skrzydłá swe wyćiągnął.

* * *

Zadne widzenie podomno nie miáło
Figur ták pięknych, y ták známienitych:
Jáko to teraz, co mu odkrywáło
Skrytość wyrokow, w Płánetách wyrytych.
Ják we źwierćiedle ták mu ukazáło
Moc wielką w gwiazdách táiemnic zákrytych.
Ták mu się zdáło, że beł przenieśiony
W pałác niebieski gwiazdámi natkniony.

* * *

Gdy się ták długo niebu ták iásnemu,
Y Armoniom, y biegom dźiwował:
Obaczył potem, że przećiwko niemu
Mąż otoczony ogniem postępował.
Y głosem wdźięcznem, przećiwko ktoremu
Naysłodszy źiemski każdyby znotował.
Mowił mu: Czemu nie gadasz z Ugonem
Swem przyiaćielem dawno doświadczonem?

* * *

On ná to: Swiátłość przy tákiey ozdobie,
Co ták iásnemi promieniami świeći,
Zaćmiłá zmysły: że ledwie ku sobie,
Y ku swey dawney przychodzą pámięći.
Wtem náń trzy rázy ręce śćiągnął obie,
Chcąc go obłápić mile z wielkiey chęći.
Trzy razy postáć ućiekłá kryioma,
Jáko sen lekki, y márá znikoma.

On z śmiechem ná to: Złe w tobie mniemánie,
Zem iest w śmiertelne ćiáło obleczony:
Duch tylko widźiś, ktory zá mieszkánie
Ma ten ták pięknie páłac ozdobiony.
Tu iest Rycerzow Bożych przebywánie,
Gdźie y ty będźiesz między nie wnieśiony.
Kiedysz to ma być? Niech mię (pry) zostáwi
Ciáło co pręcey, ieśli mię tu báwi.

* * *

Ugon záś rzecze: Y ty w tem pokoiu,
Y w teyże chwale będźiesz tryumphował:
Ale krew wylać przy trudźie, przy znoiu
Potrzebá, ábyś pierwey się gotował.
Y żebyś pierwey surowego boiu
Z Pogány záżył, y ony zwoiował:
Y Chrześćiáńską stolicę fundował,
Ná ktoreyby Brát po tobie pánował.

* * *

Ale żebyś swe do tey tu wieczności
Serce zápalił, y swe wszystkie mocy:
Przypátrz się niebom y Plánet prętkośći,
Ktore wieczna myśl bez przestánku toczy.
Słuchay y dźwięku tak słodkiey wdźięczności
Niebieskiey liry, potem obroć oczy
(Wtem pálcem źiemię skazał w oney dobie)
Ná to, co okrąg ostatni ma w sobie.

* * *

Jáko rzecz podła, dla ktorey wy táki
Kłopot, y táki trud podeymuiećie,
W ták małem kole, że go ledwie znáki
Zawárta pychá, ktorey pilnuiećie:
Morze ią krąży iáko wysep iáki,
A co Ocean niezmiernem zowiećie,
Nie ma nic temu názwisku rownego,
Y do stáwu iest podobny máłego.

Goffred w tem ná doł poyrzał z iásney zorze,
Y uśmiechnął się sam w sobie zdumiáły:
Widząc że gury, rzeki, źiemiá, morze,
Rozdárte w częśći, tylko iest punkt máły.
Y że wszystko dym (o głupi uporze)
W czem się ták ludzkie sercá zakochály.
Szukáiąc źiemie więcey niźli trzebá,
A máło dbáiąc o Bogá y niebá.

* * *

Y rzecze dáley: Jż mię wyswobodźić
Bog ieszcze niechce z tey śmiertelney trwogi:
Náucz mię, iáko nie dáć się uwodźić
Błędnemu świátu, moy Ugonie drogi.
On ná to: Chodź ták, iákoś począł chodźić,
Prawdźiwe to są y zbáwienne drogi.
Toć tylko rádzę, ábyś wygnánego
Syná záś przyzwał tu Bertoldowego.

* * *

Bo ieśli ćiebie między Chrześćiany
Bog ná naywyzszem posádźił urzędźie:
Wiedz to, że y on ná to iest obrány,
Ze wykonywáć twoie rády będźie.
Tyś głową, on iest ręką poczytány
Wszystkiego woyská, y nic nie ubędźie
Tem urzędowi, y twemu Hetmáństwu,
Ma on swą własną część przećiw Pogáństwu.

* * *

Jemu sámemu od czártow strzeżone
Lásy zwyćiężyć niebá pozwoliły,
Y twoie woysko zeszłe y zmnieyszone,
Ktoremu się ták trudy uprzykrzyły,
Ze chce porzućić miásto obleżone,
Przezeń dostánie y sercá, y śiły.
Y wrychle mury odnowione skáźi,
Y wschodnie woyska potężne poráži.

Tu zmilknie Ugon: Goffred mu záś rzecze:
Nicby mi nad to nie beło milszego,
Gdźieby się wrócił: Wy ktorzy człowiecze
Myśli widźićie, świadomiśćie tego.
Ale tá troská gryźie mię y piecze,
Jáko go wezwáć? y gdźie słáć po niego:
Y mam go prośić? y szukác gdźie chodźi,
Záprawdę niewiem, ieśli się to godźi.

* * *

On ná to: Bog ten, ktory ćię piástuie
Ná swoich ręku od pierwszey młodośći:
Chce áby każdy, ktory się náyduie
Pod twoią władzą, miał ćię w uczćiwośći.
Przeto go nie proś: sámá rzecz skázuie,
Zeby to beło z uymą twey zwierzchnośći:
Ale proszony odpuść iego winy,
Ná przednich ludźi wnieśione przyczyny.

* * *

Gwelfá Bog nátchnie, y w serce mu wleie,
Ze zá niem pilne uczyni stáránie:
Zebyś mu ten błąd zá ktory boleie,
Y zásłużone odpuśćił karánie.
Y choć on teraz dáleko gnuśnieie,
Y wpadszy w miłość lubi proznowánie:
Bądź pewien, że się práwie ná czás stáwi,
Y zániedbáney sławy swey popráwi.

* * *

Bo Piotr Pustelnik, ktoremu życzliwe
Swe táiemnice niebá odkrywáią:
Powie, y posły náuczy skwápliwe,
Ták, że się o niem prętko dopytáią.
Y da sposoby pewne y prawdźiwe,
Jáko go do was przyprowádźić máią:
Ták że iuż wszyscy twoi rosproszeni,
Pod złote krzyże będą zgromadzeni.

Więcey nie rzekę, tylkoć powiem o tem,
Niech wczás twe serce przyszłych poćiech wyknie:
Twa krew z iego krwią zmięszá się, skąd potem
Rod záwołány, y wielki wyniknie.
To rzekszy: iáko rzadki nagłem lotem
Dym ná powietrzu, mgłá ná słońcu, zniknie.
Zatem się ocknął, y sen go zostáwił,
Ktory go dźiwu z poćiechą nabáwił.

* * *

Już się beł ná świát iásny dźień wypráwił,
On też mdłe oczy znienagłá otwierał:
Y odpoczynki y wczásy zostáwił,
A w swą się zbroię zwyczáyną ubierał.
Pochwili skoro pacierze odpráwił,
Senat woienny do niego się zbierał
W przestrony namiot, gdźie więc záwieráią
To, co gdźie indźiey wykonywáć máią.

* * *

Tám też z inszemi przyszedł Guelf, ktoremu
Duch nową nátchnął myśl z niebieskiey správy:
Y táką mowę uczynił ku niemu:
Odpuść winnemu, Hetmánie łáskáwy,
Znam się, że łáski grzechowi świeżemu
Proszę u ćiebie, y prętkiey przepráwy:
Y sam podomno mniemasz, że zá winy
Ták świeże złe są skwápliwe przyczyny.

* * *

Lecz uważáiąc, że Goffredá proszę,
Ktorego znáią iáko dobrotliwy:
Y że te prośby ia do ćiebie niosę,
Ktoremuś ty zwykł záwsze być chętliwy.
Więc że przyczyny zá Rynáldem wnoszę,
Więc że od wszystkich, iestem niewątpliwy,
Ze ná to słuszne będźiesz chćiał mieć względy,
Y dopuśćisz mu krwią zmyć przeszłę błędy.

Kto okrom niego z dźiwy strászliwemi
Będźie śmiał walczyć álbo rąbáć w leśie?
Kto ná śmierć poydźie z pierśiámi mężnemi,
W naygorszem ráźie, y w naygorszem cześie?
Uyrzysz go, kiedy poydźie przed wszystkiemi,
Y odważone zdrowie swe poniesie.
Lub pieszo ná mur, lubo w polu koniem,
Ach, wroć go woysku, co ták teskni po niem.

* * *

Wroć ták mężnego Synowcá Stryiowi,
Sobie Rycerzá, y woysku wszystkiemu:
Wroć teskliwemu poćiechę ludowi,
A przy tem sławę wroć iemu sámemu.
Niechay swe zwykłe dźielności odnowi,
Niech ma od ćiebie plác męstwu swoiemu.
Niech iáwnie czyni dźiełá godne śiebie,
Niech się woiennych spraw uczy od ćiebie.

* * *

Skoro dokończył, skoro się ukłonił
Swiádek życzliwych chęći, wstał szmer potem:
Goffred iákoby dopiero się skłonił,
Jákoby pierwey nic nie myślił o tem,
Ták odpowiedźiał: A ktożby się zbronił,
Y nalegániu, y prośbom ototem?
Niechay ustąpi ostrość iáko chcećie,
Niech práwo będźie co wszyscy każećie.

* * *

Niechay się wroći, niechay będźie zwámi,
Ale niechay gniew y bystrość hámuie:
Niech odpowiáda nadźieiom spráwámi,
Niech się ták iáko przystoi spráwuie.
Tobie należy swemi sposobámi
Guelfie pytáć się, kędy się nayduie:
Y swe posłáńce po niego wypráwić,
Aby tem pręcey w woysku się mogł stáwić.

Ozwał się Rycerz Szwedzki z drugiey strony,
Ja się (pry) będę w tę drogę gotował:
W dálekie kráie poydę odważony,
Abym mu mego Páná miecz dárował.
Mąż to beł wielki, mężny, niestrwożony,
Guelf bárzo beł rad, że się ofiárował
Sam ná tę drogę: ále mu swoiego
Przydał Ubáldá, mężá ostrożnego.

* * *

Ubáld w młodości rożne widźiał kráie,
Rożne zwycźáie, y rożne narody:
Y pielgrzymował, y tám gdźie lod táie
Zbytniem gorącem, y gdźie márzną wody.
Umiał ięzyki, wiedźiał obycźáie,
Wytrwał niewczásy, y rożne przygody.
Potem kiedy wiek miał dobrze náchyły,
Przystał do Guelfá, y beł mu zbyt miły.

* * *

Ci dwáy ná on czás pracą ná się bráli
Náleść Rynáldá, á Guelf ták iem rádźił:
Aby do tego miásta poiecháli,
W ktorem Boemund stolicę zásádźił.
Ten beł głos ludzki, ták wszyscy trzymáli,
Ze się tám báwił, że się tám wprowádźił.
Ale Piotr widząc, że się w tem mylili,
Szedł do nich, y ták mowił w oney chwili:

* * *

Wy, co w dálekie wychodźićie strony,
Zá pospolitem nie idźćie mniemániem:
Wodz to niepewny, w błędy zawiedźiony,
Y pewnie że się omylićie ná niem.
Jdźćie do morzá blisko Askálony,
Gdźie rzeká z ćichem wpada w nie szemrániem.
Tám towárzyszá moiego potkaćie,
A co wam powie, temu wierzyć maćie.

Dawno sam przez się dostał wiádomośći,
Y wie odemnie o wyieździe wászem:
Nie zydźie wam nic ná iego ludzkośći,
Y opátrzy was iákiem takiem wczásem.
Dálszych niebieskich u niego skrytośći
Bádáć niechćieli; ále onem czásem,
Swiętego mężá obádwá żegnáli,
Y pożegnawszy, w drogę się wybráli.

* * *

Z ochotą idąc, bárzo się spieszyli,
Y czyniąc co raz to sporsze noclegi:
Do Askálony prosto obroćili
Swe niewśćiągnione y skwápliwe biegi.
Jeszcze od morzá w dobrey beli mili,
Kędy się łamie o wysokie brzegi:
Kiedy ie rzeká iedná zatrzymáłá,
Co bełá ze dżdżá dopiero wezbráłá.

* * *

Biegłá ták iáko puszczona z ćięćiwy
Prętkiemi piory przyprawiona strzałá:
Y iuż ná polá, y pośiane niwy
Wychodząc z brzegow bystre wody lałá.
Myślą co czynić, á wtem mąż sędźiwy,
Ktoremu wielka pobożność przystałá,
Szedł przećiwko niem niezwyczayną drogą,
Y mokre wody suchą deptał nogą.

* * *

Jáko tám kędy pułnocne narody,
Zimnem Tryonom podległe mieszkáią,
Gdy rzeki uymą kryształowe lody,
Dźieći się po nich bespiecznie ślizáią.
Ták on przez miękkie śmiele idźie wody,
Jáko po ledźie, ktore go trzymáią.
Y gdźie ći stali pátrząc ná cud nowy:
Przeszedszy, tákiey do nich użył mowy:

W trudną y w przykrą drogę się puszczaćie,
O przyiaćiele, y wodzá wám trzebá:
Dáleko iest ten, ktorego szukaćie,
Od tego kráiu, y od tego niebá.
O iáko wiele ieszcze zwiedźić maćie
Morzá, y źiemie! iák wiele potrzebá
Niewczásu wytrwáć, trudu y tesknice,
Y iść zá świátá nászego gránice.

* * *

Ale po tákiem prácowitem chodźie
Podźcie do mego skrytego mieszkánia:
A tám przestrogi o przyszłey przygodźie,
Y potrzebne wam dam nápominánia.
W tem iem roskazał mieysce czynić wodźie,
A tá słucháiąc iego roskazánia:
Po obu stronách wspiętrzona wiśiáłá,
Y suchą drogę śrzodkiem ukazáłá.

* * *

Wtem ie pod źiemię wiodł w głębokie one
Podźiemne łochy, stáruszek pochyły:
Przez skąpe światło, iákie śle w źielone
Lásy, nie pełna Phebe słabey śiły.
Widźieli iednak iáskinie przestrone
Pełne wod, skąd tu wszystkie idą żyły:
Z ktorych to zdroie, to rzeki głębokie,
To wynikáią ieziorá szerokie.

* * *

Y rzek przednieyszych płodne widzą roie,
Skąd Gánges, Hidásp, Eufrátes wychodźi:
Y insze mnieysze, więc skąd skryte swoie
Nył śiedmiorogi początki wywodźi.
Niżey beły z wod srebrnych żywe zdroie,
Z ktorych się kruszec rozmáity rodźi.
Jáko się skoro słońcem wyczyśćiły,
Y miękkie wody w złote skrzepły bryły.

Nád bogátemi z obu stron rzekámi
Brzegi są w drogie ubráne kámienie:
Ktore ták iáko nátknione świecámi,
Noc, y czarnáwe wyganiáią ćienie.
Tu Hyiácynty świecą z Sáphirámi,
Tu Kárbunkuły wydáią płomienie.
Tu Dyámenty ogniami ćiskáią,
Smárág się śmieie, Rubiny błyskáią.

* * *

Bárzo się oni Rycerze zdumieli,
Y w dźiwách wielkich myśli utopili;
Y obá słowá przemowić nie śmieli,
Tylko iák niemi ná wodzá pátrzyli
Ale się Ubáld nákoniec ośmieli,
Ktoś (pry) o oycze? gdźiesmy teraz? czyli
Dáley nas wiedźiesz? y dokąd niech wiemy,
Czy to sen, czy rzecz prawdźiwą widźiemy?

* * *

Jesteśćie (práwi) teraz w wielkiem łonie,
Y w wszystkorodney źiemie głębokośći:
Kiedyby nie ia (że się to wspomionie)
Muśielibyśćie błądźić w iey wnętrznośći.
Uyrzyćie wnetże moy páłác przy stronie,
Pełen niebieskiey y dźiwney iásnośći.
Z rodźic owem się Pogáńskich urodźił,
Alem się przez krzest, Bog ták chćiał, odrodźił.

* * *

A nie mniemayćie áby tákie správy,
Y tákie rzeczy dźiały się przez czáry:
Tego mię Oćiec uchowa łáskáwy,
Abym miáł czártom oddáwáć ofiary.
To ustáwiczne moie są zabáwy,
Bádáć, iáką moc źiołá, iákie dáry
Wody, y insze rzeczy skryte máią,
Y iákiem biegiem płánety biegáią.

Ani ia záwsze dáleko od niebá
Głęboko w źiemi mam swoie mieszkánie:
Y ná Kármelu gorze kiedy trzebá,
Y ná Libanie moie obcowánie.
Tám ia Jowiszá, ták iáko potrzebá,
Tám Marsá widzę, y tám pátrzę ná nie.
Jáko się ktora z biegiem swem odpráwi,
Łáskáwieli się, groźnoli postáwi.

* * *

To me poćiechy, to moie roskoszy,
Widzę obłoki wielkie pod nogámi:
Jáko się wiátry rodzą pod niebiosy,
Jáko się tęcze máluią farbámi.
Jáko deszcz, y śnieg, iáko nocne rosy,
Jáko pioruny, wichry z Kometámi.
Alem záś żem ták wielkie rzeczy umiał,
Więcey niż trzebá o sobie rozumiał.

* * *

Tákem beł zhárdźiał, y do tákiey chluby
Przyszedłem potem z oney mey godności:
Zem się śmiał (o błąd, o moy rozum gruby)
Tylko nie rownáć Boskiey wszechmocności:
Ale skoro mię wász Piotr wieczney zguby
Zbáwił, y duszę omył z nieczystości:
Obroćił potem wgurę moie oczy,
Y dał tępemu wzrokowi pomocy.

* * *

Zátemem poznał pierwsze swoie błędy,
Y że nász rozum ćień ku práwdźie wieczney:
Y śmiałem się sam, z oney swoiey wzrzędy,
Y z oney pychy głupiey y bezecney.
Jednák pilnuię, ácz rożnemi względy
Pierwszey zábáwy, ále iuż bespieczney:
Bom się iuż teraz dáleko zináczył,
Bogám zá pierwszy cel sobie náznáczył.

On mię sam, zá co niech mu będą dźięki,
Uczy, prowádźi, on mi roskázuie:
Y często dźiełá godne swoiey ręki,
Przez nas niegodne sługi swe spráwuie.
Y teraz zdárzy, że wielki przezdźięki
Rycerz się wroći, y swoich rátuie.
On mi to ziáwił, y iuż całe láto
Wyglądaiąc was, oczekywam ná to.

* * *

Ták mowiąc z niemi, wiodł ie do wielkiego
Swego pálacu, gdźie więc odpoczywa:
Ná kształt iáskiniey, y lochu iákiego,
W niem pełno gmáchow, y sal, iáko bywa.
Cokolwiek wsobie źiemia ma drogiego,
Co kosztownego w łonie swem zákrywa:
Wszystko tám beło, á nie urobiony,
Ale się ráczey zdał być urodzony.

* * *

Ná sáli beło sto sług kędy iedli,
Ktorzy porządnie do stołu służyli:
Sztuk kryształowych tám gdźie goście śiedli,
Y złotych wielką liczbę rozłożyli.
A skoro się dwáy Rycerze náiedli,
Y przyrodzone żądze umorzyli:
Czás (práwi stárzec) ábym wam przyprávy
Jnsze dał ná stoł, y insze potrávy.

* * *

Wiećie to dobrze, iuż to głos nie nowy,
Co zła Armidá w obożie broiłá:
Jáko przednieysze Rycerze y głowy
Ponámawiáłá, y pouwodźiłá.
Więc iáko ná nie włożyłá okowy,
Jáko ie długo w więźieniu trapiłá.
Jáko ie potem posłáłá do Gázy,
Jákie w tem záśię nálázłá przekázy.

Słuchayćiesz dáley: iáka się rzecz sstáłá,
Jáko się gryzłá, y iáko się piekłá,
Kiedy onych swych więźniow postradáłá,
Z wielkiego gniewu, dobrze się nie wśćiekłá:
Ręce od iádu sobie pokąsáłá,
Y wielkiem gniewem zápalona rzekłá:
Oy nie będźieć to, áby się ták śmiele
Chlubił, że mi ták więźniow odbił wiele.

* * *

Niechże sám zá nich niewolnik zostánie,
Niech ćierpi to co oni ćierpieć mieli:
Ale to ieszcze máłeby karánie,
Chce, żeby wszyscy zá niego ćierpieli.
To rzekszy: nową zdrádę myśli ná nie,
Ktoreyieśćie wy dotąd nie słyszeli.
Przyszłá tám kędy od Rynáldá zbići
Jey ludźie beli, á wászy odbići.

* * *

Tám on złożywszy z śiebie blách zwyczáyny,
W inszą Pogáńską zbroię beł ubrány:
Podomno áby snádniey ták uść táyny
Mogł, w ládaiákiey zbroi niepoznány.
Oná záś w iego on blách iednostáyny,
Trupá bez głowy włożyłá wzamiány:
Y przy rzece go porzućić kazáłá,
Wiedząc, że tám iść rotá wászá miáłá.

* * *

Mogłá to wiedźieć, bo szpiegi chowáłá,
Co ustáwicznie tám y sám biegáli:
Co raz od śiebie iednych wysyłáłá,
A drudzy się wzad z obozu wracáli.
Więc y z duchámi często rozmawiáłá,
Co iey nowiny wszystkie powiádáli.
Tám ná ustroniu położyłá ćiáło,
Ktore się práwie do iey zdrády zdáło.

Chytrego duchá blisko postáwiłá,
Ubrawszy go wprzod w pásterskie odźienie:
Słow go iáko miał mowić náuczyłá,
On też uczynił wszystko iey zlecenie.
Ten mowił z rotą, ktora tám iedźiłá,
Y wśiał między was ono złe naśienie:
Skąd potem zwády y niezgody poszły,
Y zámięszánia y bunty urosły.

* * *

Bo iáko chćiáłá wszyscy uwierzyli,
Ze od Goffredá Rynáld beł zábity:
Ale się prętko ludźie obáczyli,
Y fałsz zmyślony prętko beł odkryty.
Tákci Armidá chytrze w oney chwili
Robiłá, á gniew żarł ią iádowity.
Teraz ćierpliwie posłuchayćie máło,
Co się záś potem Rynáldowi sstáło.

* * *

Armidá, iák ow co się báwi łowy,
Dybie nád śćieszką ná skrytem przechodźie:
Tám gdźie się Oront dźieląc wysep nowy
Czyni, y znowu obie łączy wodźie.
Nád rzeką beł słup wielki mármorowy,
Czoln máły blisko: Tám o swey przygodźie
Niewiedząc Rynáld, idźie gdźie zakryta
Stała, y pátrzy, y ná słupie czyta.

* * *

Luboś umyślnie, luboś tu z przygody
Obroćił gośćiu sprácowáne nogi:
Wschodnie, zachodnie kráie, y narody,
Nie máią tego, co ma wysep drogi.
Jeśli chcesz widźieć, przepraw się przez wody,
On záraz idźie prozny wszelkiey trwogi:
Ale iż on czoln máły beł, zostáwił
Giermki swe, á sam tylko się przepráwił.

Skoro tám przyszedł wątpliwy nápoły,
Oczy obraca, ále nic nie widźi:
Okrom wod, sádow, łąk z wonnemi źioły,
Y ták rozumie, że ktoś z niego szydźi.
Jednák on wysep sam ták iest wesoły,
Ze się zá swoie ućiechy nie wstydźi:
Záczem tám uśiadł y przyłbicę złożył,
Potem ná piękney trawie się położył.

* * *

Kiedy ták oney záżywał roskoszy,
Szum nowy y dźwięk rzeká wypuszczáłá:
Y obrácáiąc wkołá swoie rosy,
To ná doł, to ie ná wierzch wyrzucáłá.
Pátrzy, áż naprzod złote widáć włosy,
Potem twarz gładka dźiewká ukazáłá:
Więc pełne piersi, więc insze piękności,
Aż po wstydliwey nátury skrytości.

* * *

Ták więc nierychła Nimphá z nocney Sceny,
Albo Bogini wychodźi leniwa:
A choć prawdźiwey nie doszłá Syreny,
Bo bełá lárwá piekielna fałszywa.
Przedsię się zdáło, że nie więtszey ceny
Bełá gładkośćią Syrená prawdźiwa:
Jáko piękną twarz, ták piękny głos miáłá,
Smiało się niebo kiedy ták śpiewáłá.

* * *

Pokoi May kwitnie moiá piękna młodźi,
Poki was w szátę źieloną ubiera:
Niech wászych młodych myśli nie uwodźi
Zdrádliwa sławá, co się was nápiera.
Ten ktory zá tem co mu lubo, chodźi,
Co owoc swych lat, swego czásu zbiera,
Dopiero mądry: ták chce przyrodzenie,
Ták rádźi ná swe łáskáwe stworzenie.

Czemu ták wieku roskwitłego dáry,
Ktory ták prętko przemiia, miecećie?
Jmię to tylko y znikome máry,
Słowá bez rzeczy, co cnotą zowiećie.
Sławá tá, ktorey palićie ofiáry,
Ktorey z tákiemi trudy pilnuiećie,
Sen, álbo ráczey snu lekkiego ćienie,
Co záraz zginą, gdy ládá wiátr wienie.

* * *

Ciáło, y zmysły, niechay swych záżyią
Roskoszy, niechay swe poćiechy máią:
Niech w niepámięći przeszłe troski kryią,
Przyszłych przed czásem niech nie wspomináią.
Wszystko zá iedno: Niech pioruny biią,
Niech niebá grożą, niechay się gniewáią.
Co rozum, to iest, umieć żyć ná świećie,
Czemuż nátury nie nászládúiećie?

* * *

Tá pieśń, y ten dźwięk oney niezbożnice
Znienagłá myśli w młodźieńczyku łudźił:
Bo zwyćiężony głosem złey zwodnice,
Usnął ták twárdo, choć się był nie strudźił,
Zeby go beły áni trzáskáwice,
Ani grom, áni piorun nie obudźił.
A wtem z zasadki Armidá złośliwa
Biegłá do niego prętkiey pomsty chćiwa.

* * *

Y niosłá serce wśćiekłe y záżárte,
Ale uyrzawszy piękny sen, y oczy
Wdźięcznego śmiechu pełne choć záwárte,
Coż gdy otwárte? coż gdy niemi toczy,
Zmiękczyłá serce ná pomstę upárte,
Y podle niego śiádłá zbywszy mocy:
Y czuie sámá że ią gniew opuszcza,
Ani chćiwego oká z niego spuszcza.

Nátychmiast miękką báwełnicę złoży,
Ktorą mu żywe poty ućieráłá:
Gorąco ktore nań słoneczne wozy
Ciskáły, wiátr mu czyniąc odganiáłá.
Y (ktoby wierzył) swoie skryte mrozy
Ogniem záwártych oczu rozgrzewáłá.
Ták serce miękczy twárda okrutnica,
Z nieprzyiaćiołki nowa miłośnicá.

* * *

Rożey, liliey, ktorey wysep drogi
Ma w sobie dosyć, názbieráła śiłá:
Potem z niey łáncuch piękny, y chędogi,
Y miękki, ále mocny urobiłá.
Ten mu ná szyię, ná ręce, ná nogi,
Ktorem y teraz związány, włożyłá.
Y kiedy twárdem snem uspiony leży,
Wziąwszy go ná woz, po powietrzu bieży.

* * *

Miia Dámászku Páństwá bogátego,
Y zamek ktory wodá w krąg obchodźi:
Ale boiąc się o swego miłego,
W wielki Ocean kryiomo uchodźi.
Gdźie ponno nigdy od brzegu nászego,
Albo zbyt rzadko idą prętkie łodźi:
Tám sobie wysep nie wielki obráłá,
W ktorem od ludźi dáleko mieszkáłá.

* * *

Wysep to máły, y nie zbyt szeroki,
Co od Fortuny ma swoie názwisko:
Kędy ná przykrey gory wierzch wysoki
Chodziła często ná swoie igrzysko.
Tey przez swe czary, rámioná y boki
Nákryłá śniegiem: ále wierzchu blisko,
Głowie iey tylko sámę źieleniłá,
Y ozdobny tám páłac założyłá.

Tám on w ustáwnem Kwietniu, opoiony
Brzydkiemi żywot wiedźie roskoszámi:
Z tego więźienia, z ták dálekiey strony
Wywieść go maćie z tákiemi trudámi:
Ale wczás wiedźćie, że iest osádzony
Páłac y gora pilnemi strażámi:
Jednák nie będą y te miáły mocy,
Będźiećie mieli ná nié swe pomocy.

* * *

Podkaćie Pánią nie uszedszy wiele,
Młodą ná twarzy choćia zeszłá láty:
Ktorą po włośiech zplećionych ná czele,
Y rożnych bárwach poznaćie u száty:
Tá was ták prętko (rzec ták mogę śmiele)
Morzem ná wysep ponieśie bogáty:
Ze ptak Jowiszow słabszem biezy lotem,
Y tá was názad przyprowádźi potem.

* * *

Kiedy pod gurą uyrzyćię Pithony,
Gdźie iest mieszkánie brzydkiey czárownice:
Y wielkie smoki z długiemi ogony,
Lwy, wieprze dźikie, strászne niedźwiedźice:
Wznieśćie tę rozgę, á zárázem w strony
Ućieką smocy, y okrutne lwice.
Ale kiedy iuż ná gorę wleźiećie,
Niebespieczeństwo więtsze mieć będźiećie.

* * *

Na sámem wierzchu w skále źrzodło biie,
Ktore przychęca ludźie uprágnione:
Ale w krysztale przezroczystem kryie
Smiertelne iády chytrze zátáione.
Y kto się z niego bynaymniey nápiie,
Smiech niesłychány leie w opoione,
Smiech niesłychány: bo ták długo muśi
Smiać się opity, áż go śmiech záduśi.

Od nápuszczoney śmiertelnemi iády,
Przebog was proszę, wody ućiekayćie:
Nágotowáne ná brzegu obiády,
Y z trućiznámi potrámy puszczayćie.
Dźiewczyny piękne, słuchayćie mey rády,
Chytre, powábne dáleko miiayćie:
Nie dbayćie ná smiech y ná chćiwe wzroki,
A śmiele idźćie ná zamek wysoki.

* * *

Wewnątrz ná zamku dźiwnie zmurowány
Okrąg ze stem drog wątpliwych uyrzyćie:
Ktory ná kárcie dam wam opisány,
Ze nie zmylićie, y nie zabłądźićie.
Dáley pięknemi źioły málowány,
Z lábiryntámi ogrod obaczyćie:
Tám leżącego Boháterá w chłodźie,
Z swoią kochánąnaydźiećie w ogrodźie.

* * *

A kiedy oná w stronę rzući oczy,
Albo z ogrodá ustąpi do dworu:
Niech przedeń prętko ieden z tarczą skoczy
Dyámentową, niebieskiego wzoru.
Niech się w niey przeyrzy, niechay się w niey zoczy.
Y niech się wstydźi miękkiego ubioru.
Bydź może, że ták widząc swą sromotę,
Tę ták wszeteczną porzući niecnotę.

* * *

Już ia wam więcey powiedźieć nie mogę,
To tylko, że iuż bespiecznie możećie
Wybráć się w swoię naznáczoną drogę,
Ktorą szczęśliwą (da Bog) mieć będźiećie.
Y chowáiąc tę odemnie przestrogę,
Rycerzá názád od niey uwiedźiećie.
Y choć w swe gusłá, y w swe ufa czáry,
Nie dowie się wprzod o was z żadney miáry.

Nie mniey bespieczne tu záśię zwrocenie,
Nie mniey szczęśliwe wzad będźiećie mieli:
Ale iuż ná sen nocne rádzą ćienie,
Y wam też iuż czás bráć się do pośćieli.
To rzekszy wiodł ich, y dáł iem złożenie,
Oni też dłużey báwić go niechćieli.
Y przed się bráli odpoczynki swoie,
A stárzeć odszedł ná zwykłe pokoie.

KONIEC PIEŚNI CZTERNASTEY.

PIESN PIĘTNASTA.

ARGUMENT.

Wźiąwszy Rycerze potrzebne przestrogi,
Bieżą przez morze w niedośćigłey łodźi:
Y widzą iádąc iáko Tyran srogi
Egipski, woyská do gromády zwodźi.
A ták życzliwy wiátr máią, że drogi
Koniec kilku dni więcey nie przechodźi.
Potem ná iednę wyspę wyśiádáią,
Gdźie iuż przekázy wszystkie zwyćiężáią.

Już też dźień piękny wiodł z morzá życzliwy
Promień, y ludźi wołał do roboty:
Kiedy wyszedszy z pokoiu szedźiwy
Stárzec, niosł kártę, rozgę, puklerz złoty.
Czás wam (pry) w drogę, pierwey niż skwápliwy
Dźień wyńdźie ná świát przestrzeńszemi wroty,
Weśćie to ná com wam dał obietnicę,
Tem maćie pożyć chytrą czárownicę.

* * *

Już byli miękkie zostáwili pierze,
Niźli on przyszedł, y iuż beli wstáli:
Y w száty, ktore rabiáią płátnerze,
Swe prácowite członki ubieráli.
A temże szládem wzad mężni Rycerze
Szli, ktory przedtem pod źiemią deptáli.
A kiedy weszli w bystrey rzeki łoże,
Zegnał ich: Jdźćiesz, y prowadź was Boże.

Bierze ich rzeká w swoie wielkie łono,
Wodá ich ná wierzch wynośi bez szkody:
Rownie ták iáko gdy drzewo wrzucono,
Znowu ie ná wierzch wyrzućáią wody.
Nieśie ich rzeká, y poyrzą á ono
Páni poważney y piękney urody,
Co ich miałá wieść przez słonę powodźi,
Już pogotowiu czeká w krzywey łodźi.

* * *

Czoło włosámi kryte wystáwiłá,
Postáwę miałá złożoną z ludzkośći,
A kiedy piękne oko otworzyłá,
Ciskáłá z niego szczyre życzliwośći.
W modroczerwony płaszcz się ustroiłá,
Ktory wydawał tyśiąc odmiennośći:
Ze wszędźie gdźie nań poyrzysz, w káżdey dobie
Zda się inákszy, y niezgodny w sobie.

* * *

Tákie więc gołąb miłośćią ruszony,
U málowáney nośi piorá szyie:
Zsobą niezgodny, y z rożnych złożony
Barw, przećiw słońcu, blásk od niego biie.
Czásem się ták zdá, że Smárág źielony,
Czásem że Rubin zápalony kryie:
A czásem społem mięsza fárby obie,
Y oczy ćieszy w stokrotnem sposobie.

* * *

Wnidź (pry) z tem drugiem Rycerzu cnotliwy
W łodź, co bespiecznie morskie śiecze wody:
Ktorey káżdy wiátr muśi bydź szczęśliwy,
Ktorey łáskáwe wszystkie niepogody.
Wam mię oddawa Tworcá dobrotliwy
Zá przewodniká przez głębokie brody.
Ták białagłowa Rycerzom mowiłá,
Y do brzegu się z łodźią przybliżyła.

Skoro w łodź śiedli, oná wźiąwszy wiosłá,
Odepchnęłá się zárázem od brzegu:
Y rośćiągnąwszy złoty żagiel poszłá,
Y trzymáiąc sztyr pilnowała biegu.
Rzeká spotrzebę wod miałá, y niosłá
Łodź, w on czás ze dżdżu wezbrawszy w zabiegu.
Aczby tá mogłá dlá swoiey lekkośći,
Jść po namielszey wodźie bez trudnośći.

* * *

Pędźi wiátr żagiel złotem przetykány,
Nád przyrodzenie, nád wszystkie zwycźáie:
Około łodźi widáć śiwe piány,
Wodá zá niemi bita szum wydáie.
A wtem ná słone wiezdżáią báłwány,
Kędy ćiekąca wodá iuż ustáie:
Y ták się w wielki Ocean wmięszáła,
Ze áni wiedźieć kędy się podźiáła.

* * *

Ledwie niębieska łodź wielkiego łoná,
Zaburzonego morzá záchwyćiłá:
Jáko náwáłność zaraz uśmierzoná
Zeszłá, y chmury pogoda spędźiłá.
Wodá w wysokie gury ułożoná
Spádłá, y tylko grzbiet kędźierzáwiłá.
Niebo się w bárwę ták piękną ubráło,
Ze się pięknieyszem nigdy niewidźiáło.

* * *

Ná wschod zádáiąc morzu ćięszkie rázy,
Od Askálony w lewo kierowáłá:
Y iuż obfitey blisko bełá Gázy,
Gdźie przedtem swoy port stára Gázá miáłá:
Ale uroszwszy potem z cudzey skázy,
Miástem bogátem y możnem zostáłá.
Po brzegách ludźi ták wiele chodźiło,
Ze ledwie piasku więcey ná nich było.

Z łodźi Rycerze widzą gęste konie,
Y niezliczone po polu namioty:
Y to tám, to sam, zbrony y ku bronie
Przemiiáiące iezdy y piechoty.
Widzą po piaskách wielbłądy, y słonie
Wielkie woienne niosące roboty.
Y z portow nawy ná morze wysłáne,
Y ná kotwicách drugie uwiązáne.

* * *

Jedni ná mászty wielkie żagle wlekli,
Drudzy ostremi robili wiosłámi,
A morze, ktore raz wraz iemi śiekli,
Y ztąd, y zowąd, toczyło piánámi.
Wtem Páni rzecze: Choć Pogánie wśćiekli,
Y brzeg, y morze, zákryli woyskámi:
Przedsię nie wszystek możny Krol zgromádźił,
Jeszcze nie wszystek lud swoy tu sprowádźił.

* * *

Płodnemu tylko bliskich Egiptowi
Zebrał do kupy, inszych czekáć myśli:
Bo ći co śiedzą przeciw południowi,
Y ku wschodowi, ieszcze tu nie przyśli.
Przeto ia tuszę, że się ku domowi
Wroćiemy z drogi nászey pierwey, niżli
Do Pálestyny z woyski się wybierze
Sam, álbo kogo Hetmánem obierze.

* * *

Jáko bespiecznie insze ptástwá miia
Orzeł, y leći pod sámem obłokiem:
Y pod słońce się tak wysoko wzbiia,
Że go náybystrzem prozno doyrzeć okiem.
Ták się łodź własnie niebieska uwiia
Między okręty, po morzu głębokiem:
Ani się żadney obawia pogoniey,
Ginie iem z oczu, prożno myślić o niey.

We mgnieniu oká z Rufią się zrownáłá,
Ktora ná pierwszem z Egiptu noclegu
W Syryey leży: ztámtąd kierowáłá
Do zbyt niepłodney Rynocery brzegu.
Potem wysokiey gory doiechałá,
Wydáney w morze, nie spuszczáiąc z biegu:
Ktorey gniewliwa wodá nogi myie,
Co Pompeiego kośći w sobie kryie.

* * *

Do żyzney dáley bieży Dámiáty,
Y widźi iáko śiedmiorakie rogi
Nyl ukázuiąc, śle trybut bogáty
Oceanowi, przez wielkie odnogi.
Y miásto ktore zbudował przed láty
Grekom wodz Grecki, y mało co z drogi
Fár, ktory wprzod beł obeszły wodámi
Wysep, á teraz złączył się z brzegámi.

* * *

Rhodu y Krety nie doiezdża wźiętey,
Ale gorącey trzyma się Afryki:
Nád morzem żyzney, wewnątrz máło żętey
Prze suchy piasek, y strászny źwierz dźiki.
Więc ku Cyrenie bieży sámopiętey,
Puszcza precz piękney brzegi Mármáryki,
Y Tolomitę, y ćichą miiáią
Lietę, o ktorey śiłá ludźie báią.

* * *

Jáko nádáley záwżdy podeyrzáną
Zeglarzom miia, więtszą Syrtę śliską:
Y głowę w morzę dáleko wydáną
Wielkiey Judeki, y z nią Mágrę bliską,
Miia Trypolim pyszno budowáną,
Y co przećiw niey leży Máltę niską.
Potem Aldzerbę z mnieyszemi Syrtámi,
Wzad zostáwuie, y z Łotofágámi.

Widźi y Tunis, co ma otoczony
Brzeg swego morzá gorámi wielkiemi:
Tunis bogáty, pierwszy z káżdey strony,
Między wszystkiemi miásty Lybyiskiemi:
W bok Syciliyski wysep ma źielony,
Y Lilibeum z rozgámi ostremi.
Tu Páni pálcem Rycerzom skazáłá,
Kędy budowna Kárthágo leżáłá.

* * *

Leży Kárthágo, y ledwie zostáią
Znaki iey śiły, y dawney możności:
Miástá y wielkie Państwá umieráią,
Nákrywa piasek pompy y wielkośći.
A ludźie nędzni ná swoy się gniewáią
Koniec, y swey się wstydzą śmiertelności.
Potem budowną Bizertę widźieli,
Po drugiey ręce Sárdynią mieli.

* * *

Przebiegli brzegi, kędy Numidowie
Błędni mięszkáli, y po teyże stronie
Budzę Algier, gdźie morscy zboycowie
Máią swe gniazdá: Ztámtąd ku Oronie,
Y Tyngitánie, gdźie krokodylowie,
Y lwi się rodzą, y okrutne słonie.
Támten dźiś Fessą, tę Márok názwáną,
Potem kęs daley ku Gránaćie stáną.

* * *

Już się o słupy Alcydy opárłá
Łodź, gdźie Ocean między źiemię wchodźi:
Co bywszy iedną w poły się rozdárłá,
(Jeśli się wierzyć Historykom godźi)
Potem się wodá gwałtem tędy wdárłá,
Ztąd Kálpę ztámtąd Abilę podchodźi.
Gdźie ćiásne morze dźieli z Hiszpanámi
Libią: Ták się świát mieni wiekámi.

Czwarty kroć Słońce ná świát wychodźiło
Jáko się beli od brzegu odbili:
A w port, bo tego potrzeby nie było,
Do tego czásu ieszcze nie wstąpili.
Przeszedszy morze kędy się śćieśniło,
W niezamierzone dopiero wchodźili:
Jeśli tám wielkie gdźie ie źiemiá zwiera,
Coż tám gdźie ono źiemię w się záwiera?

* * *

Już áni Gády zbyt obfitey, áni
Jnszych dwu widáć, źiemiá zućiekáłá:
Brzegow nie widzą Rycerze wybráni,
Niebo wod, wodá niebá dotykáłá.
Wtem Ubáld rzecze: Powiedz piękna Páni,
Coś ná ták wielkie morze záiechałá:
Jeśli tu z świátá nászego bywáią,
Y ieśli ludźie, gdźie iedźiem, mieszkáią.

* * *

Oná iem: Skoro Alcyd pokoy správił,
Pobił Hiszpáńskie, y Libiyskie dźiwy:
Y świát wász przebiegł, tu się iuż zabáwił,
Niechcąc się puśćić w Ocean wątpliwy:
Y słupy wielkie ręką swą postáwił,
Kresy ná śmiáłość, y ná dowćip chćiwy:
Ale te kresy przezeń zámierzone,
Od Ulissesa beły znieważone.

* * *

On ie minąwszy, pierwszy w kruchey łodźi,
Wszedł w otwártego Oceáná brody:
Ale się biegłość nie záwsze przygodźi,
Zginął pożárty od łákomey wody.
Y czego u was niewiedzą powodźi
Te, skryły ćiáło, y iego przygody,
A ieśli też tám kogo wiátr obroćił,
Albo tám zginął, álbo się nie wroćił.

Nieznáne wielkie morze, y nieznáne
Ma niezliczone Páństwá, wyspy, kráie:
Ale są tákże od ludźi mieszkáne,
Y źiemiá żyzne dawa urodzáie.
Y iáko u was w zagony oráne,
Mocy się tákże słoneczney dostáie.
Powtorzy Ubáld: Y to dźiwna spráwá,
Coż tám zá wiárá, y iákie są práwá?

* * *

Oná záś ná to: Rożne są ustáwy,
Rożne ięzyki, rożne stroie máią:
Ci źiemię, ći záś źwierz chwalą plugáwy,
Ci gwiazdom, á ći słońcu się kłániáią.
Są y ći, ktorzy obrzydłe potrawy
Ná stoły kłádą, y ludźie iádáią.
A zgołá wszyscy co zá Kálpą siedzą,
Grubi, okrutni, o Bogu niewiedzą.

* * *

Ubáld zaś ná to: Y to wielka strátá,
Tákli Bog, co swe odkrył świátło wszędźie,
Tę ták przestroną ták wielką część świáta,
Wiecznie podomno zostáwi w swem błędźie?
Odpowie Páni: Zá krotkie tu látá
Wiárá Piotrowá wprowadzona będźie:
Ani ták záwsze będźiećie dálecy
Od siebie, choć to niepodobne rzeczy.

* * *

Przydźie czás, kiedy słupy Alcydowe
Baykámi będą między żeglarzámi:
A wielkie morzá, y Krolestwá nowe,
Bez imion teraz wsławią między wami.
Y ieden okręt, to koło świátowe
Obbieży swemi śmiáłemi żaglámi:
Y ták do słońcá podobny prętkiego,
Zmierzy to koło okręgu źiemskiego.

Pierwszy, wielkiego godny pisorymá,
Ligurczyk poydźie w nieznáiome wody:
Nię spráwi tego niewytrwána źimá,
Ani wiátr srogi, áni niepogody:
Ani dálekie y wątpliwe klimá.
Y inszę ćięszkie ná morzu przygody:
Aby ten umysł iego ták wspániáły,
Utrzymáć groźby ćiásney Kálpy miáły.

* * *

Ty, o Gołębiu napierwszy, wysoki
Swoy mászt nowemu ukażesz Polowi:
Ze choć sto skrzydeł, choć ma wzrok stooki,
Wieść ledwie twemu wydoła lotowi.
Niech Bachá nieśie z Alcydem w obłoki,
O tobie dosyć przyszłemu wiekowi
Ze trochę dotknie: Tá trochá odkryie
Wieczney pámięći godne Historye.

* * *

Ták mowi: á łodź słone wáły porze,
A sztyr ná zachod w biegu obrácáłá:
Y iáko przed nią dźień západa w morze,
Y iáko zá nią wychodźi, widźiáłá.
A własnie w ten czás, kiedy złote zorze
Piękna iutrzenká świátu ukazáłá:
Czarnáwą gorę zdáleká uyrzeli,
Ktora obłoki ostrą głową dźieli.

* * *

Uyrzeli dáley gdy się przybliżyłá
Łodź dáley pod nię, y zginęły chmury:
Ze śrzodek miąszszy miałá, wierzch ostrzyłá,
Ná kształt Pirámid: Z niewidomey dźiury,
W niebo gęstemi dymámi kurzyłá,
Jákie widamy u Sykulskiey gury:
Ktora tę własność, to ma przyrodzenie,
Ze w dźień dym puszcza, á w nocy płomienie.

Potem mniey przykre y mniey niebu krzywe
Gory, y piękne wyspy podiecháli:
Ktore wiek dawny názywał szczęśliwe,
Y zá pewną rzecz ták to udawáli:
Ze iem ták niebo beło przyiáźliwe,
Ze zbożá polá choć ich nie orali,
Y przez się groná dawáły máćice,
Y niesprawione rodźiły winnice.

* * *

Ze tám nie chybią iáko żywo kłosy,
Ze z dębow ćieką dobrowolne miody:
Ze Zephir tylko wieie, że w roskoszy
Bogáte, záwżdy źielone ogrody.
Ze przykrość látu odeymuią rosy,
Ze w naygorętsze czásy záwżdy chłody:
Ze tám bydź polá Elizyiskie máią,
Gdźie dobre dusze po śmierći mieszkáią.

* * *

Tám Páni bieży: Już (práwi) niecknićie,
Nie długo koniec drogi mieć będźiećie:
Wyspy od szczęśćia názwáne widźićie,
O ktorych baiek moc ná wászem świećie.
Prawdá że żyzne, iáko więc słyszyćie,
Ale wieść przedsię więcey o nich plećie.
To mowiąc wprzod się do tey przybliżáłá,
Co się z dźieśiąći pierwsza ukazáłá.

* * *

Wtem Kárzel wstánie y rzecze do Pániey,
Jeśli, o Páni, nic nie omieszkamy:
Uchwyć się źiemie, y posadź nas ná niey,
Niechay te kráie nieznáne poznamy.
Niech iák się to tu wszystko rodźi rániey,
Wiárę ich, stroie, inszem powiádamy.
Miła rzecz kiedy będę odpoczywał,
Po przeszłyeh trudách, rzéć, y iam tám bywał.

Oná záś ná to: Rycerzu waleczny,
Sercá to wásze wspániáłe správwuią:
Ale coż potem? kiedy wyrok wieczny,
Y nieodmienne niebá zákázuią.
Y czás nie przyszedł ieszcze ostáteczny,
Odkryćia świátá ktory obiecuią.
Ani możećie zánieść táiemnice
Oceanowey zá wásze gránice.

* * *

Wam z łáski swoiey Bog nád przyrodzenie
Dał prześć te wody, nikomu inszemu:
Y zdiąć z wielkiego Rycerzá więźienie,
Y przywroćić go świátowi támtemu.
Przestańćiesz ná tem, bo dálsze myślenie,
Upor iest Bogu przećiwny sámemu.
On umilkł: á wtem piérwsza się znizáłá
Wyspá, á druga wierzch ukázowáłá.

* * *

Potem widźieli, że się ku wschodowi
W rząd rościągnione wszystkie náchyliły:
Y w odległośći iednakiey, plácowi
Dawáły mieysce, gdźie morze wpuśćiły.
Kiedy pátrzyli pilnie ku brzegowi,
W śiedmiu się ludźie y domy odkryły:
Bo trzy są puste, y źwierzętá sámy
Máią w nich tylko swe gniazdá y iámy.

* * *

Brzeg w iedney pustey, ze dwiemá rogámi
Dáleko w morze wchodźi zákrzywiony:
Y kryiąc w sobie okryte gorámi
Szerokie łono, port czyni przestrony.
Gorá nád portem z tyłu się z wáłámi
Biie, á przodek w port ma obrocony:
A ztąd y zowąd dwie wysokie skáły,
Błędnem żeglarzom znák ukázowáły.

Wodá pod niemi spokoyna milczáłá,
Ku morzu z gury ćiemny lás wychodźi:
W śrzodku się wielka iáskinia udáłá,
Ktorą płot z bluszczu sámorodny grodźi.
Tu kotew żadna nigdy nie trzymáłá,
Powroz nie wiązał sprácowáney łodźi:
Ná ták ustronne mieysce wyśiadáłá
Niebieska Páni, y żagle zbieráłá.

* * *

Pátrzayćie (práwi) ono pałac leży
Ná wierzchu gory, pyszno budowány:
Tám w proznowániu ná wysokiey wieży,
Chrystusow Rycerz śiedźi poimány.
Jutro, wszak wiećie co ná tem należy,
Jdźćie tám, skoro wznidźie dźień rumiány:
Jutrá czekayćie, to dla tey przyczyny,
Że są szczęśliwsze poránne godźiny.

* * *

Dźiś ieszcze poki dniá zstáie iásnego,
Wysokiey gury przywitaćie progi:
Oni wtem wodzá żegnáli swoiego,
Y przedsięwźiętey chwyćili się drogi.
Rowniná bełá, y trupu żadnego
Niesprácowáne nic nie czuły nogi:
Lecz kiędy koniec mieli swego chodu,
Jeszcze dáleko beło do zachodu.

* * *

Widzą wierzch gory trudno dostąpiony,
Dla nierownych skał, y ostrych kámieni:
Y że po stronách wszędźie na niey śrzony,
Y śniegi: á wierzch tylko się źieleni.
Przy śiwey brodźie z kwieća uplećiony
Włos nieśie, y lod liliey nie mieni:
Y roża kwitnie z wielkiem podźiwieniem,
Ták czáry máią moc nád przyrodzeniem.

Obá pod gurą zákryli się w leśie,
Przyszłey iutrzeyszey czekáiąc roboty:
Potem uyrzawszy, że iuż ná świát nieśie
Z wielkiego morzá słońce promień złoty:
Ná przykrą gorę poszli w onem cześie,
Wźaiemnie sobie dodáiąc ochoty:
Ale pod gurą zárázem u drogi,
Zástąpił iem smok strászliwy, y srogi.

* * *

Łuską nákryty łeb, y wielkie czuby,
Y szyię gniewem nádętą wyciągnął:
A brzuch rozwłokły y ogon zbyt gruby,
Tám gdźie mieli iść ná drodze rośćiągnął.
To w się sam wchodźił, to wielkie przeguby
Wydawał, y sam zá sobą się ćiągnął.
Ták się wielki smok przećiwko niem strożył,
Dármo się iednák y bez skutku srożył.

* * *

Już Kárzeł mieczá dobywał od boku,
Ale go Ubáld uchwyćił zárázem:
Cożʔ chcesz zwyćiężyć okrutnego smoku
Smiertelną ręką, śmiertelnem żelázem.
A sam pomknąwszy śmiele podeń kroku,
Rozgą nań machnął, áż on iednem rázem
Ućiekáiąc w lás, z drogi ustępuie,
Y wolne w gorę przeszćie zostawuie.

* * *

Ale kęs wyzszey lew ryczał straszliwy,
Y wyostrzone ukázował zęby:
Bił się po bokách, wzrok obrácał krzywy,
Język wywieszał z rozdźiewioney gęby.
Grzbiet náieżony, y u wielkiey grzywy
Podnośił strásźne y kosmáte kłęby.
Lecz y ten skoro złotą rozgę zoczył,
Do lásá w stronę wylękniony skoczył.

Kończą swą drogę Rycerze, lecz nową
Zawádę znowu w poł gury zástáią:
Zwierze drapieżne, ktore rożnie zową,
Rożny głos, postáć, y rożny chod máią.
Wszystkie co srozsze, co między Nylową
Wodą, y wielkiem Atlántem mieszkáią.
Y co się lęgą w Hercyniyskiem leśie,
Tám się do kupy zbiegły w onem cześie.

* * *

Ale ná ono strászne zgromádzenie
Libiyskich źwierzow, Rycerze niedbáli:
Owszem (iáki cud) ná máłe machnienie,
Srodzy dźiwowie záraz ućiekáli.
Y ná sámy wierzch przez ostre kámienie,
Już bez zawády żádney wstępowáli:
Okrom że śliskie y nierowne skáły,
Strudzone nogi czásem hámowáły.

* * *

A kiedy trudne przebyli przechody,
Y przez śrzeżogi y śniegi przeleźli:
Zastáli láto y piękne pogody.
Z wielką rowniną, skoro ná wierzch wleźli.
Támże z wdźięcznemi y miłemi chłody,
Wonno wieiące Zephiry náleźli:
Y wiátr przyiemny, ktory nieprzestány
Záwżdy tám wieie, y niema odmiány.

* * *

Nie ták iáko tu, kędy niestáteczny
To znoy, to źimno, to iásno, to chmury:
Lecz tám dźień záwżdy pogody bespieczny,
Y nie zna nigdy mgły wierzch piękney gury.
Cień drzewa záwżdy wydawáią wieczny,
Y źioła zapách, y kwiećie purpury.
Pałac nad pięknem ieźiorem wysoki,
Dálekie wszędźie posyła widoki.

A iż po przykrey y skálistey oney
Gurze się beli Rycerze strudźili:
Już po rowninie wolno szli źieloney,
Y postawáiąc drogę swą kończyli.
A wtem piękny zdroy ktory uprágnioney
Ządzy do siebie wabił, obaczyli:
Ktory z obfitey żyły wody ćiskał,
Y ná co blizsze źiołá wkoło pryskał.

* * *

Potem się wody rożnemi śćieszkámi
Do głębokiego przykopu schodźiły:
Y idąc chłodem, nákryte ćieniámi
Z drzew swoich brzegow, wdźięczny dźwięk czyniły.
Ták przezroczyste że pod kryształámi
Swemi kámieniá drobnego nie kryły:
Brzegi obadwá trawą się odźiały
Między drzewami, ktore rzędem stały.

* * *

Ano zdroy śmiechu: dla Bogá miiaywá
Zrzodłá, skrytemi nápuszczone iády:
Tu uprágnione żądze swe trzymaywá,
Tu niebespieczne puszczaywá obiády.
Przed łagodnemi uszy zátykaywá
Pieśniami, ktore zábiiáią rády.
Wtem dáley poszli kędy się szerzyłá
Wodá, y wielkie ieźioro czyniłá.

* * *

Tám potráwámi nákryte drogiemi
Stoły ná brzegu gotowe czekały:
A dwie nadobne dźiewczynie przed niemi,
Bespiecznie sobie po wodźie igráły:
To sobie twarzy rękoma prętkiemi
Pryskáły wzaiem, to się wyśćigáły.
Czásem szły nurkiem, y nagle ginęły,
Czásem pospołu po wierzchu płynęły.

Choć beli twárdźi, przedsię się zmiękczyli
Obáy Rycerze, y podszedszy blisko:
Długo ná piękne pláwáczki pátrzyli,
Kiedy swe lube kończyły igrzysko.
Wtem pełne pierśi iedná w oney chwili,
Y pod pierśiámi, insze członki nisko
Ukaże, y to co wzrokowi miło,
Dálsze swem rąbiem ieźioro zákryło.

* * *

Jáko iutrzenká prowádząc świt rány,
Z morzá zmaczáne ukázuie włosy:
Lub iáko ná świát urodzona z piány
Oceánowey, szłá mátká roskoszy.
Táka tá bełá, y tak włos piiány,
Y pełny mokrey ukazáłá rosy:
Potem poyrzawszy w kupę się ściskáłá,
Zmyśláiąc że ich dopiero uyrzáłá.

* * *

Y włosy ktore w rog ieden źwinione
Ná czele beły, nagle rospuśćiłá:
Temi, bo beły długie y zgęstwione,
Swe álábástry miękkie zásłoniłá.
Zbiegło iem piękne widzenie strácone,
Lecz tá pięknieysza, co ie iem strácíłá.
Tak y włosámi y wodą odźiana
Obroćiłá się do nich zásromána.

* * *

Rázem się śmiała, rázem się sromáłá,
A śmiech beł w sromie dáleko pięknieyszy:
Srom także w śmiechu, ktorem farbowáłá
Piękne iágody, zdał się bydź wdźięcznieyszy.
Potem ták z niemi łágodnie gadáłá,
Zeby się zmiękczył y naynieludczeyszy.
Fortunni ludźie, ktorem tu życzliwe
Niebá wniść dáły, w te kráie szczęśliwe.

Tu iest port wieczny trudow tego świátá,
Tu odpoczynek: Tu ták żyć będźiećie:
Jáko wiek złoty zá dawnego látá,
Zył sobie wolny, y mięszkał ná świećie.
Składáyćie zbroie, naymnieysza to strátá,
Już ich tu więcey nie potrzebuiećie.
Porzuććie miecze bespieczni całośći,
Jużeśćie teraz Rycerze miłośći.

* * *

Pole wászego boiu od tąd będźie,
Lub miękka trawá, lub usłáne łoże:
My was powiedźiem do tey, co tu wszędźie
Włada, y wieczne szczęśćie wam dáć może:
Tá was postáwi w swych wybránych rzędźie,
A sámá do swych nagrod wam pomoże.
Ale brud pierwey omyićie w tey wodźie,
Y po przeszłem kęs pośniadayćie głodźie.

* * *

Ták iedná rzekłá: A druga ná ony
Powaby, zgodnem pozwalałá okiem:
Jáko się zgadza z dźwiękiem głośney strony
Taniec, to rączem, to leniwem krokiem.
Ale Rycerze máią swe obrony,
Y strzegą áby y mową y wzrokiem:
Jch łágodnośći do sercá nie przyszły,
Y sáme tylko zwierzchnie ćieszą zmysły.

* * *

A ieśli też zmysł czásem ubłagány
Wpuśćił co wewnątrz łágodney słodkośći:
Rozum zarázem w baczenie ubrány,
Odćinał żądze, umarzał chćiwośći.
Ták y ten, y ow szedł nieoszukány
Dáley ná páłac: A te obcych gośći
Nie mogąc pożyć, w wodę się wnurzyły,
Załosne bárzo, że nic nie spráwiły.

PIESN SZESNASTA.

ARGUMENT.

Wchodzą Rycerze do wielkiego dworu,
Gdźie beł w roskoszy Rynáld uwikłány:
On się swych dźierżąc przewodnikow toru,
Uchodźi z niego srodze rozgniewány.
Armidá prośi, płácze do umoru,
Lecz dármo: idźie precz nieubłagány.
Z gniewu swoy páłac Wiedmá zepsowáłá,
Y wlot po rzadkiem powietrzu bieżáłá.

On wielki páłac piękny y ozdobny,
Okrągło beli czárći postáwili:
We śrzodku ogrod bogáty osobny,
W naygłębszem iego łonie wymierzyli.
Wewnątrz rząd gmáchow zgołá niepodobny
Do wybłądzenia, sztucznie uczynili:
A to tám to sám między gęste progi
Szły błędow pełne y omylne drogi.

* * *

Po gładkich stopniách wchodźili do gury,
Przez co naywiętsze do páłacu wrotá:
Ktore ná hakách wypuszczáły mury,
Wszystkie z litego urobione złotá.
Pátrzą z pilnośćią ná piękne figury,
Widzą, że drozsza dáleko robotá:
Tylko nie mowią, ták ie káżdy sądźi,
Lecz y to máią, ieśli wzrok nie błądźi.

Tám beło wszystko właśnie wydrożono,
Jáko Herkules kądźiele pilnuie:
Wprzod niebo dźwigał, á teraz wrzećiono
Kręći: miłość się śmieie y ráduie.
Kęs dáley widzą Jole, á ono
Jgrzysko stroiąc buławę piástuie:
Y ná pieszczonych członkach miásto száty
Lwá Nemeyskiego ma łupież kudłáty.

* * *

Po drugiey stronie śiwemi bálwany
Morzá się bite wiosłámi pieniły:
Srzodkiem dwoisty rząd uszykowány
Stał wielkich galer, co sobie groźiły.
Błask palił morze z gęstych zbroy ćiskány,
Brzegi się suchey Lewkáty świećiły.
Ztąd Antonius Wschod y Egipt wiedźie,
Ztąd záś Augustus z swoiem Rzymem iedźie.

* * *

Rzekłbyś, że wielkie Cyklády pływáią,
Y że się gory spieráią z gurámi:
Z tákiem zapędem strony się mięszáią,
Ták się okręty tłuką z okrętámi.
Już ognie, strzały, oszczepy latáią,
Morze krwią śćiekło okryte trupámi:
Już (á ieszcze się bitwá nic nie chyli)
Smętna Krolowaućieka, iuż w mili.

* * *

Już Antonius zá nią tákże godzi,
Już pánowánia porzuca nadźieie
Wszystkiemu świátu: Owszem nie uchodźi,
Ale tę goni, dla ktorey száleie.
Rzekłbyś pátrząc nań, że się z owem zgodźi,
Ktorego razem gniew, miłość, wstyd grzeie,
A to ná boie pogląda wątpliwe,
To záś ná żagle Krolowey pierzchliwe.

Potem w Nylowe przyięty skrytośći
W iey łonie końcá czekał ostátniego:
Y oczy pásąc w niebieskiey gładkośći,
Ulżywał żalu z wyroku twárdego.
Tákie wyryli Mistrzowie nie prośći
Dźieie, ná bramie páłacu pysznego:
Ktorem skoro się pilnie przypátrzyli,
W omylne progi Rycerze wchodźili.

* * *

Jáko Meánder igra z swoiem biegiem,
To w zgorę wody, to ná doł pomyka:
Y to tám, to sám, niestátecznem brzegiem
Snuiąc się, często zsobą się potyka.
Z tákiem, á ieszcze mylnieyszem zabiegiem,
Szły támte drogi, ále ie odmyka
Dárowna kśięgá, wszystko opisuiąc,
Y zawikłáne węzły rowięzuiąc.

* * *

A skoro śćieszki przebyli wątpliwe,
Uyrzeli pyszny ogrod, w niem ćiekące
Wody przeyrzyste, y kryształy żywe,
Chłodne doliny, págorki kwitnące:
Szczepy roskoszne, drzewá urodźiwe,
Kwiećie bárwiste, y źiołá pachnące.
A co wdźięczności więcey przydawáło,
Misterstwa nie znáć, co wszystko dźiáłáło.

* * *

Zda się (uprávne ták się z zániedbánem
Mięsza) że wszystko náturá sprawuie:
A czásem że to wzorem z niey wybránem
Misterstwo czyni, y iey nászłáduie.
Ktemu sposobem ledwie zrozumiánem,
Y wiátr, y drzewo, Wiedmá ták czáruie:
Ze wiecznie kwitnie, wieczny owoc dawa,
Gdy ieden wyndźie, drugi się dostawa.

Z iednego drzewá figá niedoyrzáła,
A druga wiśi słońcem dowárzona:
Z iedneyże rozgi (iáki cud) dordzáłá
Sliwá wychodźi, z iedneyże źielona.
Gdźie napięknieyszy ogrod, okazáła
Winnicá stoi bluszczem ogrodzona:
Ná niey iágody, tu niedoszłe ráne,
Tu iáko trzebá, tu wpoł fárbowáne.

* * *

Ptástwo po drzewie wita miłe chłody
Ućiesznem głosem, á niebo się śmieie:
Wiátr wolny czyni, że liśćie y wody
Dźwięk czynią wdźięczny, ále rożnie wieie:
Mocniey dmie, kiedy z iednostáyney zgody
Umilknie ptástwo, lżey záś kiedy pieie.
Lub to tráfunek, lub kunszt, szły Muzyki
To ná przemiány, to w złączone krzyki.

* * *

Jeden co piorá rożnemi fárbami
Pomálowáne, á nos miał czerwony:
Wymusnąwszy się gładkiemi skrzydłámi,
(Cud niesłychány) rym śpiewał uczony.
Y iáko człowiek wymawiał słowámi
Zrozumiánemi, ták beł wyćwiczony:
A wszystkie ptástwá pilnuiąc milczáły,
Wiátry ućichły, y pieśni słuchały.

* * *

Widźićie rożą co w poł wychylona,
Dopiero swoie opowieda przyszćie:
Y w puł záwárta, á w puł rozwiniona,
Jeszcze niedoszłe ukázuie liśćie.
Pátrzćie, iáko się ledwie wypełniona
Rozwiia, á iuż więdnie oczywiśćie:
Więdnie, y iuż się nie godźi ná wieńce,
Ani ná Pánny, áni ná młodźieńce.

Tákći śmiertelnych rodźáiow ná świećie
Przemiia ten kwiát wesołey młodości:
Y choć się Kwiećień wraca w káżdem lećie,
On więcey niekćie, y zbywa piękności.
Zbieráymysz rożą, poki w świeżem kwiećie,
Zbieraymy rożą porządney miłości:
Dźiś, owszem záraz, poki nie przeminie,
Poki nie zwiędnie, poki nie upłynie.

* * *

Skoro głos śćisnął w świegotliwey gębie,
Wszystkie mu ptástwá głosem poświadczáły:
Cáłowáły się pieszczone gołębie,
Wszystkie źwierzętá miłośćią pałáły.
Znáć ią w iáworze, znáć ią w twárdem dębie,
Lipy, topole, miłość wydawáły:
W źiemię, y w wodę, y w káżde stworzenie,
Pożądną miłość lało przyrodzenie.

* * *

Między tákiemi idąc powábámi,
Wszystkie roskoszy Rycerze wzgardzáią:
Y obracáiąc ostrożnie zmysłami,
W twárdość, y w stałość sercá ubieráią.
A wtem gęstemi między gáłęźiámi
Wzrok ukwápliwy wszędźie posyłáią:
Aż náostátek uyrzeli ná stronie
Onę ná trawie, onego ná łonie.

* * *

Ná pierśiách miáłá rąbek rozdźielony,
Włos rozczosány po wietrze puśćiłá:
Biały po twarzy rumiáney puszczony
Pot w krople, wdźięku przydawał iey śiłá.
Jáko drży promień ná wodę ćiśniony,
Ták niespokoyne źrzenice toczyłá.
Wiśiáłá nád niem: On ná łonie u niey
Głowę trzymáiąc, wszystko pátrzy ku niey.

Y ták w twarzy iey oczy utopiwszy,
Psuie się nędznik w onem swoiem wczáśie.
A oná głowę do niego schyliwszy,
Śśie wdźięczne ustá, y głodny wzrok páśie.
Wtem tchu z naygłębszych wnętrzności dobywszy,
Westchnął, że ledwie duszá w onem czáśie:
Nie zbiegłá do niey: á Rycerze stoią
Zákryći liśćiem, y widzą co broią.

* * *

Trefny rynsztunek wierćiádło gładzone,
Ná sznurze nośił u pásá: Wtem wstałá:
Y do táiemnic zdawná obrocone
Miłości, w ręce trzymáć mu ie dáłá.
On śmieiące się, oná zápálone
Oczy ma, tá się we śkle przeglądáłá:
Ten sobie gdy wzrok w gładki kryształ kładłá,
Czynił z iey oczu wesołych wierćiádłá.

* * *

Tá z władzey, á ten z niewoley szczęśliwy,
Tá w sobie, ten w niey, swe wynoszą chwały:
Obroć (mowi iey) ná mię wzrok życzliwy,
Obroć wlepiony názbyt w te kryształy.
Czy niewiesz? że twych pięknośći prawdziwy
Wyraz iest ogień, y moie zapáły:
Y lepiey ći ich cudowny kształt, moie
Serce ukaże, niż wierćiádło twoie.

* * *

Byś wżdy swą mogłá twarz iáko nadobna
Obaczyć, żebyś w się obroconemu,
Ktora w wierćiedle nie iest ták sposobna,
Poćiechę dáłá wzrokowi twoiemu.
Ale ták słodki obraz niepodobna
Wyráźić, y w się záwrzeć śkłu máłemu,
Wierćiadłá godne ćiebie sámy nieba,
W gwiazdách ći pátrzyć twych podobieństw trzebá.

Smiałá się ná to, ále nie przestáłá
Przeglądánia się, y zwyczayney wzrzędy:
A skoro w wárkocz włosy powiązáłá,
Y ich pieszczone powćiągnęłá błędy:
Krotsze skręćiwszy, w pierśćienie zebráłá,
Y pięknych kwiatkow náknęła w nie wszędy,
Do przyrodzonych swych liliy włożyłá
Pielgrzymki rože, y rąbek stuliłá.

* * *

Nie ták pięknych barw niezliczone roie
Paw ná oczástem pierzu ukázuie:
Y złota tęczá krzywe kołá swoie
Nie ták pięknemi fárbámi máluie.
Ale nád wszystkie táśmę waży stroie,
Ktorey choć nága nigdy nie zdeymuie:
Sámá ią swemi rękami utkáłá,
A z rożnych nići postáwę snowáłá.

* * *

Pieszczone gniewy, nie szczyre odmowy,
Prętkie ednánia, miękkie cálowánia:
Ućieszne śmiechy, łagodne rozmowy,
Krople słodkich łez, ućięte wzdychánia:
To wszystko rázem puśćiłá w osnowy,
Y mkłem czyniłá czołnkiem przetykánia
Z tákowych nići, y z tákiego pásmá
Byłá kochána Armidźiná táśmá.

* * *

Nápieśćiwszy się, y z niem swoie żárty
Skończywszy, w on czás miłego żegnáłá:
Potem wyszedszy Czárnokśięskie kárty,
Podług zwyczáiu we dnie przeglądáłá.
A on sam został w ogrodźie záwárty,
Z ktorego pięd́zią wyniść mu nie dáłá.
Ták pilnowáłá swego miłośnika,
Ze kiedy bez niey, stał zá pustelniká.

A kieydy záś noc ćienie przynośiłá,
Rádząc ná wczásy y roskoszy swoie:
Do páłácu go zsobą prowádźiła,
Gdźie nocowáli tylko sámo dwoie.
A w ten czás kiedy ogrod opuśćiłá,
Y ustąpiłá ná dálsze pokoie:
Ukázáli się cni Rycerze stroyno,
Z gęstego liśćiá, á obádwá zbroyno.

* * *

Jáko koń dźielny ktory bywał w boiu,
Y nie raz wielkie wygrawał zakłady:
A teraz w paszey przy ćiekącem zdroiu,
Márny małżonek chodźi między stady.
Jeśli usłyszy po długiem pokoiu
Dźwięk trąb woiennych, rże z wielkiey obrády:
Już prágnie chłopá y śiodła ná sobie,
Y w zápomniáney wszystek iest ozdobie.

* * *

Ták się młodźieńczyk porwał, bláskiem bity
Od świetney zbroie w wytrzeszczone oczy:
On duch woienny ktory beł zákryty,
Gore w niem teraz, y nábywa mocy:
Choć beł roskoszą y wczásem opity,
Y zátłumiony: A wtem Ubáld skoczy,
Y niebieskiego dobywszy puklerzá,
Ná młodego go obroći Rycerzá.

* * *

On skoro weyrzał w puklerz wystáwiony,
Uyrzał się sam w niem, y swoie ubiory:
Uyrzał perfumy, uyrzał włos tráfiony,
Y płaszcz w pieszczone złotem szyty wzory.
Miecz podle niego leżał porzucony,
Tylko też leżał: bo trudno do sfory
Miał iść miecz męski doświádczony boiem,
Z miękkiem ubiorem, y z niewieśćiem stroiem.

Jáko gdy się kto mocnem winem spiie,
Po długiem spániu przydźie ksobie zásię:
Ták y on teraz widźi iáko żyie,
Y z gniewu pátrzyć sam nie może ná się.
Wstydliwe oczy wszystko w źiemię kryie,
Pátrzyli, pátrzy w stronę, álbo zá się.
Wlazłby y w ogień żeby go nieznano,
Y w źiemię, by go tylko nie widźiano.

* * *

Wtem Ubáld pocznie: Wielka się záymuie
Woyná Europy, przećiwko Azyey:
Kto sławy prágnie, kto wiárę miłuie,
Przećiw Pogáństwu bieży do Syryey.
Ciebie zá świátem kąt mały hámuie
Prożnuiącego, o Synu Zophiey.
Wszystek się śćiąga świát do Pálestyny,
A ty co? lichey Rycerzu dźiewczyny.

* * *

Co zá sen twárdy ono serce żywe,
Y ono pierwsze opánował męstwo?
Ciebie y Hetman, y woysko teskliwe,
Y szczęśćie czeka, y sámo zwyćięstwo.
Niech Bogu zmierzłe ołtarze brzydliwe
Máchometowe, y Pogáńskie Kśięstwo
Od twego mieczá pádnie dokończone,
Po częśći przedtem przez ćię náchylone.

* * *

Tu umilkł: W mieyscu stoiąc y bez mowy,
Długo się sobie młodźieńczyk dźiwował:
Y dotkliwemi przerážony słowy,
Wstydem rumiáne iágody fárbował.
Skoro wstyd spłonął, z gniewu zapał nowy
Ná twarz surową dopiero wstępował:
Zdrápał ná sobie nieprzystoyne (táki
Gniew go beł uiął) swey niewoley znáki.

Y z śćieszek ktore błędnemi źwikłáłá
Lábiryntámi, ukwápliwy bieżał:
A wtem Armidá wyszedszy uyrzáłá,
Ze stroż u bramy iuż zábity leżał:
Ták się zárázem w on czás domyślálá,
Ze iey kochány z ogrodá wybieżał.
Potem obaczy (o niewymowiony
Zalu) á on wćiąż bieży zápędzony.

* * *

Chćiáłá záwołáć: Postoy, postoy málo,
Ale nie mogłá od żalu wielkiego,
Wymowić dobrze, y słowo muśiáło
Wroćić się názad do sercá smutnego.
Widźi, że iuż coś więtszą śiłę miáło,
Niż iey náuki, co iey y miłego,
Y iey poćiechy wydźieráło gwałtem,
Lecz go przedsię chce wśćiągnąć iákiem kształtem.

* * *

O iáko dźiwnych klątew używáłá
Thessálska Wiedmá, y krzyże kryśliłá:
Stánowić kołá słoneczne umiáłá,
Umárłe z grobow częstokroć budźiłá.
A teraz dármo piekłá záklináłá,
Dármo wrożyłá, darmo się śiliłá.
Potem chce spátrzyć iż klątwá nie może,
Jeśli co gładkość pokorna pomoże:

* * *

Bieży bez wstydu: Gdźie teraz on twárdy
Twoy umysł? gdźie się twá sławá podźiáłá?
Tá gdźiekolwiek wzrok obracałá hárdy,
Swe miłośniki wszędźie kierowáłá.
Ták bełá pyszná, y ták pełná wzgárdy,
Ze w sámey sobie tylko się kochałá:
Chćiáłá żeby ią miłowáli wszyscy,
Lecz wszystkich przedsię miáłá w nienawiśći.

A teraz tego, widząc się wzgárdzoną,
Ktory ią gárdźi, goni w onem cześie:
Y sámę przez się gładkość znieważoną,
We łzy ubráną nagle zá niem nieśie.
Bieży, y nogę niebogá pieszczoną
Stáwia po skále, po śniegu, po leśie.
Wrzask miásto posłá przed sobą śle w biegu,
Ale go ledwie dośćigłá u brzegu.

* * *

O co (pry) część mnie iednę masz przy sobie,
Drugiey odbiegasz, hámuy rącze nogi:
Wroć támtę, álbo weź tę, álbo obie
Zabiy zárázem okrutniku srogi.
Przynamniey słowo niech idźie ku tobie,
Przynamniey słowu nie zábraniay drogi:
Bo cálowánie dármo pewnie niosę,
Jnszey ie choway: Czy nic nie uproszę?

* * *

Stánął młodźieniec ruszony litośćią,
A wtem nádbiegłá smętna upłákána:
Załosna barzo, ále się żałośćią
Nic nie zmieniłá, gładkość niezrownána.
Potem nań milcząc pátrzáłá z pilnośćią,
Lub zámyślona, lubo zágniewána.
On ieśli ná nię pàtrzy, wzrok leniwy,
Y przymuszony, y zdał się wstydliwy.

* * *

Jáko więc śpiewak, niźli pieśń uczoną
Przy iakiey zacney biesiedźie rozczyna:
Wprzod cichem głosem drużynę zwiedźioną,
Do hármoniey gotowáć poczyna.
Ták y tá, choć ták bełá utrapiona,
Zdrad, y fortełow swych nie zápomina:
Wprzod wzdycha, bo ták snadniey sobie tuszy,
Wyćisnąć swoy głos w przychęconey duszy.

Nie czekay (práwi) ábym ćię prośiłá,
Jáko przyiaćiel przyiaćielá prośi:
Było to kiedyś, żem ći bełá miłá,
Czegoć dźiś pámięć urázę przynośi.
Więc nieprzyiaćiel, kiedy miły śiłá,
Słuchay, bo y ten czásem się uprośi:
A możesz mi to, czego chcę, dárowáć,
Y postáremu gniewy swe záchowáć.

* * *

Brzydźiszli się mną, y poćiechę iáką
Ztąd czuiesz, smáku záżywáy swoiego:
Zdrow się ćiesz, znam się, y iam bełá táką,
Nienáwidźiáłam narodu twoiego.
Ciebie sámego, czyniłám wszelaką
Pilność, o skáźie rodźaiu waszego:
Poimáłám ćię, záwiodłam ćię ieszcze
Dáleko boiow, w dźiwne iákieś mieysce.

* * *

Przyday to, co ty zá nawiętszą szkodę,
Y krzywdę kłádźiesz, żem ćię do miłośći
Chytrze ná swoię zwabiłá urodę,
Oszukánie to, wielkie to chytrośći:
Dáć sobie zebráć Pánieństwá iagodę,
Uczynić kogo pánem swey gładkośći:
Y nie iednemu odmowną dawnemu
Miłośnikowi dárować nowemu.

* * *

Niechże zá zdrády, y zá moie winy,
Słusznie od ćiebie ćierpię to karánie:
Ze záto moie opuszczasz kráiny,
W ktorycheś przedtem tákie miał kochánie.
Jedź, nie wśćiągam ćie: masz swoie przyczyny,
Spiesz się ná wiáry nászey zepsowánie.
Co mowię nászey? Ciebie, ách, niebogá,
Ciebie, ách, mieć chcę sámego zá Bogá:

To mi day tylko, co y rozboynicy,
Y nieprzyiaćiel dáie, żebym ztobą
Jść mogłá: Zboycá nie puszcza zdobyczy,
Zwyćięzcá więźniá záwżdy wiedzie zsobą.
Niechay mię woysko widźi, niech tę liczy
Jednę między twą sławą y ozdobą:
Żeś swą fortelną oszukał złośnicę,
Skázuiąc pálcem podłą niewolnicę.

* * *

Ná co się w szaty mam ubierać stroyne,
Y pogárdzone tráfić włosy swoie:
Niechay się skwitną, niech będą przystoyne,
Y niewolnicy należące stroie:
Zá tę zá tobą poydę między zbroyne,
Gdźie naygoręcsze będą wrzáły boie.
Mam moc, mam serce, końbym ći trzymáłá,
Albobym oszczep zá tobą dźwigáłá.

* * *

Y puklerz niosłá: álbobym puklerzem
Sámá się stáłá ná twoię obronę:
Zebym ták przed swem stánąwszy Rycerzem,
Z pierśi mu nágich czyniłá zasłonę.
Może być, żeby cofnął się z koncerzem
Twoy nieprzyiaćiel, y nie bił w tę stronę,
Y nie śięgał ćię przez mię lub z litośći,
Lub zániedbáney folguiąc gładkośći.

* * *

Lecz ná com gładkość wzgárdzoną wspomniáłá:
Gładkość, co skutku nie czyni żadnego:
Jeszcze coś mowić utrapiona chćiáłá,
Ale nie mogłá od płaczu wielkiego.
To ręki, to mu do płaszczá śięgáłá,
Ale go názbyt nálázłá twárdego.
Upárł się zgołá, łzy z śiebie nie puśći,
A miłośći zaś wewnątrz w się nie wpuśći.

Dármo nań miłość łágodna náćiera,
Bo rozum sercá z baczeniem pilnuie:
Ale się litość ná iey mieysce wdźiera:
Co pospolićie z miłośćią społkuie.
Y ták go rusza, że ledwie odpiera
Płáczowi, y łzy z trudnośćią hámuie:
Ale ią przedsię iáko może kryie,
Y ukázuie że go nie pożyie.

* * *

Żal mi ćię (práwi) y bym beł ná woley,
Wźiąłbym ćię z sobą, iáko prośisz, w drogę:
Ale to trudna, ty darmo nie boley,
A weź odemnie życzliwą przestrogę:
Ja się nie gniewam, tyś też nie w niewoley,
Nieprzyiaćiołką zwáć cię też nie mogę.
Prawdá, żeś miáry chować nieumiáłá,
Y w nienawiśći, y gdyś miłowáłá.

* * *

Ale cóż? prozno, powszechne to błędy,
Płeć, wiárá, młodość, y insze pokusy
Wymawiaią ćię, wielkie to są względy,
Y miłość przy tem, co káżdego ruszy.
To precz, ia w szcześćiu y w nieszczęśćiu wszędy,
Chcę twoię pámięć w sercu mieć, y w duszy:
Twoiem Rycerzem będę z káżdey miáry,
Okrom Azyiskiey woyny, okrom wiáry.

* * *

Przebog sromoty z grzechami pierwszemi
Nie wspominaymy, niech iuż będźie po niey:
Niech tu zá morzem zákopána w źiemi,
Zá mną ná on świát nie czyni pogoniey.
Niechay Europá ze dwiemá drugiemi
Częśćiámi niewie, y nie słyszy o niey.
Ty też ná gładkość swoię miey baczenie,
Ná stan Krolewski, y ná urodzenie.

Zostáńże z Bogiem, tobie się nie godźi
Jść zemną, widźisz że moi wodzowie
Zákázuią mi, niechay ći się wodźi
Wszystko po myśli, y szczęśćie y zdrowie.
Armidá widząc że nád nią przewodźi,
Y że się nie dał náchylić iey mowie:
Krzywo pogląda, iákoby się wśćiekłá,
Y do łáiánia potem się ućiekłá.

* * *

Nie Zophia ćię piękna urodźiłá,
Nie z Akcyiskiey krwie iesteś urodzony:
Tygrys ćię mlekiem Hirkáńska karmiłá,
Z Kaukazu iesteś źimnego spłodzony:
Zem to iednego w niem nie obaczyłá
Znáku ludzkośći, że to nie zmiękczony:
Nie zmienił bárwy, nie westchnął y rázu,
Łzy nie upuśćił, podobny żelázu.

* * *

Więc przypátrzćie się złemu człowiekowi,
Moiem się zowie, á tu mię opuszcza:
Y iáko złemu nieprzyiaćielowi
Dobry zwyćięzca urazy odpuszcza.
Jákoć podobny Xenokrátesowi
Czystey miłośći teraz nie przypuszcza:
Więc piorunámi w kośćioły strzelaćie
Mocni Bogowie, á tákich miiaćie.

* * *

Jdźże niezbożny, kiedy ćię nie ruszę
Łzámi, prośbámi, serdeczną żáłobą:
Ale nie długo ćień, y moię duszę,
O okrutniku, będźiesz miał zá sobą.
Gdźiekolwiek stąpisz, wszędźie sobie tuszę
Jść nowa Jędzá z węzámi zá tobą:
A ieśli skryte nie wpádniesz ná skáły,
Y Bog chce, że się do swych wroćisz cáły.

W bitwie między krwią, y między śmierćiámi,
Przypłáćisz mi tey srogośći zginieniem:
Y umieráiąc z wielkiemi mękámi,
Nie raz záwołasz Armidy imieniem.
Tu się zátchnęłá, y zálana łzámi
Nie mogłá więcey mowić, á strumieniem
Zimny pot z niey ćiekł, y pozbywszy mocy
Pádłá ná źiemię, y záwárłá oczy.

* * *

Záwárłáś oczy, y niebáć się srogo
Stáwiły, ánić poćiechy życzyły:
Pátrz teraz, ách pátrz, Armido niebogo,
Jáko żáłosny łzy leie twoy miły.
O iákobyś to zápłáćiłá drogo,
Kiedybyś mogłá słyszeć z iákiey śiły
Wzdycha, áno ćie y teraz z swey łodźi
Zdáleká żegna, y niechcąc uchodźi.

* * *

On co ma czynić? Czy ná gołey ziemi,
Ták iey nápoły umárłey odiedźie:
Tu go żal rusza, tu go záś ostremi
Mus nieuchronny osękámi wiedźie.
Prożno, bo włosy Zephiry lekkiemi
Swe nápełniwszy, przewoźniczká iedźie.
Lecą przez morze, wiátru pełne żagle,
On pátrzy ná brzeg, brzeg się kryie nagle.

* * *

Oná przyszedszy ku sobie, wzrok smutny
Po pustem brzegu w koło obrácáłá:
Y takći iechał, y ták (práwi) chutny
Ućiekł, choć widźiał kiedym omdlewáłá.
By wżdy był trochę poczekał okrutny,
Y rátował mię kiedym umieráłá:
A ia go przedsię szalona miłuię?
Y pátrzę zá niem, y brzegu pilnuię?

Cóż tu po płáczu, trzebá nań inszego
Sposobu szukáć, poydę zá niem szládem:
Naydę go w piekle, naydę go skrytego
Naygłębiey w ziemi, (z tákiem mowi iádem)
Wydrę mu serce, y zćwiertowánego
Powieszę w polu, niech będźie przykładem
Jnszem okrutnem, będę się srożyłá
Nád niem, co plotę? Rozumem stráćiłá.

* * *

W ten czás się beło nędzna dźiewko srożyć,
Kiedyś go miáłá u śiebie w więźieniu:
Teraz iuż nie wczás, iuż go trudno pożyć,
Hámuy się w gniewie, hamuy w utrapieniu.
Bądź co bądź, ia chcę dowćipu przyłożyć,
Chcę się poczuwáć w moiem obelżeniu:
Twoiá to krzywdá gładkośći wzgárdzona,
Ty się tego mśći, żeś ták znieważona.

* * *

Kto mu łeb utnie, y kto go żywotá
Zbáwi, dam mu swą gładkość y urodę:
Wżdyć ktorego z mych dawnych sług ochotá
Ruszy do pomsty, á ia nie záwiodę:
Swoie Krolestwo y gromádę złotá,
Y sámę siebie dam mu zá nagrodę.
Jeślim niegodná kupná z tem towárem,
Prożnem iest gładkość przyrodzenia dárem.

* * *

Już o nię niedbam, y iuż mi nie miłá,
Y tego mi żal, żem wielką Krolową:
Y tego, żem się kiedy urodźiłá,
Y by nie pomstá umrzećiem gotową.
Coś więcey ieszcze kiedy odchodźiłá,
Mowiłá z gniewu rozerwáną mową:
Ták szłá od brzegu, á twarz iey pałáła,
Krzywo pátrzáłá, wárkocze tárgáłá.

A kiedy przyszłá ná páłác wysoki,
Cmy duchow od niey przyzwáne lećiáły:
Słońce pobládło, niebá się w obłoki
Y w chmury w oká mrugnieniu ubráły.
Wiátry szalone gurom tłukły boki,
Ziemiá się trzęsłá, á piekłá ryczáły.
Gdźieś poyrzał wszędźie rożne beły słuchy,
Szumy, szczekániá, gwizdy, zawieruchy.

* * *

Gęste, y czarney nocy rowne ćienie
Ledwie przeyrzáne, obeszły ná koło:
Dniá ledwie co znáć, mdláło przyrodzenie,
Wielki Planetá iásne zákrył czoło.
Nákoniec dźień szczedł, y słońce promienie
Swe ukazáło, ále nie wesoło.
Już więcey zamku niewidáć pysznego,
Znáku go náwet nie naydźie żadnego.

* * *

Jáko obłoki ułożone w gury
Od słońcá, álbo od wiatru znikáią:
Jáko chorego spiącego figury,
Skoro się ocknie, záraz odbiegáią.
Ták páłac znika, á sáme z nátury
Správione skáły, y gury zostáią.
Oná też zá tem ná zwykły woz wśiadłá,
Y przez powietrze ku niebu przepádłá.

* * *

Ták opásána prętkiemi wichrámi,
Hardemi koły obłoki deptáłá:
Y z nieznánemi brzegi mieszkáńcámi
Antárktykowi podległe miiáłá:
Alcydowemi poszłá nád słupámi,
Y u Hiszpanow odpocząć niechćiáłá
Y u Murzynow: ále poszłá biegiem
Dáley, áż bełá nád Syryiskiem brzegiem.

Ztąd do Dámászku swego nie wstępuie,
Y kray oyczysty miia ulubiony:
A ná niepłodny brzeg dyszlem kieruie,
Gdźie beł iey zamek wodą otoczony.
Tám przyiechawszy sługi odpráwuie,
Pánny od śiebie odsyła ná strony:
Osobno mieszka, to kwoli wstydowi,
Ale wstyd prętko ustąpił gniewowi.

* * *

Pierwey (powiáda) niż woyská wschodowe,
Niż Krol Aegipski śiły ruszy swoie:
Skuszę fortelow, wezmę száty nowe,
Miecz, zbroię, sáydak, y żołnierskie stroie.
Co naymocnieysze pobudzę, y owe
Obrocę ná to wszystkie sztuki moie.
O nic, bylem się zemśćiłá niestoię,
Obmow, osławy, żadney się nie boię.

* * *

Jam nic niewinná, wszystko to Stryi sprawił,
Wszystko to správá mego opiekuná:
On płeć mdłą w drogę dáleką wypráwił,
On zemnie naprzod uczynił bieguná.
On w śmiáłość, on mię w bespieczeństwo wprawił,
Jeśli ináczey, godnábym pioruná.
Przeto, czynięli co nieprzystoynego,
Wszystko to z Stryiá przyczyny moiego.

* * *

Skoro to w sobie záwárłá: hániebne
Koszty, y wielkie wydatki czyniłá:
Ná páchołętá, ná pánny służebne,
Ná dwor swoy bárwy kosztowne robiłá.
Y wźiąwszy zsobą rynsztunki potrzebne,
W drogę się z domu záraz wypráwiłá.
We dnie y w nocy nie odpoczywáłá,
Aż do bogátey Gázy przyiechálá.

KONIEC PIEŚNI SZESNASTEY.

PIESN SIEDMNASTA.

ARGUMENT.

Egipt swe woyská w polu popisuie,
Potem ie przećiw Chrześćianom wiedźie:
Ná Rynáldźie się Armidá gotuie
Pomśćić, y z ludem swem ná popis iedźie:
Y sámá siebie przed Krolem ślubuie
Dáć zá nagrodę ná wielkiey bieśiedźie.
On wtem zbroię brał, ná ktorey wyryte
Widźiał swych przodkow dźiełá známienite.

Gazá nád morzem miásto położone
Jest ná gośćińcu tuż przy Pálestynie:
Ku Dámiáćie, á ma niezmierzone
Przyległe piasku suchego pustynie:
Ktory ták wichry mięszáią szalone,
Jáko wiátr morze, y często tám ginie
Nie ieden Pielgrzym, zásuty piaskámi,
Y pogrzebiony wielkiemi zaspámi.

* * *

Krol ią z Egiptu miał zá pogránicze,
Od dawnych czásow wydártą Turkowi:
A iż ná woynę przyszłą (co się tycze
Bliskośći) beła sposobna Krolowi.
Memphim swey dawney odbieżał stolice,
Y tu ią przeniosł: y teraz ludowi
Wszystkie z Páństw swych kazał się tám śćiągnąć,
Chcąc w pole prętko ná woynę wyćiągnąć.

Jáko się w ten czás te Páństwá rządźiły,
Jowiszego powiedz corko rodu:
Jákie Egipski w ten czás Krol miał śiły,
Jáka moc bełá ktorego narodu:
Kiedy się woyská do kupy schodźiły
Z południá y od ostatniego wschodu.
Ty sámá Pánno roty y Hetmány,
Y możesz świát wpoł miánować zebrány.

* * *

Skoro się z mocy Cesarza Greckiego
Egipt wyłámał, wiárę odmieniwszy:
Jeden się z rodu Machometowego
Pánem uczynił, dwor tám założywszy:
Kálif názwány, potem od pierwszego,
Káżdy Krol pierwsze imię swe złożywszy
Kálif się zowie: ták Pháráonowie,
Ták szli porządkiem Ptolomeuszowie.

* * *

Ták się zá láty Páństwo rozszerzyło
Tákiey możności, tákiey beło ceny:
Ze w się Azyą y Libią kryło,
Od Mármáryki y płodney Cyreny.
Po brzeg Syryiski potem záchodźiło
Przećiw Nylowi, zá klimá Syeny.
Ztąd się ćiągnęło do pustyń piaszczystych,
Ztąd Euphratowych do wod przezroczystych.

* * *

W práwo y w lewo w sobie zámykáło
Bogáte morze, y brzegi pachnące:
Y zá morze się czerwone śćiągáło,
Ná wschod y kráie Murzyńskie gorące.
Wielkie bogáctwá, wielkie śiły miáło,
Lecz Páństwo przez się możne y kwitnące.
Możnieysze sam Krol czynił z káżdey strony
W cnotách Krolewskich, w woynach wyćwiczony.

Woiował długo z Turki, y z Persámi,
Wygrawał często, często też przegrawał:
W nieszczęśćiu więtszy, ták twierdźili sámi
Nieprzyiaćiele, niż w szczęśćiu zostawał.
A kiedy się iuż wielkiemi pracámi,
Y láty stárgał, y w śile ustawał:
Odpasał száblę, y zbroię położył,
Lecz żądzey władzey szerokiey nie złożył.

* * *

Jeszcze woiuie przez swoie Hetmány,
Wspániáły w sercu, y poważny w mowie:
Y Monárchiey z wielu Páństw zebrány
Ciężár, nie ćięszki ieszcze iego głowie.
Z Afryką w drobne rozdźieloną Pány,
Ná iego imię drżą máli Krolowie.
Dalecy mu się Indowie kłániáią,
Ci lud ná woynę, ći trybuty dáią.

* * *

Táka możnego Krolá beła śiłá,
Gdy woyská w pole wysyłał zebráne:
Bo go Francuska potęga trapiłá,
Y szczęśćie iemu dawno podeyrzáne.
Tám też Armidá przyszła, y tráfiłá
Práwie, gdy woysko miało bydź pisáne
W przestronem polu, kędy nád pięknemi
Łąkámi iezni miiali z pieszemi.

* * *

Krol w máiestaćie wyniosłem ná gurze
Siedźiał, ná ktory wchodzono stopniámi:
Báldekin złoty rospięty ná sznurze
Wiśiał drogiemi tkány iedwabiámi.
Ten miał nád sobą: sam záś beł w purpurze,
A drogi deptał złotogłow nogámi.
Z miękkiey báwełny zawoy wity wkoło
Zdobił mu skronie, y wesołe czoło.

W ręku miał sceptrum: Brody długiey śiwe
Włosy mu wielką powagę czyniły,
Smiáłość mu oczy wydawáły żywe,
Ktore się láty nic nie odmieniły:
Lubo się ruszył, lub weyrzał, prawdźiwe
Wszystkie postępki Krolewskie w niem beły.
Fidyás ponno Jowiszá tákiego
Uczynił, ále grom ćiskaiącego.

* * *

Jeden Sátrápá przednieyszy, práwice
A drugi boku lewego pilnuie:
Támten miecz trzyma u złotey głowice,
A ten urzędu znák, pieczęć piástuie.
Jeden Krolestwá wszystkie táiemnice,
Y pospolite správy odpráwuie.
Drugi Hetmáni y woyskámi rządźi,
Y rządu strzeże, y występne sądźi.

* * *

A Cyrkásowie po oboiey stronie,
Straż iego wierna, stali mu ná oku:
Ci krom kárácen y oszczepow, bronie
Krzywe nośili u iednego boku.
Ták w ten czás śiedział ná wysokiem thronie,
Wszystkiemu swemu woysku ná widoku:
A roty wszystkie kiedy go miiáły,
Czołámi biły, chorągwie schyláły.

* * *

Pierwszy z Egiptu lud się popisował,
Od czterech swoich wodzow prowádzony:
Dwu gurny Egipt, á dwu wypráwował
Dolny, od Nylu płodnego správiony.
Ten w morze mułu nániosł, y zgotował
Bez wielkiey pracey rodzáyne zagony.
Gdy słońcem przesechł: O iák tego śiłá
Jest wewnątrz, gdźie wprzod brzeg y wodá byłá.

W pierwszem szli połku, co ku zachodowi
W Alexándriyskich rowninách mieszkáli:
Y polá słońcem spalone, brzegowi
Afrykánskiemu przyległe, oráli.
Aráspes było imię ich wodzowi,
A iáko o niem wszyscy powiádáli:
Niemężny, ále fortelow beł pełny,
Y ná woienne zasadki subtelny.

* * *

Wtory połk wiedźie Aronteus, z włośći
Azyiskich, ktore ná wschod się chyliły:
Ten w sobie żadney niemiał swey godnośći,
Ale go zacnem tytuły czyniły.
Jeszcze woiennych nie skuśił przykrośći,
Rane go trąby ieszcze nie budźiły:
A teraz go czći prágnienie ták bodło,
Ze go od wczásow ná woynę wywiodło.

* * *

Trzeći nie beł połk, ále się ták zdáło,
Ze woysko polá niezmierne okryło:
Rzekłbyś, że ich nic w páństwie nie zostáło,
Choćia z iednego miástá wychodźiło.
Miástá, ktore się powiátom rownáło,
Tákie, ták wielkie przestrzeństwo w niem było.
Káir wspominam, z ktorego wychodźił
Lud ten, á Kámpson ich wodz ie przywodźił.

* * *

Gázeł czwarty połk wiodł tych, ktorzy kosą
Blisko Egiptu obfite pszenice:
Y wyzszey, aż tám gdźie z niebieską rosą
Nyl spada ná doł do morskiey gránice.
Egipscy ludźie száble tylko noszą
Y łuki: bo by zbroie y przyłbice
Nie udźwignęli, á w bogátem stroiu,
Chćiwość do łupu, nie strách czynią wboiu.

Z Ptolomáidy potem przechodźili
Mdli nádzy ludźie z Alárkonem swoiem:
Ktorzy się przedtem długi czás żywili
Po pustych brzegách, łupem y rozboiem.
Już lepszy Krolá Sumárskiego beli
Co zá niemi szli, ále wstępnem boiem
Nic nieumieli: Krol Trypolski po niem
Szedł z swoiem ludem dźielnem kręcąc koniem.

* * *

Z obu Arábiy, z skalistey z szczęśliwey
Ludźie po Krolu Trypolskiem miiáią:
Co nocorowniey podlegli życzliwey,
Zbytniego źimná y ćieplá nie znáią.
Gdźie Ambrá rośćie, kędy wiecznożywey
Nieśmiertelności Phenixá widáią:
Ktory ná wonnem gniaździe (ieśli słuchy
O tem práwdźiwe) ma grob, y pieluchy.

* * *

Już ći poprawdźie nie ták beli stroyni,
Ale broń mieli by Egiptczykowie:
Y ták ubráni, y ták beli zbroni,
Po nich szli záráz lekcy Arábowie:
Ci miástá błędne záwżdy niespokoyni,
Wloką zá sobą, záwżdy pielgrzymowie.
Wzrost máły, ćienkie białogłowskie głosy,
Twarz czarną máią, czarne długie włosy.

* * *

Ostremi z końcow żeleścámi tknione
Jndyiskie trzćiny, w biegu z koni miecą:
Ktore ták rącze, ták są nieśćignione,
Ze lekkie wiátry ledwie pręcey lecą.
Pierwsze wiodł Syfax w szeregi sprawione,
Poślednie Aldyn miał pod swoią pieczą.
Trzećie prowádźił Albiádzár zboycá,
Nie Rycerz, ále ráczey mężoboycá.

Zá Albiádzrem záraz przechodźili
Mieszkáńcy wysep obeszłych wodámi:
Ktorzy ná morzu Arábskiem łowili,
Konchy drogiemi bogáte perłámi:
Y czarni z niemi, ktorzy się rodźili
W lewo nád wody czerwoney brzegámi.
Támtych Agrykált, tych iest przełożonem
Ośmid, co káżdem pogardza zakonem.

* * *

Zá niemi potem szli Ethyopowie
Z Meroe wyspy od Nylu správioney:
Y z Astrábory, (jáko się dźiś zowie)
Ná trzy Krolestwá, ná dwie rozdźieloney
Wiáry: Asimir y Kánár Krolowie
Wiedli ich, obá złey sekty mierźioney
Máchometowey, trzeći z żadney miáry
Niechćiał iść z niemi, co beł nászey wiáry.

* * *

Więc dwáy Krolowie z woyskiem ustroionem,
W łuki, w sáydaki, z kráiu dálekiego:
Jeden Krol z Ormus, miástá pięknem łonem
Perskiego morzá, w koło obeszłego.
Drugi z Boekan ná wyspie przestronem,
W łonie wielkiego przystępu morskiego.
Ale kiedy záś morze wzad uchodźi,
Suchemi pielgrzym nogámi przechodźi.

* * *

Y ćiebie młoda żoná Altámorze
Ustáwnem płáczem swem nie utrzymáłá:
Ktora, lub pádły, lub wstawáły zorze,
Ná twoy nieszczęsny odiazd nárzekáłá.
Tákli (pry) wolisz ná strászliwe morze,
Niż ná mię pátrzyć: Czegom doczekáłá?
Ze wolisz dźwigáć brzemię ćięszkiey zbroie,
Niżli piástowáć máłe dźiećię swoie.

Z Sármákánty to Krol beł záwołány,
Ale namnieyszą chwałę miał z korony:
Więtszą z dźielności, bo między Hetmány
Nayprzednieyszemi mogł bydź położony.
Nákarmi pewnie boiu Chrześćiany,
Y da się iem znáć: Lud wiedźie ćwiczony:
Zbroyny, ktory ma kárwásze ná ręku,
Szable u boku, buławy u łęku.

* * *

Aż od dálekiey iutrzenki przyiechał,
Y szedł ná popis Adrást srogi, ktory
Y káráceny, y zbroie zániechał,
Ale miał káwtan z twárdey smoczey skory:
Ná wielkiem słoniu przed Kálifą iechał,
Rowny wierzchowi iákiey máłey gory:
A lud prowádźił, ktory z Gángá piie,
Y w dálekich się Indow morzu myie.

* * *

Zá tem dopiero Rycerze wybráni,
Kwiát piękney młodźi się popisowáli:
Ktorzy Krolewską służbą uwiązáni,
Godne nagrody, y żołd wielki bráli:
Ná dźielnych koniách zbyt pięknie ubráni,
Páná swoiego szeregiem miiáli:
Z świátłá co z pięknych purpur wychodźiło,
Y z zbroy złoćistych, niebo się świećiło.

* * *

Między temi beł Odmár z Rymedonem,
Ktory się często poiedynkiem biiał:
Mężny Hidráot z śmiałem Alárkonem,
Ktory ná morzu długi czás rozbiiał.
Y Ormund dźielny z Tygránem ćwiczonem
W zwodzeniu bitew: Po tych záraz miiał
Marbust Arábski Albráki obfitey,
Co z Arábiey imię wźiął podbitey.

W temże beł połku Albudzár z Pirgántem,
Y z Arymonem Orynd okrutnikiem:
Armin y Brymárt, y z Aryodántem
Bástrágor, co beł sławnem zapáśnikiem.
Furs okroćićiel koni z Mándrykántem,
Y z Agrykáltem wielkiem naieźnikiem.
Tryzafern pierwszy Rycerz, iáko o niem
Twierdźili, lub się pieszo bił, lub koniem.

* * *

Książę Ormiáńskie beł ich przełożony,
Ktory w młodości wiárę Chrześćiańską
Porzućił, przedtem Klemens był rzeczony,
Teraz Emiren, skoro wźiął Pogáńską.
Wierny Krolowi, y znał z káżdey strony
Przećiwko sobie iego łaskę Pańską:
Rycerz y Hetman wielki y z dźielności,
Z sercá, z rozumu, y z umieiętności.

* * *

Kiedy iuż wszyscy przeszli, niespodźiána
Armidá się z swem pocztem ukazáłá:
Y Boháterká krotko ukasána,
Ná złotem wozie sáydáczna iecháłá.
Jey przyrodzona gładkość niezrownána,
Ták się w iey twarzy z gniewem pomieszáłá:
Ze y surowość z oczu iey pátrzyłá,
Y groźiłá społ, y grożąc wabiłá.

* * *

Jey woz beł táki, iáki więc Phebowy
Bywa z Piropow, á woźnicá chwoszcze
Uczenie dyszel kieruiąc wozowy,
Logoszem spięte cztery iednoroszcze.
Ná stu pácholąt białe srebrogłowy,
Y ná stu pánien beły, á potroszcze
Złotá w nie wtkano: Białe konie mieli,
Z łuki, z sáydaki wszyscy, wszyscy w bieli.

Zá pánnámi tusz y zá páchołęty
Jdą iey ludźie, ktore wiodł z Syryey
Od Hidráota Arádyn náięty
Z wielkiego żołdu, rodem z Bithyniey.
Jáko gdy Phenix ná złotych rospięty
Skrzydłách, swey leći do Ethyopiey.
Swiát się dźiwuie, ptástwá gęste wkoło
Zálátuią go, to w bok, to ná czoło.

* * *

Ták się ná ten czás káżdy iey gładkośći,
Y iey urodźie, y stroiom dźiwował:
Y żaden nie beł ták wielkiey twárdośći,
Zeby się tám beł iey nie rozmiłował.
A choć w gniewliwey bełá surowośći,
Káżdyby ią beł sobie rad zhołdował.
A? kiedy w śmiech twarz wesołą oblecze,
Kámienie miękczy: Coż serce człowiecze?

* * *

Skoro minęłá, Krol z tronu wielkiego
Kazał do śiebie przyść Emirenowi,
Chcąc go Hetmanem mieć woyská swoiego,
Y Generałem wszystkiemu ludowi.
Ktory iuż wieszczek mieyscá ták zacnego,
Niosł godne czoło temu urzędowi.
Cyrkasowie się zbroyni rozstąpili,
Y przez lud gęsty drogę mu czynili.

* * *

On głowę schylił, y padł ná koláná,
A Krol do niego z poważną postáwą:
Ciebie (powiáda) chcę mieć zá Hetmáná,
Ty rządź tem woyskiem, ty władáy buławą.
Jedź wyzwol záraz Zydowskiego Páná,
Jdź mu ná odśiecz, niech zá twoią spráwą
Nieprzyiáćiele padną poráženi,
Do ostátniego szczętu wyniszczeni.

Emiren zátem wielkie czynił dźięki
Ná maiestaćie Krolowi wielkiemu:
Z niezwyćiężoney (práwi) biorę ręki
Buláwę, szczęśćiu ufáiąc twoiemu:
Y tuszę, że krzywd przypłácą przez dźięki
Nieprzyiaćiele, Páństwu Azyiskiemu.
Przegráią da Bog: Co ieśli mię minie,
Z sławą Emiren nie z sromotą zginie.

* * *

Y ieśli nam co złego obiecáli
(Czego nie tuszę) gniewliwi Bogowie:
Niech się to wszystko ná moy łeb obáli,
Niech to zostánie tylko ná mey głowie:
By iedno woysko zdrowo záchowáli,
Niechay mię inszy pogrzebą wodzowie.
Niech tryumphálne będą nie żáłośne
Pompy: Wtem w trąby uderzono głośne.

* * *

Ták w pyszny namiot wszedł między dźwiękámi
Wielki Krol z swemi wodzámi pospołu:
Gdźie należnemi uczczeni mieyscámi,
Siedli porządkiem u niszszego stołu.
Jednych ćźił mową, drugich potráwámi,
Puśćiwszy wodze wesołemu czołu.
Armidá záraz z swą chytrośćią iedźie,
Przy dobrey myśli, przy oney bieśiedźie.

* * *

Po odstáwieniu stołow gdy uyrzáłá,
Ze ná nię chćiwe oczy obroćili:
Y z swoich znákow zwyczáynych poznáłá,
Ze wszyscy ogniow skrytych záchwyćili.
Udátnie z stołká swoiego wstawáłá,
Y szłá przed Krolá, chcąc się w oney chwili
Udáć zá mężną y twarzą surową,
Y nie swoiey płći, ále męską mową.

Y ia, o Krolu, chcę choć białagłową,
O oyczyznę się y wiárę kosztować:
A co więc bywa między ludźmi mową,
Ze nie przystoi Krolowey woiować:
Y sceptrum, y miecz (u mnie to są słowá)
Jedneyże dáią ręce: Kto krolować
Chce, niechay zabaw Krolewskich użyie,
Y moiá ręká, iáko druga biie.

* * *

Nie pierwszy to dźień, w ktorym chęći swoie
Do boiow y do woyny obroćiłá:
Jużem ia nie raz y o Páństwo twoie,
Y o wiárę się z Chrześćiány biłá.
Y podomnoć kto powiádał, com w boie
Dokázowáłá, y com w nich czyniłá:
Y wiesz iákom ći wypráwiłá w dáry
Więźnie przednieysze Chrystusowey wiáry.

* * *

Ci wszyscy beli odemnie dostáni
W pewney utarczce, y w pewney potrzebie:
Y do tych czásow byliby trzymáni,
W wiecznem więźieniu podomno u ćiebie:
Y tybyś teraz áni woyny, áni
Tych prac ponośił, y nie trudźił śiebie.
By był nie Rynáld zdraycá, ktory moie
Ná drodze pobił, y wyzwolił swoie.

* * *

Znaćie go ponno, y tu wiele rázy
Wspomináią go, y spraw iego śiłá:
Od tego tákie odnoszę urázy,
A iam się dotąd ieszcze nie zemśćiłá.
Y tá przyczyná, żem dla iego skázy
Ná tę się woynę do ćiebie puśćiłá.
W inszy czás powiem iákom ukrzywdzona,
Teraz chcę pomsty zá to, żem zelżona.

Stáram się o to: Wżdyć oku miernemu
Nie káżda strzałá dármo wylátuie:
Ale y Bog sam przećiwko winnemu,
Z ukrzywdzonych rąk czásem ią prostuie.
Jednák kto zdraycy utnie łeb moiemu,
Y ktory mi ią ućiętą dáruie:
Aczbym ći sámá rádá się pomśćiłá,
Będźie mi pomstá z iego ręki miłá.

* * *

Ták będźie miłá, że zá iego stánie,
Podka go słuszna odemnie nagrodá:
Krolestwo mu się w posagu dostánie,
Y iakokolwiek tá moiá urodá.
Przyśięgam ná to, karz mię mocny Pánie,
Jeśli nie strzymam: Więcey mowić szkodá.
Przeto, ieśli kto chce nań ważyć zdrowie,
We mnie korzysta, niechay się ozowie.

* * *

Gdy ták Armidá wszystkich zápaláłá,
Adrást w niey záraz utopił wzrok chćiwy:
Nie day (pry) Boże, ábyś ty nań miáłá
Z ták piękney ręki poćiągnąć ćięćiwy.
Niegodźien náwet, ábyś nań zmierzáłá
Niebieskiem okiem zdraycá niecnotliwy.
Odpráwię ia to, mnie słusznie tákowa
Pomstá należy, o piękna Krolowa.

* * *

Ja mu łeb utnę, y strzymam to cále,
Już może prętkiey pewien bydź swey zguby:
Ták w ten czás mowił Adrást śmiáły, ále
Nie mogł mu wytrwáć Tyzáfern tey chluby.
A tyś kto (práwi) ktory ták zuchwále
Mowisz przy Krolu, przy nas, chłopie gruby.
Milczą tu drudzy choć mężnieyszy: A ty
Ták się skoro wprzod wymykasz przed swáty.

Odpowie Adrást: Ja nie mowię wiele,
Y dáremnych słow nierad puszczam zgęby.
Ale by nie tu, nie rzekłbyś ták śmiele,
Y po ziemibyś pewnie zbierał zęby.
Szli do gorszych słow, ále Krol ná czele
Ukazał z gniewu pomarszczone wręby.
Y kinął ná nich: Potem rzekł Armidźie,
Masz męskie serce przy pánieńskiem wstydźie.

* * *

O piękna pánno, y godnáś áby ći
Obá urážyć swoie dárowáli:
Y do tey pomsty od ćiebie użyći,
Zgodnie swe śily ná to obracáli.
Y wy Rycerze mężny, niepożyći,
Lepiey żebyśćie te gniewy chowáli
Ná tego zdraycę: Oni wtem Krolowi,
Y iey mowili, że beli gotowi.

* * *

A nie tylko ći dwáy Boháterowie
Ofiárowáli swoie gotowośći:
Ale y insze przednieyszy wodzowie
Przyśięgali się mśćić iey zelżywośći.
Ták wiele mieczow przećiw iego głowie
Ostrzyłá w ten czás mocą swey miłośći:
Ale on skoro odbił się od brzegu,
W szczęśliwem kończył swoię drogę biegu.

* * *

Tąż drogą właśnie przewoźniczká iedźie,
Ktorą się bełá iádąc tám puśćiłá:
Y tamże swoy sztyr obráca y wiedźie,
Y tákże łodźi iáko wprzod szczęśćiłá.
Młodźieńczyk pátrzy ná zimne Niedźwiedźie,
Widźi Arktura, y gwiazd mnieyszych śiłá:
Y Oryoná, czásem wzrok rzekámi,
Czásem wielkiemi zábawia gurámi.

Czásem się pyta, iáko odiecháli
Woyská, więc iákie ktorego narodu
Zwyczáie: Owá ták długo iecháli,
Aż słońce beło czwarty kroć u wschodu.
Jnż też mierzkáło kiedy wyśiádáli,
Y kiedy ná ląd szli z morskiego brodu.
Wtem Páni rzekłá: Czás wam do noclegu,
Ná Pálestyńskiem iużeśćie tu brzegu.

* * *

To rzekszy żagle y insze naczynie,
U niebieskiego zostáwuie promu:
A sámá z oczu ták iem nagle ginie,
Jáko więc słowo przydźie wyrzec komu.
Już też noc bełá, piászczyste pustynie
Widzą, y to źle: lecz żádnego domu
Widźieć nie mogą, áni drogi znáku,
Nieznáć ludzkiego, ni końskiego szláku.

* * *

Y ztąd y zowąd pátrzáią pomocy,
Potem ku morzu obrośili tyły:
A gdy szli dáley, blász z dáleká w oczy,
Y iásne iákieś promienie ie biły.
Ktore swem złotem świátłem, ćiemney nocy
Mrok oświecały, y rzadki czyniły.
Jdą tám gdźie się świátło ukazáło,
Potem obaczą, co się ták błyszczáło.

* * *

Widzą ná niskiem Cyprysowem krzaku,
Ku mieśiącowi zbroię záwieszoną:
Y ták ná zbroi, iáko ná szyszaku
Perły sádzone ręką náuczoną.
Widzą támże tarcz wiszącą ná haku,
W piękne obrázy wszędźie wydrożoną:
A mąż szedźiwy co tego pilnował,
Skoro ich uyrzał, ku niem náśtępował.

Kárzeł z Ubáldem skoro go zoczyli,
Ták przyiaćielá poználi dawnego:
Záczem go obá chętnie pozdrowili,
Y wźáiem beli witáni od niego.
Wtem obroćiwszy oczy w oney chwili,
Do Bohátyrá życzliwe młodego.
Ták począł: Ciebie ták pozney godźiny
Czekam, á powiem dla ktorey przyczyny.

* * *

Jákiegom żáżył dla ćiebie stáránia,
Y com uczynił w twey własney potrzebie:
Ci wiedzą, ktorzy z mego ukazánia,
Przez wielki się brod pławili dla ćiebie.
Słuchayże mych słow rożnych od śpiewánia
Zdrádliwych Syren, á miey ie u śiebie:
Poki ćię inszy mową świętobliwą,
Nie náprowádzi ná drogę prawdźiwą.

* * *

Nie w miękkiem pierzu Rycerzu wspániáły
Między Pániámi sławá ma mieszkánie:
Ale ná wierzchu bárzo przykrey skáły,
Gdźie nie postoi nigdy proznowánie.
Kogo roskoszy sprosne uwikłáły,
Kto nie prácuie, ten iey nie dostánie.
A ty będąc ptak wysokiego łotu,
Chcesz się niskiego w dole trzymáć płotu?

* * *

Twarz ći wyniosłą náturá stworzyłá,
Y śiły do prac, y serce gotowe:
Myśl ći wspániáłą wysoką spráwiłá,
Abyś szedł w zgorę, przez śrzodki tákowe.
Gniew w ćię gorący y prętki włożyła,
Nie żebyś go miał ná zwády domowe:
Y ná rosterki między swemi użyć,
Albo iem żądzey bezrozumney służyć.

Ale, żebyś weń dobrze uzbroiony,
Nieprzyiaćioły potężniey woiował:
Y żebyś więtszą śiłą opátrzony,
Chćiwość y żądzą niezbedną hámował.
Przeto go obroć ná coć pozwolony,
Niechby iem twoy wodz y stárszy száfował:
Ten będźie wiedźiał kiedy go popuśćić,
Kiedy go wśćiągnąć, kiedy go nie puśćić.

* * *

Ták mowił stárzec w powagę ubrány,
A on się wstydźił, y wzrok ná doł zchylił,
Bo ták rozumiał, że one przygány
Nań się śćiągáły, iákoż się nie mylił.
Obaczył stárzec że beł zásromány,
Y że się w niem wstyd co raz bárźiey śilił:
Nie wstydź się (práwi) ná tey tarczy synu,
Uyrzysz wielką część przodkow twoich czynu.

* * *

Uyrzysz w niey sławne y bitne twe dźiády,
Uyrzysz ich męstwo z dźiełámi wielkiemi:
A ty do tych dob ták znácznemi szlády,
Leniwo idźiesz w tem plácu zá niemi.
Pobudź się synu, á bierz z nich przykłády,
A zá przodkámi nástępuy twoiemi.
Kiedy ták stárzec powiádał szedźiwy,
Młodźieńczyk ná tarcz obrácał wzrok chćiwy.

* * *

W ták ćiásnem polu od Mistrzá mądrego
Ták wiele figur beło w rzędźie długiem
Wyrytych, iáko z rodu Akciyskiego
Nierozerwánie szedł ieden zá drugiem.
Y nie zmąconem strumieniem z dawnego
Rzymskiego źrzodłá, ćiekłá iednem cugiem
Jch krew szláchetna: Stoią cni wodzowie,
Laurowe niosąc korony ná głowie.

Stárzec káżdego dźiełá ukázuie,
Kaiusá naprzod, iáko go wołáły
Przyległe miástá: á on ie przyimuie,
Y ná Eście Pan zostáie wspániáły.
Jáko y drugiem obronę gotuie,
Co się pod iego skrzydłá ućiekáły.
Gdy w náchylonem Cesárstwie narody
Obce, czyniły niepoięte szkody.

* * *

Y kiedy drogą wiádomą Gottowie
Przeszli, y srodze kray Włoski palili:
Kiedy się Rzym bał bárzo o swe zdrowie,
Aby go beli z gruntu nie zniszczyli.
Gdźie przy Aurelim Akciyskiem swey głowie
Cáli zostáli, ći co pod niem byli.
Potem Forestá skazał, co Hunnowi
Septemtryonu odpierał Krolowi.

* * *

Dobrze Attyllę wyráźił uczony
Mistrz, ze pśiem pyskiem, co ná wźięćie czekał
Aquileiey, wzrok miał zápalony,
Byś go znał, rzekłbyś, że wárczał, y szczekał.
Y widźieć beło kiedy zwyćiężony
Ná poiedynku między swe ućiekał.
A Forest bronić zostawał gotowy
Aquileiey, Włoski Hektor nowy.

* * *

Ná inszem mieyscu Mistrz beł wyrysował
Jego los, y śmierć, iáko niebá chćiáły:
Potem ná Páństwo dźielny następował
Akáryn, po swem oycu pozostały.
Nie Hunnom, ále Boskiem ustępował
Wyrokom Altyn, Altyn mężny śmiały:
Y rosproszone potem wśi gromádźił,
Y z nich nád Padem wielkie miásto sádźił.

Wysokie támy suł niesprácowány,
Broniąc się wodźie, co ie podlewáłá:
W ktorem ná dźielne cne Esteńskie Pány,
Przyszłego czásu stolicá bydź miáłá.
Zdáło się że bił y gromił Alány,
Lecz go Fortuná potem odbieżáłá,
Gdy z Odoákrem bitwę zwiodł: w tey ginie,
O szczęśliwa śmierć, z ktorey wiecznie słynie.

* * *

Legł z niem Alfryzy, skaran beł wygnániem
Akcyus z bratem, Rycerz znamienity:
Ale się wrocił, skoro zá skarániem
Boskiem, beł Herul zły Tyran żabity.
Esteński idźie Epáminund zá niem,
Przez práwą ostrą strzałą brew przebity:
Bolu nie czuie choć ráná niemáłá,
Kiedy Totyłá przegrał, á tarcz cáła.

* * *

O Bonifácem powiádam potężnem,
Zá niem syn idźie Wáleryan máły:
Jeszcze dźiećiná, á iuż beł ták mężnem,
Zeby go Gotskie hufce nie strzymáły.
Blisko z Słowáckiem bił się woyskiem ięznem
Ernest, postáwą srogi, y zuchwáły:
Przed niem kęs dáley widáć Aldoárdá,
Kiedy z Krzemieńcá gnał Krolá Lombárdá.

* * *

Berengár máiąc przy sobie Henryká,
Z Kárłem Cesárzem ćiągnął do Pániey:
Zá pierwszego go miano naieźniká,
Gdy w woysku służył Fráncuskiey liliey.
Przećiw wnukowi Cesarz słał Ludwiká,
Ktory od niego zbity, do Fráncyey
Beł posłan: y tám do więzienia wźięty,
Támże beł z syny Otton sámopięty.

Po niem Almeryk tuż beł wydrożony,
Ktory Ferarskiem Márgrábią zostawał:
A z nabożną beł twarzą wyrážony,
Jáko kośćioły bogáto nádawał.
Wtory Akcyus támże beł włożony,
Co z Berengarem w woynie nie ustawał:
Y po odmiennem szczęściu (zácne plemię)
Zwyćiężywszy go, rządźił Włoską źiemię.

* * *

Ano y Olbrycht do Niemiec wezwány,
Sławny ná służbę Cesárską przyięćiem:
Ktorego Otton kiedy pobił Dány,
Wielkiem posagiem kupił sobie źięćiem.
Ano y Ugon, co skroćił Rzymiány,
Pod niemi zamku obronnego wźięćiem:
Ktory Márgrábią Włoskiey źiemie został,
Y Tuszkany záś prętko potem dostał.

* * *

Támże Bonfác szedł, przy niem w piękny státek
Ubrána iego Beatá śiedźiáłá:
Gdźie iuż wielkiego rodu beł ostátek,
Y wszystká męska linia ustáłá.
Ale y liczby, y płći nie dostátek,
Cna iedynaczka hoynie nágradźáłá,
Piękna Mátyldá: ták czepiec plęćiony
Przechodźi czásem Sceptrá y Korony.

* * *

Z oczu iey dźielność męska wychodźiłá,
Pátrz iáko bie hárdego Normándá:
Znáć beło iáko zbitego goniłá,
Y doiezdżáłá w pogoniey Guiscárdá.
Dáley czwartego Henryká gromiłá,
Y chorągiew mu (iáko wielka wzgárdá
Cesárska) wźięłá, y Papieżá potem
Ná Watykánie posádźiłá złotem.

Akcyus piąty, to zá nią, to z strony
Szedł, iák ow, co ią y czćił, y miłował:
Lecz z Akcyusá czwartego puszczony
Rod się w obfitsze gałęźie záymował.
A Gwelf do Niemiec, o co beł proszony
Syn Konegundźin w drogę się gotował.
Y ták piękny szczep Rzymski rosł po woley,
Ná Báwárskiego polá zyzney roley.

* * *

Tám Gwelf w Gwelfonow sam przez się niepłodny,
Esteńską rozgę pniak wszczepioną wpuśćił:
Y swoich Gwelfow zwykły owoc rodny
Y Sceptr, y Koron, obfićie wypuśćił.
A nieho mu deszcz zdárzyło pogodny,
Ze się szeroko gałęźiámi puśćił:
Już z niego drzewo wysokie urosło,
Ktore po wszystkich Niemczech ćień rozniosło.

* * *

Lecz niemniey piękney zacney látorośli,
Rozgi się w źiemi Włoskiey roskwitáły:
Tám Bertold, tám z niey inszy wielcy rośli,
Tám swoie przodki odnawiał wspániáły
Akcyus szosty: Ták co z tey krwie poszli,
Figury, zda się, iákby się ruszáły.
A Rynáld w sobie z dźieł ták wielkich ludźi
Chćiwość do męstwá przyrodzoną budźi.

* * *

Sławá, ták iego myśli pobudzoną
Zágrzewa smákiem, y nagrodą swoią:
Ze miástá wźięte, woyska porážone,
Páństwá podbite w głowie mu się roią:
W serce mu wlázły głęboko wrážone,
Zda mu się, że mu przed oczemá stoią.
Wdźiáł zbroię ná się, ták go żądze grzeią,
Ze iuż zwyćięstwa uprzedza nádźieią.

Lecz Kárzeł, ktory przedtem mu Szwedzkiego
Dźiedźicá z świátem powiedźiał rozstánie:
Weź (mowi) ten miecz Rycerzá wielkiego,
Weź go szczęśliwie, po mem pierwszem Pánie.
Ná rożmnożenie go Chrystusowego
Zakonu użyi: Niech moy Pan zostánie
Zemszczony przez ćię, iam ći go dochował,
Wszák wiesz, iáko ćię Krolewic miłował.

* * *

On ná to: Niech Bog zdárzy dobrotliwy,
Aby miecz, ktory biorę z twoiey ręki,
Zemśćił się swego Páná, y złośliwy
Pogánin przezeń gárło dał przez dźięki.
Zátem prętkiego Kárzeł skutku chćiwy,
W krotkie záwierał słowá wielkie dźięki:
Bo y sam stárzec broniąc dłuszszey mowy,
Mowił, że ich beł prowádźić gotowy.

* * *

Widźićie (práwi) że iuż dźień zápásem,
Lepiey żebyśćie zá mną się událi:
Ja was powiodę, y w oboźie wászem
Stáwię, byleśćie záraz wyiecháli.
Wtem szedł do wozu stárzec onem czásem
Oni też, iáko roskazał, wśiádáli:
On koni biczem po bokách záymuie,
A ná wschod słońcá dyszel swoy kieruie.

* * *

Co raz złotego popuszcza rzemieniá,
A do Rycerzá ták mowi młodego:
Nápátrzyłeś się do woley korzeniá
Pięknego drzewá, rodzáiu twoiego:
A choćia z niego ták wiele plemieniá
Bohátyrskiego szło z wieku dawnego:
Nie mniemay, áby miáło przestáć rodźić,
Y żeby mu co stárość miáłá szkodźić.

A iákom ći tu twoich przodkow sławnych
W międźi ukazał wyrobione sztuki:
Ktorzy ná świećie żyli zá lat dawnych,
Tákbych ći przyszłe rad ukazał wnuki:
Y uczynić ich iáko stárodawnych,
Znáiomych świátu, bych miał zto náuki.
Widźiałbyś tákże długie rzędy twoich
Potomkow, nie mniey sławnych z dźieiow swoich.

* * *

Aleć się przyznam, że ia przyszłych rzeczy,
Zupełney zgołá niemam wiádomośći:
Ale iáko to mdły iest wzrok człowieczy,
Jáko przezemgłę widzę te skrytośći.
Jednákći powiem, ácz ponno nie krzeczy
Twierdźić to, y ia nie mam zto śmiáłośći:
To co mi ieden nie dawno powiedźiał,
Co bez zasłony przyszłe rzeczy wiedźiał.

* * *

On mi powiedźiał: á iemu przedwieczne
Swiętego Duchá świátło obiáwiło:
Ze w dawne wieki y w te ostáteczne,
Tákiey krwie w Rzymie, w Grecyey nie było:
Ktoráby dáłá męże ták waleczne,
Y ták ich wiele, iákoć przeznáczyło
Zyczliwe niebo, ktorzy w męstwie miną
Pierwszych, co w Spárćie, y co w Rzymie słyną.

* * *

Między inszemi ná myśl mi przychodźi,
Dźielnośćią pierwszy, á tytułem wtory
Alfons, ktory się w ubogi urodźi
Wiek w ludźie wielkie, y dźielne, y ktory
Wzorem bydź może wieku swego młodźi
A ták go sławá wynieśie do gory:
Ze wszystkich przeydźie, lub weźmie buláwę,
Lub sceptrum, lubo żácznie iáką spráwę.

W dźiećinnem wieku wielki dánk odnieśie,
To w podobieństwách woyny, to w myślistwie:
Nie wyśiedźi się źwierz w naygłębszem leśie
Pierwszy w turnieiách będźie y w gonitwie.
Potem w prawdźiwych woynách, w káżdem cześie
W sławi się w boiu, y nie w iedney bitwie:
Często będźie miał ná wierzchu swey głowy,
Wieniec Laurowy, Trawiány, Dębowy.

* * *

Nie mnieysza chwałá z láty dostalszemi
Podka go, swoy kray záchować spokoyny:
Y Páństwo między sąsiády możnemi,
Zátrzymáć cále w okoliczne woyny.
Mnożyć náuki z dowćipy pięknemi,
Koszt ná Krolewskie pompy czynić hoyny,
W kaźniách, w nagrodách, swą miárę záchować,
Przyszłę z dáleká rzeczy upátrować.

* * *

O gdźieszbysz to on z zobopolney zgody,
Beł ná niezbożne plugáwe Pogány:
Ktorzy ná ten czás y źiemię y wody
Náiezdźáć będą, Hetmánem obrány:
Jákoby prętko zá ták wielkie szkody,
Y pogwałcone ołtarze skarány
Bnł hardy Tyran, pomstą spráwiedliwą,
Y z swoią sektą sprosną y brzydliwą.

* * *

Nie wśćiągnąłby go z Murzynem bogátem,
Turczyn z swą sławną Jánczárską piechotą:
Bełby niedługo zá wielkiem Eufrátem,
Zá gorę Taurus przeniosłby z ochotą
Y zá kray ktory wiecznem słynie látem,
Białego Orłá, krzyż, lilią złotą.
Y skryte źrzodłá odkryłby Nylowe,
Ná krzest czarnych czoł, ná obrzędy nowe.

Ták mowił stárzec: A młodźieńczyk chował
W sercu te mowy, z strony swego rodu:
Y milczkiem w myślách swoich się rádował,
Z przyszłych potomkow obfitego płodu.
Już też świt rány dniowi ustępował,
Y Phoebus dyszlem kierował do wschodu.
Y iuż z dáleká widźieli ná woźie
Proporce, ktore trzęsły się w obożie.

* * *

Wtem stárzec słowá mowił ostáteczne,
Zástánowiwszy konie biegu chćiwe:
Ato iuż miásto y oboz, słoneczne
Ukázuią wam promienie życzliwe.
Do tego czásu átom was bespiecznie
Przewiodł przez drogi mylne y wątpliwe:
Teraz bez wodzá iść możećie sámi,
Bo się mnie dáley iść nie godźi zwámi.

* * *

Ták zsádźiwszy ich, pożegnał się z niemi,
A oni pieszo ná źiemi zostáli:
Y przećiw słońcu krokámi prętkiemi,
Swe do obozu nogi obracáli.
Rozgłośiłá to wieść między wszystkiemi,
Ze trzey Rycerze iuż się przybliżáli:
Y sam się Goffred pilnie o nich pytał,
Potem wstał z stołká, áby ich przywitał.

Koniec pieśni śiedmnastey.

PIESN OSMNASTA.

ARGUMENT.

Dla drzewá y dla woiennego czyná,
Po spowiedźi się Rynáld wypráwuie:
Y zdarza mu się: O woysku nowiná
Egiptskiem przyszłá, że iuż nástępuie.
Ná szpiegi záraz wysłano Wáfryná,
Szturm nászy dáli, srogi się záymuie
Boy koło murow: lecz Boską pomocą,
Nákoniec miásto posiadáią mocą.

Gdy przyszedł Rynáld gdźie beł zgromádzony
Lud przy Hetmánie pod wielkiem námiotem,
Odpuść (rzekł) Pánie, żem się mścił ruszony
W uczćiwe, iáko wszyscy wiedzą o tem:
Jednák zárázem zá grzech popełniony
Obaczywszy się, żálowałem potem.
Teraz iakoś chćiał, átom ći się stáwił,
Abym swych przeszłych występkow popráwił.

* * *

Záczem go Goffred obłápił łáskáwy,
Serce do niego skłoniwszy użyte:
Niech (pry) występki y przeszłe twe spráwy
Już niepámięćią zostáną zákryte.
Ale po tobie chcę miásto popráwy,
Abyś, iákoś zwykł, dźielá známienite
Czynił: y pierwsze pokázował męstwo,
A z pokus leśnych otrzymał zwyćięstwo.

Lás, z ktoregosmy ná woienne czyny,
Y drzewo mieli ná wielkie Tárány:
Teraz niewiedźieć dla iákiey przyczyny
Wniść weń nie mogą, ták iest zczárowány.
Już tám nie ieden ieźdźił dla dębiny,
A nic nie spráwił: Y dla tego śćiány
Nieprzyiaćielskie dotąd cáłe stoią,
Przeto ty tám idź, gdźie się drudzy boią.

* * *

Ták rzekł: A on się krotko ofiárował,
Do káżdey pracey ile go zstáwáło:
Ale postáwą mężną pokázował,
Ze śiłą spráwi, choćia mowi máło.
Wtem z towárzystwem dawnem odpráwował
Witánie, co się do niego zbiegáło
Tám Guelf, tám Tánkred, tám drugie Kśiążętá,
Tám insze beły przednieysze paniętá.

* * *

A skoro one wesołe obrády,
Nie raz powtorzył, y skończył z przedniemi:
Układny, ludzki, szczery, bez przysády,
Witał się potem z drugiemi mnieyszemi.
Nie mogłby więtszey Rycerstwá gromády
Mieć koło siebie, z głosy życzliwemi:
Kiedyby wszystko południe zwoiował,
Y z pobitego wschodu tryumphował.

* * *

Ták otoczony odszedł Rycerz młody
Kupą przyiaćioł, od ktorych spráwiony
O leśnych czárách, iem tákże przygody
Swoie powiádał, iáko beł proszony.
Gdy się rozeszli, y żadney przeszkody
Nie beło, przyszedł Pustelnik uczony
Ták mowiąc: Siłáś Pánie zwiedźił świátá,
Jáko nikt więcey od dawnego látá.

O iákoś Bogu powinien dźiękować,
On ćię z więźienia y z czárow wybáwił:
Y błędną owcę chcąc zguby uchować,
Znowu ćię w swoiey owczárniey postáwił.
Y z czego się masz ćieszyć y rádować,
Wtorem ćię sprawcą woley swey ustáwił:
Lecz upętány nie możesz grzechámi,
Jego wielkich dźieł tykáć się rękámi.

* * *

Bo ćię ták bárzo tá márność świátowa,
Y tá ćielesna sprosność oszpećiłá:
Zeby ćię wodá nie tylko Nylowa,
Ale wszystkiego morzá nie omyłá:
Sámaby łáská Boża tem gotowa,
Co iey szukáią, z niey ćię oczyśćiłá.
Przeto pokuty, á proś odpuszczenia,
Y spowiáday się, chceszli oczyśćienia.

* * *

Ták rzekł: á on wprzod w sobie opłákywał
Swe hárde gniewy, y głupie miłośći:
Potem mu u nog klęknąwszy, odkrywał
Błędy, y pierwszey występki młodośći.
Wtem go rozgrzeszył: Juześ (pry) pozbywał
Grzechow, y Pańskiey dostał życzliwośći.
Jutro skoro dźień idź w gorę wesoło,
Ktora obráca ná rány wschod czoło.

* * *

Tám się modl Bogu, y ták czyst ná duszy
Ztámtąd do lásu puść się niewątpliwy:
Gdźie zá pomocą (ták mi serce tuszy)
Boską, zwyćiężysz wszystkie támte dźiwy:
Jedno ćię niechay nie łudzą pokusy,
Y ná śpiewánie, y ná płácz fałszywy:
Ná prośby niedbay, áni miey litośći,
A idź śmiele w lás, bespieczny ćáłośći.

Ták rzekł: A on chce iść zá iego zdániem,
Y zwyćięstwa się pewnego spodźiewa:
Y on dźień y noc rożnem rozmyślániem
Sam się do przyszłey potrzeby zágrzewa:
Potem się zbroią ieszcze przed świtániem,
Y zwierzchniem nowem nasuwniem odźiewa
Bárwy foremney, y sam ieden pieszy,
Cicho wychodźi, y w drogę się spieszy.

* * *

Był ten czás właśnie, kiedy ieszcze dniowi
Do końcá placu nocne nie puśćiły
Cienie: ále iuż zorze ku wschodowi,
Y niektore się gwiazdy rumieniły:
Kiedy się puścił ku Oliwetowi,
A oczy iego dźiwnie go ćieszyły:
Kiedy ná nocne y dźienne ozdoby
Nieskáźitelne, pátrzał oney doby.

* * *

Myśli: O iáko wiele w się gromádźi
Páłac niebieski świátłá ták iasnego,
Dźień ma swe wozy, noc złote prowádźi
Gwiazdy, y kołá mieśiącá srebrnego.
Przedsię my się w tem nie kochamy rádźi,
Wszyscy się świátłá chwytamy ćiemnego.
A śmiech niewieśći płonny z chętnem okiem,
Ciągnie zá sobą myśl z ułomnem wzrokiem.

* * *

Ták myśląc ná wierzch gory wszedł wysoki,
Y tám się modlił wnętrzney pełny skruchy:
A myśl gorącą wyniosł nád obłoki,
Y nie omylney modlitwy otuchy.
Ty przeszły żywot, Pánie, bez odwłoki
Oczyść, y porwi grzechow mych łáńcuchy:
Tyś moy Bog, niechże twoiá łáská sámá
Odnowi we mnie stárego Adámá.

Ták się tám modlił, á w tem promień złoty
Niosąc iutrzenká ná świát wychodźiłá:
Ktora wierzch gory y dźiwney roboty
Zbroię swem świátłem rumiánem złoćiłá:
Y ná czoło mu y ná pierśi, loty
Wolnemi, wiátry przyiemne puśćiłá:
Ktore mu z piękney iutrzenki ná włosy,
Mokrego łoná chłodne trzęsły rosy.

* * *

Rosą tą iego száty pokropione,
Podobne przedtem barwą do popiołu:
Teraz bládości pierwszey pozbáwione,
Y bieláły się y lśniáły pospołu.
Ták nocnem źimnem liśćie pomrożone
Odżywia słońce, nádwiędłemu źiołu.
Ták wąż ná wiosnę weseli się, ktory
Młodnieie nowey nábywáiąc skory.

* * *

Sam się odmiánie ták nagłey dźiwował,
Y rożnie sobie onę rzecz rozwodźił:
Potem do lásá śmiele nástępował,
Nic się nie trwożąc, y iuż go dochodźił.
Przyszedszy tám gdźie káżdego hámował
Strách, ktory z niego ná inszych wychodźił.
Jemu się nie zdał strászny bydź weyrzeniem,
Owszem wesoły swoiem gęstem ćieniem.

* * *

Jdźie kęs dáley, y usłyszy głośny
Dźwięk, ktory błagał serce przerażáiąc:
Strumień żal iákiś wydawał nieznośny,
Wiátr między brzegi wzdychał powieváiąc.
Ná wodźie łábęć nárzekał żáłosny,
A słowik płákał nieodpoczywáiąc,
Spiewacy, lutnie, brzmiáły y orgány,
Z ták wielu głosow, on dźwięk beł zmięszány.

Przeważny Rycerz ktory ták rozumiał,
Ze tám bydź iákie strászne huki miáły:
Słysząc że wdźieczny wiatr z wod tylko szumiał
Y głosem pięknem Syreny śpiewáły.
Zástánowił się, y bárzo się zdumiał,
Potem znienagła krok poniosł wspániáły:
Y w drodze inszey niemiał iuż przeszkody,
Krom piękney rzeki przezroczystey wody.

* * *

Brzegi wonnemi okryte źiołámi,
Y trawá miękka do śiebie wabiłá:
A rzeká ták się rozdárłá rogámi,
Że lás ná koło wielki otoczyłá.
A nie tylko go obeszłá wodámi,
Ale go śrzodkiem odnogą dźieliłá:
Ták lás frymárczył swoy ćień y swe chłody
Dawáiąc rzece zá wilgotne wody.

* * *

Pátrząc tám brodu Rycerz odważony,
Uyrzał przed sobą most bogáty długi:
Wszystek ze złotá dźiwnie urobiony,
Ktory kámienne dźwigáły frámbugi.
Poszedł nań śmiele, ále obálony
Upadł z niem pierwey niż wszedł ná brzeg drugi:
Záczem go wodá niosłá pochwyćiwszy,
Nagle się w bystry potok obroćiwszy.

* * *

On się obroći, y uyrzy powodźi,
We mgnieniu oká głęboko wezbráne:
Z ktorych nurt gęsty odedná wychodźi,
Niosąc zakręty ná wierzch wymiátáne.
Lecz go to ieszcze tem bárźiey podwodźi,
Zwiedźić, y przebyć lásy zczárowáne.
Ale go co raz co nowego wśćiągnie,
Co raz go nowy dźiw do śiebie ćiągnie.

Gdźie stąpi, y gdźie źiemię nogą biie,
Zdroie y wonne kwiećie wynikáią:
Tu kwitną roże, tu białe lilie,
Tu zdroy, tu piękne strugi wypadáią.
Lás wszystek wkoło stárość dawną kryie,
Wszystkie się rozgi wdźięcznie odmładzáią.
Miękczeią skory u drzew, więtszą liśćie
Zieloność ná się bierze oczywiśćie.

* * *

Gáłęźie wszystkie z mánny miáły rosy,
Z podskor obfite miody wychodźiły:
Y znowu wdźięczne słychać beło głosy,
Ktore słodkością swą dźiwnie ćieszyły.
Z drugiey záś strony człowiecze odgłosy
Odzywáły się, ále się táiły.
Nie może widźieć gdźie Muzyká stoi,
Kto instrumenty, y kto lutnie stroi.

* * *

Widząc to, temu co zmysł pokázował
Zá własną prawdę, myśl wierzyć niechćiáłá:
Wtem Mirt uyrzawszy z lekká nástępował,
Gdźie w plácu wielkiem śćieszká koniec miáłá.
On się swem pięknem wzrostem popisował,
Ták że z niem pálmá żadna nie zrownáłá.
Wierzchem wysokiem mnieysze drzewá trwożył,
Zda się, że tám lás stolicę záłożył.

* * *

Stánął tám Rycerz: bo go druga stroná
Jeszcze dźiwnieyszem cudem przeráźiłá:
Topola sámá przez się rozerźnioná,
Otworzyłá brzuch płodny, y rodźiłá:
Z ktorego Nimphá pięknie ustroiona,
Nimphá dorosła nagle wychodźiłá:
Y sto drzew inszych tymże kształtem rodźi,
Sto z nich udátnych pięknych Nimph wychodźi.

Jáko ná Scenie, álbo málowáne
Leśne więc czásem widamy Boginie,
W pięknych koturnách, krotko ukasáne,
A káżda ná wiátr wárkocze rozwinie,
Ták się te zdáły, y tákże ubráne,
Wielkiego lásu cory po krzewinie:
Okrom że támte łuk y saydak máią,
Te w ręku lutnie y cytry trzymáią.

* * *

Wtem wszystkie taniec ięły skákáć nowy,
Y z sámych siebie wieniec uczyniły:
Y Boháterá, y wysokiey głowy
Mirt, zá ręce się wźiąwszy, otoczyły:
Potem wszystkie wraz łágodnemi słowy
W słodkiem śpiewániu táńcuiąc mowiły:
O toś gość wdźięczny przyszedł w te kráiny,
Nászey Krolowey kochánku iedyny.

* * *

Práwieś tu do niey przyszedł pożądány,
Poćieszyć srogiem stroskaną kłopotem:
Ten lás wprzod ćiemny, w żałobę ubrány,
Zgodne z kłopotnem mieszkánie żywotem,
Zá twoiem przyszćiem dostawszy odmiány,
Pátrz, iák odmłodniał: To ták wszystko o tem
Beło śpiewánie: Wtem skorę rozdźierał,
Y płodne łono wielki Mirt otwierał.

* * *

Dáwne grubego Syłená źrodzenie,
Dźiwne się zdáło stáremu wiekowi:
Lecz bárźiey (to iest moie rozumienie)
Temu się trzebá dźiwować Mirtowi:
Co z śiebie puśćił imo przyrodzenie,
Panią gładkośćią rowną Anyołowi.
Przypátruie się Rynáld oney spráwie,
Y widźi w własney Armidę postáwie.

Smętnie mu pátrząc y wesoło w oczy,
Tyśiąc żądz rázem w ieden wzrok wmięszáłá,
Potem mu mowi: Tákli ćię mam w mocy?
Táklim to zbiegá swoiego dostáłá?
Po coś się wrocił? czy żebym iuż nocy
Y dni wesołych ztobą używáłá:
Czy się ná niechęć przećiw mnie zdobywasz,
Ze mi twarz kryiesz, á zbroię odkrywasz.

* * *

Czyś nieprzyiaćiel czy przyiaćiel, zgołá
Spraw się, iam wprawdźie złotych nie robiłá
Dla nieprzyiaćioł mostow, anim źiołá
Y kwiećie dla nich, y zdroie puśćiłá.
Proszę, zdiym szyszak, nie zákryway czołá,
Jeśliś przyiaćiel, y ieślim ći miłá:
Złącz ustá z usty, y pierśi z pierśiámi,
Albo przynamniey złączmy się rękámi.

* * *

Mowiłá dáley smętno poglądáiąc,
Y wśćiekłey znáki dawáłá miłośći:
Wzdychánie y łzy pospołu mieszáiąc,
Swiádki swey troski y wielkiey żáłośći:
Ták, żeby bełá mogłá przerażáiąc,
Zmiękczyć kámienie naywiętszey twardośći.
Lecz się ostrożny Rycerz tem nie ruszy,
Dobywá mieczá ná leśne pokusy.

* * *

Chce ćiąć w Mirt, oná Mirt zástępowáłá,
Z okrutnem wrzaskiem: Postoy nie użyty,
Ach nie dáy Boże, ábym widźieć miáłá
Swoy Mirt kochány od ćiebie zábity.
Porzuć, álbo więc bo będę wolałá,
Wraź miecz Armidźie w pierśi iádowity:
Jnszey nie naydźiesz okrutniku srogi,
Do Mirtu chybá przez to serce drogi.

On miecz wynośi, niedba nic ná czáry,
Oná záś w inszą postáć się zákryłá:
Y iáko we snie iedne z drugich máry
Odmieniáią się, ták się odmieniłá:
Członki, twarz miązsza, (rzecz trudna do wiáry)
Wźiąwszy, pierwszą płeć, y gładkość zgubiłá.
Y Olbrzymem się dźiwnie wielkiem stáłá,
A sto rąk iáko Bryáreus miáłá.

* * *

Pięćdźieśiąt tarcz ma, y mieczow, ktoremi
Grzmi po powietrzu, y rámiony miece:
Nimphy też wszystkie, zstawszy się srogiemi
Cyklopy, ostre przypásuią miecze.
On się nie boi, y rázy ćięszkiemi
Mirt, ktorego mu bronią bárźiey śiecze:
Ten bity ięczy własnie iáko żywy,
Powietrze brzydkie zásłoniły dźiwy.

* * *

Spodkiem źiemiá drży, niebá záburzone
Z gury huk srogi, ná niego puszczáią:
Wiátry y wichry w kupę zgromadzone,
Oczy mu y twarz piaskiem zámiátáią.
On przedsię serce nieśie niestrwożone,
Drzewá ták śiecze, że wiory padáią.
A skoro dąb śćiął, bo dąb beł niemáły,
Choć się Mirtem zdał, czáry też ustały.

* * *

Wiátryućichły, niebo do pogody
Y lás się wrocił do stanu pierwszego:
Strachu, y z czárow sprawioney przeszkody
Prozny, krom strachu swego wrodzonego.
Potem probuie znowu Rycerz młody,
Jeśli kto broni śiec lásu onego.
Nákoniec z śmiechem chwilę w mieyscu stoi,
Głupi, kto się wás prozne lárwy boi.

Ztámtąd do pięknych namiotow kierował,
Gdźie Duchem Bożem Piotr wołał spráwiony:
Już pewnie wielki Rycerz lás zwoiował,
Już się zwyćięzcá wráca z támtey strony.
On wtem poważnie zlekká nástępował,
Ozdobnie w białą zbroię obleczony.
A Orzeł iego blásk piormi srebrnemi
Niezwykły ćiskał od słońca ku ziemi.

* * *

Tám od wszystkiego woyská pożądány,
Z gęstemi krzyki przyimował witánie:
Y do Hetmáná zárázem wezwány,
Wielkie od niego miał poszánowánie.
On (práwi) straszny lás uczárowány,
Ták, iáko beło twoie roskazanie
Jużem zwyćiężył, iuż do niego mogą
Ludźie iść śmiele, y bespieczną drogą.

* * *

Záczem zárázem do lásu posłano
Po rożne drzewo, ná woienne czyny:
A choć pierwszych sztuk dobrze nie umiano
Zrobić, dla ćieślow ládáiákich winy.
Teraz koło nich (iáko powiádano)
W tákiem rzemięśle mistrował iedyny
Guilelm Ligurczyk, ktory beł obránem
Sił Chrześćiáńskich ná morzu Hetmánem.

* * *

Potem od możney Armaty spędzony,
Ustąpił morzá nieprzyiaćielowi:
A teraz wszystek z okrętow zwiedźiony,
Z strzelbą prowádźił lud ku obozowi.
Ten beł ták swemi kunsztámi wsławiony,
Ze rownia nie miał swemu dowćipowi.
A stu záś mnieyszem ćieślom roskázował,
Ktorzy robili to co wynáydował.

Nie tylko w ten czás kusze przysposobił
Byki, tárány, y insze przyprávy:
Zeby ták snádniey mocnem śćiánom dobił,
Y mur tem pręcey uczynił dźiuráwy.
Ale y wieżę foremną urobił,
Ktorą dębowe wnątrz spináły łáwy,
A ná wierzch twárde poprzybiiał skury,
Dla ogniow, ktore ćiskáć miano z gury.

* * *

Z wielu drzew y sztuk subtelnie spoiona,
Jednem się ćiáłem wielka wieżá zstáie:
Z niey bálká spodkiem w twárde obleczona
Zelázo, końcem twárde rázy dáie.
Z poyśrzodku záś most, blisko podemkniona,
Kłádźie ná muru ostáteczne kráie:
A wierzchem mnieysza wieżá z niey wychodźi,
Y niewymownie nieprzyiaćioł szkodźi.

* * *

Gdźiekolwiek rowná drogá się náyduie,
Bez wielkiey pracey, bez wielkiego trudu:
Snádnie ná gęstych kołách postępuie,
Pełná rynsztunkow, y zbroynego ludu.
Woysko się ćieślow prętkośći dźiwuie,
Co żywo bieży do nowego cudu,
Potem dwie mnieysze wieże zbudowáli,
Na ktore z wielkiey wizerunki bráli.

* * *

Ale tem czásem nie mogły być táyne
Te u ostrożnych roboty Pogánow:
Bo straży z murow wysokich zwyczáyne
Mogły z swych przeyrzeć baszt do Chrześćiánow.
Pátrzáli kiedy tramy niezwyczáyne
Wieźiono w oboz, dla wieży táránow.
Y kiedy ie iuż skończono widźieli,
Lecz iákie beły trudno poznáć mieli.

Przeto y oni wzáiem z káżdey strony,
Przekopy swoie, y wieże mocnili:
Y gdźie mur słáby, álbo beł zniżony,
Tám go z pilnośćią wielką podnośili:
Tusząc, że miał bydź ták pewney obrony,
Zeby się nászy dármo on kuśili.
Ale się Jzmen naybárźiey gotował,
Y dla bronienia ognie przypráwował.

* * *

Mięsza z śiárkámi kliie záráźliwe
Z Sodomskich ieźior, zwiedza błotne brody:
Zbiegł y do piekłá (ták miał serce mśćiwe)
Y wźiął z Stygiyskiey tákże kliiu wody:
Z ktorego ognie porobił strászliwe,
Miecące dymy, y okrutne smrody:
Myśląc Czárownik brzydki onych czásow,
Zemśćić się swoich porąbánych lásow.

* * *

Gdy się ták woysko do szturmu z wieżámi,
A miásto do swych obron gotowáło:
Nád Fráncuskiemi lecąc namiotámi,
Nieśćignionego gołębiá widźiáło:
Ktory nie śiekąc bynamniey bárkámi
Rośćiągnionemi, ták iáko się zdáło
Szedł po powietrzu nowy poseł piory,
Y z obłokow się w miásto spuszczał z gory.

* * *

Ale nie wiedźieć zkąd się wźiąwszy potem
Ogromny Sokoł, drogę mu przeszkodźił:
Y záraz mu ią swoiem rączem lotem,
Między obozem y miástem zágrodźił:
Y nád naywiętszem śćignął go namiotem,
Y ták się zdáło, że go iuż dochodźił:
Już go páznogćiem tylko nie dopádnie,
On wtem ná łono Goffredowi spádnie.

Goffred go broni, y w łono przyimuie,
Y pátrząc pilno (dźiw mało słychány)
Pod iednem skrzydłem u niego náyduie
List, między pierzem nićią uwiązány:
Weźmie go w ręce y odpieczętuie,
Y czyta, krotko w te słowá pisány:
Hetman Egipski śle Aládynowi
Pokłon, y zdrowie, Zydostwá Krolowi.

* * *

Nie boy się Krolu, á miey się ná pieczy,
A do dniá się dźierz nadáley piątego:
Y nieomylney bądź pewien odśieczy,
Jerozolimie od woyská moiego.
Tákie záwierał opisáne rzeczy,
Chárákterámi pismá Pogańskiego
List powierzony lotnemu posłowi,
Zwykły beł w ten czás ten sposob wschodowi.

* * *

Potem gołębiá Hetman przestrzeżony
Puśćił, ktory się pierwszemi drogámi:
Zle posłużywszy Pánu w swoie strony,
Ze złemi niechćiał wrośić nowinámi.
Wtem zgromádzoney rádźie náleżiony
List czyta, mowiąc: To widźićie sámi,
Jáko nas Bog ma w swoiey opátrznośći,
Posyłáiąc nam tákie wiádomośći.

* * *

Przeto nam czásu dáremnem mieszkániem
Nie trzebá trácić: Bądźćie iuż gotowi,
Chcę szturm zá pierwszem mieysc złych wyrownániem,
Południowemu wrychle dáć murowi.
Trudna rzecz wprawdźie: ále moiem zdániem
Nie niepodobna, bom się sam mieyscowi
Przypátrzył, ktemu mur ubespieczony
Mieyscem, mniey ztámtąd muśi mieć obrony.

Ty chcę Ráymundźie ábyś swe tárány
Ztamtego boku pod mury prowádźił:
Moy od pułnocney bramy lud przebrány
Ciągnąć się będźie, iużem ták urádźił:
Aby Pogánin ztámtąd oszukány,
Boiąc się szturmu ludźie tám gromádźił:
Wtem moiá wielka wieża w onem cześie
Pomknie się dáley y woynę ponieśie.

* * *

W tenże czás właśnie z trzećią ábyś wiedźiał
Wieżą Kámillu, poydźiesz następuiąc:
Ráymund wtem ktory po Goffredźie śiedźiał,
Sam sobie w głowie tę spráwę ráchuiąc
Powie: Ták Hetman rádę swą powiedźiał,
Ze się nic przydáć, nic nie może uiąć:
To tylko, żeby ná Pogáńskie szláki
Był wypráwiony ostrożny szpieg iáki.

* * *

Ktoryby pewney o woyská támtego
Liczbie, zamysłách, dostał wiadomośći.
Ozwał się Tánkred: Mam ia (pry) iednego,
Coby się ná to zszedł krom wątpliwośći:
Lekkiego ná dźiw, dowćipu wielkiego,
Smiáłego, ále ostrożney śmiáłośći:
Rożne ięzyki Pogańskie rozumie,
Chod, y głos zmyślić, y postáwę umie.

* * *

On będąc záraz ná on czás wezwánem,
Y zrozumiawszy czego po niem chćieli:
Rośmiał się wesoł stoiąc przed Hətmánem,
Y rzekł: W drodze mię wnet będźiećie mieli.
Nie długo szpiegiem będę niepoznánem,
Tám kędy będą obozem leżeli.
W biały dźień wnidę między ich namioty,
Policzę iezdy, policzę piechoty.

Co zá ludźie są, y iáko ich wiele,
Y iáko dobrzy, nieomylnie powiem:
Co ich wodz myśli, co nieprzyiaćiele
Dáley chcą czynić, wszystkiego się dowiem.
Ták Wáfryn w on czás tuszył sobie śmiele,
Y zwykły ubior zrzućiwszy z obowiem:
Delią długą wzdźiał Pogańskiem stroiem,
Y głowę białem opasał zawoiem.

* * *

Łuk wźiął Syryiski, y przyprávne w pierze
Strzały, á ludźie mu się dźiwowáli:
Cudze ięzyki ták wymawiał szczyrze,
Ze się zdumieli ći co go słuchźli.
Egiptczyk w Memphim, y Feniyczyk w Tyrze,
Po mowieby go beli nie poználi.
Koń miał ták rączy, że piásku po ziemi
Ledwie się tykał nogámi prętkiemi.

* * *

Wtem niż trzeći dźień przyszedł, Fráncuzowie
Przećiwko murow drogi náprawili:
Umieiętni też iuż beli Mistrzowie
Swoich woiennych czynow dokończyli.
Bo ná to byli dáni przystáwowie,
Aby y we dnie y w nocy robili.
Nic nie przeszkadza, nic iem iuż nie wádźi,
Ostátnichby śił sprobowali rádźi.

* * *

W dobrey beł Hetman zwyćięstwá otusze,
On dźień przed szturmem modlitwą się báwił:
Y áby wszyscy nákarmili dusze,
Chlebem niebieskiem surowo ustáwił.
Potem woienne Tárány y kusze,
Tám gdźie ich záżyć nie myślił postáwił:
A oszukáni Pogánie mniemáią,
Ze szturm przypuśćić ná mur mocny máią.

Skoro ćiemności czarney przyszły nocy,
Jndźiey się sroga wieżá przetoczyłá:
Y tám stánęłá, gdźie mur mnieyszey mocy,
Y gdźie obroná dobrze słábsza byłá.
Kámillowá też mnieysza od pułnocy,
Z págorku pátrząc Pogánom groźiłá.
Y Ráymund tákże swoię iuż prowádźił,
Y od záchodu pod mur ią podsádźił.

* * *

Ale skoro świt wyszedł, prowádzony
Od złotey zorze, w swey zwykłey ozdobie,
Gdźie indźiey postrzegł Pogánin strwożony
Ogromney wieże, y zwątpił o sobie.
Tem więcey kiedy z tey y z owey strony,
Wprzod niewidźiáne uyrzał wieże obie:
Y wielką liczbę kusz nárychtowánych,
Táránow srogich, bykow zákowánych.

* * *

Záczem obrony swoie gęste ná nie
Nieprzyiaćiele ztámtąd przenośili:
Ná támto mieysce, kędy Chrześćiánie
W nocy ogromną wieżę podsádźili.
Lecz dobry Hetman pomniąc, że Pogánie
Miastu ná odśiecz w drogę się puśćili:
Dwiemá Rubertom mowił y Gwelfowi,
Bądźćie z swą iezdą (powiáda) gotowi.

* * *

Y strzeżćie tego, gdy z ludem správionem
Poydę ná on mur, co to mniey wyniosły:
Aby nie przyszły szturmem zábáwionem
W tył roty iákie, y woyny nie niosły.
Zátem piechoty pędem niewśćiągnionem,
We troie pod mur rozdźielone poszły.
Krol też ze trzech stron lud uszykowány
Zástáwił, w świetną zbroię sam ubrány.

Ták obćiążony sam sobą y láty,
Odwykły dáwno temu ćiężarowi:
W on dźień się w zbroię, y w szyszak bogáty
Ubrał, y stanął przećiw Ráymundowi.
Soliman przećiw Goffredowi: A ty
Byłeś Argáncie przećiw Kámillowi:
Z ktorem beł Tánkred, rad że miał w tey dobie
Nieprzyiaćielá swego przećiw sobie.

* * *

Poczęli strzelcy strzeláć iádowite
Smiertelnem iádem nápuszczone strzały:
Od ktorych niebo ták beło zákryte,
Ze się ták zdáło, że śćiemniał dźień biały.
Ale się przedsię bárziey mury bite,
Y ćięzsych rázow z wież ogromnych bały:
Co srogie kule ćiskáły ná bramy,
Y w końcách stalą okowáne tramy.

* * *

Jeśli się komu kámieniem dostánie,
Członki y bláchy ták się ná niem kruszą:
Ze ćiáłá żadna postáć nie zostánie,
Nie tylko záraz tráći żywot z duszą.
Co gorsza postrzał nie zostawa w ránie,
Ale potężną wyćiśniony kuszą:
Jdąc ná wylot w ćiele się nie bawi,
Y wypadszy śmierć po sobie zostáwi.

* * *

Ale Pogánie ná ták srogie rázy
Niedbáiąc, z murow mężnie się bronili:
Płotná krzywemi uięte żelázy,
Y wory wełną nátkáne spuśćili.
Ustępuiące nálazwszy przekázy,
Nie szkodźi postrzał, y wnet się wyśili.
Sámi gdźie pod mur lud podchodźi bliski,
Kámienie wálą, y lotne poćiski.

Lecz nászy przedsię wszelkie zwyćiężáią
Jdąc ze trzech stron do szturmu zawády:
Y postępuiąc złożone dźwigáią
Tarcze nád sobą, ná lecące grády.
Drudzy do murow wieże pomykáią,
Ktoreby mosty przystáwiły rády:
Już ie spuszczáią, iuż y táran srogiem
Grozi obitem twárdą stalą rogiem.

* * *

Rynáld tem czásem ná mur nie náćiera,
Ladá przewagę zá sromotę srogą
Sobie rozumie: á zgoła się zdźiera
Jść pospolitą z podłem gminem drogą.
Y pátrząc daley zwątpioną obiera,
Y táką, ktorą iść drudzy nie mogą:
O mur naywyzszy ktory stał spokoiem,
Pokusić się chce swem osobnem boiem.

* * *

Y obroćił się do tych co zmárłemu
Posłuszni beli cnemu Dudonowi,
Mowiąc: O hánbá wielka, ieśli temu
Dopuśćiemy stać w pokoiu murowi.
Naygorsze rázy bespieczne śmiáłemu,
Wszystko dobremu rowno Rycerzowi:
Tám śmiele podźmy, y tám się udaymy,
A tarcze spięte nád sobą trzymaymy.

* * *

Ruszeni iego przykładem y słowy,
W kupę do niego zárázem się zeszli:
Y dách drzewiány podług iego mowy
Z tarczy złożyli, y nád sobą nieśli.
Y wielkiem pędem kryiąc podeń głowy,
Z wielką przewagą pod mury podeszli.
Sklep ziednoczony wszystko strzyma snádnie
Kámienie, drzewá, y to co nań spádnie.

Rynáld napierwszy ze spodku wypadał,
O dwu stu szczebli z wysoką drabiną:
Y ták ią dobrze iedną ręką władał,
Jáko wiátr włada pospolićie trzćiną.
Deszcz nań kamienny ustáwicznie spádał,
Drzewo, oszczepy, czego się dowiną,
Z gury ná niego ćiskáią, on śmiele
Jdźie ná mury, ná nieprzyiaćiele.

* * *

Z gęstych poćiskow gory ułożone,
Ná tarczy niosąc namniey się nie wzdryga:
Y iedną ręką mury uchwycone
Trzyma, á drugą tarcz nád głową dźwiga.
Sercem, przykładem iego przychęcone
Jnsze go rączo towárzystwo ściga.
Drabiny tákże ná mury stáwiáią,
Lecz rożne męstwo, rożne szczęśćie máią.

* * *

Ten spadł zepchniony, ten zábity leży,
On co raz leźie wyzszemi szczeblámi:
Y ták wysoko iuż iest, że przy wieży
Chwyta się muru obiemá rękámi.
Dopiero hurmem Pogáństwo nań bieży,
Spycha go ná doł długiemi drągámi:
Ale się trzyma ták mocno, że gwałtem
Zbić go nie mogą ná doł żadnem kształtem.

* * *

Odpiera mężnie, dáley postępuie,
Y iáko palmá ná ćiężar się śili,
Ták y on więtsze męstwo ukázuie,
Y śiłę więtszą, im nań bárźiey bili.
Tramy, kámienie, y co go hámuie,
Wszystko zwyćięża mężnie w oney chwili.
Już ná mur wskoczył, iuż go stoiąc ná niem
Bespiecznem czyni tem co idą zá niem.

Szwánkuiącemu Eustácyusowi,
Pod ktorem szczeble w końcu się złamáły,
Ściągnąwszy mężną rękę ku dołowi
Pomogł, że ná mur przedsię dolazł cáły.
Ale gdźie indźiey rożne Hetmánowi
Y niebespieczne rzeczy się przydáły:
Gdźie się nietylko ludźie bili sámi,
Ale y sztuki woienne z sztukámi.

* * *

Ná murze beł świerk wielki postáwiony,
Ktory wprzod másztem u okrętu bywał:
Ná ktorem wielki poprzek zawieszony
Tram okowány stalą odpoczywał:
Y wzad miązszemi linámi ćiągniony,
Y popuszczony mocnych wież dobywał:
Y to się wrácał, to záś drugiem rázem
Tłukł ie twárdem łbem okrytem żelázem.

* * *

Ták Chrześćiáńską wieżę pędem srogiem
W on czás uderzył ieden raz y drugi:
Ze zákowánem potłuczona rogiem,
Goździámi zbite rospuśćiłá fugi.
Nádbládło wewnątrz żołnierzom ubogiem,
Ale wskok z wieże drąg wypárli długi
Z kosámi, ktore liny ućináły,
Ktore wielki tram u másztu trzymáły.

* * *

Jáko kiedy więc od gory odwáli
Wiek sztukę skały, lub wiátry szalone:
Cokolwiek zaymie, słucze y obáli,
Y lás, y domy, y bydło zámknione.
Ták wten czás właśnie tram okrutny wáli
Ludźie, rynsztunki, wierzchy potłuczone.
Wieża wysoka kilkákroć zádrżáłá,
Trzęsły się mury, y źiemiá huczáłá.

Jdźie zwyćięzcá dáley ukwápliwy,
Y mniema, że iuż opánował mury:
Ale dopiero płomień y smrodliwy
Dym nieprzyiaćiel puśćił náń do gury.
Nigdy Mongibel tákiem zárážliwy
Smierdzącem ogniem, nie kurzy z swey dźiury:
Nigdy Jndyiskie niebo w letnie czásy,
Ták smrodliwemi párámi nie strászy.

* * *

Ráce ogniste y wieńce, płomienie
Te czarne, á te iáko krew puszczáią:
Oddech smrod, wzrok dym, słuch odbiera grzmienie,
Ognie się coraz szerzey rośćiągáią.
Ogromney wieże surowe rzemienie
Zle bronią, iuż się skurczone padáią.
Y gdźieby z niebá wtem rázie nie miáłá
Wcześney pomocy, wszystkáby zgorzáłá.

* * *

Ale przeważny Hetman w oney chwili,
Nic nie strwożony ná mieyscu zostawa:
Y tem co ognie wodámi gáśili
Ochoty słowy, y sercá dodawa.
Ták Chrześćiánie swey wieże bronili,
Ale nákoniec wody iem niestawa:
Aż iednem rázem wiatr powstawszy srogi,
Ná swoie sprawce obroćił pożogi.

* * *

Ogień od wiátru poszedł obrocony,
Ná płotná, ktore podnieśli Pogánie:
Y suche czyny, y miękkie obrony
Zrze, że ich szczętu w krotce nie zostánie.
O wielki wodzu od Bogá strzeżony,
O Bogu miły pobożny Hetmánie:
Tobie posłuszne niebo, y życzliwy
Wiátr idźie, ná dźwięk twey trąby krzykliwy.

Lecz Jzmen widząc, że się zá wiátrámi
Przećiwko niemu udáły płomienie:
Chce niezbożnemi swemi náukámi
Przymuśić gwałtem wiátr, y przyrodzenie.
Y między dwiemá ná murze Wiedmámi
Strászliwy w czarne ubrány odźienie
Stał Plutonowi podobny srogiemu,
Między ięzámi dwiemá stoiącemu.

* * *

Już czárnokśięznik począł beł ponury
Szemráć swe klątwy, zwykłemi sposoby:
Już się powietrze mieszáło, y w chmury
Szło słońce, z pierwszey złupione ozdoby.
Wtem kámień wielki co beł częścią gury
Wypchniony z wieże wypadł oney doby:
Y ták ugodźił, że wszystkich zárázem
Rozćisnął kośći, y krew iednem rázem.

* * *

Po powietrzu się trzy niezbożne głowy
Wták drobne sztuki tám y sám rozniosły:
Jáko więc drobno suchy lub surowy
Jęczmień, trą młynskie náćiśnione osły.
Ták zostáwuiąc wesoły Phebowi
Promień, do piekłá brzydkie dusze poszły,
Ná wieczne męki w podźiemne ćiemnośći,
Wyknićie z tego ludźie pobożności.

* * *

Wtem wieżá z wiátru máiąc swą obronę,
Ták, że iey ognie námniey nie szkodźiły:
Ták się pod mieyską podsádźiłá bronę,
Że mogłá ná mur most zrzućić pochyły.
Ale Soliman przypadł w támtę stronę,
Y wąską ścieszkę śiekł ze wszystkiey śiły:
Y odćiąłby ią pewnie beł, by byłá
Nagle się druga wieżá nie odkryłá.

Tá po powietrzu szłá, y ná przestrzeni
Stoiąc, budunki przenośiłá wyzsze:
Tu się dopiero zlękli Sárráceni,
Widząc, że miásto dobrze beło nizsze.
Lecz Sułtan śmiáły, choć nań grad z kámieni
Spada, w swem mieyscu zostawa, y blizsze
Ludźie przychęca do mężney obrony,
Y chce most gwałtem odćiąć przystáwiony.

* * *

W ten czás Archányoł Michał niewidźiany
Od inszych, dał się widźieć Goffredowi:
Niebieskiem ná bok mieczem przypásány,
Swiátłem iásnemu podobny słońcowi.
Ato (pry) iuż dźień przyszedł pożądány,
Już czás z niewoley wyniść Syonowi:
Podnieś Goffredźie, podnieś w zgurę oczy,
Pátrz iáko gęste z nieba masz pomocy.

* * *

Woysk nieśmiertelnych zebráne gromády
Masz ná powietrzu w niebieskiey ozdobie:
A iać śmiertelnych zmysłow twych zawády
Zdyimę z źrzenice, w cudownem sposobie,
Ze nágie duchy krom żadney przysády
Będźiesz mogł widźieć w ich właśney osobie,
Y chwilę znieśiesz zákrytych obłokiem
Anyelskich twarzy blásk, śmiertelnem okiem.

* * *

Pátrz ná tych, ktorzy beli Rycerzámi
Chrystusowemi, á teraz są w niebie:
Jáko się biią z Pogány, y zwámi
Chcą być koniecznie w ták zacney potrzebie.
Tám gdźie się mięsza kurzáwa z dymámi,
Gdźie gęste trupy leżą podle śiebie,
Ugon się biie, y gdźie pilniey strzeże
Pogánin, gwałtem mocne tłucze wieże.

Tám pátrzay, iáko Dudon w świetney zbroi
Podsadza ognie pod pułnocną bronę:
Stáwia drábiny ná mury, á twoi
Bieżą zá iego powodem w tę stronę.
Ten záśię ktory ná págorku stoi,
A ma Kápłáńską ná włosách koronę,
Biskup iest Admár: Patrzay iáko (práwi)
Y teraz żegna, y lud błogosłáwi.

* * *

Podnieś wzrok wyzszey ná powietrze, kędy
Anyołow poczet stoi niezliczony:
On oczu wzniozwszy, widźiał, że stał wszędy
Lotnych Rycerzow zástęp uskrzydlony.
Trzy pułki beły, á pułk we trzy rzędy,
Káżdy się kołem ćiągnął rozdźielony.
Kołá záś zwierzchnie bárźiey się szerzyły,
Lecz wnętrzne mnieysze, y śćiśleysze były.

* * *

Tu schylił bláskiem zwyćiężone oczy,
Y záś ie podniosł: ále w małey chwili
Zniknęło wszystko. Potem do swych skoczy,
Ktorzy iuż wszędźie Pogáństwo pędźili.
Wprzod Rynáld skoczył do miástá ochoczy,
Potem co śmielszy zá niem się puśćili:
Nie mięszka dáley Hetman, y wiernemu
Bierze chorągiew z ręku chorążemu.

* * *

Y bieży ná most: ále mu się śmiáły
Solimán mężnie wpoł drogi zástáwił:
Wielkiemu męstwu polem iest plác máły,
Ktory dwu wielkich Rycerzow zábáwił.
Krzyknie ná swoich Soliman zuchwáły,
Ja tu chcę umrzeć, ábym was wybáwił:
Wy podćinayćie most ostrem żelázem
Mnie w tył, á ia niech zginę tu zárázem.

Ale obaczył że Rynáld strászliwy
Rozgromionemu dogrzewał ludowi:
A ia co? Mam (pry) polec tu zelżywy,
Y márnie, ná śmiech nieprzyiaćielowi.
Ták myśląc nowe obrony, leniwy
Zostáwiał wolne przeszćie Hetmánowi:
Ten nań náciera, y świętą ná murze
Chorągiew stáwia, wytknioną ku gurze.

* * *

Oná z zwyćięstwá hárda, złote krzyże
Niezliczonemi kołámi rozwiia:
Zda się, że w nię wiátr nabożniey dmie, y że
Słońce blásk od niey iásnieyszy odbiia.
Strzałá y kula z twárdey lana śpiże,
Albo wzad idźie, álbo ią wćiąż miia.
Zda się, że Syon swem wierzchem wesołem
Pokłon iey czyni, y biie iey czołem.

* * *

Wtem znák zwyćięstwá y swoiey obrády
Wszystkie krzyk srogi hufce wypuśćiły:
Y bliskie gury, y przyległe sády
Ostátnie dźwięki często powtorzyły.
W tenże czás Tánkred wszystkie zbił zawády,
Ktore ze wszystkiey Argant czynił śiły.
Już y on swoy most do muru przystáwił,
Y krzyże ná niem swe tákże postáwił.

* * *

Lecz ná południe, gdźie Grábiá z Toloze
Bił się szedźiwy z Pálestyńskiem Pánem:
Swoiey Gaskończyk przystáwić nie może
Wieże do miástá: Z trudem niesłychánem
Sili się bárzo, ále nie pomoże,
Bo tám Krol z ludem pilnuie przebránem.
A choćia tám mur słábszy beł, w obrony
Woienne záś beł lepiey opátrzony.

Więc bárźiey niźli gdźie indźiey, wśćiągáły
Wieżę, w tem mieyscu niesposobne drogi:
Y nie ták wiele dowćipu umiały,
Aby złe mieysce nie trudniło nogi.
A wtem Gáskońskie hufce usłyszały,
Y ci co muru bronili, krzyk srogi,
Stąd Grábiá poznał, y Krol w Pálestynie,
Ze miásto beło wźięte ku rowninie.

* * *

Ráymund záwoła, y swoich przywodźi,
Miásto (pry) wźięte, y iuż zwyćiężone
Do tąd się trzyma? masz, o piękna młodźi,
Pole do męstwa ieszcze zostawione.
Ale Krol ztámtąd nákoniec uchodźi,
Widząc, że tám iuż obrony zwątpione:
Y ku mocnemu udał się zamkowi,
Tusząc, że tám ma wytrzymać szturmowi.

* * *

Wtem wszystko woysko w miásto iuż wchodźiło,
Nie tylko przez mur, ále y bramámi:
To co mu iedno wstręt iáki czyniło,
Lub zbito, lubo spalono ogniámi.
Strách, nárzekánie, wszędźie się szerzyło,
A miecz gniewliwy karmił się śmierćiámi:
Krew ćiepła bieży strumieniem, y kupy
Zle żywych leie, y pobite trupy.

Koniec pieśni ośmnastey.

PIESN DZIEWIĘTNASTA.

ARGUMENT.

Argánt z Tánkredem poiedynek zwodźi,
Ná ktorem Tánkred zwyćiężcą zostáie:
Krol uszedł w zamek: z Wafrynem uchodźi,
Y przestrogi mu Erminia dáie.
Ale kiedy ią do swoich uwodźi,
Páná bezekrwie ná piasku zástáie:
Oná go płácze, potem go uzdrawia,
Goffred o zdrádźie Pogáńskiey rozmawia.

Już beł wszędźie strách, álbo miecz krwie chćiwy,
Wszystkie od obron rospędźił Pogány:
Sam tylko nie chce Argánt nielękliwy
Od dobytey bydź odpędzony ściány:
Biie się przedsię wzrok niosąc strászliwy,
Y woli umrzeć wkoło obegnány,
Niźli ustąpić, y tę czyni postáć,
Ze umieráiąc má zwyćiężcą zostáć.

* * *

Lecz od Tánkredá nayćięższy mężnego
Wźiął raz, ktory tám bić się z niem gotowy
Przypadł: Po zbroi poznał wnet swoiego
Nieprzyiaćielá Cyrkászczyk surowy:
Co się z niem przedtem bił, y dniá szostego
Miawszy się wrośić, nie strzymał umowy.
Zatem nań krzyknie: Ták się to wracáią?
Ták to umowę Tánkredźie trzymáią?

Pozno co prawdá, ále to ná stronę,
Biy się, nie masz iuż wymowek przyczyny:
Acześ nie Rycerz (że y to wspomionę)
Ale mistrz iákiś w ćieśielstwie iedyny.
Czyń sobie z swoich iáką chcesz zasłonę,
Wymyślay wieże, y nie zwykłe czyny:
Smierći nie uydźiesz, wnetże nieboraku
Z mych rąk, o mężny, niewiast zábiiaku.

* * *

Rozśmiał się Tánkred, y ták odpowiedział
Przymowką oną iego uszczypniony:
Pozny iest moy zwrot, ále ábyś wiedźiał,
Będźieć się zdał wnet prętki y kwápiony:
Y radbyś, żebyś odemnie gdźie śiedźiał
Gorámi álbo morzem rozdźielony:
Obaczysz, że to nie strách we mnie správił,
Zem ći się ná czas, iákom rzekł, nie stáwił.

* * *

Podź sám ná stronę, coś to Rycerz táki,
Co się z sámemi biiesz Olbrzymámi:
Przećiwko temu, co záś ládáiáki
Z boiaźliwemi walczy niewiástámi.
Potem się do swych obroći, y znáki
Czyni, y mowi: Nie ma on nic zwámi:
Nieprzyiaćielem on iest własnem moiem,
Winienem się z niem bić osobnem boiem.

* * *

On ná to: Lub się bić sám á sám zemną,
Lub chcesz gromádą, ná twey woley będźie:
Czyń zgoła co chcesz, nigdźiey się przedemną
Nie skryiesz, bo ćię naydę pewnie wszędźie.
Ták oba wolą złączeni wzáiemną
Szli w przedsięwźiętem do dźiełá zapędźie:
Gniew w iednem przyszedł do tákiego końcá,
Ze nieprzyiaćiel stawa się obrońcá.

Ták iest czći Tánkred, ták iest sławy chćiwy:
Ták go prágnienie krwie Pogáńskiey grzeie:
Ze go nie zgáśi, (pátrzćie iáko mśćiwy)
Jeśli ią z niego kto inszy wyleie:
Tárczą go skłáda, y woła gniewliwy
Gdy kto nádiedźie: Nie bądź tey nádźieie,
Abyś go miał bić: y ták go z powodźi
Zwyćiężcow mieczow zdrowego uwodźi.

* * *

Wychodzą zsobą z miástá, á zá niemi
W tył Chrześćiáńskie namioty zostáły:
Y szli tám gdźie iem po nierowney źiemi
Nieznáczne śćieszki szlák ukázowáły.
Wtem págorkámi plác między gęstemi
W ćiásney dolinie nátráfili máły:
Ták iákoby beł z tey y z owey strony
Dla poiedynkow, umyślnie správiony.

* * *

Tu widząc Argánt od Chrześćiánina
Łupione miásto, okrutnie się smućił:
A bacząc Tánkred, że u Pogániná
Tarczey nie beło, swą tákże odrzućił.
Już przyszłá twoiá ostátnia godźiná,
Trzebá żebyś się (powiáda) ocućił:
Czy śmierć swą widźisz, że ták smętno stoisz,
Ale się dármo, y nie ná czás boisz.

* * *

Myślę (odpowie Argánt temi słowy)
Ze miásto, ktore Zydowstwu pánuie:
(Kiedy ták wyrok Boski chce surowy)
Już nieprzyiaćiel łupi y plundruie.
Y że nie wielka pomstá z twoiey głowy,
Ktorą mi teraz niebo obiecuie.
Wtem się ostrożnie do śiebie porwáli,
Bo swoie śiły wzáiem dobrze ználi.

Tánkred obrotem y ćiáłá lekkośćią
Siłá ma nádeń, lub śiecze, lub chodźi:
Ale záś wzrostem y członkow miązszośćią,
Z drugiey go strony Pogánin przechodźi.
Sám w się zebrány, áby go prędkośćią
Podbieżał Tánkred, ná to wszystek godźi.
Mieczem swem często miecz iego náyduie,
Y żeby mu go mogł odwieść, pilnuie.

* * *

Tąż sztuką idźie, ále rożnem strychem
Cyrkászczyk srogi, wszystek wyćiągniony:
Y nie w miecz, ále w gębę godźi sztychem,
Jáko nadáley śięgáiąc rámiony.
Y gdy go ow chce krokiem podpáść ćichem,
Do twarzy mu miecz obrácá stalony:
Strzegąc ostrożnie, áby mu urázy
Ukradkiem dane nie przyniosły rázy.

* * *

Ták okrętámi między nierownemi,
Gdy ćicho stoi Ocean głęboki:
Rowna iest bitwá, kiedy ow lekkiemi
Bokámi lepszy, ten wierzch ma wysoki.
Ow koły coraz náćiera prędkiemi,
Ten oćiężáłe w mieyscu trzyma boki:
Ale gdy lżeyszy blisko záś podpádnie,
Wysoki z gury pożyie go snádnie.

* * *

Kiedy tem Tánkred fortelem nań mierzył,
Chcąc zástáwiony miecz odwieść ná stronę:
Podał mu w twarz sztych Argánt, on uwierzył,
Y biegł z swem mieczem twarzy ná ochronę.
Ale on indźiey ták prętko uderzył,
Ze niewczás Tánkred przybiegł ná obronę:
Y pchnąwszy go w bok, krzyknie: Swą nauką,
Swą (pry) iest szermierz zwyćiężony sztuką.

Tánkred się z gniewu wielkiego nie czuie,
Gryźie się srodze, y zębámi zgrzyta:
Y do pomsty się prętkiey ták gotuie,
Ze pozno wygráć zá strátę poczyta:
Y sztych mu poda tám, gdźie ukázuie
Wzrokowi przeszćie przyłbicá zákryta:
Argánt odbiia on sztych, y odwodźi,
Wtem odważony Tánkred, miecz podchodźi.

* * *

Y kroku rączo pomknąwszy lewego,
Lewą mu ręką porwie łokieć práwy:
A práwą w lewy bok, końcem ostrego
Mieczá, kilkákroć sztych mu dáie krwáwy.
Tę (pry) odpowiedź od zwyćiężonego
Szermierzá, mistrz ma zwyćiężcá: Dziuráwy
Bok czuiąc Argánt, miece się przezdźięki,
Niemogąc wydrzeć poimáney ręki.

* * *

Wtem miecz ná sznurze puścił uwiązány,
A sám Tánkredá podpadł w rączem skoku:
Toż czynił Tánkred, y ták opasány
Wzáiem ten y ow pomykáli kroku.
Nigdy ták mocno Alcyd záwołány,
Anteusowi snádź nie ścisnął boku:
Jáko się w ten czás rożnemi węzłámi
Ci żylistemi ściskáli rękámi.

* * *

Ten beł onemu koniec zapásowi,
Ze obá źiemię bokiem uderzyli:
Lecz się zdárzyło szczęśćiem Argántowi,
Ze lepszą rękę wolną w oney chwili
Lewą miał z spodku: A záś Tánkredowi
Práwá uwięzłá: Ale się po chwili
Widząc, że mu ták Cyrkászczyk beł srogi,
Wymknął y stánął ná źiemi ná nogi.

Ten wstáie pozniey, y niż wstał, nieznośnie
Cięszki raz nań spadł z gury bez obrony:
Lecz iáko się w raz wierzch wysokiey sośnie
Schyla, y wznośi, gdy dmą Aquilony:
Ták go iego moc dźiwiga, gdy żáłośnie
Zda się, że ná doł leći pochylony.
Wtem obá ná się mocno przyćináli
Y sztuk szermierskich więcey nie pátrzáli.

* * *

Nie z iednego krew mieyscá Tánkred leie,
Ale z Argántá wychodźi strumieniem:
Już we mdłey śile wśćiekły gniew niszczeie,
Jáko zá słabem płomień pożywieniem:
Uyrzawszy Tánkred że Cyrkászczyk mdleie,
Y słábiey śiecze, y macha rámieniem:
Z wspániáłego gniew serca záraz skłáda,
Y odskoczy się, y ták mu powiáda:

* * *

Znay mię zwyćiężcą kiedyś niedołężny,
Albo me szczęśćie, á poniechay zwády:
Ja z ćiebie łupu, o Rycerzu mężny,
Niechcę, bądź wolnem posłuchány mey rády.
Tu Argánt bárźiey niż kiedy potężny,
Wszystkie swe śiły zbiera do gromády:
Ták (pry) Argántá mász zá nikczemnego?
Y poczytasz go zá zwyćiężonego?

* * *

Jdź zá twem szczęśćiem, á nie mow ták wiele,
Nie iuż ten wygra, co słowy wywiera:
Jáko więc głowniá gdy gáśnie w popiele
Pośilia płomień, y iáśnie umiera.
Ták w niem gniew we mdłem, y bezkrewnem ćiele
Ożywia śiły, y ná wierzch wypiera.
Chćiałby przed śmierćią rozstáiąc się z słońcem,
Ostátni swoy kres wsławić mężnem końcem.

Y lewą ręką práwey pomagáiąc,
Cięszki raz spuszcza z obu rącz zárázem:
Y zástáwiony gwałtem przymuszáiąc
Miecz miia, dáley śięgáiąc żelázem:
On srodze z żebrá ná żebro spadáiąc,
Kilká ran záraz iednem czyni razem.
Jeśli się Tánkred nie bał, serce żywe,
Y z przyrodzenia nie beło lękliwe.

* * *

Znowu Cyrkászczyk tnie nań bez obrony,
Lecz ná wiátr poszłá śiłá y gniew mśćiwy:
Bo się rázowi Tánkred postrzeżony
Umknął, y w stronę uskoczył skwápliwy.
Sámeś ćiężarem padł swem obálony,
Y z tey miáryś beł Argánćie szczęśliwy:
Ześ sám przyczyną sobie beł swey zguby,
Y nikt z pádnienia twego nie ma chluby.

* * *

W ten czás rozszerzył rány bok otwárty,
Z ktorych gorącey krwie ćiekły strumienie:
Ale ná źiemi lewą ręką wspárty,
Przedsię się bronił klęcząc ná kolenie.
Podday się, nie bądź ták bárzo upárty,
Miękkie zwyćiężcá máiąc przyrodzenie
Woła nań: ále nic nie odpowiádał,
Owszem mu milczkiem ránę w kostkę zádał.

* * *

Widząc krew Tánkred z obrážoney nogi,
Rozie się, gniew go rusza y śromotá:
Y wráźił mu miecz kilká kroć, gdźie drogi
W hełmie otwárte nie broniły wrotá.
Umierał Argánt strászliwy, y srogi,
Y táki własnie iáki zá żywotá:
Postáć gniewliwą y wzrok miał surowy,
Znáć beło pychę, y z ostátniey mowy.

Nie chełp się szczęściem Tánkredźie opiły,
Nie twe to męstwo, Bog to wszystko správił:
Ale pozbywszy wszystkiey práwie śiły,
Krwáwe zwyćięstwo zwyćiężcá zostáwił.
Widźi, żeby go mdłe niezniosły żyły,
Gdźieby się ztámtąd w drogę wzad wyprávił.
Toli się przedsię puszcza w onem cześie,
Y krok powłokiem, y leniwo nieśie.

* * *

Ale nie długo bok niosł spracowány,
Bárźiey słábieie, im się bárźiey śili:
Záczem uśiadszy, głowę zmordowány
Ná ręce wspártą ku źiemi pochyli.
Wkoło z niem wszystko chodźi: dźień odźiány
Zda mu się we ćmy, y wzrok mu się myli.
Y ták się zmienił śiły y krwie prożny,
Ze od Argántá wniczem nie iest rożny.

* * *

Kiedy tu z przyczyn osobnych zwiedźiony,
Odpráwował się strászny czyn Marszowy,
Po dobytem się mieśćie z drugiey strony
Błąkał gniew srogich zwyćiężcow surowy,
Kto ták wymowny, kto ták iest uczony:
Zeby mogł godnie wypowiedźieć słowy
Klęskę, y dnia krew wylaną onego,
Y żałosną twarz miástá dobytego.

* * *

Wszędźie, się srożył y szerzył miecz srogi,
Gory się z ludźi pobitych dźiałáły:
Nápoły żywych pełne beły drogi,
A ránne wierzchem trupy okrywáły.
Z rostárgánemi włosámi niebogi
Mátki do pierśi dźieći przyćiskáły,
A ćieszki łupem po twárdey opoce
Wlokł nieprzyiaćiel Pánny zá warkocze.

Ale w ulicách przećiw zachodowi
Ku gorom, kędy wielki kośćioł stoi,
Rynáld płochemu dogrzewa ludowi,
A krew Pogáńska ćiecze mu po zbroi:
Jednák nágiemu nieprzyiaćielowi
Folguie, tylko o lud zbroyny stoi,
Szysak, álbo tarcz namnieysza zasłoná,
Nie meić nic w ręku naywiętsza obroná.

* * *

Bezbronnych wszystkich puszcza oney doby,
A mieczá tylko używa ná miecze:
Nági lud groźney postawą osoby
Rozgánia, zbroyny rzadko kto ućiecze.
Widźiałbyś tám był dźielności sposoby
Rożne, tych strászy, tych miia, tych siecze.
Jáko nierownem szczęściem ućiekáią
Z zbroynemi rowno, ći co zbroy nie máią.

* * *

Z częśćiá Ryczerstwá táił się strwożony
Lud pospolity, chcąc záchować zdrowie,
W kośćiele, ktory częstokroć spałony
Od Sálomoná, y teraz się zowie.
Przes ktorego beł naprzod założony,
Mármorow, złotá, kunsztowni Mistrzowie
Dáli mu dosyć: dźiś nieták bogáty,
(Obronny iednák) iáko beł przed láty.

* * *

Przyszedszy Rycerz wielki w tamtę stronę
Zástał tám płoche pospolstwo zebráne,
Y po wysokich wieżách ná obronę,
Gęste woienne czyny zgotowane
Podniosł wzrok srogi, y żeláżną bronę
Dwákroć obeyrzał y wrotá spiżáne:
Y dwákroć tákże prętkiemi nogámi
Obbieżał kośćioł z mocnemi wieżámi.

Jáko rozboycá wilk, koło obory
Schadza wieczorem, ná záwárte stádá:
Y áby głodne nákármił przemory,
Chćiwemu szuka brzuchowi obiádá.
Ták y on mocne obbiega zapory,
Y gdźie się iáka náyduie zawádá,
Gwałtem chce przebyć: Potem w mieyscu stánie,
Pátrzą z wysoká strwożeni Pogánie.

* * *

Zbyt miąsze drzewo ná támtem przechodźie
Leżáło między ćiosánemi tramy:
Jáko więc miąsze u Angielskiey łodźie
Poprzek wiszące ná mászćie widamy:
Ten mężną ręką w zápędzonem chodźie
Niosł wielki Rycerz, do kośćielney bramy:
Y dał w podwoie raz niewytrzymány,
Rospuśćiwszy w nie tram roskołysány.

* * *

Trudno wytrzymáć kámień w one czásy,
Y twárdą spiżá ták ćięszki raz miáłá:
Wyrwał z Marmoru stalone záwiásy,
Wrotá wypádły, á źiemiá zádrżáłá.
Nie mocniey táran zákowány strászy,
Nie mocniey kule wypádáią z dźiáłá
Jako wylewa rzeká: tákiem kształtem
Leią się ludźie, nową drogą gwałtem.

* * *

Krwią z pobitego ludu wszędźie spływasz
Kośćiele, ktoryś przedtem beł dom Boży:
O pomsto Páńska, im pożniey przybywasz,
Tymeś iest ćięzsza y surowszey grozy:
Ty teraz miękkie sercá zátwárdźiwasz,
Ze się zwyćięzcá nád swoy zwyczay sroży:
Obfićieś áto Poháńce pokrwáwił,
Ołtarze teraz, ktoreś beł splugáwił.

Ale tem czásem Soliman, gdźie leży
Wieżá tá, ktorą od Dawidá zową:
Zbieráć Rycerstwo rozgromione bieży,
Y wstręty czyni, y obronę nową:
Ku teyże idźie Krol Aládyn wieży,
Ktorego taką Sułtan podka mową:
Sam, o sam Krolu, miey się do tey strony,
Uchodź do zamku do pewney obrony:

* * *

Abyś w niem zdrowie y Páństwo záchował,
Zá co ia tobie, o Krolu, ślubuię,
On ná to: Wszystko niestetysz splundrował,
Miásto miecz srogi: Ja iuż nie pánuię.
Prawdá żem beł żyw, prawdá żem krolował
Więcey nie żyię, więcey nie kroluię:
Byłem coś kiedyś, teraz wyrok wieczny
Przyszedł ná wszystkich, y dźień ostáteczny.

* * *

Odpuść mi, błądźisz, o Krolu, w tey mierze,
Odpowie z gniewem Sułtan w oney dobie:
Niech nam krolestwo zła Fortuná bierze,
Przy Krolewskiey iest Krolestwo osobie.
Jeszcześ nie zginął, dufay moiey wierze,
Wnidź oto w zamek, á odpoczni sobie.
Ták w ten czás Sułtan z oney mieszániny
Uwodźił w zamek Krolá Pálestyny.

* * *

A sam dostawszy pierzystey buławy,
Swą wierną szablę przypásał do boku:
Y gęste czyniąc w ulicách zástáwy,
Woli tám umrzeć niż ustąpić kroku.
Káżdy raz iego śmiertelny beł práwy,
Gniew wśćiekły nieśie w zápalonem oku:
Káżdy ućieka co nadáley, ktory
Záyrzy buławy z żeláznemi piory.

A w tem od roty swoiey prowadzony
Przypadał Raymund w smálcowáney zbroi:
Gdźie naygorszy raz, starzec odwazony
Bieży, y ćięszkiey broni się nie boi.
Pierwey Tolozan tnie nań bez obrony,
Ale dáremnie, zá iego nie stoi:
Bo go ták mocno záiął Sułtan w ćięmię,
Ze stárzec wznak padł nieborak o źiemię.

* * *

Zátem się znowu támći poprawili,
Y ná zwyćięzce mężnie náćieráli:
A Chrześćianie serce iuż traćili,
Y bici beli, álbo ućiekáli.
A widząc Sułtan wodzá w oney chwili
Ná źiemi, ná swych co go pilnowáli
Záwołá: Skoczćie, tego stárcá wzwiedźćie,
Y do zámku go do więźienia wiedźćie.

* * *

Ci chcą wypełnić iego roskazánie,
Lecz bárzo trudną onę rzecz znáyduią:
Bo zgromadzeni w kupę Chrześćiánie,
Swoiego wodzá bronią y rátuią.
Litość z wśćiekłością w iednem plácu stánie,
Y o wielką rzecz zsobą się mocuią:
O zdrowie wodza wielkiego: ći biegą
Wźiąć mu ie gwałtem, á owi go strzegą.

* * *

Pewnieby bełá stroná w tey rospráwie
Solimanowá przećiwną przemogłá:
Bo piorunowey wytrzymać buláwie
Zadna przyłbica, żadna tarcz nie mogłá.
Ale gromádá wielka biegłá w spráwie
Do Tolozaná, áby mu pomogła:
Y w iednem czáśie Hetman z iedney strony,
A z drugiey przypadł Rynáld zápędzony.

Jáko więc pásterz, kiedy pełna gromu
Y wichru chmura z dáleka przychodźi:
A zewsząd ognie błyskáią, do domu
Przed niepogodą stáda z pol uwodźi:
Albo ie w ćiszą pędźi po świadomu,
Uchodząc przyszłych niebieskich powodźi:
Y przed nie laską y głosem prostuie,
A sam ostatnie, ostátni záymuie.

* * *

Ták Sułtan widząc ná się zgromádzone
Chmury z wichrámi nieuchronionemi,
Y słysząc niebo z hukiem uderzone
Strásznemi głosy nieprzyiaćielskiemi.
Wprzod wyprawuie ludźie powierzone,
Sam ustępuie znienagłá zá niemi.
Lecz ták leniwy ustęp beł zá wały,
Ze się zdał być wras ostrożny y śmiáły.

* * *

Y to ledwie mogł ustąpić zá progi,
Bo kiedy ná doł popuszczono wzwodu:
Już záwálone uprzątnąwszy drogi,
Biegł Rynáld pędem do mocnego grodu.
Chćiwość go sławy y gniew bodźie srogi,
Chce záwźiętego dobieżeć záwodu:
Pomni, że táka bełá obietnicá,
Mśćić się Szwedzkiego śmierći Krolewicá.

* * *

Y ponnoby się beł z wielkiey ochoty
Kuśił ná on czás o zamkowe wały:
Y nie bełby beł zá mocnemi wroty,
Przed niem bespieczny Soliman zuchwáły.
Ale iuż Hetman trąbi ná odwroty,
Y ćiemne mroki źiemię okrywáły:
A Goffred zátem w mieśćie się położył,
Y szturm do słońcá nowego odłożył.

Y mowi do swych wesoło: Ludowi
Swoiemu zdárzył wielki Tworcá niebá:
Już koniec mamy wszystkiemu trudowi,
Niczego się nam bać więcey nie trzebá:
Zamek nádźieię nieprzyiaćielowi
Ostátnią tylko wźiąć będźie potrzebá:
Do ktorego się ná iutro gotuyćie,
Teraz z choremi ránne opátruyćie.

* * *

Opátruyćie tych, ktorzy nam dostáli
Tey oyczyzny krwią, y swoią dźielnośćią:
Ná tośćie ráczey Rycerzmi zostáli,
Niż łupić, niż się unośić chćiwośćią:
Jużeśćie dosyć krwie náprzelewáli,
Zdobyczy wźięli, złotá z máiętnośćią.
Nie łupćie więcey, nie srożćie się więcey,
Niech to po woysku wytrąbią co pręcey.

* * *

To rzekszy, idźie tám gdźie niedołężny,
Po ćięszkich ráźiech Grabiá odpoczywa:
Niemniey wesoło, swych Soliman mężny
Cieszy, á twarzą żal w sercu pokrywa:
O towárzysze, często więc potężny,
W zwyćięstwie biły nieprzyiaćiel bywa:
Y rzeczą sámą nie ták wielką mamy
Szkodę, iáko to podomno mniemamy.

* * *

Z pospolstwem błáhem tylko odbieżáne
Mury, nie miásto wźięli Fráncuzowie:
Bo w nászych ręku ma bydź rozumiáne,
Y w pierśiách miásto y w Krolewskiey głowie,
Krolá zdrowego, Rycerstwo przebráne
Y zamek mamy, o wielcy mężowie:
Niechay się oni z murow wźiętych chlubią,
Bo náostátek y te pewnie zgubią.

Zgubią ie pewnie, kiedy unieśieni
Tem swoiem szczęśćiem, ná ktorem się sádzą,
Strzedz się nie będą, y ubespieczeni,
Ná łupiestwá się y zdźierstwá udádzą:
Ták w wszeteczeństwie, w gwałtách utopieni,
Zwyćięstwo z śiebie nie trudne nam dádzą:
Jeśli ich w tákiem niedbálstwie zástánie
Woysko Egipskie, ktore idźie ná nie.

* * *

A my wtem mieyscá niżey położone
Z gury będźiemy szkodzić kámieniámi,
Y ku grobowi drogi obrocone,
Trudnić z wysoká gęstemi strzelbámi.
Tákiemi sercá Soliman strwożone
Swego Rycerstwá wspierał nádźieiámi.
Tem czásem Wáfryn między Egipskiemi
Błąkał się woyski nieprzyiaćielskiemi.

* * *

Do przećiwnego woyská szpieg obrány,
Sámem wieczorem wyiechał zá bronę:
Y nie gośćińcem, skryty y nieznány,
Ale polámi biegł cáłą noc onę.
Jeszcze dźień ná świát nie wchodźił rumiány,
Kiedy budowną minął Askálonę:
A kiedy Phoebus w południe swe wozy
Wegnał, Egipskie obaczył obozy.

* * *

Widźiał ták wiele namiotow rozbitych,
Chorągwi rożnych, y grotow strászliwych:
Słyszał ták wiele muzyk rozmáitych,
Bębnow, Cymbałow, y surm przeráźliwych,
Głosow Wielbłądźich, y wieżámi krytych
Ogromnych Słoni, y koni krzykliwych,
Ze rzekł: Wszystkę tu Azyią ruszono,
Wszystkę tu w kupę Afrykę zwiedźiono.

Obozowi się pierwey przypátruie,
Jeśli go przykop y wał iáki broni:
Potem drog skrytych więcey nie náyduie,
Ani od ludu zgromádnego stroni:
Ale gośćińcem przestronem kieruie,
Z nikiem się zbliska rozmowy nie chroni:
O káżdego się bespieczny oćiera,
A śmiałem czołem chytrych mow podpiera.

* * *

Y to tám, to sám po oboźie chodźi,
Przez rożne pláce, rożne stánowiská:
Stroiom, y koniom, y Rycerskiey młodźi
Przypátruie się, y wie ich przezwiská.
Ale ná więtsze ieszcze rzeczy godźi,
Báda táiemnic co nayskrytszych zbliská:
Ták długo chodźi, to tu, to owotu,
Aż Hetmáńskiego tráfił do namiotu.

* * *

Y záyrzał płotná trochę rosprotego,
Skąd oną dźiurą beł máły słychány
Głos, z Hetmáńskiego pokoiu dálszego,
Gdźie przednie tylko przypuszczano Pány:
Ták że od tego, co się do támtego
Mieyscá przystąpił, mogł bydź zrozumiány.
Wáfryn tám idźie, wrzkomo się zábawia
Czem inszem, wrzkomo námiotu popráwia.

* * *

Nie zdiął beł w ten czás Hetman z śiebie zbroie,
Wszystek beł zbroyny okrom sámey głowy:
Przed niem zdáleká gdźie beły podwoie
Ostatnie, stało w świetne złotogłowy
Stroyno ubranych, małych chłopiąt dwoie,
Ten z tarczą, ow beł z szyszakiem gotowy:
A słysząc Wáfryn, że tám ktoś miánował
Goffredá, uszu pilno nádstáwował.

Mowi mu Hetman, y tákeś bespieczny
Zábić Goffredá? niechay co odniosę
Pewnego: On záś: Niech będę bezecny,
Gdźieć wrychle iego głowy nie przyniosę.
Nie będę pewnie z inszych ostáteczny
Co się sprzyśięgli: A inszey nie proszę
Nagrody, tylko żebym mogł w Káirze
Wyryć ten nápis ná twárdem Porphirze.

* * *

Skázcy Azyiey, Ormund odważony,
Chrześćiáńskiemu tę zbroię wodzowi
Wźiął z duszą, y tu ná słup wystáwiony
Włożył ią, pámięć przyszłemu wiekowi.
Hetman mu ná to: Nie tylko z tey strony,
Ták pámiętnemu godną uczynkowi
Nágrodę weźmiesz: áleć Krol zápłáći,
Y gromádą ćię złotá ubogáći.

* * *

Przeto gotowe miey znáki fałszywe,
Bo w krotkiem czásie damy bitwę sobie:
Są (pry) gotowe: Tu ony zdrádliwe
Mowy skończyły obiedwie osobie.
Wáfryn się zdźiwi, y w sobie wątpliwe
Myśli obráca rożnie w oney dobie:
Nie może poiąć co zá sposob táki
Zprzyśięgi, co to zá fałszywe znáki.

* * *

Szedł dáley ztámtąd, y onę niespány
Całą noc strawił: ták go to trapiło:
A kiedy ná świát dźień wychodźił rány,
Y woysko z mieyscá w drogę się ruszyło:
To w ten, to w owten pułk wiechał wmięszány,
Y stánął tákże, gdźie się położyło:
Potem z iednego chodźił do drugiego
Namiotu, chcąc co usłyszeć pewnego.

Chodząc ták tráfił tám, kędy śiedźiáłá
Między Rycerzmi, y między Pánnámi
Piękna Armidá: y ták mu się zdáłá,
Jákoby z swemi gadałá myślámi:
Piękną twarz białą ręką podpieráłá,
Ná doł wdźięcznemi pátrzyłá gwiazdámi:
Nie wie czy płácze, okrom że obrotne
Zrzenice z mokrych pereł ma wilgotne.

* * *

A przećiwko niey, widźi że dumáiąc
Ani tchnie Adrást, áni okiem ruszy:
Ták w niey utopił y wzrok, y myśl, dáiąc
Obrok zgłodniáłey pożądány duszy.
Ale Tyzáfern raz ná nię pátrzáiąc,
Raz nań, to gniewem, to się żądzą suszy:
Y ná odmienney twarzy, to miłośći,
To wśćiekłey dáie znák zápálczywośći.

* * *

Altámor záśię (nie ták iáko owi)
W onemże kole z Pánnámi żártował:
Y wodz nie puszczał błędnemu zmysłowi,
Ale ostrożnie źrzenicą kierował.
Czasem do ręki chćiwemu wzrokowi,
Czásem do twárzy, czásem roskázował
Do pierśi, tám gdźie ćięnkie báwełnice
Drog pozwaláły w skrytsze táiemnice.

* * *

W ten czás się zdáło chytrey białeygłowie,
Dopiero odkryć wyćiągnione czoło:
Y temi słowy nagle się ozowie,
Smieiąc się ná nich, y pátrząc wesoło:
Pomnię ná chluby, o zacni Pánowie,
Was wszystkich, cośćie záśiedli to koło:
Y czekam od was pomsty obiecáney,
Jakośćie rzekli, pomożćie stroskáney.

Odpowie Adrást: Czemu tę urodę
Psuiesz frásunkiem, Páni, bez potrzeby:
Rynáldow ći łeb pewnie dam, y nieby
Jásnemi świádczę, że ćię nie záwiodę.
Jeśli też wolisz, o Krolowa, żeby
Beł ráczey żywy, więźniem go przywiodę.
Ták się Jndyan chlubił w oney dobie,
A drugi milczał, á gryzł się sam w sobie.

* * *

Do Tyzápherná potem wzrok życzliwy
Obroći: A ty co mowisz? pytáiąc,
On iey odpowie: Ja ktorym leniwy,
Zá tem twem strásznem zlekká postawáiąc
Poydę zdáleká: To mu ták dotkliwy
Dał sztych ná on czás, z niego przeszydzáiąc.
Ozwie się Adrást: Ten ktory się boi,
Słuszna (powiáda) że zdáleká stoi.

* * *

Tyzáphern ná to hárdą trzęsąc głową
Powie, zá miecz się nagle uchwyćiwszy:
Rzeczą tu trzebá mężnem być, nie mową,
O Boháterze, coś to nastrászliwszy.
Y kiedyby mi nie szło o Krolową,
Dáłoby się znáć, kto znas boiáźliwszy:
Porwie się Adrást: ále uprzedźiłá,
Y między nie się Armidá włożyłá.

* * *

Czemu mi ten dar (powiáda) bierzećie:
Ktoryśćie mi iuż nie raz dárowáli:
Ztąd, że się memi Rycerzmi zowiećie,
Słuszna, żebyśćie zsobą się zgadzáli.
Mnie gniewa, kto się gniewa: Jeśli chcećie
Bydź zemną, proszę, byśćie się iednáli.
Táką surowe mową gniewy wśćiąga,
Y w iárzmo dusze niezgodne záprząga.

Wáfryn słuchaiąc zdáleká tám śiedźiał,
Y dostawszy tám tákiey wiádomośći:
Odchodźi dáley, áby się dowiedźiał
Oney sprzyśięgi: lecz bełá w skrytośći.
Czásem się pyta, żeby kto powiedźiał,
Z sámey w niem rośćie więtsza chęć trudnośći:
Chce ábo tego przypłáćić żywotem,
Albo koniecznie dowiedźieć się o tem.

* * *

Tyśiąc sposobow niezwykłych używa,
Tyśiąc chytrośći wymyśla sam w sobie:
Ale nic á nic przedsię nie odkrywa,
O oney skrytey sprzyśięgi sposobie.
Nákoniec węzeł wątpliwy życzliwa
Fortuná, w oney rozwięzuie dobie:
Ze mu wyráźnie wszystko powiedźiano,
Jáko ná zdrowie Goffredowi stano.

* * *

Wrośił się záś tám, gdźie się zábawiáłá
Armidá, między swemi Rycerzámi:
Tá mu się droga nasnádnieysza zdáłá,
Gdźie ludźi biegło ták wiele kupámi.
Y z iedną Pánną co w kole śiedźiáłá,
Między inszemi białemigłowámi:
Przybliżywszy się, ták się wda w rozmowy,
Jakoby ią znał, y beł iey domowy.

* * *

Y rzekł wrzkomo to dawáiąc żártowi,
Y ia do ktorey piękney rad przystánę:
Łeb Rynáldowi álbo Goffredowi
Utnę, y przy swem słowie się zostánę.
Gdźie też ktoremu inszemu wodzowi
Każesz go ućiąć, káżdegoć dostánę:
Ták Wáfryn w on czás swą mowę z nią zácznie,
Myśląc żart przywieść do rzeczy nieznácznie.

Wtem się rozśmieie: ále go wydáłá
Twarz iego w ten czás, y śmiech przyrodzony:
Bo iedná, ktora pilnie go słuchałá,
Z práwey stanęłá podle niego strony.
Zadna ćię (práwi) z tych nie będźie miáłá,
Y nie będźieć żal, żeś ták obrocony:
Ja ćię zá sługę swoiego przyimuię,
Y iáko słudze átoć roskazuię.

* * *

Potem mu rzecze odwiodwszy go sobie,
Znám ćię Wáfrynie, okrom wątpliwośći
Y ty mnie. Zlękł się Wáfryn w oney dobie:
Ale się ućiekł do zwykłey chytrośći.
Jam ćię iáko żyw nie znał, y o tobie
Nie słyszał, átoś godná z twey gładkośći,
Aby ćię znano: To wiem żeś własnego
Nie zgádłá, Pánno, imieniá moiego.

* * *

Jam iest z Bizerty, Almádzor mię zową,
A oycá zwano moiego Lesbinem:
Oná łágodną odpowie mu mową,
Przy się iáko chcesz. Ja wiem żeś Wáfrynem:
Odkupiłábym twe zdrowie swą głową,
Ja ćie nie wydam żeś Chrześćiáninem:
Jam Erminia, pierwey niewolnicá
Twoiego Páná, twa społsłużebnicá.

* * *

Tyś mię w więźieniu ośm niedźiel pilnował,
Y stáwiłeś się ludzko y przychylnie:
Tyś był moy przystaw, tyś mi usługował
W słodkiey niewoley, tám iest, pátrzay pilnie.
On się iey coraz bárźiey przypátrował,
Nákoniec poznał, że tá nieomylnie.
Oná záś: Chceszli, y przyśięgę przydam,
Ze ćię nie zdrádzę, y że ćię nie wydam.

Owszem ćię proszę (masz ty swe przebiegi)
Przywroć mi pierwszy żywot niewolnicy:
Bo w tey wolności, y dni, y noclegi
Wiodę w nieznośney strapiona tesknicy:
A ieśliś też tu przyiechał ná szpiegi,
Y ná to się tu bawisz: W táiemnicy
Będźiesz odemnie pewne rzeczy wiedźiał,
O ktorych byś się z inąd nie dowiedźiał.

* * *

Zmilkł Wáfryn ná to: Má świeże przykłády,
Wiádom co umie Armidá zdrádliwa:
Płeć białogłowska ma záwżdy te wády,
Chytra, odmienna, złá, y świegotliwa,
Dufáć im prozno, oszukáią rády.
Ták się w niem biedźi rożnie myśl wątpliwa.
Nákoniec rzecze: Przewodnik gotowy,
Ná potem dálsze odłożmy rozmowy.

* * *

Ták pierwey niż się woysko ruszyć miáło,
Ziechác zárázem z niem się námowiłá:
Jemu się ztámtąd odyść lepiey zdáło,
A oná się záś do pánien wrociłá:
Y kiedy ią oń śiłá ich pytáło,
Zárty z swoiego Rycerzá stroiłá:
Potem ukradkiem wyszłá gdźie wiedźiáłá,
Ze Wáfryn czekał, y w pole iechálá.

* * *

Już w mili byli, y iuż iem ćierpliwe
Ginęły z oczu Pogáńskie namioty:
Teraz mi powiedz (Wáfryn rzekł) zdrádliwe
Ná Gotyfredá sprzyśięgi ototy.
Oná mu zátem sztuki niecnotliwe,
Y rozpoczęte odkrywa roboty:
Jest (pry) ná dworze ośm, między ktoremi
Ormund iest mężny, co się sprzyśiągł z niemi.

Ten obiecuie temi sposobámi
Zábić Goffredá z towárzystwem swoiem:
W ten dźień gdy między obiemá woyskámi
Bitwá się w polu wstępnem zácznie boiem:
Oni złotemi zbroie swe krzyżámi
Poznáczyć sobie, y Fráncuskiem stroiem
W białą się bárwę po ubieráć máią,
Jákiey Hárcerze iego záżywáią.

* * *

Ale ná hełmách znáki będą mieli,
A to dla tego, áby ich ták znáiąc
Swoi miiáli, á gdźieby widźieli,
Ze się boy krwáwy iuż będźie miał záiąć:
W ten czás Goffredá zábić będą chcieli,
Zá iego mu się wierną straż udáiąc:
A iádem máią nápuszczone miecze,
Ze żaden ránny śmierći nieućiecze.

* * *

Ale iż ná mię wiedzą to Pogánie,
Zem wászych herbow y stroiow świádomá:
Muszę własnemi, ná ich roskazánie,
Fałszywe znáki wyszywáć rękomá:
Ztąd teraz moie z obozu ziechánie,
Ze będąc tych ich zámysłow wiádoma:
By mi naćięższe zádáć miano męki,
Niechcę niewinney zdrádą mázáć ręki.

* * *

Ale nie tylko tá sámá przyczyná
Mego ziechánia: Tu się záwstydźiłá,
Y wypuszczonych ostátnich chudźiná
Chcąc słow hámowáć, źle ie wymowiłá:
Ale to bárźiey ruszyło Wáfryná,
Ze ią nálegał, áby mu odkryła
Co to tákiego: Czemu (pry) wiernemu,
Nie dufasz słudze Krolewno swoiemu?

Dopiero z sercá głęboko westchnęłá,
Y drżąc mowiłá ledwie zrozumiána
Sáma do siebie: Nie rychłoś poczęłá
Sromáć się wprawdźie nędzna, utroskáná,
Czemu tę miłość, ktora ćię uięłá
Gwałtem zákrywasz? dźiewko skłopotána:
Przedtemeś ná to oglądáć się miáłá,
Teraz iuż niewczás, kiedyś zbespieczniáłá.

* * *

Potem poczęłá powiádáć porządkiem,
Noc nieszczęśliwa, w ktoram utráćiłá
Miłą oyczynę, byłá mi początkiem
Moich kłopotow: támem ich nábyłá.
Stráćić Krolestwo, máła mem rozsądkiem,
To więtsza strátá, żem siebie stráćiłá:
Stráćiłám sámá siebie w oney dobie,
Nie mam rozumu, nie mam sercá w sobie.

* * *

Pomnisz Wáfrynie, kiedym iuż widźiáłá,
Ze nieprzyiaćiel zamek opánował:
Jákom do Páná twoiego bieżáła,
Gdy zbroyny wpáłac napierwszy wstępował:
Jákom zdáleká bieżąc nań wołáłá,
Proszę, zwyćięzco, ábyś się zmiłował:
Nie day żywotá, nie day mi wolnośći,
Tylko mi obroń Pánieńskiey czystośći.

* * *

On nie czekáiąc końcá moiey mowy,
Podał mi rękę swą niezwyćiężoną,
Y rzekł: O Pánno, átom ia gotowy
Nie boy się, cáłaś pod moią obroną.
Poczułám záraz zá onemi słowy,
Niewiem czem duszę niezwykłem dotknioną:
Co mi znienagłá áż do sercá poszło,
Y srogi ogień, y bol mi przyniosło.

Często mię potem náwiedzał niebogę,
Dáiąc znáć, że go me kłopoty bolą:
Łupu (pry) z ćiebie niechcę, iedź w swą drogę,
Gdźieć się zda do swych, puszczam ćię ná wolą.
Niestetysz, łup to nie dar beł, rzec mogę,
Dawszy mi wolność, wpráwił mię w niewolą:
Złotá mi nie wźiął, skárby mi zostáwił,
A serce mi wźiął, sercá mię pozbáwił.

* * *

Trudno skryć miłość: Częstom ćię o Pánie
Moiem, Wáfrynie, strapiona pytáłá:
Ty słysząc ono ták częste pytánie,
Rzekłeś: Płáćiś się ty w niem zákochálá:
Przáłám się: ále gorące wzdychánie,
Y troská moiá świádectwo dawáłá.
Miásto ięzyká wzrok sam ukázował
Ogień, ktory mię wszystkę opánował.

* * *

O niepotrzebnie milczenie użyte,
Czemum u niego záraz nie prośiłá
Lekárstwá pierwey, niżlim swe niezbyte,
Y wyuzdáne żądze rospuśćiłá.
Wtemem iechálá, y rány zákryte
Niosąc w zánádrzu, umrzećiem myśliłá:
Potem chcąc mdłego podeprzeć żywotá,
Niechćiáłám wiedźieć, co wzgląd, co sromotá.

* * *

Tákżem się szukáć moiego wykrádłá
Páná, ná srogiey rány uleczenie:
Ktorą mi zádał, ále mię opádłá
Kupá żołnierstwá, chcąc mię wźiąć w więźienie.
Dobrzem ná ten czás źiemie nie przepádłá,
Tolim iem zbyłá między leśne ćienie:
Gdźiem z wielkiem licha pásterká niewczásem,
Chwilę mieszkáłá między głuchem lásem.

Lecz żądza, ktora mię byłá minęłá
Z stráchu, y serce zásię otrzeźwiáło:
Y w pierwszą drogę znowum się záwźięłá,
Ale mię gorsze nieszczęśćie potkáło:
Dopierom tám iuż niebogá zginęłá,
Bo mię rozboystwo w drodze poimáło
Łotrow Aegipskich, ktorzy bez przekázy,
Hetmánowi w dar wiedli mię do Gázy.

* * *

Ten, kiedym mu záś o swem powołániu
Y o swem stanie wszystko powiedźiáłá:
W wielkiem mię záwsze miał poszánowániu,
Y kazał, żebym z Armidą mieszkáłá:
Tákem kilkákroć bełá w poimániu,
Kilkákroć wolna: Pátrz com wyćierpiáłá.
Lecz nie raz wźiętá, nie raz wyzwolona,
W pierwszem zostáwam pęćie zniewolona.

* * *

Byle ten, co mi włożył te okowy
Nie rzekł, patrzáiąc ná to me włoczenie:
Tułáiącey się niechcę białeygłowy,
Jdź sobie gdźie chcesz: Y ták mię wyżenie.
Ale nie tuszę, áby beł tákowy,
Ufam, że pierwsze wroći mi więźienie.
Ták Erminia w on czás rozmáwiáłá,
Y on dźień, y noc cáłą z niem iechálá.

* * *

Strzegł się gośćińcá, y tylko śćieszkámi
Wáfryn ná on czás y polmi uchodźił:
Y zá mieysckiemi stánął z nią murámi,
Kiedy mrok pádáł, y Phoebus záchodźił:
Wtem moc okrutna krwie między piáskámi,
Y zábity trup w niey mu się nágodźił:
Ktory wznák leżąc mártwem grożił srodze
Wzrokiem, po wszystkiey rośćiągniony drodze.

Ale go minął Tánkredow dworzánin,
Bo po ubierze cudzoźiemskiem kroiem,
Y po zbroi znał, że to beł Pogánin:
Lecz dáley trochę widząc zwykłem stroiem
Jnszego leżąc: To iuż Chrześćiánin,
Ktory tu (práwi) musiał polec boiem.
Wtem zśiadszy szyszak podnieśie zákryty,
Y krzyknie: Tánkred dla Bogá zábity.

* * *

Nád Argántowem ćiáłem nieszczęśliwa
Erminia się ná ten czás báwiłá:
Kiedy ią głosu przykrego pierzchliwa
Práwie w poł sercá strzałá uderzyłá:
Ná Tánkredowe imię ledwie żywa,
Ku Wáfrynowi koniá obroćiłá:
Y widząc iego twarz iáko trup zbládłá,
Y iuż nie zśiádłá, ále z koniá spádłá.

* * *

Niehámowáne łzy nań wylewáłá,
Y smętne głosy z wzdychániem zmięszáne:
Po coś mię tu zła Fortuno zágnáłá,
O złe widzenie, o niespodźiewáne:
Takem ćię długo miły moy szukáłá,
Zem ćię nálázła ná swą ćięższą ránę:
Lecz co się z tego náleźienia chlubię?
Kiedy nálazwszy zárázem ćię gubię.

* * *

Nigdybym bełá temu nie wierzyłá,
Byś miał bydź kiedy przykry memu oku:
A terazbym się rádá oślepiłá,
Ták żáłosnego strzegąc się widoku.
O piękna twarzy, iákoś się zmieniłá,
O piękne oczy, o wesoły wzroku:
Gdźie się, ách, wdźięczne twe świátło podźiáło?
Ktore naytwárdsze sercá przerażáło.

Lecz iákiśkolwiek, przedsię ćię miłuię
Szláchetny duchu, ieśli przy odźieży
Swoiey się báwisz, ktorą opłákuię,
Odpuść śmiáłośći, y moiey kradźieży.
Niech źimne wárgi koniecznie cáłuię,
Nie wszystko śmierći okrutney należy:
Niechay mi się też co z ćiebie dostánie,
Przynaymniey martwych ust pocáłowánie.

* * *

O wdźięczne ustá ktoreśćie ćieszyły
Słodkiemi moię mowámi niewolą:
Proszę, ábyśćie moiem dopuśćiły
Ustom nád sobą wykonáć mą wolą:
Podobnobyś mi dał był, o moy miły,
To dobrowolnie, coć biorę swąwolą:
Gwałtem ćię niechay cáłuię, á potem
Niech się z wzgárdzonem rozstánę żywotem.

* * *

Ty duchá mego przyim z zwykłey ludzkośći,
Niechay pospołu z twoiem odpoczywa:
Ták mowi w on czás, y z wielkiey żałośći
Táie, y nędzna łzámi się rospływa:
On odżywiony z oney wilgotnośći,
Przychodźik sobie, y oczy odkrywa:
Ale ie prędko záwárł, y z stękániem
Wzdychánie swoie, zmięszał z iey wzdychániem.

* * *

Oná poczuwszy, że tchnie Rycerz młody,
Y że znienagłá przychodźi ku sobie,
Krzyknie: Pátrz ná swé ostátnie obchody,
Ktore oblewam łzámi kwoli tobie:
Ach strapionemu sercu życz ochłody,
Albo niech ztobą w iednem lęgę grobie:
Nie opuszczay mię, zátrzymay się ieszcze,
Day ostáteczney prośbie iákie mieysce.

Otworzył Tánkred oćiężáłe oczy,
Y záś ie záwárł: Wtem iey Wáfryn rzecze:
Opátrzenia tu pierwey y pomocy
Potrzebá: bo płácz nigdy nie uciecze.
A wtem do niego rozbieráć go skoczy,
Tá mu pomaga, y tám gdźie krew ćiecze
Pátrzy, y rány nálazwszy ogrzewa,
Y wrychle się go uleczyć spodźiewa.

* * *

Widźi przyczynę oney wielkiey mdłośći
Tę, że krwie z niego wyszło bárzo śiłá:
Ale krom rąbku w tákiey odległośći
Niema czymby mu rány opátrzyłá.
Tyś iey nie zwykłych sposobow, miłośći
Záwiązánia ran, w on czás náuczyłá:
Złote wárkocze zurzynáłá sobie,
Temi ie w oney záwiązáła dobie.

* * *

Bo máła sztuczká ćienkiey báwełnice,
Trudno wystárczyć wszystkiem ránom miáłá:
Dyktamu nie ma: ále táiemnice
Wielkie w lekárskiey náuce umiáłá.
Już snu ćięszkiego zbywa, iuż źrzenice
Błędne podnośi, iuż do mdłego ćiáłá
Siłá się wraca, iuż kęs włada głową,
Widźi Wáfryná z obcą biáłągłową.

* * *

Jákoś tu tráfił (mowi) do Wáfryná.
A tyś kto? droga o lekárko moiá:
Pełgnęła wstydem ná on czás chudźiná,
Dowiesz się potem, teraz iáko twoiá
Lekarka, káżeć, iest tego przyczyná,
Nie gaday, trzebá choremu pokoiá:
Gotuy nagrodę zá wrocone zdrowie,
Wtem łono chorey podłożyłá głowie.

Tem czásem Wáfryn prowádźić go myśli
W iáki dom, gwoli lepszemu wczásowi:
A wtem do niego ludźie iácyś przyszli,
Lecz poznał prętko, że to Tánkredowi.
Ci z niem pospołu beli pierwey, niźli
Wyzwał Argántá ku poiedynkowi:
Ale iem kazał, áby pozostáli,
Teraz go, o niem zwątpiwszy, szukáli.

* * *

Ale y inszy co o niem zwątpili,
Rozeszli się go szukáć w rożne strony:
Ci mu z złożonych ręku uczynili
Stołek, ná ktorem wspárł się posádzony:
On otrzeźwiáwszy, rzecze w oney chwili,
Ták to psom Argánt leży zostáwiony?
Nie odchodźćie go, proszę was, pod niebem
Godźien, áby beł uczczony pogrzebem.

* * *

Ja iuż odpuszczam wszystko umárłemu,
On zginął iáko Rycerz záwołány:
Y słuszna pewnie, áby beł y iemu
Ten ostátni dar powinny oddány.
Ták towárzystwu porucza inszemu,
Aby go zá niem nieśli ná przemiány.
A Wáfryn iák ow, co czego pilnuie,
Przy Erminiey boku koń kieruie.

* * *

Potem rzekł do swych: Przebog pokim żywy,
Nie do obozu, do miástá mię nieśćie:
Bo ieśli przydźie ten żywot troskliwy,
Y świát porzućić, wolę umrzeć w mieśćie:
Y mieysce, w ktorem Bog umárł prawdźiwy,
Zdárzy łátwieysze ostáteczne przeszćie:
Y iuż bespieczne sumnienie mieć mogę,
Kiedy odpráwię obiecáną drogę.

Ták iáko było iego roskázánie,
Do Jeruzálem prosto go nieśiono:
O Erminiey Wáfryn miał stáránie,
Aby iey stanie blisko náleźiono.
Potem szedł tám, gdźie wiedźiał o Hetmánie,
Do ktorego go zárázem puszczono:
Choćia ná ten czás rádźił ná pokoiu,
O końcu woyny, y o przyszłem boiu.

* * *

Ná brzegu łożká śiedźiał wodz łáskáwy,
Gdźie Ráymund chory leżał ná pośćieli:
Ná koło były, postáwione łáwy,
Ná ktorych pierwszy Rothmistrze śiedźieli.
Gdy Wáfryn począł swoię rzecz, zabáwy
Wszystkieućichły, y wszyscy milczeli:
Ták iákoś kazał (powiáda) Hetmánie,
Bełem, gdźie leżą obozem Pogánie.

* * *

Zliczyć ich żaden niech sobie nie tuszy,
Choć też naywiętszey pilności przyłoży:
Gdy woysko idźie, gdy się z mieyscá ruszy
Okryią polá, hufce y obozy.
Zdroie y rzeki nieprzebrnione suszy,
Gdźie odpoczywa, y gdźie się położy:
Syryiskie żniwá ná ich pożywienie,
Y rzeki, małe są ná ich prágnienie.

* * *

Ale y iezdá, y między pieszemi
Po wielkiey częśći lud nikczemny máią:
Szyku nie pilni, broniámi ręcznemi
Nic nie są, w łuki nábárźiey dufáią.
Acz są niektorzy dobrzy między niemi
Zwłaszczá Persowie: ták o nich trzymáią.
Między wszystkiemi iest zás namężnieyszy
Pułk nieśmiertelny, y nápotężnieyszy.

A nieśmiertelnem dla tego go zową,
Ze się w niem prożne mieysce nie náyduie:
Y kiedy ieden wystánie, ná nową
Służbę zárázem drugi nástępuie.
Emiren Wodzem y náywyzszą głową,
Ten przed wszystkiemi dźielnośćią przodkuie:
A Krol mu kazał, áby z woyskiem twoiem,
W przestronem polu czynił wstępnem boiem.

* * *

A drugiego dniá będą nieomylnie,
Już czás niemáły iáko się ruszyli:
A ty Rynáldźie, strzeż się, proszę pilnie,
Bo się nabárźiey ná ćiebie grożili:
Y namężnieyszy Rycerze uśilnie
Swe miecze ná ćię y gniewy ostrzyli:
Armidá sámá tem będźie nagrodą,
Co ćię zábiią, álbo ćię przywiodą.

* * *

Między temi się Altámor zámyka
Krol z Sármákánty, po ktorem się liczy
Adrást, co wzrostem Olbrzymá dotyka,
A swemi páństwy z iutrzenką grániczy:
Miásto koniá się ná Słoniu potyka,
A w żeláźney go wiedzie uźdźienicy:
Jest y Tyzáphern mężny, nád ktorego
Nie máią w woysku Rycerzá więtszego.

* * *

Ná Wáfrynowę powieść Rynáldowi
Z oczu y z twarzy ogień wyskákuie:
Radby co prędey nieprzyiaćielowi,
Z wielkiey rádośći mieyscá nie náyduie:
Tu nie przestawa, ále Hetmánowi
Pogáńskie zdrády Wáfryn ukázuie:
Ná ćię się (práwi) o Hetmánie, śiły
Ná ćię się miecze Pogáńskie zmowiły.

Potem częśćiámi iął wszystko odkrywáć,
Jáko ná zdrowie iego czyháć miano:
Jákich szat, iákich zbroy mieli używáć,
Jáką nagrodę zdraycom obiecano:
Y insze rzeczy, iáko zwykło bywáć,
Powiádał Wáfryn, o ktore pytano.
A Gofired zátem rzecze w oney dobie,
Powiedz Ráymundźie, co się też zda tobie.

* * *

Ja (pry) nie rádzę, áby iáko chcećie,
Zámkowi szturm beł iutro ráno dány:
Lepiey, kiedy go szańcámi záwrzećie,
Ze nieprzyiaćiel będźie obegnány.
Ták zeszłe woysko świeższe mieć będźiećie,
Jeśli wam przyidźie do bitwy z Pogány:
A ty się námyśl, ieśli lepiey báwić
Nieprzyiaćielá, ieśli pole stáwić.

* * *

Ale tych przestrog nieważ lekce sobie,
A nádewszystko opátrz zdrowie swoie:
Wiesz co należy ná twoiey osobie,
Wszystkiego woyská zdrowie, zdrowie twoie:
A żeby zdraycá nie wskurał ná tobie,
Każ swem Hárcerzom insze włożyć zbroie,
Y znáki insze: Tuszę zá tą rádą,
Zeć się sam zdraycá odkryie z swą zdrádą.

* * *

Znáczna twoiá chęć, y rádá życzliwa,
Odpowie ná to Hetman Ráymundowi:
Ale wiedz, co iest u ćiebie wątpliwa,
Ze bitwę chcę dáć nieprzyiácielowi:
Boby sromotna bełá y zelżywa
Woysku Azyey okroćićielowi
Kryć się zá mury, y zá wáły, wolem
Jść iásnem dźiełem y przestronem polem.

Jmieniá zwyćięstw nászych nie strzymáią,
Nie tylko żeby w twarz nám weyrzeć śmieli:
A kiedy polem tem rázem przegráią,
Już utwierdzone páństwo będźiem mieli:
Ale y w zamku nie długo wytrwáią
Poddáć się będą koniecznie muśieli.
To powiedźiawszy ná on czás odchodźił,
Bo iuż mrok ćiemny, słodki sen przywodźił.

Koniec pieśni dźiewiętnastey.

PIESN DWUDZIESTA.

ARGUMENT.

Woyská obiedwie wchodzą w boy strászliwy,
Gdźie wielka liczbá z obudwu stron ginie:
Soliman z zamku wypada, teskliwy
Ze się nie biie z inszemi w rowninie.
Rynáld Sultaná zábił, á szedźiwy
Grabiá z Tolozy, Páná w Pálestynie:
Smierć wielki Rycerz rozwodźi Armidźie,
Zwyćięzcá wesoł do kośćiołá idźie.

Już słońce ludźie do zwykłych budźiło
Robot, iuż dźieśięć godźin dniá miiáło:
Kiedy Pogáństwo, ktore w zamku było,
Coś czárnáwego zdaleká uyrzáło:
Co polá ná kształt mgły iákiey okryło,
Ale po chwili ná koniec poznáło
Woysko Egipskie, ktore zásłániáło
Niebá kurzáwą, polá okrywáło.

* * *

Z tákiemi w on czás ludźie obleżeni
Krzykámi, z gury słyszeć się dawáią:
Z iákiemi stádem żorawie w ieśieni,
Od Trácyiskich gniazd zá morze latáią:
Y pod obłoki źimnem przeráżeni,
Krzycząc do ćiepłych brzegow ućiekáią.
Bliskie nádźieie ręce do strzelánia,
Y ięzyk czynią prętki do łáiánia.

Domyślili się záraz Chrześćiánie
Skąd one nowe groźby pochodźiły:
Y z mieysc wysokich widzą, że Pogánie
Jdą, y woyská iuż się przybliżyły:
Boli serc mężnych namnieysze czekánie,
Ognie wnątrz pierśi ochotne paliły:
Młodź niećierpliwa w kupę się zebrálá,
Y każ się potkáć, Hetmánie, wołálá.

* * *

Ale wodz mądry, choć go nágrżeváli,
Nie chce zwieść bitwy, woli ich hámować:
Y gdy się to ten, to ow nápieráli,
Niechćiał nikomu dopuśćić hárcować.
Trzebá żebyśćie dźień ieden wytrwáli,
Cóż? ustáwicznie mam wámi horować.
Nieprzyiaćielá chciał ponno w śmiáłośći,
Y w głupiey trzymáć o sobie dufnośći.

* * *

Zá temi słowy woysko ochotnieysze,
Teskliwe świtu czekálo ránego:
Nigdy powietrze nie beło pięknieysze
Y pogodnieysze, iáko dniá onego.
Piękna iutrzenká śmiałá się, iásnieysze
Biorąc promienie, od słońcá złotego:
Niebo bez rąbku, y nád zwyczay świętne,
Chćiálo ná dźiełá pátrzyć ták pámiętne.

* * *

Skoro białemu świt ustąpił dniowi,
Y słońce weszło, Goffred woysko správił:
Y wyszedł w pole, á przećiw Krolowi
Pálestyńskiemu Ráymundá postáwił:
A przy niem zostáć roskazał ludowi,
Co się beł z bliskiey Syryey wyprávił
Do swych wybáwcow; przydał y Gáskony,
Aby beł zamek zewsząd obleżony.

Jdąc, ná twarzy zda się bydź tákowy,
Ze się każdy z niey zwyćięstwá spodźiewa:
Niebo życzliwe zdobi go, y nowy
Sposob powagi ná niego wylewa:
Nád zwyczay się zda udátnieyszy z mowy,
Twarz mu wesołą młodośćią odźiewa:
Wzrok ma ták żywy, ták ochoty pełny,
Ze się zda więcey, niż człowiek śmiertelny.

* * *

Przećiw Pogáństwu prosto nástępował,
Tám kędy oboz ich beł zátoczony:
A nástępuiąc wzgorek opánował
Sobie wtył, z lewey położony strony:
Czoło rośćiągnął, boki uszykował
Wąsko ku rowni: Dla lepszey obrony
Piechotę śrzodkiem puśćił w oney dobie,
A iezdą skrzydłá ubespieczył obie.

* * *

Ná lewem skrzydle, ktore zástąpioną
Gurą, w bok támten beło bespiecznieysze:
Ruberty bráćią postáwił rodzoną,
Brátu piechoty poruczył śrzednieysze:
Sam poszedł w práwo w rowninę przestroną,
Gdźie mieysce beło nániebespiecznieysze:
Gdźie nieprzyiaćiel, ktory go przechodźił
Ludźmi, ná koło okrążyć go godźił.

* * *

Tám lud ćwiczeńszy, y lepiey ubrány,
Z swoiemi chćiał mieć Lotaryńczykámi:
Y między iezdę lud pieszy wmieszány,
Y tu y owdźie, rozłożył mieyscámi.
Potem uczynił huf wielki zebrány
Z conaydźielnieyszych, ktory zá skrzydłámi
Ná stronie w práwo zdáleká położył,
Nád ktorem stárszem Rynáldá przełożył.

Ty (pry) zwyćięstwo masz, o známienity
Rycerzu, ziednáć, tobą wszyscy stoiem:
Zá rozwlokłemi skrzydłámi zákryty
Z hufcem twoiem, stoy ćierpliwy spokoiem.
A gdy nástąpi nieprzyiaćiel, y ty
Potkasz się z boku z towárzystwem swoiem:
Ktory mem zdániem myśli (chciey mi wierzyć)
Okrążywszy nás, wbok y w tył uderzyć.

* * *

Potem od roty do roty biegáiąc,
Zágrzewał iezdy, zágrzewał piechoty:
Y twarz wesołą z szyszaku wydáiąc,
Do Marsowey ie pobudzał roboty:
Mężnem ich dźiełá pierwsze wspominaiąc,
Smiałem ich chluby, przydawał ochoty:
Wątpliwe twierdźił, iednem obiecował
Urzędy, drugiem żołdu poprawował.

* * *

Tám gdźie się roty przednieysze zebrały.
Stánął, y prętkie záhámował biegi:
Y ná págorek wiechał okazały,
Gdźie się Rycerstwá kupiły zabiegi.
Jáko z gur potok spadáiąc zuchwały,
Ná doł więc nieśie rospuszczone śniegi,
Ták mu obrotne z ust płynęły słowá,
Ták prętka bełá iego głośna mowá.

* * *

O cni wschodowych państw okroćićiele,
Ktorzyśćie mieczem Azyą skroćili:
Teraz dźień przyszedł, o ktory ták wiele,
Kroć, ták gorąco Bogáśćie prośili:
Nie bez niebieskiey tu nieprzyiaćiele
Opátrznośći się wszyscy zgromádźili:
Zebyśćie trudom kres dáli przystoyny,
Skończywszy iedną bitwą wszystkie woyny.

W iednem zwyćięstwie wszystkie mieć będźiemy,
Bez wielkiey pracey, bez wielkiey trudnośći:
A nie boymy się, że woysko widźiemy
Jch tákiey liczby, y tákiey wielkośći:
Sámo się w sobie iáko wnet uyrzemy,
Wikle w niezgodźie, y w swoiey rożnośći:
Tych namniey, ktorzy bić się będą chćieli,
Ci mieyscá, á ći serc nie będą mieli.

* * *

Z nágiem wam ludem przyidźie do potkánia,
Słábá w nich správá, słabsza ieszcze śiłá:
Ktorych od robot, álbo proznowánia,
Gwałt, y niewola z domu wypędźiłá:
Tarcze, chorągwie, według mego zdánia,
Drżą iem od stráchu: słyszę głosow śiłá
Niezgodnych, widzę správę pomieszáną,
Czuią śmierć bliską, widzą swą przegráną.

* * *

Hetman ich co to wrzkomo męstwem słynie,
Co się we złoćie świeći nastroynieyszy:
Czy? że raz wygrał bitwę ná Murzynie,
Albo Arábie, ma nam bydź śilnieyszy.
Przebog, co pocznie w tákiey mieszáninie,
By też beł dobrze naumieiętnieyszy:
Sam swoich nie zna, swoi go nie znáią,
Tácyż to proszę porážić nás máią?

* * *

Jám iest Hetmánem woyská wybránego,
Oználismy się zwyćięstwy, bitwámi:
Ktorego niewiem oyczyny? ktorego
Rodzáiu (pytam) nie znam między wámi:
Miecz znam káżdego, strzałę znam káżdego,
Niechay ią widzę ná powietrzu, sámi
Ze zgádnę, przyznáć będźieće muśieli,
Czy ią Jrlándczyk, czy Fráncuz wystrzeli.

Zwykłey rzeczy chcę, y tu skończę mowę,
Jákośćie zwykli, ták się dźiś stáwićie:
Ná moię sławę, ná cześć Chrystusowę,
Ná swą powinność ku Bogu pomnićie:
Jdźćie, porażćie Pogáństwo ná głowę,
Utwierdzćie zacne y święte nábyćie:
Niechcę was báwić, dobryśćie znák dáli
Z oczu, y z twarzy, iużeśćie wygráli.

* * *

Kiedy domawiał, nie bez podźiwienia,
Swiátłość mu pádłá z gury ná rámioná:
Jáko więc lećie noc z swego odźienia
Gwiazdy z długiego otrząsa ogoná.
Mogło być y to, że ią z przyrodzenia
Słońce ćisnęło z cogłębszego łoná:
Niektorzy, ktorzy on promień widźieli,
Zá znák przyszłego Krolestwá to mieli.

* * *

Lecz ieśli człowiek śmiertelny w skrytości
Boskie wniść może swemi domysłámi,
Podomno Anyoł z wieczney opátrzności
Stroż iego zszedszy, okrył go skrzydłámi.
Kiedy ták Goffred sercá y śmiáłości
Dodawał swoiem, tákiemi mowámi.
Hetman Aegipski także nie proznował,
Y swe potwierdzał, y woysko szykował.

* * *

Widząc zdáleká, że iuż nástępował
Lud Chrześćiáński, szedł w pole z swoiemi:
Y tákże iezdę z bokow uszykował,
A śrzodek wszystek zásádźił pieszemi:
Sam prawe skrzydłá sobie zostáwował,
A Altámorá chćiał mieć nád lewemi:
Muleassowi piechotę zlecono,
Armidę práwie w śrzodku postáwiono.

Przy sobie kazał być Tyzáphernowi
Z Jndyiskiem Krolem, y nieśmiertelnemu
Hufcowi: Ale gdźie się ku polowi
Lewe ćiągnęło skrzydło przestronemu.
Afryckie Krole dał Altámorowi,
Támże roskazał stánąć y Perskiemu:
Y dwiemá Krolom z południowych kráiow,
Gdźie strzelcow beło ták wiele rodzáiow.

* * *

Ták swe Emiren spráwił, y biegáiąc
Z połku do połku, śrzodkiem y stronámi:
To przez tłumáczá, to przez się gadáiąc,
Mieszał srom z chwałą, nagrody z kaźniámi.
Jednemu mowił: Czemu ták spuszczáiąc
Twarz w źiemię pátrzysz? sámemi ćieniámi
Strászni będźiemy nieprzyiaćielowi,
Co może dźieśięć przećiw tyśiącowi?

* * *

Drugiemu záśię: Z táką twarzą śmiáłą
Jdź, o Rycerzu mężny do potkánia:
Niektorem ná myśl przywodźi zbolałą
Oyczyznę, y iey łzy y nárzekánia.
Jnszem czeladkę domá pozostáłą,
Y iey ustáwne wspomina lękánia:
Wierz mi żołnierzu, żeć u nog upáda,
Y ták oyczyzná przez mię ztobą gáda.

* * *

Tobie, y twoiey poruczam dźielności,
Moie ustáwy, y święte kośćioły:
Niewinne pánny, broń od zelżywości,
Y groby dźiádow, y martwe popioły:
Od ćiebie proszą w nieszczęsney stárości
Rátunku, starzy umárli ná poły:
Tobie dźiećiny, żoná, (żał się Boże)
Tobie małżeńskie ukazuie łoże.

Wszystkiem záś mowił: Was teraz swoiemi
Rycerzmi, y swey obrońce swobody
Czyni Azya, czekaiąc nád temi
Zboycámi przez was pomsty zá swe szkody.
Ták sposobámi ná on czás rożnemi,
Rożne do boiu przychęcał narody:
Ale iuż milczą Hetmáni, y obie
Już nástępuią woyská przećiw sobie.

* * *

Beło co widźieć, kiedy się správione
Obiedwie woyská ku sobie ruszáły:
Y kiedy w gęste pułki rozdźielone,
Już w się uderzyć, iuż się potkáć miáły.
Piękne chorągwie wolno rospuszczone,
Pełnemi łony z wiátrámi igráły:
Złoto, żelázo, herby, świetne stroie,
Polerowáne błyszczáły się zbroie.

* * *

Ták wiele kopiy miáły obie stronie,
Że się z nich zdał być lás iáki wysoki:
Już zewsząd ostre błyskáią się bronie,
Już łuki ćiągną, drzewá kładą w toki.
Gniewow swych Pánow poprawuią konie,
Rzeźwieysze czynią niż kiedy poskoki:
W mieyscu nie stoią, nogámi kopáią,
Ognie, y dymy nozdrżámi pryskáią.

* * *

Ono widzenie strászne y surowe,
W strachu poćiechę iákąś wydawáło:
Y trąb, y muzyk woiennych Marsowe
Spiewánie, uszom swą roskosz dawáło.
Ale choć mnieysze, woysko Chrystusowe
Pięknieysze się być y weselsze zdáło:
Muzyki iego krzykliwiey śpiewáią,
Y piękne zbroie iásniey się błyskáią.

Wprzod násze trąby zágráły: Pogánie
Zárázem się też swoiemi ozwáli:
Wtem ná koláná pádli Chrześćiánie,
Y z nabożeństwem źiemię cáłowáli.
Już się strászliwe poczyna potkánie,
Już polá nieznáć, iuż się pomięszáli:
Już się ná skrzydłách bitwá poczynáłá,
Już się zá iezdą piechotá ruszáłá.

* * *

Ktoż wżdy się z woyská wprzod Chrześćiáńskiego
Potkał ná on czás? co też mowią o tem:
Tyś, o Gildyppo, w Krolá Ormuskiego
Jrkaná naprzod uderzyłá grotem:
Niewieśćiey ręce sławy, y tákiego
Szczęśćia Bog życzył, y záśięsz mu potem
Rośćięłá pierśi, słyszy umieráiąc
Nieprzyiaćioły, on raz wychwaláiąc.

* * *

Drzewo Krolowi w pierśiách Ormuskiemu
Złámawszy, mieczá od boku dostáłá:
Y rospuśćiwszy koniowi rączemu,
Ściśnione Perskie hufce rozrywáłá.
Brzuch Zophirowi rośćięła śmiáłemu,
Y ielitá mu wytoczyłá z ćiáłá:
Alarkowi záś krtán przećięła srodze,
Rázem pokármu y głosu dwie drodze.

* * *

Artársá ćiętem rázem ogłuszyłá,
Smiertelny dáła sztych Argeusowi:
Potem gdźie ręká lewa się schodźiłá
Z rámieniem, ćięłá w staw Jzmáelowi:
Odćięta ręká wodzę upuśćiłá,
Około uszu świszczy miecz koniowi:
On czuiąc wolność, bieży w przek, y kędy
Wpádnie, správione wszędźie mięszá rzędy.

Y inszych wiele legło od iey broni,
Ktorych wiek dawny pogrążił w milczenie:
Persowie rączych popuszczáią koni,
Już około niey zewsząd zgromádzenie.
Ale iey mężnie iey małżonek broni,
Zástáwuiąc się przy swey miłey żenie:
Ták mężna para sobie pomagáiąc,
Szłá przez gęste się hufce przebiiáiąc.

* * *

Nowy czynienia wierni małżonkowie
Záchowywáli sposob w oney chwili:
Oboie swoie lekce ważąc zdrowie,
Oná go, on iey, wzáiem się bronili:
Oná obrony swey nie dáiąc głowie,
Odbiia rázy, ktoremi nań bili:
On tákże tarczą skłádał ią, gotowy
Y nágiey dla niey nie żáłować głowy.

* * *

Spolna iest pomstá, spolna iest obroná,
Spolny rátunek, y iemu y oney:
On zuchwáłego zábił Artoboná,
Páná ná wyspie Boekan rzeczoney:
Pod lewą pachą przebił Aluántroná,
Ktory kęs dośiągł iego ulubioney.
Oná Armuntá zabiłá śmiáłego
W ten czás kiedy śiekł ná mężá miłego.

* * *

Ale dáleko więcey nászych ginie,
Od Sármákánty Krolá w inszey stronie:
Gdźie koń obroći, y gdźie mieczem kinie,
Leżą ná pował, y pieszy y konie.
Szczęśliwy, kogo záraz duszá minie,
Od iego ostrey nieuchronney bronie:
Y niewie, iáko koń kąsa gniewliwy,
Gdy kto od mieczá zostawa wpoł żywy.

Ze dwiemá społem záraz boy rozczyna,
Z wielkiem Andronem, dużem Brunellonem:
Jednemu ták łeb y szyszak rośćina,
Ze ná rámionách został rozdźielonem.
Drugiego tráfia, gdźie się śmiech poczyna,
Serce mu mieczem rozwálił stalonem:
Ták, że się nędzny po niewoley śmieie,
Y ták śmieiąc się ostátni raz źieie.

* * *

Ale y inszych zámordował śiłá
Altámor, okrom wyzszey miánowánych:
Zábił Gwidoná, Gwaská, Rádomiłá,
Y wiele inszych Rycerzow wybránych.
Kto zgádnie? iáko wielka liczbá byłá
Zábitych, albo koniem podeptánych.
Kto ich imioná własne może wiedzieć?
Kto śmierći, y ran rożność wypowiedźieć?

* * *

Nie śmie nań nátrzeć żaden człowiek żywy,
Wszyscy iednemżeućiekáią torem:
Tyś, o Gildyppo, sámá w boy wątpliwy,
Z wielką śmiáłością weszłá z Altámorem.
W łuk Amázonká opásáná krzywy,
Zadna ták dobrze nie władnie toporem:
Jáko ná on czás przećiwko strásznemu
Oná Krolowi szłá Sármákáńskiemu.

* * *

Ták mu z obu rącz zadáłá raz tęgi,
Ták uderzyłá mocno w hełm złocony,
Ze się Altámor uchwyćił zá kręgi:
Y ku źiemi się podał pochylony.
Raz wielkiey mocy, y wielkiey potęgi
Poznał Pogánin, ktorem uderzony:
We mgnieniu oka oddał iey zárázem,
Ciąwszy ią w czoło stalonem żelázem.

Ták ią ćiął mocno, że się mu miecz zwinął,
Y że niebogá záraz ogłuszáłá:
Wszystká w niey pámięć, wszystek zmysł w niey zginął,
Mąż ią uchwyćił gdy z śiodłá lećiáłá.
Potem ią (ták iey szczęśćie chćiáło) minął,
Lub to wspániáłość iego spráwowáłá:
Jáko lew mężny, nád tem ktory leży
Srożyć się nie chce, y od niego bieży.

* * *

Ormund tem czásem, ktory beł obrány
Ná zdradźiecki czyn pospołu z inszemi:
W zmyślonem stroiu między Chrześćiány
Chodźił nieznácznie z towárzyszmi swemi.
Ták nocni wilcy częstokroć w dźień rány,
Podemgłę się psy zdádzą domowemi:
Y ná obory dybią, á ogony
Wątpliwe, pod brzuch tulą przemorzony.

* * *

Już milczkiem przypáść ná Hetmáná chćieli,
Już ieden insze uprzedzáiąc swoie,
Podpadał podeń: lecz że beli w bieli,
Poznał swe Goffred podeyrzánę stroie.
Krzyknie: Ci to są, co mię zábić chćieli,
Widźićie herby, y fałszywe zbroie,
Ktore krzyżámi poznáczyli sobie,
Wtem się do niego porwie w oney dobie.

* * *

Ránił go srodze: on ták wielkiey śiły,
Y ták przeważny, y ták przedtem śmiáły:
Nic się nie bronił, mroz mu w źimne żyły
Szedł, zápomniał się, został skámieniáły.
A wtem nań zewszęd wszystkie miecze biły,
Wszystkie nań strzały, oszczepy leciáły.
W ták wiele sztuk szło Ormundowe ćiáło,
Y inszych iego, że trupá nie miáło.

Skoro się Goffred uyrzał ukrwáwionem,
Wchodźi w boy srogi, y tám się udáie:
Kędy przed mieczem tył nieuchronionem
Altámorowem, lud iego podáie:
(Ktory od niego ták beł rosproszonem,
Jáko Afrycki piasek, kiedy wstáie
Gniewliwy Auster) y záwśćiąga koni
Ućiekáiących, y tego co goni.

* * *

Záczem się sroga bitwá záczynáłá,
Między Goffredem y tem Pogáninem:
Tem czásem indźiey piesza tákże wrzáłá,
Między Mulássem y między Báldwinem:
Ale y iezdá iuż się rospieráłá
Pod gurą, krwáwem Grádywowem czynem,
Gdźie sam Emiren, y gdźie ná niezmiernem
Słoniu się biie Adrást z Tyzáphernem.

* * *

Ná Robertá wpadł Emiren stárszego,
Y rowni sobie beli moiem zdániem:
Ale Jndyan przemagał młodszego,
Już zbroię pośiekł, iuż y szyszak ná niem.
Tyzáphern nie miał nikogo pewnego,
Coby mu godnie rowny beł potkániem:
Lecz się tám y sám przez hufce przebiia,
Y niepodobnie śiłá ich zábiia.

* * *

Ták bitwá trwáłá, á strách włożone,
Ná rowney wadze z nádźieią wiśiáły:
Wszędźie po polu drzewá pokruszone,
Y połamáne oręża leżáły.
Przebite piersi, boki przebodźione,
Rośćięte brzuchy we krwi się waláły:
Trupy wznák álbo ku źiemi nosámi
Leżą, iákby ią kąsáły zębámi.

Zywy ná zmárłem, pod umárłem żywy,
Koń zdechły leży podle Páná swego:
Zwyćiężcá podle siebie (ták straszliwy
Boy wszystko zmięszał) ma zwyćiężonego.
Nie iest milczenie, nie krzyk wyráźliwy,
Coś tylko słyszeć niezrozumiánego:
Szmer iákiś ćichy zsobą się biiących,
Stękánie ránnych, y umieráiących.

* * *

One ták piękne y ták świetne zbroie,
Teraz się w strászną twarz poobłoczyły:
Złoto promienie utráćiło swoie,
Fárby swey pierwszey piękności pozbyły.
Pierza, y kity, y wesołe stroie,
Z swey się ozdoby wszystkiey obnáżyły.
Wszystko zdeptano, ieśli iákiey trochy
Krew nie oszpeći, oszpecáią prochy.

* * *

Wtem Murzynowie słońcem przypaleni,
Z Aráby, ktorzy lewy rog trzymáli:
Krąg uczyniwszy wielki, po przestrzeni
Nieprzyiaćielom wtyły zaiezdżáli:
Y strzelcy w mieyscu támtem postáwieni,
Ná Chrześćiány zdáleká strzeláli.
Kiedy z swem hufcem Rynáld przypadł z boku,
Ták iáko piorun puszczony z obłoku.

* * *

Asmir z Meroey beł okrom wątpienia,
Między Arábskiem pułkiem namężnieyszy:
Tegoś ćiął záraz, kiedy do czynienia
Z niem, imo insze wypadał przednieyszy.
A kiedy go smák pierwszego zdárzenia
Zaiuszył we krwi, bieżał ochotnieyszy
W naygęstsze hufce, y niewymowione
Dźiełá poczynił, y ledwie wierzone.

Miecz mu się w ręku tylko trochę błyszczy,
Kilká ich ginie od ćięćia iednego:
Jáko więc żądłem wąż ták prętko świszczy,
Ze się trzy zdádzą z iednego sámego.
Toż rozumieli ktorzy beli bliscy,
Ze miał trzy miecze: Z machánia prętkiego
To pochodźiło, że się ták mylili,
A z strách u temu tem więcey wierzyli.

* * *

Jednem Libiyscy y czarni Krolowie,
Od iego mieczá szli pod ziemię śládem:
Jnszych záś iego cni Bohaterowie
Bili swoiego stárszego przykładem.
Ták z swem Rycerstwem Pogáńscy wodzowie
Polegli, iáko kłosy zbite grádem,
Bitwą trudno zwáć: iedná stroná biie,
A druga tylko nádstáwuie szyie.

* * *

Ale nie długo twarzy obracáli,
Biorąc przystoyne y uczćiwe rány:
Podáli tyły, y ták ućiekáli,
Ze wszystek ich szyk został rozerwány.
Jednák ták długo naszy náćieráli,
Ze szedł w rosypkę hufiec rozegnány.
Potem się zebrał zwyćiężcá, niechcący
Bić więcey mieczem w grzbiet ućiekáiący.

* * *

Jáko wiátr o lás wstrącony w ieśieni,
Albo o gurę gniewliwiey dmie, ále
W szerokich polách ná wielkiey przestrzeni
Łáskáwiey wieie, y nie ták zuchwále.
Jáko przy skałách morze barźiey pieni,
A ná głębiey ma spokoynieysze fále.
Ták im mniey wstrętow przećiwnych náyduie,
Tem bárziey Rynáld gniewy swe hámuie.

Kiedy ták niechćiał Bohátyr wspániały
Ná zbiegłych grzbietách zábáwiáć swey śiły:
Biegł ná piechoty, ktore iuż nie miáły
Jezdy w tę stronę, coby iey broniły.
Arábskie hufce wszystkie zućiekáły,
Y Afrykáńskie iuż podáły tyły:
Nie máią żadney od konnych obrony,
Wtem Rynáld przypadł z iezdą zápędzony.

* * *

Wpadł iáko wśćiekły ná dardy wytknione,
Hufce, y gęste poprzerywał rzędy:
Pośiekł, y szyki pomięszał śćiśnione,
Táka iego moc, tákie beły pędy.
Pole iuż wszystko krwią beło skropione,
Zbroy pośieczonych y ćiał pełno wszędy:
Wszędy pobitych leżą wielkie kupy,
A iezdá końmi gęste depce trupy.

* * *

Przebił się Rynáld áż do śrzednich szykow,
Tám gdźie Armidá ná złotem iechałá
Woźie: á wkoło z swoich miłośnikow,
Y z przednieyszych straż Bohátyrow miałá.
Kiedy iuż bliski beł onych strażnikow,
Z wielu go znakow zárázem poznáłá.
On się mało co zmienił, bárźiey oná,
Wprzod mrozem, potem gorącem dotknioná.

* * *

Jákby iey nie znał, miia złote kołá,
Y dáley idźie Rycerz ukwápliwy:
Ale swoiego niechce puśćić zgołá
Społmiłośniká hufiec zazdrośćiwy.
Wszyscy nań niosą rozgniewáne czołá,
Do mieczow idą, sámá do ćięćiwy
Strzałę przykłáda, gniew się w niey záymuie,
Ale go miłość wśćiąga y hámuie.

Miłość przećiwko gniewowi bieżáłá,
Y dotąd kryty ogień w niey wytknęłá:
Trzykroć ná niego łuku poćiągáłá,
Trzykroć watpliwey ręki záwśćiągnęłá.
Gniew plác otrzymał, á miłość przegráłá,
Nákoniec strzałę z ćięćiwy wypchnęłá:
Wypchnęłá strzałę, y zásię życzyłá,
Wypuśćiwszy ią, żeby go chybiłá.

* * *

Rádáby zásię, żeby się wypchniona
Strzałá od niego w iey serce wroćiłá:
Ták wiele miłość mogłá w niey strácona,
A coż? kiedyby bełá zwyćiężyłá.
Ták sámá w swoich myślách rozdwoiona,
Niestałe żądze ustáwnie mieniłá:
To chce to niechce, y gdy strzałę puśći,
Zárázem iey żał, że ią nań wypuśći.

* * *

Ono strzelenie zostáło w swey chwale,
Bo go tráfiłá w wymierzone mieysce:
Ale niewieśćiey blách wytrzymał strzale,
Y nie ięło się zbroie mdłe żeleśće.
On iey tył podał, oná swoie żale
Z gniewámi mięsza, mniemáiąc że ieszcze
Szydźi z niey: Potem trzykroć weń strzeliłá,
Lecz go oná nic, miłość ią rániłá.

* * *

Mowi do siebie, żáłosna z swey wzgárdy,
Y tákże to iest ten Pan niepożyty:
Podomno ćiáło ubrał w kámień twárdy,
Jáko y serce, że iest nie dobyty.
Niedba nic widzę, nieprzyiaćiel hárdy
Y z oká strzałą, y z ćięćiwy bity:
Nieprzyiaćiołkám zbroyna zwyćiężona,
Y miłośnicam bezzbroyna wzgárdzona.

Niewiem iuż, iákiey nań używáć śiły,
Dufa twárdemu sercu, twárdey zbroi:
Nádźieie mię iuż wszystkie opuśćiły,
Zádnych strzał, żadnych mieczow się nie boi.
Ostátnie mię iuż pomocy chybiły,
Legli Rycerze y obrońce moi:
Jákoś widźiałá, że iedni zabići,
Drudzy leżeli ránni z koni zbići.

* * *

Widźi niebogá, że sámá zostáłá,
Y wie że mu się pewnie nie obroni:
Y choć ma oszczep y łuk, nie dufáłá,
Y Látonowny, y Pállády broni.
Od wielkiego się strachu zápomniáłá,
Rownie iák łabęć gdy go Orzeł goni:
Ták się y oná, to tam to sam kręci,
Sámá niewie gdźie bieży bez pámięći.

* * *

Ale Altámor, ktory náchylony
Huf Perski w on czás wrácał ku boiowi:
Y by beł nie on, wszystek rosproszony
Szedłby beł ná miecz nieprzyiaćielowi.
Widząc ią w ták złem rázie, niewśćiągniony
W tę stronę wodze wypuszczał koniowi:
Y swą część, y swoy hufiec zostáwował,
Niech (pry) świát zginie, bylem iey rátował.

* * *

Zle strzeżonemu wozowi przybywszy,
Uprząta drogę: oná iedźie zá niem,
A wtem on iego hufiec rozgromiwszy
Rynáld y Goffred, wćiąż iecháli ná niem.
On wszystko znośi nád zwyczay ćierpliwszy:
Gách niżli Hetman lepszy, moiem zdaniem.
Potem w bespieczną uwiodszy ią stronę,
Niewcześną niosł swem pomoc y obronę.

Bo ná tem skrzydle iuż beli Pogánie
Zbići, y iuż się beli rozsypáli:
Ale ná lewem záś tył Chrześćiánie,
Nieprzyiaćiołom sromotnie podáli.
Robertá, ktory w pierśi wźiął dwie ránie,
W łeb iednę, swoi ledwie rátowali.
Drugiego Adrást poimał: ták obie
Woyská do tych dob rowne beły sobie.

* * *

Wtem Goffred wźiął czás, y znowu správione
Hufce wiodł przećiw nieprzyiaćielowi:
Ták skoczył niosąc kopiie złożone,
Jeden rog przećiw drugiemu rogowi:
Nieprzyiaćielską krwią obá skropione,
Ták ći z tryumphem idą, iáko owi:
Z obu stron idźie zwyćięstwo y chwałá,
A w poyśrzodku Mars, y fortun stałá.

* * *

Kiedy ták bitwá między woyski wrzáłá,
Y on czyn krwáwy Marsá surowego:
Gdźie wieża widok dáleki dawałá,
Poyrzał Soliman z zamku wysokiego:
Y widźiał, iáko odmienna mięszałá
Fortuná, rzeczy rodzáiu ludzkiego:
Y zewsząd śćiekłe krwią poboiowiská,
Y wielkie śmierći, y losu igrzyská.

* * *

Chwilę niemáłą ná bitwę pátrzywszy,
Ták w sobie zágrzał wnętrzne żądze swoie:
Ze záraz w pole, zamek opuśćiwszy
Wypáść, y wstąpić chce w surowe boie.
Y szyszak tylko ná głowę włożywszy,
Bo z siebie nigdy nie zdyimował zbroie,
Krzyknie: Cokolwiek náznáczyły niebá,
Dźiś álbo umrzeć, álbo wygráć trzebá.

Lubo niebieskie wyroki ták chćiáły,
Ktore go wewnątrz bodły bez przestánia:
Aby ostátki żadne nie zostáły
Pálestyńskiego więcey pánowánia:
Lub śmierć swą czuiąc, umysł go wspániáły
Grzał potkáć się z nią: Ták bez rozmyślánia,
Nagle ná on czás z otworzoney brony
Wypadał, wielkiem pędem niewśćiągniony.

* * *

Ták beł gorący, y ták niećierpliwy,
Ze niechćiał swoiey poczekáć drużyny:
Sam ná ták wielu idźie w boy strászliwy,
Ná gęste miecze, strzały, ruhátyny.
Ale y inszy potem, y szedźiwy
Puśćił się zá niem sam Krol Pálestyny:
On co ták wielkiey wprzod beł ostrożności,
Teraz do tákiey przychodźi śmiałości.

* * *

Ná ktorych naprzod wpadł niespodźiewány,
Ták prętko beli, y ták nagle zbići:
Ze nikt nie widźiał, kiedy dáwał rány,
Tylko coś poyrzał, áż oni zábići.
Od pierwszych idźie między Chrześćiány,
Z głosu do głosu, strách iáko po nići:
Ták że Syryiski lud iuż beł náchyły,
Począł pierzchliwe ukázowáć tyły.

* * *

Mnieyszy iuż beł strách między Gáskończyki,
Bo iáko ie beł ich pułkownik spráwił:
Mieyscá y swoie zátrzymáli szyki,
Ná tych się naprzod Soliman zábáwił.
Zaden ptak, żaden źwierz páznogćiá dźiki,
Y zębu nigdy ták barzo nie skrwáwił
Krwią źwierzow mnieyszych: iáko w on czás śiłá,
Solimanowá szablá krwie wypiłá.

Trudno wymowić zgołá iáko wiele
Gáskonow, mężny Sułtan zámordował.
Ale y Tyran Pálestyński śmiele
Z swoiem Rycerstwem zá niem nástępował,
Wtem Ráymund stáry ná nieprzyiaćiele,
Tám gdźie Soliman ludźie iego psował:
Swiadomy przedtem iego ręki bieżał,
Choć się z iego ran nie dawno wyleżał.

* * *

Znowu się z niem stárł, znowu záś beł w ćiemię
Niewytrzymánem rázem uderzony:
Zeszłych lat ćięszkie winno beło brzemię,
Y wiek, ktorem beł Grábiá obćiążony.
Sto mieczow rázem, kiedy padł ná źiemię
Biło nań, stem beł tarczy zásłoniony:
Ale się nád niem Soliman nie báwił,
Mniemáiąc że go zábitem zostáwił.

* * *

Na insze ztámtąd okrutnieyszy iedźie,
Ták iáko potok kiedy z wiosny wzbierze:
Potem záś indźiey, gdźie go wśćiekłość wiedźie
Bieżąc, łákomey obrok szábli bierze.
Jáko więc głodny po chudem obiedźie,
Do bogátey się rad kwápi wieczerze.
Ták y on co raz więtszey szuka woyny,
Chcąc złożyć do krwie swoy głod niespokoyny.

* * *

W pole do boiu ztámtąd się udawa,
Przez mury rączo bieżąc rowálone:
Ale strách iego Rycerstwá zostawa,
W nieprzyiaćioły wszedszy potrwożone:
Ták iedná stroná zwyćięstwá dostawa,
Ktore zostawił wpoły dorobione:
Druga odpiera, lecz odpor beł táki,
Ze ućiekánia wielkie dáie znáki.

Gáskończyk przedsię správą ustępował,
Ale Syrowie zgołá ućiekáli:
Y iuż Tánkredow dom, kędy chorował
Od nieprzyiaćioł pędzeni miiali.
Słysząc huk srogi bárzo się dźiwował,
Y wstawszy z łożká poyrzy oknem, áli
Już lud Syryiski ućiekáiąc bieży,
Gáskon uchodźi, á Tolozan leży.

* * *

Ale cna dźielność, y serce wspániáłe,
Ktore chorego nie opuszcza ćiáłá:
W niem słábe śiły, y członki schorzáłe,
Miásto krwie żywey, w on czás odżywiáłá:
Tarcz bierze w rękę, ktora ná zboláłe
Y ránne rámię, lekka się widźiáłá:
A w práwey záśię ręce miecz ma goły,
Y bieży pędem ná nieprzyiaćioły.

* * *

Co głosu stáie, woła: Gdźie bieżyćie?
Tákeśćie wierni wászemu wodzowi?
Ták mu Pogáństwu złupić dopuśćićie
Zbroię? brzydkiemu dár Máchometowi.
Potem kiedy się do domu wroćićie,
Pomnićie iego powiedźieć synowi:
Ze tám legł oćiec, skądeśćie ućiekli,
W tem nań Pogánie ze wszystkich stron śiekli.

* * *

Tarcz miał zbyt miązszą z rogátego wołu
Siedmi skor twárdych, ktore w iedno zbito:
Potem záś wszystkie złożone pospołu,
Przednie wyprávnem żelázem okryto.
Tą Grábię nákrył gdy ná niego z dołu,
Y z gury zewsząd strzelano y bito,
A mieczem ostrem śiekł ná obie stronie,
Ze odpoczywał w bespieczney obronie.

Wstał prętko potem tarczą obroniony
Od przyiaćielá, y mieczem znáiomem:
Dwoiákiem ogniem będąc zápalony,
Ná sercu gniewem, á ná twarzy sromem.
Chćiałby się znowu stárzec odważony
Z nieprzyiaćielem kosztować świádomem:
Szuka go, ále iż go nie náyduie,
Nád iego ludźmi zemśćić się gotuie.

* * *

Aquitánowie co ustępowáli,
Teraz przy wodzu śmiele náćieráią:
A oni przedtem ták mężni, ták śmiáli,
Nagłem uięći strácheм, ućiekáią.
Ci teraz gonią co tył podawáli,
Ták się więc nagle rzeczy odmieniáią.
Dobrze Tolozan swe rázy odbiia,
Sto ich sam ieden swą ręką zabiia.

* * *

Gdy się ták Ráymund háńby swey gniewliwy,
Nád głowámi mśćił co nazacnieyszemi:
Uyrzy, á ono Krol się sam szedźiwy
Mężnie potyka, między przednieyszemi.
Skoczy do niego, y w czoło strászliwy
Co raz go biie rázámi ćięszkiemi:
Ze legł nákoniec, y ktorey beł Pánem,
Ziemie ukąśił zębem rozgniewanem.

* * *

Gdy obu wodzow Pogánie strácili,
Widźiałbyś ich beł z rożnemi myślámi:
Jedni, kiedy iuż o sobie zwątpili,
Oślep ná miecze wpadáli pierśiámi.
Ku zamkowi się drudzy obroćili,
Wspieráiąc zdrowia mdłemi nádźieiámi:
Gdźie społ zmieszáni wpádli Gáskończycy,
Y koniec kłádli chwálebney zdobyczy.

Już zamek wźięto, y ieśli beł ktory
Co się śmiał oprzeć, záraz beł zábity:
Już Ráymund wielki proporzec ná mury
Niosł, dawáiąc znáć, że zamek dobyty.
Y przećiw woyskom tryumphálny z gury
Krzyż, znák zwyćięstwá ukazał rozwity.
Lecz tego Sułtan nie widźi ochocy,
Bieżąc do bitwy co iedno ma mocy.

* * *

Tám gdźie się biły woyská, przybiegáiąc,
Zástał, że wszędźie krew ćiekłá strumieniem:
A śmierć tryumphy swoie rośćiągáiąc,
Nád śmiertelnem się pastwiłá stworzeniem.
Y uyrzy koniá sámopás biegáiąc,
Z wiszącem ná doł ku źiemi rzemieniem:
Y dopadszy go, ośiadł go zárázem,
Y z dobytem biegł ná woysko żelázem.

* * *

Wielki lecz krotki dał swemu ludowi
Pośiłek Sułtan, wpadszy ták zuchwále:
Y beł prętkiemu rowny piorunowi,
Ktory we mgnieniu oká spada, ále
Y potomnemu pámiętny wiekowi
Znák zostáwuie w rozerwáney skále.
Przez sto ich zábił, dwáy iednák wyięci
Będą w tey liczbie, z wieczney niepámięći.

* * *

Twą Odoárdźie, y Gildyppo srogą
Y żáłosną śmierć z dźiełámi godnemi:
Jeśli Słowieńskie rymy tyle mogą,
Poświęcę między dowćipy wielkiemi:
Ták, że káżdy wiek pámięć wászę drogą
Wysłáwiáć będźie, y ktory swoiemi
Sługá miłośći, pobożnemi łzámi,
Uczći wászę śmierć z moiemi rymámi.

Cna Bohátyrká tám koń obroćiłá,
Gdźie przed niem z wielkiem ludućiekał strácheм:
Y nátárwszy nań, krwie mu utoczyłá,
Dośiągszy boku lewego pod bláchem.
Poznał ią záraz po stroiu kto byłá,
Y krzyknie: Anoż Páni duszká z gáchem:
Twoiá rzecz igłá, kądźiel, y wrzećiono,
Nie woyná, nie boy, nie miecz, dobra żono.

* * *

Znowu go w gębę pchnąć Gildyppá chćiáłá,
Lećz uprzedźiwszy iego szábla spádłá:
Y przećiąwszy blách, w zánádrze ćiąć śmiáłá,
Gdźie tylko miłość swoie rázy kłádłá.
Wodzę niebogá nagle upuszczáła,
Y pochylona co raz bárźiey bládłá,
Pátrzy Odoárd ná to, nie leniwy
Ale obrońcá ráczey nieszczęśliwy:

* * *

Niewie co czynić nędzny, w rożne strony,
W iednem go czáśie żal y gniew prowádźi:
Zal każe wesprzeć pochyloney żony,
Gniew mu do pomsty co naypręts zey rádźi.
Lecz od miłośći życzliwey uczony,
Pospołu z gniewem żalowi porádźi:
Lewą iey ręką wspiera y rátuie,
Práwą ná pomstę rázem wypráwuie.

* * *

Ale iáko miał pożyć ták mocnego
Nieprzyiaćielá, z rozdwoioną śiłą:
Y winováyce nie zábił swoiego,
Y trudno też miał utrzymáć swą miłą.
Owszem mu rękę u łokćiá sámego
Odćiął, gdy trzymał małżonkę pochyłą.
Dopiro go ták nieprzyiaćiel pożył,
Upuśćiwszy ią, ná niey się położył

Jáko Wiąz ćięgły wkoło opásány,
Y okręcony od płodney máćice:
Gdy go podetną, do ziemie kochány
Krzák ná doł ćiągnie, zá sobą potycze:
Y samże list trze, ktorem beł odźiány,
Y groná dławi, ozdobę winnice:
Y zda się, że mu nie swey żal przygody,
Ale swey miłey towarzyszki szkody.

* * *

Ták on upadał, y umrzeć gotowy,
Nie siebie, swego żałował kochánia:
Chćieli coś mowić, ále zbywszy mowy,
Miásto słow, spolne mieszali wzdychánia.
Y poki mogli, oczemá nie słowy
Odpráwowáli ostátnie żegnánia.
Wtem iem dźień zginął własnie w iedney dobie,
Ták szły złączone święte dusze obie.

* * *

Po wszystkiem woysku zátem świegotliwa
Wieść o ich śmierći gęste głosy niosłá:
Y Rynáld iuż wie, że to rzecz práwdźiwa,
Nie tylko z wieśći, ále y od posłá.
Zal, gniew, powinność, serce mu rozrywa,
Chce żeby pomstá co naypręcey doszłá.
Ale kiedy iuż Sułtaná dobiegał,
Adrást wołáiąc drogę mu zabiegał:

* * *

Tyś to, ieśli się nie mylę, ktorego
Szukam, y wołam przezwiskiem dźień cáły:
Pátrzę ná tarczey znáku u káżdego,
Dopiro mi ćię twe herby wydáły:
A iżem ze łbá obiecał twoiego
Ofiárę Bogu, wystąp ná czás máły:
Zdrayco Armidy, áto ćię pozywa
Ten, ktory się iey Rycerzem ozywa.

To rzekszy, ćiął go okrutnie dwá rázy,
Raz w szyię, drugi podle lewey skronie:
Hełmuć nie przećiął, co się nie bał skázy,
Ale go máło nie zbił między konie.
Rynáld go záśię w bok między żelázy
Ták tráfił, że sztych szedł ná obie stronie:
Legł olbrzym wielki, Krol niezwyćiężony,
Jedną (co więtsza) ráną obálony.

* * *

Wszystkiem mroz źimny sercá opánował
Co to widźieli: Sam Sułtan lękliwy
Pobladł ná twarzy, y znák pokázował
Trwogi ná sercu, widząc raz strászliwy:
Y iuż sobie sam swą śmierć práktykował,
Niewie co czynić dáley ma wątpliwy:
Rzecz w niem nie zwykła, lecz się człowiekowi
Trudno wiecznemu zbronić wyrokowi.

* * *

Jáko szalony, lub co się ma choro,
Kiedy sny strászne, w nocy niedospáłe,
Widźi, zda mu się, że bieży, y skoro
Rośćiąga ná bieg członki oćiężáłe:
A kiedy trzebá, wszystko mu nie sporo,
Służyć mu niechcą nogi osłábiáłe:
Czásem chce mowić, ále go y mowá,
Y głos, y zwykłe opuszczáią słowá.

* * *

Ták w ten czás Sułtan sam siebie porywa,
Przez gwałt ku oney ostáteczney probie:
Ale mu gniewu zwykłego ubywa,
Y pierwszey śiły teraz nie zna w sobie.
Jeśli się ná skrę śmiáłości zdobywa,
Záraz ią w niem strách gáśi w oney dobie.
Rożnie go błędne obrácáią myśli,
Ustąpić iednak, y ućiec nie myśli.

Wtem Rynáld przypadł, ále przypadáiąc,
Zdał się być więtszey dáleko prętkośći:
Y blisko się iuż podeń podsadzáiąc,
Znák dawał więtszey śiły y śmiáłośći.
On się kęs bronił, iednák umieráiąc,
Nie zápomina zwykłey wspániáłośći:
Nie stęka, śmierći y ran się nie boi,
Y nie czyni nic, iedno co przystoi.

* * *

Gdy iuż godźiná przyszłá ostáteczná
Solimanowi, że go śmierć zwalczyłá:
Po wszystkiem woysku dopiro bespieczna
Wieść, głos o śmierći iego rospuśćiłá.
Y Fortuná się dotąd niestáteczna
Do iedney strony wszystká przenośiłá:
Y złączywszy się z sámemi Hetmány
Przećiw Pogáństwu, poszłá z Chrześćiány.

* * *

Nie tylko inszem,ućiekáć sámemu
Nieśmiertelnemu przychodźi pułkowi:
Nieśmiertelny beł, á teraz hárdemu
Ná wzgárdę ginie swemu tytułowi.
Chorążemu sam ućiekáiącemu
Emiren mowi, y bieg mu stanowi:
Tyś iest, ieśli się nie mylę, ktorego
Obrałem nośić znák Páná moiego.

* * *

Ey Rymedonie, nie ná toć to dána
Y powierzona chorągiew odemnie:
Widźisz biiąc się sámego Hetmáná,
A ty od niego ućiekasz nikczemnie:
Skąd strách? skąd w tobie ták nagła odmiáná,
Gdźie bieżysz, wroć się, weźmi przykład ze mnie:
Kto chce nść zdrowo, bić mu się tu trzeba,
Przez drogęćći, dość żywotá potrzebá.

Wrośił się wstydem Rymedon ruszony,
Poważnieyszą záś inszych mową grzeie:
Niektorych śiecze, nie ieden wrocony
Od mieczá, duszę ná miecze wyleie.
Ták rog po wielkiey częśći przełomiony
Wspiera, y ieszcze nie tráći nádźieie:
Y więcey ufa niż inszem, śmiáłemu
Tyzáphernowi, mężowi wielkiemu.

* * *

Dźiwy robił dniá Tyzáphern onego,
Zbił Niderlándy wszystkie z Normándámi,
Frącá, Rugierá, Gierárdá mężnego
Zábił, z inszemi przedniemi wodzámi.
A kiedy iuż kres żywotá krotkiego,
Nieśmiertelnemi przedłużył dźiełámi:
Jákby żyć niechćiał, szukał gdźie znácznieyszy,
Y kędy beł boy naniebespiecznieyszy.

* * *

Uyrzał Rynáldá, á choćia plugáwe
Krwią beły iego fárby lázurowe:
Choć iego orzeł páznokćie miał krwáwe,
Poznał ná tarczy herby Rycerzowe.
Niech mi (pry) niebá pomogą łáskáwe,
Niebespieczeństwo widzę iest gotowe:
Wygramli, głowę Armidźie dáruię,
Tobie Mákonie zbroię dáć ślubuię.

* * *

Ták śluby czynił przed głuchem Mákonem,
Bo nic nie słyszał okrom wątpliwośći:
Jáko biiąc się po bokách ogonem
Lew, pobudza swe wrodzone srogośći.
Ták on swe gniewy ogniem w się wpuszczonem
Grzał, y ostrzył ie ná ośle miłośći:
W kupę zebrawszy śiły swe, koniowi
Wodzę wyspuśćił, przećiw Rynáldowi.

Ale y Rynáld bieżał w oney chwili,
Przećiwko niemu koniá obrácáiąc:
Wszyscy iem záraz plác wielki czynili,
Do strásznego się potkania zbiegáiąc.
Ták się Rycerze obá mężnie bili,
Srogiemi ná się rázámi ćiskáiąc:
Ze káżdy widząc strászny boy, własnego
Niebespieczeństwá zápomniał swoiego.

* * *

Ale cóż? ieden dármo zbroię śiecze
Nieskáźitelną, drugi dawa rány:
Już z Tyzápherná krew w kilku mieyśc ćiecze,
Już tarcz, iuż hełm ma wszystek porąbány.
Widźi Armida zbyt nierowne miecze.
Widźi, że iey iuż Rycerz zmordowány:
Y że go iuż krew uchodźi, y drudzy
Ućiekáć od niey zámyśláią słudzy.

* * *

Od ták Rycerzow wielu otoczona,
Już sámá tylko ná woźie zostáłá:
Wątpi o pomśćie, zewsząd opuszczona,
A snadźby umrzeć niżli żyć wolałá.
Wtem z wozá zśiádłá, y iáko szalona,
Dopadszy koniá, w pole ućiekałá:
A gniew y miłość wszędy, kędy iedźie,
Miásto dwu chártow podle siebie wiedźie.

* * *

Ták Kleopátrá zá wieku dawnego,
Sámá z strászliwey bitwy uchodźiłá:
Y Augustowi swoiego miłego
W niebespieczeństwie morskiem zostáwiła:
Ktory sromotnie od woyska swoiego
Biegł, gdźie lękliwe żagle obroćiłá.
Tożby beł pewnie y Tyzáphern spráwił,
Lecz nie mogł, bo go nieprzyiaćiel báwił.

Zbywszy iey z oczu, że mu ustępuie
Słońce pod źiemię, y iásny dźień, wierzy
Y temu, co go wśćiąga y hámuie,
Niewytrzymány raz w czoło wymierzy.
Kiedy pioruny Jowiszowi kuie,
Sam Brontes młotem mocniey nie uderzy.
Ták dobrze w ten czás Tyzáphern przyłożył,
Ze Rynáld głowę ná pierśiách położył.

* * *

Ale się prętko y nád spodźiewánie
Po onem rázie ták ćięszkiem poprawił:
Y przećiąwszy blách, gdźie swoie mieszkánie
Zywot ma, miecz mu do sercá wyprawił:
Przepadł przez serce sztych y przez dwie ránie,
Pogáninowi pierś y tył ukrwawił:
Ućiekáiącey duszy dáiąc więcey
Niż iednę drogę, żeby szłá tem pręcey.

* * *

Potem iął pátrzyć, gdźie nieprzełomione
Miał ieszcze dáley obroćić swe śiły:
Widźi chorągwie wszędźie obálone,
Y że się wszystkie hufce rosproszyły.
Tu śmierćiom koniec uczynił, y one
Marsowe gniewy w niem się uśmierzyły:
Y wspomniał sobie ná ućiekáiącą
Armidę sámę ná koniu bieżącą.

* * *

Bárzo ią dobrze widźiał, kiedy w długą
Co w koniu mocy biegłá ućiekáiąc:
Zal mu iey bárzo, y pomni ze sługą
Jey być obiecał, od niey odiezdżáiąc.
Zátem się zá nią puścił stroną drugą,
Wszędźie się śládu iey koniá trzymáiąc.
Oná wtem w iednę dolinę osobną
Wiechałá, do swych zamysłow sposobną.

Rádá że mieysce dálekie ná stronie,
Gdźie sobie mogłá śmierć zádáć, tráfiłá:
Tám z koniá zsiádłá, y w oney zasłonie,
Zbroię, łuk, szyszak, y strzały złożyłá.
Nieszczesne (práwi) y sromotne bronie,
Ktorem dáremnie w potrzebie nośiłá:
Tu pogrzebione ná wieki będźiećie,
Kiedy się zemśćić krzywdy mey nie chcećie.

* * *

Mam was ták wiele, á żadney z was ieszcze
Krwáwey nie widzę, wszystkieśćie zmárniáły:
Więc śmiáłe bądźćie ná pierśi niewieśćie,
Kiedyśćie w insze uderzyć niechćiáły:
Te me odkryte zá cel sobie weśćie,
Tubyśćie łátwie zwycięstwá dostáły:
Nie umknę ich wam, ilekroć strzeliłá,
Wie miłość, że ich nigdy nie chybiłá.

* * *

Bądźćiesz mężnemi ná Pánią niebogę,
A poprawćie się zá táką przygáną:
Do czegom przyszłá nędzna? że nie mogę
Tylko od was być sámych rátowáną:
Zadnem lekárstwem sobie nie pomogę,
Okrom, że ránę leczyć muszę ráną:
Ráná od strzały od miłośći ránę
Zgoi, y zdrowia od śmierći dostánę.

* * *

Niech tego mego iádu śmiertelnego,
Ná on świát zsobą nie biorę, moy Pánie:
Zrzucę tu miłość, á ćieniá bladego
Gniew towárzyszem wiecznem niech zostánie:
Albo się niech z niem wroći do moiego
Nieprzyiaćielá, z piekielney odchłánie:
Niech go pilnuie, żeby wiodł niespáne
Strászliwe nocy, y sny rozerwáne.

Tu zmilkłá, y iuż umrzeć umyśliwszy,
Naostrzeyszego żeleścá pátrzyłá:
Kiedy tám Rycerz nagle się tráfiwszy,
Zástał ią, że się tylko nie zábiłá:
Wszystká się w strasną postáwę złożywszy,
Już się do pierśi z strzáłą zánośiłá:
Wtem ią zá rękę uchwyćił poćichu,
Y wśćiągnął ztyłu śmiertelnego sztychu.

* * *

Przyszło się z prędká obeyzrżeć niebodze,
Bo nie postrzegłá, áni go widźiáłá:
Kiedy tam przyszedł, y wrzasnęłá srodze,
Y odwroćiłá oczy, y omdláłá.
Jáko kwiát wpoły podćięty przy drodze,
Ták pochylona do źiemie lećiáłá,
Ale ią ná doł lecącą podpierał,
Y ná odkryte pierśi szátę zbierał.

* * *

Y żalem zdięty, twarz iey pochyloną,
Y pierśi skropił mokremi perłámi:
Jáko deszcz rány zwiedłą y zemdloną
Ożywiá rożą srebrnemi kroplámi.
Ták podnośiłá do źiemie puszczoną
Twarz nie swoiemi upłákáną łzámi.
Trzykroć poyrzáłá, trzykroć odwroćiłá
Oczy, áby nań tylko nie pátrzyłá.

* * *

Y pokázuiąc znácznie swe niewdźięki,
Rękę od siebie iego odpycháłá:
Ale ią trzymał Bohatyr przezdźięki,
Choć się śiliłá, choć się wydźierałá.
Ták od kochány obłapiona ręki,
Choć ponno w on czás ináczey zmyśláłá:
Załosnie płákáć ięłá nárzekáiąc,
Co raz od niego oczy odwracáiąc.

O záwsze lub się wrácasz, lub odchodźisz,
Jednáko srogi, czegoć niedostaie?
Wielki dźiw u mnie, że mi śmierć rozwodźisz,
Wielki, że żywot mężoboycá dáie:
Ná iaką nową hańbę mię przywodźisz,
Ná iáką lekkość: znam twe obyczáie,
Znam chytrość, ktorać więcey nie pomoże,
Nic ten nie może, kto umrzeć nie może.

* * *

Chcesz ponno, ábym w łáncuchu wiedźoná
Ná twem tryumphie licha dźiewka byłá:
Dźiś zwyćiężoná, á przedtem zdrádzoná,
To twe tytuły, to naywiętsze dźiłá.
Beło to, żem ćię o żywot strapiona
Prośiłá, teraz niechbym go pozbyłá:
Smierći chcę, lecz nie z twych rąk, bo twe dáry
Są w nienawiśći u mnie z każdey miáry.

* * *

Sámá się z twoiey srogośći y grozy
Przez się wybáwię okrutny człowiecze:
A choć związáney odeymiesz powrozy,
Odeymiesz strzały trućizny, y miecze.
Y ty, y żaden niech mię tem nie trwoży,
Smierć mi kiedy chcę, nigdy nie ućiecze.
Pátrzayćie, iáko zmyśláć umie cudnie,
Wszystko nie szczyrze, y wszystko obłudnie.

* * *

To narzekánie, te iey beły mowy,
A gniew y miłość łzy iey wyćiskáłá:
Ze Rycerzowi udał się płacz nowy,
Ktory wstydliwa litość spráwowáłá.
Odpowieda iey łágodnemi słowy,
Proszę, ábyś skarg proznych zániechálá:
Nie boy się żadney lekkośći odemnie,
Sługę, Armido, masz wiecznego ze mnie.

Jeśli dáć wiáry niechcesz moiey mowie,
Pátrz ná moie łzy, wierz, że ćię nie zdrádzę:
Ná tey stolicy gdźie twoi dźiádowie
Siedźieli, da Bog, wrychle ćię posádzę.
A kiedyby to zdárzyli Bogowie,
Zebyś Krzest przyiáć chćiałá, iákoć rádzę:
Uczyniłbym to, że wielkie Krolowe,
Y Pánie wszystkie przeszłabyś Wschodowe.

* * *

Ták prośi, y te swe wzdychániem grzeie
Prośby, y lać łez gęstych nie przestáie:
Jáko gdy słońce páli, álbo wieie
Wiátr południowy, śnieg znienagłá táie:
Ták w niey gniew w on czás nieznácznie niszczeie,
A miłość tylko przy sercu zostáie.
Niech się (powiáda) twoiá wola stánie,
Wszystko uczynię ná twe roskazánie.

* * *

A wtem Emiren widząc że ná źiemi
Jego chorągiew ległá obálona:
Y że przed iego oczymá własnemi,
Goffred mocnego zábił Rymedoná:
Y zbiwszy mu lud z wodzámi pierwszemi,
Wszędźie przećiwna przemagáłá stroná.
Jáko mąż wielki szukáć chce przezdźięki
Smierći, od iákiey záwołáney ręki.

* * *

Zwárł swego koniá przećiw Goffredowi,
Bo godnieyszego náden nie nayduie:
A gdźie przechodźi, y gdźie się stánowi,
Wśćiekłego męstwá znáki zostáwuie:
Y zdáleká go ku poiedynkowi
Wabi, y ręką ná niego skázuie.
Ja dźiś chcę zginąć, ále się pokuszę,
Ze nie bez pomsty zginę iáko tuszę.

Jeno to wyrzekł: obá z wielkiem gniewem
Skoczyli ieden przećiwko drugiemu:
Emiren w rámię przebiwszy tarcz drzewem,
Ránę wodzowi dał Chrześćiáńskiemu:
On go záś tráfił ták nád uchem lewem,
Ze łbem szedł ná kárk koniowi swoiemu:
Y kiedy się chćiał poprawić, przebity
Duszę wytoczył pospołu z ielity.

* * *

Skoro legł Hetman, Goffred rosproszony
Ostátek woyská pobitego goni:
Y tráfia tám gdźie w koło otoczony,
We krwi po kostki Altámor się broni.
Szyszak zrąbány, miecz ma utrącony,
Zewsząd nań biią y strzeláią z koni.
Niech będźie (krzyknie ná swoich) z pokoiem,
Jam Goffred, day się, á więźniem bądź moiem.

* * *

Altámor ktory sercá wspániáłego,
Do żadney nigdy pokory nie skłonił:
Usłyszawsy głos imieniá wielkiego,
Do niey się chętnie ná on czás nákłonił:
Y złożył záraz z umysłu hárdego,
Y dawszy mu miecz, więcey się nie bronił.
Godnyś (pry) tego, poddáięć się: á ty
Będźiesz ztąd w sławę, y w skárby bogáty.

* * *

Załosna żoná kleynoty swoiemi,
Y mego páństwá wykupi mię złotem:
Nie chćiwym ná to, (ow rzekł) y tákiemi
Rzeczámi gárdzę, ani myślę o tem:
Miey sobie skárby Jndyiskie z Perskiemi,
Cudzemem nigdy nie kupczył żywotem:
Ja Altámorze w Azyey woiuię,
Hándlow nie wiodę, y nie przekupuię.

W tem za pogáństwem poszedł pogoniámi,
Zostawiwszy go przystáwom w opiecze.
Ktore do swoich wálow szło kupámi,
Ale gniewliwe y tam wpadły miecze.
Wzięto zarazem oboz, strumieniámi
Krew od námiotu do námiotu ciecze.
Mażą się złotem nábiiane zbroie,
Psuią się pompy y pogáńskie stroie.

* * *

Ták Goffred wygrał, a tyle iásnego
Dnia mu ná on czás zostawáło ieszcze;
Ze woysko swoie do wyzwolonego
Miásta prowadzi, y stáwia ie w mieśćie.
Y niezłożywszy odzienia krwáwego,
Czci zbawicielow grob, y święte mieysce.
Tám zbroie wiesza, y insze korzyśći,
Y obiecane śluby Bogu iśći.

KONIEC DWUDZIESTEY Y OSTATNIEY PIEŚNI.

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA 129988 Białystok
WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA 28823 Białystok

×KSIĘGARNIA×
ANTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI
D 176042

821
Tasso
Goffred
28823

